



Samolot bez niej

MICHEL
BUSSI

Świat Książki

Samolot bez niej

Michel Bussi

Świat Książki (2014)

Lyse-Rose czy Emilie? Kim jest jedyna ocalała z katastrofy lotniczej osoba, trzymiesięczne niemowlę?

Dwie rodziny - biedna i bogata - walczą o opiekę nad dziewczynką, którą media ochrzciły Ważką. Osiemnaście lat po katastrofie pewnemu prywatnemu detektywowi wydaje się, że znalazł rozwiązanie zagadki. Pada jednak ofiarą morderstwa, zostawiając po sobie jedynie dziennik zawierający szczegóły przeprowadzonego śledztwa.

Zostajemy wciągnięci w zapierający dech w piersiach pościg prowadzący od paryskiej dzielnicy Butte-aux-Cailles aż po Dieppe, od Val-de-Marne po zbocza jurajskiej Mont Terrible, do chwili, aż wszystko stanie się jasne. Czyżby przypadki i zbiegi okoliczności były tylko odpryskami przeznaczenia? A może od samego początku ktoś manipuluje aktorami tego dramatu?

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Wstęp

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45
Rozdział 46
Rozdział 47
Rozdział 48
Rozdział 49
Rozdział 50
Rozdział 51
Rozdział 52
Rozdział 53
Rozdział 54
Rozdział 55
Rozdział 56
Rozdział 57
Rozdział 58
Rozdział 59
Rozdział 60
Rozdział 61
Rozdział 62
Przypisy

Tytuł oryginału: UN AVION SANS ELLE

Wydawca: GRAŻYNA SMOSNA

Redaktor prowadzący: KATARZYNA KRAWCZYK

Redakcja: ELŻBIETA KOBUSIŃSKA

Korekta: AGNIESZKA TRZESZKOWSKA-BEREZA, IRENA KULCZYCKA

Łamanie: Akces, Warszawa

© Presses de la Cité, un département de Place des Editeurs, 2012

Copyright © for the Polish translation by Magdalena Krzyżosiak, 2014

ISBN 978-83-7943-638-5

Świat Książki Sp. z o.o.

02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: Fabryka.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

*Malou, maleńkiej wazce,
która przyszła na świat tą historią*

23 grudnia 1980 roku, 0.33

Airbus 5403 relacji Sztambuł – Paryż gwałtownie nurkował w dół, pokonując niemal tysiąc metrów w mniej niż dziesięć sekund. Opadał prawie pionowo, po czym z powrotem wyrównał lot. Większość pasażerów spała. Obudzili się nagle z przerażającym uczuciem, jakby zasnęli na siedzeniu karuzeli w wesołym miasteczku.

To ich krzyki, a nie turbulencje samolotu, przerwały płytki sen Izel. Była przyzwyczajona do gwałtownych podmuchów i dziur powietrznych, gdyż od trzech lat latała po całym świecie jako stewardesa Turkish Airlines. Miała właśnie chwilę przerwy. Spała od niespełna dwudziestu minut. Gdy tylko otworzyła oczy, zauważyła, że jej starsza koleżanka ze zmiany, Meliha, pochyła nad nią swój ściśnięty w mundurku dekolt.

– Izel? Izel? Szybko! Robi się gorąco. Zdaje się, że na zewnątrz szaleje burza. Kapitan mówi, że widoczność jest zerowa. Staniesz w przejściu?

Izel miała minę doświadczonej stewardesy, która nie uległa panice bez powodu. Podniosła się z siedzenia, włożyła żakiet, obciągnęła spódnicę, przez chwilę spojrzała z podziwem na swoje odbicie w wyłączonym monitorze, przypominające turecką laleczkę, i poszła w stronę prawego przejścia.

Obudzeni pasażerowie już nie krzyczeli, bardziej zdumieni niż zaniepokojeni, otwierali szeroko oczy. Samolot nadal się kołysał. Izel pochylała się spokojnie nad każdym z pasażerów.

– Wszystko w porządku. Proszę się nie martwić. Przelatujemy po prostu przez zamieć śnieżną nad górami Jura. Będziemy w Paryżu za niecałą godzinę.

Izel uśmiechała się naturalnie. Duchem była już w Paryżu. Miała tam spędzić trzy dni aż do świąt Bożego Narodzenia. Na myśl o tym, że będzie niczym nieograniczoną mieszkanką Sztambułu w stolicy Francji, cieszyła się jak dziecko.

Uspokajała kolejno dziesięcioletniego chłopca, kurczowo trzymającego się ręki babci, młodego urzędnika w pomiętej koszuli, którego z chęcią spotkałaby następnego dnia na Polach Elizejskich, młodą Turczynkę w kwefie przesuniętym prawdopodobnie w wyniku gwałtownej pobudki i zasłaniającym jej oczy, a także skulonego staruszka z dłońmi wciśniętymi między kolana, rzucającego błagalne spojrzenia...

– Wszystko w porządku. Zapewniam pana.

Izel spokojnie szła między fotelami, gdy nagle airbus ponownie przechylił się na bok. Rozległy się krzyki. Młody mężczyzna siedzący po prawej stronie Izel, trzymający w obu dłoniach walkmana, zawołał sztucznie wesołym tonem:

– Kiedy kolejna pętla?

Odpowiedzią na pytanie było kilka nieśmiałych śmiechów, które natychmiast zagłuszył wrzask noworodka. Dziecko leżało w foteliku tuż przed Izel, w odległości kilku metrów. Wzrok stewardesy spoczął na kilkumiesięcznej dziewczynce ubranej w białą sukieneczkę w pomarańczowe kwiatki, która wystawała spod wełnianego zakardowego sweterka w kolorze écru.

– Nie, proszę pani! – zaprotestowała Izel. – Nie!

Matka, siedząca tuż obok, odpinała pas, żeby nachylić się nad córeczką.

– Proszę tego nie robić, proszę pani – napominała Izel. – Pas musi mieć pani zapięty. To konieczne. To...

Matka nie zadała sobie nawet trudu, żeby się odwrócić, nie mówiąc o tym, że nie odpowiedziała stewardesie. Jej długie rozpuszczone włosy opadały na fotelik. Dziecko zaczęło wrzeszczeć jeszcze głośniejsze.

Izel zawahała się, nie wiedziała, jak się zachować, po czym podeszła bliżej.

Samolot znowu zaczął opadać. Trzy sekundy, pewnie kolejny tysiąc metrów.

Wybuchły urywane krzyki, ale większość pasażerów siedziała w ciszy. Milczeli. Zdawali sobie sprawę, że ruchy samolotu nie są spowodowane zwykłymi zimowymi zamieciami. Pod wpływem wstrząsu Izel upadła na bok. Łokciem wbiła walkmana w klatkę piersiową jego posiadacza siedzącego po prawej, który na chwilę przestał oddychać. Nawet nie przeprosiła, tylko się podniosła. Naprzeciwko mała dziewczynka wciąż płakała. Matka znowu się nad nią nachyliła i zaczęła rozpinąć pas dziecka...

– Nie, proszę pani! Nie...

Izel zakląła. Machinalnie obciągnęła spódnicę. Co za męka! Zdecydowanie zasłużyła na trzy dni i trzy noce przyjemności w Paryżu!

Później wszystko potoczyło się bardzo szybko.

W pewnej chwili Izel zdało się, że słyszy jakby echo, płacz innego niemowlaka gdzieś w samolocie, trochę dalej po lewej. Zabłąkana dłoń faceta z walkmanem musnęła szary nylon na jej łydkach. Stary Turek objął ramieniem zakwefioną kobietę, a drugą rękę w błagalnym geście wyciągnął w stronę Izel. Matka siedząca tuż przed nią wstała i wyciągnęła rękę, żeby przytulić odpiętą z pasów córeczkę.

Tak wyglądały ostatnie chwile przed katastrofą. Zanim airbus roztrzaskał się o górę.

Wstrząs rzucił Izel dziesięć metrów od drzwi ewakuacyjnych. Jej dwie urocze nogi w szarości połamały się jak członki lalki w rękach sadystycznej dziewczynki. Wąska klatka piersiowa roztrzaskała się o metal, a lewa skroń rozbiła o róg drzwi.

Izel zginęła na miejscu. Miała szczęście.

Nie widziała, jak gasną światła. Nie widziała, jak samolot zgina się niczym zwykła puszka po napoju w kontakcie z drzewami, które jedno po drugim jakby się poświęcały, żeby zwolnić szaleńczy pęd airbusa.

Gdy wszystko w końcu stanęło, nie czuła rozprzestrzeniającego się zapachu nafty. Nie poczuła bólu, gdy wybuch rozerwał jej ciało tak jak ciała najbliższych dwudziestu trzech pasażerów.

Nie wrzeszczała, gdy płomienie ogarnęły kabinę i zamknęły w pułapce sto czterdzieści pięć osób.

Osiemnaście lat później

29 września 1998 roku, 23.40

Teraz wiecie już wszystko.

Crédule Grand-Duc uniósł długopis i wbił wzrok w przejrzystą wodę wypełniającą ogromne wiwarium. Przez kilka chwil jego oczy podążały za rozpaczliwym lotem ważki arlekina, za którą niecałe trzy tygodnie wcześniej zapłacił prawie dwa tysiące pięćset franków. Rzadki gatunek, jedna z największych ważek na świecie, identyczna jak jej prehistoryczny przodek. Podłużny owad szamotał się, latając od jednej szyby do drugiej, w rozszalałym roju kilkudziesięciu innych. Uwięzione. W pułapce.

Wszystkie czuły, że powoli umierają.

Długopis na nowo spoczął na kartce. Dłoń Crédule'a Grand-Duca poruszyła się nerwowo.

Zebrałem w tym zeszycie wszystkie wskazówki, wszelkie tropy, wszystkie hipotezy. Osiemnaście lat poszukiwań. Wszystko zostało spisane na tych prawie stu stronach. Jeśli przeczytaliście je z uwagą, wiecie teraz tyle samo co ja. Może będziecie bardziej przenikliwi? Może pójdziecie w stronę, w którą ja nie poszedłem? Może znajdziecie klucz, jeśli taki istnieje? Może...

Dlaczego nie?

Dla mnie to koniec.

Długopis uniósł się i zadrżał kilka milimetrów nad kartką. Crédule Grand-Duc ponownie spojrzał nieobecny błękitnymi oczami na wiwarium, później jego wzrok przesunął się na kominek, w którym podłużne płomienie trawiły stos gazet, papierów i kartonowych pudeł z dokumentami, aż w końcu spoczął po raz ostatni na zeszycie. Długopis prześlizgnął się po papierze.

Przesadą byłoby powiedzieć, że nie żałuję ani nie mam wyrzutów sumienia, jednak zrobiłem, co mogłem.

Crédule Grand-Duc wpatrywał się w tę ostatnią linijkę długie sekundy, po czym powoli zamknął bladozielony zeszyt.

Zrobiłem, co mogłem, powtórzył sam sobie, w końcu usatysfakcjonowany.

23.43

Odłożył długopis do pojemnika stojącego przed nim, wziął żółtą karteczkę samoprzylepną leżącą po prawej stronie biurka i przykleił ją na okładce zeszytu. Jego dłoń ponownie powędrowała do pojemnika na przybory do pisania. Palce chwyciły marker. Dużymi literami napisał na karteczce: *Dla Lylie*. Odsunął zeszyt na skraj biurka i wstał.

Spojrzenie Grand-Duca przez kilka chwil spoczywało na biurku, gdzie leżała lśniąca miedziana tabliczka. Grand-Duc przeczytał z ironią w głosie: *Crédule Grand-Duc, prywatny detektyw*. Uśmiechnął się pozbawiony złudzeń. Od dawna ludzie nazywali go Grand-Duc, już nikt nie używał jego idiotycznego imienia^[1]. Nikt, oprócz Emilie i Marca Vitrala, a nawet i oni używali go tylko, gdy byli młodszy. Od tego czasu minęła wieczność.

Grand-Duc skierował się do kuchni. Po raz ostatni rzucił okiem na zlew ze stali nierdzewnej, kamienne ośmiokątne białe płytki na podłodze, zamknięte szafki z jasnego drewna. Każdy element był w idealnym porządku, wypolerowany i starannie ustawiony; wszelkie ślady dotychczasowego życia

zostały drobiazgowo uprzątnięte jak w wynajętym mieszkaniu, które trzeba zwrócić właścicielowi. Grand-Duc był drobiazgowy aż do końca, aż do ostatniego tchnienia. Wiedział o tym. To wiele wyjaśniało. Tak naprawdę wszystko.

Odwrócił się, podszedł do kominka tak blisko, że poczuł, jak żar niemal liże mu dłonie. Nachylił się i wrzucił w ogień dwa pudełka archiwaliów. Odsunął się, żeby nie dosięgły go iskry.

Sytuacja bez wyjścia...

Poświęcił tysiące godzin, aby do końca zbadać każdy szczegół tej sprawy... Wszystkie te wskazówki, notatki, badania ulatywały teraz z dymem. Ślady poszukiwań znikną w zaledwie kilka godzin.

Osiemnaście lat poszukiwań na nic.

Co za ironia...

Całe jego życie zawierało się w tym autodafe, którego był jedynym świadkiem.

23.49

Za czternaście minut Lylie skończy osiemnaście lat, przynajmniej oficjalnie... Kim jest? Wciąż nie miał pewności. Szanse pół na pół, tak jak pierwszego dnia. Orzeł albo reszka.

Lyse-Rose czy Emilie?

Poniósł porażkę. Mathilde de Carville wydała fortunę, płaciła mu przez osiemnaście lat, a wszystko na nic...

Grand-Duc podszedł do barku i nalał sobie kolejny kieliszek złotego wina. Piętnastoletnie wino, specjalne zapasy Monique Genevez, chyba jedyna dobra rzecz, która pozostała mu po tych poszukiwaniach. Uśmiechnął się, podnosząc kieliszek do ust. Nie miał w sobie nic z karykaturalnego starego detektywa alkoholika, on należał raczej do ludzi, którzy sięgają do piwniczki oszczędnie, i tylko przy wielkich okazjach. Taka okazja nadarzyła się tego wieczoru – osiemnaste urodziny Lylie. I ostatnie minuty jego życia.

Detektyw jednym haustem wychylił kieliszek złotego wina.

Tego rzadkiego uczucia będzie mu brakowało – niepowtarzalnego smaku złotego wina przepływającego przez jego ciało, rozpalającego je wykwinnym ogniem, pozwalającego mu dać ujście obsesji, zapomnieć o tej zagadce bez odpowiedzi, której poświęcił życie.

Grand-Duc odstawił kieliszek na biurko i przysunął bladozielony zeszyt; zastanawiał się, czy otworzyć go po raz ostatni. Przyjrzał się żółtej karteczce z napisem: *Dla Lylie*.

Pozostanie zeszyt, sto stron spisanych w ostatnich dniach... Dla Lylie, dla Marca, dla Mathilde de Carville, dla Nicole Vitral, dla glin, dla adwokatów, dla każdego, kto będzie chciał zanurzyć się w tych domysłach...

Pociągająca lektura, bez wątpienia. Prawdziwe dzieło sztuki, zapierające dech w piersiach śledztwo... Można znaleźć w nim wszystko...

Oprócz zakończenia...

Napisał kryminał, z którego wyrwano ostatnią stronę, thriller, z którego wymazano pięć ostatnich linijek.

Oszustwo...

Bez wątpienia przyszli czytelnicy będą się uważali za bardziej przebiegłych niż on, będą się starali za wszelką cenę... będą sądzili, że znaleźli rozwiązanie.

Przecież także i on wierzył, on także... Zawsze miał ten rodzaj pewności, że istnieje jakiś dowód, że to równanie da się rozwiązać, że przeszedł obok czegoś i tego nie zauważył. Poczucie, tylko poczucie, ale jakże silne... Ta pewność trzymała go przy życiu aż do ostatecznego niepowodzenia, do dziś, gdy już za dziesięć minut Lylie skończy osiemnaście lat... Być może już tylko podświadomość zachowała tę iluzję, żeby całkowicie nie stracił nadziei – jakże okrutne byłoby poszukiwać przez wszystkie te lata klucza do rozwiązania zagadki bez rozwiązania...

Zrobiłem, co mogłem..., przeczytał ponownie detektyw. Reszta już go nie dotyczyła.

Grand-Duc po raz ostatni rzucił okiem na pokój. Nie wstał, żeby odstawić pustą butelkę i brudny kieliszek, tylko uśmiechnął się do siebie. Policjantom i lekarzom sądowym, którzy za kilka godzin pochylią się nad jego ciałem, nie będzie przeszkadzał niewytarty kieliszek. Krew i mózg rozprysną się i utworzą lepka kałużę na mahoniowym biurku i wywoskowanym parkiecie. Wszystko będzie brudne. Oby tylko natychmiast nie zauważono jego zniknięcia, ale to mało prawdopodobne. Komu miałoby go brakować? Sąsiadów ściągnie smród jego rozkładającego się ciała, tonącego w odchodach nekrofagicznych insektów, które przystąpią do uczty.

Jeszcze jeden powód, pomyślał Grand-Duc.

Schylił się i wrzucił do kominka kawałek kartonu, który wymknął się płomieniom.

Jego ostatni przywilej.

Grand-Duc powoli skierował się w stronę mahoniowego sekretarzyka stojącego w przeciwległym kącie pokoju naprzeciwko kominka. Otworzył środkową szufladę i ze skózanego etui wyjął pistolet Mateba, który wyglądał jak nowy – szary metal lśnił w świetle. Ręka detektywa zanurzyła się głębiej i wyszperała z szuflady trzy naboje. Po trzydzięści osiem milimetrów każdy.

Grand-Duc uśmiechnął się. Wprawnym ruchem przekręcił bębenek i delikatnie umieścił naboje na swoim miejscu.

Wystarczy jeden, mimo że był lekko pijany, nawet gdyby zadrżała mu ręka, gdyby się zawahał. Jednak bez wątpienia uda mu się przyłożyć lufę do skroni, przytrzymać ją zdecydowanie, nacisnąć spust.

Niemożliwe, żeby chybił nawet z sześćdziesięcioma dwoma centylitrami wina we krwi.

Położył pistolet na biurku, otworzył szufladę z lewej i wyjął z niej gazetę, bardzo stary pożółkły numer „L'Est républicain”. Od miesiący myślał o swoim makabrycznym przedstawieniu, o tym symbolicznym rytuale, który pomoże mu ze wszystkim skończyć, ostatecznie wzlecieć ponad labirynt.

23.54

Ostatnie kartki znikają pożerane przez płomienie w kominku. Wzrok detektywa prześlizgnął się na wiwarium, z którego dochodziło żałobne brzęczenie. Od trzydziestu minut instalacja elektryczna dostarczająca pożywienie była wyłączona. Pozbawione tlenu i jedzenia ważki nie przeżyją dłużej niż tydzień... A przecież wydał kolosalną sumę, żeby kupić najrzadsze i najstarsze gatunki; spędził godziny i lata na dbaniu o to wiwarium. Karmił swoje ważki wszelkiego rodzaju maleńkimi insektami, wzmacniał je, łączył w pary, a gdy wyjeżdżał, opiekę nad nimi powierzał specjalistycznej firmie.

Tyle wysiłku, żeby teraz umarły. Także i one...

To w sumie dość przyjemne decydować o życiu i śmierci innej istoty, pomyślał Grand-Duc. Chronić ją, żeby później wykończyć, dawać nadzieję, żeby spisać na straty. Igrać z przeznaczeniem niczym bóg, sprytny i nieprzewidywalny... Przecież i on sam stał się ofiarą takiego sadystycznego boga...

Crédule Grand-Duc usiadł na krześle za biurkiem, wbrew sobie przesunął zielony zeszyt jeszcze bliżej krawędzi biurka, jakby się bał, żeby nie poplamili go krople krwi.

Na biurku tuż przed sobą rozłożył „L'Est républicain”. Numer z dwudziestego trzeciego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku. Po raz kolejny przeczytał pierwszą stronę: *Cudownie ocalona z katastrofy na Mont Terrible*.

Tytuł rozciągał się w poprzek całej pierwszej strony. Pod nim niewyraźne zdjęcie przedstawiało wrak rozbitego samolotu, powyrywane drzewa, śnieg, na którym pozostały ślady tych, którzy przybyli na ratunek. Kilka linijek tekstu opisywało katastrofę, a pod zdjęciem widniał podpis: *Katastrofa airbusa 5403 relacji Sztambuł – Paryż na zboczach Mont Terrible, na granicy francusko-szwajcarskiej, w nocy z dwudziestego drugiego na dwudziestego trzeciego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku. Stu sześćdziesięciu ośmiu ze stu sześćdziesięciu dziewięciu pasażerów i członków załogi zginęło na miejscu albo zmarło uwięzionych w płomieniach. Jedynym cudownie ocalałym pasażerem jest trzymiesięczne dziecko wyrzucone z kabiny tuż przed tym, jak samolot stanął w płomieniach*.

Grand-Duc podniósł wzrok. Umrze, pochylając się w przód, strzelając sobie w łeb. Upadnie na pierwszą stronę tej gazety. Jego krew zabarwi fotografię z miejsca dramatu, który rozegrał się osiemnaście lat wcześniej, zmiesza się z krwią stu sześćdziesięciu ośmiu ofiar. W takiej pozycji znajdą go za kilka dni albo kilka tygodni. Nikt nie będzie go żałował... A zwłaszcza rodzina de Carville'ów. Trochę żal będzie może Vitralom... Emilie, Marcowi. Przede wszystkim Nicole.

Szczyt wszystkiego, co za ironia!

Znajdą go i dadzą ten zeszyt, zapis krótkiego życia, Lylie. Jego testament.

Grand-Duc, niemal dumny, spojrział po raz ostatni na swoje odbicie w miedzianej tabliczce. Prawdę mówiąc, to piękne zakończenie, znacznie lepsze od całej reszty.

Dostał swoją szansę, trudno chcieć więcej: osiemnaście lat na poszukiwania...

23.57

Nadeszła pora.

Grand-Duc delikatnie położył „L'Est républicain” tuż przed sobą, przysunął krzesło i wilgotną dłonią mocno chwycił kolbę pistoletu.

Jego ramię podniosło się powoli.

Gdy zimna lufa dotknęła jego skroni, zadrżał wbrew sobie. Przecież był gotowy. Alkohol mu pomoże.

Próbował oczyścić umysł, nie myśleć o tej kulce, kilka centymetrów od jego mózgu, która miała przedrzeć się przez czaszkę...

Nie myśleć o niczym, skupić się na pustce.

Palec wskazujący spoczął na spuście. Pozostało już tylko nacisnąć, a wszystko się skończy.

Zamknąć oczy czy mieć otwarte?

Kropla potu spłynęła mu po czole i skapnęła na gazetę.

Otworzyć oczy i skończyć z tym.

Nachylił się, oczy utkwilił w gazetce leżącej dwadzieścia centymetrów przed nim. Po raz ostatni spojrział na zdjęcia samolotu strawionego przez ogień i strażaka przed szpitalem w Montbéliard ostrożnie trzymającego maleńkie sine ciało. Cudownie ocalone niemowlę.

Palec wskazujący mocniej objął spust.

23.58

Niewidzące spojrzenie detektywa zsunęło się jeszcze trochę niżej i zgubiło w czarnym druku pierwszej strony starego dziennika. Pocisk przedziurawił mu skroń, która nie stawia najmniejszego oporu. Musi tylko zgiąć palec, jeszcze trochę bardziej, kilka milimetrów. Jego wzrok zatrzymał się; czarny druk stał się wyraźniejszy, jak w obiektywie kamery, gdy reguluje się ostrość, jak w ostatnim spojrzeniu na świat, nim wszystko rozmyje się we mgle.

Palec wskazujący. Spust.

Oczy szeroko otwarte.

Coś niewyobrażalnego spiorunowało Grand-Duca, jak gdyby przeszło przez niego wyładowanie elektryczne równie intensywne jak nagłe.

To, co zobaczyły oczy, było przecież niemożliwe. Zrozumiał!

Nacisk na spust lekko zelżał.

Grand-Duc uznał w pierwszej chwili, że to iluzja, halucynacja wywołana zbliżającą się śmiercią, mechanizm obronny podsunięty przez mózg...

A jednak!

To, co widział, to, co czytał w gazetce, widniało tam naprawdę. Z biegiem lat gazeta żółkła, trochę wyblakła, a jednak nie można było mieć wątpliwości.

Wszystko znajdowało się na pierwszej stronie.

Umysł detektywa znowu zaczął pracować. Przez lata wysnuł tak wiele hipotez, pewnie setki, ale teraz zyskał punkt wyjścia, musiał tylko pociągnąć za sznurek, a wszystko mogło rozwiązać się z zaskakującą łatwością.

Wszystko stało się jasne, oczywiście...

Opuścił broń i mimo woli roześmiał się szaleńczo.

Spojrział na zegar ścienny.

23.59

Nadal nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Ręce mu drżały. Od karku aż po dół pleców przebiegł mu ogromny dreszcz.

Udało się!

Rozwiązanie od samego początku znajdowało się tam, w tej gazetce, na pierwszej stronie. Czekalo cierpliwie. Wówczas, osiemnaście lat temu, nie można było go dostrzec. Wszyscy czytali tę gazetę, zagłębiali się w szczegóły, analizowali tysiące razy, a i tak nikt nie potrafił odgadnąć; ani w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym, ani w kolejnych latach.

Rozwiązanie rzucało się w oczy... pod jednym warunkiem.

Jedynym warunkiem. Absolutne szaleństwo.

Należało otworzyć gazetę osiemnaście lat później!

2 października 1998, 8.27

Czy tych dwoje tam to kochankowie, czy rodzeństwo?

To pytanie od prawie miesiąca nurtowało Mariam, właścicielkę baru o nazwie Lenin, mieszczącego się na skrzyżowaniu alei Stalingradu z ulicą Liberté^[2], kilka metrów od dziedzińca uniwersytetu Paris VIII-Vincennes-Saint-Denis. O tej porze rano bar był właściwie pusty, co Mariam wykorzystywała, aby poustawiać porządnie stoły i krzesła.

Wspomniana dwójka siedziała jak zwykle w końcu sali, przy oknie, przy maleńkim stoliku dla dwojga; patrzyli sobie prosto w niebieskie oczy i trzymali się za ręce.

Kochankowie?

Przyjaciele?

Rodzeństwo?

Mariam westchnęła. Ta niepewność ją denerwowała. Zazwyczaj w miarę trafnie udawało się jej oceniać sercowe rozterki studentów. Zaczęła działać, musiała jeszcze przetrzeć gąbką stoliki, pozamiatać. Za kilka minut z końcowej stacji metra linii trzynastie, ze stacji Saint-Denis-Université, wyleją się tysiące spieszących się studentów, już zestresowanych i przemęczonych... Stacja była otwarta dopiero od czterech miesięcy, a jej otwarcie przeobraziło dzielnicę. Od tej pory wydział Saint-Denis łączył się bezpośrednio z sercem Paryża.

Mariam niedbale rozstawiła krzesła wokół stolików. Wiedziała, że spora część spośród tysięcy pilnych i przerażonych studentów zatrzyma się u Lenina na krótko lub na dłużej, żeby napić się kawy, wypalić w spokoju ostatniego papierosa, odsunąć moment, kiedy trzeba będzie zamknąć się w sali wykładowej... Spóźnić się na zajęcia albo może ostatecznie wcale nie pójść... Mariam dobrze znała pośpiech o ósmej czterdzieści pięć. Widziała, jak uniwersytet Paris VIII-Vincennes-Saint-Denis, wielki uniwersytet nauk o człowieku, o społeczeństwie, o kulturze, miejsce buntu, przekształca się w stonowany i banalny uniwersytet z przedmieścia. Odtąd większość profesorów była niezadowolona z pracy w Paris VIII, chcieli wyklądać na Sorbonie, ewentualnie na Jussieu... Przed otwarciem tej stacji profesorowie musieli przejść przez dzielnicę Saint-Denis, poznać otoczenie. Teraz, gdy mieli metro, także i to się skończyło. Wykładowcy wsiadali do wagonów linii numer trzynastie i oddalali się w stronę ważniejszych dla kultury paryskiej miejsc: bibliotek, laboratoriów, ministerstw, wyższych uczelni...

Mariam odwróciła się w stronę lady, żeby pójść po gąbkę, i dyskretnie rzuciła okiem na koniec sali, na parę, która nie przestawała jej intrygować, na tę piękną blondynkę i tego wysokiego zziębniętego chłopaka.

Ta para rujnowała jej nerwy. Dręczyła ją ta mroczna zagadka.

Kim są?

Mariam nigdy nic nie rozumiała ze sposobu, w jaki funkcjonuje szkolnictwo wyższe, z ułamków, modułów, strajków, ale nikt lepiej od niej nie potrafił nadzorować przerw. Nigdy nie czytała Roberta Castela, Gilles'a Deleuze'a, Michela Foucaulta ani Jacques'a Lacana – gwiazd Paris VIII. Może spotkała ich co najwyżej raz czy dwa w barze lub na dziedzińcu, niemniej uważała się za eksperta

w dziedzinie psychoanalizy, socjologii i filozofii studenckich bolączek i miłości. Dla swoich podopiecznych z kawiarni była matką kwoką i fachowo zajmowała się ich sprawami sercowymi.

Po raz kolejny odwróciła głowę w stronę pary siedzącej przy oknie. Relacja między tymi dwojgiem opierała się jej doświadczeniu i intuicji.

Emilie i Marc.

Ta niepewność denerwowała ją w najwyższym stopniu.

Nieśmiali kochankowie czy krewni?

Zagadka. Mariam nie udawało się tego precyzyjnie określić. Coś nie grało. Tak do siebie podobni i zarazem tak różni. Mariam znała ich imiona; zapamiętywała imiona wszystkich, którzy odwiedzali jej lokal.

Marc studiował na Paris VIII już od dwóch lat i był wiernym klientem Lenina. Wysoki, dość ładny chłopak, sprawiający jednak wrażenie zbyt grzecznego, nieuczesany Mały Książę, trochę marzyciel, któremu brakowało klasy. Student, który nie zna jeszcze reguł, nieco prowincjonalny, bez pieniędzy na modne ubrania... Jeśli chodzi o naukę, Marc raczej nie należał do studiujących zażarcie... Z tego, co rozumiała, zajmował się prawem europejskim... Od dwóch lat spokojny, rozmyślający. Mariam wreszcie odgadła dlaczego.

Czekał na nią. Na swoją Emilie...

Przyjechała we wrześniu tego roku. Musiała być więc dwa lub trzy lata młodsza od niego.

Owszem, mieli cechy wspólne. Trochę prowincjonalny akcent, którego pochodzenia Mariam nie potrafiła odgadnąć, jednak bez wątpienia akcent Emilie był to ten sam akcent, z jakim mówił Marc. A jednak do niej, do jej osobowości równie banalnej jak jej pospolite imię, nie bardzo pasował... Emilie tak jak Marc miała blond włosy i tak jak on niebieskie oczy... Byli do siebie trochę podobni. Jednak podczas gdy ruchy Marca były lekko niezdarne, proste, trochę nienaturalne, Emilie w sposobie poruszania się miała coś innego, co trudno nazwać, pewien rodzaj szlachetności przejawiający się w trzymaniu głowy, dystygowaną elegancję w najmniejszym geście, grację, którą musiała odziedziczyć po niepospolitych przodkach. Pewnie odebrała specjalne wychowanie... Otaczała ją aura często spotykana na innych uniwersytetach, gdzie zbierali się potomkowie wielkich rodzin, w słynnych instytutach, na innych wyższych uczelniach, ale tu pośród studentek w dzielnicy Saint-Denis była niemal nie na miejscu.

Kolejną zagadkę stanowiła kwestia pieniędzy – poziom życia Emilie skrajnie różnił się od poziomu życia Marca. Mariam jednym spojrzeniem potrafiła ocenić pochodzenie, jakość i cenę ubrań studentów, od H&M, po Zarę, przez Jennyfer czy Yves'a Saint Laurenta...

Emilie nie miała ubrań od Yves'a Saint Laurenta, ale i tak prezentowała się nadzwyczaj elegancko. To, co nosiła z elegancją i prostotą, jedwabną pomarańczową bluzkę i czarną asymetryczną spódnicę, bez wątpienia kosztowało małą fortunę... Nie, Emilie i Marc, nawet jeśli pochodzą z tych samych stron, nie należą do tego samego świata.

A mimo to byli nierozłączni.

Istniało między nimi porozumienie, które nie bierze się z niczego, które nie powstaje po kilku miesiącach pobytu na jednym wydziale – sprawiali wrażenie, jak gdyby żyli obok siebie od zawsze... Widać to było w tysiącach drobnych, opiekuńczych gestów Marca wobec Emilie, gestów

dyskretnych, systematycznych, jak dłoń na ramieniu, odsunięcie krzesła, przytrzymanie drzwi, napełnienie kieliszka...

Mariam umiała rozszyfrować takie zachowanie – zwyczajowe gesty starszego brata w stosunku do młodszej siostry!

Przetarła krzesło i energicznie je odstawiła, nie przestając myśleć o tej parze.

Emilie przyjechała na Paris VIII we wrześniu, a Marc przetarł jej szlaki – przez dwa lata trzymał dla niej miejsce w sali wykładowej i stolik przy oknie u Lenina. Mariam wyczuwała w Emilie błyskotliwą studentkę, ambitną, lotną i zdecydowaną. Artystkę. Literaturoznawczynię. Zauważała determinację, z jaką Emilie wyciągała książkę lub notatki, gdy pośpiesznie czytała zapiski, nad którymi Marc biedził się godzinami.

A więc jednak brat i siostra mimo różnicy w statusie materialnym?

Tylko że Marc był w Emilie zakochany!

To także rzucało się w oczy.

Nie jak brat: jak zagubiony kochanek! Dla Mariam było to ewidentne, dostrzegała to w najdrobniejszym spojrzeniu. Gorączka, uczucie; nie mogła się mylić.

Przestała cokolwiek z tego rozumieć.

Podglądała ich od miesiąca. Musiała wykorzystywać nadarzające się okazje. Kiedyś rzuciła ukradkowe spojrzenie na notatnik i pracę pisemną leżące na stole. Poznała ich nazwiska.

Marc Vitral.

Emilie Vitral.

A jednak do niczego jej to nie przybliżyło. Logiczną hipotezą było, że są rodzeństwem... Skąd więc te kazirodcze gesty? Dłoń Marka na łędźwiach Emilie... Może po prostu są małżeństwem? Osiemnastolatka i dwudziestolatek...? Nietypowe jak na studentów, ale możliwe... Pozostawała zbieżność nazwisk, ale Mariam nie wierzyła w aż taki zbieg okoliczności, chyba że chodziło o dalekie kuzynostwo, rodzeństwo przyrodnie... Skomplikowane...

Ścierka Mariam wściekle przelatowała po krzesłach, które uderzały o terakotę przy barze.

Wyglądało na to, że Emilie bardzo zależy na Marcu. A jednak jej spojrzenie kryło w sobie znacznie więcej, trudno było je zinterpretować, wyglądała na zagubioną, zwłaszcza gdy zostawała sama, jak gdyby próbowała ukryć wewnętrzne rozdarcie, głęboki smutek... Ta melancholia dodawała jej nietypowego uroku, dystansu do świata, który sprawiał, że różniła się od innych dzieciaków z kampusu. Żaden student siedzący u Lenina nie wstydził się pożerać wzrokiem pięknej Emilie, ale bez wątplenia z powodu tego dystansu, rezerwy, żaden podrywacz nie miał śmiałości jej zaczepić...

Oprócz Marca!

Emilie należała do niego, był tu dla niej. Nie z powodu studiów. Nie z powodu kierunku. Lecz po to tylko, aby być tam z nią, żeby ją chronić.

Ochroniarz.

Tyle zrozumiała Mariam.

Ale co z resztą? Co ze związkim, jaki ich łączył? Mariam często próbowała rozmawiać z Emilie i Markiem o wszystkim i o niczym, ale nie dowiedziała się niczego osobistego.

Trudno, na razie ich zostawi; pewnego dnia i tak się dowie.

Czyściła ostatnie stoliki, gdy Marc podniósł rękę.

– Mariam – rzucił – podasz nam dwie kawy i wodę dla Emilie?

Mariam uśmiechnęła się do siebie. Marc, gdy był sam, nigdy nie zamawiał kawy, ale brał ją zawsze, gdy przychodziła Emilie. Przedłużoną.

– Robi się, zakochane gołąbeczki – odparła Mariam.

Tak na próbę.

Marc uśmiechnął się zawstydzony. Emilie nie. Siedziała z lekko spuszczoną głową. Mariam dopiero teraz zauważyła, że tego ranka dziewczyna wyglądała okropnie, twarz miała zmienioną, jakby całą noc nie spała. Mimo to starała się uśmiechać jak gdyby nigdy nic, a jej elegancja trochę tuszowała zmęczenie. Strach przed egzaminem, noc spędzona na powtarzaniu, praca, którą należy pilnie oddać?

Nie, to coś innego.

Mariam wyrzuciła do śmietnika filtr, opłukała zbiornik na kawę i nastawiła dwa espresso.

Coś poważnego.

Tak jakby Emilie miała do zakomunikowania Marcowi jakąś bolesną nowinę. Mariam napatrzyła się na pożegnalne spotkania, patetyczne sam na sam, dzielnych chłopaków, którzy zostawali ze swoją kawą, podczas gdy ich dziewczyny wychodziły, lekko zażenowane, ale przede wszystkim wolne. Emilie wyglądała, jakby całą noc się zastanawiała i rankiem podjęła ostateczną decyzję, gotowa stawić czoło konsekwencjom.

Mariam powoli ruszyła z tacą w głąb kawiarni, niosła dwie kawy i szklanę wody.

Biedny Marc. Czy wiedział, że już po nim?

Mariam potrafiła być dyskretna. Postawiła zamówione napoje i odwróciła się, żeby nie podsłuchiwać.

2 października 1998, 8.41

Marc Vitral odczekał kilka chwil, aż Mariam się oddali. Nachylił się w stronę stojącego obok krzesła plecaka i wyjął nieduży sześcian wielkości kilku centymetrów zapakowany w ozdobny papier.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Emilie – powiedział radosnym tonem.

Podał paczuszkę dziewczynie.

Ona tylko przewróciła oczami, udając, że jest zła.

– Marc! – upomniała go. – Już trzeci raz w tym tygodniu składasz mi życzenia... Wiesz dobrze, że nie potrzebuję tego wszystkiego...

– Ciii, otwórz.

Emilie zmarszczyła brwi i rozpakowała prezent. Zauważyła srebrny wisiołek. Krzyżyk o skomplikowanym kształcie, którego każdy koniec wieńczył mały romb. Wyjątek stanowiła górna część zakończona okręgiem z koroną. Emilie wzięła krzyżyk do ręki.

– Jesteś szalony, Marc...

– To krzyż tuarecki! Podobno jest ich dwadzieścia jeden. Każde miasto na Saharze ma krzyż w innym kształcie. Ten pochodzi z Agadez. Podoba ci się?

– Oczywiście, że mi się podoba, ale...

Marc mówił dalej z zapalem:

– Ponoć romby oznaczają cztery strony świata... Ten, kto ofiarowuje krzyż tuarecki, ofiarowuje cały świat...

– Znam tę legendę – szepnęła Emilie. – „Ofiarowuję ci cztery strony świata, bo nie wiem, gdzie umrzesz”.

Marc nie umiał powstrzymać uśmiechu zakłopotania. Oczywiście, wiedziała już wszystko o krzyżach tuareckich tak jak i o całej reszcie. Kilka chwil trwali w ciszy. Emilie sięgnęła po filiżankę kawy. Marc instynktownie zrobił to samo. Przesunął palce, spodziewając się, że napotka palce Emilie. Nagle jego dłoń znieruchomiała na stole jak przybita. Na serdecznym palcu Emilie lśnił pierścionek! Złoty, bardzo misterny, ozdobiony przezroczyście szafirem. Był to wspaniały stary klejnot, bez wątpienia wart fortunę. Marc nie widział go nigdy wcześniej. Jego wzrok na długie sekundy przyćmiła mgła zazdrości, która opadała go za każdym razem, gdy jakiś drobiazg, którego nie rozumiał, tworzył między nimi dystans. Wymamrotał tylko:

– Ten... ten pierścionek... Jest... twój?

– Nie... ukradłam go dziś rano na placu Vendôme.

Marc nie odpowiedział. Powieka lekko mu drżała. Srebrny krzyż tuarecki kosztował go weekend i trzy noce pracy we France Telecom – w ramach pracy dla studenta – ale w porównaniu z tym pierścionkiem wyglądał jak zwykła tandeta. W dodatku Emilie schowała afrykańską ozdobę do satynowego woreczka. Tymczasem ten pierścionek...

Zmusił się, żeby wypić łyk kawy, i wydusił z siebie:

– Ten... twój pierścionek. To... to prezent? Na urodziny?

Emilie powoli spuściła wzrok.

– W pewnym sensie... To trochę skomplikowane... Jest wspaniały, prawda?

Zamilkła, szukała słów.

– Wyjaśnię ci, nie martw się, a przynajmniej nie o to. Nie o ten pierścionek...

Emilie położyła dłoń na dłoni Marca.

Nie martw się, a przynajmniej nie o to. Nie o ten pierścionek...

Słowa łomotały mu w głowie. Co chciała przez to powiedzieć? Wyglądała tego ranka okropnie, jakby całą noc nie spała, choć starała się do niego uśmiechać, dolewając do swojej kawy jak zwykle trochę wody. Nagle spojrzenie Emilie pojaśniało, podjęła ważną decyzję. Upiła łyk i tym razem to ona pochyliła się nad swoją torbą. Wyjęła zeszyt w bladozielonej okładce i podała go Marcowi.

– Proszę, teraz moja kolej. To dla ciebie!

Marc poczuł, jak na nowo ogarnia go głuchy niepokój.

– Co to jest?

– Zeszyt Grand-Duca – odparła Emilie, nie pozostawiając mu czasu na zaczerpnięcie powietrza. – Przyniósł mi go przedwczoraj, dzień po moich urodzinach. Tak naprawdę to zostawił go w mojej skrzynce na listy albo kazał go tam zostawić. Znalazłam go rano.

Marc dotknął zeszytu ostrożnie opuszką palca. Powieka znowu mu zadrżała.

Zeszyt. Zapiski Grand-Duca... Teraz zrozumiał. Emilie spędziła dwa dni i dwie noce, czytając te zapiski wciąż od nowa... Osiemnaście lat śledztwa tego starego prywatnego detektywa. Tyle co życie. Jej życie. Prawie co do dnia.

Cholerny prezent urodzinowy!

Marc szukał w spojrzeniu Emilie jakiejś wskazówki. Co znalazła w tym notatniku? Jaką prawdę? Nową tożsamość? Czy w końcu odnalazła spokój? A może nic nie znalazła? Same pytania bez odpowiedzi...

Z jej zachowania nie dawało się wyczytać niczego. Była w tej grze zbyt dobra. Jak zawsze powoli dolewała wody do swojej kawy, którą popijała małymi łykami.

– Widzisz, w końcu dał mi ten zeszyt. Tak jak mi zawsze obiecywał. Prawda w momencie, w którym wkroczę w świat dorosłych.

Roześmiała się, ale był to śmiech bardziej nerwowy niż spontaniczny. Marc wahał się, czy wziąć zeszyt do ręki.

– I co? – wymamrotał. – Zdradził coś? Coś ważnego? Już... już teraz wiesz?

Ona jednak mu się wymykała. Odwróciła głowę w stronę okna – rozciągał się za nim dziedziniec Paris VIII, po którym grupkami podążali studenci.

– Wiem o czym?

Czuł narastającą irytację. Po głowie chodziły mu słowa, których nie wypowiedział: Czy wiesz, za co płacono temu cholernemu detektywowi przez te wszystkie lata?! Czy wiesz już, kim jesteś, Lylie? Kim jesteś?!

Emilie lewą ręką bawiła się pierścionkiem. Zmęczenie połączone z oziębłością czyniło ją obojętną na rosnące zdenerwowanie Marca.

– Teraz twoja kolej. Teraz ty musisz przeczytać, co tu zostało napisane.

Marc miał w głowie mętlik, nie potrafił już nawet myśleć o tym dziwnym pierścionku. Kto jej go dał? Kiedy? Dlaczego? Zauważył, jak Emilie przysuwa do siebie zeszyt, i usłyszał, jak jej odpowiada:

– Dobrze, moja ważko... Przeczytam ten cholerny zeszyt...

Zamilkł, po czym dodał:

– Dobrze się czujesz?

– Tak, nie martw się. Wszystko w porządku.

Emilie zanurzyła wargi w kawie i upiła ją z lekkim przymusem.

Nie! Nie było w porządku.

Emilie coś ukrywała. Coś, co Grand-Duc odkrył i zapisał w zeszycie.

Swoją tożsamość?

– Chodzi mi o to, czy Grand-Duc dołączył do zeszytu jakiś liścik?

– Nie, żadnego, ale wszystko spisał...

– No i...?

– Przeczytasz. Lepiej, żebyś sam to przeczytał.

– A gdzie teraz jest Grand-Duc?

Wzrok Emilie stał się mętny, udawała, że weszła w posiadanie jakiejś strasznej informacji, której nie chciała zdradzić. Ostentacyjnie spojrzała na zegarek. Marc podskoczył:

– Musisz już iść?

– Tak... Nie mam dziś rano zajęć. Za to ty masz! O dziesiątej! Europejskie prawo konstytucyjne.

Ćwiczenia z młodym i fascynującym Grandinem! Muszę cię opuścić.

Marc się skrzywił.

– Dokąd idziesz?

Emilie dołała ostatnią kroplę wody do swojej kawy, dopiła ją powoli i rzuciła Marcowi zmęczone spojrzenie. Nachyliła się nad torbą i prawie natychmiast wstała.

– Mam... mam dla ciebie jeszcze jeden prezent.

Podawała mu małą paczuszkę, niewiele większą od pudełka zapalek.

Marc znieruchomiał.

Ogarnęło go straszne przeczucie. W zachowaniu Emilie wszystko było podszyte fałszem. Jej wesołość, jej gesty, którym usiłowała nadać naturalność.

– Nie możesz otworzyć od razu – Emilie powiedziała jednym tchem. – Dopiero, jak mnie nie będzie. Za godzinę! Obiecujesz? Mogę ci zaufać? To jak zabawa w chowanego, musisz dać mi czas, żebyśmy mogła zniknąć. Zamkniesz oczy, policzysz, powiedzmy, do tysiąca...

Emilie sprawiała wrażenie, że wkłada resztki energii w to, aby jej prośba uszła za zwykłą gierkę zakochanych. Marc nie był taki głupi.

– Obiecujesz? – naciskała.

Przytaknął ruchem głowy, zrezygnowany. Ich spojrzenia spotkały się na dłuższą chwilę. Pierwsze zadrgały powieki Emilie.

– Nie, nie zrobisz tego, zachowujesz się jak osioł, Marc. Znam cię, rzucisz się na paczuszkę, jak tylko się odwrócę...

Nie zaprzeczył. Emilie podniosła zgrabną dłoń.

Znowu ten szatański pierścionek.

– Mariam?

Właścicielka kawiarni zareagowała natychmiast, może obserwowwała ich ruchy i gesty, i w jednej chwili znalazła się przy stoliku.

– Mariam, powierzam ci misję. Zostawiam ci tę paczuszkę. Dasz ją Marcowi za godzinę, ale nie wcześniej! Nawet jeśli będzie cię błagał, zapłaci ci albo będzie cię szantażował... A za godzinę wyślesz go też na zajęcia do sali B318!

Mariam została z paczuszką w dłoni.

– Ufam ci, Mariam.

Nie miała wyjścia. Emilie zerwała się, schowała do torby woreczek z krzyżem tuareskim i pocałowała Marca beznamiętnie. Ni to w policzek, ni to w kącik ust. Dwuznacznie, jakby chciała go zdezorientować...

Popchnęła szklane drzwi kawiarni i wyszła na dziedziniec – była jak duch, którego porwała fala studentów.

Drzwi się zamknęły.

Mariam zacisnęła paczuszkę w dłoni. Zamierzała dotrzymać obietnicy, to oczywiste, ale nie podobała jej się ta gra. Mariam miała już doświadczenie z parami, które się rozstają. W takich chwilach kobiety wykazują się zdumiewającą determinacją i wyobraźnią.

Emilie należała do tych kobiet.

Całe to przedstawienie śmierdziało kłamstwem. Emilie uciekała ile sił w nogach, a prezent, który Mariam trzymała w dłoni, to bomba z opóźnionym zapłonem. Marc za nic w świecie nie powinien pozwolić jej tak odejść. Ten dzielny chłopak okazał się zbyt naiwny, zbyt ufny... Mariam nadal nie udało się ustalić, czy ta dziewczyna, która od niego uciekała, to jego siostra, żona, kochanka czy przyjaciółka. Nie potrafiła określić, jaka łączy ich więź, ale była pewna, że Emilie miała w głowie tylko jeden cel.

Zerwać tę więź.

2 października 1998, 9.02

Marc przyglądał się Mariam stojącej za ladą. Właścicielka kawiarni, gdy przyjmowała zamówienia, schowała małą paczuszkę powierzoną jej przez Emilie do kasy fiskalnej i rzuciła Marcowi niepozostawiające wątpliwości spojrzenie. Nie ma na co liczyć, zanim wybije godzina wyznaczona przez Emilie. Kobięca solidarność. W końcu jego wzrok spoczął na zielonym zeszytce Crédule'a Grand-Duca. Emilie wiedziała, co robi. Kazała mu tu czekać godzinę przed pierwszymi zajęciami – usypiającymi ćwiczeniami z europejskiego prawa konstytucyjnego prowadzonymi przez młodego wykładowcę, który prawie połowę czasu poświęcał na odbieranie komórki. Emilie zastawiła na niego pułapkę. Zapędziła go w kozi róg. Miał do zabicia godzinę.

Lenin pękał w szwach. Jakiś chłopak zapytał Marca, czy może wziąć krzesło stojące przed nim, na co Marc zgodził się z roztargnieniem. Czerwono-biały zegar ścienny wskazywał trzy po dziewiątej. Marc nie miał wyboru, niemniej zawahał się przed otwarciem zeszytu. Delikatnie przesunął dłonią po lakierowanej okładce. Odczekał chwilę, po czym na nowo podniósł wzrok. Czarne wskazówki jakby stanęły w miejscu.

9.04

Marc westchnął.

Nie wypił dotąd swojej kawy, ale nie zamierzał pić jej i teraz – tak naprawdę nigdy nie przepadał za kawą. Stary profesor stojący przy barze nad małym piwem, pochylony nad „Le Parisien”, zerkał na jego miejsce. I słusznie, Marc miał w tej chwili ochotę na jedno – wstać, uciec, biec za Emilie, wyrzucić ten zeszyt do kosza.

Patrzył przez okno, jakby szukał w gęstniejącym tłumie sylwetki Emilie, a masa ludzi miała się zatrzymać w biegu, rozejść, utworzyć przejście łączące go z nią. Oczy zaszyły mu mgłą. Serce zaczęło bić szybciej, czuł, że powoli się dusi. Znał dobrze problemy z oddychaniem, pierwsze symptomy tachykardii... Ostrożnie odwrócił wzrok od dziedzińca uniwersyteckiego.

Od razu zaczęło mu się oddychać lepiej.

Ponownie dotknął bladozielonego zeszytu. Emilie wygra, jak zwykle. On także będzie musiał skonfrontować się z jej przeszłością.

Marc wziął głęboki oddech i otworzył zeszyt. Grand-Duc miał drobne, wąskie pismo, bardzo regularne, wskazujące na lekką nerwowość. Idealnie czytelne.

Marc pochylił się. Zanurzył się w niebieskiej fali liter, słów, linijek, tak jak nurkuje się w oceanie wątpliwości.

Dziennik Crédule'a Grand-Duca

Wszystko zaczęło się od katastrofy. Sądzę, że nikt albo prawie nikt nie słyszał o Mont Terrible przed dwudziestym trzecim grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku. Ja nie słyszałem. Mont Terrible to jeden z niskich szczytów Jury na granicy między Szwajcarią a Francją, wciśnięty w zakole rzeki Doubs. To góra do wypasu krów, z dala od czegokolwiek – ani stąd blisko do Montbéliard we Francji, ani do Porrentruy w Szwajcarii. To niski szczyt, dokładnie ma osiemset cztery metry wysokości, ale nie zawsze łatwo na niego wejść, szczególnie zimą, gdy wszystko

przykrywa śnieg. Mont Terrible jest znany kilku historykom przede wszystkim z tego, że w czasie rewolucji francuskiej stanowił departament francusko-szwajcarski. Od tamtej pory wszyscy, oprócz może setki mieszkających tam osób, o nim zapomnieli, a Mont Terrible nazywa się potocznie Mont Terri... Ma się rozumieć, że gdy nocą z dwudziestego drugiego na dwudziestego trzeciego grudnia airbus 5403 relacji Sztambuł – Paryż uderzył w górę od południowego zachodu po stronie francuskiej, dziennikarzom bardziej odpowiadała nazwa Mont Terrible^[3] niż Mont Terri!

Ludzie być może jeszcze o tym pamiętają. Może nie. Wypadki zdarzają się jedne po drugich, a wszystkie są do siebie podobne. Kilka miesięcy wcześniej w pobliżu Teneryfy na Wyspach Kanaryjskich rozbił się boeing 747. Zginęło sto czterdzieści sześć osób. Rok po katastrofie na Mont Terrible, pierwszego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku samolot DC 9 relacji Lubljana – Ajaccio rozbił się na górze San Pietro – zginęło sto osiemdziesiąt osób... Była to jedyna katastrofa lotnicza na Korsyce. Jednak wszyscy o niej zapomnieli. Oczywiście oprócz Korsykańczyków. Obecnie wielu pamięta o katastrofie na górze Saint-Odile, do czasu aż wydarzy się kolejna.

Wówczas w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym mówiło się o czarnej serii!

Bzdury! Istnieją statystyki! Zaufajcie mi, godzinami surfowałem po stronach opisujących katastrofy samolotów, mogę przytoczyć choćby jedną z nich 1001crash.com. Wejdźcie tam, a zobaczycie, jak wysoki poziom precyzji osiągają – podają liczbę zabitych i całą masę szczegółów na temat ostatnich chwil przed upadkiem... Może się to wydawać niewiarygodne, ale zebrali ponad tysiąc pięćset katastrof z ostatnich czterdziestu lat i ponad dwadzieścia pięć tysięcy ofiar... Jeśli policzycie, daje to prawie czterdzieści katastrof rocznie, czyli niemal jedną co tydzień gdzieś na świecie, i to nie tylko w Chinach czy w głębi Syberii...

Pomyślcie więc, że o wypadku z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego, o tragedii z Mont Terrible wszyscy już zapomnieli! Stu sześćdziesięciu ośmiu zabitych... Wszystko obrócone w pył... Gwiezdny pył.

Ja także nie interesowałem się wówczas tą katastrofą. Tamtego poranka ledwie zarejestrowałem tę informację. Bawiłem w okolicach Hendaye, obserwowałem z ukrycia operację wyprawiania pieniędzy z kasyna, w którą byli zamieszani baskijscy terroryści... Ekscytująca sprawa. Zajmowałem się wtedy gorącymi aferami, taką miałem specjalność. Od prawie pięciu lat pracowałem jako prywatny detektyw, a przez poprzednie dwadzieścia lat zarabiałem jako najemny żołnierz w różnych zakątkach świata. Dobijałem do pięćdziesiątki. Musiałem sobie radzić ze zrujnowanym biodrem i kręgosłupem pogiętym jak kaduceusz. Tyłem średnio kilogram tygodniowo, prowadząc obserwacje, a później potrzebowałem w najlepszym wypadku miesiąca, żeby go zgubić... Krótko mówiąc, nawet jeśli moje plany miały spalić na panewce, praca detektywa mi służyła.

Wiadomość o katastrofie musiałem usłyszeć tamtego ranka w radiu, tak jak wszyscy inni, gdy siedziałem na parkingu przed kasynem w Hendaye. Nie zwróciłem na to uwagi, nie wiedziałem, że kilka miesięcy później ten wypadek stanie się jedynym sensem mojego życia. Cóż za ironia! Gdybym tylko wiedział...

Airbus 5403 relacji Sztambuł – Paryż rozbił się na Mont Terrible dwudziestego trzeciego grudnia, w środku nocy, dokładnie trzydzieści siedem minut po północy. Nikt tak naprawdę nie wiedział, co

się tamtej nocy wydarzyło. Zima dotąd była dość łagodna, ale tego dnia od rana bez przerwy padał śnieg. W nocy zamieć przybrała na sile. Mont Terrible przypomina schodek pomiędzy Jurą francuską a szwajcarską. Pilot musiał go po prostu przeoczyć. W owych czasach podawano proste wyjaśnienie: wszystko zwalano na biednego pilota, który z całą resztą spłonął we wraku. A co z czarną skrzynką, zapytacie? Nie można było się z niej dowiedzieć niczego poza tym, że samolot leciał zbyt nisko, a pilot stracił panowanie... Stowarzyszenie rodzin ofiar i pilota próbowało dowiedzieć się więcej, ale nie udało im się. Oskarżano więc pilota, śnieg, zamieć, górę, los, przywoływano słynne prawo Murphy'ego dotyczące czarnych serii, mówiono o braku szczęścia... Oczywiście wydawano osady. Rodziny ofiar chciały zrozumieć. Jednak nikt się tym nie przejmował. To nie tym emocjonowali się ludzie.

Samolot rozbił się trzydzieści siedem minut po północy... Po zdarzeniu określili to eksperci, gdyż oprócz pasażerów nie było żadnego świadka zdarzenia. Od nieżyjących nie dało się niczego dowiedzieć, nie znaleziono nawet rozbitego zegarka, który wskazałby godzinę katastrofy. Przed Bożym Narodzeniem ekolodzy walczyli o każdą jurajską sosnę. Airbus w kilka sekund wyrwał z korzeniami więcej drzew, niż wycięto by przez sto Wigilii. Te, które nie zostały wyrwane, spłonęły mimo śniegu. Samolot, zanim się zatrzymał, wyczerpany, wykarczował w lesie na kilkuset metrach autostradę. Kilka sekund potem wybuchł i palił się przez całą noc.

Pierwsze ekipy ratunkowe dotarły do rozżarzonego do białości wraku dopiero godzinę później. O katastrofie zawiadomiono z dużym poślizgiem. W promieniu pięciu kilometrów nie było nikogo, a mieszkańców doliny zaalarmował pożar. Przybycie ekip ratunkowych opóźnił śnieg, helikoptery zostały na ziemi, pierwsi strażacy dotarli na miejsce piechotą, po przedarciu się z trudem przez płonący las. Zamieć ustała dopiero rankiem, a Mont Terrible na kilka godzin przeobraziło się w centrum świata. Wszczęto nawet proces, czy przynajmniej śledztwo, o ile pamiętam, żeby ustalić, dlaczego ekipy ratownicze przybyły tak późno, ale niewielu ludzi to interesowało. Nie tym się pasjonowano.

W każdym razie ratownicy musieli uznać, że i tak nie było się do czego spieszyć; to jasne, że przecież nikt nie mógł przeżyć. Stwierdzili to, gdy dotarli do płonących fragmentów blachy. Jednak strażacy są obowiązkowi, nawet o wpół do drugiej w nocy w samym sercu gór Jura podczas zamieci. Tak więc szukali czegoś, żeby nie okazało się, że przyszli po nic, tylko by się ogrzać przez kilka minut przy tym ogromnym ogniu, który pochłonął całe zbocze, który sprzymierzył się ze śniegiem, żeby obrócić w proch i parę ciała stu sześćdziesięciu ośmiu przerażonych podróżnych.

Szukali, a oczy piekły ich od dymu i z przerażenia. Młody strażak, Thierry Mouchot, z brygady z Sochaux, coś znalazł. Ta ilość szczegółów tyle lat później pewnie was zaskakuje, ale wiercie mi, wszystko to prawda. Spędziłem parę godzin na spotkaniu z nim, te kilka sekund paniki rozciągaliśmy w nieskończoność, wracaliśmy do każdego szczegółu, aż stało się to absurdalne. Tamtej nocy nie od razu zdał sobie sprawę. Najpierw pomyślał, że znalazł ciało martwego dziecka. Jednak było to jedyne ciało, które nie spłonęło razem z innymi. Prawie noworodek, w każdym razie dziecko mające mniej niż trzy miesiące. Wyrzucono je tuż przed zderzeniem z ziemią przez przednie lewe drzwi kabiny airbusa, który pod wpływem uderzenia uległ częściowej deformacji. Wszystko to zostało zrekonstruowane i udowodnione przez ekspertów usiłujących dowiedzieć się, które miejsce

w samolocie zajmowali dziecko i jego rodzice. Nie martwcie się, wróć do tego później. Cierpliwości...

Mouchot, młody strażak, był przekonany, że znalazł tylko ciało bez życia – niemowlak spędził w śniegu przecież ponad godzinę... A mimo to, gdy mężczyzna się nachylił, stwierdził, że dziecko, jego buzia, rączki, paluszki są zaledwie lekko sine. Dziecko leżało jakieś trzydzieści metrów od wraku. Ogrzewał je ochronny żar płonącego samolotu. Młody strażak z Sochaux wykonał natychmiast bardzo szybko, dokładnie tak jak go nauczono, z zachowaniem najwyższej ostrożności, oddychanie metodą usta-usta, a później masaż serca. Nigdy nie pomyślałby, że może uratować noworodka, i to w dodatku w takich okolicznościach... Dziecko jeszcze słabo oddychało. O resztę w kolejnych minutach zadbały służby pogotowia. Lekarze potwierdzili, że to właśnie pożar, ciepło bijące od płonącego samolotu ocaliło niemowlę, dziewczynkę o jasnoniebieskich oczach, prawdopodobnie Francuzkę, co dało się ocenić na podstawie jej jasnej karnacji. Została wyrzucona na dostateczną odległość, żeby nie spłonąć żywcem, ale jednocześnie, żeby w chłodzie nocy skorzystać z ochronnego ciepła płomieni. Potworna ironia – zagłada pasażerów, w tym rodziców małej, ocaliła jej życie. Tak powiedzieli lekarze, żeby wyjaśnić ten cud.

A był to cud!

Większość gazet o zasięgu krajowym zamknęła wydania specjalne na temat katastrofy późną nocą, nie mogły już dłużej czekać na wieści od ratowników. Tylko dziennik „L’Est républicain” podjął ryzyko i odczekał dłużej, wstrzymał prasy drukarskie, kazał czuwać wszystkim pracownikom i ogłosił stan wyjątkowy. Redaktor naczelny bez wątpienia miał nosa. W każdym zakątku gór Jura „L’Est républicain” dysponował całą armią dziennikarzy pracujących na zlecenie, którzy stali w gotowości za samochodami służb i przed szpitalami... Wieść o cudzie gruchnęła koło drugiej w nocy. „L’Est républicain” w wydaniu z dwudziestego trzeciego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego podał informację o „cudownie ocalonej z katastrofy na Mont Terrible”. Określenie się przyjęło. Dziennikarze posunęli się do tego, że obok zdjęcia spalonego wraku opublikowali zdjęcie niemowlaka niesionego na rękach przez strażaka, które zrobiono przed szpitalem w Belfort-Montbéliard. Fotografia była kolorowa, sztucznie wzmocniono błękitny odcień twarzy, rąk, nóg i oczu. Krótki komentarz brzmiał: *Katastrofa airbusa 5403 relacji Sztambuł – Paryż na zboczach Mont Terrible, na granicy francusko-szwajcarskiej w nocy z dwudziestego drugiego na dwudziestego trzeciego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku. Stu sześćdziesięciu ośmiu ze stu sześćdziesięciu dziewięciu pasażerów i członków załogi zginęło na miejscu albo zmarło uwieczonych w płomieniach. Jedyнным cudownie ocalonym pasażerem jest trzymiesięczne dziecko wyrzucone z kabiny tuż przed tym, jak samolot stanął w płomieniach.*

Tragedia wstrząsnęła całą Francją. Sierotka z zasp śniegu wyciskała łzy w każdym domu. Rankiem wiadomość podaną przez „L’Est républicain” cytowano w przeglądach prasy we wszystkich stacjach radiowych i telewizyjnych. Może teraz sobie przypominacie? W zimowej żałobie narodowej popłynęła piana ciepłych łez...

Pozostawała jeszcze jedna kwestia. Dziennik opublikował zdjęcie cudownie ocalonej, ale nie jej nazwisko... O drugiej w nocy niełatwo było je ustalić – należało połączyć się z oddziałem Air France w Sztambule. Tak pewnie uznał redaktor naczelny. Przecież nazwisko nie jest aż tak istotne. Gdyby

nazwisko dziewczynki o niebieskich oczach opublikowano na pierwszej stronie, poruszono by całą strunę, ale określenie „cudownie ocalona na Mont Terrible” też było niezłe... Pozostawała pewna doza tajemnicy aż do czasu, kiedy dziecko zostanie zidentyfikowane, co miało nastąpić następnego ranka.

Później...

Zobaczmy...

To imię... To nazwisko... Staram się je ustalić od osiemnastu lat!

2 października 1998, 9.10

Wybuch historycznego śmiechu pięciu studentów stłoczonych wokół okrągłego stolika w odległości dziesięciu metrów od Marca zdekoncentrował go. Chłopcy chyba oglądali zdjęcia, bez wątplenia z ostatniej imprezy; zachowują je na całe życie trochę potajemnie, częściowo w chwale, częściowo ze wstydem. Marc znał ich z widzenia, wszyscy należeli do jednego z głównych stowarzyszeń, które wiodło prym w życiu pozauniwersyteckim. Współpraca, przekazywanie sobie tematów egzaminów, kserówki z zajęć i wspólne wyjścia.

Marc podniósł wzrok.

Zegar na ścianie wskazywał dziewiątą jedenaście.

Mariam, nie rzucając w jego stronę ani jednego spojrzenia, rozmawiała ze stojącą przy ladzie dziewczyną od stóp do głów ubraną na czarno, łącznie z czarnymi stringami wystającymi spod leżącej się spódnicy w stylu Morticii z rodziny Adamsów.

Marc westchnął i zrezygnowany, na nowo pogрузzył się w lekturze.

Dziennik Crédule'a Grand-Duca

Voilà... Właśnie w tym momencie zaczyna się zagadka z Mont Terrible. Może teraz coś sobie zaczynacie przypominać? A przecież wszystko zdawało się biec normalnym torem... Noworodkiem znalezionym przez młodego strażaka zajęła się cała armia lekarzy z oddziału pediatrycznego szpitala w Belfort-Montbéliard.

Odtworzyłem resztę zdarzeń z precyzją metronomu, ale oszczędzę wam godzin nagrań z rozmów ze świadkami. Wystarczy streszczenie, sądzę, że będzie dość szczegółowe.

Léonce de Carville o katastrofie i ocalonym dziecku dowiedział się o szóstej rano z radiowego skrótu informacyjnego. Léonce de Carville zawsze wstawał bladym świtem. Jednym telefonem odwołał wszystkie spotkania zaplanowane na ten wypełniony po brzegi dzień i natychmiast wyruszył do Montbéliard prywatnym samolotem. Pięćdziesięcioletni wówczas Léonce de Carville należał do grona prezesów stu najważniejszych firm we Francji. Z wykształcenia był inżynierem i dorobił się fortuny, założywszy firmę, która układała rurociągi na wszystkich kontynentach. Firma de Carville'a współpracowała z największymi koncernami naftowymi i gazowymi. Tak naprawdę to nie innowacje technologiczne w ropociągach i gazociągach przyczyniły się do sukcesu rodziny de Carville, ale umiejętność prowadzenia rurociągów w najniebezpieczniejszych i najtrudniejszych zakątkach planety – pod wodą, pod górami, w strefach wstrząsów sejsmicznych... Firma rozwinęła się na dobre w latach sześćdziesiątych, gdy wynalazła rewolucyjną technologię stabilizowania ropociągów w zamrzniętych przez większość roku ziemiach i zaczęła je eksportować w samym środku zimnej wojny na Syberię i Alaskę...

Léonce de Carville ubrany w biały szpitalny fartuch zachował maskę godności, która zrobiła wrażenie na całym zainteresowanym sprawą, ściganym przez dziennikarzy personelu.

– Proszę za mną – poleciła pośpiesznie pielęgniarka.

– Gdzie ona jest?

– Na oddziale dziecięcym. Proszę się nie martwić, wszystko z nią w porządku...

– Kto się nią opiekuje?

– Doktor... Morange. Miał dyżur tej nocy...

Léonce de Carville spojrział badawczo, nie musiał mówić ani słowa, żeby pielęgniarka dodała:

– Ma pan szczęście, panie de Carville. To jeden z naszych najlepszych specjalistów. Jeszcze jest w szpitalu. Może pan go o wszystko zapytać...

Léonce de Carville uśmiechnął się pod wąsem, co mogło oznaczać równie dobrze satysfakcję, jak i czujność. Szedł zdecydowanym krokiem, bez wahania. Na zatłoczonych korytarzach schodzono mu z drogi.

Minionej nocy przedsiębiorca stracił w tragedii na Mont Terrible swojego jedynego syna i synową. To właśnie on, rozważny szef przedsiębiorstwa, dwa lata wcześniej namówił syna do przyjęcia stanowiska dyrektora tureckiej filii. Tajemnicą poliszynela było, że młody Alexandre de Carville miał w przyszłości stanąć na czele międzynarodowej firmy i objąć stanowisko po ojcu. Sukcesja miała odbywać się stopniowo. Alexandre de Carville zrećnie działał w Turcji, gdzie oprócz solidnego wykształcenia zdobytego na politechnice wykorzystywał dyplom z nauk politycznych. Musiał radzić sobie ze zmianami ustrojowymi, gdy Turcja raz była państwem policyjnym, raz demokratycznym... Ostateczny cel stanowił kontrakt na najbliższe kilka dekad. Alexandre de Carville wyjechał z rodziną do Turcji, żeby tam bezpośrednio negocjować drugi najdłuższy na świecie ropociąg Baku – Tbilisi – Ceyhan o długości prawie dwóch tysięcy kilometrów, rozciągający się od Morza Kaspijskiego po Śródziemne, z czego ponad tysiąc miało przebiegać w Turcji i kończyć się w małym porcie Ceyhan na południowym wschodzie śródziemnomorskiego wybrzeża Turcji, prawie na granicy z Syrią, gdzie rodzina Alexandre’a de Carville’a spędzała lato. Negocjacje długodystansowe – od dwóch lat sprawa stała w miejscu. Alexandre de Carville z żoną Véronique i córką Malwiną, wówczas sześciolatką, od dwóch lat przez większość roku mieszkał w Turcji. Véronique nie wracała do Francji, odkąd zaszła w ciążę. Była wątłego zdrowia, a jej ciążę uznano za zagrożoną, więc podróże jej odradzano, a latania samolotem wręcz zabroniono... Poród w Bakirkoy, największym prywatnym szpitalu położniczym w Stambule, przebiegł idealnie i mała Malvina mogła z oddaniem tulić w ramionach swoją młodszą siostrzyczkę, Lyse-Rose... Léonce de Carville i jego żona Mathilde, przebywający we Francji, otrzymali kartkę pocztową i nieco nieostre zdjęcie wnuczki. Nie było pośpiechu. Rodzina miała się spotkać w Wigilię tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego. Malvina de Carville jak co roku poleciała do Francji na początku ferii, tydzień przed rodzicami. Reszta, Alexandre, Véronique i mała Lyse-Rose, miała do nich dołączyć kilka dni później samolotem lecącym ze Stambułu do Paryża wieczorem dwudziestego drugiego grudnia... Święta u de Carville’ów w ogromnej rezydencji w Coupvray nad brzegiem rzeki Marny zostały już zaplanowane. Malvina, urocza okrągłutka sześciolatka brunetka, ciekawska i czarująca, która niczym generał komenderowała armią lokajów zarówno w Turcji, jak i we Francji, na cześć siostry kazała udekorować całą drogę od wejścia aż do pokoju Lyse-Rose, w tym szerokie schody z drewna czereśniowego, różowymi i białymi pomponami.

Malvina de Carville...

Pozwólcie, że na kilka linijek oderwę się od długiego marszu Léonce'a de Carville'a przemierzającego korytarze szpitala w Montbéliard i opiszę wam Malwinę. To ważne. Zrozumiecie dlaczego.

A więc co do Malviny de Carville...

Ona, jak sądzę, nigdy mnie nie lubiła... Mówiąc najłagodniej. Co ciekawe, niechęć jest obustronna. Na próżno próbowałem przekonać sam siebie, że to nie ona doprowadziła się do szaleństwa, że gdyby nie ta tragedia, stałaby się inteligentną, pożądaną przez mężczyzn kobietą, dobrze urodzoną mieszczką, która wyszłaby świetnie za mąż... Ja, niestety, przez te wszystkie lata piekielnie bałem się tej dziewczyny, w której narastały obsesje... W przeciwieństwie do swojej babki Malvina nigdy mi nie ufała. Musiała czuć, że uważam ją za swoiste monstrum. Za potwora! Właśnie tym stała się z biegiem czasu ta urocza sześciolatka – zgorzkniałą i nieobliczalną, brzydką kreaturą... Na razie jednak nie mówmy o tym. Jeszcze na to nie pora. Przy odrobinie nieszczęścia ten zeszyt mógłby dostać się w ręce tej furii i kto wie, jaką reakcję wywołałaby u niej lektura tych słów!

Powróćmy raczej do tego, co spowodowało jej szaleństwo. Cud. A mówiąc ściślej: pozory cudu.

W szpitalu Belfort-Montbéliard Léonce de Carville nadal zachowywał pewien rodzaj dystansu, którego ludzie wokół niego początkowo nie brali za chłód, lecz za skromność. Zachowywał stoicką postawę nawet wtedy, gdy przez szybę niepozwalającą usłyszeć płaczu pokazano mu jego wnuczkę.

– Jest tam – powiedziała pielęgniarka. – Pierwsze łóżeczko, tuż przed panem.

– Dziękuję.

Ton głosu de Carville'a był niski, spokojny, wyćwiczony. Pielęgniarka odsunęła się. Dowiedziała się, że Lyse-Rose była wszystkim, co Léonce'owi de Carville'owi pozostało...

W tamtej chwili wiara wybitnego prezesa przedsiębiorstwa została zachwiana. Léonce nie był oczywiście tak zagorzałym katolikiem jak jego żona Mathilde. Przeszedł na katolicyzm ze względów społecznych, aby jako racjonalny naukowiec nie dezorganizować za bardzo rodziny żony, wpływowego towarzystwa wyznaniowego w Coupvray. Jednak w takiej chwili nawet najbardziej racjonalny człowiek musiałby myśleć o tym, co na górze. Był rozdarty między wściekłością na okrutnego Boga, który zabrał mu jedyne syna, a wdzięcznością i wybaczeniem temu niedobremu Bogu, który z powodu wyrzutów sumienia, może w ramach rekompensaty, postanowił ocalić jego wnuczkę. Tylko ją...

Lyse-Rose płakała cicho w szklanej klatce.

– To cud – odezwał się z tyłu doktor Morange o uśmiechu księdza, ubrany w biały fartuch.

Uśmiechał się tak samo, gdy kilka lat później się z nim spotkałem i wszystko mi opowiedział.

– Ma się zaskakująco dobrze. Żadnych powikłań po wypadku. Dla pewności zatrzymamy ją jeszcze trochę na obserwacji, ale i tak wspaniale doszła już do siebie. Zapewniam pana, że to nadzwyczajne...

Dzięki Ci, Ty tam na górze, tak bez wątpienia musiał pomyśleć Léonce de Carville.

To właśnie w tym momencie przyszła pielęgniarka i poprosiła lekarza dyżurującego. Telefon. Tak, to pilne. Pilne i bardzo dziwne. Doktor Morange zostawił Léonce'a de Carville'a przed szybą dzielącą go od wnuczki.

Gdy de Carville zostanie sam, będzie mógł w końcu uronić łzę, pomyślał lekarz, który tak jak wszyscy lubił tragedie, które dobrze się kończą. A przynajmniej lepiej, niż się zaczęły. Wzruszony, chwycił słuchawkę, którą podała mu pielęgniarka.

Głos w słuchawce dobiegał jakby z drugiego końca świata, mieszały się w nim powaga i pośpiech.

– Dzień dobry, doktorze. Jestem dziadkiem dziewczynki z samolotu. Wie pan, z katastrofy w górach Jura, która wydarzyła się dziś w nocy. Centrala połączyła mnie z panem.. Jak ona się miewa?

– Dobrze... Bardzo dobrze, zapewniam pana, wszystko zmierza w dobrą stronę. Sądzę nawet, że wypiszemy ją za kilka dni. Poza tym jej dziadek ze strony ojca już przyjechał. Jeśli pan sobie życzy, mogę przekazać mu słuchawkę...

Cisza. Lekarz wyczuł, że coś jest nie tak.

– Panie doktorze, bardzo mi przykro, ale pan się chyba myli... Ja jestem dziadkiem ze strony ojca. Moja wnuczka nie ma dziadka ze strony matki, moja synowa jest sierotą...

Palce doktora Morange'a zadrżały nerwowo. W jego głowie zawrzało, zaczął pośpiesznie obmyślać wyjaśnienia tej sytuacji. Jakiś dowcip? Przebiegły dziennikarz próbujący wydobyć informacje? Musiał to ustalić.

– Mówi pan o katastrofie samolotu lecącego ze Stambułu do Paryża tej nocy? O cudownie ocalonej dziewczynce? O małej Lyse-Rose?

– Nie, doktorze...

Lekarz usłyszał, jak jego rozmówca wzdycha z ulgą.

– Nie, doktorze – powtórzył mężczyzna pewniejszym tonem. – Zaszło nieporozumienie. Dziecko nie nazywa się Lyse-Rose... Nazywa się Emilie.

Na czoło lekarza wystąpiły krople potu, co nie zdarzało mu się nigdy, nawet na bloku operacyjnym.

– Proszę pana, bardzo mi przykro, to niemożliwe. Dziadek dziewczynki już jest w szpitalu. To pan de Carville. Właśnie w tej chwili na nią patrzy, rozpoznał ją, twierdzi, że nazywa się Lyse-Rose...

Po obu stronach zapanowała krępująca cisza.

– Mieszka pan daleko od Montbéliard? – zapytał lekarz.

– W Dieppe... W północnej Normandii.

– Ach... Ja... sądzą, że lepiej... panie...?

Lekarz próbował niezręcznie zyskać na czasie.

– Vitral. Pierre Vitral...

– A więc, panie Vitral, sądzą, że najprościej będzie zatelefonować do komisariatu w Montbéliard. Myślę, że właśnie tam ustalają tożsamość pasażerów. Nie mogę panu powiedzieć nic więcej... Oni bez wątplenia udzielą panu informacji. Odpowiedzą na wszelkie pytania...

Lekarz natychmiast pożałował, że postąpił jak urzędnik, który odsyła zagubionego człowieka do okienka naprzeciwno. Zrozumiał, że gdy się rozłączy, po drugiej stronie kabla, w Dieppe, jego rozmówca się załamie, poczuje się tak, jakby po raz drugi zabito mu wnuczkę. Jednak lekarz szybko

się pocieszył. To nie jego wina. Cała ta historia była niedorzeczna. Ten człowiek musiał się mylić.

Rozłączyli się.

Lekarz zaczął się zastanawiać, czy o tym dziwnym telefonie powinien powiedzieć Léonce'owi de Carville'owi.

Pierre Vitral powoli odłożył słuchawkę. Jego żona Nicole stała obok zaniepokojona.

– I co? Z Emilie wszystko w porządku? Co powiedzieli?

Mąż spojrzał na nią z nieskończoną czułością, co wciąż potrafił tak dobrze. Mówił łagodnie, jakby to była jego wina.

– Powiedzieli, że dziecko, które przeżyło, nazywa się Lyse-Rose, nie Emilie...

Przez dłuższą chwilę żadne z nich nie powiedziało nic. Życie nie rozpieszczało ani jednego, ani drugiego. Połączenie dwóch osób, którym się nie wie, daje czasem pozytywny wynik, jak wtedy gdy zsumuje się dwa minusy. We dwoje mogli stawić czoło brakowi pieniędzy, kopniakom od losu, chorobom, codzienności. Nigdy się nie skarżyli. Zawsze jest tak samo – jeśli się nie pyskuje, niczego się nie dostaje... Jako że Vitralowie nigdy się nie skarżyli na życie, ono nie miało oporów, aby dorzucić im nieszczęścia. Vitralowie zniszczyli sobie zdrowie, Pierre kręgosłup, a Nicole płuca, ponieważ przez ponad dwadzieścia lat sprzedawali frytki, kiełbaski i inne smażone potrawy z pomarańczowo-czerwonego, specjalnie przystosowanego citroëna typu H przy plaży w Dieppe i na wszystkich innych plażach północy podczas imprez, festiwali, przy pogodzie, która rzadko była sprzyjająca. Żeby zakpić sobie z życia, postarali się o dwójkę dzieci, ale życie zabrało im jedno z nich; Nicolas w pewien deszczowy wieczór zginął na motorynce w Criel-sur-Mer.

Nieszczęście kleiło się do nich, ale dwa miesiące wcześniej po raz pierwszy coś im się trafiło – dwutygodniowy pobyt w Bodrum-Gumbet.

Bodrum-Gumbet? A gdzie to jest?

To turecki półwysep, który wchodzi w Morze Śródziemne, gdzie jest mnóstwo czterogwiazdkowych hoteli, gdzie leżąc na leżaku, można moczyć stopy w przezroczystej wodzie. Wszystko opłacone. Prawdziwy pałac! Wygrali przez przypadek, w konkursie, dzięki losowi wrzuconemu do szklanej kuli w Carrefourze podczas dwutygodniowego jarmarku. Wylosowano kupon ich syna Pascala. Był tylko jeden warunek – wyjechać należało do końca roku. Nie za bardzo im to odpowiadało. Zaledwie dwa miesiące wcześniej Pascalowi i jego żonie Stéphanie urodziła się śliczna córeczka Emilie. Marc, ich starszy syn, który miał już dwa lata, mógł po prostu zostać u dziadków, ale z Emilie sprawa była bardziej skomplikowana. Stéphanie nadal karmiła ją piersią i nie chciała zostawiać córeczki na dwa tygodnie... Bilety opiewały na konkretne nazwisko i nie dało się ich wymienić. Mogli więc stracić wygraną albo wyjechać z Emilie.

Wyjechali. Nigdy wcześniej nie lecieli samolotem. Stéphanie była młodą kobietą z fantazją w śmiejących się oczach, które przyglądały się światu. Była do schrupania niczym jabłuszko, owoc, który uważała za zakazany w swoim małym raj.

Pomyśleli, że nie można odwracać się od szczęścia, gdy wreszcie się uśmiechnęło. Powinni byli zachować ostrożność. Zawsze należy być ostrożnym wobec uśmiechów losu. Pascal, Stéphanie i Emilie mieli wylądować na lotnisku Roissy dwudziestego trzeciego grudnia i zamierzali zostać

w Paryżu przez cały dzień, żeby pooglądać wystawy udekorowane na Boże Narodzenie – kolejne marzenie Stéphanie. Stéphanie była sierotą, ale miała w sobie urok i cała rodzina Vitralów ją uwielbiała. Ona zaś odwdzięczała im się z nawiązką. W głębi duszy do szczęścia nie potrzebowała podróży do Turcji. Jej spełnioną baśnią byli Marc i Emilie, jej dwa skarby, a także ich ojciec i dziadkowie, którzy rozpieszczali maleństwa.

Pierre i Nicole Vitralowie dowiedzieli się o dramacie, gdy razem słuchali wiadomości w radiu France Inter o siódmej rano.

Jak każdego ranka.

Siedzieli naprzeciw siebie przy małym stoliku w zagraconej kuchni. Dwa kamionkowe kubki, jeden z kawą Pierre'a, drugi z herbatą Nicole, przez długi czas stały nietknięte. Ostygłe napoje utkwily w tamtej sekundzie, która zamknęła w sobie życie małego domku rybaków przy ulicy Pocholle, w Pollet, starej dzielnicy rybackiej, będącej niczym wyspa w samym środku portu w Dieppe.

– Dlaczego Lyse-Rose?! – wrzasnęła nagle Nicole Vitral.

Domy przy tej ślepej ulicy były połączonymi segmentami, wszystkie jednakowe. Wszyscy wiedzieli o wszystkim. Krzyk Nicole dało się słyszeć przez ściany.

– Dlaczego to dziecko miałoby się nazywać Lyse-Rose? Co? Kto im to powiedział? Może samo dziecko? Przedstawiło się strażakom?! Trzymiesięczne niemowlę z samolotu, dziewczynka o niebieskich oczach... To nasza Emilie! Ona żyje. Kto twierdzi inaczej? Jak mogą mówić coś innego? Kręcą, bo tylko ona przeżyła, chcą nam ją ukraść...

Nicole miała w oczach łzy. Mimo że było zimno, sąsiedzi zaczęli wychodzić na ulicę. Nicole rzuciła się mężowi w ramiona.

– Nie, Pierre. Obiecuj mi... Nie, nie zabiorą nam naszej wnuczki, nie przeżyła katastrofy po to, żeby nam ją ukradli. Obiecuj mi.

W małej sypialni za ścianą salonu gwałtownie obudzony krzykiem babci dwuletni Marc Vitral zaczął płakać. Nic nie rozumiał i niczego nie zapamiętał z tego nieszczęsnego poranka.

2 października 1998, 9.24

Marc podniósł wzrok znad zeszytu Grand-Duca. Wzruszony do łez.

Oczywiście, że nie miał żadnego wspomnienia z tego feralnego poranka. Przeczytał o nim dopiero teraz...

Odkrywanie każdego szczegółu tego dramatu z jego dzieciństwa w taki sposób miało w sobie coś dziwnego, nierealnego.

Rozejrzał się, dookoła panowała wrzawa. Pięciu studentów wyszło niezmiernie ubawionych, a szklane drzwi zamknęły się za nimi z trzaskiem. Marc dotknął swojej twarzy i z kącików oczu wytarł dyskretnie łzy. Oddychał powoli, próbując się uspokoić. Przecież znał prawie wszystkie fragmenty tej historii. Swojej historii.

Prawie wszystkie...

Zegar wskazywał dziewiątą dwadzieścia pięć, a on był dopiero na samym początku.

2 października 1998, 9.17

Malvina de Carville uderzyła w szybę lufą mauzera L110. Wążki ledwie drgnęły. Tylko największa, o masywnym tułowi z refleksami czerwieni i gigantycznych skrzydełkach, spróbowała się unieść na kilka centymetrów, ale i ona upadła na dno wiwarium, na resztę kilkudziesięciu martwych już owadów. Malvina de Carville ani przez chwilę nie pomyślała, żeby włączyć im dopływ tlenu czy też podnieść szklaną pokrywę, aby te, które przeżyły, mogły wyfrunąć. Wolała obserwować ich agonię. Poza tym ta hekatomba pasowała do sytuacji.

Po raz kolejny, tylko mocniej, walnęła lufą w szybę. Beznadziejne wysiłki owadów, aby poruszyć ciężkimi skrzydełkami w próżni pozbawionej tlenu, podejmowane przy każdym uderzeniu w szybę, fascynowały ją.

Malvina stała tak przez kilka długich minut. Niech zdechną wszystkie! Nic jej to nie obchodziło. Nie dla nich tu przyszła. Przyszła dla Lyse-Rose. Własnej wążki. Jednej jedynej. Malvina przeszła przez pokój. Zaskoczyło ją własne odbicie w lustrze wiszącym w salonie. Nie mogła się powstrzymać, żeby się sobie przyjrzeć. Poczowała dreszcz wstrętu. Nienawidziła białego beretu przecinającego w połowie jej długie proste włosy, nienawidziła wełnianego błękitnego swetra z koronkowym golfem, nienawidziła swojego tułowia bez piersi. Swoich chudych ramion, całego czterdziestokilogramowego ciała.

Na ulicy przechodnie brali ją za piętnastolatkę... Przynajmniej od tyłu. Widziała ich zaskoczenie, gdy stawali twarzą w twarz ze starą dziewczynką, dwudziestoczworoletką ubraną jak w latach pięćdziesiątych.

Miała to gdzieś.

Wkurzała ich wszystkich. Tych, którzy powtarzali jej to samo od osiemnastu lat, dziesiątki najlepszych psychologów, z którymi spotykała się, psychiatrów dziecięcych, dietetyków, specjalistów od Bóg wie czego... Także swoją babcie. Znała ich śpiewki na pamięć. Nie chciała uwierzyć... Nie chciała dorosnąć. Nie chciała się starzeć. Nie chciała odbyć żałoby. Nie chciała zapomnieć Lyse-Rose.

Lyse-Rose.

Przejść okres żałoby, zapomnieć o niej...

Zapomnieć, a tym samym ją zabić...

Odwróciła się i poszła w kierunku kominka. Musiała przejść nad ciałem. Za nic w świecie nie wypuściłaby z prawej dłoni swojego mauzera. Nigdy nic nie wiadomo. Nie wiadomo nawet, czy ta świnka, Grand-Duc, nie powstanie zaraz z martwych. Kulka prosto w serce. Głowa w kominku.

Lewą dłonią chwyciła pogrzebacz i niezręcznie grzebała nim w palenisku.

Nic!

Ten, kto spalił Grand-Duca, nie pozostawił niczego!

Malvina poruszała metalowym prętem coraz bardziej zdenerwowana. Uderzała twarz Grand-Duca, a znad paleniska unosił się czarny dym. Musiał przecież zostawić jakiś ślad, kawałek papieru,

który nie spłonął, jakąkolwiek wskazówkę...

Musiła jednak poddać się dowodom. Grzebała w maleńkich szerniałych skrawkach.

Pudełka po dokumentach leżały rozrzucone na podłodze. Widniały na nich daty wypisane czerwonym markerem: 1980, 1982, 1982-1983, 1984-1985, 1986-1989, 1990--1995, 1996...

Wszystkie puste, beznadziejnie puste.

W Malwinie ryczała głucha złość, niekontrolowana, potworna złość, do jakiej bywała zdolna. Grand-Duc zakpił sobie z nich! Czy po to jej dziadkowie płacili mu przez osiemnaście lat, zwracali mu wszelkie opłaty, koszty podróży, wydatki rok po roku?

Dla kupy popiołu?!

Malvina upuściła pogrzebacz, który na wywoskowanym parkiecie pozostawił ciemną pręgę. To za ich pieniądze ten dureń kupił sobie porządny dom w samym sercu Butte-aux-Cailles... Za ich kasę! Po co? Żeby spalić wszelkie dowody i zamilknąć na zawsze. Definitywnie!

Zacisnęła dłoń na mauzerze.

Malvina de Carville nie miała dla Grand-Duca więcej współczucia niż dla martwych wazek w wiwarium.

Może nawet mniej.

Ten drań dostał to, na co zasłużył. Został zamordowany we własnym domu. Nos, oczy, usta w ciągle gorących popiołach jego kłamstw. Podjął ryzyko, chciał grać na dwa fronty. Przegrał. Nie miała zamiaru opłakiwać jego losu. Jedyne, czego żałowała, to, że odtąd już nigdy nic nie powie... Ona jednak nie odpuści, zwłaszcza nie teraz. Nie zostawi swojej młodszej siostrzyczki. Przyszła tu dla niej, jak zawsze. Jej Lyse-Rose, jej wazka. Musiała szukać nadal. W końcu musi coś znaleźć.

Na przykład ten zeszyt, w którym Grand-Duc robił notatki przez lata, dzień po dniu. Zeszyt w bladezielonej okładce, z tego, co się dowiedziała. Gdzie on mógł go schować? Komu mógł go oddać?

Malvina poszła aż do kuchni. Rozejrzała się wokoło. Wszystko wyglądało schludnie i czysto. Na haczyku wisiała niebieska ścierka. Przeszukała każdy kąt na próżno. Wszystko posprzątane, zarówno w kuchni, jak i w innych pomieszczeniach. Grand-Duc był skrupulatny.

Cholera jasna!

Impas. Musi się zastanowić.

Malvina po raz kolejny pomyślała o telefonie, jaki poprzedniego wieczoru od Grand-Duca otrzymała jej babcia. Twierdził, że coś znalazł. W końcu! Po tylu latach, w wieczór osiemnastych urodzin Lyse-Rose. Lepiej! Kilka minut przed północą. Mówił coś o starej gazecie, o objawieniu, którego można było doznać osiemnaście lat później, gdy się ją otworzyło.

Bzdury!

Kłamał, dupek!

Babcia mogła po raz kolejny dać się wpuścić w maliny, jeśli miała ochotę wierzyć w ściemy tego detektywa. Ale nie ona... „L'Est républicain”. Dokładnie osiemnaście lat później? Dokładnie o północy. Jakby przez przypadek...

Godne pożałowania.

Chciał po prostu zyskać na czasie. Jego kontrakt wygasał dokładnie w dniu osiemnastych urodzin

Lyse-Rose, kasa miała przestać płynąć, chciał jeszcze trochę pozostać przy źródle i wymyślił jakieś bzdury. Jej babcia dewotka była gotowa przyjąć wszystko, miała zbyt wiele zaufania do tego Grand-Duca, który trzymał ją w garści od lat. Malvina przyjrzała się miedzianej tabliczce leżącej na biurku. *Crédule Grand-Duc, prywatny detektyw.*

Co za kretyńskie nazwisko!

Tak, potrafił wodzić jej dziadków za nos.

Ale nie ją!

Ona była wolna. Przenikliwa. Umiała przejrzeć jego grę na dwa fronty. Grand-Duc zawsze wołał Vitralów. Był po ich stronie! Grand-Duc zawsze krzywo na nią patrzył, jak na wybryk natury. Bał się jej.

Nie dość!

Malvina po raz ostatni spojrzała na biurko, z żalem opuściła salon i poszła do małego przedpokoju. Jej przenikliwe spojrzenie prześlizgnęło się uważnie po parasolach ustawionych w dużym pojemniku, długich płaszczach wiszących na wieszaku ściennym. Także i tutaj nic szczególnego.

Nie mogła nie zatrzymać się chwilę dłużej przy zdjęciach przyczepionych w nieładzie magnesami nad oknem przy wejściu. Zdjęcie ślubne Nazima Ozana, współnika Grand-Duca, i jego grubej tureckiej krowy; kolejne zdjęcie oczywiście Nicole Vitral, sprzedawczyni frytek, o wielkich piersiach wylewających się z brzydkiego fartucha. Grand-Duc nie będzie musiał już oglądać cycków tej Vitral jak każdego ranka przed wyjściem z domu, gdy wkładał płaszcz i zabierał swój mały parasol.

Malvina z roztargnieniem obejrzała pozostałe zdjęcia w przedpokoju. Widoczki z gór, pewnie z gór Jura. Mont Terrible. Montbéliard.

Pamiętała. Rozpoznała to dziecko, swoją siostrzyczkę, w tamtym szpitalu. Miała sześć lat. Była jedyną żyjącą osobą, która widziała już wcześniej Lyse-Rose.

Lyse-Rose przeżyła. Ukradli jej siostrę.

Mogli mówić, co im się podobało. Odmowa żałoby i tak dalej.

Nigdy, przenigdy jej nie opuści.

Malvina zmusiła się, żeby wyrwać się z odrętwienia i działać. Wróciła do salonu, przestąpiła po raz kolejny przez ciało Grand-Duca, spojrzała po raz ostatni na kominek, wiwarium, biurko... Włamała się do domu przez okno sypialni, weszła w róże i wybiła szybę. Wszędzie pozostawiła ślady; policja w końcu się tu zjawi, powiadomiona przez jakiegoś sąsiada. Powinna być ostrożna. Nie ze względu na siebie, o siebie nie dbała. Ze względu na Lyse-Rose. Musi pozostać na wolności, musi wymazać ślady swojej obecności w tym domu. Przy odrobinie szczęścia dojrzy jakiś drobiazg, który przeoczyła. Może znajdzie ten cholerny zielony zeszyt?

Co ten drań mógł w nim napisać? Czy naprawdę coś odkrył? Prawdę, którą zapisał w swoim dzienniku w osiemnaste urodziny Lyse-Rose?

Jaką prawdę?

Czy blefował?

Mógł pozwolić sobie na takie ryzyko?

Musiła odnaleźć ten zeszyt...

Pewnie i tak dał go już Vitralom... Zanim dostał kulę prosto w serce. To by do niego pasowało.

Taki prezent na urodziny. Jeśli tak, to zeszyt ma w łapach ten zboczony Marc Vitral. I pewnie teraz go czyta.

2 października 1998, 9.28

Marc Vitral wpatrywał się w zegar ścienny.

Przy sąsiednim stoliku naprzeciwko niego siedziała śliczna brunetka z włosami obciętymi na chłopaka i przyglądała mu się oczami jak ocean, w których bez wahania zanurkowałby każdy facet.

Marc odwrócił wzrok, niewrażliwy.

Musiała ją to jeszcze bardziej nakreślić. Blondyn zagubiony w rozmyślaniach, w smutku, z oczami błyszczącymi od łez, którymi patrzył na nią ślepo, jakby była niewidzialna. Pewnie istniało niewielu mężczyzn obojętnych na jej piękno. Oczywiście pociągali ją jedynie niedostępni faceci, duchy, do których nie można było dotrzeć.

Marc bez przerwy przypominał sobie sporządzony przez Grand-Duca opis swoich rodziców, Pascala i Stéphanie; jemu za całe wspomnienia musiały wystarczyć stare zdjęcia. Uniósł dłoń w stronę Mariam. Kelnerka uznała, że już teraz upomina się o paczuszkę, że chce zyskać kilka minut, więc spojrzała surowo na zegar.

– Mariam, podasz mi rogalika? Nic dziś nie jadłem... Nie jestem przyzwyczajony, żeby Lylie umawiała się ze mną tak wcześnie!

Uspokojona Mariam uśmiechnęła się szeroko.

Kilka sekund później niosła już talerzyk z ciastkiem. Wrzawa w kawiarni stawała się ogłuszająca. Studentka o głębokim spojrzeniu nadal wpatrywała się w Marca, desperacko pragnąc, aby on spojrzał na nią choć raz.

Szkoda zachodu.

Marc ułamał pół rogalika i połknął go za jednym razem.

9.33

Ponownie zatopił się w notatkach Grand-Duca.

Dziennik Crédule'a Grand-Duca

Zapewne zgodzicie się ze mną, że zarówno dla Vitralów, jak i de Carville'ów życie okazało się cholernym draniem... Najpierw oznajmia im, że airbus się roztrzaskał, że nikt nie przeżył, za jednym zamachem zabiera im dwa pokolenia, na których opierali swoją przyszłość, synów i wnuczki... Później, godzinę później, obwieszcza im radośnie cud: najmniejsze, najbardziej delikatne istnienie zostało ocalone. Poczuli przypływ szczęścia, dziękowali niebiosom, zapomnieli o zniknięciu drogich osób, ale życie wyciągnęło sztylet tylko po to, żeby głębiej go w nich zatopić po raz drugi. A jeśli to małe cudownie ocalone istnienie, owoc waszego owocu, nie należy do was?

W komisariacie w Montbéliard dwudziestego trzeciego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku ruch panował już od świtu. Sprawą zajął się sam komisarz Vatelier, doświadczony i dynamiczny, z długą ciemną, niestrzyżoną brodą, która kolorem pasowała do jego skórzanej kurtki. O siódmej rano linie Turkish Airlines przesłały faksem listę pasażerów. Pracownicy lotniska imienia Atatürka w Stambule musieli się zdziwić, gdy okazało się, że na pokładzie samolotu było dwoje niemowląt – dwie Francuzki urodzone w odstępie paru dni.

Lyse-Rose de Carville, urodzona 27 września 1980

Emilie Vitral, urodzona 30 września 1980

Zabawny zbieg okoliczności, pomyślicie. Ja jednak sprawdziłem i wiem, że obecność niemowląt na pokładzie nie jest niczym szczególnym. Wręcz odwrotnie, zdarza się często, szczególnie na długich dystansach podczas świąt i wakacji. W dobie globalizacji ekonomicznej rodziny spotykają się najczęściej przy choince, przy okazji urodzin, ślubu, pogrzebu albo innej rodzinnej uroczystości... Nie zauważa się tego, ale ja już wiem, że w samolotach aż roi się od niemowląt!

Vatelier wyznał mi, że na początku to nawet było dla wszystkich zabawne – dwie dziewczynki na pokładzie... Jak ustalić, która z nich przeżyła? Policjanci na pewno musieli pomyśleć, że dochodzenie będzie krótkie. Mając dziecko, można się wiele dowiedzieć – oczy, skóra, grupa krwi, zawartość żołądka, ubranka, nawyki, rzeczy osobiste, krewni... Mnóstwo wskazówek, nawet więcej niż potrzeba...

Jednak w tym przypadku należało się spieszyć. Policjantom po piętach deptali dziennikarze, dla mediów ta sprawa była nie lada gratką... Niezła historia, jedna sierota na dwie rodziny! Zresztą chodziło o jej przyszłość, przecież nie można trzymać jej w nieskończoność na oddziale dziecięcym szpitala Belfort-Montbéliard, dochodzenie trzeba było zacząć natychmiast, zastanowić się, na co się zdecydować i oddać dziecko rodzinie. Léonce de Carville już dwudziestego trzeciego grudnia o godzinie czternastej wysłał do Montbéliard zastęp paryskich adwokatów, wszystkich słono opłacanych, którzy mieli nie odstępować na krok śledczych Vateliera i sprawdzać każdy szczegół...

W świetle prawa sprawa była skomplikowana. Sąd uciął jednak temat w kilka godzin. Komisariat w Montbéliard został zobowiązany do prowadzenia śledztwa, ale ostateczna decyzja po wysłuchaniu wszystkich stron i świadków należała do sędziego sądu dla nieletnich. Oczywiście za zamkniętymi drzwiami. Wyrok miał zostać ogłoszony najpóźniej pod koniec kwietnia osiemdziesiątego pierwszego roku tak, aby nie zaburzać dziecku poczucia bezpieczeństwa, które do tego czasu powinno pozostać na oddziale dziecięcym szpitala Belfort-Montbéliard. Do prowadzenia sprawy sąd powołał sędziego Jeana-Louisa Le Driana, jednego z najlepszych adwokatów w Paryżu, autora kilkunastu publikacji na temat spraw o uznanie ojcostwa, ustalenie tożsamości, adopcji. Nie było to dla nikogo zaskoczeniem, że wybrano właśnie jego.

Już następnego ranka, dwudziestego czwartego grudnia, sędziemu Le Drianowi udało się pod koniec popołudnia zebrać przypadkową grupę osób, niezbyt entuzjastycznie nastawionych do tego, że część Wigilii spędzą nad tą sprawą. Byli wśród nich: Vatelier, komisarz z Montbéliard, doktor Morange, który od zeszłej nocy czuwał nad dziewczynką, oraz Saint-Simon, turecki policjant, który kontaktował się z nimi telefonicznie.

Później wszyscy trzej opowiadali mi o tym surrealistycznym zebraniu. Spotkali się w wielkim paryskim biurze przy avenue de Suffren, z którego rozciągał się zapierający dech widok na rozświetloną wieżę Eiffla, rysującą się na białawym zimowym niebie... Zapowiedź Wigilii bez prezentów. Dzieci czekały przy choince, a oni tymczasem dokładnie i fachowo rozważali przyszłość trzymiesięcznego niemowlaka.

Sędzia Le Drian był wściekły, znał de Carville'ów z widzenia. Natknął się na nich podczas

jednego czy dwóch paryskich bankietów, gdzie na salonach haussmanowskich budynków tłoczyły się setki osób. Próbuję postawić się na jego miejscu. W głowie cichutki głosik mówił mu: oby tylko ta dziewczynka była wnuczką de Carville'ów, w przeciwnym razie wdepnę w niezłe gównno...

Szansę pół na pół... Orzeł albo reszka.

Jednak na pierwszy rzut oka moneta nie zamierzała upaść dobrą stroną do góry.

Gdy lata później spotkałem sędziego Le Driana, nadal zachowywał się tak jak w czasie całej tej sprawy – surowy, precyzyjny, wystrojony. Można się było zastanawiać, jakim cudem, wciśnięty w garnitur, w szaliku nieco jaśniejszym od purpurowego krawata, wzbudzał zaufanie ciężko doświadczonych dzieci, które w dodatku mu się zwierzały.

Przekazał mi nagrania, niczego nie mógł odmówić Carville'om. Dzięki temu mogę być precyzyjny, poznać zapis taśm. Jednak jeśli chodzi o werdykt, muszę was o tym uprzedzić, sami będziecie musieli go wydać.

– Spróbuję mówić jak najzwięźlejš – zaczął Le Drian. – Wszystkim nam się spieszy. Zacznę od informacji dotyczących Lyse-Rose de Carville. Dziewczynka urodziła się w Stambule niecałe trzy miesiące temu. Zнали ją tak naprawdę tylko jej rodzice Alexandre i Véronique, a gdy zginęli w katastrofie airbusa relacji Stambuł – Paryż, zabrali ze sobą wszystko, co jej dotyczyło. Jej zabawki, jej ubrania, jej zdjęcia, jej leki, jej książeczkę zdrowia. Wszystko strawił pożar. Saint-Simon, czy w Turcji znalazł pan jakieś dowody?

W głośnikach podłączonych do telefonu stojącego na stole zabrzmiał nosowy głos policjanta z ambasady w Turcji.

– Nic szczególnego... Służba widywała Lyse-Rose, ale tylko przez moskitierę, a jedyną osobą, która widziała Lyse-Rose bezpośrednio, jest jej starsza sześćioletnia siostra Malvina... To tyle...

Le Drian zaczynał przeczuwać, że sprawa się komplikuje. W takich sytuacjach, gdy widział, że wszystko mu się wymyka z rąk, wstawał i pociągał szalik z jednej strony tak, żeby oba krańce opadające na marynarkę miały dokładnie tę samą długość. Nawyk jak każdy inny. Ten przeklęty szalik ześlizgiwał się to w lewo, to w prawo, mimo że sędzia nie wykonywał żadnych ruchów szyją. Komisarz Vatelier obserwował tik z ledwie skrywanym uśmieszkiem. Mówił dalej.

– Długo rozmawiałem z dziadkami de Carville, ściślej: z Léonce'em de Carville'em. O wnuczce wiedzą tyle, ile przez telefon powiedzieli im rodzice dziewczynki. Mają także zdjęcie dziecka zrobione tuż po narodzinach, które otrzymali pocztą razem z kartką...

– Co widać na zdjęciu?

Komisarz Vatelier się skrzywił.

– Prawie nic. Matka karmi dziecko piersią. Lyse-Rose jest odwrócona tyłem... Widać jedynie zarys szyi i ucha, nic więcej.

Sędzia Le Drian nerwowo pociągnął szalik w prawo. Sprawa nie przedstawiała się dla de Carville'ów dobrze.

Jeśli wolno mi wybiec do przodu, to muszę powiedzieć, że w kolejnych tygodniach Léonce de Carville powołał bardzo poważnych ekspertów, którzy potwierdzili, że ucho ocalonej dziewczynki

jest identyczne z uchem noworodka na zdjęciu. Przyglądałem się uważnie zdjęciom i przeprowadzanym analizom. Trzeba było naprawdę dużo złej woli, żeby na ich podstawie wysnuć jakiś wniosek, czy to na korzyść jednej, czy drugiej strony. Sędzia Le Drian nie zajmował się tym, wciąż analizował genealogię cudownie ocalonej.

– A co na to dziadkowie Lyse-Rose ze strony matki? – zapytał.

Vatelier, komisarz z Montbéliard, obserwował ze smutkiem wieżę Eiffla roziskrzoną jak ogromna choinka. Po chwili zajrzał do swoich notatek i powiedział:

– Véronique, matka Lyse-Rose, jest czwartym dzieckiem małżeństwa o nazwisku Bernier pochodzącego z Quebecu. Łącznie mają siedmioro dzieci i jedenaścioro wnucząt. Véronique poznała Alexandre'a w Toronto podczas seminarium z chemii molekularnej. Rodzina Bernierów nieśmiało staje po stronie de Carville'ów.

– OK, spróbujmy dowiedzieć się czegoś więcej od tej strony – odezwał się Le Drian. – Przejdźmy do Emilie Vitral. Zdaje się, że zostawiła po sobie więcej wskazówek...

– Taa... – westchnął Vatelier – chociaż jej książeczka zdrowia, walizka, smoczki i śliniaczki także uleciały z dymem. Będę mówił precyzyjnie. Od jej narodzin, dwa miesiące wcześniej, dziadkowie widzieli wnuczkę trzy razy, z czego dwa w klinice w Dieppe w pierwszym tygodniu jej życia i raz w dniu wylotu samolotu, gdy Pascal i Stéphanie przyjechali zostawić u nich Marca. Dziewczynka wówczas spała.

Komisarz odwrócił się w stronę doktora Morange'a, który odezwał się po raz pierwszy.

– Byłem przy tym, gdy przyjechali do szpitala Belfort-Montbéliard zobaczyć dziecko. Vitralowie natychmiast rozpoznali wnuczkę...

– Oczywiście – wtrącił Le Drian. – Oczywiście. Przecież nie powiedzieliby nic innego...

Sędzia westchnął, zmęczony, palce skubały szalik, który zsunął się na lewo. Komisarz Vatelier podniósł głos.

– Przecież nie mogliśmy ułożyć czterech noworodków, ponumerować ich i kazać dziadkom stojącym za szybą rozpoznać właściwego!

– Może jednak powinniście byli tak zrobić – naciskał Le Drian poważnie. – Zyskalibyśmy na czasie...

Komisarz wzruszył ramionami i mówił dalej:

– Na domiar złego Vitralowie nie mają żadnego zdjęcia. Ponoć Stéphanie miała album z dwunastoma zdjęciami swojej córki, z którym nigdy się nie rozstawała. Można podejrzewać, że i on zginął w płomieniach.

– A negatywy zdjęć? – zapytał sędzia.

Policja z Dieppe gruntownie przeszukała mieszkanie rodziców Emilie Vitral, żeby odnaleźć te cholerne negatywy. Jak dotąd niczego nie znaleźli. Bez wątplenia je również Stéphanie zabrała ze sobą, może były w pokrowcu aparatu...

Może...

Ja też później szukałem tych przeklętych negatywów. Pomyślcie, zdjęcie noworodka! Bez sensu budować na nim rozwiązanie. Mogę teraz powiedzieć, że nigdy tych zdjęć nie znaleźliśmy! Przyjęto

hipotezę, że zniknęły w pożarze samolotu i że wszystko wymyślili Vitralowie, ale ja uważałem, że to Léonce de Carville mógł interweniować, odwiedzić mieszkanie Pascala i Stéphanie Vitralów, zanim wpadli na to gliniarze, i sprawić, że wszystkie dowody zniknęły. Był do tego zdolny. Istniała taka możliwość.

Sędzia Le Drian czuł, jak wilgotnieje mu kark, jak szalik zsuwa się wciąż niczym wąż po jego ramieniu. Ta sprawa zaczynała przeradzać się w niezłą łamigłówkę.

– Cóż – odezwał się. – Już prawie wróciliśmy do punktu wyjścia. A co z resztą rodziny Emilie Vitral...? Też impas?

– Można tak powiedzieć – odparł komisarz Vatelier. – Matka, Stéphanie, była sierotą, została oddana zaraz po urodzeniu i wychowywała się w domu dziecka wspieranym przez fundację katolicką w Rouen. W Pascalu Vitralu zakochała się na tarasie kawiarni, gdy nie miała jeszcze szesnastu lat. Podsumowując, mała Emilie, jeśli to ona przeżyła, ma na świecie tylko dziadków, Pierre’a i Nicole Vitralów, oraz starszego brata Marca.

Wzrok sędziego Le Driana zagubił się ponad światłami na wieży Eiffla w poszukiwaniu drogowskazu, jakiegokolwiek gwiazdy, za którą mógłby ślepo podążyć w tę noc narodzin.

Mógłbym pisać w ten sposób jeszcze długo, opisywać godziny niekończących się dyskusji, argumentów i kontrargumentów. Oprócz nagrań ze spotkań istnieją prawie trzy tysiące stron zapisu śledztwa, które sędzia Le Drian zgromadził u siebie podczas kolejnych tygodni. Przejrzałem wszystko, nie mówiąc o moich osobistych archiwach. Nie bójcie się, jeszcze do tego wrócę, a przynajmniej do szczegółów, które wydają mi się ważne. Sądzę jednak, że zaczynacie już rozumieć problemy i dylematy śledczych. Niełatwo coś wywnioskować, prawda?

Na którą stronę ma upaść moneta? Do tego nie doszedłem.

Zostawiam wam w spadku wszystkie wskazówki. Sami musicie określić...

Już wiem, co powiecie...

A nauka? Ubrania? Krew? Oczy? Wszystko inne?

Dojdę do tego.

Nie będziecie rozczarowani.

2 października 1998, 9.35

Marc dojadł resztę rogalika, nie podnosząc wzroku w stronę zegara, na którym wskazówki wcale nie przesuwają się do przodu, nie spojrzął też w stronę pięknej studentki o lazurowych oczach, która siedziała naprzeciwko, ani w stronę Mariam, kelnerki, która grała mu na nerwach. W kawiarni panował gwar. Podobnie na dziedzińcu uniwersytetu, co widział przez szybę. Nawet jeśli żadne rewelacje Grand-Duca nie mogą sprawić, żeby nabrał wątpliwości, musi czytać dalej, zmagazynować wszystkie informacje, które właśnie poznaje.

Chciała tego Lylie...

Dziennik Crédule'a Grand-Duca

Dwa tygodnie później, jedenastego stycznia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku, sędzia Le Drian zwołał kolejne zebranie. Ci sami śledczy, to samo biuro przy avenue de Suffren; jednak tym razem spotkali się rano. Wieża Eiffla marzła we mgle, z trudem można było zauważyć jej stopy tkwiące w kałużach, które powiększała powoli lekka mżawka. Kolejki turystów ciągnęły się pod dywanami z parasoli. Przed najczęściej na świecie odwiedzaną budowlą nie było żadnego miejsca, nawet szklanego dachu, gdzie można byłoby przeczekać niepogodę.

Szczyt wszystkiego. Jeden z wielu.

Sędzia Le Drian miał coraz większy kłopot. Przełożeni dali mu do zrozumienia, że de Carville'ów popierają bardzo wpływowe osoby.

Sędzia nie był głupi, zrozumiał... Robił wszystko, co mógł, ale liczył się z tym, czym dysponował. Nie zamierzał przecież fabrykować fałszywych dowodów!

Doktor Morange kończył swój wywód na temat grupy krwi. Rozdał fotokopie złożonych badań medycznych.

– Podsumowując – powiedział – nasza mała ma najpowszechniejszą grupę krwi, czyli A+, tak jak ponad czterdzieści procent populacji francuskiej. Dokumentacje z kliniki w Dieppe i w Stambule potwierdziły, nie pozostawiając cienia wątpliwości, że zarówno Emilie Vitral, jak i Lyse-Rose de Carville miały najpowszechniejszą grupę krwi, A+.

Jakżeby inaczej, pomyślał sędzia Le Drian.

– Nie ma sposobu, żeby badania lekarskie powiedziały nam coś więcej? – zapytał ze złością.

Morange wyjaśnił z powagą:

– Należy zrozumieć, że próbki krwi pozwalają jedynie wyeliminować pokrewieństwo, ale nie je potwierdzić. Tylko gdyby pojawił się rzadki rezus albo rzadka choroba genetyczna, można by potwierdzić, że istnieje rodzinne powiązanie... Jednak w tym wypadku nie dysponujemy niczym takim. Współczesna nauka nie powie nam nic na temat rodziny tego dziecka.

Jeśli mowa o nauce, już widzę, jak pytaacie, sądząc, że jesteście przebiegli: a genetyka, DNA, test na ojcostwo i tak dalej? Uświadomcie sobie jednak kontekst. Był rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty! W owym czasie testy DNA to jeszcze science fiction. Pierwsza na świecie sprawa w sądzie, w której wyrok wydano na podstawie testu DNA, odbyła się w osiemdziesiątym

siódmym... Teraz rozumiecie? Zapewniam was, że wrócimy jeszcze do kwestii DNA, to pewnego dnia musiało wypłynąć... Jednak cudownie ocalone dziecko podrosło już wtedy trochę, a dane w sprawie zdecydowanie się zmieniły. Nauka nie może wyjaśnić wszystkiego, nic podobnego, sami zobaczycie...

Tymczasem w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym eksperci z avenue de Suffren radzili sobie, jak mogli. Doktor Morange rzucił na stół kilka zdjęć.

– To są wizualizacje zrobione przez laboratorium w Meudon. Informatyczne techniki sztucznego postarzania twarzy dziecka, żeby zobaczyć, do kogo będzie podobne za pięć, dziesięć czy dwadzieścia lat..

Sędzia rzucił okiem na zdjęcia i zniecierpliwił się.

– Nie myślcie, że podejmę decyzję na podstawie takiego wariactwa!

W tej kwestii miał rację. Przynajmniej częściowo. Postarzona przez wizualizację cudownie ocalona dziewczynka przypominała bardziej kogoś z rodziny Vitralów niż de Carville'ów, ale nie było to podobieństwo uderzające, więc adwokaci de Carville'ów całą sprawę wyszydzili. Po osiemnastu latach, gdy wcześniej widziałem, jak dziecko rośnie rok po roku, mogę przyznać, że te techniki sztucznego postarzania to zwykłe kpiny!

– Pozostaje kolor oczu – naciskał lekarz. – Jedyna cecha szczególna dziecka... Jak na jej wiek są nadzwyczaj niebieskie. Kolor może się jeszcze zmienić, przyciemnić, ale to szczególna cecha genetyczna...

Komisarz Vatelier podjął wątek.

– Mała Emilie Vitral miała jasne niebieskie oczy. Wszyscy, którzy widzieli ją z bliska, dziadkowie, kilku przyjaciół, pielęgniarki z oddziału, to potwierdzili. Ma oczy niebieskie jak jej rodzice i dziadkowie, jak prawie cała rodzina Vitralów. Z kolei u de Carville'ów rodzice i dziadkowie mają oczy brązowe, ciemne, prawie kasztanowe. Dowiedziałem się, że i u Bernierów tak jest.

Sędzia Le Drian był na skraju wyczerpania nerwowego. Sprawa nie wyglądała dobrze, nie wyglądała dobrze dla de Carville'ów. Ten gliniarz go wkurzał. Na zewnątrz mżawka przechodziła w ulewę, ale niewzruszeni turyści stali nadal pod wieżą Eiffla, schowani pod kopułą z parasoli, współczesną wersją stylu romańskiego. Sędzia wstał, żeby nacisnąć włącznik światła i rozjaśnić nieco pomieszczenie. Szalik zsuwał mu się na prawo. Nie poprawił go.

– Taa... – mruknął. – Kolejne podejrzenie, ale wciąż nie dowód. Wszyscy wiedzą, że rodzice o brązowych oczach mogą mieć dziecko o dowolnym kolorze oczu...

– No właśnie – zgodził się doktor Morange. – Brakuje nam pewności...

Pewność... Carville'owie jej nie mieli. Pamiętam, że kilka tygodni później magazyn „Science et Vie” posłużył się przykładem cudownie ocalonej na Mont Terrible, żeby wyjaśnić, dlaczego genetyka nie potrafi przewidzieć z całkowitą dokładnością cech fizycznych osoby na podstawie cech jej rodziny. Podejrzałem, że Léonce de Carville zamówił bezpośrednio lub nie taki artykuł, który dziwnym trafem był dla niego korzystny...

Następnie sędzia przepisał przez telefon z zestawem głośnomówiącym Saint-Simona, odpowiedzialnego za zbieranie dowodów w Turcji.

– A co, na litość boską, z ubraniami dziewczynki? Czy to takie trudne wysnuć sensowne wnioski na podstawie ubrań, które miała na sobie w dniu katastrofy?

Saint-Simon odpowiedział spokojnie:

– Panowie, przypominam wam, jakie to są ubrania. Bawełniane śpiochy, biała sukieneczka w pomarańczowe kwiatki, wełniany żakardowy sweterek w kolorze écreu. Można stwierdzić z całą stanowczością, że te ubrania zostały kupione w Stambule na Grand Bazar, największym bazarze na świecie...

Sędzia Le Drian nie pozwolił wymknąć się okazji.

– Vitralowie byli na wakacjach w Turcji zaledwie dwa tygodnie, a w Stambule spędzili jedynie dwa dni! Logiczne, że mała Emilie Vitral musiała mieć ubranka kupione we Francji. To bardzo mało prawdopodobne, żeby rodzice na kilka godzin przed wylotem zdążyli ją przebrać w ubranka kupione w Stambule! Skoro ocalona dziewczynka miała na sobie tureckie śpiochy, sukienkę i sweterek, wydaje mi się oczywiste, że chodzi o Lyse-Rose de Carville. Dziewczynka musiała urodzić się w Stambule...

Saint-Simon natychmiast odparł argument:

– Jednak, jeśli wolno mi wtrącić, panie sędzio, tureckie ubranka są tanie... Sprawdziłem, nie mają nic wspólnego z resztą garderoby Lyse-Rose znajdującą się w szafie w willi w Ceyhan. Postaram się opisać ją dokładnie. Lyse-Rose była ubierana tylko w markowe rzeczy kupowane w zachodniej dzielnicy Stambułu, Galatasaray... Nie na Grand Bazar!

Zanim Saint-Simon wdał się w analizę różnic socjologicznych pomiędzy dzielnicami Stambułu, Le Drian uciął sucho:

– OK, wezmę to pod uwagę. Panie Vatelier, czy może pan podzielić się z nami ekspertyzami balistycznymi?

Vatelier potarł brodę i spojrzał na sędziego nieufnie, po czym przemówił.

– Eksperci próbowali zrekonstruować, jak i w którym momencie dziecko zostało wyrzucone z samolotu. Wiemy, które miejsca zajmowali poszczególni pasażerowie. De Carville'owie siedzieli w dziesiątym rzędzie przy oknie, lekko z tyłu. Vitralowie zajmowali środkową część airbusa na wysokości skrzydeł. Obie dziewczynki znajdowały się zatem w podobnej odległości od drzwi samolotu, które otworzyły się pod wpływem uderzenia i wybuchu, i przez które dziewczynka wypadła. Jeśli o to chodzi, wszyscy się zgadzają. Przygotowałem dokumentację. Eksperci dokładnie zrekonstruowali uderzenie oraz wyważenia drzwi i są zgodni: z takiej pułapki z życiem mogło ujść jedynie dziecko ważące poniżej dziesięciu kilo...

– W porządku, panie komisarzu – przerwał sędzia, który tego dnia miał na sobie musztardowy szalik mniej więcej pasujący do marynarki w kolorze butelkowej zieleni. – Istnieje przecież teoria Le Tallandiera... O ile się nie mylę, profesor fizyki Serge Le Tallandier wykazał, że jest mało prawdopodobne, aby dziecko zostało wyrzucone przy uderzeniu bocznym, co innymi słowy oznacza, że nie wydaje się, aby to Emilie Vitral została wyrzucona, ponieważ siedziała w środku... Co pan

o tym sądzi, komisarzu?

– Jeśli mam być szczery, obliczenia Le Tallandiera są tak skomplikowane, że żaden policjant we Francji, nawet z wydziału kryminalnego, nie odważyłby się podać ich w wątpliwość... Muszę jednak dodać, że Serge Le Tallandier skończył politechnikę razem z Léonce'em de Carville'em i że był promotorem pracy dyplomowej Alexandre'a de Carville'a...

Sędzia spoglądał na komisarza Vateliera, jakby ten wygadywał herezje. Wzruszył ramionami i zbyt nerwowym gestem pociągnął szalik, chcąc go wyrównać po obu stronach.

– Jeśli mam podważać opinie ekspertów pracujących na politechnice...

Vatelier odpowiedział z uśmiechem:

– Och, ja niczego nie podważam. Nie mam do tego odpowiednich kompetencji. Mogę wam tylko powiedzieć, że teoria Tallandiera bardzo rozbawiła jego kolegów z uczelni, których poznałem...

Sędzia westchnął. Na zewnątrz wieża Eiffla zniknęła już całkowicie we mgle, a setki turystów bez wątpienia na próżno czekały w deszczu.

Mógłbym zapisać całe strony na temat szczegółów technicznych. Przedstawić godziny nagrań z obrad. Nie będę was tym zamęczał, przynajmniej nie teraz.

Tygodnie mijały, a sprawa tkwiła w marazmie prawnym i naukowym i przestała obchodzić kogokolwiek poza członkami zainteresowanych rodzin.

Policjanci naciskali.

Dziennikarze się niecierpliwi.

Ludzie, którzy pasjonowali się sprawą „cudu”, szybko się zmęczyli, ponieważ nic nie było pewne... Sprzeczki ekspertów męczyły wszystkich. Zagadka wydawała się nie mieć rozwiązania. Gdy tylko emocje opadły, policjanci starali się pracować najdyskretniej, jak się dało. Z kolei adwokaci de Carville'ów robili, co mogli, żeby sprawa przycichła. Wiedzieli, że jeśli wszystko rozegra się na wysokim szczeblu, sprawa zostanie rozstrzygnięta na ich korzyść. Sędzia Le Drian był rozsądny.

„L'Est républicain”, od którego wszystko się zaczęło, jako ostatni publikował codzienną coraz krótszą kronikę postępów w sprawie „cudownie ocalonej na Mont Terrible”. Dziennikarka zajmująca się tematem, Lucile Moraud, która od kilkadziesiąt lat śledziła najbardziej mroczne sprawy na wschodzie Francji, jakich tam nie brakowało, wkrótce stanęła przed dylematem, jak nazwać dziewczynkę? Żeby pozostać neutralnym, nie można nazywać jej ani Emilie, ani Lyse-Rose... Peryfrazy typu „cudownie ocalona na Mont Terrible”, „sierotka ze śniegu”, „dziecko ocalone z pożaru” powodowały, że styl jej artykułów stawał się napuszony. Wolała pisać prosto i bezpośrednio, żeby przykuć uwagę czytelników. Pod koniec stycznia osiemdziesiątego pierwszego roku doznała olśnienia. Wówczas, jak pewnie pamiętacie, w radiu w kółko leciała piosenka Charléliego Couture'a dramatycznie pasująca do okoliczności *Jak samolot bez skrzydeł*...

Zmęczona powolnością procedur i brakiem decyzji ze strony sędziego Le Driana, dwudziestego dziewiątego stycznia Lucile Moraud opublikowała na pierwszej stronie „L'Est républicain” zdjęcie „cudownie ocalonej” w pomieszczeniu za szybą w szpitalu, gdzie przebywała cierpliwie już ponad miesiąc, gdy tymczasem na zewnątrz panowała powszechna obojętność. Moraud zamieściła wytłuszczony nagłówek będący trzema linijkami piosenki:

*Och, ważko,
Masz takie delikatne skrzydełka,
Ja, ja jestem roztrzaskany...*

Doświadczona dziennikarka trafiła w sedno. Nikt już nie mógł słuchać przeboju Charléliego Couture'a i nie myśleć o dziewczynce, o jej delikatnych skrzydełkach, o roztrzaskanym samolocie. Dla całej Francji sierotka ze śniegu stała się Ważką. Przewisko przyłgnęło do niej. Przejęli je nawet najbliżsi dziecka. Nawet ja.

Co za bzdura!

Ważka!

Zacząłem się nawet interesować tymi nieforemnymi owadami, wydawać na nie majątek... Gdy teraz o tym myślę... Cały ten cyrk z powodu obłąkanej dziennikarki, która umiała grać na ludzkich uczuciach...

Policjanci byli mniej romantyczni. Gdy mówili o dziecku i nie chcieli przywoływać nazwiska żadnej z rodzin, używali neutralnego akronimu łączącego początek pierwszego imienia z końcówką drugiego. Połączenie Lyse-Rose i Emilie dało Lylie...

Lylie...

Pierwszy użył tego imienia w obecności dziennikarzy komisarz Vatelier.

Nie da się zaprzeczyć, niezłe to wymyślił. Owszem, nawet gliniarze potrafią być romantyczni. Imię Lylie przyjęło się tak samo jak Ważka. Trochę jak czułe zdrobnienie.

Ani Lyse-Rose, ani Emilie.

Lylie...

Chimera, dziwny byt stworzony z dwóch ciał.

Potwór.

À propos potworów, oto chwila, kiedy powinienem opowiedzieć o roli, jaką odegrała Malvina de Carville... Wiem, Malwinie takie przejście z tematu na temat by się nie spodobało... Wybaczcie mi. To część skutków ubocznych dramatu. Można to tak określić.

Léonce de Carville miał silną wolę, był zdeterminowany, przyzwyczajony, że otrzymuje to, co chce. A jednak żaden z dowodów, żaden zebrany materiał nie przechylał szali na jego korzyść. Popełnił wówczas dwa błędy. Dwa brzemienne w skutki błędy. Zbyt szybko chciał posunąć sprawy naprzód.

Pierwszy błąd dotyczył jego własnej wnuczki, Malviny. Miała zaledwie sześć lat, była dzieckiem pełnym życia, wychowywanym jak księżniczka, w kokonie. Oczywiście śmierć rodziców i być może młodszej siostry okazała się dla niej ciosem, jednak otoczona armią psychologów i rodziną, musiała się podnieść, wrócić do siebie.

Tak jak wszyscy.

Ona jedyna widziała siostrę na własne oczy. Jedyna żyjąca osoba, która w Turcji miała do czynienia z Lyse-Rose przez pierwsze dwa miesiące jej życia. Prawdopodobnie dwa jedyne...

Czy sześciolatnie dziecko jest w stanie rozpoznać noworodka? Rozpoznać go z całą pewnością?

Odróżnić go od innego?

Należy zadać takie pytanie...

W porównaniu do zeznań Vitralów po stronie de Carville'ów jedynym atutem była Malvina, jedyna osoba mogąca rozpoznać Lyse-Rose. Léonce de Carville powinien był ją chronić, a nie powoływać na świadka. Mógł nie liczyć się z gliniarzami, miał na to sposoby, mógł zostawić dziewczynkę w spokoju, nie wciągać jej w to wszystko, wysłać ją gdzieś z dala od tego zamieszania, do internatu dla dzieci bogatych rodziców, gdzie przebywałaby z oddanymi opiekunkami i innymi radosnymi rówieśnikami, w ośrodku z wielkim parkiem i zwierzętami... Zamiast tego de Carville naraził Malwinę, kazał jej zeznawać dziesiątki, setki razy przed tabunami sędziów, adwokatów, policjantów, ekspertów... Całymi tygodniami chodziła od gabinetów do sal przesłuchań, otoczona dziwnymi typami w garniturach i pod krawatem, oraz w asyście goryli, którzy mieli chronić ją przed dziennikarzami.

Malvina systematycznie powtarzała przed dorosłymi, którzy ją przepytawali, następujące stwierdzenia:

„Tak, to dziecko to moja młodsza siostrzyczka”.

„Poznaję ją, to Lyse-Rose”.

Dziadek nie musiał jej już nawet zmuszać. Była pewna swego, nie miała wątpliwości, nie mogła się mylić.

Pokazywano jej ubranka, rozpoznawała twarz, słuchała płaczu. Była gotowa przysięgać, przed sędzią, na Biblię, na swoją lalkę. Ta sześciolatka mogła stawić czoło nawet Vitralom!

Widziałem, jak Malvina rosła, choć słowo „rosła” jest tu przesadne... Powiedzmy, że widziałem, jak się starzała, aż stała się nastolatką i w końcu osobą dorosłą. Widziałem, jak powoli powstaje jej szaleństwo, wściekłe szaleństwo.

Przeraża mnie, to prawda. Sądzę, że właściwym dla niej miejscem byłby szpital psychiatryczny, gdzie przebywałaby pod ścisłym nadzorem, ale jestem zobowiązany przyznać jedno: nie jest winna temu, co się jej przytrafiło. Jedynym odpowiedzialnym za to jest jej dziadek, Léonce de Carville. Wiedział, co robi. Z pełną świadomością potraktował wnuczkę instrumentalnie. Świadomie poświęcił jej zdrowie psychiczne, wbrew wszelkim opiniom lekarzy i błaganiom własnej żony.

Najgorsze, że na nic się to zdało, zupełnie na nic!

Léonce de Carville popełnił jeszcze jeden błąd, chyba nawet poważniejszy niż pierwszy.

2 października 1998, 9.43

Lylie nie poruszyła się od pół godziny. Siedziała na marmurowej balustradzie esplanady des Invalides. Chłód kamienia czuła coraz wyżej na nogach, ale nie przeszkadzało jej to za bardzo. Było słonecznie. Naprzeciwko kopuła des Invalides ledwie odcinała się od białawego, niemal monochromatycznego nieba.

Kilkunastu chłopaków obojętnych na kąsania chłodu jeździło na rolkach tuż przed nią. Rozmawiali.

Okolica des Invalides, znana stałym bywalcom, nie jest najpopularniejszym miejscem w Paryżu. Turyści gromadzą się raczej na Trocadéro, przed Palais-Royal, na placu Hôtel-de-Ville, na placu Bastylli... Tutaj gapiów jest mniej... Nie każdego dnia wśród nich pojawia się dziewczyna tak ładna jak Lylie. Dziewczyna tak ładna, która podziwia ich tak długo. Nie przejmując się pogodą i zimnem marmuru na poślądkach.

Czego tu szuka? Szybkiego numerka?

Pełni wątpliwości rolkarze dawali z siebie, ile mogli. Na esplanadę des Invalides przychodzi się głównie po to, żeby wyćwiczyć prędkość, slalom, skoki. Chłopcy ustawili dwa rzędy pomarańczowych plastikowych słupków i rozgrywali pojedynki na sto metrów. Współczesna wersja średniowiecznego turnieju, w którym najszybszy i ten, który najdłużej utrzyma się na nogach, zdobędzie serce pięknej dziewczyny.

Lylie podobało się, jak chłopaki pędzili na rolkach, jak pokrzykiwali i śmiali się. Gwar pomagał jej zachować wewnętrzny spokój. Nie było to łatwe. Wszystko aż w niej wrzało. Ciągle myślała o zeszycie Grand-Duca. Czy dobrze zrobiła, powierzając go Marcowi? Przeczyta go? Tak, oczywiście, że tak... Ale czy zrozumie? Marc miał z Crédulem Grand-Dukiem skomplikowane stosunki. Nie traktował go jak zastępczego ojca, nie, nic podobnego, jednak Grand-Duc przez całe lata był jednym z nielicznych mężczyzn stale obecnych w jego życiu. Marc miał swoje przekonania, instynkt, jak mawiał. Przeświadczenia. Czy był gotowy, żeby zaakceptować prawdę... prawdę różniącą się od tych przeświadczeń?

Lylie przeżuwała te pytania przez długie minuty. Sprawa bez wyjścia.

Naprzeciwko jakiś starszy od reszty rolkarz, pewnie koło czterdziestki, siwiejący, nie spuszczał z niej wzroku. Z łatwością wygrywał wszystkie slalomy. Zrzucił skórzaną kurtkę i nie tracił okazji, żeby prezentować umięśniony tors skryty pod T-shirtem. Taksował ciemnymi przenikliwymi oczami całą esplanadę jak drapieżnik, aż w końcu zatrzymał wzrok na niebieskich oczach Lylie. Wszystko w nim przypominało drapieżnego ptaka, od elegancji, z jaką tańczył wokół plastikowych słupków, aż po jego szczupłą twarz o ostrych rysach.

Lylie nawet go nie zauważyła, nie wyłowiała go spośród rolkarzy. Rozmyślała o prezencie dla Marca, o tym makabrycznym przedstawieniu.

Czy było potrzebne?

W kącikach oczu zaczęły zbierać jej się łzy. Nie miała wyboru, za wszelką cenę musiała odsunąć

Marcu na kilka godzin, na kilka dni, zostawić go z dala od siebie, chronić go. Później, gdy będzie po wszystkim, może zdobędzie się na odwagę, żeby mu to wyznać. Marcowi tak na niej zależało. Na niej... Na kim, tak właściwie?

Uśmiechnęła się.

Jego Lylie, jego ważka... Mój Boże, oddałaby wszystko za normalne, banalne imię. Jedno imię!

Siwiejący rolnik otarł się o Lylie. Podskoczyła, wyrwana z głębokich rozmyślań. Nie mogła powstrzymać uśmiechu. Mężczyzna drapieżnik mimo pogody, musiało być mniej niż dziesięć stopni, zdjął koszulkę. Tańczył przed nią na zbyt umięśnionych nogach w opiętych dżinsach. Z nagim torsem.

Idealne ciało. Wydepilowane. Umieśnione.

Taksował bez pardonowo ciało Lylie, jakby chciał ocenić wady i zalety. Wyglądało na to, że definitywnie stał się ptakiem. Jego taniec godowy, który opanował do perfekcji, był jednoznaczny. Ile razy go wykonywał? Ile młodych dziewcząt wpadło w jego szpony?

Wszystkie?

Lylie przez kilka chwil wytrzymała jego wzrok, ona również przyjrzała się dokładnie anatomii uwodziciela. Niemal obojętnie. Dziwiła się, że można się jej przyglądać, pożądać ją. Czuła się przezroczysta...

Na nowo pogрузzyła się w myślach. Nie powinna rozczulać się nad swoim losem. Teraz jej nazwisko ani przezwisko nie były najważniejsze. Musiała działać szybko i w samotności.

Była zdeterminowana. Teraz, gdy poznała prawdę, straszną prawdę, nie miała już wyboru, musiała się z nią pogodzić.

To stało się tak niedawno. Wczoraj. Jej życie legło w gruzach wczoraj wieczorem. Wszystko przyspieszyło, zanim popełniła nienaprawialny błąd. Od tamtego czasu tkwiła w matni, nie miała wyboru, musiała brnąć, inaczej tryby zmiażdżyłyby ją...

Drapieżnik nie odpuszczał. Zataczał szerokie kręgi. Nie ruszał głową ani o centymetr, zdecydowanie wpatrywał się w Lylie.

Jej wzrok ginął w oddali. Wciąż myślała o Marcu, który siedział w kawiarni.

W pułapce, którą zastawiła. Jeszcze piętnaście minut. Później na pewno będzie próbował do niej zadzwonić. Chwyciła torebkę i wyłączyła telefon. Powinna pozostać niewidzialna, przynajmniej na razie musiała zadbać, by nie można było się z nią skontaktować. Marc sprzeciwiłby się jej zamiarom. Staralby się ją chronić, widziałby tylko ryzyko, niebezpieczeństwo.

Znała go dobrze, nazwałby to morderstwem.

Morderstwo...

Kilkunastu rolników oddaliło się nagle w stronę Hôtel des Invalides, jak stado jaskółek tuż po wybuchu, usłuchawszy rozkazu przywódcy o skroniach przyprószonych siwizną, który zmęczył się lub zezłościł z powodu niepowodzenia swoich zalotów. Plastikowe pomarańczowe słupki, kurtki i T-shirty zniknęły w mgnieniu oka, zostawiając po sobie jedynie szary równy asfalt.

Morderstwo...

Lylie uśmiechnęła się nerwowo.

Zresztą, owszem, można tak to nazwać. Morderstwo.

Nieodzowne przestępstwo.

Zabić.

Zabić potwora, żeby dalej żyć.

A przynajmniej przeżyć.

2 października 1998, 9.45

Marc podniósł wzrok.

Na zegarze dziewięta czterdzieści pięć.

Na litość boską, czas stoi w miejscu. Wzbierało w nim dziwne uczucie. Prezent od Lylie, który Mariam schowała w kasie, prezent wielkości pudełka zapalek... to pułapka. Pretekst. Złuda. Ta niekończąca się godzina oczekiwania miała na celu jedynie pozwolić Lylie odejść, uciec, schować się.

Dlaczego?

Nie podobało mu się to. Każda minuta jakby oddalała go od Lylie. Spuścił jednak wzrok z powrotem na zeszyt. Domyślał się, o czym przeczyta dalej, jaki będzie błąd Léonce'a de Carville'a. Tym razem był bezpośrednim świadkiem zdarzeń, rozbeczanym świadkiem, jak mu mówiono. Jeśli wersja Grand-Duca będzie zgodna z legendą z ulicy Pocholle, spodoba mu się to, co przeczyta.

Dziennik Crédule'a Grand-Duca

Léonce de Carville uważał, że pieniędzmi można załatwić wszystko.

Sprawa noworodka dreptała w miejscu, mimo że ministerstwo sprawiedliwości zażądało, w porozumieniu z sędzią Le Drianem, żeby wszystko zostało uregulowane, zanim cudownie ocalona dziewczynka skończy pół roku.

Pół roku.

Dla Léonce'a de Carville'a to zbyt długo.

Tymczasem wszyscy adwokaci twierdzili, że należy czekać. Wątpliwości zaczną przemawiać na ich korzyść, kontrolowali bowiem odpowiednie ścieżki, wszyscy w miarę upływu czasu zaczną opowiadać się po ich stronie, nawet media, gliniarze, nawet Vatelier. Z braku dowodów sprawa przeobrazą się w sprzeczki ekspertów. Ostateczna decyzja sędziego Le Driana będzie korzystna. Vitralowie nic nie znaczą, nie mają żadnego doświadczenia, nie dysponują żadnym wsparciem... Jednak Léonce de Carville nie był tak optymistycznie nastawiony, był mniej wyniosły i mniej obojętny, niż na to wyglądał. Postanowił sam załatwić sprawę, raz na zawsze, w sposób, w jaki zarządzał przedsiębiorstwem.

Jak szef. Instynktownie.

Siedemnastego lutego osiemdziesiątego pierwszego około południa wyłączył telefon, miał na tyle przytomności, żeby nie powierzać tego swojej sekretarce, i umówił się z Vitralami na następny dzień rano... Cóż, ściślej mówiąc, nie z Vitralami, ale z samym Pierre'em Vitralem. Kolejny poważny błąd z jego strony. Później Nicole wszystko mi opowiedziała w najmniejszych szczegółach. Z rozbawieniem.

Następnego dnia rankiem sąsiedzi z ulicy Pochelle w Dieppe ze zdumieniem zauważyli mercedesa, dłuższego niemal niż fasada domu, który parkował przed bramą Vitralów. De Carville pojawił się niczym postać z filmu, z czarną walizką w dłoni.

Karykatura.

– Panie Vitral, czy byłoby możliwe, żebym porozmawiał z panem na osobności?

Pierre Vitral zawahał się, ale nie jego żona. Pytanie tak naprawdę adresowane było do niej. Nie miała skrupułów, żeby mu odpowiedzieć:

– Nie, panie de Carville, to nie będzie możliwe.

Nicole Vitral trzymała na rękach małego Marca. Nie postawiła go na ziemi, wręcz przytuliła jeszcze mocniej. Mówiła dalej:

– Nawet jeśli pójdę do kuchni, panie de Carville, proszę sobie wyobrazić, że i tak wszystko usłyszę. Tak tu już u nas jest. Mamy cienkie ściany. Nie można mieć tajemnic. Poza tym wcale nie chcemy mieć tajemnic.

Marc popłakiwał w ramionach Nicole. Usiadła na krześle i posadziła go na kolanach, żeby tym samym zasygnalizować, że się stąd nie ruszy.

Na de Carville'u tyrada nie zrobiła wrażenia.

– Jak pani chce – mówił z uśmiechem. – Będę się streszczał. To, co chcę wam zaproponować, zawiera się w kilku słowach.

Przeszedł parę kroków, spojrzał przelotnie na stojący w kącie telewizor, w którym leciał jakiś amerykański serial. Salon był maleńki, co najwyżej dwanaście metrów kwadratowych, stały w nim pomarańczowe meble ze sklejki z lat siedemdziesiątych. De Carville znajdował się niecałe dwa metry od Vitralów.

– Panie Vitral, mówmy szczerze. Nikt nigdy się nie dowie, które dziecko przeżyło katastrofę. Kto żyje? Lyse-Rose czy Emilie? Nigdy nie znajdziemy żadnego wiarygodnego dowodu. Wy zawsze będziecie przekonani, że chodzi o Emilie, a ja będę przeświadczony, że to Lyse-Rose przeżyła. Nieważne, co się stanie, zostaniemy z naszymi przekonaniem. To ludzkie.

Jak dotąd Vitralowie zgadzali się z de Carville'em.

– Nawet sędzia – ciągnął de Carville – nawet gremium nie będzie wiedziało. Będą musieli podjąć decyzję, ale nigdy się nie dowiemy, czy podjęto właściwą. Orzeł albo reszka. Panie Vitral, czy naprawdę uważa pan, że o życiu dziecka powinien decydować rzut monetą?

Ani tak, ani nie. Vitralowie czekali na ciąg dalszy. Z telewizora dobiegały głupawe śmiechy. Nicole podeszła do ekranu, wyłączyła głos i wróciła na swoje miejsce.

– Będę mówił z panem szczerze, panie Vitral, zwracam się również do pani, pani Vitral. Zebrałem na wasz temat informacje. Wy pewnie postąpiliście tak samo ze mną.

Nicole coraz mniej podobał się pełen satysfakcji uśmieszek de Carville'a.

– Godnie wychowywaliście dzieci. Wszyscy to potwierdzają. Nie zawsze było wam łatwo. Dowiedziałem się, że wasz starszy syn, Nicolas, zginął w wypadku na motocyklu cztery lata temu. Dowiedziałem się również, że ma pan problemy z kręgosłupem, a pani z płucami. Nie wątpię, że przy takim zawodzie... Cóż... chcę powiedzieć, że już dawno powinniście zająć się czymś innym. Dla waszego dobra. Dla dobra waszego wnuka.

Nicole przytuliła Marca trochę za mocno, zaczął popłakiwać.

– Do czego pan zmierza, panie de Carville? – zapytał nagle Pierre Vitral.

– Jestem pewien, że już mnie zrozumieliście. Nie jesteśmy wrogami. Wręcz przeciwnie. W interesie naszej Ważki jest, abyśmy współpracowali. Musimy zjednoczyć siły.

Nicole Vitral zerwała się gwałtownie. Carville nawet tego nie zauważył, zajęty swoimi myślami. Gorzej nawet, swoimi przekonaniem. Mówił dalej:

– Mówmy otwarcie, jestem pewien, że marzyliście o tym, aby wasze dzieci i wnuki skończyły studia... jeździły na prawdziwe wakacje. Chcieliście zapewnić im wszystko, czego pragną. Na co zasługują. Prawdziwą szansę w życiu. Jednak taka szansa ma swoją cenę. Wszystko ma swoją cenę.

Carville się pogrążył, nie zdając sobie z tego sprawy. Vitralowie milczeli wystraszeni.

– Pierre, Nicole... Nie wiem, czy nasza Wążka jest moją wnuczką, czy waszą, ale zobowiązuje się dać jej wszystko, czego może zapragnąć, zaspokoić jej najmniejszy kaprys. Zobowiązuję się, przysięgam, że uczynię ją najszczęśliwszą dziewczynką na świecie. Powiem więcej, mam dla waszej rodziny ogromny szacunek, już go wyraziłem, zobowiązuję się także wspierać was finansowo, pomóc wam wychować Marca, waszego wnuka. Mam świadomość, że ten dramat trudniej przeżyć wam niż mnie, że będziecie musieli pracować jeszcze wiele lat, żeby wyżywić kolejną osobę...

Nicole Vitral podeszła do męża. Pałała wściekłością. Léonce de Carville zrobił pauzę, po czym zawahał się i dodał:

– Pierre, Nicole, zrzeknijcie się prawa do dziecka, do Lylie. Przyznajcie, że nazywa się Lyse-Rose de Carville. A ja zobowiązuję się wami opiekować, wami i Markiem... Będziecie mogli widywać Lylie, jak często będziecie chcieli, nic się nie zmieni, będziecie dla niej jak dziadkowie...

Wzrok de Carville'a stał się błagalny, prawie ludzki.

– Błagam was, zgódźcie się. Pomyślcie o jej przyszłości. O przyszłości Lylie...

Nicole Vitral już miała się wtrącić, ale Pierre odezwał się pierwszy, zadziwiająco spokojnie:

– Panie de Carville, wolałbym panu nie odpowiadać. Emilie nie jest na sprzedaż, ani Marc, ani nikt tutaj. Nie wszystko można kupić. Nawet katastrofa, w której zginął pański syn, tego panu nie uświadomiła?

Léonce de Carville, zaskoczony, gwałtownie podniósł głos. Jego zasadą było nigdy nie pozostawać w defensywie. Marc głośno zaniósł się płaczem w ramionach babci. Musiała go usłyszeć cała ulica Pocholle.

– Nie, panie Vitral! Proszę nie próbować prawić mi morałów. Myśli pan może, że to nie jest dla mnie upokarzające przychodzić tu i składać wam tę propozycję? Daję wam niepowtarzalną szansę, a wy nawet nie chcecie z niej skorzystać. Duma, bardzo szlachetne...

– Proszę wyjść!

De Carville nawet nie drgnął.

– Proszę natychmiast wyjść! I niech pan nie zapomni swojej walizeczki. Ile jest w środku? Na ile wycenił pan Emilie? Sto tysięcy franków? Niezły samochód... Trzysta tysięcy franków? Domek z widokiem na Morze Północne dla nas na stare lata?

– Pięćset tysięcy franków, panie Vitral. Więcej będzie po decyzji sędziego, jeśli sobie zażyczycie.

– Spieprzaj pan!

– Popełniacie błąd... Właśnie tracicie wszystko. Wszystko z powodu dumy. Wiecie równie dobrze jak ja, że nie macie żadnych szans. Zatrudniam dziesiątki adwokatów, którzy są na ty z ekspertami i policjantami prowadzącymi śledztwo. Osobiście znam połowę sędziów trybunału

wyższej instancji w Paryżu. To nie wasz świat. Panie Vitral, wszystko jest ustawione i dobrze pan o tym wie. Wie pan o tym od początku. Cudownie ocalona dziewczynka będzie się nazywała Lyse-Rose, nawet jeśli zostaną odkryte niezbite dowody, że jest inaczej. Żyje Lyse-Rose, tak już zostało zapisane, tak już jest. Nie przyszedłem jako wróg, panie Vitral, nie musiałem tu przychodzić. Przeszedłem tylko po to, żeby wyrównać szanse, tak jak mogłem.

Marc darł się na rękach Nicole.

– Spieprzaj pan! – warknął Pierre.

De Carville chwycił swoją walizeczkę i ruszył w stronę drzwi.

– Dziękuję, panie Vitral. Przynajmniej oczyściłem swoje sumienie... I nie będzie mnie to kosztowało ani centyma!

Wyszedł.

Nicole Vitral mocno przycisnęła do siebie małego Marca. Płakała, wtuliwszy twarz w jego włosy. Płakała, bo wiedziała, że de Carville nie kłamał. Wszystko, co powiedział, było prawdą. Vitralowie znali nieuchronność losu, mierzyli się z nią bardzo często. Z godnością. Nicole zdawała sobie sprawę, że nie mają szans na wygraną. Pierre Vitral rozejrzał się po salonie. Długo patrzył w telewizor z wyłączonym głosem. Pomyślał, że w tej chwili nie czuje bólu pleców, bo cierpi z innego powodu; ból się nie nakłada, lecz się znosi – to wielkie szczęście.

Spojrzał na ekran telewizora po raz ostatni. W końcu w jego wzroku pojawił się cień oporu. Mruknął praktycznie sam do siebie:

– Nie, nie zwycięży pan, panie de Carville.

Jeśli wolno mi podzielić się z wami moimi przemyśleniami na chłodno, lata później, tamtego ranka Carville popełnił ogromny błąd – obudził w Vitralach gniew. Gdyby nie to, na pewno odniósłby dyskretne zwycięstwo. Vitralowie mogliby krzyczeć, że to skandal, ale wszyscy pozostaliby obojętni.

Mercedes nie opuścił jeszcze nawet wyspy Pollet, gdy Pierre Vitral już wyciągał gazetę z zagraconej półki w szafie.

– Co zrobimy? – zapytała go żona.

– Będziemy się bić... Zniszczymy go...

– Jak? Słyszałeś, on ma rację...

– Nie... Nie, Nicole. Emilie ma jeszcze szansę. Zapomniał o pewnym szczególe. Wszystko, o czym mówił, było prawdą, zanim zaistniała Ważka, zanim Pascal i Stéphanie odeszli do nieba. Teraz już nie! My też, jeśli tylko zechcemy, będziemy ważni, Nicole! Interesują się nami. Piszą o nas w gazetach, mówią w radiu...

Odwrócił się w stronę telewizora.

– W telewizji też o nas mówili. Carville chyba musi nie oglądać telewizji, nie wie o tym. W obecnych czasach telewizja, gazety mają równie wielką moc jak pieniądze...

– Co... co zrobisz?

Pierre Vitral podkreślił w gazecie numer telefonu.

– Zacznę od „L’Est républicain”. Oni najlepiej znają sprawę. Nicole, pamiętasz tę dziennikarkę, która prowadzi kronikę?

– W zeszłym tygodniu napisała ledwie pięć linijek!

– Dokładnie. Możesz odszukać jej nazwisko?

Nicole Vitral posadziła Marca na krześle przed telewizorem. Wyjęła segregator leżący pod stołem w salonie, w którym starannie gromadziła artykuły z gazet, opisujące katastrofę na Mont Terrible. Znalezienie nazwiska zabrało jej kilka sekund.

– Lucile Moraud!

– OK, nie mamy nic do stracenia. Zobaczymy...

Pierre Vitral złapał za telefon i wybrał numer centrali gazety.

– „L’Est républicain”? Dzień dobry, nazywam się Pierre Vitral, jestem dziadkiem cudownie ocalonej dziewczynki... Tak, Ważki... Chciałbym rozmawiać z jedną z dziennikarek, z panią Lucile Moraud, mam pewne informacje na temat sprawy, ważne informacje...

Pierre natychmiast usłyszał poruszenie na drugim końcu linii. Niecałą minutę później dziwnie niski jak na kobietę, lekko zdyszany głos sprawił, że Pierre’owi po kręgosłupie przebiegł dreszcz.

– Pierre Vitral? Mówi Lucile Moraud. Twierdzi pan, że ma pan nowe informacje. Mówi pan poważnie?

– Właśnie wyszedł ode mnie Léonce de Carville. Zaproponował mi pięćset tysięcy franków, jeśli zrezygnujemy z walki o wnuczkę.

Trzy sekundy ciszy, która zaległa po jego słowach, wydały się Pierre’owi Vitralowi wiecznością. Zachrypnięty głos palaczki przerwał ciszę, a Pierre aż podskoczył:

– Ma pan świadków?

– Całą dzielnicę...

– Mój Boże... Proszę się nigdzie nie ruszać, z nikim innym nie rozmawiać, zaraz sobie z tym poradzimy, wyślemy do was kogoś!

2 października 1998, 10.00

Zegar wskazywał dziesiątą. Punkt!

Marc odmierzał lekturę według upływających minut, jednym okiem patrząc w zeszyt, drugim na zegar.

Zamknął zielony notatnik i razem z innymi rzeczami schował go do plecaka. Podszedł do lady z uśmiechem wyrażającym zadowolenie. Mariam była odwrócona plecami, zmywała szklanki. Marc położył palec na blacie, jak gdyby naciskał dzwonek.

– Dryyyyń – wydał z siebie piskliwy odgłos. – Już pora!

Mariam odwróciła się, wytarła dłonie w ścierkę, poskładała ją starannie i odłożyła.

– Już pora! – naciskał Marc.

– Dobrze...

Mariam spojrzała na zegar.

– Cóż, nie tracisz czasu... Chyba należysz do tych, którzy nie mogli spać w noc przed Gwiazdką...

– Owszem... nie mogłem... No dalej, pospiesz się, Mariam... Słyszałaś, co powiedziała Lylie.

Mam zajęcia...

Żrenice Mariam rozszerzyły się.

– Ściemniaj innym, nie mnie... Dobrze, proszę, twój prezent!

Otworzyła szufladę, wzięła maleńką paczuszkę i podała Marcowi. Złapał ją chciwie i odwrócił się w stronę drzwi.

– Nie otworzysz tutaj?

– Nie... Pomyśl, może to coś osobistego... Jakaś sekszabawka... Majtki...

– Nie żartuję, Marc.

– A więc, dlaczego chcesz, żebym otworzył przy tobie?

– Bo domyślałam się, co jest w środku, mój drogi. Żeby cię podnieść, gdy upadniesz!

Marc przyjrzał się Mariam nieobecny wzrokiem.

– Wiesz, co jest w środku?!

– Tak... Z grubsza tak. Zawsze jest to samo. Zawsze, gdy...

Jakiś klient, któremu najwyraźniej się spieszyło, przestępował z nogi na nogę za Markiem i przyglądał się niecierpliwie półce z papierosami.

– Zawsze, gdy...

Mariam westchnęła.

– ...gdy dziewczyna znika godzinę wcześniej, człowieku. Ma godzinę przewagi nad facetem, którego zostawia samego na krześle w mojej kawiarni!

Marc załapał. Pomyślał przelotnie o pierścionku z szafirem na palcu Lylie. O krzyżu tuareskim, którego nie zawiesiła na szyi. Wzruszył ramionami z roztargnionym wzrokiem.

– Do jutra, Mariam. Ta sama pora, ten sam stolik. Przy oknie. Dwa miejsca, OK?

Jedną ręką chwycił paczuszkę, ręką, którą udało mu się opanować przed drzeniem, i wyszedł.

Podając klientowi trzy paczki papierosów, Mariam patrzyła, jak Marc się oddala. Powiedziała zbyt wiele. Nie była aż tak pewna swego... Marc i Emilie tworzyli ciekawą parę, nie przypominali żadnej innej, ale była przekonana, że w nadchodzących godzinach Marc stanie przed swoim przeznaczeniem, dokona dobrego lub złego wyboru...

Marc zniknął na dziedzińcu Paris VIII, jak gdyby się rozplynął. Mariam wpatrywała się przez chwilę w nieprzerwaną rzekę przechodniów.

Na pewno uciekał, przekonany o swoich racjach. A jednak, myślała Mariam, jeden szczegół, ziarnko piasku mogło wszystko zaburzyć, zachwiać jego najgłębszymi przekonaniem, całym jego życiem.

Trzepot skrzydeł ważki.

Marc oddalał się pośpiesznie od Lenina, aleją Stalingradu, trochę na oślep, w stronę stadionu Delaune. Tłum śpieszących się rankiem do pracy przeredzał się. Na chodniku mijał więcej osób starszych, matek z dziećmi, które przewiesiły torby przez rączki wózków. Przeszedł jeszcze jakieś pięćdziesiąt metrów, żeby zostać sam. Drżącymi rękoma rozdarł ozdobny papier i od niechcenia wcisnął opakowanie do kieszeni spodni. Jego oczom ukazało się kartonowe pudełeczko. Otworzył je nerwowo.

Przedmiot wypadł mu na dłoń.

Marc się zachwiał.

Na chwilę nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Zatoczył się o jakieś dwa metry jak nieporadna marionetka. Plecami otarł się o zimny metal latarni. Nabrał powoli powietrza, żeby odzyskać równowagę i uspokoić oddech.

Nie panikować, spokojnie, odzyskać kontrolę.

Część ulicy była pusta, ale gdyby krzyknął, ktoś by go usłyszał i przyszedł. Nie. Musi myśleć racjonalnie.

Wbrew sobie oddychał jednak coraz szybciej, czuł, jak ściska go w gardle... Zawsze te same objawy, odkąd skończył dwa lata – agorafobia.

Oddychać, spokojnie, odzyskać spokój.

Agorafobia, wbrew temu, co się powszechnie sądzi, nie jest strachem przed przestrzenią ani tłumem... To strach przed tym, że nie otrzyma się pomocy... W pewnym sensie to strach przed strachem... Logiczne zatem, że taka panika przychodzi w miejscach, gdzie człowiek czuje się osamotniony, na pustkowiu, w lesie, w górach, na morzu... Ale również pośród tłumu, na sali wykładowej, na stadionie, tak samo na ulicy czarnej od kłębiących się ludzi, jak i na ulicy zupełnie wyludnionej...

Marc przyzwyczyił się do tego już dawno, umiał sobie radzić, o ile atak nie był zbyt silny. Teraz zdarzało mu się to rzadko. Potrafił wysiedzieć na wykładach w salach nabitych po brzegi, jeździć metrem, pójść na koncert...

Nabrał powietrza.

Pomału zaczynał oddychać normalnie. Nadal opierał się o latarnię, mimo że stalowy pręt wrzynał mu się w plecy.

Spuścił wzrok na swoją dłoń.

Trzymał w niej malutką zabawkę.

Samolot.

Idealna replika airbusa A300, żelazna, dość ciężka, mlecznobiała z wyjątkiem niebiesko-biało-czerwonego ogona. Malutki model, jakich tysiące na półkach w pokojach chłopców. Drżąca dłoń Marca zamknęła się na zimnym samolocie.

Co to oznacza?

Żart?

Chory prezent do lektury zeszytu Grand-Duca?

Śmieszne...

Marc musiał się zastanowić. Nie ma nic oprócz zabawki?

Zanurzył dłoń w kieszeni spodni i wyjął papier. Zaklął, zły sam na siebie. W papierze, który pogniół w pośpiechu, znajdowała się biała karteczka z odręcznie napisanym liścikiem. Marc natychmiast rozpoznał pismo Lylie. Jeszcze mocniej oparł się o latarnię i zaczął czytać.

Marc,

muszę wyjechać. Nie miej mi tego za złe, zawsze to sobie obiecywałam. Że wyjadę, gdy skończę osiemnaście lat. Wyjadę daleko, dokądkolwiek... do Indii albo do Afryki, w Andy... albo do Turcji, czemu by nie? Nie martw się, niczego się nie obawiaj, jestem przyzwyczajona do latania samolotem, prawda? Jestem silna.

Gdybym Ci o tym powiedziała, nie zgodziłbyś się. Jeśli się jednak zastanowisz, zgodzisz się ze mną. Nie możemy dalej trwać pełni wątpliwości. Dlatego muszę się oddalić. Od Ciebie. Muszę to zakończyć. Obciąć martwe gałęzie...

Marc, nie próbuj mnie szukać, dzwonić do mnie. Muszę nabrać dystansu, potrzebuję czasu.

Tak mi się zdaje.

Pewnego dnia dowiemy się, kim jesteśmy, jedno i drugie; jedno dla drugiego.

Trzymaj się.

Emilie

Marc poczuł, że znowu zaczyna się dusić. Z całej siły próbował odepchnąć myśli kłębiące się w jego głowie.

Coś robić. Działać.

Zrobił krok naprzód, otworzył plecak, schował malutki samolocik, list i papier. Oddychał przez chwilę, po czym wziął do ręki telefon komórkowy. Dzięki pracy we France Telecom zdobył dla siebie i dla Lylie wspaniałe modele aparatów, ostatni krzyk mody z automatycznym zapisywaniem numerów.

Bez zastanowienia przewinał listę nazwisk, zatrzymał się na Lylie i nacisnął na zielony guzik. Ekran się rozświetlił, ale sygnał oczekiwania wydawał się rozbrzmiewać w nieskończoność.

Często zdarzało się, że Marc dzwonił do Lylie, a ona nie odbierała. Poczta głosowa włączała się po siedmiu sygnałach. Liczył w myślach. Po czwartym stracił nadzieję.

„Dzień dobry, tu Emilie. Proszę zostawić wiadomość, oddzwonię, gdy będę mogła. Do usłyszenia. Buziaki”.

Marc przełknął ślinę. Głos Lylie sprawił, że do oczu napłynęły mu łzy.

– Lylie. Mówi Marc. Zadzwoń, proszę. Gdziekolwiek jesteś. Proszę, oddzwoń. Całuję. Zależy mi na tobie. Bardziej niż na czymkolwiek. Zadzwoń do mnie. Wróć do mnie.

Rozłączył się. Szedł powoli chodnikiem bulwaru Stalingradu, trawiąc słowa Lylie.

Wyjechać...

Zakończyć to...

Obciąć martwe gałęzie...

Co to ma znaczyć?

Marc nie był głupi, osiemnaste urodziny Lylie to tylko pretekst, całe to przedstawienie wiązało się z zeszytem Grand-Duca, z zapiskami, które Lylie czytała całą noc. Co w nich znalazła? Czego się domyśliła?

„...dowiemy się, kim jesteśmy, jedno i drugie; jedno dla drugiego”...

Nie! Marc nie podzielał wątpliwości Lylie. Nic nie mogło zburzyć jego głębokiego przekonania.

Dotarł na plac generała Leclerca. Autobusy mijają się, jadąc w zwartych sznurach ulicą Gabriel-Péri i aleją Colonel-Fabien.

Co mógł zrobić? Jak odnaleźć Lylie? Udać się tą samą drogą co ona? Przeczytać zapiski Grand-Duca aż do ostatniej strony i odgadnąć to, co odgadła ona?

Zaklął. Stał nieruchomo, gdy tymczasem autobusy nadjeżdżały i odjeżdżały z placu. Wydawało mu się niewykonalne siedzieć i czytać te sto stron, łudząc się nadzieją, że trafi na jakiś trop. Po raz kolejny wziął telefon komórkowy, przewinął listę nazwisk i zatrzymał się na P.

Praca.

Oddalił się nieco od placu, gdzie panował ogłuszający hałas.

– Halo? Jennifer...? Super, mówi Marc. Wybacz mi, strasznie mi się spieszy. Potrzebuję informacji, to sprawa osobista, chodzi o numer telefonu i adres jednego gościa z Paryża... Zapiszesz jego nazwisko?... Grand-Duc. Crédule Grand-Duc... Tak, wiem, że to niebanalne. Dzięki temu nie będzie dwóch identycznych osób...

Jennifer, jego koleżanka pracująca we France Telecom, była w tym samym wieku, studiowała literaturę obcą i Marc nie miał wątpliwości, że mogłaby się w nim zakochać, gdyby się trochę postarał. Ze słuchawką przy uchu podniósł wzrok, wpatrywał się przez kilka sekund w białe niebo i trzy dzwony na szczycie bazyliki Saint-Denis, ponad budynkami, kilka ulic dalej.

– Tak?... Naprawdę, masz go? Genialnie!

Marc nabazgrał numer i adres Grand-Duca. Rzucił w pośpiechu podziękowanie, rozłączył się i natychmiast wybrał numer prywatnego detektywa. Telefon długo dzwonił w pustce, aż włączyła się automatyczna sekretarka. Marc zaklął w duchu. Trudno, musiał działać, nie mógł tracić czasu.

– Grand-Duc? Tu Marc Vitral. Muszę z panem za wszelką cenę porozmawiać albo nawet się spotkać. Możliwie jak najszybciej. Chodzi o Lylie. I o pański zeszyt, ten, który pisał pan dla niej. Mam go w ręce, dostałem od niej, właśnie go czytam. Jeśli odsłucha pan tę wiadomość, proszę do mnie oddzwonić. Na komórkę. Jadę do pana, będę najpóźniej za trzy kwadransy...

Marc, zdeterminowany, schował telefon do kieszeni. Wrócił tą samą drogą i doszedł na bulwar Stalingradu, kierował się w stronę ostatniej stacji linii numer trzynaście. Grand-Duc mieszkał przy ulicy Butte-aux-Cailles pod numerem dwadzieścia jeden. Marc przypominał sobie rozkład linii metra. Odkąd od dwóch lat przechadzał się samotnie ulicami Paryża, nauczył się miasta, nie musiał już nawet korzystać z planu. Linią numer trzynaście w kierunku Châtillon-Montrouge dojedzie do centrum przez Saint-Lazare, Pola Elizejskie, plac Inwalidów, Montparnasse... Butte-aux-Cailles powinna znajdować się na trasie linii numer sześć w stronę stacji Nation, między Glacière a Place d'Italie. Należało przesiąść się na Montparnasse. W sumie jakieś dwadzieścia stacji, może trochę więcej.

Kilka minut później Marc znowu znalazł się przed uniwersytetem Paris VIII na ulicy, przy której mieściła się kawiarnia Lenin. Z daleka rzucił okiem w stronę lokalu Mariam, po czym wsiadł do metra. W podziemiach, tuż za pierwszym zakrętem, nieco osłonięty od przeciągu, na brudnym prześcieradle spał jakiś typek z psem, chudym, żółtawym kundlem. Mężczyzna nawet nie żebrał. Marc położył dwa franki na jego przykryciu, prawie nie zwalnając kroku. Pies odwrócił głowę i patrzył zdziwiony, jak Marc odchodzi. Od dwóch lat, odkąd błądził po paryskim metrze, dawał drobną monetę prawie za każdym razem, gdy mijał bezdomnego. Ten zwyczaj został mu z Dieppe, gdzie babcia zawsze dawała coś ludziom na ulicy. Uczyła go, wpajała mu rok po roku hierarchię wartości, mówiła o solidarności, uczyła nie bać się biednych, przewycięzać wstyd przed daniem. Wszystko to stworzyło jego moralność niezależnie, czy był w Dieppe, w Paryżu, czy w jakimkolwiek innym miejscu. Kosztowało go to majątek! Lylie dobrotliwie się z niego podśmiewała. Żaden paryżanin tak nie robi! W takim razie on nie był paryżaninem.

Na peronie, z którego odchodziły pociągi w stronę Saint-Denis-Paris, nie było prawie nikogo. Mam szczęście, pomyślał Marc. Czterdzieści pięć minut jazdy metrem, dwadzieścia stacji... będzie mógł dalej czytać zapiski Grand-Duca, próbować zrozumieć; teraz jego kolej.

Przejdzie śladami Lylie.

Jednak trzy słowa nie dawały mu spokoju.

„Obciąć martwe gałęzie...”.

Co chciała przez to powiedzieć?

Obciąć martwe gałęzie?

Metro wjechało na peron. Marc wsiadł do wagonu i wyjął zeszyt.

W jego głowie kołatała się szalona myśl, która nie dawała mu spokoju. A jeśli ten samolot to złuda, przedstawienie mające zrobić na nim wrażenie? Lylie nie powiedziała mu wszystkiego. A ten pierścionek? Skąd miała pierścionek z szafirem? Zbyt wiele niewiadomych.

A może Lylie nie wyjechała? A może została i ma zupełnie inne zamiary?

Odsunęła go.

Chciała go odsunąć, bo to, co zamierzała, było ryzykowne, niebezpieczne.

Chciała go odsunąć, ponieważ nie zgodziłby się.

Obciąć martwe gałęzie...

A jeśli Lylie odkryła prawdę i chciała się zemścić?

Dziennik Crédule'a Grand-Duca

Zaletą dziennikarzy z prasy regionalnej jest to, że rzadko kiedy zdobywają jakieś cenne informacje przed dziennikarzami z Paryża. Nawet gdy ciekawe rzeczy dzieją się tuż pod ich nosem, w ich ogródku, media paryskie dowiadują się przed nimi, przyjeżdżają pierwsze i robią wywiady z głównymi bohaterami zdarzeń, które ukazują się już w wydaniu wieczornym. A więc gdy prasa regionalna zdobywa informację, która może zainteresować całą Francję, korzysta... Co więcej, wykorzystuje ją z polotem tak, aby dała owoce, wyciska z niej wszystkie soki, aż do ostatniej kropli.

Kwadrans po telefonie Pierre'a Vitrala pojawił się u niego przy ulicy Pocholle dziennikarz z „Informations dieppoises”. Lucile Moraud działała jak najszybciej. „L'Est républicain” należał do tej samej grupy wydawniczej co lokalny tygodnik „Informations dieppoises”. Dziennikarz pracujący na zlecenie miał za zadanie zdobyć pierwsze informacje, zdjęcia i przefaksować wszystko do siedziby w Nancy. Lucile Moraud wynegocjowała wejście w regionalnej telewizji FR3-Franche-Comté i FR3-Haute-Normandie. Strategia była prosta – sprzedać następnego dnia jak największy nakład. Należało wyczulić opinię publiczną, w przeddzień wieczór przedstawić kilka szczegółów w telewizji, tak aby następnego ranka wszyscy nabrali ochoty na przeczytanie wywiadu z Vitralami udzielonego tylko „L'Est républicain” i opublikowanemu w całości na drugiej stronie pisma. Krótkie reportaże z kanałów regionalnych wieczorem retransmitowały stacje ogólnokrajowe. Ekipa z TF1 zaskoczyła Léonce'a de Carville'a przed domem w Coupvray, zanim zdążyli wkroczyć jego adwokaci i go uciszyć. Sam osobiście dolał oliwy do medialnego ognia.

Nie, nie zaprzeczył.

Owszem, zaproponował Vitralom pieniądze.

Owszem, był głęboko przekonany, że dziewczynka ocalała z katastrofy to jego wnuczka, Lyse-Rose, i działał jedynie w przypływie hojności wobec Vitralów. Może z litości, wszystko się pomieszało. Przecież to oczywiste, że Bóg oszczędził jego rodzinę. Nie mogło być inaczej.

Następnego dnia, osiemnastego lutego tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego, wypowiedział się jeszcze na żywo na antenie RTL w wiadomościach o dziesiątej.

– W razie wątpliwości, gdy nie jest znana prawda, sędzia powinien pomyśleć o interesie dziecka, tylko i wyłącznie o jego interesie. Gdyby to było możliwe, powinno zdecydować samo dziecko. Gdyby potrafiło, czyż nie wybrałoby takiej przyszłości, jaką mogę zapewnić mu ja, a nie Vitralowie?

Pracując nad tą sprawą, dowiedziałem się, że machina medialna funkcjonuje jak ogromna lawina śnieżna schodząca ze zbocza, nikt nie może jej powstrzymać. Jeśli pamiętacie jeszcze sprawę Ważki, bez wątpienia pamiętacie też tych kilka tygodni poprzedzających wyrok. Między lutym a marcem osiemdziesiątego pierwszego nie mówiono o niczym innym, oczywiście z wyjątkiem wyborów prezydenckich. Francja podzieliła się na dwie frakcje. Ogólnie i karykaturalnie można powiedzieć – bogaci przeciwko biednym. Dwa nierówne obozy. Gdyby podzielić Francję według poziomu zamożności, znaczna większość znalazłaby się pod kreską. Znaczna większość popierała zatem Vitralów, którzy coraz częściej pojawiali się w telewizji, w radiu, w gazetach. Pomyślicie – felieton

o nieznanym zakończeniu!

Carville, chcąc nie chcąc, przybrał rolę tego złego. „Serial” zaczynał pochłaniać całą Francję. Choć Léonce nie był podobny do złego bohatera z serialu *Dallas*, kreowanego przez J.R. Ewinga, porównywano go do niego. Okazja była ku temu wspianiała. I tak jak J.R. w serialu *Dallas* de Carville mógł zwyciężyć.

Suspens. Emocje.

Może i wy opowiedzieliście się wówczas po którejś ze stron?

Ja nie. W tamtym czasie sprawa Ważki nic mnie nie obchodziła. Wszystkie szczegóły poznałem później, gdy prowadziłem długie i staranne śledztwo. W lutym osiemdziesiątego pierwszego roku nadal zajmowałem się aferą w kasynie. Z wybrzeża baskijskiego przeniosłem się na Lazurowe Wybrzeże, na riwierę sąsiadującą z Włochami. Śledziłem z ukrycia. Była to nużąca praca, która przynosiła coraz mniejsze dochody. Przypominam sobie jednak, że któregoś wieczoru, dość późno, gdy siedziałem w hotelowym pokoju, wychwyciłem jakiś skrawek programu w telewizji, jakieś fragmenty przedwczesnego reality show. Gościem programu była Nicole Vitral, która stopniowo zaczęła zajmować się kontaktami z mediami. Machina, którą uruchomił Pierre, już dawno go przerosła. Uciekał przed kamerami. Gdyby mógł, pewnie wszystko by zatrzymał, pozwolił działać wymiarowi sprawiedliwości i zaryzykował to, że może ostatecznie przegrać.

Nicole Vitral musiała mieć wtedy jakieś czterdzieści siedem lat. Młoda babcia. Nie była ładna, ale bez wątplenia należała do osób, które media określają, jak się dowiedziałem, dobrym materiałem na wizję. Dysponowała swoistą komunikatywną energią, jej sprawa przypominała drogę krzyżową, a ona była świętą, męczennicą, nagłaśniała temat z przekonaniem i niepowtarzalnym normandzkim akcentem... Mówiła szczerze, prosto, wzruszająco, zabawnie, a wszystko to świetnie wyglądało na ekranie. Jej poorana zmarszczkami, ogorzała przez lata od wiatru i jodu znad kanału La Manche twarz nie nadawała się do ujęć w zbliżeniu. W wieku czterdziestu siedmiu lat wyglądała staro... Nie była modelką...

Jednakże tamtego wieczoru, gdy siedziałem samotnie przed telewizorem, nie wiedząc nic o sprawie ani o drodze przez mękę Nicole Vitral, kobieta, której nigdy wcześniej nie widziałem, wprowadziła mnie w zakłopotanie. Fizycznie.

Na pewno nie byłem jedyny. Miała niebieskie, roziskrzane oczy rzucające wyzwanie życiu i wszelkim nieszczęściom... Uwagę jednak przykuwały przede wszystkim jej piersi. Nicole Vitral w wydekoltowanych sukienkach i niedopiętych bluzkach zupełnie naturalnie eksponowała wydatny biust. Pomagało to pewnie podczas sprzedaży z ciężarówki w Dieppe. Dopełnieniem całości była kamizelka albo marynarka, którą Nicole Vitral bez przerwy zapinała, aby zasłonić nagi dekolt. Od tamtej pory często ją obserwowałem i zauważyłem, że stało się to u niej tikiem, odruchem. Gdy się z nią rozmawia, w którymś momencie wzrok musi się ześlizgnąć, choćby na ułamek sekundy, a wówczas Nicole, prawie natychmiast, nie przerywając rozmowy, nie czując się zażenowana czy świadoma tego, zapina kamizelkę, której poły i tak za parę sekund znowu się rozsuwają.

Dziwna, kłopotliwa gra, której nigdy nie mogłem się oprzeć.

W telewizji stawała się jeszcze bardziej krępująca. Kurtyna marynarki otwierała się i zasuwiała na jej piersiach w zależności od tego, czy spoczywał na nich wzrok coraz bardziej zażenowanego

prowadzącego. Jednak gdy on się odwracał, żeby zapytać o coś innego gościa programu, telewidzowie mieli wspaniałą okazję, aby obserwować otwartą kurtynę na obfitym biuście. Operator kamery robił dyskretne i sugestywne zbliżenie tak, aby czujnik Nicole pozostał w uśpieniu, a marynarka nie przykryła dekoltu.

Nicole Vitral, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, swoim nietypowym fizycznym urokiem, w lutym osiemdziesiątego pierwszego, wprowadziła Francję w zakłopotanie. Mnie również. Wtedy jeszcze jej nie znałem, miałem ją spotkać dopiero kilka miesięcy później. Wprowadziła mnie w zakłopotanie przez całe osiemnaście lat. Dzieje się tak nawet teraz, gdy Nicole ma już prawie sześćdziesiąt pięć lat. Tyle co ja, z różnicą kilku miesięcy.

Tak więc sprawa Vitralów i małej Emilie nagle stała się łakomym kąskiem. Najlepsi adwokaci we Francji, przynajmniej ci, którzy nie pracowali jeszcze dla de Carville'ów, zaoferowali swoje usługi rodzinie z Dieppe. Oczywiście za darmo! Sprawa była maksymalnie nagłośniona, opinia publiczna zainteresowana... Uśmiech losu! Od tej pory obie strony miały równie kompetentnych adwokatów.

Pierwszym zadaniem nowych, kompetentnych, wpływowych i dobrze obeznanych z mediami adwokatów Vitralów było przeprowadzić od lutego do marca osiemdziesiątego pierwszego prawdziwą wojnę przeciwko sędziemu Le Drianowi. Vitralowie podejrzewali go o stronniczość, byli przekonani, że koniec końców wyda wyrok na korzyść de Carville'ów, gdyż zarówno on, jak i oni należeli do tego samego świata. Wspólne kluby, zebrania masońskie, obiady u ambasadora – mówiono o tym, czyniono niewybredne insynuacje... W końcu sąd się ugiął! Sędzia Le Drian zrezygnował pierwszego kwietnia – niezły dowcip! – i powołano wówczas sędziego Webera. Weber był niski, trzymał się prosto, nosił okulary, wyglądał jak skrzyżowanie Eliota Nessa z Woodym Allenem... Jego uczciwości nikt nigdy nie podważył, nawet de Carville'owie.

Przesłuchanie pierwszych świadków zaczęło się czwartego kwietnia. Miesiąc później niezależnie od wszystkiego mieliśmy poznać werdykt. Sędzia musiał podjąć decyzję. Obie strony zgadzały się co do tego, że nie chcą rozwiązań pośrednich, żadnego wyroku sugerującego podwójną tożsamość ani przyznającego częściową opiekę. Gdyby dziewczynka spędzała tydzień u jednej rodziny, wakacje u drugiej, narodziłby się twór z dwóch imion. Przez całe życie nazywałby się Lylie.

Nie, sędzia Weber musiał przeciąć węzeł. Podjąć decyzję o życiu i śmierci. Zdecydować, kto przeżył, a kto zginął. Lyse-Rose de Carville czy Emilie Vitral? Od tamtej pory wciąż się zastanawiam. Czy jakikolwiek inny sędzia miał taką władzę, żeby zabić jedno dziecko, a pozwolić żyć drugiemu? Być zarazem wybawcą i katem? Jedna rodzina musiała zwyciężyć, druga wszystko stracić. Tak jednak było lepiej, co do tego wszyscy się zgadzali...

Zakończyć sprawę.

Oczywiście. Ale na jakiej podstawie?

Od tamtej pory przeczytałem dziesiątki teczek, setki stron, które trafiły do rąk sędziego Webera. Lata później dzięki de Carville'om otrzymałem dostęp do dziesiątek godzin nagrań z procesu. Słuchałem ich później w kółko...

Ekspertyzy i kontrexpertyzy, z których można było wyciągnąć wnioski albo całkowicie im

zaprzeczyć. Przesłuchania sprowadzały się do kłótni specjalistów powoływanych przez obie strony, a wszyscy oni i tak pozostawali stronniczy. Eksperti obiektywni nie mieli prawa głosu! Po wielu dniach przesłuchań sprawa nadal tkwiła w martwym punkcie – dziecko ma niebieskie oczy... Jak Vitralowie. Vitralowie prowadzili, ale adwokaci de Carville’ów w ostatniej chwili wygrzebali skądś kuzynkę o jasnych oczach...

Sędzia Weber musiał chyba mieć w kieszeni monetę i podczas niekończących się przesłuchań obracać nią dyskretnie.

Adwokaci de Carville’a włożyli całą swoją energię, aby zapomniano katastrofalne wystąpienia ich klienta w mediach, aby zmienić jego image, aby zdobyć opinię publiczną. Sprawa nie była z góry wygrana, mimo to udało im się, przynajmniej częściowo. Zaatakowali publicznie „klan Vitralów”, jak nazywali rodzinę, ich okolicę i cały region...

Wobec tego klanu i nieprzychylniej opinii publicznej Léonce de Carville został sam ze swoją dumą, zasadami i moralnością. Adwokatom z nie najlepszym skutkiem udało się odziać go w kostium poświęcającej się ofiary, kozła ofiarnego opinii publicznej. Powierzyli mu rolę człowieka twardego, ale uczciwego, który całe życie walczył o powodzenie, a teraz odmawia mu się prawa do odpoczynku. Prawa do bycia dziadkiem. Prawa do bycia dziadziusem z powieści *Jean de Florette* Pagnola, który przez całe życie popełnia straszne błędy, ale w końcu, gdy wszystko obraca się przeciwko niemu, czytelnik zamiast krzyknąć „wreszcie!”, wzrusza się do łez.

Właśnie taką rolę miał odegrać Léonce de Carville w trakcie spotkań z dziennikarzami: być jak złamany dąb. Opinia publiczna i dziennikarze zaczęli nabierać wątpliwości – a jeśli to de Carville mówił prawdę...? A jeśli wszyscy dali się nabrać na medialne manipulacje Vitralów? Na ich biedę, którą tak bezwstydnie epatują? Na wielkie piersi Nicole?

Adwokaci de Carville’ów naprawdę znali się na rzeczy...

Czy więc całe śledztwo miało zakończyć się patem? Mimo że sprawa była pilna, zaczynała się przedłużać. Zapowiadało się, że będzie trwać w nieskończoność.

Ostatniego dnia przesłuchań na scenę wkroczył Marc Leguerne, najmłodszy adwokat Vitralów. Muszę przyznać, że od tamtej pory w Paryżu jest bardzo poważany. Ma swoją kancelarię na trzech piętrach przy ulicy Saint-Honoré. Jednak wówczas, w osiemdziesiątym pierwszym, zupełnie nikt go nie znał. Był tylko jednym z adwokatów, którzy za darmo bronili Vitralów. Morał może być więc taki: reprezentowanie wdowy i sieroty, którym nie ma jak zbudować linii obrony, może przynieść mnóstwo korzyści.

Leguerne przygotował się, aby uzyskać lepszy efekt. Poprosił sędziego Webera, żeby mógł zabrać głos jako ostatni, jakby w ostatniej minucie miał wyjąć z rękawa asa, który przesądzi sprawę...

2 października 1998, 10.47

Saint-Lazare

Gwałtowny hałas sprawił, że Marc podniósł głowę. Drzwi wagonu otworzyły się, a zwarty tłum na peronie zaczął się wciskać do wagonu, który dotychczas pozostawał prawie pusty. Nie było aż tak tłoczno jak podczas porannego czy popołudniowego szczytu, ale zagęszczenie ciał na jednym metrze kwadratowym zmusiło Marca, żeby wstał. Składane krzeselko uderzyło o metalowe oparcie. Marc przesunął się w kąt i przykleił do szyby. Nie schował zeszytu. Oparł się mocno i aby utrzymać równowagę, lekko rozstawił nogi. Facet trzymający się górnej poręczy jedną rękę podetknął mu pod nos, a w drugiej trzymał thriller w formie kieszonkowej, który pożerał zachłannie. Marc odwrócił się lekko, żeby czytać dalej. Drobne, ciasne pismo Grand-Duca tańczyło mu przed oczami w rytm szarpnięć pociągu.

Dziennik Crédule'a Grand-Duca

Leguerne stanął za balustradą. Dwudziestego drugiego kwietnia osiemdziesiątego pierwszego na sali było około trzydziestu osób, obie rodziny, bliscy, adwokaci, świadkowie, policjanci. Leguerne najpierw zwrócił się do obecnych na sali policjantów.

– Panowie – zaczął – czy cudownie ocalona dziewczynka, gdy ją znaleziono, miała na sobie jakąś biżuterię? Na przykład naszyjnik? Wisiorek? Może bransoletkę z imieniem?

Śledczy patrzyli mętym wzrokiem. Komisarz Vatelier siedzący w pierwszym rzędzie odkasznął pod wąsem. Nie, oczywiście, że nie! Przecież dziecko nie miało bransoletki z napisem Lyse-Rose ani Emilie! Dokąd zmierzał ten młody pretensjonalny adwokat?

– Dobrze – kontynuował Leguerne. – Pani Vitral, czy mała Emilie miała jakąś ozdobę, łańcuszek albo bransoletkę?

– Nic takiego – odparła Nicole Vitral.

– Jest pani pewna?

– Tak...

Nicole Vitral opanowała szloch i mówiła dalej:

– Tak. Mieliśmy dać Emilie bransoletkę na chrzciny po ich powrocie z Turcji. Zamówiliśmy ją już nawet u Lecefra w Offranville, ale Emilie nigdy jej nie założyła.

Nicole zakończyła zdanie szlochem, którego tym razem nie powstrzymała. Schyliła się, szukała czegoś przez chwilę w torebce, aż wyciągnęła ozdobne, czerwone, podłużne pudełeczko, które podetknęła pod nos sędziemu Weberowi. Otworzyła je i położyła na dłoni małą srebrną bransoletkę.

Delikatną i nieprzydatną.

Zgromadzonych na sali łącznie ze zwolennikami de Carville'ów ogarnęło wzruszenie.

Imię *Emilie* wygrawerowano kursywą, łączonym, dziecinnym, niemal radosnym pismem. Na bransoletce była też data urodzin: trzydziesty wrzesień tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku.

Dowiedziałem się później, że wszystko zostało ukartowane, wyznała mi to sama Nicole Vitral!

Chrzest zaplanowali na następny miesiąc, ale żadnej bransoletki wówczas jeszcze nie zamówili. Było to przedstawienie, ryzykowne, ale opłacalne. Pranie mózgu przed ostatecznym ciosem.

Młody adwokat odwrócił się do Léonce'a de Carville'a.

– Panie de Carville, czy Lyse-Rose miała jakąś ozdobę? Na przykład bransoletkę?

De Carville, zaniepokojony, spojrzał na swoich adwokatów. Sędzia Weber naciskał:

– Panie de Carville, proszę odpowiedzieć na pytanie.

Carville już miał odpowiedzieć, ale energiczny Leguerne nie dał mu czasu. Triumfalnie wyjął ze swojej opasłej czerwonej teczki fotokopię faktury, i to nie byle jakiej, bo od Philippe'a Tournaire'a, złotnika z placu Vendôme.

Sędzia Weber potwierdził. Fakturę wystawiono za złotą masywną bransoletkę. W zamówieniu wpisano, że imię Lyse-Rose i datę urodzin, czyli dwudziesty siódmy września tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku, wygrawerowano ręcznie. Faktura nosiła datę drugiego października osiemdziesiątego roku, więc została sporządzona w niecały tydzień po narodzinach Lyse-Rose.

To nie dowodziło niczego, absolutnie niczego, ale po raz pierwszy od początku przesłuchań de Carville znalazł się na pozycji defensywnej, bez starannie przygotowanego przez swoich adwokatów kontrargumentu.

– Panie de Carville, czy Lyse-Rose miała zazwyczaj na ręce tę bransoletkę?

– Skąd miałbym to wiedzieć? Wysłałem ją do Turcji tuż po narodzinach Lyse-Rose na nazwisko syna. Podejrzewam jednak, że zakładali ją wnuczce rzadko... Na specjalne okazje... To była cenna bransoletka.

– Tak pan podejrzewa, czy wie to pan?

– Podejrzewam...

– Dobrze, dziękuję panu.

Leguerne wyjął kolejną fotokopię ze swojej czerwonej teczki, była to kopia kartki pocztowej wysłanej z Ceyhan w Turcji.

– Panie de Carville, czy to tę kartkę otrzymał pan od syna z Turcji około miesiąca po narodzinach Lyse-Rose?

– Skąd pan to ma?! – krzyknął Carville.

– Czy dostał pan taką kartkę? – pytał dalej niewzruszony Leguerne.

Carville odpuścił, nie miał wyboru. Gałęzie dębu się uginały.

– Tak, dostałem...

– „Drogi ojczy...” – zaczął czytać Leguerne. – Pomijam szczegóły, oto co nas interesuje. „Dziękuję za bransoletkę... Musiałeś zapłacić za nią majątek, jest wspaniała. Lyse-Rose się z nią nie rozstaje... To jedyne, co wyróżnia ją tutaj jako małą Francuzkę”...

Leguerne przerwał, triumfował, podczas gdy zebrani na sali popadli w osłupienie.

Nigdy się nie dowiedziałem, kto zdradził Carville'ów. Pewnie jakiś ich pracownik. Leguerne musiał zapłacić za tę kartkę jak za złoto... Cóż, złoto... Wszystko jest względne... W porównaniu z trzypiętrową kancelarią przy ulicy Saint-Honoré!

– To niczego nie dowodzi! – zagrzmiął adwokat de Carville'ów. – To jakaś groteska! Bransoletka mogła zostać w domu, mogła się odpiąć podczas katastrofy...

Leguerne triumfował:

– Czy znaleziono jakąś bransoletkę albo inną podobną ozdobę w pobliżu airbusa, na miejscu zdarzenia, gdzie przeszukano każdy centymetr kwadratowy?

Na sali zapanowała cisza. Także Vatelier milczał, stojąc z rękoma w kieszeniach skórzanej kurtki, był przybity, że młody ambitny adwokat w czarnej todze wyprzedził go w śledztwie.

– Nie, oczywiście, że nie... Prawda, panie komisarzu? Czy na nadgarstku dziecka widniał jakiś ślad bransoletki, która mogła zostać zerwana? Jakikolwiek najmniejszy czerwony ślad?

Pauza, umiejętnie dozowana chwila przerwy.

– Nie, oczywiście, że nie, lekarze nie zauważyli niczego takiego... Pójdźmy jeszcze dalej. Czy na nadgarstku dziecka zauważono jasny ślad? Nieopalone miejsce, które zostaje po zdjęciu ozdoby, którą nosi się bez przerwy?

Czas jakby się zatrzymał.

– Nie... oczywiście, że nie... Dziękuję panu, to wszystko.

Leguerne wrócił na swoje miejsce. Adwokaci po raz kolejny krzyknęli, że to zwykłe przedstawienie, że ta nieszczęsna bransoletka nic nie znaczy... Leguerne nie reagował. Wiedział, że im bardziej adwokaci przeciwnej strony będą się bronili, tym większego znaczenia nabierze kwestia.

Skoro to nic ważnego, dlaczego więc Carville nie wspomniał o bransoletce śledczym?

Z perspektywy wydaje się, że sprawa z bransoletką nie była ani mniej, ani bardziej istotna od całej reszty. Wątpliwość, kolejna wątpliwość... Jednak wówczas, w tamtym momencie procesu, bransoletka stała się czynnikiem działającym na niekorzyść de Carville'a. Nowy element w sprawie, element, na który wszyscy czekali od początku śledztwa. Tak więc nawet jeśli był to dowód znaleziony na siłę, choćby niewielki, wystarczył, aby przechylić szalę...

Sędzia Weber długo przyglądał się Léonce'owi de Carville'owi. Przedsiębiorca skłamał, nie mówiąc o tym, skłamał. Został przyłapany na gorącym uczynku. Czy choćby z tego powodu, z braku innych, prawo nie powinno opowiedzieć się za stroną przeciwną?

Z racji wątpliwości...?

Bransoletka de Carville'ów dręczyła mnie przez długie lata. Gdy pomyślę o tym, ile energii włożyłem w to, żeby ją odnaleźć, odtworzyć jej losy... Gdy pomyślę, że o mały włos, a trzymałbym ją w rękach, że brakowało tak niewiele... Och, wybaczenie, za bardzo wybiegam naprzód...

Decyzja sędziego Webera została przedstawiona kilka godzin później. Cudownie ocalona na Mont Terrible to Emilie Vitral. Jej dziadkowie, Nicole i Pierre Vitralowie, zostali jej prawnymi opiekunami, tak jak i opiekunami jej starszego brata Marca.

Lyse-Rose de Carville zginęła, spłonęła żywcem razem ze swoimi rodzicami w airbusie 5403 relacji Stambuł – Paryż.

Adwokaci de Carville'ów chcieli się odwoływać, uciekać się do wszelkich możliwych sposobów. Odmówił sam zainteresowany. Jego rola złamanego dębu, dziadziusia, nie była już tylko rolą na potrzeby chwili.

Léonce de Carville w kolejnym roku doznał dwóch zawałów w odstępie kilku miesięcy. Został

przykuty do wózka. Stał się prawie warzywem – zgodnie z logiką wydarzeń.

2 października 1998, 10.52

– Ukryj ciało Grand-Duca!

Ton Mathilde de Carville nie znosił sprzeciwu.

Malvina de Carville próbowała jednak protestować do słuchawki telefonu.

– Ale, babciu...

– Ukryj ciało Grand-Duca, jak ci mówię! Nieważne gdzie, w szafie, pod meblami. Trzeba zyskać na czasie. Ktoś może do niego przyjść. Jakaś sąsiadka, sprzątaczką, kochanka... Prędzej czy później pojawią się gliny. Głupia jesteś, na pewno wszędzie zostawiłaś swoje odciski! Natychmiast wszystko powycieraj!

Malvina przygryzła wargi, babcia miała rację, zachowała się jak idiotka. Kręciła się po salonie między ciałem Grand-Duca a wiwarium, gdzie zdychały ostatnie owady. Musiała zacząć działać, nie mogła przebywać tu zbyt długo, chciała porozmawiać z babcią.

On mógł pojawić się w każdej chwili.

– Babciu, jest coś jeszcze...

Po drugiej stronie Mathilde de Carville zrobiła pauzę. Jedną ręką trzymała słuchawkę, drugą przycinała długimi szpaler róż. Z tonu wnuczki wyczuła natychmiast, że to coś ważnego.

– Co? Co się dzieje?

– Do Grand-Duca jakieś pięć minut temu dzwonił Marc Vitral. Zostawił wiadomość na automatycznej sekretarce...

Mathilde de Carville powstrzymała się, żeby nie przerwać wnuczce. Precyzyjnym cięciem sekatora usunęła gałązkę.

– Mówił, że szuka Grand-Duca... Będzie tu za jakieś pół godziny. Jedzie metrem. Chodzi o Lyse-Rose. I... i... twierdzi, że to on ma zeszyt. Lyse-Rose przeczytała wczoraj zapiski. Dziś rano przekazała zeszyt Marcowi.

Kolejna gałązka krzaku róży upadła, obcięta tuż przy ziemi. Na czarną sukienkę Mathilde de Carville spadł deszcz zwiędłych płatków.

– A więc masz kolejny powód, żeby się pospieszyć, Malvino. Rób, co ci kazałam, zatrzyj wszelkie ślady i opuść dom.

– A... a później, babciu?

Po raz pierwszy Mathilde de Carville się zawahała. Szczęki sekatora zaciskające się na gałązkach pozostały rozwarte. Do jakiego stopnia mogła posłużyć się Malwiną? Do jakiego stopnia mogła nią dyrygować? Nie ryzykując przy tym kolejnych komplikacji...?

– Malvino, zostań w pobliżu. Marc Vitral cię nie zna. Przyczaj się na ulicy. Obserwuj go i śledź. Nie rób nic innego, zadzwoń do mnie, gdy go zauważysz. Zrozumiałaś? Nie rób nic innego! A przede wszystkim ukryj ciało!

– Zrozumiałam... babciu.

Rozłączyły się.

Metalowe szczęki zacisnęły się na gałązce.

Mathilde de Carville wiedziała, jak bardzo Malvina nienawidzi Vitralów. Miała również świadomość, że jej wnuczka właśnie przechadza się po ulicy z mauzerem L110. Naładowanym. Sprawnym. Czyż nie postąpiła słusznie, starając się nie dopuścić do spotkania Malviny z Markiem Vitralem na ulicy Butte-aux-Cailles przed domem Grand-Duca?

Owszem. Postąpiła słusznie.

Mathilde de Carville już dawno wyrzuciła to słowo ze słownika.

Najprościej było zdać się na przeznaczenie, na osąd boży. Jak zwykle.

Mathilde uśmiechnęła się do siebie i dalej z zadziwiającą zręcznością przycinała krzewy róż. Jej długie palce miały dziwną umiejętność chwytania łodyg pomiędzy kolcami, żeby uniknąć ukłucia się, a także przyciągania gałązek zdecydowanym ruchem do tnących ostrzy sekatora. Mathilde de Carville pracowała szybko, mechanicznie, prawie nie spoglądała na dłonie. Przypominała wprawna szwaczkę, która nie musi nawet patrzeć na igłę.

Do jej eleganckiej czarnej sukienki przykleiła się ziemia, źdźbła trawy i płatki. Mathilde jednak się tym nie przejmowała. Zwróciła głowę w stronę ogromnego ogrodu różanego. Léonce de Carville siedział na swoim wózku pod wielkim klonem pośrodku trawnika. Głowa opadła mu na bok. Znajdował się ponad trzydzieści metrów od niej, a Mathilde i tak słyszała jego chrapanie. Zawahała się, czy wezwać Lindę, jego pielęgniarkę, żeby poprawiła mu głowę, podłożyła pod kark poduszkę i odwiozła do domu, ponieważ nie było zbyt ciepło.

Wzruszyła ramionami. Po co...?

Jej mąż tkwił pogrążony w tym stanie wegetacji już od prawie siedemnastu lat. Z trudem udało mu się na kilka tygodni wrócić do siebie po pierwszym zawale, ale nie ustrzegł się przed kolejnym. Dostał zawału podczas walnego zgromadzenia na siódmym piętrze siedziby ich firmy mieszczącej się tuż za Bercy. Ratownikom medycznym udało się uratować mu życie, ale mózg zbyt długo był niedotleniony.

Mathilde de Carville przyglądała się swoim roślinom, patrzyła na padający na brązową ziemię cień krzyża, który nosiła na szyi.

Wyrok boski. Kolejny.

Po katastrofie na Mont Terrible jej mąż jak zwykle chciał się wszystkim zająć. Ona się załamała. Pozwoliła biec sprawom swoim rytmem. To mąż miał władzę, siłę i kontakty...

Myliła się! Po śmierci ich jedyne go syna, Alexandre'a, Léonce stracił opanowanie. Popęlniał błąd za błędem. Najpierw walizeczka pieniędzy, którą zaoferował Vitralom, później bransoletka, o której nie chciał mówić, a w końcu biedna Malvina, którą ciągał za sobą tygodniami, żeby bez przerwy składała zeznania.

Nie wspominając już nawet o niczym więcej, o czym nie należy mówić...

Mathilde czuła do tego kaleki tylko pogardę. Po tych wszystkich latach jedynym, za co nie mogła obwinić męża, była katastrofa airbusa.

Palce Mathilde prześlizgiwały się z łodygi na łodygę. Kolce róż, słabiutka broń, nie opierały się jej. Gałązki spadały jedna po drugiej.

Przecież ten słynny ropociąg Baku – Tbilisi – Ceyhan był jego pomysłem. To on wysłał swojego jedyne go syna, żeby przez długie miesiące mieszkał w Turcji razem z jego ciężarną synową. To

dlatego jego wnuczka była zmuszona urodzić się za granicą! Z powodu zachcianki! Do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego nadal nie położono nawet jednej rury tego przeklętego ropociągu.

Léonce de Carville do wszystkiego zabrał się źle.

Z niesmakiem patrzyła, jak liście klonu dziesiątkami opadają na jej męża, na jego włosy, ramiona, ręce i zbierają się na kolanach.

Mathilde obciąła ostatnią gałązkę i cofnęła się, żeby ocenić swoją pracę.

Wiele krzewów przycięła bardzo krótko. Mathilde przypomniała sobie radę własnej babci. „Krzew róży należy przycinać nisko; trzeba ciąć za każdym razem niżej, walczyć z jego chęcią rozrastania się, obcinać dziesięć centymetrów nad ziemią. Zawsze”.

Willa Różana została zbudowana w tysiąc osiemset pięćdziesiątym siódmym. Rok wryto nad wejściem. Mathilde wiedziała, że krzewy posadzono w tym samym czasie i że odtąd de Carville'owie dbali o nie samodzielnie. Zatrudniali dziesiątki osób do sprzątanía, gotowania, nadzorowania posiadłości, jednak pielęgnowaniem ogrodu różanego zajmowali się od pokoleń samodzielnie. Mathilde zaczęto uczyć ogrodnictwa, jak tylko stanęła na nóżki. Oprócz ogrodu różanego założyła ogród zimowy, bardziej oddalony od willi. Po raz ostatni z zadowoleniem przyjrzała się przyciętym krzewom i nie patrząc na męża, udała się w stronę szklarni.

Ponownie zamyśliła się nad ostatnimi słowami Malviny. A zatem zeszyt z notatkami Crédule'a Grand-Duca, całe jego śledztwo, wszystko to teraz znajdowało się w rękach Marca Vitrala...

Cóż za ironia!

Czy powinna nadal posługiwać się Malwiną, żeby wejść w jego posiadanie? Nadal ją oszukiwać, podtrzymywać jej złudzenia? Nigdy nie powiedziała Malwinie o wszystkich dowodach, jakie otrzymała od Grand-Duca.

To by ją zabiło!

Mathilde weszła do szklarni i przez dłuższą chwilę, tak jak każdego ranka, wdychała niewiarygodną mieszankę zapachów. Jej spokojna przystań. Jej dzieło. To tu, w tej szklarni, czuła się blisko Boga, blisko Jego stworzenia, do którego zbliżała się tu znacznie lepiej niż w kościele.

Malvina...

Jej szalona wnuczka!

Obłąd Malviny to także wina jej męża. Mathilde wciąż pamiętała uroczą małą dziewczynkę, jaką Malvina była w wieku sześciu lat. Jej śmiech rozlegający się na schodach, to, jak sprytnie chowała się w ogrodzie, jej oczy pełne zachwyty, gdy razem przeglądały zielniki. Czy teraz mogła przestać ją oszukiwać? Zamknąć ją w szpitalu psychiatrycznym? Jedyne, co skłaniało Malwinę do tego, żeby wstać, ubrać się, zjeść, była jej obsesja – wierzyła, że Lyse-Rose żyje, że przeżyła wbrew wyrokowi sędziego wydanemu osiemnaście lat wcześniej. Tylko ona jedna, jej starsza siostra, mogła przywrócić ją do życia, choćby po tylu latach.

Przywrócić ją do życia z mauzerem L110 w rękach...

Mathilde de Carville pochyliła się nad bukietem lilii z Cafres, jedną z ostatnich roślin kwitnących

jesienią. Mathilde udawało się co roku podziwiać ją kwitnącą aż do grudnia, była dumna z bukietu na wigilijnym stole, złożonego z czerwonych lili majori i białych lili alba. Mathilde starannie kontrolowała ilość wody, gdyż lilie uwielbiają wilgoć – w tym tkwi sekret ich blasku i żywotności.

Jej myśli powędrowały z powrotem w kierunku Malwiny uzbrojonej w zemstę. Ktoś musiał bronić interesów de Carville'ów. W sumie czemu by nie Malvina?

Sprawy miały przybrać nowy obrót w najbliższych dniach, a nawet godzinach. Skoro Lylie przeczytała już zapiski Grand-Duca, Malvina nie była jedyną bombą z opóźnionym zapłonem na środku ulicy. Grand-Duc podarował jej zatruty prezent urodzinowy. Skrót z jej życia. Wszystkie rodzinne sekrety spisane na stu stronach.

Dwie rodziny. Podwójny ból.

Można było doprowadzić Lylie do obłądzenia. Obłądzenia z wściekłości.

Mathilde de Carville zrobiła kilka kroków. Astry Czerwony Wrzesień z jej zimowego ogrodu, purpurowe promienie połączone ze złotym środkiem, gubiły ostatnie płatki. Wyglądało to tak, jak gdyby niepewna swego zakochana dziewczyna zakradła się do szklarni, żeby sobie powróżyć.

W głowie Mathilde zagościł ciekawy obraz. Jak sen, jak przecucie. Widziała, jak Lylie wchodzi do ogrodu różanego uzbrojona w mauzera L110 z palcem na spuście i powoli idzie przez trawnik.

Owszem, Lylie miała mnóstwo powodów, żeby się zemścić, jeśli Grand-Duc wyjawiał wszystko w swoim zeszycie. Mathilde uśmiechnęła się sama do siebie. Zastanawiała ją tylko jedna kwestia. Czy na palcu wskazującym spoczywającym na spuście znajdowałby się pierścienek? Jasny szafir? Czy ten pałający żądzą zemsty palec zdobilyby diamentowe inkrustacje?

Obraz rozmywał się stopniowo. Pojawił się z powrotem pomarańczowy aster, na którym zostały już tylko trzy ostatnie płatki. Mathilde de Carville wymamrotała do siebie pod nosem:

– Wszystkiego dobrego z okazji urodzin, Lylie.

Gdyby wówczas wiedziała, nigdy nie zatrudniłaby Crédule'a Grand-Duca na tak idiotycznych warunkach.

Zrobiła kilka następnych kroków, spojrzała za siebie przez ramię, żeby się upewnić, że jest sama. Była. Nikt jej nie obserwował przez szyby szklarni. Nachyliła się nad swoim tajemnym ogrodem, przesunęła irysy i dyskretnie odsłoniła kilka łodyg o żółtych kwiatuśkach, kilka sztuk jaskółczego ziela. Mathilde de Carville lubiła się przyglądać czterem żółtym złocistym płatkom tworzącym krzyż, zebranych w parasolkę. „Zioło na kurzajki”, jak się dawniej mawiało. Mathilde wolała jednak inne oblicze tej rośliny – płatki tworzące krzyż kryły w sobie śmierć. To prawdopodobnie najbardziej toksyczna z roślin, zawierająca wyjątkowo dużą ilość alkaloidów w sokach...

Jej uroczy grzech.

Bóg jej wybaczy.

Odwróciła się, wyszła ze szklarni. Léonce nadal siedział na wózku, niemy, poruszany regularnym drżeniem, które wprawiało w ruch czerwone liście.

Martwy pień o nieregularnym kształcie.

Mathilde de Carville ogarnęła wzrokiem całą posiadłość, ogród różany, dom, park...

Może jeszcze nie wszystko stracone. Nazwisko. Ród. Honor.

Lyse-Rose.

Zaczynała rozumować jak Malvina.

Pozostawała ostatnia nadzieja, wczorajszy telefon Grand-Duca, ostatni przed śmiercią. Twierdził, że odkrył nowy element, który podważył wszystko, czego przedtem był pewien. Powiedział, że trzy dni wcześniej, w ostatnich minutach swojego kontraktu, doznał olśnienia, gdy czytał „L'Est républicain”. Za pięć dwunasta!

Czy powinna być na tyle naiwna, żeby mu uwierzyć? Czy może okazać się na tyle głupia, żeby dać się nabrać na szyty grubymi nićmi blef?

Grand-Duc nie chciał zdradzić nic więcej. Wyjaśnił tylko, że musi sprawdzić kilka ostatnich szczegółów. Znowu pomyślała o Malwinie z mauzerem. Grand-Duc skończył tak jak ci świadkowie z kryminalistów, którzy podbijają ceny na aukcji, a później lądują z kulą w sercu przed końcem licytacji.

Mathilde de Carville stanęła przed ściętymi gałązkami róż. Schyliła się i zebrała je gołymi rękoma, nie krzywiąc się, nie okazując, że coś ją ukłuło.

Mimo wszystko nie mogła nie wierzyć w ostatnie słowa Grand-Duca.

Jeszcze jeden trop. Ostatnia nadzieja.

I jak zwykle w tej sprawie: równowaga w przeznaczeniu. Jeśli jedna rodzina zyska nadzieję, druga wszystko straci.

2 października 1998, 11.01

Miromesnil.

Champs-Élysées-Clemenceau.

Stacje następowały jedna po drugiej. Po każdym przystanku wagon pustoszał coraz bardziej. Metro gwałtownie przyspieszało, po czym prawie natychmiast zwalniało niczym niestrudzony ślepy sprinter.

Na stacji Invalides do wagonu wsiadła ładna dziewczyna. Przez chwilę Marcowi zdawało się, że to Lylie, że poznaje jej smukłą sylwetkę i starannie ułożone blond włosy. Wrażenie trwało tylko chwilę. W metrze aż roiło się od ładnych blondynek. Niestety, Marc nie natknie się przypadkiem na Lylie, nie pomogą też nagrywane na pocztę desperackie wiadomości. Uratować go może tylko uważna lektura zeszytu. Musi także za wszelką cenę spotkać się z Grand-Dukiem.

Varenne.

Marc został w wagonie już prawie sam. Blondynka wysiadła wcześniej. Przyszła mu do głowy dziwna myśl: na jedenaście osób w wagonie siedem to czarni. Wydawałoby się, że jakieś prawo nadal zabrania spacerować Afrykańczykom po drogich ulicach biegnących na powierzchni miasta: ulicą Grenelle, Varenne, Babylone. Marc zdecydowanie nie przyzwyczyił się do Paryża, jego biedy, obojętności, poczucia samotności, jakiego się w nim doświadcza. Brakowało mu Dieppe, komunistycznego portu z dzieciństwa. Westchnął. Nie miał już wyboru. Co innego było pilniejsze. Zrezygnowany, usiadł z powrotem i na nowo pogрузzył się w lekturze.

Dziennik Crédule'a Grand-Duca

Decyzja sędziego Webera przyszła do Vitralów pocztą bezpośrednio na rue Pocholle, rankiem jedenastego maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego. Jak symbol.

W poprzednią noc wielki falochron w Dieppe zamienił się w zaimprovizowany teatr, gdzie odbyło się święto ludowe. Śpiewano, pito, śmiano się, całą noc tańczono boso na promenadzie. Dieppe, czerwone miasto, port robotniczy, miasto wyludniające się z powodu zamykania kolejnych fabryk, tak jak w najpiękniejszy dzień czternastego lipca świętowało wybór na prezydenta François Mitteranda; było to historyczne dojście lewicy do władzy, komuniści w rządzie... Zmiana! Wszyscy to powtarzali. Najstarszy francuski kurort na jedną noc założył suknię ze swojego pierwszego balu. I nadal pasowała!

Pierre i Nicole Vitralowie również na swój sposób wzięli udział w imprezie. Czekali na to od pokolenia, walczyli, manifestowali, rozdawali na targach ulotki... Ich półciężarówka nad brzegiem morza była czynna prawie całą noc, naleśniki, gofry, pączki mieszały się z szampanem i cydrem w radosnym zamęcie... Przyszli tam ludzie w różnym wieku. Jednak Vitralowie nie czuli się całkiem wygrani. Czekali na przesyłkę z sądu, ostateczną decyzję, obawiali się, że de Carville'owie będą się jeszcze odwoływali, będą próbowali coś ugrać. Nie chcieli się cieszyć ze zwycięstwa, dopóki nie wejdą w posiadanie oficjalnego pisma, dopóki nie przytulą Emilie, która nadal przebywała w szpitalu w Montbéliard.

Nie mieli śmiałości się cieszyć.

Jednak czy ktokolwiek przed dziesiątym maja osiemdziesiątego pierwszego, nawet w Dieppe, wierzył w zwycięstwo lewicy?

Pierre otworzył list około ósmej rano. Drżącymi rękoma. Spał tylko dwie godziny. Pismo nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Cudownie ocalona na Mont Terrible dziewczynka to Emilie Vitral. Dziadkowie ze strony ojca zostali jej prawnymi opiekunami. Mieli prawo przyjechać po nią do Montbéliard jeszcze tego samego ranka.

W dzielnicy Pollet nie pochowano jeszcze fletów, szampana, oleju ani patelni. Dzielono się tym, co zostało. Impreza się przedłużyła. Trwała dziesiątego i jedenastego maja.

Dwa najpiękniejsze dni ich życia.

Mathilde de Carville czekała, aż nadejdzie wieczór, ale zanim zbliżyła się do półciężarówki Vitralów, była już prawie noc. Odczekała cierpliwie, aż odejdą ostatni klienci. Trzynastego maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego nadeszła chwila, gdy Nicole została sama – jej mąż wyjechał wówczas jak w każdy wtorek do Pollet na zebranie dzielnicy. Poważnie zastanawiał się, czy nie zgłosić swojej kandydatury do wyborów samorządowych mających się odbyć za dwa lata. Była ładna majowa pogoda, jednak jak zwykle wiało zbyt mocno.

Nadszedł czas, aby przedstawić wam Mathilde de Carville. Weszła do gry dokładnie dwa dni po wybuchu euforii. Nie jest mi łatwo być bezstronnym w kreśleniu jej portretu, po przeczytaniu kilku stron zrozumiecie dlaczego. Biorę odpowiedzialność za to, co tu napiszę, zarówno pod względem formy, jak i zawartości. Jeśli nie wydaję się wam obiektywny, uwierzcie chociaż w moją szczerość. Na czas procesu i śledztwa Mathilde de Carville zawierzyła mężowi; mężowi i Bogu. Jak dotąd przez całe życie nigdy nie musiała narzekać na Boga, na męża zresztą też nie. Wywodziła się z linii szlachty andegaweńskiej, która przeniosła się na eleganckie przedmieścia Paryża. Miała dużo uroku, zainteresowania humanistyczne, była inteligentna, głowę nosiła wysoko. Jako dwudziestolatkę podziwiano ją, mężczyźni o nią zabiegali i byli zazdrośni. Nie trwało to długo... Ufała Bogu. Zakochała się w pierwszym, którego niebo postawiło na jej drodze, i jemu przysięgła wieczną wierność. Był to Léonce, młody błyskotliwy inżynier, ambitny i biedny. Powoli niszczył jej grację i humanizm. Skoro Bóg tak chciał...

Mathilde wniosła posag o nieocenionej wartości – swoje nazwisko. Mathilde de Carville. Szlacheckie pochodzenie, szlachetna krew, ród, dziedzictwo... Léonce przyjął nazwisko żony. Zgodzicie się ze mną, że to nieczęste, aby mężczyzna przyjmował nazwisko żony! Do tego potrzeba przedrostka i drzewa genealogicznego sięgającego Ludwika Świątego... Mathilde oprócz nazwiska zaoferowała mężowi także coś, o czym nie wolno zapominać, kilka milionów w obligacjach Skarbu Państwa, których potrzebował do założenia rodzinnego przedsiębiorstwa. Przemysłowy geniusz Léonce'a dokonał reszty: pierwsze miliony przeobraziły się w dziesiątki milionów, firma odniosła sukces handlowy, patenty przynosiły zyski, otwarto filie na pięciu kontynentach. Wówczas Mathilde uważała pewnie, że nazwisko zainwestowała naprawdę dobrze...

Gdy w katastrofie lotniczej Bóg odebrał jej syna, nie zwątpiła. Może się to wam wyda dziwne,

ale z tego, czego dowiedziałem się po latach, trudne doświadczenia wystawiają wiarę na próbę i wzmacniają ją. Co ciekawe, boska niesprawiedliwość bardziej skłania do poddaństwa niż do buntu. Tak jak kara zmusza do posłuszeństwa. Szczególnie kara niesprawiedliwa, która spada przypadkowo, dla przykładu. Mathilde de Carville przywdziała habit i odpokutowała. Bóg jeden wiedział za jakie grzechy. Ufała w boską sprawiedliwość, ale także w sprawiedliwość ludzką, gdyż boska umiejętność jasnego oglądu spraw oświeca śmiertelników.

A jednak gdy sędzia zawyrokował o śmierci jej wnuczki, Mathilde zważyła po raz pierwszy. Och, nie, nie w Boga. W ludzką sprawiedliwość. A także w swojego męża.

Jej wiara się zmieniła.

Nie została zachwiana, wręcz przeciwnie, stała się bez wątpienia nawet silniejsza niż wcześniej. Przestała być jedynie kontemplacyjna, bierna, poddańcza. Mathilde de Carville uświadomiła sobie, że stała się ziemską łączniczką między Bogiem a ludźmi, że wiara jest jej siłą, jej bronią. Że wskazuje jej kierunek, uświadamia, że ma boską misję. Że musi zacząć działać.

Wiem, dokąd może zaprowadzić takie rozumowanie, do jakich fanatycznych zachowań. We wszystkich zakątkach świata ludzie zabijają się w imię bogów, którzy niczego takiego nie żądają. Otarłem się o to w poprzednim życiu, zanim ustatkowałem się jako prywatny detektyw.

Szczęśliwie dla Mathilde de Carville jej przemiana zachodziła łagodnie. Tak przynajmniej sędzę. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym uznała po prostu, że niektórzy ludzie są głusi na boskie nakazy i że skoro Bóg dał jej tyle pieniędzy, nie byłoby wbrew jego woli użyć ich, żeby zmienić bieg rzeczy.

Umocniona w tym nowym przekonaniu, Mathilde de Carville podjęła dwie decyzje, nad którymi długo się zastanawiała. Pierwszą było pójście na spotkanie z Nicole Vitral tamtego majowego wieczoru nad brzegiem morza. Druga dotyczyła mnie. Gdy spotkałem Nicole dwadzieścia miesięcy później, pamiętała każde słowo, najkrótszą ciszę.

Nicole Vitral zauważyła, jak Mathilde de Carville zbliża się do niej nadzwyczaj ostrożnie. Odruchowo zakryła dekolt połami kamizelki. Natykały się na siebie podczas przesłuchań, przy okazji ogłaszania wyroku. Teraz wszystko wyglądało inaczej, Nicole Vitral wiedziała, jakie ma prawa. Emilie to jej wnuczka. Nikt, żaden de Carville nie mógł już tego zmienić. Jedynie dlatego zgodziła się wysłuchać Mathilde.

Mathilde stała przed półpółciążarówką Citroën typu H. Znajdująca się w środku Nicole była od niej wyższa o jakieś dwadzieścia centymetrów. W głosie Mathilde nie dało się wyczuć żadnych emocji.

– Pani Vitral, przejdę od razu do rzeczy. Niektóre żałoby trudniej znieść niż inne. Jak pani wie, decyzja sędziego Webera to wyrok śmierci. Żeby przywrócić do życia jedno dziecko, zabił drugie...

Nicole Vitral wykonała gest świadczący o zniecierpliwieniu, jak gdyby chciała schować się za żelazną kurtyną. Mathilde de Carville lekko podniosła ton.

– Nie, nie, proszę mi nie przerywać, bardzo proszę. Dziś, niecały miesiąc po wyroku, nie zdajemy sobie jeszcze ze wszystkiego sprawy. Pani musi opiekować się niemowlakiem. W naszych wspomnieniach Lyse-Rose jest wciąż obecna. Jednak co będzie za pięć, dziesięć, dwadzieścia lat?

Lyse-Rose już tu nie będzie, nigdy się nie pobawi, nie pójdzie do żadnej szkoły... Za to Emilie będzie istniała, będzie żyła. Wszyscy zapomną o katastrofie i tych potwornych wątpliwościach. Dziewczynka na zawsze pozostanie Emilie Vitral i nawet jeśli nią nie była, stanie się nią. Nikt nie będzie pamiętał o zdarzeniach, które miały miejsce tuż po jej urodzeniu.

Silny wiatr sprawiał, że zasłonka z pomarańczowo-różowego płótna uderzała o ściany samochodu. Nicole czuła się zażenowana, niezręcznie, ale nie mogła przerwać Mathilde de Carville.

– Nicole... Pozwoli pani, że będę się tak do pani zwracała? Tak, niektóre żałoby trudno znieść. Nigdy nie będę miała grobu, na którym mogłabym podlewać kwiaty, żadnego marmuru, na którym mogłabym wypisać imię. Najgorsze jest to, Nicole, że gdybym tak zrobiła, gdybym opłakiwała Lyse-Rose jako zmarłą, gdybym zamawiała za nią msze, byłabym najgorszym potworem, czyż nie? Pogrzebałabym ją, gdy tymczasem ona być może żyje...

– I wszystko jasne! – ucięła szorstko Nicole Vitral.

Silny wiatr z zachodu nie potrafił poruszyć nawet najmniejszego włoska z nienagannego koka Mathilde de Carville.

– Nie, Nicole! Nie rozumie pani. Proszę mnie wysłuchać do końca. Nie chcę pani odebrać Emilie. Dla pani wszystko jest proste. Jeśli to naprawdę pani wnuczka, wszystko w porządku. Jeśli nią nie jest, wychowa ją pani jak dziecko adoptowane... Dla pani niepewność nie ma żadnego znaczenia. Podobnie jak dla ojca, który nigdy tak naprawdę nie może być pewien, czy dziecko jest jego. Jednak dla mnie te wątpliwości...

– Czego pani tak właściwie chce? – Nicole Vitral prawie wrzasnęła.

Poły kamizelki rozchyliły się na wietrze, ukazując pełny biust. Od kiedy ta historia się zaczęła, dzięki mediom, adwokatom i policji Nicole Vitral stała się pewniejsza siebie. Mówiła dalej tym samym tonem:

– Chce pani, żeby mała mówiła do pani „babciu”? Żeby od czasu do czasu dzwoniła? Chce ją pani zapraszać w każdą pierwszą niedzielę miesiąca na ciasto?

Ani jedna zmarszczka, ani jedna rzęsa Mathilde nie drgnęła.

– Nie musi być pani niemiła, Nicole. Naprawdę nie musi pani. Lyse-Rose nie żyje. Pewnie czuje pani to samo co ja... Nie może być pani pewna, czy to maleństwo, które stało się pani tak drogie i nazywa pani je imieniem Emilie, jest pani wnuczką. Nigdy się pani nie dowie. Ani pani, ani ja. Życie zapędziło nas w ślepy zaułek.

Nicole Vitral westchnęła.

– Dobrze, proszę mówić dalej. Czego pani chce?

– Chcę zwyczajnie pomóc temu dziecku. Jeśli to Lyse-Rose, będę miała spokojne sumienie. Jeśli to Emilie... tym lepiej dla niej.

Nicole Vitral nachyliła się nad ladą z morderczym spojrzeniem i zapytała:

– Jak pomóc? Widywać ją?

– Nie... Sądzę, że lepiej, żeby mnie nie znała. Nie wiem, czy zechce pani o wszystkim opowiedzieć Emilie. Oczywiście za jakiś czas. Nie wiem, czy się pani nad tym zastanawiała. Sądzę jednak, że lepiej byłoby dla niej, aby jak najdłużej o niczym nie wiedziała. Nie chcę się na nią zaczynać, przyglądać się jej z daleka, gdy będzie wychodziła ze szkoły. Z samochodu podglądać, jak

rośnie. Szukać podobieństwa do mojego syna. Nie, to do mnie niepodobne, takiego bólu bym nie zniosła.

Mathilde de Carville zachichotała w sposób do niej niepodobny.

– Nie, Nicole, ludzie bogaci mają bardziej radykalne sposoby, żeby uspokoić swoje sumienie...

– Pieniądze?

– Tak, pieniądze. Proszę schować swoją dumę, Nicole, nie przyszłam tu tak jak mój mąż kupić małej. To nie jest szantaż, transakcja, nic podobnego. To prezent dla niej. Nie chcę nic w zamian.

Nicole Vitral miała odpowiedzieć. Złość wzbierała w niej jak wiatr wdzierający się do samochodu. Mathilde de Carville nie dała jej jednak czasu:

– Proszę mi nie odmawiać, Nicole... Ma pani Emilie, wygrała pani. Nie chcę pani przekupić, nie chcę niczego. Proszę się tylko zastanowić, dlaczego miałyby pani odmawiać Emilie pieniędzy, które jej oferuję, które spadają z nieba...

– Nie powiedziałam, że odmawiam – odparła sucho Nicole Vitral. – Ani że przyjmuję...

Nagle ściszyła ton:

– To, co mi pani proponuje, jest skomplikowane...

Z kolei Mathilde, jakby w odpowiedzi, zaczęła mówić głośniej:

– Proszę otworzyć konto na nazwisko Emilie, tylko tyle musi pani zrobić...

Nicole Vitral drżały wargi.

– I co dalej?

– Emilie będzie otrzymywała sto tysięcy franków rocznie. Aż do osiemnastych urodzin. Te pieniądze będą przeznaczone tylko dla niej, na jej edukację, rozrywkę, żeby miała jak najlepszy start. Oczywiście to pani będzie nimi zarządzała przez te osiemnaście lat. Zrobi pani, co zechce. Ja daję pani środki, zostawiam pani wolną rękę. Nie ma pani powodu do narzekań...

Nicole Vitral przez dłuższą chwilę pozwoliła podmuchom wiatru rozdymać poły jej kamizelki, muskać nagi dekolt, aż w końcu poczuła dreszcze. Wsłuchiwała się w odgłosy objadających się o siebie kamyków rzucanych przez niestrudzenie przypływające i odpływające fale.

Za i przeciw.

W końcu się odezwała:

– Otworzę konto, pani de Carville. Dla Emilie. Gdybym tego nie zrobiła, mogłabym mieć do siebie pretensje. Ona mogłaby mieć do mnie o to pretensje za jakiś czas. Proszę przelewać tę fortunę, jeśli pani chce...

– Dziękuję.

– ...ale my jej nie tkniemy!

Nicole Vitral prawie wrzeszczała.

– Emilie zostanie wykształcona tak jak jej brat Marc i damy sobie radę. Podejmiemy wyrzeczenia, które będą niezbędne, ale uda się nam. Gdy Emilie skończy osiemnaście lat, gdy będzie dorosła, zrobi z tymi pieniędzmi, co zechce. Będą należały do niej, jeśli je przyjmie, nie do nas. Rozumie pani?

W kąciку ust Mathilde de Carville zagościł słaby uśmiech.

– Jest pani okrutna, Nicole. Ale i tak pani dziękuję.

Zawahała się ledwie sekundę, po czym mówiła dalej:

– Mogę panią prosić o jeszcze jedną przysługę?

Nicole Vitral westchnęła zniecierpliwiona:

– Nie wiem. Szybko. Już zamykam.

Mathilde de Carville wyciągnęła z kieszeni swojego długiego płaszcza paczuszkę zapakowaną w papier w odcieniu królewskiego błękitu. Otworzyła ją, wyciągnęła przed siebie i położyła na ladzie. Nicole Vitral nie mogła oderwać wzroku od jasnego szafiru w pierścionku.

– To dawna tradycja – oznajmiła Mathilde cicho. – Dziewczeta z naszej rodziny na osiemnaste urodziny otrzymują pierścionek z kamieniem w kolorze ich oczu. Robimy tak od pokoleń. Ja też noszę pierścionek, który moja matka podarowała mi ponad trzydzieści lat temu. Niestety, nie będę miała okazji dać takiego pierścionka Lyse-Rose.

Nicole Vitral w końcu podniosła wzrok.

– Bez wątplenia jestem głupia, ale nie rozumiem...

– Daję pani ten pierścionek. Proszę się nim opiekować. Być może za trzy lata, za dziesięć lat, w miarę jak będzie pani obecna przy Emilie, odgadnie pani. Zyska pani pewność, czy ona naprawdę jest pani wnuczką. Taką pewność można zyskać. Jeśli tak się stanie, jeśli w głębi serca uzna pani, że w żyłach dziewczynki, którą pani wychowuje, nie płynie pani krew, sądzę, że zachowa pani ten sekret dla siebie...

Mathilde westchnęła wzruszona i mówiła dalej:

– Bez wątplenia tak będzie lepiej dla małej. Jeśli jednak tak się stanie, że będzie pani miała dowody, przekonanie zdobyte w miarę upływu lat, że dziewczynka nie jest pani wnuczką, proszę jej ofiarować w dniu jej osiemnastych urodzin ten pierścionek. Ona nie będzie wiedziała, co on oznacza. Jednak dla pani i dla mnie sprawiedliwości stanie się zadość...

Nicole Vitral chciała odmówić, oddać pierścionek, wykrzyknąć, że uważa ten pomysł za idiotyczny i chory, ale Mathilde de Carville nie dała jej czasu. Odwróciła się, nie czekając na odpowiedź. Jej ciemny długi płaszcz zaczynał się zlewać z zapadającym zmierzchem.

Błękitne pudełeczko zostało na ladzie.

2 października 1998, 11.08

Malvina domknęła skrzydło okna dłonią owiniętą w ścierkę. Schowała ją do kieszeni marynarki. Wytarła wszystko, nikt przecież nie zauważy, że w szufladzie w kuchni Grand-Duca brakuje jednej ścierki.

Zadowolona z siebie, weszła do ogródka, żeby nikt nie zauważył jej z ulicy. Schowała się za rogiem domu, obok przejechały dwa samochody. Gdy droga stała się wolna, przeskoczyła przez niewysoki około metrowy kamienny murek. Znalazła się na ulicy. Nikt jej nie widział. Nikt nigdy się nie dowie, że w ogóle była u Grand-Duca. Wbrew temu, co wszyscy myśleli, nie była aż taka głupia! Odwróciła się. Martwiła się jednym szczegółem. Jeśli dobrze się przyjrzeć, z chodnika można dostrzec, że na dole po prawej szyba jest wybita – dzięki temu mogła włożyć do środka rękę i otworzyć okno. Wzruszyła ramionami. Nie było to przecież ważne.

Szła szybko ulicą Butte-aux-Cailles. Nie powinna się na niej znajdować. Stać na środku. Vitral mógł się zjawić w każdej chwili.

Chciała na niego poczekać, przyprzeć tego dupka do muru. Poszła jeszcze kawałek naprzód, po czym wyjęła z kieszeni kluczyki i nacisnęła guzik na pilocie. Wślizgnęła swoje czterdzieści kilo do małego samochodu. Miejsce do parkowania udawało się jej znaleźć w Paryżu prawie wszędzie, w tym kilkadziesiąt metrów od domu Grand-Duca. Samochód nie był niezauważalny, ale Vitral go nie znał.

Malvina wcisnęła się między przednie siedzenie a pedały rovera mini. Choć miejsca było niewiele, gdy się skuliła, przechodząca obok osoba uznałaby, że w środku nie ma nikogo. Z kolei Malvina przez przednią szybę, a także w lusterku wstecznym widziała, co dzieje się na ulicy, i nie musiała nawet zmieniać pozycji. Kryjówka idealna! Jeśli Vitral pojawi się od stacji Corvisart, przejdzie drugą stroną ulicy i nie zbliży się do samochodu, ale ona zauważy go już z daleka. Doskonale.

Skuliła się i chwyciła mauzera L110. Położyła go w zasięgu ręki tuż pod siedzeniem kierowcy.

Niepokoili ją tylko jedna kwestia. Jak na razie na ulicy Butte-aux-Cailles panował spory ruch, szczególnie koło piekarni pięćdziesiąt metrów dalej, gdzie mnóstwo klientów bez przerwy wchodziło i wychodziło. Zdecydowanie zbyt wielu świadków, jednak nie byli oni tuż-tuż, znajdowali się w odległości pięćdziesięciu metrów, będzie miała czas. Przypomniała sobie zalecenia babci: „Obserwuj go i śledź. Nie rób nic innego. Zadzwoń do mnie, gdy go zauważysz”. Malvina nie umiała powstrzymać swojej dłoni przed ześlizgnięciem się pod siedzenie, przed dotknięciem mauzera, jak gdyby chciała sprawdzić, czy nadal tam jest. Chłód metalu ją upewnił. Jeśli się dobrze zastanowić, to czy w wieku dwudziestu czterech lat nadal musi słuchać poleceń babci?

Marc szedł prawie na oślep niekończącymi się korytarzami stacji Montparnasse, próbując mimo wszystko nie stracić z oczu oznaczeń linii numer sześć.

Lylie miała na palcu pierścionek z jasnym szafirem w kolorze jej oczu.

A więc trzy dni wcześniej Nicole dała jej go na osiemnaste urodziny. Jego babcia uszanowała

umowę. Nie powiedziała o niej nikomu. Nigdy. Nawet Lylie.

Ale dała jej pierścionek!

Marc wiedział już, co to znaczy, jakim strasznym był wyznaniem.

Musiał do niej zadzwonić, musiał z nią porozmawiać. Miał zamiar tak zrobić, ale trochę później. Jak na razie najpilniejszą sprawą była Lylie. Wolną ręką, nie zatrzymując się, naciskał klawisze telefonu komórkowego i pisał esemesa.

Lylie. Zadzwoń do mnie, do cholery. Marc.

Obiecał sobie, że za godzinę będzie dalej męczył Lylie, jeśli się nie odezwie.

Gdzie mogła teraz być? Pomyślał o miniaturowym samolocie w swoim plecaku. Czy pomysł wyjazdu na drugi koniec świata był na serio? Tak... Lylie miała środki finansowe, żeby po ukończeniu osiemnastu lat wyjechać w jakikolwiek zakątek planety. I zostać tam na lata.

Pędząc slalomem między pasażerami, Marc powtarzał sobie ostatnie linijki opowieści Crédule'a Grand-Duca. Konto bankowe Lylie. Zatruty prezent Mathilde de Carville. Ta stara baba wiedziała, co robi... Z biegiem lat Marc w końcu nabrał przekonania, że tę różnicę między Lylie i nim spowodowały pieniądze. To wyjaśniało te nienormalne uczucia, ten pociąg wbrew naturze, niemogący istnieć między chłopakiem i dziewczyną połączonymi więzami krwi, dziećmi tych samych rodziców.

Pieniądze wyjaśniają wszystko. Jednak w głębi duszy jakiś głosik zawsze mu podszeptował, że pieniądze nie mają tu nic do rzeczy! Nie! Nie!

Głos się nie mylił! Pieniądze nie miały tu nic do rzeczy. Dowodem niech będzie choćby to, że jego babcia, choć nigdy nie dała nic po sobie poznać, myślała to co on!

Lylie miała na palcu pierścionek de Carville'ów.

Dając go jej, babcia uczyniła wyznanie. Lylie nie jest jego siostrą! Są wolni.

Marc czuł, że ogarnęła go euforia. Zwinnie wślizgnął się do pociągu jadącego w stronę Nation. Potrafił kilku pasażerów, żeby dotrzeć do głównego przejścia wagonu i zyskać trochę miejsca, wątlą życiodajną przestrzeń, aby mógł otworzyć zeszyt.

Pięć stacji do Corvisart. Dwa kroki od ulicy Butte-aux-Cailles, gdzie mieszka Grand-Duc.

Zostało trochę czasu, żeby przeczytać jeszcze kilka stron...

Dziennik Crédule'a Grand-Duca

Teraz pora na mnie. W końcu!

CRÉDULE GRAND-DUC, PRYWATNY DETEKTYW.

Kazałem trochę na siebie czekać, prawda? Zjawiam się chwilę po bitwie, owszem, przyznaję. I właśnie w tym tkwi problem.

Do mojego biura w Belleville przy ulicy Amandiers Mathilde de Carville weszła dzień po spotkaniu z Nicole Vitral. Można było odnieść wrażenie, że ubrała się na czarno po to, by swój ból podkreślić strojem. Sądzę, że to spotkanie z Nicole Vitral kosztowało ją niezmiernie dużo, decyzję podjęła sama, nie mówiąc nic mężowi. Mathilde de Carville upokorzyła się nad brzegiem morza w Dieppe, ale uznała, że tylko takie poświęcenie może sprawić, że Nicole Vitral się ugnie. Musiała sprawić, żeby w tamtym momencie Nicole poczuła się silna, inaczej nigdy nie zgodziłaby się otworzyć rachunku na nazwisko Lylie.

Mathilde de Carville musiała przysiąc sobie później, że już nigdy, przenigdy tak się nie upokorzy. Za spokój sumienia drogo zapłaciła, kosztowało ją to o wiele więcej niż czek na sto tysięcy franków rocznie. Tak więc po spotkaniu w Dieppe Mathilde de Carville zamroziła wszelkie uczucia. Gdy weszła do mojego biura, była jak sople lodu, czarny, gładki i lśniący.

Podeszła do mnie.

– Dużo o panu słyszałam, panie Grand-Duc...

Ach, tak?

Przedstawiła się, a ja ledwo skojarzyłem sprawę, o której przez kilka tygodni mówiono w radiu i telewizji, która nic a nic mnie wówczas nie obchodziła.

– Panie Grand-Duc, podobno odznacza się pan dyskrecją, wytrwałością, cierpliwością i solidnością... Tego właśnie wymagam. Sprawa, z którą do pana przychodzę, jest prosta – ma pan odtworzyć całą historię katastrofy na Mont Terrible. Wszystkie szczegóły od początku, jeden po drugim. I jeśli to możliwe, znaleźć kolejne.

W owym czasie, choć byłem detektywem jednym spośród dziesiątek innych, zaczynałem cieszyć się dobrą opinią. Rozwiązywałem kolejne zagadki, które mi powierzano, sprawę w kasynie na wybrzeżu oraz kilka innych. Do tamtej pory nie poniosłem porażki. Byłem jak bokser, który wygrywa wszystkie drobne walki i sądzi, że jest niezwyciężony. Nie wiedziałem, dlaczego Mathilde mnie wybrała, ale z drugiej strony, dlaczego nie? W sumie to nieważne, nie miałem zamiaru przepuścić okazji.

Mathilde de Carville podeszła jeszcze bliżej. Nie jestem zbyt wysoki, więc siedziałem. Ona była ode mnie wyższa o jakieś pięć centymetrów. Wyprostowałem się na krześle i zrobiłem bardzo poważną minę.

– To skomplikowana sprawa, proszę pani. Trzeba podejść do niej poważnie... Zabierze dużo czasu...

– Nie przyszłam tu, żeby się targować, panie Grand-Duc...

Trach!

Stała przede mną wyprostowana i przygniatała mnie swoim czarnym cieniem. Za późno, żeby wstać...

– Panie Grand-Duc, może pan przyjąć moją propozycję albo ją odrzucić... Jestem przekonana, że nie będę miała trudności ze znalezieniem innego detektywa, ale sądzę, że się pan zgodzi. Od dziś przez osiemnaście lat będzie pan otrzymywał sto tysięcy franków rocznie, do czasu gdy Lyse-Rose, moja wnuczka, o ile nadal żyje, osiągnie pełnoletność. Do końca września tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku. Do trzydziestego, a nie dwudziestego siódmego, jak zdecydował wymiar sprawiedliwości...

Sto tysięcy franków rocznie! Razy osiemnaście! Nie potrafiłem doliczyć się zer. W mojej głowie wyglądały jak naszyjnik z pereł. Osiemnaście lat. Prawdziwa etatowa pensja dla detektywa, który wolny zawód będzie uprawiał już tylko z nazwy...

Tylko że, choć noszę to głupie imię, potrzebowałem szczegółów... Tak, Crédule ^[4] – jakkolwiek głupie by się to wydawało – to moje prawdziwe imię.

– Proszę pani, czego dokładnie żąda pani ode mnie za taką sumę? Jeśli po upływie osiemnastu lat

okaże się, że niczego się nie dowiedziałem, czy będę musiał zwrócić pani pieniądze?

Czyżbym zadał to pytanie pod wpływem przeczucia? Musiałem być ostrożny. Tak, w zasadzie moje imię do mnie pasuje... Crédule... Ciemny cień nachylił się nade mną jeszcze bardziej, przygniatając mnie jeszcze trochę.

– Panie Grand-Duc... W tej sprawie będziemy polegać na moim do pana zaufaniu i tylko na nim. Nie będzie pan zobowiązany do osiągnięcia jakichkolwiek rezultatów. Jednak żądam w zamian, żeby pan powziął wszelkie możliwe działania, by rozwikłać tę zagadkę. Życzę sobie, aby nic, żaden trop, żadna hipoteza panu nie umknęła. Będzie pan miał mnóstwo czasu i pieniędzy. Jeśli gdziekolwiek istnieje jakikolwiek dowód świadczący o tożsamości ocalonej dziewczynki, chcę, aby go pan znalazł. Chcę, żeby mnie pan dobrze zrozumiał, chcę poznać prawdę, jakakolwiek będzie, nawet jeśli nie będzie dla mnie korzystna.

Zacząłem mieć ogromne zawroty głowy.

– I sądzi pani, że to śledztwo zabierze... osiemnaście lat?

– Będę panu płaciła przez osiemnaście lat. Będzie pan zatem miał wszystkie te lata, aby odkryć prawdę. Wymagam jedynie, aby przez ten czas poświęcił się pan tylko tej sprawie. A ja dostarczę panu wszelkich możliwych środków, żeby rozwikłał pan zagadkę – daję czas i pieniądze.

– A... a jeśli odkryję prawdę w ciągu pięciu miesięcy?

Naiwniak, tak powinna nazwać mnie matka...

– Niczego pan nie rozumie, panie Grand-Duc? Czyż nie wyraziłam się wystarczająco jasno? Będę panu płacić przez osiemnaście lat, niezależnie od tego, co się wydarzy... To umowa polegająca na wzajemnym zaufaniu, panie Grand-Duc. Żądam jedynie, aby wykorzystał pan wszelkie możliwości, aby odkryć tożsamość ocalonej dziewczynki. Tylko to się dla mnie liczy.

Mathilde de Carville ciągle się nade mną nachylała, a drewniany krzyż, który miała na szyi, kołysał się przed moim nosem. Mówiła dalej:

– Panie Grand-Duc, zachowuję oczywiście prawo do zerwania umowy w każdej chwili, jeśli odniosę wrażenie, że nie respektuje pan warunków gry... Jeśli uznam, że mnie pan wykorzystuje. Tak się jednak nie stanie, prawda? Słyszałam, że jest pan człowiekiem honoru...

Żadnej umowy pisemnej! Wyobrażacie to sobie? Trafiłem na starą wariatkę, która nie wiedziała, na co wydać swój majątek!

Cud. Wariatka... Jak daleko była gotowa się posunąć?

– Trzeba będzie polecieć do Turcji – powiedziałem. – Na długo...

– Oprócz pańskiego rocznego honorarium będę pokrywała wszystkie konieczne wydatki...

Posunąć się jeszcze dalej?

– Ja... nie mówię po turecku. Nie uda mi się, jeśli będę sam...

– Jeśli to będzie konieczne, będzie pan oczywiście mógł zaangażować współpracowników. Im także zapłacę...

Święty Boże...

Nie zadałem pytania na próżno, uznałem, że przynajmniej na początku zaangażuję policjanta, z którym pracowałem przez kilka miesięcy w Azji, Nazima Ozana, jedyne go człowieka we Francji, którego znałem i który mówił po turecku, któremu choć trochę ufałem.

Mathilde de Carville wypisała mi pierwszy czek na sto tysięcy franków, jak na tamte czasy była to kolosalna suma, i wyszła z mojego biura równie dyskretnie, jak się w nim pojawiła. Nie zwracałem uwagi na lodowatą aurę, jaką ten zimny gad zostawił za sobą w moim gabinecie. Miałem wrażenie, że wygrałem główną nagrodę w totolotka, choć nawet go nie wysłałem. Po raz pierwszy moje imię zaczęło pasować do nazwiska.

Crédule, bo wierzyłem w to śledztwo, w los, który się do mnie uśmiechnął wizją fortuny... Grand-Duc, bo świętowałem po królewsku przez trzy dni, żeby uczcić swoje szczęście... i nie naruszyłem przy tym moich stu tysięcy franków.

Koszty operacyjne.

Skąd mógłbym wówczas przypuszczać, że wpadłem do studni bez dna? Że światło, za którym szedłem, ciągnęło mnie w nicość?

Czarna dziura.

Trampolina do pustki.

2 października 1998, 11.13

Ulica Jean-Marie-Jégo przez jakieś pięćdziesiąt metrów biegła ostro w górę, prowadząc na szczyt wzgórza Butte-aux-Cailles. Była to ładna uliczka jak z kartki pocztowej, wydawało się, że pnie się do głównego placu miasteczka z kościołem, merostwem, barem i placikiem do gry w bule w cieniu platanów. W samym środku Paryża! Marc słyszał, że Butte-aux-Cailles to jedna z ostatnich naprawdę paryskich dzielnic; był tu parę razy napić się wieczorem w lokalu o nazwie Temps des Cerises. Jakiś bananowy chłopak, z rodzaju tych, których nie cierpiał, syn dyplomaty czy coś w tym stylu, powiedział mu, że na Butte-aux-Cailles nic już się nie buduje z powodu podziemnych kopalni wapienia. Marc zapamiętał tylko tyle, że dom w tej burżuazyjnej dzielnicy kosztuje majątek.

Wszedł po ostatnich dwudziestu stopniach i znalazł się na szczycie wzgórza. Trzymając się poręczy, wyjął telefon i wysłał do Lylie kolejnego esemesa.

O tej samej treści, ponieważ zachował poprzedniego.

Lylie. Zadzwoń do mnie, do cholery. Marc.

Dla spokoju sumienia sprawdził. Nic z tego. Na poczcie głosowej nie było żadnej wiadomości.

Ulica Butte-aux-Cailles była spokojna, ruch panował tylko w okolicy piekarni, jedyne otwartego sklepu. Było bardzo wcześnie, restauracje świeciły jeszcze pustkami. Marc zrobił parę kroków, podniósł głowę i udał się pod numer dwadzieścia jeden. Dotarł do małego jednopiętrowego domu stojącego w uroczym ogródku wielkości dwudziestu metrów kwadratowych... Małeńki pawilonik, który na każdej francuskiej wsi wyglądałby śmiesznie... Jednak tam, w sercu Paryża, wyglądał jak prawdziwy produkt luksusowy! Dom wolno stojący. Parterowy. Otoczony ogródkiem! Mimo że Grand-Duc dostawał od Mathilde de Carville sto tysięcy franków rocznie, wydawało się, że taki domek nadal przekraczał jego możliwości...

Marc się przyglądał. Jasnozielone okiennice były zamknięte. Na wszelki wypadek nacisnął dzwonek znajdujący się między żółtą, lekko zardzewiałą skrzynką na listy a obdrapaną barierką.

Cisza.

Odczekał minutę i zadzwonił raz jeszcze. Bez powodzenia. Zakłopotany, przeczesał dłonią włosy. Grand-Duca nie ma w domu, mógł się domyślić. Dokładniej przyjrzał się domowi i ogrodowi, jakby chciał wpaść na jakiś pomysł... Wszedł na ulicę.

Nagle plan działania stał się oczywisty.

W prawym dolnym rogu okna zauważył wybitą kawałek szyby. Przy odrobinie szczęścia może włożyć rękę, wziąć za klamkę, otworzyć okno i wejść do środka. Marc się odwrócił, nikt na niego nie patrzył. Nie wahał się, przeskoczył przez murek z białych kamieni i znalazł się z dala od ciekawskich spojrzeń, tuż przy oknie. Przyłożył dłoń. Ku wielkiemu zdziwieniu nie musiał robić nic więcej, okno się otworzyło. Zostało tylko przymknięte!

Marc zastanowił się przez chwilę nad tymi dziwnymi, sprzyjającymi mu zbiegami okoliczności, nad brakiem ostrożności prywatnego detektywa. Tylko przez chwilę. W kolejnej sekundzie już wślizgnął się do środka.

Ten skurwysyn jest u Grand-Duca, pomyślała Malvina. W lusterku wstecznym widziała dokładnie, jak Marc Vitral nadchodzi i przeskakuje przez murek. Działa jak szczur, pomyślała. Ma plecak! Bez wątplenia jest w nim zeszyt Grand-Duca. Wszystko wyglądało dobrze. Malvina spróbowała poruszyć się odrobinę, odkleić głowę od drzwi, rozprostować trochę nogi. Zgięta na wysokości kierownicy szyja bolała ją, ale tym się nie przejmowała. Nawet gdyby przez resztę życia miała nosić kołnierz ortopedyczny, mogła siedzieć tam godzinami, żeby tylko przydybać Vitrala przy wyjściu, otworzyć ten cholerny zeszyt i wyrwać jedna po drugiej te strony pełne kłamstw, tak jak wrywa się człowiekowi paznokcie, aby zmusić go do mówienia. Palec po palcu. Trzymać Vitrala na muszce, zmusić go do mówienia. Będzie improwizowała. Kiedy nadejdzie odpowiednia pora, wymyśli zasady wyśmienicie sadystycznej gry.

Smród popiołu i dymu dusił Marca, pachniało tak, jakby wcześniej przez kilka godzin palono w kominku i nie wywietrzono pomieszczenia. Marc zakaszał. Znalazł się w składziku, gdzie leżały konserwy i różne narzędzia, w tym ogrodnicze. Popchnął drzwi, wszedł po trzech betonowych schodkach, otworzył kolejne. Znalazł się w pomieszczeniu, które musiało być salonem.

Smród dymu natychmiast się nasilił. Marc zakaszał znowu. Jego wzrok przykuł duży kominek znajdujący się tuż naprzeciwko niego. Stało się jasne, że spalono w nim kilogramy papieru. Przyglądał się pustym pudełkom stojącym na podłodze. Grand-Duc ewidentnie robił niedawno porządki!

Zanim Marc zdążył lepiej przeanalizować sytuację, zmroził go dziwny hałas. Tuż za nim po prawej rozległ się głuchy trzask, jakby odgłos mechanicznej zabawki. Marc odwrócił się, nasłuchiwał. Ze zdumieniem odkrył ogromne wiwarium, w którym prawie wszystkie ważki leżały nieruchomo na wilgotnym podłożu. Podszedł bliżej. Tylko największa, o złoto-czerwonym tułowiu, od czasu do czasu latała z trudem. Słabiutko machała skrzydełkami, obijając się o szklane ściany, jak gdyby wyczuła nową osobę – potencjalny ratunek. Marc wpatrywał się przez chwilę w desperackie wysiłki ważki, ale nie zrobił nic. Ważka! Więźniarka. Już prawie martwa jak kilkanaście pozostałych. Nie zastanawiając się dłużej, Marc podszedł i chwycił w obie ręce szklaną pokrywę wiwarium. Okazała się dość ciężka, ale nie była przymocowana na stałe. Marc zdjął ją bez trudu i oparł o najbliższą ścianę. Ważka natychmiast zareagowała na dopływ powietrza, machnęła kilka razy skrzydełkami i wyfrunęła. Marc przyglądał się, jak leci, najpierw trochę niezdarnie, później dostojnie. Dość długo fruwała po pokoju, aż usiadła na żyrandolu w salonie.

Serce Marca zabiło mocniej, idiotycznie.

Poczuł ogromną, niemal dzieciinną radość, że uratował czerwonego owada.

Swoją ważkę.

Nigdy nie podejrzewał, że Crédule Grand-Duc je kolekcjonuje. A więc dlaczego, dlaczego pozwolił im tak umierać?

Marc przyjrzał się dokładniej biurku Grand-Duca. Wszystko idealnie poukładane: ołówki, notatniki, ciekawa mała i pusta buteleczka wina, kieliszek. Było w tym coś dziwnego, zdawało się, że Grand-Duc chciał zamknąć sprawę i zrobić porządek z tym, co jej dotyczyło. Spalone akta.

Zamordowane owady. Testament, zielony zeszyt, który Marc miał w plecaku, a Grand-Duc skończył pisać w nim w noc osiemnastych urodzin Lylie i potem jej go podarował.

Koniec pewnego etapu w życiu Grand-Duca. Wszystko starannie zorganizowane.

A więc co się stało? Dlaczego Grand-Duca nie ma w domu?

Marc wyczuwał w powietrzu dziwny pośpiech, początek katastrofy – nieodstawiona butelka, wybita szyba, przymknięte okno. I ten zapach. Nie ten z kominka, jakiś inny, zwodniczo zakamuflowany tym drugim.

Coś tu się nie zgadzało...

Nagle twarz Marca się rozjaśniła. Usiadł na krześle przy biurku Grand-Duca, otworzył plecak, wyjął zielony zeszyt, przerzucił kartki i zatrzymał się na ostatniej stronie wypełnionej jego pismem.

Tak łatwo dało się poznać ostatnie przemyślenia Grand-Duca: wystarczyło przeczytać końcowe słowa jego zwierzeń... Zupełnie jak w przypadku kryminału, który jest tak niepokojący, że nie można oprzeć się chęci przeczytania zakończenia, choć jednocześnie ma się lekkie poczucie, że się oszukuje. Poczucie ulotne.

Marc skupił się. Na ostatniej stronie zeszytu było raptem dwadzieścia linijek. Pismo detektywa jak zwykle drobne i regularne.

Voilà. Wszystko zostało powiedziane.

Jest dwudziesty dziewiąty wrzesnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku. Za dwadzieścia dwunasta. Wszystko gotowe. Wszystko dobiegło końca. Za kilka minut Lylie skończy osiemnaście lat. Odłożę długopis do kubeczka stojącego naprzeciwko. Usiądę za biurkiem, rozłożę „L’Est républicain” z dwudziestego trzeciego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku, gazetę z tego przeklętego dnia, i spokojnie strzelę sobie w łeb. Moja krew zmiesza się z pożółkłym papierem gazety. Poniosłem porażkę...

Zostawiam po sobie tylko ten testament. Dla Lylie. Dla każdego, kto zechce przeczytać.

Zebrałem w tym zeszycie wszystkie wskazówki, wszelkie tropy, wszystkie hipotezy. Osiemnaście lat poszukiwań. Wszystko zostało spisane na tych prawie stu stronach. Jeśli przeczytaliście je z uwagą, wiecie teraz tyle samo co ja. Może będziecie bardziej przenikliwi? Może pójdziecie w stronę, w którą ja nie poszedłem? Może znajdziecie klucz, jeśli taki istnieje? Może...

Dlaczego nie?

Dla mnie to koniec...

Przesadą byłoby powiedzieć, że nie żałuję ani nie mam wyrzutów sumienia, jednak zrobiłem, co mogłem.

Marc przeczytał powoli raz jeszcze ostatnią linijkę: *zrobiłem, co mogłem*. Przez chwilę siedział nieruchomo, żeby zapanować nad uczuciem intensywnego niepokoju, które zaczęło w nim wzbierać, po czym podążył szlakiem tuszu przez kilkadziesiąt słów.

Strzelę sobie w łeb. Moja krew zmiesza się z pożółkłym papierem gazety. Poniosłem porażkę...

Marc podniósł wzrok.

Grand-Duc mówił o samobójstwie. Zaplanowanym.

Dlaczego więc na biurku nie było śladów krwi? Nie było gazety. Nie było broni. Czyżby jednak dwa dni wcześniej między dwudziestą trzecią czterdzieści a północą Grand-Duc zrezygnował z samobójstwa? Dlaczego? Przygotował wszystko tak starannie, żeby zrezygnować w ostatniej chwili?

Czyżby Grand-Ducowi zwyczajnie zabrakło odwagi? A może poszedł strzelić sobie w łeb gdzieś indziej, później? A może nakłamał w tym zeszycie...? Na temat swojego poświęcenia. I całej reszty. Albo... Szalony scenariusz! – Odkrył coś tuż przed północą? Światelko, pomysł, ostatni trop...

Marc długo czytał ostatnie linijki zapisków.

Grand-Duc nie zostawił żadnej wskazówki. Jedno było pewne: gdy siedział za biurkiem, nie wpakował sobie kulki w łeb.

Marc zamknął zeszyt i zakaszłał znowu. Ciągłe czuł ten nieznośny smród, który stawał się coraz intensywniejszy. Ponowne brzęczenie jakiegoś mechanizmu, tym razem głośniejsze, sprawiło, że Marc odwrócił głowę. Kilkanaście ważek uwolnionych spod szklanego sufitu, ocalonych dzięki świeżemu powietrzu, latało po salonie. Wzlatywały niezdarnie z półki na półkę, z krzesła na stół, z zasłony na karnisz. A jednak nie zdechły. Stworzenia znacznie bardziej wytrzymałe, niż można by sądzić. Marc się uśmiechnął, jego myśli odpłynęły w kierunku Lylie, jego ważki, jedynej, która mogła ocaleć naprawdę. Jeśli będzie trzeba, z nią postąpi odwrotnie, zamknie nad nią szklaną pokrywę. Marc czuł, że traci jasność myślenia. Owady fruwały mu przed oczami niczym kolorowe plamki poprzedzające utratę przytomności.

Wstał. Musiał się ruszyć.

Na litość boską, skąd dochodzi ten smród?!

Zrobił kilka kroków w przód. Im bardziej zbliżał się do kuchni, tym smród stawał się intensywniejszy. Kuchnia była czysta, posprzątana, śmieci wyrzucono... Smród bez wątplenia dochodził z wysokiej wąskiej szafy przy zlewie.

Marc powoli otworzył drzwi.

Prawie natychmiast, z głuchym łoskotem pod nogi upadło mu ciało.

Było już sztywne, przypominało woskowego manekina.

Marc cofnął się przestraszony, trupio blady. Bezgranicznie przerażony.

Przed nim leżało ciało. Na koszuli widać było ciemną, czerwoną plamę.

Crédule Grand-Duc.

Martwy. Tak jak napisał w dzienniku.

Tylko że rzadko się zdarza, żeby ktoś, kto strzela sobie prosto w serce, miał następnie czas, żeby ukryć broń, wytrzeć krew i zamknąć się w szafie.

Marc zrobił kolejny krok w tył.

Crédule Grand-Duc nie popełnił samobójstwa. Został zamordowany.

2 października 1998, 11.27

Malvina de Carville wzięła telefon koniuszkami palców, nie podnosząc głowy, aby nikt znajdujący się obok rovera mini nie mógł domyślić się czyjejkolwiek obecności.

Odczekała jeden sygnał.

– Już jest – wymamrotała Malvina. – Vitral wszedł do Grand-Duca.

– Można się było spodziewać. Nie zostawiłaś żadnych śladów?

– Nie, nie, babciu. Nie martw się. Wytarłam nawet rzęsy, włosy i resztki skóry twarzy Grand-Duca spalone w kominku.

Zakończyła wypowiedź piskliwym śmiechem. Babcia ciągle uważała ją za idiotkę.

– Babciu?

– Co?

– Vitral może znaleźć ciało Grand-Duca. Schowałam je, ale on... on... On już strasznie śmierdział...

Malvina wyczuła, że po drugiej stronie linii babcia się namyśla.

– Babciu?

– Tak – odparła po chwili Mathilde de Carville... – No cóż, jeśli go znajdzie... trudno. Albo w sumie nawet lepiej. Włamał się do domu, widzieli go ludzie na ulicy. Wszędzie zostawi odciski palców... Przecież nic lepszego nie mogło cię spotkać, czyż nie?

Malwinę przebiegł dreszcz rozkoszy. Babcia jak zwykle miała rację. Marc Vitral zapłaci za swoje. Dobra robota!

– Babciu? On ma plecak. Myślę, że ma w nim zeszyt Grand-Duca. Myślisz, że...

Babcia odezwała się sucho:

– Nie, Malvino, nic nie rób, śledź go i tyle. Nie możesz wyskoczyć na ulicę w środku dnia. Słyszysz?

– Tak, babciu, zrozumiałam. Zadzwonię.

Malvina wcisnęła mauzera pod siedzenie pasażera. Tak, babcia prawie zawsze miała rację. Ale nie tym razem...

Kilka ważek latało nad ciałem Grand-Duca.

Marcowi zrobiło się niedobrze. Ogarniała go panika. Musiał się jednak kontrolować. Nie mógł sobie pozwolić na atak agorafobii, nie teraz, nie tutaj...

Zadzwonić na policję?

Marc myślał intensywnie. Wszedł do domu Grand-Duca przez wybite okno, zostawił swoje odciski. To nie jest dobry pomysł. Policjanci będą chcieli go przesłuchać, na kilka godzin, w najlepszym razie, zatrzymać w komisariacie. Nie mógł sobie na to pozwolić! Nie w tej chwili. Lylie go potrzebuje. Natychmiast. Gliny to najgorszy pomysł.

Co robić?

Spojrzał na ciało. Nie miał pojęcia o autopsji, ale wydało mu się oczywiste, że do morderstwa

doszło niedawno. Szttywne ciało, smród, wszystko to pozwalało sądzić, że trup leży tam zaledwie kilka godzin. Marc znowu pomyślał o ostatnich słowach Grand-Duca zapisanych w zeszycie. O zapowiadającym samobójstwie. Jaki jest związek detektywa z tą zbrodnią? Co odkrył, że należało uciszyć go na zawsze?

Marc chodził po pokoju niespokojnie. Niecierpliwym ruchem dłoni odpędził ważkę, która głośno machała mu skrzydłami przed nosem.

Nic się nie zgadzało. Grand-Duca zamordowano kilka godzin temu, nie trzy dni temu, nie w wieczór urodzin Lylie. Marc ponownie objął spojrzeniem salon, biurko, kominek, wiwarium.

Przeżywał surrealistyczną sytuację! Ważki jedna po drugiej budziły się i pewnie wlatywały. Fruwały po pokoju, obijały się o okna, gdy leciały w stronę światła, które przesączało się przez okiennice.

Marc przeszedł się po domu, dla spokoju sumienia zajrzał do pozostałych pomieszczeń. Nie zauważył nic podejrzanego, ale metodyczne poszukiwania pozwoliły mu się opanować i oddychać prawie normalnie. Poszedł aż do przedpokoju. Krew natychmiast w nim wezbrała jak wody w rzece tuż przed gwałtowną burzą. Palce, szyja i skronie nabrały rumieńców. Ściany przedpokoju wytapetowane były zdjęciami. Nazim Ozan, Lylie, Mont Terrible...

Przed jednym ze zdjęć znieruchomiał: jego babcia! Grand-Duc miał przy wejściu zdjęcie Nicole. Była na nim o wiele młodsza, miała może niecałe pięćdziesiąt lat, pozowała przy plaży w Dieppe. Serce mało mu nie pękło z powodu wściekłości i zdziwienia. Marc miał w pamięci tylko obecny obraz babci, kobiety sześćdziesięcioletniej, przywędłej po długich latach wyrzeczeń. Praktycznie nie pamiętał tej uśmiechniętej, okrągłej, wręcz pociągającej kobiety.

Odwrócił wzrok, w nadziei, że ciśnienie trochę mu opadnie. Dusił się, musiał natychmiast wyjść. Strach, agorafobia... Nieodłączny napad. Pomyślał zdezorientowany, że przed wyjściem od Grand-Duca powinien wrócić, przetrzeć ścierką wszystko, czego dotykał, pokrywę wiwarium, krzesło przy biurku, klamki, okno... Nie miał na to ochoty ani czasu...

Musiał uciec od zgnilizny tego domu, znaleźć się na ulicy.

Czego się obawiał? Przecież nie on zabił Grand-Duca. Detektyw nie żył już od kilku ładnych godzin. W chwili zbrodni Marc był daleko od Butte-aux-Cailles.

Wyskoczył oknem i łapczywie łapał świeże powietrze.

Tak, miał do załatwienia ważniejsze sprawy niż sprzątanie. Sprawy niecierpiące zwłoki.

Przede wszystkim odnaleźć Lylie.

Zadzwonić do babci do Dieppe. Zrozumieć. Dowiedzieć się, dlaczego zamordowano Grand-Duca.

Miał pewien pomysł co do ostatniego pytania. Pomysł bezpośrednio związany z miejscem, do którego zamierzał się teraz udać.

Znalazł się na zewnątrz i szedł przez ogródek.

Nie zauważył, jak za nim przez otwarte okno ważki wylatują w stronę horyzontu.

Malvina w roverze mini skuliła się jeszcze bardziej. W lusterku dokładnie widziała sylwetkę Marca Vitrala. Szedł w jej stronę. Ten drań z plecakiem na plecach niczego nie podejrzewał. Dłoń

Malviny wślizgnęła się pod siedzenie kierowcy, błędziła przez moment, aż znalazła mauzera L110. Jeszcze kilka metrów i będzie mogła go dosięgnąć. Wsadzi mu stalową lufę w brzuch, nie będzie miał wyjścia, odda jej ten cholerny plecak i znajdujący się w środku testament tego detektywa podpalacza.

Później zobaczy. Może zadowoli się jedną kulką. Albo dwiema... Jeszcze się nie zdecydowała.

Już prawie...

Dziesięć metrów.

Malvina podniosła głowę, w ręce ścisnęła pistolet. Na końcu ulicy kilku starszaków rozmawiało w piekarni. Miała to gdzieś. Byli zbyt daleko, i tak nic nie rozumieją. Odwróciła głowę w prawo w stronę chodnika. Nigdy nic nie wiadomo. Jeszcze trochę wyciągnęła szyję.

W kolejnej sekundzie znieruchomiała.

Troje rozbawionych dzieciaków w wieku trzech, czterech lat pokazywało jej język! Ich wielkie głowy przyglądały jej się zza szyby, jak gdyby bawiła się w chowanego wciśnięta między kierownicę a siedzenie kierowcy. Kuku! Widzieliśmy się...

Pojawiła się drobniutka, śliczniutka opiekunka i złapała dzieciaki. Malvina się wyprostowała.

Cholerne bachory!

Teraz już cała grupa przedszkolaków maszerowała chodnikiem, co najmniej trzydziścioro dzieciaków szło do stołówki w parku rozrywki naprzeciwko albo gdziekolwiek indziej.

W kolejnej sekundzie Marc Vitral minął grzecznie całą grupę z przedszkola Sainte-Anne, uśmiechnął się uprzejmie do opiekunki i oddalił się szybko, pogrążony w myślach. Na rovera mini stojącego tuż obok nawet nie spojrział.

– Halo, babciu? Mówi Malvina. Pudło...

– Jak to pudło?! Celowałaś w Marca Vitrala?

– Nie... Nawet nie, nie miałam czasu.

Malvina de Carville usłyszała westchnienie ulgi.

– Dobrze, Malvino. Co on teraz robi?

– Oddała się. Odchodzi. Chyba do metra. Mam za nim iść?

– Nie ruszaj się, Malvino...

– Ale...

Babcia chyba zwariowała. Nie ruszać się?

– ...ale, babciu? A zeszyt Grand-Duca?

– Nie ruszaj się, mówię ci!

– Ale...

Malvina wiedziała, że jeszcze może pobiec za nim z mauzerem w dłoni, złapać go w zaułku metra, wyrwać mu plecak, popchnąć go na tory...

– Wracaj, Malvino. Wracaj do domu. Tak będzie lepiej...

– Jeszcze mogę go dopaść, babciu... Naprawdę...

Głos babci był zarazem łagodny i stanowczy, jak wtedy, gdy wieczorami pochylona nad łóżkiem wnuczki czytała jej fragmenty z Biblii.

– Malvino, posłuchaj. Marc Vitral na pewno przeczytał dziennik Grand-Duca. Pierwsza reakcja

Marc był bardzo logiczny: poszedł do domu detektywa. Musiał znaleźć trupa. Jego kolejna reakcja jest do przewidzenia...

Malvina nie słuchała. Dokąd zmierza babcia?

– Możesz wracać do domu. Marc Vitral przyjedzie prosto do nas, do Coupvray, do Willi Różanej.

Malvina w duchu przeklęła samą siebie i swoją głupotę.

W lusterku rósł mały ciemny punkcik, pojawiał się i znikał, grając jej na nerwach. Po kilku chwilach ładna czerwono-złota ważka usiadła na niebieskiej karoserii rovera mini.

2 października 1998, 11.31

Marc zatrzymał się, żeby zrobić sobie przerwę. Oparł się o chromowaną poręcz, która dzieliła na pół strome schody prowadzące na bulwar Blanqui. Chłodny metal zmroził mu dłoń.

Marc miał w głowie plan podróży. Metro, linia numer sześć. Przesiadka na Nation. Później linia A4 RER w stronę Marne-la-Vallée. Wsiądzie na Val-d'Europe, jedną stację przed końcem trasy. Najdalej za godzinę będzie w Coupvray. Nie będzie miał problemu ze znalezieniem dokładnego adresu de Carville'ów. Zadzwońi do Jennifer, koleżanki, która szczęśliwie ma dziś dyżur, tak jak zrobił w przypadku Grand-Duca.

Nie musi uprzedzać de Carville'ów o swoim przyjeździe. Na pewno zastanie mnóstwo osób, które odpowiedzą na jego pytania; dziadek na swoim wózku i królowa matka na zamku raczej nie opuszczają swojej posiadłości zbyt często... Nawet żeby zrobić zakupy... Płacą za to ludziom. Także i za to.

Marc uśmiechnął się sam do siebie. Zrobi im niespodziankę! Przecież poza wszystkim on i de Carville'owie mają ten sam cel: udowodnić, że Lylie nie jest jego siostrą, że krew Vitralów nie płynie w jej żyłach... Znajdzie się jakaś płaszczyzna porozumienia.

Płaszczyzna porozumienia...

Marc miał dreszcze, myśląc o ciele Grand-Duca.

Wziął do ręki telefon. Tak jak sobie obiecał, należało zadzwonić do Dieppe.

Po raz kolejny natknął się na pocztę głosową.

Już od dawna zwracał się do babci po imieniu. Był to jego sposób na to, żeby definitywnie załatwić kwestię, która nie dawała mu spokoju przez dziesięć pierwszych lat: mówić „mamo” czy „babciu”?

– Nicole? Mówi Marc. Masz jakieś wieści od Lylie? To znaczy od dziewiątej rano? Oddzwoń, to bardzo ważne.

Zamilkł na chwilę, po czym mówił dalej:

– Nicole, choć tego nie pamiętam, gdy miałaś pięćdziesiąt lat, byłaś bardzo ładna. Całuję.

Lewa dłoń Marca zacisnęła się na zimnej poręczy, jak gdyby chciał ją przykleić, pozostawić na niej drobiny skóry. Palce drugiej dłoni tańczyły po przyciskach telefonu.

Siedem sygnałów.

– Lylie, gdzie ty, do cholery, jesteś? Odpowiedz! Odpowiedz mi! Nie wyjeżdżaj. Wychodzę od Grand-Duca. Nie popełnił samobójstwa. On jest... On... Znalazł coś, więc ja też mogę. Znajdę. Zadzwoń do mnie. Marc.

Wsiadł do metra. O tej porze na peronach nie było prawie nikogo. Marc ledwo zdążył spojrzeć na drugą stronę szyn, na tajemniczy krajobraz na wielkiej reklamie zapraszającej na wycieczkę do Emiratów Arabskich. W kolejnych sekundach pojawiło się wiosło, które zanurzyło się w złotym piasku tuż przed orientalnym pałacem pod gwiazdami z tysiąca i jednej nocy.

Osiem stacji od Corvisart do Nation.

Dziennik Crédule'a Grand-Duca

Zostałem więc zatrudniony do śledztwa mającego trwać osiemnaście lat! Wyobrażacie to sobie? Od osiemnastu lat ta historia jest przyklejona do moich neuronów jak guma do żucia, którą przeżuwa się tak długo, aż straci swój smak. Uważajcie, żeby ta guma nie przykleiła się też i do waszych myśli, przeżuwana przez waszą wyobraźnię szukającą logiki. Bez końca.

Pierwsze dni, pierwsze miesiące śledztwa były niesamowicie podniecające. Mimo że miałem przed sobą osiemnaście lat, owładnęło mną poczucie, że muszę działać natychmiast. Połknąłem akta sprawy, setki stron w niecałe dwa tygodnie. Przez pierwsze dwa miesiące przesłuchałem kilkudziesięciu świadków, strażaków, którzy pomagali na Mont Terrible, personel medyczny ze szpitala Belfort-Montbéliard, doktora Morange'a, bliskich de Carville'ów, rodzinę Vitralów, policjantów, komisarza Vateliera, adwokatów, Leguerne'a i resztę, obu sędziów, Le Driana i Webera, a także inne osoby...

Nie spałem, pracowałem po piętnaście godzin na dobę, budziłem się i zasypiałem, myśląc o tej sprawie, jakbym chciał się uporać z tą historią jak najszybciej, jakbym chciał się wykazać zapałem przed moją zleceniodawczynią, żeby była ze mnie zadowolona, żeby dotrzymywała umowy... Musiałem klientkę do siebie przyzwyczaić, jak by to powiedział sprzedawca ze spożywczego.

Tak naprawdę nie kalkulowałem. Ta sprawa mnie fascynowała, byłem przekonany, że mogę odkryć coś nowego, jakąś wskazówkę, która umknęła wszystkim innym. Gromadziłem notatki, zdjęcia, godziny nagrań... Czyste szaleństwo... Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że starannie kładę fundamenty pod własną neurozę.

Po kilku tygodniach analizowania wszystkich akt wyrobiłem sobie pierwsze przekonanie. Wówczas sądziłem, że genialne.

Bransoletka!

Szatańska złota bransoletka podarowana przez dziadka, którą powinna mieć w samolocie Lyse-Rose de Carville. Ozdoba, która zachwiała pewnością sędziego Webera, ziarno piasku na szali sprawiedliwości, śmiertelna broń Vitralów i adwokata Leguerne'a. Nabrałem pewności, że ta śmiertelna broń była bronią obosieczną. Bez bransoletki wszystko wskazywało na to, że ocalona dziewczynka to Emilie Vitral... Ale jeśli wyrzucone z samolotu dziecko to Lyse-Rose, której bransoletka rozerwała się podczas uderzenia? Gdyby wyjść z tego założenia, a gdzieś w pobliżu samolotu znaleziono by bransoletkę, wszystko by się odwróciło. Byłby to niezbity dowód, że ocalała Lyse-Rose!

Jestem cierpliwy, maniakalny, uparty. Praca to moja obsesja, zapewniam was. Mimo że policja godzinami przeszukiwała już wcześniej okolice airbusa, który spłonął na Mont Terrible, ja zacząłem wszystko od początku. Uzbrojony w wykrywacz metali, pod koniec sierpnia osiemdziesiątego pierwszego spędziłem na górze siedemnaście dni, przeszukując las centymetr po centymetrze... W noc katastrofy szalała zamieć. Bransoletka mogła upaść w śnieg, wtopić się w rozmokłą ziemię... Policjant, który szukał jej po wypadku, z zamarzniętymi dłońmi i przemoczonymi stopami na pewno nie starał się za bardzo.

Ja owszem.

Na nic!

Oszczędzę wam spisu puszek po piwie, monet i odpadków, które wykopałem z ziemi... Wkrótce zyskałem sobie przychylność faceta, który doglądał Mont Terrible, górę należącą do Parku Naturalnego regionu Haut-Jura. Nazywał się Grégory Morez. Niedogolony przystojniak o oczach wilkołaka, twarzy tak opalonej i pooranej, jakby w każdy weekend przed powrotem do domu wspinał się na Kilimandżaro... Polubiliśmy się...

Zniosłem z Mont Terrible trzy worki wszelkiej maści odpadków, ale nie było wśród nich bransoletki!

Prawdę mówiąc, nie byłem nawet bardzo rozczarowany. Wątpiłem, że ją znajdę. Jak już mówiłem, jestem uparty. Wypełniałem polecenie Mathilde de Carville, która kazała mi zbadać każdy trop, posuwać się naprzód krok po kroku. Nie spieszyć się.

Pewien byłem czegoś innego.

Jeśli bransoletka w noc dramatycznych wydarzeń upadła gdzieś w pobliżu niemowlęcia, ktoś przecież mógł ją znaleźć; jakiś strażak, policjant, pielęgniarz, który schował ją sobie do kieszeni... A może, gdy wrak ostygł, jakiś typ z okolicy przyszedł go przeszukać... Przecież była to masywna złota ozdoba, której wartość oceniano wówczas na jedenaście tysięcy pięćset sześćdziesiąt franków, o czym zaświadczała faktura. Nosiła logo Tournaire'a, mającego swój zakład na placu Vendôme. Taki przedmiot mógł budzić pożądanie. Hieny często znajdują pożywkę na miejscu katastrof, zwłaszcza że każdy się domyślał, jak wartościowa stanie się później ta przeklęta bransoletka...

Miałem bardzo prosty, banalny wręcz pomysł, żeby zalać okolicę falą ogłoszeń. Osoba, która oddałaby nam słynną bransoletkę, dostałaby wysoką nagrodę. Nagroda musiała jednak przewyższać wartość przedmiotu... W porozumieniu z Mathilde de Carville postanowiłem stopniowo zwiększać wysokość przynęty. Zaczęliśmy od dwudziestu tysięcy franków... Nasz plan wymagał cierpliwości, czasu i zręczności, zanim ryba połknie haczyk. Wierzyłem w powodzenie... Gdyby bransoletka została znaleziona, gdyby spoczywała w jakiejś szufladzie, schowana potajemnie przez złodzieja, który skorzystał z okazji, tak jak Gollum, który przechowywał pierścień Froda, pewnego dnia coś wypłynęłoby na powierzchnię, pojawiłaby się jakaś wskazówka.

Miałem rację. Przynajmniej w tym miałem rację.

Kolejnym moim podstawowym zajęciem przez pierwsze pół roku poszukiwań były, jak je odtąd nazywałem, tureckie wakacje. W sumie musiałem spędzić w Turcji prawie trzydzieści miesięcy. Większość tego czasu przypadła na pierwsze pięć lat.

Wspierał mnie Nazim Ozan, od razu zgodził się sekundować mi w śledztwie. Pracował wówczas na czarno na budowach. Tak jak ja zbliżał się do pięćdziesiątki. Nie bawiło go już zajęcie najemnego żołnierza, który działał tam, gdzie robi się gorąco, otoczony przez fanatycznych kamikadze. No i co najważniejsze, zakochał się. Żył w Paryżu z pulchną, ale mimo to uroczą kobietą, tak jak on pochodzącą z Turcji, o imieniu Ayla. Oto dlaczego byli niemal nierozłączni... Ayla była raczej dominująca i zazdrosna jak lwica, więc za każdym razem, gdy chciałem zabrać Nazima do Turcji, musiałem negocjować z nią godzinami. Gdy już docieraliśmy na miejsce, Nazim musiał telefonować do niej codziennie... Sądzę, że Ayla nigdy tego śledztwa nie rozumiała, a co gorsze, nigdy nam nie wierzyła... Alen nie miała mi nic za złe, i to ona nalegała, abym został świadkiem na ich ślubie

w czerwcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku...

Wbrew Ayli często ciągnąłem Nazima ze sobą do Turcji, gdzie służył mi za tłumacza. W Stambule zatrzymywałem się zawsze w hotelu Askoc na Złotym Rogu, niedaleko mostu Galata. Nazim nocował u kuzynów Ayli w Eyup na przedmieściach Stambułu. Nie miał wyboru! Spotykaliśmy się w barze naprzeciwko hotelu w kawiarni Dez Anj na Ayhan Isik Sokak. Nazim sączył jedną szklaneczkę raki za drugą i próbował namówić mnie do palenia fajki wodnej.

A nie mówiłem? Tureckie wakacje.

Muszę przyznać, że zawsze byłem trochę cyniczny wobec tradycyjnej sztuki, egzotyki, chłonięcia obcego kraju i tym podobnych spraw. To u mnie pewien rodzaj rasizmu, rasizmu nieukierunkowanego, bez konkretnego celu, globalny sceptycyzm wobec gatunku ludzkiego, bez wątpienia spadek po zawodzie najemnego żołnierza, śmieciarza, którego zadaniem jest opróżnianie śmietników świata; sprzedawcy prochu.

Tureckie życie zaczęło wychodzić mi oczami, nosem i uszami już pod koniec pierwszego tygodnia. Nieustające dzwony minaretów, ciągły targ na ulicach, zawoalowane kobiety, dziwki, herbata, zapach przypraw, taksówki, które jeżdżą jak szalone, ciągłe korki aż do cieśniny Bosfor... Pełno wszystkiego! Koniec końców jedyną rzeczą, jaką mogłem znieść, były wąsy Nazima.

Cóż, nie wątpię, że podśmiewacie się z mojej bazarowej antropologii. Nie o to chodzi, słusznie. Chciałem tylko ukazać względny urok „śródziemnomorskich wakacji”. Schronienia szukałem w pracy. Nie kłamię. Przynajmniej w pierwszych miesiącach pracowaliśmy z Nazimem jak szaleni. Spędziłem wiele godzin na rozmowach z handlarzami na Grand Bazar, żeby dowiedzieć się, kto mógł sprzedać te słynne ubranka, które miała na sobie cudownie ocalona dziewczynka. Bawełniane śpiochy, biała sukieneczka w pomarańczowe kwiatki, sweterek z wełny w kolorze écru... Wyobrażacie to sobie? Grand Bazar w Stambule, największy targ na świecie, pięćdziesiąt osiem wewnętrznych uliczek, cztery tysiące stoisk... Prawie wszyscy handlarze zagadywali po angielsku i francusku, próbowali obejść się bez tłumaczenia Nazima, zwracali się bezpośrednio do mnie, jak gdybym miał na czole wytatuowaną trójkolorową flagę.

„Dziecko, mój przyjacielu? Szukasz ubranek dla dziecka? Mam wszystko, czego szukasz. Twój skarb to dziewczynka czy chłopiec? Podaj mi swoją cenę...”.

Cztery tysiące stoisk, uwierzcie mi! Dwa albo trzy razy tylu sprzedawców, którzy przybysza z Zachodu wyczuwali z odległości pięćdziesięciu metrów. Trzymałem się dzielnie. Aż do końca. Spędziłem ponad dziesięć dni na przemierzaniu tego handlowego labiryntu z sufitem zdobionym złotą mozaiką. W końcu znalazłem dziewiętnaście stoisk, gdzie sprzedawano bawełniane śpiochy, białe sukieneczki i wełniane sweterki – wszystkie trzy artykuły naraz, dokładnie takie same... ale żaden sprzedawca nie przypominał sobie, żeby sprzedał te trzy rzeczy jednocześnie, i to jednej rodzinie wyglądającej na przyjezdnych z Zachodu.

Strata czasu.

Ślepa uliczka na końcu labiryntu.

Pozostało więc dowiedzieć się czegoś bliższego na temat Lyse-Rose i jej rodziców, Alexandre'a i Véronique de Carville'ów. Oficjalne śledztwo mające zidentyfikować Lyse-Rose

bazowało na dwóch punktach: fotografii zrobionej od tyłu, którą dostali dziadkowie de Carville, i zeznaniach Malviny. Musieliśmy więc zacząć wszystko od nowa na tureckim wybrzeżu w ich rezydencji w Ceyhan. Byłem rozsądnym optymistą. W trakcie trzech miesięcy życia mała Lyse-Rose musiała przecież spotkać jakichś ludzi.

Szybko spuściłem z tonu.

Alexandre i Véronique de Carville nie byli zbyt towarzyscy, nie lubili mieszać się z egzotycznym tłumem ani bratać się z miejscową ludnością. Należeli raczej do ludzi, którzy siedzą w swojej białej willi z widokiem na Morze Śródziemne. Mieli nawet własną małą plażę!

W zamknięciu przebywała głównie Véronique. Alexandre przez większość tygodnia pracował w Stambule. Oczywiście od czasu do czasu odwiedzali ich przyjaciele, znajomi, Francuzi... Ale tak było, zanim urodziła się Lyse-Rose! Po narodzinach dziecka Véronique ograniczyła towarzyskie spotkania. Za pomocą różnych sposobów odnalazłem siedem osób, czworo przyjaciół i trzech klientów firmy de Carville'a, którzy po narodzinach Lyse-Rose zostali zaproszeni do willi w Ceyhan. Za każdym razem dziewczynka spała, a zaproszeni goście pamiętali jedynie ledwie wystające spod prześcieradeł maleństwo. Tylko jeden klient, Holender, widział Lyse-Rose obudzoną... Przez kilka sekund. Véronique wyszła, żeby nakarmić ją piersią; nie mogła przecież tego robić w obecności holenderskiego przemysłowca, który popijał na patio raki i podpisywał z Alexandre'em umowy. Ów łagodny dyrektor handlowy tureckiej filli Shella, którego w końcu odnalazłem, uściślił, że zupełnie nie potrafiłby rozpoznać twarzy Lyse-Rose ani piersi jej matki...

W Bakirkoy, szpitalu położniczym w Stambule, gdzie rodziła Véronique de Carville, na świat przychodziło ponad trzydzieścioro dzieci tygodniowo... Była to najmodniejsza prywatna klinika i przyjęto mnie ze szczególną dbałością. Jedyne pediatra, który zajmował się Lyse-Rose, badał ją jakieś trzy razy i dał mi do zrozumienia, że codziennie widuje ponad dwadzieścioro noworodków... Z teczki wyjął informacje zebrane na temat Lyse-Rose tuż po jej narodzinach. Waga: trzy kilogramy dwieście pięćdziesiąt dekagramów, wzrost: czterdzieści dziewięć centymetrów.

Czy dziecko płakało? Tak.

Czy miało otwarte oczy? Tak.

Coś poza tym? Nic.

Znaki szczególne? Żadnych.

Znowu impas!

Véronique de Carville musiała nudzić się w swojej willi po królewsku! Nagle zyskała do swojej dyspozycji minimum personelu. Udało mi się odszukać dość starego ogrodnika, jak na mój gust trochę zbyt słabo widzącego, który spotykał Lyse-Rose popołudniami pod palmami i... pod moskitierą! Wyciągnąłem z niego ledwie jakieś mgliste opisy, na których można było oprzeć się jeszcze mniej niż na szalonych zeznaniach Malviny.

Nie będę wam opisywał w szczegółach wszystkich głównie wartych wspomnień, niedokładnych i nieprzydatnych, które zebrałem w trakcie tych miesięcy. Nie pominąć żadnego tropu, jak kazała Mathilde de Carville. Słuchałem jej, byłem zafascynowany tą sprawą; przecież tak naprawdę

wystarczyłoby jedno wspomnienie, jedno jedyne, dzięki któremu odniósłbym sukces.

Na lotnisku Atatürka w Stambule pewna stewardesa przypomniała sobie, że przed wylotem airbusa do Paryża dwudziestego drugiego grudnia trzy razy połaskotała jakieś niemowlę po brodzie.

– Jedno niemowlę? Nie dwa?

– Nie, tylko jedno.

Tak przynajmniej jej się zdawało, ale nie miała pewności. Ani co do dnia, ani co do lotu też nie. Niemowlę? Tak, niemowlę sobie przypominała...

Ta przekłeta stewardesa zasiała w moim zrujnowanym umyśle kolejną wątpliwość.

Tylko jedno dziecko w samolocie?

Przecież, czy ktoś mógł mieć całkowitą pewność, kto tak naprawdę siedział tamtego wieczoru w airbusie? Lista pasażerów była sporządzona precyzyjnie, ale jeśli w ostatniej chwili ktoś nie wsiadł na pokład? Na przykład niemowlę? Czemu nie Lyse-Rose? Spóźnienie, coś, co wydarzyło się w ostatniej minucie, jakieś przeczucie jej matki, porwanie, cokolwiek, co pozwoliłoby mi sądzić, że Lyse-Rose nie było w airbusie 5403, że ona nadal żyje gdzieś w Turcji. Albo gdzieś indziej!

Zupełnie szalona hipoteza!

Można ją nawet odwrócić... Czyż to nie dziwne, że w przypadku Lyse-Rose, trzymiesięcznego niemowlaka, ostatecznie istnieje tak niewiele elementów, których można się uchwycić? Tak niewiele wspomnień, żadnego przyjaciela, który by ją rozpieszczał, żadnej niani, która by ją trzymała w ramionach, żadnego zdjęcia. Nic albo prawie nic. Jak gdyby to niemowlę nigdy nie istniało albo mówiąc ściślej, jak gdyby chciano je ukryć...

W miarę jak obracałem w głowie informacjami, zaczynałem wpadać w kompletną paranoję. A jeśli Lyse-Rose nie wsiadła do samolotu, to może umarła już wcześniej! Może w domu uległa wypadkowi? W chwili narodzin miała jakąś nieuleczalną chorobę? Dokonano zbrodni, a Alexandre i Véronique de Carville zabrali sekret ze sobą...?

Może tylko Malvina знаła prawdę i właśnie dlatego zwariowała.

Gdy przedstawiałem wszystkie te hipotezy Nazimowi w kawiarni Dez Anj, śmiał się do rozpuku. Popijał raki.

– Zbrodni? Zupełnie ześwirowałaś, Crédule!

Sprowadzał mnie na ziemię między jednym machem sziszy a drugim. On oceniał tylko na podstawie materialnych i konkretnych wskazówek. Tego, co namacalne.

– Crédule, przecież ta twoja dziewczynka nie była przez całe trzy miesiące zamknięta w ukryciu, wychodziła na ulicę, przecież ktoś, jakiś przechodzień, turysta, musiał ją widzieć, zrobić z nią przypadkiem zdjęcie albo nagrać ją kamerą... Nigdy nic nie wiadomo.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nie wiem. Masz kasę. Daj ogłoszenia w gazetach w całej Turcji, zamieść jej zdjęcie, to, które ukazało się w „L’Est républicain”. Zobaczysz, co z tego wyjdzie.

Nazim miał rację! To był genialny pomysł... Zalaliśmy turecką prasę ogłoszeniami na temat tego, czego poszukiwaliśmy i co dawaliśmy w zamian: góry złota w tureckiej walucie.

Dwudziestego siódmego marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku – wciąż pamiętam tę datę – w mojej skrytce w hotelu Askoc wczesnym rankiem czekał na mnie list. Przyniósł go jakiś typek. List był lakoniczny, zawierał nazwisko, Unal Serkan, i numer telefonu... Była tam jednak przede wszystkim fotokopia zdjęcia.

Jak szalony pędziłem przez Ayhan Isik Sokak pośród tłumu samochodów. Nazim już na mnie czekał w kawiarni Dez Anj.

– Jakiś problem, Crédule?

Wsadziłem zdjęcie w jego wielkie owłosione łapy. Utkwił w nim wzrok. Przyglądał się fotografii tak jak ja kilka minut wcześniej.

Plaża.

Na pierwszym planie opalona, idealnie proporcjonalna brunetka pozująca z szerokim uśmiechem w niezbyt seksownym tureckim bikini. Na drugim planie wzgórze Ceyhan, a pośród zieleni mury willi de Carville'ów.

Między kobietą w kostiumie a willą, na plaży na kocu obok kobiety, której widać było tylko nogi, leżało kilkutygodniowe dziecko. Nazim przyglądał się zdumiony. Zdjęcie o mało nie wypadło mu z rąk.

Tym dzieckiem była Lylie, Ważka, cudownie ocalona na Mont Terrible, bez cienia wątpliwości. Te same oczy, ta sama twarz...

Pascal i Stéphanie Vitralowie podczas swojego pobytu w Turcji nigdy nie byli w Ceyhan, nie znaleźli się nawet bliżej niż dwieście kilometrów. Nie było żadnych wątpliwości, wreszcie mieliśmy dowód. Zwyciężyliśmy!

Cudownie ocalona dziewczynka znaleziona w śniegu na Mont Terrible to Lyse-Rose de Carville.

Płakałem z radości. Nazim uśmiechał się spod wielkich wąsów, on też to rozumiał. Cieszył się jak dziecko.

2 października 1998, 11.44

Jeden sygnał telefonu. Prawie niesłyszalny w podziemnym zgiełku.

Sygnał komórki wskazujący na to, że ktoś nagrał się Marcowi na pocztę. Nie zdążył odebrać.

Ręce mu drżały, gdy sięgał do kieszeni.

2 października 1998, 11.42

Ayla Ozan mechanicznie cięła grillowaną jagnięcinę, która cienkimi paseczkami opadała na metalowy blat. Myślała o czymś innym. Nie opóźniała się przez to w pracy, wręcz przeciwnie. Gdy pograżała się w myślach, gdy nie trwoniła czasu na pogawędki i żarciki z klientami, stawiała się nawet bardziej wydajna w przygotowywaniu kebabu.

Jak co dzień przed południem kolejka zaczynała się wydłużać. Jej mały bar przy bulwarze Raspail miał swoich stałych klientów.

Ayla nie okazywała, że się niepokoi. Od dwóch dni nie miała od Nazima żadnych wieści. To do niego niepodobne! Paseczki mięsa nadal spadały pod naporem ostrego noża. Wyobrażała sobie, że przesuwa nim po karku, szyi i skroniach Nazima. Uwielbiała strzyc swojego olbrzyma. Jej ręce lekko drżały, ale nigdy podczas golenia męża.

Na ogół się nie bała. Widziała niemało, gdy po zamachu stanu z dwunastego września tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego uciekała z ojcem z Turcji do Paryża. Jej ojciec był wówczas jednym z głównych przywódców Demokratik Sol Parti, więc ledwo uszli z życiem... Trzydzieści tysięcy aresztowanych w ciągu kilku dni! Prawie cała jej rodzina trafiła za kratki.

Ayla przyjechała do Paryża bez bagażu, bez przyjaciół, bez niczego... Miała trzydzieści osiem lat, prawie nie mówiła po francusku, nie miała żadnego wykształcenia.

Przeżyła! Jeśli naprawdę się chce, zawsze można przeżyć.

Przy bulwarze Raspail otworzyła jeden z pierwszych kebabów w Paryżu. Wówczas żaden Francuz nie miał ochoty jeść grillowanego mięsa tak po prostu na otwartym powietrzu, wśród much i zanieczyszczeń miasta. Obsługiwała Turków, Greków, Libańczyków, Jugosłowian... Tak poznała Nazima.

Przychodził codziennie w południe. Nie mogła nie zauważyć jego wąsów! Policzyła, że zanim zaprosił ją na obiad do eleganckiej tureckiej restauracji przy ulicy d'Alésia, potrzebował prawie roku, a dokładnie trzystu sześciu dni. Od tamtej pory byli niemal nierozłączni.

Pobrali się na całe życie.

Ayla zadrzała mimo woli.

Prawie nigdy się nie rozstawali.

Tylko te przekłete wyjazdy z Grand-Dukiem do Turcji związane z tą cholerną sprawą córki bogaczy, która zginęła w katastrofie lotniczej. Prywatne śledztwo miliarderów. Chwyliła trzy kebaby zawinięte w gorącą folię aluminiową i zawołała:

– Jedenaście! Dwanaście! Trzydzieści!

Klienci podnosili ręce jak w szkole, jak w Sécu. Każdy miał swój numerek. Ayla nie miała czterech rąk i nie mogła pracować szybciej. Wrzuciła paczkę mrożonych frytek na gorący olej.

Sądziła, że ta historia już się zakończyła. Dzięki swojej restauracji, jeśli można to miejsce tak nazwać, dzień po dniu pomału odkładała pieniądze. Uzbierała już niezłą sumkę.

Była już za stara, żeby nosić torby z mięsem i parzyć sobie dłonie przy smażeniu. Marzyła, aby wrócić z Nazimem do Turcji, odnaleźć swoją rodzinę i kuzynów. Już prawie mogła sobie na to

pozwolić, ciągle liczyła i przeliczała; na wybrzeżu, nieopodal Antiochii, znalazła mały dom do remontu. Tam zawsze była piękna pogoda. Mieli z Nazimem jeszcze długie lata życia przed sobą! Najpiękniejsze.

Co on może robić, ten osioł? W jaki gówniany plan dał się wciągnąć Grand-Ducowi?

Trzy kolejne kawałki folii aluminiowej. Pakowała kebaby jak prezenty.

Czternaście, piętnaście, szesnaście...

To już ostatni raz, powiedział jej Nazim. Ostatni raz! Znowu był podekscytowany, gdy Crédule do niego zadzwonił dwa dni wcześniej. Nazimowi oczy błyszczały jak dziecku. Ayla tak bardzo go kochała, gdy miał taki dziecięcy wyraz oczu. Wziął ją w ramiona i podniósł jak piórko. Tylko Nazimowi się to udawało.

Będziemy bogaci, Ayla. Jeszcze załatwię tylko to i będziemy bogaci!

Bogaci? Jej na tym nie zależało. Już byli bogaci, już prawie mogli sobie kupić domek w Antiochii.

Ostatni wyjazd? Obiecujesz?

Ręce Ayli drżały. Nóż zbaczał z wyznaczonego kursu i robił z mięsa niejadalną sieczkę...

Im więcej się zastanawiała, tym bardziej obawiała się tego, co się działo. Ciszy. Nagłego braku wiadomości. Nazim, gdy wyjeżdżał do Turcji, dzwonił codziennie. Crédule też nie odpowiadał. Nikt u niego nie odbierał. Próbowwała się dodzwonić od dwóch dni. Tak, im więcej o tym myślała, tym gorzej znosiła mijające minuty. Miała jakieś złe przeczucia. Gdyby nie ostatni klienci, pobiegłaby jak szalona na ulicę Butte-aux-Cailles do Grand-Duca. Tak zamierzała zrobić po zamknięciu baru.

Siedemnaście, osiemnaście...

Zdawała sobie sprawę, że Nazim nie jest aniołem. Wyznawał jej okropne czyny po latach, gdy się z nim kochała, gdy pozwalała mu jeździć brodą po wszystkich zakamarkach jej ciała, gdy wybuchała śmiechem, drżała, gdy łaskotał jej piersi, uda, genitalia... Gdy był już zaspokojony, mówił jej wszystko. Nie mógł się powstrzymać. Nigdy niczego przed nią nie ukrywał. Znała nazwiska, miejsca, wiedziała, gdzie Nazim trzyma dowody. Była jego polisą na życie! Śledztwo dla miliarderów... Lepiej uważać, gdy pieniądze przychodzą zbyt łatwo, bo kiedyś nadejdzie dzień, gdy trzeba będzie się rozliczyć.

Również dlatego chciała wyjechać do Antiochii. Żeby Nazim zostawił te wszystkie paryskie sprawy.

Dziewiętnaście.

Westchnęła. Nie, Nazim nie jest aniołkiem. Bez niej nie potrafi dokonywać właściwych wyborów. Odróżnić dobro od zła.

2 października 1998, 11.45

Metro zwolniło, gdy wjeżdżało na stację Place-d'Italie, i rozdarło ciemność tysiącem sztucznych iskier. Marc wziął telefon, z trudem opanowując drżenie rąk, i przyłożył go do ucha.

„Marc, jesteś niepoprawny, prosiłam cię, żebyś do mnie nie dzwonił, nie próbował się ze mną kontaktować, nie próbował mnie odnaleźć. Powiedziałam ci przecież, że przedwczoraj podjęłam ważną decyzję. Było mi bardzo ciężko, długo się wahałam, ale podjęłam ją samodzielnie. Nie zrozumiesz, co mam zamiar zrobić. A raczej nie zaakceptujesz tego. Marc, znam twoje uczucia, twoje dobre uczucia. Nie odbierz tego źle, gdy mówię o twoich dobrych uczuciach, uważam to za komplement. Mam na myśli też twoją moralność. Twoje oddanie. Wiem, że potrafiłbyś zaakceptować wszystko, wszystko wybaczyć, gdybym cię o to poprosiła. Ale nie chcę cię o to prosić. Nie oszukałam cię w liście, gdy pisałam o podróży. Wielki odjazd ma być jutro, to wielka podróż bez powrotu. Nikt nie może mnie teraz zatrzymać... Tak już jest. Uważaj na siebie. Emilie”.

Marc czuł, jak słabnie, gdy odsłuchiwał wiadomość. O mały włos nie rzucił telefonem w drugi kraniec wagonu. Pod ziemią zasięg się urywał, łapał go na co drugiej stacji.

Lylie jednak zadzwoniła...

Brak zasięgu! Szczyt wszystkiego! Trafiła na pocztę głosową!

Telefon ślizgał mu się w wilgotnych dłoniach jak kawałek mydła. Marc drżał. Co Lylie chciała powiedzieć?

„Wielki odjazd ma być jutro...”.

„Wielka podróż bez powrotu...”.

„Nikt nie może mnie teraz zatrzymać...”.

A jeśli?

Marcowi trudno było nawet wyobrazić sobie taką możliwość.

Równie mroczną i makabryczną.

Nie Lylie!

A jednak im dłużej myślał, to, co wyczytał między wierszami, wydawało mu się coraz bardziej jasne.

Wielka podróż bez powrotu...

Teraz zyskał już przerażającą pewność.

Samolot miniaturka. Decyzja podjęta w dniu osiemnastych urodzin.

Wszystko się zgadzało.

Lylie postanowiła skończyć z tym wszystkim, ze swoimi wątpliwościami, swoimi obsesjami, swoją przeszłością.

Lylie postanowiła skończyć ze sobą.

Jutro.

Lylie wyrzuciła kebab zawinięty w folię aluminiową do śmietnika niedaleko jeziora. Prawie go nie tknęła. Nie była głodna.

Zrobiła kilka kroków, zbliżyła się do wody. Uznała, że park Montsouris, podobno największy park w Paryżu, jest przede wszystkim najbardziej posępny. Przynajmniej w październiku... Ta zimna, ciemna i brudna woda, te gołe drzewa niczym armia szkieletów, ten widok na avenue Reille i stojące przy parku szare budynki różnych wysokości niczym ogrodzenie ze źle dociętego betonu...

Kaczki zniknęły stąd już dawno, a kamienne figury kochanków, nieruchome i drżące na marmurowych postumentach, sprawiały wrażenie, jakby miały ochotę tylko na jedno: ubrać się i też stąd zniknąć.

Lylie nadal szła alejką biegnącą wzdłuż jeziora. To ciekawe, pomyślała, jak miejsca mogą się przeobrażać w zależności od twojego nastroju. Jak gdyby instynktownie stawały się tym, co masz w głowie, i towarzyszyły ci. Jak gdyby drzewa rozumiały, że jest jej źle, i zachowywały się dyskretnie, kuliły się, solidarnie gubiąc liście, przez wzgląd na nią. Jak gdyby i słońce schowało się przez skromność, zawstydzone, że miałoby oświecać park, po którym snuła się płacząca dziewczyna.

Lylie znowu wyłączyła telefon. Kilka minut wcześniej uległa, zadzwoniła do Marca; zostawił jej tyle wiadomości, musiał się naprawdę niepokoić, była mu to winna. Gdy natknęła się na pocztę głosową, poczuła ulgę. Nie musiała mierzyć się z pytaniami. To tak jak gdyby ta nowoczesna technologia łącząca tysiące telefonów bez kabla rozumiała instynktownie, że tak naprawdę Lylie nie chce z Markiem rozmawiać.

Wróciła w alejkę de la Mire i usiadła na ławce. Usłyszawszy śmiechy dzieci bawiących się na niedużym placu zabaw, mimo woli odwróciła głowę.

Było tam dwoje dzieci w wieku około dwóch lat, których pilnowała matka siedząca ze wzrokiem utkwionym w książce w niebiesko-białej okładce.

Bliźniaczki. Dziewczynki miały takie same spodenki w kolorze écru, takie same czerwone zapinane na guziki kurteczki i takie same buciki.

Nie sposób było je rozróżnić!

A jednak za każdym razem, gdy matka podnosiła wzrok, wydawała precyzyjne polecenie: „Juliette, siedź spokojnie na huśtawce” albo „Anaïs, nie popychaj siostry na karuzelę”, „Juliette, zjeżdżaj przodem...”.

Dziewczynki biegały w tę i z powrotem, bawiły się wciąż w coś innego, łapały się za ręce, oddalały się od siebie, jakby to była jakaś gra. Kto jest kim? Lylie przyglądała się ich tańcom jak przechodzień ulicznemu kuglarzowi. Przegrywała za każdym razem, po kilku sekundach nie potrafiła powiedzieć, która z dziewczynek to Juliette, a która Anaïs. Matce z kolei wystarczyło unieść głowę na ćwierć sekundy, a i tak nigdy się nie myliła: „Anaïs, sznurówka!”, „Juliette, chodź tu, wytrę ci nos...”.

Lylie, oczarowana, poczuła, jak wzbiera w niej dziwne uczucie, ale nie umiała powiedzieć, skąd się bierze. Powstało na skutek patrzenia na te podobne, a w zasadzie identyczne dziewczynki... A jednak każda z nich wiedziała, kim jest, Anaïs to nie Juliette, Juliette to nie Anaïs... Czuły się różne, ponieważ rozróżniała je matka. Wiedziała, która jest która, znała ich imiona i nigdy się nie myliła. Ich właściwe imiona.

Lylie długo im się przyglądała. W końcu matka odłożyła książkę, wstała i zawołała:

– Juliette, wyjdź z domku dla wiewiórek, Anaïs, zjeżdż ze sznurowej drabinki. Wracamy, tata na

nas czeka, pora na obiad.

Matka delikatnie położyła dłoń na zaokrąglonym brzuchu. Od kilku miesięcy była w ciąży.

Bliźnięta?

Kolejna córeczka?

Lylie zamknęła oczy. Widziała dziecko, kilkumiesięczne dziecko krzyczące samotnie na szczycie świata. Jego krzyk gubił się w ogromnym lesie wyściełanym śniegiem, który padał wielkimi płatkami.

Lylie nie mogła się powstrzymać i głupkowato się rozplakała.

2 października 1998, 11.48

Stacja Dugommier.

Daumesnil.

Ciągle brak zasięgu!

Wiadomość od Lylie ogłuszyła Marca. Był niespokojny. Bezradny.

Jaką miał możliwość poza ślepym rzuceniem się we wnętrzności Paryża? Czytać dalej zeszyt Grand-Duca?

Do stacji Nation zostało jeszcze kilka minut.

Bel-Air.

Metro zahamowało, zatrzymało się, zadrżało i na nowo ruszyło naprzód. Żadnego pasażera. Ciągle brak zasięgu!

Czytać, nie przestawać czytać.

Zrozumieć i odnaleźć Lylie.

Na czas.

Dziennik Crédule'a Grand-Duca

Léonce de Carville pierwszego zawału doznał, gdy ja byłem w Turcji, dwudziestego trzeciego marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku, zaledwie kilka dni przed tym, jak Unal Serkan zostawił mi w hotelu zdjęcie Lyse-Rose de Carville zrobione na plaży w Ceyhan.

Między tymi dwoma zdarzeniami nie było więc żadnego związku.

Prawdę mówiąc, zawał Léonce'a de Carville'a mało mnie obchodził. Przy okazji śledztwa widywałem się z nim dość często. Sądzę, że byłem dla niego równie ważny jak zawrotnie drogi bibelot, jaki kupiłaby sobie jego żona. Prawdę mówiąc, przede wszystkim sądzą, że nie mógł znieść tego, iż jego żona przejęła inicjatywę i mnie zatrudniła, nic mu nie wspominając. Byłem żywym dowodem niepowodzenia jego strategii buldożera. Współpracował ze mną, ociągając się, ale uśmiechał się i przez przeciążone sekretarki przekazywał mi informacje, o które prosiłem. Chyba rozumiecie, że nie płakałem, gdy upadł sztywny na trawniku w parku Willi Różanej. W końcu to jego żona wystawiała mi czeki, nie on!

Zgoda, niepotrzebny wam mój cynizm. Interesuje was zdjęcie z plaży w Ceyhan? Chcecie wiedzieć, jak skończyła się ta historia? OK, już do tego dochodzę...

Unal Serkan wyslizgiwał się jak piskorz. Dzwoniłem do niego kilka razy, obiecałem mu fortunę, dwieście pięćdziesiąt tysięcy tureckich liwrów, jeśli tylko da mi oryginał zdjęcia zrobionego na plaży w Ceyhan i negatyw. Sprawa trwała już wtedy od tygodni. Wyczuwałem doskonale, że Serkan chciał ugrać więcej, sprawdzić, jak wysoko może podbić stawkę.

Siódmego kwietnia wczesnym rankiem spotkał się wreszcie ze mną na avenue Kennedy, u stóp Topkapi, naprzeciwko cieśniny Bosfor. Był to niski człowiek o gwałtownej gestykulacji i rozbieganym wzroku, jedno oko na Maroko, drugie na Krym. Nazim poszedł ze mną, żeby tłumaczyć. Serkan chciał zaliczki w wysokości pięćdziesięciu tysięcy liwrów, w przeciwnym razie

miał sprzedać zdjęcie komuś innemu.

Komuś innemu? Komu? Vitralom? Miał nas za głupców.

Nie popuściłem, rzecz jasna. Bez negatywu ani jednego liwra. On też nie chciał ustąpić. O mało co nie pobiliśmy się przed pomnikiem Atatürka. Nazim musiał nas rozdzielić.

Gdy wracałem do hotelu, towarzyszyło mi dziwne uczucie. Jednak wcale nie takie, które podpowiadałoby mi, że popełniłem gigantyczny błąd, a wręcz odwrotne. Jak gdybym wywinął się oszustowi w ostatniej chwili. Zadzwoiłem do Francji, żeby jak najszybciej przysłano mi wszystkie gazety, wszystkie magazyny, które publikowały artykuły o Mont Terrible. Dostałem paczkę za trzy dni, dziesiątego kwietnia. Niecałą godzinę później miałem już odpowiedź. Niebieski wazon ze stolika nocnego roztrzaskał się o wiśniowy dywan wiszący na ścianie mojego pokoju.

Unal Serkan nie szukał daleko. „Paris Match” z ósmego stycznia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego opublikował serię zdjęć Lylie w kołysce na oddziale w szpitalu Belfort-Montbéliard. Na jednym z nich Lylie leżała dokładnie w takiej samej pozycji jak na zdjęciu z tureckiej plaży, które teoretycznie zostało zrobione miesiąc wcześniej. Obrócona nieco na bok, uśmiechała się, miała zgiętą prawą nóżkę, prawą rączkę trzymała za głową – leżała w identycznej pozycji, tak samo zmrużyła oko, tak samo ułożyła paluszki.

Zdjęcie od Unala Serkana było jednym wielkim fałszerstwem! Praca fałszerza okazała się niezbyt trudna, zamienił tylko pościel z łóżeczka na koc plażowy w tym samym kolorze i z tego samego materiału. Reszta to zdjęcie jego przyjaciółki.

Miałem ochotę pozrywać wszystkie dywany ze ścian mojego pokoju, tureckie dywany, które chciano nam wcisnąć za każdym razem, gdy tylko robiliśmy jeden krok w to cholerne miasto. Chcieli nam sprzedawać dywany, grillowane mięso i wszystko inne, cały swój dom rozłożony na części na chodniku, sprzedać własne dzieci, żony, samych siebie – rękę, nogę, organ, serce... Cholerny naród handlarzy!

Przez dwie godziny chodziłem w kółko po pokoju. Stopniowo się uspokajałem, w końcu nie miałem już do Unala Serkana nawet żalu... Dobrze to rozegraliśmy, to się mogło udać. Oszustwo za dwieście pięćdziesiąt tysięcy tureckich liwrów, za zwykły fotomontaż! Już nigdy więcej nie zobaczyłem tego Serkana. Pojawiły się inne pilne sprawy.

Kolejne tygodnie spędziłem w Turcji, snując następne hipotezy. W kawiarni Dez Anj Nazim odrzucał jedną za drugą jako bardziej bzdurną. Miał rację. Bez wątpienia dzięki fajce wodnej. Ja też w końcu, chcąc nie chcąc, polubiłem ją i paliłem w rytm ożywionego Stambułu. Szisza, raki i nieodzowny keyif, czyli herbata podawana na srebrnej tacy w zdobionych szklaneczkach, które parzą palce. Wszystko to towarzyszyło nam przy rozważaniu dwóch szalonych kwestii.

– Nazim, a jeśli Lyse-Rose nie była córką Alexandre’a de Carville’a?

– Nawet jeśli – westchnął Nazim, dmuchając na swoją herbatę – co to zmienia, Crédule?

– Wszystko! Wyobraź sobie, że z tego czy innego powodu Alexandre de Carville nie jest ojcem Lyse-Rose... że Véronique miała kochanka... Kochanka o niebieskich oczach... Dzięki temu wyjaśniłby się kolor oczu dziecka, brak podobieństwa... Nie sądzisz?

– Kochanka, Crédule?

Nazim spojrział na mnie swoimi brązowymi, zaczepnymi i rozbawionymi oczami. Tymi, w których musiała się zakochać Ayla.

Mówi się, że sprawy zdrady są dla detektywów męką, zakałą zawodu... Bzdury! Jeśli mam być szczerzy, wchodzenie z butami w życie seksualne klientów to jeden z najlepszych aspektów tej pracy...

Nie miałem żadnych kłopotów, żeby dowiedzieć się, że Alexandre de Carville nie był ideałem wierności, a to i tak eufemistyczne określenie. Zresztą nie wątpiłem w to... W końcu gdy ma się władzę, pieniądze, jest się młodym, mieszka się w mieście, gdzie praktyka haremu ma wielowiekową tradycję, a żona siedzi z dzieckiem w domu pięćset kilometrów dalej... W miarę upływu czasu udało mi się sprawić, że sześć związków pięknego Alexandre'a ujrzało światło dzienne. Dziwne, ale gdy chodzi o nieżyjącego kochanka, kobiety mają dużą łatwość w opowiadaniu o swoich przygodach... Szczególnie gdy nie żyje również jego żona...

Dziwne są uczucia.

Alexandre de Carville zachowywał się klasycznie – na jego szklane biurko w siedzibie firmy w Stambule w dzielnicy Yenikapi wskoczyła sekretarka. Widziałem jedno i drugie, i biurko i sekretarkę. Eleganckie i zimne. Później Alexandre po raz kolejny na trzy miesiące odnalazł młodość przy zbuntowanej mieszkance Stambułu, ledwie pełnoletniej, która przechadzała się po dzielnicy Galata w spódnicy kończącej się z pośladkami, z pępkiem na wierzchu, pod ostrzałem wścibskich spojrzeń kobiet odzianych na czarno. Chodziła za nim od pubu do pubu. Odnalazłem ją, teraz jest już mężatką. Ma dwoje dzieci. Jeszcze nie zakrywa twarzy, ale nie nosi już spódniczek mini. Pomijam przygody z hammanu, tańce brzucha z półprofesjonalistkami od miłości, którym często towarzyszyli przyjezdni klienci. Z tego, co się dowiedziałem, jego najwierniejszą kochanką była Pauline Colbert, Francuzka w typie bizneswoman, wolna, pracująca w dziale sprzedaży w Total, która jak twierdziła, uprawiała seks z Alexandre'em de Carville'em jako ostatnia, dwudziestego drugiego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego, czyli w dniu odlotu rodziny airbusem 5403. Ewidentnie ekscytowało ją szalenie to, że kilkakrotnie, jak mi zrelacjonowała, zaspokoiła człowieka, który spalił się w samolocie niecałe dwadzieścia cztery godziny później. Wyznała mi bez skrępowania, że Alexandre był strzałem w dziesiątkę i że była gotowa zrobić mu laskę w seraju Topkapi tuż pod nosem strażników pałacu. Twarz dziewczyna miała nijaką, ale ciało podniecające. Zauważyłem nawet, że gdybym nalegał, do swojej kolekcji chętnie dorzuciłaby prywatnego detektywa. Nagle straciłem ochotę, żeby pożarła i mnie.

Pierwsze pytanie – czy Véronique de Carville była na bieżąco z wybrykami swojego męża?

Trudno przypuszczać coś innego. Nasuwało się więc kolejne pytanie – czy ona odpłacała mu tym samym? Nie znalazłem na to żadnego dowodu. Wszystko wskazywało na to, że Véronique cierpiała na lekką depresję, ciągle siedziała w domu sama z córkami – najpierw z Malwiną, później jeszcze z Lyse-Rose... Przyjmowała niewielu gości, ale o tym już wspominałem... Próbowałem znaleźć w jej środowisku kandydatów na stanowisko oficjalnego kochanka i potencjalnego ojca Lyse-Rose. Brałem pod uwagę syna ogrodnika, chłopaka pięknego jak młody bóg, który przechadzał się wyniośle za żaluzjami Véronique. Był grzeczny, mógł skłonić do fantazji pogrążoną w smutku kobietę z Zachodu, zawstydzoną czytelniczkę *Kochanka Lady Chatterley*, ale gdy z nim rozmawiałem, nie przyznał się

do niczego. W dodatku miał tak czarne oczy, że nie pasował mi do tej historii z genetyką...

Skupiłem się na poszukiwaniu błękitnych oczu w okolicach willi de Carville'ów w Ceyhan. Trafiałem na nie rzadko. Napotkałem trzech niebieskookich mężczyzn, z których jeden mógł być kochankiem, ale mało wiarygodnym: był to przystojny Niemiec z kucykiem, który wypożyczał nieopodal rowery wodne. Zrobiłem mu zdjęcia i od tamtej pory sprawdzam, czy Lylie z wiekiem staje się do niego podobna. Brałem pod uwagę siedem cech i jak na razie podobieństw nie znalazłem. Tym lepiej! Nie widziałem się w roli osoby wyjaśniającej Mathilde, że płaciła mi przez te wszystkie lata fortunę tylko po to, żebym jej doniósł, że Lyse-Rose rzeczywiście przeżyła katastrofę, ale nie jest jej wnuczką, nie jest jedną z nich, lecz córką Niemca z przystani.

Przez ten czas we Francji nagroda za bransoletkę Lyse-Rose w ogłoszeniach drobnych wzrosła do czterdziestu pięciu tysięcy franków, ale żadna rybka nie złapała się jeszcze na haczyk, nawet żaden fałszerz w stylu tego Turka. Trzeba sobie powiedzieć jasno, że nie było łatwo sfalszować masywną złotą bransoletkę od Tournaire'a...

Z cyklu działań mających na celu nieprzeoczenie żadnego tropu nadal zawracałem głowę Nazimowi między machami fajki a łykami palącego trunku:

– Nazim, a jeśli katastrofa airbusa 5403 nie była dziełem przypadku?

Tego dnia około południa w kawiarni Dez Anj roiło się od Turków pod krawatami, popijających raki w godzinie modlitwy. Nazim podskoczył i o mało nie przewrócił tacy niesionej przez kelnera.

– O co ci chodzi, Crédule?

– No cóż... Jak się nad tym zastanowić, to nigdy nie zostały ustalone przyczyny katastrofy na Mont Terrible. Zamieć śnieżna, niekompetencja pilota to wszystko wymówki, nie sądzisz?

– Mam do ciebie zaufanie... Sprecyzuj, co masz na myśli...

– Na przykład zamach. Zamach terrorystyczny!

Wąsy Nazima zadrżały.

– Przeciw komu? De Carville'om?

– A czemu by nie? Zamach na ich rodzinę. Alexandre'a, jedyne dziedzica... Moje rozumowanie nie jest całkowicie nedorzeczne. Alexandre pracował nad bardzo ryzykownym projektem, rurociągiem Baku – Tbilisi – Ceyhan, który przebiega przez sam środek Kurdystanu. Alexandre negocjował bezpośrednio z tureckim rządem, podczas gdy Partia Pracy Kurdystanu dokonywała kolejnych zamachów na terytorium kraju...

Nazim wybuchnął śmiechem.

– Kurdowie! No ładnie! Wy, ludzie Zachodu, wszędzie widzicie terrorystów... Kurdowie! Banda wieśniaków, którzy...

– Nazim, ja mówię poważnie. PPK nie spodobałoby się, że czarne złoto przepływa im pod nosem, ale się u nich nie zatrzymuje. Jeszcze mniej podobałaby im się inwazja buldożerów de Carville'ów w obstawie tureckich czołgów...

– Zgoda, Crédule, ale od niezadowolenia do wysadzenia samolotu z synem de Carville'a na pokładzie... Poza tym tak ostatecznie, co by to zmieniło? Co zmieniłby zamach?

– A może porwanie? Może Lyse-Rose została porwana przed startem albo może do samolotu

zamiast de Carville'ów, którzy dowiedzieli się o planach zamachu, wsiadły sobowtóry?

Nazim ponownie wybuchnął śmiechem, walnął mnie zdrowo w plecy i zamówił dwa razy raki. Noc spędziliśmy, oglądając przepływające po Złotym Rogu statki i w nieskończoność rozmawiając o całej sprawie. Teraz wydaje mi się, że te pierwsze miesiące śledztwa były najbardziej owocne. Pierwsze miesiące w Turcji to moje najlepsze wspomnienia. Później od lata osiemdziesiątego drugiego moje pobyty w Turcji stały się rzadsze.

Siódmego listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego od dwóch tygodni przebywałem w Turcji. O nowinie dowiedziałem się trzy dni później od Nazima. Mathilde de Carville nawet mnie nie powiadomiła. Pierre i Nicole Vitralowie ulegli wypadkowi w Tréport tuż przed świtem w nocy z soboty na niedzielę. Pierre już się nie obudził. Nicole walczyła o życie.

Hipoteza mówiąca o wypadku, z perspektywy Sztambułu, była mało wiarygodna.

Skrzywienie zawodowe czy wewnętrzne przeświadczenie? W pokoju w hotelu Askoc nagle coś mnie tknęło. Tknęło mnie gwałtownie, brutalnie. Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że wieloletnia praca na zlecenie de Carville'ów to strata dotychczasowych lat, a także i tych, które miały dopiero nadejść.

Mimo to szukałem dalej.

2 października 1998, 11.52

Stacja Nation.

Marc podniósł wzrok. Po plecach ściekał mu pot.

To tu powinien przesiąść się do kolejki podmiejskiej. Stanął na peronie z zeszytem w dłoni, bez tchu. Podeszedł do ławki naprzeciwko, zamknął zeszyt i otworzył plecak. Był wstrząśnięty.

Siódmy listopada osiemdziesiątego drugiego...

Ta data wryła mu się w pamięć. Tak często czytał ją przez lata na grobie swojego dziadka; nie miał nic innego do roboty, gdy babcia płakała. Chodziła na cmentarz codziennie. W dni wolne od szkoły Marc szedł z nią i pchał wózek, w którym spała Lylie. Na cmentarz było daleko. Musieli wspiąć się po długim zboczku, a Nicole bez przerwy kaszłała.

Siódmy listopada osiemdziesiątego drugiego...

Marc szedł korytarzami metra trochę na oślep, szukał właściwego peronu na stacji, na której krzyżowało się kilka linii. Pomału uspokajał oddech, zaczął się zastanawiać. Miał w głowie plan kolejki RER. Powinien pojechać w stronę Vincennes, Noisy-le-Grand, Bussy-Saint-Georges...

Zwolnił kroku, nie powinien iść zbyt szybko, nie powinien dać się wciągnąć w spiralę zdarzeń, zapiski Grand-Duca, morderstwo, zniknięcie Lylie. Wypadek dziadków.

Powietrze prześlizgujące się długimi korytarzami mroziło mu wilgotne plecy.

Nie był głupi. Nie powinien wchodzić w paszczę lwa. W każdym razie nie bez odpowiednich zabezpieczeń. Uśmiechnął się. Owszem, był zbyt inteligentny, żeby udać się w przeciwnym kierunku, w stronę La Défense. Jeszcze jedna stacja. Kilka straconych minut, akurat tyle, ile trzeba żeby przyswoić to, czego się dowiedział.

Niecałe dwie minuty później znalazł się już na Dworcu Lyońskim. Tłum pasażerów niósł go

niekończącymi się korytarzami. Przed oczami przewijały mu się zapowiedzi filmów, które miały wejść do kin. *Zaklinacz koni, Szeregowiec Ryan...*

Najnowsze książki, koncerty.

Marc ledwo spojrzał.

Jakiś mroczny afisz zapowiadał koncert Charléliego Couture'a.

Myśli pobiegły mu w stronę Lylie.

Och, ważko,

Masz takie delikatne skrzydełka,

Ja, ja jestem roztrzaskany...

Wyjął telefon. W końcu miał zasięg. Wybrał numer Lylie.

Poczta głosowa.

– Lylie, poczekaj na mnie. Poczekaj. Nie rób głupot! Oddzwoń. Wpadłem na trop. Wkrótce czegoś się dowiem.

Czego?

Nie wahać się, iść naprzód.

Marc dotarł do peronów, z których odjeżdżały pociągi TGV. Pomarańczowe składy stały gotowe do startu w biegu na pięćset kilometrów na południe. Skrytki bagażowe znajdowały się nieco po prawej, za kioskiem. Popchnął ciężkie stalowe drzwi i schował plecak do szarego pojemnika. Nie zamierzał jechać do de Carville'ów z plecakiem, w którym spoczywał zeszyt Grand-Duca. Detektyw powierzył go Lylie, a nie dziadkom de Carville, więc pewnie miał ku temu jakiś powód. Marc chciał się spotkać z de Carville'ami, rozmawiać z nimi, negocjować. Nie zastanawiał się, co będzie później...

Należało wpisać kod. Pięć cyfr. Marc wystukał bez zastanowienia: 7 11 82.

Drzwi skrytki zamknęły się z głuchym trzaskiem. Marc odetchnął. W kiosku sprzedawano kanapki i napoje. Stał na dwie minuty w kolejce i kupił kanapkę z szynką oraz butelkę wody.

Podjął właściwą decyzję. Na jakiś czas musi odseparować się od tego zeszytu, mimo że pała pragnieniem, żeby czytać dalej, poznać wersję Grand-Duca na temat wypadku z siódmego listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego.

Marc miał wtedy cztery lata i zachował z tamtego okresu tylko jakieś mgliste wspomnienie. Tymczasem słowa Grand-Duca przemawiały jednoznacznie.

„Hipoteza mówiąca o wypadku, z perspektywy Stambułu, była mało wiarygodna. Skrzywienie zawodowe czy wewnętrzne przeświadczenie?”.

Marc pragnął się dowiedzieć!

Trudno.

Odwrócił się gwałtownie, podszedł do skrytki, wstukał kod.

7 11 82.

Nerwowo przetrząsnął plecak i wyjął zeszyt. Strony przelatywały jedna po drugiej. Marc skanował tekst wzrokiem.

„Wieloletnia praca na zlecenie de Carville’ów to strata dotychczasowych lat, a także i tych, które miały dopiero nadejść. Mimo to szukałem dalej”.

To tu skończył.

Oddzielił kilka stron i jednym zdecydowanym ruchem wyrwał je. Pięć kartek następujących po stronie, na której skończył czytać o wypadku dziadków w Tréport.

Złożył kartki na cztery, wsunął je do tylnej kieszeni dżinsów, zamknął drzwi skrytki i zniknął w labiryncie korytarzy Dworca Lyońskiego.

2 października 1998, 11.55

Nicole Vitral powoli szła chodnikiem przy ulicy de la Barre. Gdy dotarła do skrzyżowania przy szkole Sévigné, zatrzymała się i zakaszła. Ten przeklęty mokry kaszel. Zanim znajdzie się na cmentarzu Janval, musi pokonać jeszcze całą ulicę Montigny. Ponad kilometr. Nie martwiła się, czasu jej nie brakowało. Odkąd przeszła na emeryturę, nie miała do roboty już prawie nic innego. Odbywała codzienne pielgrzymki na grób męża, po czym w drodze powrotnej kupowała chleb, co drugi dzień mięso i wracała do Pollet. Nóg nie miała już tak sprawnych jak kiedyś.

Odważnie ruszyła ulicą Montigny, musiała jeszcze przejść najbardziej stromą jej część. Gdy minęła zakręt przy basenie, wyprzedziła ją półciężarówka, która zatrzymała się na chodniku tuż przed nią.

Ze środka wychyliła się jowialna twarz Sébastiena, członka rady miejskiej.

– Jadę do gimnazjum, pani Vitral! Podwieźć panią na cmentarz?

Sébastien był w merostwie jednym z „młodych”, jak ich nazywano, choć był też komunistą i chlubił się tym. Nicole Vitral widziała, jak dorastał. Dobry chłopak, bojowy, uparty, ale z głową na karku. Wbrew temu, co powszechnie mówiono w telewizji, z takimi jak on młodymi ludźmi partia miała jeszcze przed sobą piękne dni. Zamierzali utrzymać się w merostwie Dieppe po najbliższych wyborach. Co do tego nie było wątpliwości!

Nicole Vitral nie dała się prosić, usiadła na przednim siedzeniu półciężarówki. Sébastienowi towarzyszył Titi, pracownik rady miasta. Jemu także Nicole przyglądała się, gdy dorastał. Nie załatwił ciepłej wody, co szalenie by się przydało na plaży w Dieppe, ale w utrzymywaniu kwietników nie miał sobie równych. Znacząco przyczynił się też do tego, że lokalna mała gastronomia dobrze prosperowała. W Dieppe bardzo ważne było, aby drobni przedsiębiorcy prosperowali.

– Widzę, że pani jak zawsze w formie, pani Vitral!

– Nie do końca... Trzeba będzie uruchomić jakieś połączenie autobusowe na cmentarz dla wszystkich starych wdów, takich jak ja...

Radca miejski się uśmiechnął.

– Taaak... To jest jakiś pomysł. Wpiszemy to do porządku obrad! A Marc nadal w Paryżu?

– Tak, tak. Nadal...

Nicole pogрузyła się w myślach, przypomniała sobie ostatnie słowa Marca, które nagrał na pocztę głosową tego ranka, zanim wyszła. Co mu powiedzieć? Co mu odpowiedzieć? Oczywiście wiedziała, gdzie jest Emilie, oczywiście odgadła, jaki nieodwracalny czyn chce popełnić. Przez te wszystkie lata Nicole tak żarliwie się modliła, żeby do tego nie doszło. Strata czasu. Los sobie z niej zadrwił.

Piskliwy głos Titiego wyrwał ją z rozmyślań. Już śmierdział wódką.

– Ten Marc... Nadal chodzi jak pies za swoją Emilie? Teraz to już nawet w niedziele nie przyjeżdża do Dieppe, żeby pograć w rugby... Nicole, wiem, że to pani wnuk, ale w sumie strata jest niewielka, miał raczej dziurawe ręce. A dziurawe ręce i piłka to nie do pogodzenia...

Titi wybuchnął gardłowym śmiechem.

– Zamknij się, Titi – uciął Sébastien.

– Nic nie szkodzi – odparła Nicole z uśmiechem.

Odwróciła głowę. Z tyłu półciężarówka leżały stosy papieru w kartonach.

– Nadal dużo roboty, Sébastien?

– Nadal! Chirac próbował coś zdziałać, ale nadal czekamy na jakieś zmiany... A przecież mamy swoich w rządzie!

– Co to?

– Ulotki na temat ratowania szlaków prowadzących do portów handlowych... Chcą zlikwidować połączenia między Hawrem i Anvers a zachodnią Afryką. Banany, ananasy... Rozumie pani. Nie muszę pani tłumaczyć, co się stanie, gdy stracimy rynek, gdy port upadnie... W najbliższą sobotę będziemy manifestowali w Rouen przed prefekturą.

Titi szturchnął Nicole łokciem w bok.

– No cóż, nawet jeśli stracimy banany i ananasy, zostaną nam ryby, prawda?

Sébastien westchnął. Nicole spojrzała na niego ze zrozumieniem.

– Daj mi trochę ulotek, jak chcesz... Wpadnij do Pollet z kartonem. Nie mogę ci nic obiecać, jeśli chodzi o manifestację, ale w nadchodzącym tygodniu pochodzę od sąsiada do sąsiada. Lubię to, a poza tym w Dieppe jest jeszcze trochę ludzi, którzy mnie znają. Którzy w dodatku mnie posłuchają...

Titi prawie podskoczył na siedzeniu.

– To prawda, Nicole! Uwielbiałem panią oglądać w telewizji lata temu. Miałem wtedy piętnaście lat. Niezłe było, jak próbowała pani zakryć biust, a i tak go widzieliśmy.

Sébastien gwałtownie skręcił kierownicą, zdenerwowany.

– Co z ciebie za idiota, Titi...

– Ale co? – zapytał Titi zdziwiony. – Nie ma w tym nic złego. Nicole przecież i tak nie pomyśli, że ją w tym wieku podrywam... To tylko taki komplement. Żeby sprawić przyjemność.

Nicole delikatnie położyła rękę na ramieniu Titiego.

– Masz rację, Titi, to dla mnie przyjemność.

Przez krótką chwilę, gdy panowała cisza, Nicole nie mogła nie myśleć o Emilie. Tak bardzo chciała być teraz przy niej. Nie po to, żeby próbować nakłonić ją do zmiany postanowienia, tylko po to, żeby być obok. Nicole wiedziała, że po tym zdarzeniu Emilie straci niewinność. Smak śmierci pozostanie z nią na zawsze. Wspomnienia. Wyrzuty sumienia.

Półciężarówka się zatrzymała.

– Stacja końcowa – powiedział Sébastien. – Cmentarz. Mogę pani przywieźć karton z ulotkami dziś wieczorem?

– Tak, jeśli chcesz.

– Naprawdę nam pani pomoże. Naprawdę. Pani... pani powinna zostać kandydatką w wyborach...

– Nie, to Pierre powinien był to zrobić. Miał taki zamiar. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim.

Sébastien zamilkł zakłopotany.

– Pamiętam – wymamrotał. – Nieodżałowana strata... Cholera. Co za kurestwo! Tak...

Zawahał się.

– Ma pani nadal tego citroëna?

Nicole uśmiechnęła się z rezygnacją.

– Tak. Musiałam pracować dalej. Poza tym wychowywałam Emilie i Marca.

– Najlepsze frytki na wybrzeżu Albâtre – odezwał się Titi. – Może mi pani wierzyć, Nicole, nie przychodziłem tylko po to, żeby gapić się na pani cycki!

Sébastien wybuchnął śmiechem mimo woli. Nicole też się uśmiechnęła z nostalgią. Jej błękitne oczy nadal błyszcząły.

– Półciężarówka wciąż stoi w ogrodzie. Teraz już dzieci nie proszą mnie, żebym ją przestawiła, bo chcą się pobawić na podwórku. Spokojnie zżera ją rdza...

Nicole otworzyła drzwi.

– Cóż, do roboty!

Titi pomógł jej wysiąść. Z Sébastienem patrzyli na nią przez kilka chwil, jak szła przez pusty parking.

Nicole popchnęła żelazną furtkę na nowo pogrążona w myślach.

Niedługo Marc znowu zadzwoni. Niedługo. Może przyjedzie do Dieppe. Co mu powie? Czy powinna dać szansę ich niemożliwej historii? Emilie i Marc...

Musiała podjąć decyzję. Mówić albo zamilknąć. Miała świadomość, że sprawa była nagląca, musiała podjąć decyzję jeszcze przed wieczorem.

Zamknęła za sobą furtkę.

Poradzi się Pierre'a. Pierre zawsze umiał podjąć słuszną decyzję.

2 października 1998, 12.32

Gdy Marc wysiadł z pociągu RER na stacji Val-d'Europe przy placu Ariane, powitał go nieśmiały promyk słońca. Znalazł się w tym miejscu po raz pierwszy, w nowym mieście, otwartym zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Zdumiał go ogromny okrągły plac. Spodziewał się, że przyjedzie do nowoczesnego miasta w stylu high-tech, podobnego do Cergy albo Evry... Tymczasem stał pośrodku placu haussmannowskiego, wiernej kopii pierwszych dzielnic paryskich, z tym tylko, że plac nie miał stu lat ani nawet stu dni! Nowe imitowało stare. I to całkiem nieźle.

Przed nim znad rynien i gargulców wystawały żurawie. „Arlington Business Park” głosił szyld. Nieukończone jeszcze wieże dzielnicy biznesowej już górowały o kilkadziesiąt metrów nad starym placem. Marc odwrócił głowę: w oddali za obwodnicą ujrzał wzgórza Disneylandu, dzwonnice wieży Śpiącej Królowej, czerwone skały pociągu górniczego, kopułę Space Mountain...

Wizja wręcz surrealistyczna!

Pewnie właśnie to chcieli osiągnąć urbaniści, pomyślał.

Przypomniał mu się skrawek rozmowy sprzed kilku miesięcy w Pollet u Nicole. Był wieczór, w telewizji nadano reportaż o nowym mieście budowanym przez konsorcjum Disneya przy okazji otwarcia nowego centrum handlowego. Nicole złorzeczyła w kuchni. „Nie rozumiem, jak można zabierać dzieciaki do parku Disneya i dawać zarobić tym kapitalistom od Myszki Miki! A teraz jeszcze dają im ziemię, żeby nam tu budowali całe miasta!”.

Lylie sprzątała ze stołu. Jak zwykle wiedziała więcej niż oni.

„To taka utopia, babciu. Wiesz, że Walt Disney marzył o idealnym mieście na Florydzie? Nazywałoby się Celebration, nie byłoby w nim samochodów, segregacji klasowej, a miasto znajdowałoby się pod kopułą, żeby kontrolować klimat. Jednak Disney zmarł, a jego spadkobiercy zmienili projekt... Val-d'Europe to drugie na świecie miasto zbudowane przez koncern Disneya. Jedyne w Europie, najmłodsze we Francji, ma dwadzieścia tysięcy mieszkańców...”.

„Mówisz o jakiejś utopii – skomentowała Nicole. – Budynki za trzy miliony! Pola golfowe. Prywatne szkoły...”.

Lylie nie odpowiedziała. Marc nie wątpił, że chciałyby podyskutować na temat koncepcji miasta, urbanizmu, zielonych przestrzeni, wyzwania architektonicznych, zarządzania transportem. Jednak zamilkła jak zwykle. Uśmiechnęła się, biorąc ścierkę, żeby pomóc babci. Wieczorem przeprowadziła jednak z Markiem krótką rozmowę na ten temat. Wszyscy wiedzieli, że de Carville'owie mieszkają w Coupvray, jednym z ładnych miasteczek w Val-de-Marne, gdzie francuska tradycja została świetnie wkomponowana w amerykański projekt Val-d'Europe, dzięki czemu cena mieszkań wzrosła. Tradycja i nowoczesność.

Marc szedł piechotą. Dzielnica została zaprojektowana z myślą o pieszych, pod tym względem nie było się do czego przyczepić. Od Coupvray dzieliły go zaledwie dwa kilometry. Doszedł do placu Toscane. Uśmiechnął się na widok rzeźbionej fontanny, tarasów i kafejek w kolorze ziemi w Sienie. Nigdy nie był we Włoszech, ale właśnie tak wyobrażał sobie idealny plac florencki albo

rymski, nawet w środku zimy. Prawie spodziewał się, że spotka bohaterów filmu *Zakochany kundel* jedzących przy stoliku spaghetti. Szedł żwawym krokiem. Piesznych było niewielu. Marc przechodził właśnie przez osiedle z polem golfowym. Wzorowano się tu na stylu angielskim. Wykuszone okna, czerwone i purpurowe drewno, kute żelazo. Marc miał wrażenie, że przemierzył całą Europę jak z kartki pocztowej, pokonując przy tym mniej niż dwa kilometry.

Bardziej klasyczne, nieduże domy zasygnalizowały mu, że zbliża się do Coupvray. Zauważył serię znajomych znaków: merostwo, szkoła, sala balowa, biblioteka, muzeum w domu narodzin Louisa Braille'a. Adres de Carville'ów dostał od Jennifer. Ulica Chauds-Soleils, ślepa uliczka na obrzeżach miasteczka, w samym środku lasu Coupvray. Coupvray rozwinęło się w zakolu rzeki Marny, okolone chronionymi lasami. Kanał między Meaux a Chalifert wyznaczał swoistą granicę i tworzył prosty przepływ skracający bieg Marny. Był malowniczym dodatkiem w tym bukolicznym zakątku oddalonym od stolicy o kilka kilometrów. Na kamiennym murku przy kanale siedziało trzech rybaków. Śluza Lesches, głosiła brązowa tabliczka. Nie wytrzymał zbyt długo. To miejsce wydało mu się idealne na odpoczynek, chciał usiąść i wyjąć z kieszeni dzinsów pięć stron wydartych z zeszytu Grand-Duca.

Nie miał odwagi czytać w hałaśliwej kolejce RER, gdzie nieznajomi zagłądaliby mu przez ramię. Tą częścią historii nie chciał się dzielić. Częścią jego historii.

Próbował oddalić ten moment. Sprawdził telefon. Żadnej wiadomości od babci. Żadnej wiadomości od Lylie.

Nie miał już więcej wymówek. Rozłożył pięć kartek.

Dziennik Crédule'a Grand-Duca

Tamtej niedzieli, siódmego listopada osiemdziesiątego drugiego, spędzałem weekend w Antalyi nad Morzem Śródziemnym, na tureckiej riwierze, gdzie przez trzysta dni w roku świeci słońce. Gościłem u wysokiego rangą urzędnika tureckiego ministerstwa spraw wewnętrznych. Biegałem za nim od kilku tygodni, żeby sprawdzić, czy na lotnisku Atatürka w Stambule tamtego dwudziestego drugiego grudnia na pewno nikt niczego nie widział. Nigdy nic nie wiadomo, jakaś kamera mogła coś zarejestrować, mogło mieć miejsce jakieś zdarzenie. W tamtym czasie na lotnisku pełno było żołnierzy, jeden z nich mógł coś widzieć. Chciałem przeprowadzić małe śledztwo w koszarach, ale oczywiście wzięto mnie za świra. Urzędnik w końcu ustąpił i zaprosił mnie w pewien weekend, kiedy przyjmował u siebie całą śmietankę tureckiej obrony narodowej. Tym razem Nazima ze mną nie było, Ayla nalegała, żeby wrócił do Francji, jak sobie przypominam, zachorowała... Zupełnie mi to nie odpowiadało. Cały weekend musiałem męczyć się bez tłumacza, żeby wyjaśnić, o co mi chodzi, podczas gdy wszyscy inni przyszli, żeby wygrzewać się w słońcu ze swoimi żonami... Jakoś zupełnie nie uważali, żeby moje pytania były ważne. Ja w sumie też nie. Coraz mniej byłem do tego przekonany.

O wypadku w Tréport dowiedziałem się trzy dni później w hotelu Askoc. Poinformował mnie Nazim. Później dużo rozmawiałem o tym z Nicole Vitral. Opowiedziała mi wszystko ze szczegółami. W tamten listopadowy weekend jak co roku trzy siostrzane normandzkie i pikardyjskie miasta, Tréport, Eu i Mers-les-Bains, organizowały święto morza, coś jak karnawał w Dunkierce, ale

skromniejsze, w wersji normandzkiej. Mule z frytkami w dowolnych ilościach, rejsy statkiem, pochody na ulicach... Szalony tłum, który zjawiał się nie wiadomo skąd... Pierre i Nicole Vitralowie uczestniczyli w święcie w Tréport tak jak każdego roku. Starali się też brać udział we wszystkich innych imprezach w portach nad kanałem La Manche, w Dunkierce, w Hawrze. Poza sezonem letnim to właśnie dzięki takim weekendom udawało im się związać koniec z końcem. Zostawiali Marca i Emilie u sąsiadów, a sami na jedną noc wyjeżdżali pomarańczowo-czerwonym citroënem typu H. Parkowali w strategicznych miejscach, jak najbliżej morza, otwierali okienko, jeśli trzeba było, zawieszali plandekę chroniącą od wiatru i niecałą godzinę później zaczynali sprzedawać frytki, naleśniki, gofry i inne przysmaki. Zazwyczaj pracowali do późna w nocy... Mimo surowego klimatu imprezy na północy kończą się często nad ranem. Aby nie tracić czasu ani pieniędzy, Pierre i Nicole zamykali półciężarówkę, między piecykiem gazowym a lodówkami rozkładali materac, było tam akurat wystarczająco miejsca, i spali na podłodze przez kilka godzin, żeby w niedzielę na nowo zacząć sprzedaż. Warunki mieli spartańskie, ale w taki weekend zarabiali więcej niż w ciągu dziesięciu zwykłych dni.

W niedzielę siódmego listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku Pierre i Nicole zakończyli sprzedaż z półciężarówki około trzeciej nad ranem i nigdy już jej nie wznowili. Alarm wszczął jakiś facet, który wyszedł na spacer z psem na falochron w Tréport. Mimo mżawki było czuć wydobywający się z półciężarówki gaz. A raczej merkaptan metylowy, substancję na bazie siarki, którą dodaje się do butanu, gdyż ten paskudny gaz naturalny nie ma zapachu ani barwy. Strażacy wyważyli siekierą tylne drzwi samochodu i znaleźli dwa nieruchome ciała. Butan ulatniał się już przynajmniej od pięciu godzin na ograniczonej przestrzeni dziewięciu metrów kwadratowych. Pierre Vitral już nie oddychał. Strażacy nie próbowali go nawet reanimować, orzekli zgon. Nicole jeszcze żyła. Natychmiast przewieziono ją do Abbeville. Dopiero piętnaście godzin później lekarze potwierdzili, że z tego wyjdzie. Jej płuca zostały jednak przeżarte na resztę jej dni.

Sledztwo nie trwało długo. W jednej z rurek doprowadzających znaleziono dziurę. Wypadek był głupi i łatwy do przewidzenia. Towarzystwo ubezpieczeniowe pozostało wierne swojej ideologii głębokiego humanizmu: spać w ciężarówce między butlami z butanem a gorącymi piecami to według nich czyste szaleństwo. Instalacja była zużyta, oczywiście dopuszczona do użytku przez służby sanitarne, niemniej eksperci znaleźli w niej wady... Mówiąc krótko, towarzystwo ubezpieczeniowe nie miało żadnego problemu, żeby znaleźć wymówkę i nie zapłacić Nicole ani grosza odszkodowania.

Została jej tylko ta półciężarówka... Musiała wymienić plastikową rurkę i tylne drzwi... Miała na wychowaniu dwoje dzieci.

To chyba przez to zbliżyłem się do Vitralów. Przez litość. Tak, można to tak określić. Litość. Nie ma się czego wstydić.

Litość i podejrzenia.

Gdy Nazim zadzwonił do mnie, żeby opowiedzieć mi, co się wydarzyło w Tréport, moją pierwszą reakcją było niedowierzanie w hipotezę o wypadku. OK, los jest jak dzieciaki na przerwie: pastwi się nad najsłabszymi. Ale są pewne granice! W kolejnych tygodniach spotkałem się

z adwokatami de Carville'ów, którzy niezbyt z tego dumni, wygadali się. Przed drugim zawałem Léonce de Carville zadał im czysto techniczne pytanie: „A gdyby Vitralowie zniknęli, co by się stało? Czy mała Lylie pozostałaby Vitralówną, którą oddano by do domu dziecka, czy też można by było się odwoływać? W tym nowym kontekście, jakie byłyby szanse, żeby małą powierzono de Carville'om?”.

Pytanie było zarazem mroczne, jak i niewygodne. Adwokaci różnili się w swoich opiniach, ale generalnie uważali, że gdyby Vitralowie zniknęli, a Lylie miała mniej niż dwa lata, nowy proces mógłby się odbyć. To tylko taka techniczna hipoteza, precyzowali, ale można było coś ugrać na niejednoznacznej tożsamości dziewczynki i konieczności kierowania się jej dobrem... Zamiast szukać rodziny adopcyjnej dla małej sierotki, można by ją oddać de Carville'om!

Tak wam to tylko opowiadam. Zróbcie z tym, co chcecie.

Skoro Mathilde de Carville była na tyle szalona, żeby zatrudnić detektywa na osiemnaście lat, jej mąż, mniej cierpliwy, mógł wpaść na pomysł, żeby zatrudnić mordercę. Przebicie rurki w bez przerwy otwartej ciężarówce to zadanie dla pierwszego lepszego typka pozbawionego skrupułów. Nigdy nie podejrzewałem, że Mathilde mogłaby cokolwiek o tym wiedzieć, a już na pewno nie, że brała w tym udział. To by było wbrew religii. Jednak Léonce byłby do tego zdolny. Drugiego zawału dostał dwadzieścia trzy dni po wypadku. Można się doszukiwać powiązania. Nicole przeżyła, ale śmierć Pierre'a być może na sumieniu miał Léonce. Wszystko na nic. Lyse-Rose odeszła na zawsze...

Teraz już wiecie tyle co ja. Léonce, który skończył jako warzywo, zachował swój sekret w tajemnicy.

Czy wątpliwości świadczą na jego korzyść?

Dobre pytanie!

2 października 1998, 12.40

Marc patrzył, jak chmury zwarcie otaczają słabe jesienne słońce.

Wątpliwości...

W chwili wypadku miał tylko cztery lata. Nie pamiętał prawie nic oprócz bezmiaru smutku dorosłych, którzy go otaczali. On miał tylko jeden cel, jedyny odruch: chronić Lylie, ścisnąć ją mocno za rękę, nie opuszczać jej, nie zostawiać.

Babcia nigdy mu za wiele nie mówiła. Rozumiał. O takich rzeczach się nie mówi. Opowieść Grand-Duca wyjaśniła mu o wiele więcej niż wszelkie skrawki informacji, które zbierał przez lata.

Marc przyglądał się trzem rybakom siedzącym naprzeciwko niego. Byli dość młodzi, nie ruszali się, prawie spali. Po co godzinami wyczekiwali na rybę, która nigdy nie łapie haczyka? Może po prostu czekali na koniec świata w tym rajskim zakątku.

Wątpliwości...

Rajski zakątek, w którym mieszka diabeł?

Marc próbował zagłębić się we wspomnienia. Nie wiedział, dlaczego zapiski Grand-Duca go zaalarmowały. Jakiś kłopotliwy szczegół, coś dziwnego...

Coś się nie zgadzało!

Marc spróbował skoncentrować się jeszcze bardziej, miał głębokie przekonanie, że ten szczegół zapisał się w jego pamięci. Było to coś, co utkwilo mu w pamięci, co znał, ale co wróci, jeśli tylko

uchwyci się końca sznurka, odnajdzie się punkt wyjścia, usłyszy jakieś jedno słowo.

Zastanawiał się dalej, bezskutecznie. Był zwyczajnie pewien, że ten szczegół jest gdzieś w jego pokoju, w jego rzeczach przy ulicy Pocholle w Pollet w Dieppe. Jeśli będzie szukał, znajdzie...

Czy to pilne? Jaki ma związek z całą resztą? Wielka podróż Lylie, z której nie ma powrotu.

Do Dieppe pociągiem jedzie się zaledwie dwie godziny... Musi porozmawiać z Nicole.

To poczeka.

Drżącą ręką odwrócił wydartą kartkę i przeczytał ostatnią stronę.

Dziennik Crédule'a Grand-Duca

Miesiąc po dramacie, który rozegrał się w Tréport, Nicole Vitral znowu obsługiwała klientów w swojej objazdowej smażalni. Nie miała wyboru. Wielu uznało za dziwne, a nawet niezdrowe, że nadal pracuje w tej trumnie na kółkach, w tej pułapce z blachy i gazu, gdzie zginął jej mąż, usnąwszy na zawsze na tej podłodze, po której ona nadal stąpała całymi dniami.

Nicole odpowiadała z uśmiechem: „Nadal przecież mieszkamy w domach, gdzie zgaśli nasi bliscy. Śpimy w tych samych łóżkach, jemy z tych samych talerzy co oni, pijemy ze szklanek, z których pili oni... Przedmioty nie są niczemu winne. To tylko półciężarówka, taka jak każda inna”.

Lata później zrozumiałem, że w głębi duszy Nicole lubiła tę pracę. Lubiała obsługiwać klientów w Citroënie typu H przy plaży w Dieppe, tak jak to robiła przez lata z Pierre'em, choć mieszanka zapachów w zamkniętej przestrzeni coraz bardziej rozdzierała jej płuca, a ona nie przestawała kaszleć. Pierre zasnął w tej ciężarówce i już nigdy z niej nie wyszedł, a Nicole czuła się tu mniej samotna niż gdziekolwiek indziej. Może z wyjątkiem cementarza Janval.

Zbliżyłem się do Nicole i do jej wnuków mniej więcej w tamtym czasie, w połowie roku osiemdziesiątego trzeciego. Spotkałem ją po raz pierwszy pewnego ranka w kwietniu, gdy Marc był w szkole, a Lylie spała.

Nicole zagroziła mi drogę. Zacząłem nieśmiało:

– Crédule Grand-Duc. Prywatny detektyw. Ja... prowadzę śledztwo w sprawie...

– Wiem, kim pan jest, panie Grand-Duc. Od miesięcy kręci się pan po okolicy... Proszę sobie wyobrazić, że tutaj wieści rozchodzą się bardzo szybko...

– Hmm... Dobrze... Przynajmniej zyskamy trochę czasu... Mathilde de Carville zatrudniła mnie, abym zaczął od zera śledztwo na temat katastrofy...

– Mam nadzieję, że dobrze panu za to płaci...

– Nie mogę narzekać, jest całkiem nieźle...

– Ile?

Oczy Nicole płonęły. Bawiła się ze mną w kotka i myszkę. Po co miałbym kłamać?

– Sto tysięcy franków. Rocznie.

– Mógł pan uzyskać więcej, znacznie więcej...

Nicole Vitral miała na sobie dość cienki szaroniebieski sweterek wycięty w kształcie litery V. Czułem się potwornie zakłopotany. Mówiła dalej, nie drgnąwszy:

– Czego pan się spodziewa z mojej strony?

– Żeby mi pani pozwoliła zbliżyć się do Lylie, przyjrzeć się jej, porozmawiać z nią. Patrzeć, jak rośnie...

– Tylko tyle...?

Czułem, że negocjacje będą długie. Nie wiedziałem, na czym skupić wzrok, czy znosić jej piorunujące spojrzenie, czy też patrzeć na jej biust. Nicole machinalnie podciągnęła sweterek.

– Widzi pan, ja nie mam nic do ukrycia. Wbrew temu, co może pan sądzi, też jestem zainteresowana poznaniem prawdy... Znalazł pan coś?

Zawahałem się. Zyskiwałem przewagę? Nie na długo, sweterek już opadł w dół.

– Podążałem wieloma drogami, w większości okazywały się ślepych uliczkami, ale odkryłem też kilka niepokojących szczegółów...

Nicole Vitral jakby się zawahała. Objęła wzrokiem ulicę Pocholle.

– Czy Mathilde de Carville kazała panu podpisać coś, co zobowiązywałoby pana do poufności? Do zachowania wyników śledztwa tylko do jej wiadomości?

– Nic podobnego. Płaci mi jedynie za to, bym odkrył dowód.

– Dowód? Tylko tyle? Ja nie mam środków, żeby panu zapłacić... ale Mathilde de Carville bez wątplenia jest hojna za nas obie.

Uśmiechnęła się i ponownie podciągnęła sweterek.

– Coś za coś? Zapraszam na kawę, opowie mi pan wszystko, zanim Lylie się obudzi.

Nicole Vitral zaufała mi. Sami zrozumiecie dlaczego!

Zdawałem sobie sprawę, że gra jest nieco niebezpieczna: gdybym kiedykolwiek coś odkrył, moja pozycja między dwiema wdowami (a raczej jedną prawie wdową) nie byłaby prosta, nawet gdyby udało mi się pozostać neutralnym... A moja neutralność topniała! Vitralów cechowała prostota, de Carville'ów pogarda. Léonce zamiast mięśni miał wodę, Malvina parę zamiast mózgu, a Mathilde sopel lodu zamiast serca. Płacili mi, byłem im oddany jak pies, ale moja sympatia bezsprzecznie przechylała się na stronę Vitralów.

Marc i Lylie byli uroczymi dzieciakami. Nabrałem zwyczaju częstego przyjeżdżania do nich w odwiedziny, a co najmniej w każde urodziny Lylie. Czasem do Dieppe jeździłem z Nazimem. Dzieci bały się jego wielkich wąsów, mnie natomiast fascynowała energia Nicole, jej poczucie humoru i niezłomność w samotnym wychowywaniu Marca i Lylie. Trzymała się dzielnie, nie tknęła ani centyma z bankowych zasobów Lylie, z fortuny, którą przelewała Mathilde de Carville.

Nicole była zdeterminowana i wierna. Nieduża, niewiarygodna kobieta. Mijały miesiące i lata.

Ja również pozostawałem wierny obranej drodze. Już czas, żeby o tym powiedzieć. To ważne, nawet nie wiecie, jak bardzo. Każdego roku w okolicach dwudziestego drugiego grudnia wracałem na Mont Terrible. Spałem w schronisku w Clairbief, niedaleko Doubs, i spędzałem czas na miejscu katastrofy. Każdego roku przez przynajmniej kilka godzin chodziłem, myślałem i czytałem notatki, które zrobiłem.

Jak gdyby to miejsce miało w końcu zdradzić mi swój sekret...

Jeździłem tam zawsze sam. Bez Nazima.

Poznałem każdą ścieżkę, każdy kamień, każdą sosnę. Czułem, że muszę oswoić tę dziką górę, że muszę poświęcić czas, aby się w nią wsłuchać, wyjść poza traumatyczne zdarzenia. Podobnie jak w przypadku Vitralów.

Na pewno mi nie uwierzycie, ale to zadziałało! Góra zaufała mi. Dokładnie trzy lata później. Trzy pielgrzymki później, w grudniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego. Odkryła przede mną swój sekret, najbardziej kłopotliwy z całych osiemnastu lat śledztwa.

Dwudziestego drugiego grudnia osiemdziesiątego szóstego późnym popołudniem na szczycie góry

zaskoczyła mnie nagła i potężna burza. Żeby zejść na dół, musiałbym przez dwie godziny iść w deszczu i wśród walących piorunów. Szukałem jakiegoś schronienia, czegokolwiek, na oślep. Drzewa, które posadzono na zboczu katastrofy, nie mogły mnie ochronić.

Szedłem na oślep kilometr czy dwa. Aż stanąłem przed najbardziej niezwykłym odkryciem. Byłem przemoczony. W pierwszej chwili uznałem, że to jakiś sen, halucynacja. Szedłem we mgle, obraz przede mną stawał się coraz wyraźniejszy, coraz bardziej rzeczywisty.

Ulewa przestała się liczyć. Serce waliło mi jak oszalałe. Szedłem oszołomiony.

Marc zaklął wściekły.

Opowieść na wyrwanej kartce urywała się w tym miejscu.

Szedłem oszołomiony.

Ze złości Marc kopnął żwir. Wędkarze podnieśli głowy zaskoczeni i spojrzeli z dezaprobatą. Następne zdanie znajdowało się na kolejnej stronie, w skrytce na Dworcu Lyońskim, do której tylko on znał kod dostępu, godzinę drogi RER-em stąd.

Marc schował kartki do kieszeni i wstał wściekły sam na siebie, wściekły na skomplikowany styl Grand-Duca, który nie mógł pisać prosto i czerpał złośliwą przyjemność z opowiadania o swoim śledztwie tak, jak się pisze kryminały...

Marc przeszedł małym mostkiem na drugą stronę kanału. Ulice Coupvray były spokojne. Urokliwe miasteczko leżące w cieniu Disney City miało w sobie coś nierealnego, jak gdyby i ono zostało zbudowane z masy modelarskiej. Dekoracja filmowa. Ulica Chauds-Soleils odchodziła jako pierwsza w prawo po wjeździe do miasta. Była to bardziej ścieżka niż ulica, mroczna, niknąca w lesie. Marc szedł naprzód niepewnie. Kim tak naprawdę są de Carville'owie? Tak jak on ofiarami losu? Czy też prawdziwą rodziną Lylie, na co miał nadzieję? A może zleceniodawcami zabójstwa jego dziadka?

Wrogowie? Przyjaciele? Jedno i drugie?

Marc zmuszał się, aby oddychać powoli.

Nie mógł się zawahać. Atak agorafobii mógł go dopaść w każdej chwili, dlaczego nie tutaj, w ciszy, w zieleni...?

Na końcu ślepej uliczki stało kilka samochodów wysokiej klasy. Mercedes. Saab. Audi. Mnóstwo wielocylindrowych, oprócz jednego mniejszego. Rover mini. Niebieski. Marc zamarł, jak gdyby nagle uruchomił mu się alarm.

Już wcześniej, i to niedawno, mijał ten samochód!

Gdzie?

Przypomnienie sobie nie było trudne. Prawie cały dzień spędził pod ziemią w metrze. Raz jeden wystawił nos na powierzchnię tu, w Coupvray, i...

U Grand-Duca!

Na jego ramieniu spoczęła dłoń.

W dół pleców wbiła mu się metalowa rurka. Bez wątpienia broń palna.

Piskliwy głos sprawił, że sytuacja stała się jeszcze bardziej nieprzyjemna.

– Szukasz czegoś, dupku?

2 października 1998, 12.50

Co ciekawe, Marc nie odczuł żadnego z symptomów ataku. Ani duszności, ani palpacji. Zauważył jedynie, że przyspieszył mu puls.

Nie panikować.

Odwrócić się.

Ulica Chauds-Soleils była rozpaczliwie opustoszała. Wysokie drzewa posiadłości rzucały rozedrgane cienie na jasnoszary żwir. Marc odwrócił się, bardzo powoli podniósł ręce w górę, żeby pokazać, że nie ma zamiaru stawiać oporu.

– Nie próbuj udawać przebiegłego, Vitral.

Marc zmrużył oczy. Przed nim stała dziewczynka wzrostu około metra pięćdziesięciu, ważąca najwyżej czterdzieści kilo, ubrana, jakby wyszła z pensjonatu dla młodych panien... Z tym że dziewczynka miała twarz trzydziestolatki.

Malvina de Carville!

Marc nie spotkał jej nigdy wcześniej, nie widział jej też na żadnym zdjęciu, ale mogła to być tylko ona. Trzymała go na muszce, a z oczu biła jej dziwna furia. Umysł Marca próbował jak najszybciej zanalizować następujące po sobie wydarzenia. Niebieski rover mini zaparkowany kilka metrów dalej na ulicy Chauds-Soleils i na Butte-aux-Cailles godzinę wcześniej to samochód Malviny. Kilka godzin wcześniej musiała być u Grand-Duca... Z pistoletem.

To ona zabiła Crédule'a. Teraz kolej na niego.

Malvina przyglądała mu się, lustrowała go od stóp do głów.

– Co tu robisz, Vitral?

W intonacji Malviny było coś niemal komicznego, jej głos brzmiał jak ujadanie kundelka za ogrodzeniem posesji. Marc nie mógł jednak stracić czujności i dobrze o tym wiedział. Ta dziewczyna była zdolna do wszystkiego, kulkę między oczy mogła mu wpakować, zanosząc się śmiechem. A jednak, wbrew wszelkiej logice, Marc nie mógł brać poważnie tej malutkiej niedzisiejszej kobietki. Co dziwne, nadal nie czuł żadnego z symptomów agorafobii, strachu, paniki.

– Nie ruszaj się, Vitral. Nie ruszaj się, mówię.

Marc posunął się pół metra naprzód i nie opuszczając rąk, uśmiechnął się.

– Przestań tak na mnie patrzeć! – wrzasnęła Malvina, cofając się. – Nie robisz na mnie wrażenia.

Wiem o tobie wszystko. Wiem nawet, że sypiasz ze swoją siostrą... Nie uważasz, że to obrzydliwe?

Marc nie mógł się nie uśmiechnąć po raz kolejny. Te obraźliwe słowa brzmiały w ustach Malviny fałszywie, jak przekleństwa dzieciaków na placu w Dieppe, które puszczał mimo uszu, słowa zbyt brzydkie jak na ośmioletnie dzieciaki, które chciały przykryć nimi nieśmiałość.

– Jeśli przyjąć twój punkt widzenia, sypiam raczej z twoją siostrą...

Malwinę zaskoczyło, co powiedział. Jej umysł funkcjonował jak komputer, któremu brakuje pamięci operacyjnej. W końcu znalazła odpowiedź:

– Masz rację, pieprzysz moją siostrę, ona jest zbyt piękna, żeby mogła być wstrętną Vitralówną. Lyse-Rose nie będzie już dłużej potrzebowała takiego odrażającego typu jak ty, teraz, gdy ma już

osiemnaście lat...

Inwektywy Malviny nadal spływały po Marcu, w żaden sposób go nie dotykając. Były bez wątpienia zbyt karykaturalne. Nierealne. Nie miał nawet ochoty się bronić, odpowiedzieć jej, że nie, nie pieprzy się z Lylie. Marc ruszył aleją, nie przejmując się Malwiną, zmuszając się, żeby nie okazywać wahania. Malvina z jeszcze większą determinacją wymierzyła w niego broń.

– Mówię ci, nie ruszaj się.

Marc szedł dalej, nie odwracając się.

– Przykro mi, nie przyjechałem do ciebie. Muszę się zobaczyć z twoją babcią. Wybacz. Willa Różana to tutaj?

– Stój albo cię zastrzelę. Nie zrozumiałeś?

Marc zachowywał się tak, jakby nie słyszał, szedł odwrócony plecami do Malviny. Czy dobrze robił? Czy powinien polegać na swoim instynkcie, na braku symptomów ataku? A może skończy tak jak Grand-Duc, zastrzelony przez tę wariatkę? Kulka w serce. Po plecach zaczęły mu spływać kropelki potu. Stanął przed ogromną bramą Willi Różanej.

– Co robisz? Mówię ci, że cię zastrzelę!

Malvina podbiegła jak podekscytowana dziewczynka na placu zabaw i stanęła naprzeciwko Marca, nadal mierząc w niego z mauzera. Po raz kolejny uważnie zlustrowała Marca od stóp do głów.

– Szukasz czegoś? – zapytał Marc, starając się, aby w jego głosie zabrzmiała ironia.

– Przyjechałeś tak po prostu, bez plecaka? Jesteś pewien, że nie masz nic przy sobie? Pod bluzą?

– Mam się przed tobą rozebrać? O to ci chodzi?

– Trzymaj ręce do góry, mówię!

– Chcesz to zrobić sama? Przeszukać mnie swoimi małymi rączkami?

Malvina wahała się. Marc zastanawiał się, czy nie posuwa się zbyt daleko. Dziewczyna ledwo nad sobą panowała, palec sztywniał jej na spuście mauzera. Palec, na którym widniał srebrny pierścionek ze wspaniałym brązowym przezroczystym kamieniem w kolorze jej oczu, tylko bardziej świetlisty. Malvina nadal przyglądała się Marcowi uważnie. Bez wątpienia szukała zeszytu Grand-Duca, dobrze zrobił, że powziął środki ostrożności.

Wbił jej kolejną szpilę:

– Przykro mi, Malvino, wolę twoją młodszą siostrę.

Ruszył z miejsca, nie czekając na reakcję dziewczyny, i drżącym palcem nacisnął guzik interkomu, choć nie wiedział, co za jego plecami robi ta wariatka.

– Skurwysynu, ja cię...

Damski głos dobiegający z interkomu przerwał Malwinie.

– Tak, słucham?

– Marc Vitral. Przyjechałem porozmawiać z panią Mathilde de Carville.

– Proszę wejść.

Brama się otworzyła. Malvina zawahała się i stała się jakby zakłopotana z powodu broni, którą trzymała w ręku. Wymierzyła ją w Marca.

– Zrozumiałeś? Na co czekasz? Wchodź, jak ci mówią!

Marc wiedział, czego się spodziewać, nie wątpił, że znajdzie się w okazałej posiadłości, jednej z najbardziej okazałych w tej dzielnicy bogaczy, ale i tak wielkość parku, różnorodność zapachów, nawet w porze jesiennej, klomby kwiatów, idealnie przycięte róże zrobiły na nim wrażenie. Jaką powierzchnię mogła zajmować posiadłość? Dziesięć tysięcy metrów kwadratowych? Piętnaście tysięcy? Szedł aleją wysypaną różowym żwirem z obstawą o wzroście metr pięćdziesiąt.

– Niezły teren, co, Vitral? Willa Różana! Największa posiadłość w Coupvray. Z drugiego piętra rozciąga się widok na całe zakole Marny. Zdajesz sobie sprawę, Vitral, że pozbawiliście Lyse-Rose tego wszystkiego?

Marc powstrzymał się, żeby nie spoliczkować tej małej zarazy. Wypuszczała zatrute strzały na oślep i niektóre dosięgały celu. Marc nie mógł nie porównywać parku Willi Różanej do ogródka na ulicy Pocholle, pięć metrów na trzy. Gdy stał tam zaparkowany citroën, z ogródka nie zostawało nic. W oddali w pobliżu szklarni przebiegła wiewiórka, rzucając gościom przestraszone spojrzenie.

– Teraz, gdy to do ciebie dotarło, mam nadzieję, że masz chociaż wyrzuty!

Wyrzuty?

Wybuchy śmiechu Lylie wciąż brzmiały Marcowi w uszach. Radosne krzyki dzieci, które rozlegały się, gdy Nicole wyjeżdżała półciężarówką, żeby pojechać do pracy na plażę w Dieppe. Lylie i Marc wybiegali, żeby w ogródku pograć w klasy albo badminton. Ten ogródek w ich dziecięcych oczach był rozleglejszy niż jakikolwiek park jakiegokolwiek Willi Różanej.

Trzy stopnie. Malvina poszła przodem, nie opuszczając mauzera, i otworzyła masywne drewniane drzwi.

Marc udał się za nią.

Czyżby zwariował, że wchodzi tu z własnej woli? Działał samodzielnie. Nikt nie wiedział o jego wizycie. Malvina wskazała mu szeroki korytarz i po raz kolejny weszli po trzech stopniach. Na ścianach wisiały obrazy z wiejskimi krajobrazami, na wieszakach z kutego żelaza wisiały futra. Owalne lustro na końcu korytarza sprawiało, że wydawał się on jeszcze dłuższy.

Lufa mauzera wskazała pierwsze drzwi po prawej. Były ciężkie, zdobione czerwonymi gzymsami. Weszli.

Marc znalazł się w wielkim salonie. Większość mebli, kanapy i szafy były przykryte białymi prześcieradłami, które bez wątpienia miały je chronić przed niszczycielskim działaniem czasu, gdy akurat nie przyjmowano gości. Stał naprzeciwko otwartej biblioteczki zajmującej całą ścianę. W przeciwnym końcu pokoju dostrzegł lakierowany, biały fortepian. Petrof, jedna z najbardziej luksusowych marek. Marc znał ich cenę.

Mathilde de Carville zatrzymała się tuż przed nim, wyprostowana, sztywna, a jej jedyną ekstrawagancją był krzyż zawieszony na szyi i plamy błota u dołu sukni. Léonce de Carville spał obok. Obojętny. Na kolanach miał koc, na ramionach kilka opadłych liści. Czarna wdowa i paralityk – scena godna kiepskiego horroru.

Mathilde de Carville nie ruszyła się. Posłała mu jedynie dziwny uśmiech.

– Marc Vitral, cóż za zaskakująca wizyta... Kto by pomyślał, że pewnego dnia zjawi się pan tutaj...

– Sam bym nigdy nie przypuszczał...

Uśmiech stał się jeszcze trochę szerszy. Malvina oddaliła się i stanęła przy fortepianie.

– Oddaj mi broń, Malvino.

– Ale, babciu...

Spojrzenie Mathilde de Carville pokazywało, że nie znosi ona sprzeciwu. Malvina ostentacyjnie położyła pistolet na fortepianie. Widać było jednak, że ma ochotę znów chwycić mauzera i go użyć.

Marc tymczasem nie mógł oderwać wzroku od fortepianu. Oczywiście, u de Carville'ów musiał być fortepian. Gdyby nawet nigdy tu nie przyjechał, domyśliłby się. Fortepian w ich domu po prostu być musiał. Nikt w rodzinie Vitralów nie był melomanem. Ani jego rodzice, ani dziadkowie nigdy w życiu nie zbliżyli się do żadnego instrumentu. W Pollet nie mieli nawet zbyt wielu płyt. Lylie jednak, jak z czarowana, od pierwszych miesięcy życia przy ulicy Pocholle słuchała wszelkich dźwięków. W szkole podstawowej fascynowały ją zabawki muzyczne. To, że w wieku czterech lat została zapisana do szkoły muzycznej, wydawało się logiczne. Jej nauczyciel nie szczędził pochwał, Marc wspominał to z dumą.

– Piękny instrument, prawda? – zapytała Mathilde de Carville. Autentyk. – Mój ojciec zamówił go w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku. Zaskakuje mnie pan. Interesuje się pan grą na fortepianie?

Marc nie odpowiedział, pogrążony w myślach. Gdy Lylie skończyła osiem lat, nauczyciele muzyki zaczęli naciskać. Lylie była jedną z najlepszych uczennic, miała najwięcej zamiłowania do gry. Potrafiła grać na różnych instrumentach, ale najbardziej lubiła fortepian. Nauczyciele chcieli, żeby ćwiczyła więcej, nie tylko przez kilka godzin na zajęciach. Należało zadbać, aby ćwiczyła codziennie w domu. Argument o braku miejsca szybko został odparty – do domów produkowano świetne małe fortepiany. Pozostawała kwestia kosztów. Najmniejszy fortepian dobrej jakości, nawet używany, kosztował tyle co kilka miesięcznych pensji Nicole. Nie mogli sobie na to pozwolić. Lylie nie protestowała, gdy Nicole wyjaśniła jej, że fortepian przekracza ich możliwości...

Jakiś zgrzyt sprawił, że Marc podskoczył. Za jego plecami Malvina jeździła mauzerem po klapie petrofa.

– Zostaw ten pistolet, Malvino – rozkazała spokojnie Mathilde. – Ja też grywałam... Gdy byłam młoda. Szło mi dość kiepsko. Mój syn Alexandre miał o wiele większy talent niż ja... Sądzę jednak, że nie przyszedł pan tu, żeby rozmawiać o muzyce klasycznej...

Żadne ze słów wypowiedzianych przez Mathilde de Carville nie było bezcelowe. Marc dobrze o tym wiedział.

– Ma pani rację... – zaczął. – Przejdę od razu do rzeczy. Przyszedłem, żeby porozmawiać o śledztwie Crédule'a Grand-Duca. Nie będę ukrywał, że przekazał mi swój zeszyt z zapiskami na temat osiemnastu lat śledztwa. W zasadzie przekazał go...

Marc zawahał się, ale mówił dalej.

– ...przekazał go Lylie, która nalegała, żebym i ja go przeczytał dziś rano.

– Ale przyjechał pan z pustymi rękoma – ucięła Mathilde de Carville. – Jest pan ostrożny. Ma pan obawy. Niesłusznie. Jeśli chodzi o ten zeszyt, nigdy nie wymagałam od Grand-Duca wyłączności. To dobrze, że Lylie się dowie. Lepsze wątpliwości niż fałszywa pewność. Jeśli o mnie chodzi, sądzą, że

znam dość dokładnie treść tego zeszytu. Grand-Duc był lojalnym pracownikiem.

Marc przyglądał się zniekształconemu odbiciu twarzy Malviny w lśniąącym wieku petrofa, aż w końcu odezwał się, próbując udawać zdziwienie.

– Był?

Mathilde odpowiedziała z nieskrywaną ironią:

– Tak, był. Grand-Duc był do mojej dyspozycji przez osiemnaście lat... Od trzech dni jest już wolny...

Marc zaklął. Mathilde mówiła z wyższością, chciała nim manipulować! Przecież musiała wiedzieć, że Grand-Duc nie żyje. Został zamordowany przez jej wnuczkę. Może z jej polecenia... Marcowi drżały ręce. Co on tu robi? Pomiędzy tą starą zgorzkniałą wiedźmą a wariatką, która tylko czekała na jej słowo, żeby go zabić. Nie mówiąc o tym nieruchomym staruszku na wózku. Koszmarna wizja. Czego mógł się spodziewać, gdy wybrał się do tego wyziębionego od lat miejsca?

Marc zrobił kilka kroków, jak gdyby chciał dodać sobie pewności. Palce Malviny zacisnęły się na mauzerze. Nie miał wyboru, nie miał nic do stracenia, musiał atakować.

– Dobrze. Skończmy z tym całym cyrkiem. Będę grał otwarcie! Od osiemnastu lat nasze rodziny obstają przy swoich przekonaniach. De Carville'owie twierdzą, że przeżyła Lyse-Rose. Vitralowie, że Emilie. Tak też ocenił sąd.

Marc odetchnął, szukając właściwych słów.

– Pani de Carville, przez te wszystkie lata wychowywałem się przy Lylie i zyskałem pewność.

Marc zawahał się znowu, ale mówił dalej:

– Pani de Carville, Lylie nie jest moją siostrą! Słyszysz mnie pani? Nie łączą nas więzy krwi... Z katastrofy ocalała Lyse-Rose.

Mauzer ześlizgnął się z fortepianu z głuchym hukiem. Oczy Malviny zalśniły z zaskoczenia, z radości, jak gdyby nagle Marc stał się sprzymierzeńcem. Szpieg, który ściąga maskę i ujawnia tożsamość.

Jeden z nich!

Mathilde de Carville z kolei siedziała nieruchomo, trwała w ciszy, po czym wypowiedziała kilka słów.

– Malvino, zawieź dziadka do parku.

– Ale, babciu...

Do oczu dziewczyny napłynęły łzy.

– Rób, co ci każę, Malvino. Zabierz Léonce'a i pojedź z nim do parku.

– Ale...

Tym razem Malvina nie powstrzymała łez. Wyszła, popychając wózek, w którym jej dziadek spał nieruchomo.

2 października 1998, 12.55

Lylie chwiała się niebezpiecznie. Ten stołek barowy na wąskich nogach chyba specjalnie został pomyślany tak, aby się chwiało, gdy siedząca na nim osoba chciała wypić za dużo.

Nie ma na co czekać, pomyślała Lylie.

Niezły patent taki stołek.

Uniosła do ust szklaneczkę ginu. Nie czuła już palenia. Nie czuła już nic oprócz tego, że chwiało się pod nią taboret.

Była jedyną kobietą w barze Barramundi przy ulicy Lappe. To bar z rodzaju tych, gdzie nie chodzi się samotnie, nawet w dzień, chyba że ma się bardzo konkretny zamiar. Faceci na próżno udawali, że nie są nią zainteresowani, że nadal piją piwo i białe wino, wydrapują okienka w zdrapkach i wpatrują się w telewizor, który na okrągło retransmituje wydarzenia sportowe... Lylie czuła ich napastliwe spojrzenia na swoich nagich łydkach, na nogach, na plecach aż po kark...

Zapomnieć...

Jednym haustem opróżniła szklaneczkę ginu i odwróciła się do barmana, przeciętnego faceta z ostatnią kępką siwych i ułożonych na czubku głowy włosów.

– Co jeszcze może mi pan zaproponować?

Próbowała już wódki i tequili. Na razie bardziej odpowiadała jej wódka. Zaczynała dopiero poznawać alkohole, bo przed ukończeniem osiemnastu lat nigdy nie wypiała ani kropli. Tylko kieliszek szampana trzy dni wcześniej. Nadrabiała stracony czas.

– Chyba już pani wystarczy. Już chyba pani dość wypiała, prawda?

Czego chce od niej ten łysy typek z kretyńską kępką? Nie rozumie, że od trzech dni jest pełnoletnia? Lylie chciała podstawić mu pod nos swój dowód, ale ten przekłety kelner odwrócił się do niej plecami, nawet na nią nie spojrzawszy.

Dwa metry od niej przy barze siedział facet w szarym garniturze i pomiętym krawacie, pogrążony w myślach nad szklaneczką, w której na dnie była resztką kasztanowego płynu. On jedyny w barze nie rozbierał jej wzrokiem. Lylie nachyliła się w jego stronę, łapiąc równowagę na rozchwianym taborecie i chwytając się lady.

– Co pan pije?

Pomięty krawat lekko się wyprostował.

– Klasyka. Szkocka...

– Ja też to chcę! Kelner, chcę to!

Kelner, nadal spokojny, uniósł prawą brew:

– Jest pani pewna?

– Daj spokój, Jean-Charles – odezwał się facet w krawacie. – To dla mnie.

Jean-Charles tym razem uniósł lewą brew. Ten facet musiał mieć niezłą zaprawę.

– Ostatni? Nie chcę tu żadnych kłopotów...

Facet pijący szkocką opanował technikę utrzymywania równowagi znacznie lepiej niż Lylie i nie schodząc ze swojego taboretu, przykleił się do niej. Nie po to, żeby ją pocieszyć, wręcz przeciwnie.

Ten typek znajdujący się na krawędzi istniał tylko dzięki rozmowom z innymi tonącymi o sztormach, ocaleniu, butelkach na morzu...

– A pani skąd się tu wzięła, pani...

– Ważko. Pani Ważka!

Facet zaczynał zauważać, że dziewczyna, która go zaczepiła, ma ciało długonogiej modelki, a wszyscy w barze gapią się na nich, jakby byli na scenie w teatrze.

– Ładnie... Ważka. Ja jestem Richard... Jestem wykładowcą w Boieldieu, więc domyśla się pani, że...

Lylie odepchnęła go, żeby chwycić szklaneczkę szkockiej. Zamoczyła usta i skrzywiła się. Zdecydowanie nic nie równało się z wódką! Richard zrozumiał, że Lylie ma gdzieś jego akademickie problemy, więc zmienił temat.

– Taka piękna dziewczyna jak pani... Nie wygląda pani na profesjonalistkę. Jak to możliwe, że jest pani tutaj? Taka ładna.

Lylie nachyliła się w stronę Richarda, a taboret cudem się nie przewrócił.

– Chodź no tu.

Lylie gwałtownie chwyciła jego krawat, przyciągnęła jego głowę i przysunęła usta do ucha profesora.

Richard wyglądał na oszołomionego.

– Co?

– Moje nogi... Moje piersi... Moje usta... Moja skóra... To, na co wszyscy się gapią, czego chcą dotknąć, na ulicy, wszędzie... To tylko przebranie, sztuczka z lateksem takim, jakiego używają nurkowie.

– Ty... ty?

– Nie kłamię. Wszyscy uważają, że jestem piękna, ale w rzeczywistości w środku jestem potworem!

– Ty...

– Zaciąłeś się czy co? Mówię ci, że jestem jak jaszczurka... Mam kilka skór. Jestem jak potwory z filmów science fiction, które przypominają ludzi, ale pod spodem są ohydne. Obślizgły gad w ciele superlaski. Jestem taka jak jaszczurki, które zjadają żywe myszy. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

– Hmm, niezbyt. Wiesz, te seriale... ja jestem profesorem...

Pociągnięcie za krawat odebrało mu głos.

– Powiem ci coś innego, panie krawaciarzu, coś jeszcze gorszego. Nie jestem jedna, pod przebraniem jesteśmy dwie. Dwie w jednym ciele, rozumiesz?

– No cóż... powiedziałbym, że...

– Ciii... Nie mów nic, tak jest lepiej... Będę już szła. Za kilka minut... Wiesz dokąd? Muszę iść zrobić coś brzydkiego. Coś, na co tak naprawdę nie mam ochoty. To odrażające. Jednak muszę to zrobić...

Richard uwiesił się Lylie na ramieniu. Gdyby tego nie zrobił, spadłby z taboretu. Ręka zsunęła mu się z jej ramienia na piersi, a zbliżając usta do jej ust, wymamrotał:

– Dlaczego? Nigdy nie trzeba się do niczego zmuszać. Mógłbym ci pomóc... zdjąć twoje

przebranie, żeby zobaczyć, jakie jesteście w środku. Ty i twoja koleżanka...

Richard nabierał śmiałości. Lylie ciągle trzymała go za krawat, więc nie miał dużej możliwości manewru, ale i tak jego prawa dłoń wślizgnęła się pod czarną spódniczkę. Lylie nie protestowała.

– Już za późno, mówię ci... Nie możesz już nic dla mnie zrobić, nikt nie może. Widzisz, mam zamiar zabić kogoś, kto nie jest niczemu winien, kto o nic nie prosił... Tak już jest...

– Dobrze... dobrze... Ale mamy jeszcze czas. Kilka minut. Najpierw musisz mi pokazać swoją drugą skórę... Jeśli chcesz, żebym ci uwierzył...

Prawa ręka sunęła coraz wyżej po udzie, a lewa spoczęła na piersi Lylie. Kelner zareagował natychmiast – obie brwi powędrowały w górę. Z hukiem postawił szklaneczkę na barze.

– Spokojnie, Richard. Wyluzuj z tą małą. Zabieraj łapy, już chyba masz dość takich numerów, nie?

Richard się zawahał. Krawat się wyprostował, przyduszając go.

– Słuchasz mnie? Właśnie ci mówię, że chcę zabić niewinną istotę!

Lylie nachyliła się jeszcze bardziej. Tym razem taboret nie wytrzymał. Upadła. Gdy spadała, wypuściła krawat, ale Richardowi pozostał na szyi czerwony ślad.

Niczym cudownie ocalony przed egzekucją, nie żywiąc urazy, Richard wstał, żeby pomóc Lylie.

– Nie dotykaj mnie! – wrzasnęła. – Zabieraj swoje brudne łapska! Spieprzaj!

2 października 1998, 13.11

Mathilde de Carville odsunęła delikatnie zasłonę i patrzyła przez okno, czy jej wnuczka wykonuje polecenie. Marc zerknął w tym samym kierunku, przez chwilę zatrzymał wzrok na pomarszczonej dłoni, po czym przez delikatne wzory białego tiulu zawieszzonego w oknie spojrzął na rozległy park w zieleni i ochrze. Park Willi Różanej tonął w atmosferze kiepskiego filmu – burżuazyjnej, przestarzałej, pastelowej. Malvina szła w oddali aleją wysypaną różowym żwirem, nerwowo popychając wózek dziadka. Głowa niepełnosprawnego mężczyzny przekrzywiła się na wyboistej drodze, szyja wyginała mu się coraz bardziej: nieruchome, szeroko otwarte oczy były utkwione w białawym niebie albo w koronach drzew, w powolnym locie ostatnich rudych liści spadających z ogromnego klonu. Malvina ani razu nie nachyliła się nad dziadkiem, żeby poprawić mu głowę.

Mathilde odczekała kilka sekund. Malvina i Léonce oddalali się, idąc wzdłuż klombów róż w kierunku szklarni i białego domu nad rzeką. Gospodyni zaciągnęła zasłonę. Salon na nowo zatonał w półmroku, w którym jaśniały białe nieruchome zarysy mebli przykrytych prześcieradłami, a także nieskazitelnie białe wieko petrofa, rzecz jasna. Mathilde de Carville zwróciła się do Marca:

– Marc... Pozwoli pan, że będę zwracała się do pana po imieniu? Sądzę, że mój wiek mi na to pozwala. Skoro już pan przyjechał, chciałabym panu zadać pytanie. Proste pytanie. Gdy widywał pan Lylie w tych ostatnich dniach, odkąd stała się pełnoletnia, czy miała na palcu pierścionek?

Marc podszedł do fortepianu. Palcami przebiegał po klawiaturze, nie naciskając klawiszy.

Po co miałby kłamać?

– Tak, miała go... Jasny szafir...

Na twarzy Mathilde de Carville nie pojawił się najmniejszy uśmiech. Żadnej manifestacji triumfu. Żadnej radości. Marc uznał, że to dziwne. Reagowała jak gliniarz, który nie chce uznać zeznań złodzieja.

Dłoń Marca prześlizgnęła się po fortepianie. Mauzer nadal leżał na białym drewnie, jakieś osiemdziesiąt centymetrów od jego palców. Marc spojrzął przez okno, żeby na nowo odnaleźć wzrokiem Malwinę w parku, ale zaciągnięta zasłona pozwalała mu dostrzec jedynie snop bladego światła.

– Ona zwariowała – powiedziała Mathilde de Carville spokojnym tonem. – Moja wnuczka prawie zwariowała. Podejrzewam, że się pan zorientował?

Marc nie odpowiedział, a Mathilde mówiła dalej.

– A pan, co pan o tym sądzi?

Marc czekał w ciszy.

– O tym szaleństwie. Mówię o szaleństwie. Co pan o tym sądzi?

Palce Marca tańczyły po klawiszach koloru kości słoniowej, nie chciał, żeby ich drżenie stało się zbyt zauważalne.

– Mówię do pana. – Mathilde de Carville naciskała lodowatym tonem. – Mówię o panu. Tak jak w przypadku Malviny, pański dziecięcy mózg musiał się skonfrontować z wątpliwościami. Co się stało z pańską młodszą siostrą? Czy żyje? Umarła? Koniec końców poradził pan sobie lepiej niż

Malvina.

Marc podniósł głowę, nie mówiąc ani słowa.

– Co za tortura, prawda? Przez te wszystkie lata. Nie wiedzieć, jakie uczucie żywi się do dziewczyny, którą kocha się najbardziej na świecie. Czy to zwykła miłość braterska? A może paląca miłość cielesna? Jak dorastać z takimi wątpliwościami?

Ton Mathilde się zmienił. Mówiła coraz głośniej, groziła mu. Podeszła do fortepianu.

– Żeby żyć, żeby przeżyć, trzeba poradzić sobie z uczuciami, prawda, Marc? Przez te wszystkie lata dzieciństwa mały Marc szukał wyrazu uczuć ze strony Emilie, swojej uroczej młodszej siostry... a później mały Marc urósł... Czemuż by nie wykorzystać tych wątpliwości, gdy nadarza się tak wspaniała okazja? Pochować małą Emilie i zakochać się w Lyse-Rose, pięknej i bogatej dziedziczce de Carville'ów?

Palce Mathilde de Carville zbliżyły się do pistoletu, a jej głos stawał się coraz mocniejszy.

– Cierpiałam, Marc. Mój Boże, ależ ja cierpiałam. Pokutowałam przez te wszystkie lata, nie wiedząc za jakie grzechy, ale mimo to pokutowałam. Moja zemsta jest gorzka, Marc, proszę mi wierzyć.

Marc zakaszłał. Żaden inny dźwięk nie zdołał wydostać się z jego ust. Mathilde stała teraz mniej niż metr przed nim. O jakiej zemście mówi?

Nagle Mathilde de Carville się odwróciła. Stara kobieta skierowała się w stronę biblioteki stojącej w przeciwległym kącie salonu. Jej cień przykrył fortepian. Bez wahania chwyciła grubą książkę, której tytułu Marc nie mógł odczytać, otworzyła ją i wyjęła błękitną kopertę. Przeszła z powrotem przez salon.

– Grand-Duc zbliżył się do was, stał się nawet przyjacielem rodziny. Proszę się jednak nie oszukiwać, nadal był moim pracownikiem, przysyłał mi raporty prawie co tydzień... Przynajmniej na początku. Po pięciu latach nie było już praktycznie żadnego nowego tropu. Po ośmiu już zupełnie żadnego.

Marcowi przed oczami przemknął przelotnie obraz ciała Grand-Duca. Mathilde położyła błękitną kopertę na fortepianie, tuż obok pistoletu.

– Zupełnie żadnego oprócz jednego. Ostatniego i jedyne. Był rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty ósmy...

Mathilde odwróciła się znowu. Czy ta kobieta nigdy nie przestaje się ruszać?

– Marc, mamy czas, mogę panu zaproponować coś do picia?

Marc zawahał się zaskoczony. Wszystko, co przeżywał i czego doświadczał od momentu pojawienia się w Willi Różanej, wydawało mu się przygotowane, wykalkulowane, jak gdyby spodziewano się jego przyjazdu. Ten mroczny, źle oświetlony pokój, biały fortepian i leżący na nim mazurek. Zniknięcie Malviny i Léonce'a de Carville'a w ogrodzie czy też gdzieś indziej, kotara zasłaniająca to, co działo się na zewnątrz.

– Tak... – wymamrotał Marc wbrew sobie. – Czemu nie?

– Napar? Mam wspaniałe aromatyczne mieszanki z roślin, które sama hoduję.

Marc przytaknął ruchem głowy. Mathilde de Carville nie wracała przez długie minuty, pozostawiając Marca samego przy błękitnej kopercie i pistolecie. Wszystko ewidentnie

zaplanowane. Lekka tortura. Zemsta Mathilde. Marc zmuszał się, aby oddychać powoli, i wypatrywał pierwszych oznak ataku agorafobii. Co ciekawe, żadnego zagrożenia nie czuł przy Malwinie, małym uzbrojonym potworze, natomiast całe to przedstawienie starej de Carville napawało go strachem. Zaczynał odczuwać znajome pulsowanie krwi w nogach, ramionach, rękach.

Mathilde wróciła z małą tacą z dwiema filiżankami wypełnionymi mieszanką ziół. Nalała wrzątku i podała Marcowi spodek.

– Proszę...

Marc zawahał się. Mathilde uśmiechała się szczerze.

– Nie mam zamiaru pana otruć!

Umoczył wargi. Napój parzył.

– Marc – odezwała się Mathilde de Carville – nie mam zamiaru narażać pana na dłuższe męczarnie.

Marc upił łyk. Smakowało mu. Ta stara wiedźma hodowała więc magiczne zioła w swoim tajemniczym ogrodzie.

– Na początku tego dziesięciolecia – mówiła dalej – wie pan o tym równie dobrze jak ja, można było wreszcie poznać prawdę... Testy DNA! Niezawodne. Angielskie laboratoria, mnóstwo pieniędzy... trochę śliny lub krwi i wyniki były już po kilku dniach. Czekałam jeszcze kilka lat, zanim się zdecydowałam. Religia katolicka nie za bardzo godzi się z genetyką, rozumie pan. Długo się wahałam. Podjęłam decyzję trzy lata temu, gdy Lylie skończyła piętnaście lat. W pewnym sensie była to ostatnia misja Grand-Duca. Zajął się wszystkim. Miał układy w policji kryminalnej, ja dałam mu pieniądze. Wszystko to było nielegalne. Uzyskał odrobinę krwi Lylie w jej urodziny. Dałam mu próbkę swojej, mojego męża i Malwiny. Tak łatwo można się było dowiedzieć prawdy.

Marc czuł, że nogi się pod nim uginają. Upił kolejny łyk naparu. W miarę jak naciągał, stawał się coraz bardziej kwaśny. Oczywiście pamiętał dzień piętnastych urodzin Lylie. Crédule Grand-Duc został zaproszony jak co roku i podarował jej kwiat w szklanym wazoniku. Wazonik był tak delikatny, być może nadkruszony, że rozprysł się, gdy tylko Lylie wzięła go do rąk. Zacięła się w palec. Grand-Ducowi było bardzo przykro. Zbierał kawałki szkła, mamrocząc przeprosiny...

Czy Grand-Duc wyjawia na kolejnych stronach dziennika swoją grę na dwa fronty? Marc musiał to sprawdzić. Paliło go w gardle.

W tym momencie miał ochotę tylko na jedno: złapać tę błękitną kopertę, otworzyć ją i przeczytać. Mathilde de Carville znowu dziwnie się do niego uśmiechnęła.

– Marc, wyniki są tam, w tej kopercie. Znam je już od trzech lat. Jako jedyna. Przychodząc tu, wyświadczył mi pan przysługę. Proszę wziąć tę kopertę.

Marc sparzył sobie podniebienie, upijając ostatni łyk. Chwycił błękitną kopertę drżącymi dłońmi. Na twarzy Mathilde pojawił się grymas triumfu.

– Proszę jej nie otwierać! Musi pan zawieźć tę kopertę Nicole Vitral. To sprawa między nią a mną, trwa już całe lata. Jeśli ktokolwiek ma dziś poznać prawdę, to tylko ona.

Pokój wypełniła cisza podobna do porannego szronu ścinającego pranie na dworze. Marc powoli schował kopertę do kieszeni.

– Skąd może mieć pani pewność, że jej nie otworzę, jak tylko stąd wyjdę?

– Jest pan grzecznym chłopcem, prawda? Posłusznym. Nie zdradzi pan swojej babci? To dla niej przeznaczyłam tę kopertę...

– To są pani reguły... Co mnie zobowiązuje do ich przestrzegania?

– Zastosuje się pan do nich, to oczywiste. Bo jest pan przekonany, że zna pan już odpowiedź zawartą w kopercie.

Marc zaczął się dusić. Paliło go w gardle i w brzuchu. Mathilde de Carville naciskała:

– Czego się pan obawia? Czy nie tego sobie pan życzy? Lyse-Rose przeżyła, a Emilie zginęła. Nicole będzie trochę przykro, to jasne, ale szczęście wnuka ją pocieszy, czyż nie?

Marc czuł, że atak nadchodzi. Nie panował już nad oddychaniem, wydawało mu się, że gorący napar pali mu wnętrzności. Mathilde de Carville wybuchła wymuszonym śmiechem.

– Na co ma pan nadzieję, Marc? Że ożeni się pan z Lylie? Że przyjmie nazwisko Lyse-Rose de Carville? Że zostanie pan moim wnukiem? Na biały ślub w Notre Dame? Mojemu mężowi trudno będzie poprowadzić wnuczkę do ołtarza, ale jakoś sobie poradzimy. A później? Będzie pan przyjeżdżał z Lylie na niedzielną kawę, partyjkę szachów w parku z widokiem na rzekę, podczas gdy ja będę rozmawiała z pańską babcią o gofrach i frytkach? Żałosne, Marc. Jedno wielkie nieporozumienie...

Marc chciał chwycić filiżankę, ale wyslizgnęła mu się z rąk, roztrzaskała na dywanie i ochlapała nogi fortepianu.

– Proszę dać tę kopertę babci, Marc. Jeśli będzie chciała, pozwoli panu przeczytać wyniki testu DNA. Proszę jej również powiedzieć, że niczego nie żałuję, a już na pewno nie pieniędzy, które przelewałam na konto. Jestem w zgodzie ze sobą.

Oczy Marca zaszyły mgłą. Krew płynąca w żyłach nawadniała ciało jak rozpalony ropociąg. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa, były jak dwie wieże przeżarte przez płomień. Zacisnął palce na klawiaturze petrofa. W ostatniej chwili spowolniły jego upadek przy rozdzierającym hałasie nieharmonijnych dźwięków.

2 października 1998, 13.15

Ayla Ozan stała na ulicy Butte-aux-Cailles przed numerem dwadzieścia jeden. Wspinając się na palce, próbowała zajrzeć w głąb ogrodu. Żadnego ruchu. Jasnozielone okiennice były niestety zamknięte. Ayla kilka razy przeciągle zadzwoniła do drzwi. Nikogo w środku!

W końcu odwróciła się i ruszyła ulicą w poszukiwaniu jakiejkolwiek wskazówki. Często przychodziła do Crédule'a Grand-Duca, szykowała jedzenie, gdy tymczasem on i Nazim pracowali nad sprawą, dyskutowali do późna w nocy. Słuchała ich trochę, aż w końcu zasypiała przed nimi na kanapie, otulona ciepłem dochodzącym z kominka, podczas liczenia ważek w wiwarium. Kołysały ją głosy dwóch mężczyzn, mężczyzny jej życia i jego najlepszego przyjaciela. Gdzież oni mogli się podziać? U Crédule'a pusto i żadnego znaku życia od Nazima już od dwóch dni. Coś się tu nie zgadzało.

Ayla minęła bar o nazwie le Temps des Cerises. Przez chwilę zastanawiała się, czy wejść do środka i popytać, Crédule przychodził tu czasem na kawę. Powstrzymała się, bo zdała sobie sprawę, że to niezbyt naturalne. Przed wyjściem z budki z kebabami przy bulwarze Raspail, złapała wielki kuchenny nóż, najostrzejszy, zawinęła go w plastikową torbę i wsunęła w nogawkę szerokich spodni. Nóż był na tyle duży, że nie zmieściłby się do plecaka. Broń na wszelki wypadek... Nie mogła pozbyć się tego potwornego poczucia zagrożenia.

Jednym spojrzeniem objęła całą ulicę. Było na niej niewielu ludzi. Matki z dziećmi. Klienci piekarni.

Nagle zamarła.

Jej serce pod długim zimowym płaszczem eksplodowało.

Czarne bmw X3 należące do Crédule'a stało zaparkowane wzdłuż chodnika, pięćdziesiąt metrów od jego domu. Z kolei po niebieskiej xantii Nazima nie było ani śladu. Nazim pojechał do Crédule'a. Jeśli razem opuścili dom przy ulicy Butte-aux-Cailles, z jakiego powodu mieliby wybrać podróż brudną, poobijaną xantią zamiast bmw? To na pewno sprawka tego dziwaka Crédule'a.

Ayla obeszła okolicę. Ulicę Samsona, pasaż Boiton, ulicę Jean-Marie-Jégo, Alphand. Szła powoli, wlokła się z jedną nogą usztywnioną przez ostrze noża. Wiedziała, że plastikowa torebka może przerwać się w każdej chwili, że stal może wbić jej się w nogę, że jak idiotka może się przewrócić na środku ulicy...

– Szuka pani czegoś?

Przyglądał się jej jakiś facet z psem. Był to człowiek, który raczej nie lubi obcych w okolicy. Szczególnie Turczynek kręcących się przy samochodach.

– Ja... Jestem przyjaciółką Crédule'a Grand-Duca. On mieszka przy ulicy Butte-aux-Cailles pod numerem dwudziestym pierwszym. To ten mały domek przed kawiarnią Temps des Cerises. Nie ma go w domu, ale samochód stoi niedaleko. Czarne bmw. Czy... czy nie widział pan jeszcze jednego samochodu? Niebieskiej xantii...

Facet spojrział na Aylę, jakby pracował w wydziale imigracyjnym ministerstwa spraw wewnętrznych i miał za zadanie wydawać karty pobytu w dzielnicy. Odezwał się do psa.

– Poobijane zderzaki? Kwiatek przyczepiony do lusterka wstecznego? Turecka flaga za przednią szybą? O to chodzi?

Zamilkł na chwilę zadowolony z siebie, a Ayla odzyskiwała nadzieję, przytakiwała i uśmiechała się najpiękniej, jak potrafiła, mimo że mężczyzna bardziej ufał instynktowi swojego psa niż otomańskiemu urokowi. Z kolei jasnobrązowy kundel ocierał się o nogi Ayli.

– Xantia stała tu w ostatnich dniach – odezwał się w końcu facet – ale wczoraj zniknęła... Jestem pewien. Nie znajdzie jej pani. Nie ma co się tu dłużej kręcić.

Nóż wbijał się Ayli w udo, a ten kretyński kundel mógł skończyć przepołowiony niczym mięso na kebab. Schyliła się, żeby odgonić psa i zmienić pozycję. Facet spojrział na nią jeszcze bardziej nieufnie. Wstrętny dziad, który mógł się jej jednak przydać. Ayla uśmiechnęła się do faceta i pogłaskała psa. Dla każdego coś miłego.

– Cóż... wygląda mi pan na kogoś, kto dobrze zna okolicę... Nie widział pan nic nowego w ostatnich dniach, godzinach...? Na przykład kogoś nieznanego? Jakiegoś samochodu nienależącego do nikogo stąd?

Facet spojrział na Aylę zdumiony jej odwagą. Instynktownie pociągnął za smycz. Ayla mówiła dalej. Nie miała nic do stracenia.

– Kogoś obcego, rozumie pan...

Zawahał się, ale nie mógł odmówić sobie przyjemności okazania się przydatnym...

– Rozumiem...

Spojrzał na psa, jak gdyby chciał się podzielić z nim swoją radością.

– Rover mini, niebieski, całkiem nowy. Jego właścicielka kręciła się tutaj prawie cały rano, dziewczyna z głową osoby dorosłej osadzoną na ciele dziecka. Dziwna. Przebiegła, o lisim spojrzeniu... Tego się pani chciała dowiedzieć?

Twarz Ayli Ozan pobladła natychmiast. Oczywiście zrozumiała, o kim mówił ten facet. Nazim często opisywał jej Malvinę de Carville, jej nienormalny wygląd, jej kaprysy, ten samochód, który podarowała jej bogata babcia... Nazim opowiadał jej również, że po katastrofie samolotu dziewczyna zupełnie sfiksowała.

Była szalona i niebezpieczna.

Ayla poczuła panikę.

– Cóż... tak. Dziękuję... dziękuję.

Co miała robić? Iść na policję? Zgłosić zaginięcie? Będą jej zadawali pytania. Musiałaby wówczas opowiedzieć wszystko, co wiedziała o sprawie, o de Carville'ach, o Nazimie... Zniknął zaledwie dwa dni temu. Gdyby zaczęła mówić, wpadłby w ręce policji. Nazim nigdy by jej tego nie wybaczył...

Facet z psem oddalał się, nie przestając rzucać na nią ukradkowych spojrzeń. Nie, musi dać sobie radę sama. Wiedziała dość o de Carville'ach. Nie zapomniała niczego, co Nazim opowiadał jej poufnie w łóżku, gdy opadał na plecy po osiągnięciu orgazmu. Facet z psem zniknęli za rogiem ulicy Samsona. Aylą wstrząsnął ogromny dreszcz, mieszanka strachu i podniecenia. Myślała o ciele Nazima, o pieszczotach wąsów jej olbrzyma na swoim ciele. Tak bardzo chciała wtulić się w te ramiona. Zatańczyć przed nim, pokręcić swoim okrągłym brzuchem przed jego nosem, żeby się

podniecił, żeby pocałował ją łapczywie.

Ayla schyliła się i dotknęła zimnego noża przy swojej nodze. Miała tylko jeden trop. Malvina de Carville! Ayla została sama, ale nie była głupia. De Carville'owie mieszkali na wschodnim przedmieściu, niedaleko Marne-la-Vallée. Dowie się gdzie. Od dwudziestu lat dzieliła łóżko z prywatnym detektywem. Jakoś da sobie radę.

2 października 1998, 13.17

Marc szedł ciemnym korytarzem. Mathilde de Carville otworzyła mu drzwi, ale nie poszła z nim, pozostawiła go samego z wątpliwościami. Atak agorafobii oddalał się powoli, Marc zaczynał oddychać normalnie. Pałący smak naparu łagodniał. Marc miał poczucie, że całe jego ciało zaczyna stygnąć. W lustrze wiszącym w końcu korytarza zauważył swoje odbicie, wyglądał na przerażonego. Nie zatrzymał się.

Trzeba zejść po trzech schodkach. Popchnąć ciężkie dębowe drzwi. Uciec jak najszybciej.

Nogi niosły go z trudem. Czuł gonitwę myśli. Czy powinien otworzyć tę niebieską kopertę i przeczytać wynik testu DNA? A może powinien na długie godziny uzbroić się w cierpliwość i poczekać, aż znajdzie się w Dieppe? Możliwe, że Mathilde de Carville chciała zastawić na niego pułapkę...

Jeden stopień, dwa, trzy.

Chłodne powietrze uderzyło go w twarz. Marc nabrał głęboko w płuca zbawienego powietrza i próbował zebrać myśli. W parku Willi Różanej nie tańczył ani jeden cień. Posiadłość przywodziła mu na myśl mroczną atmosferę jakiegoś parku przy domu opieki albo szpitalu psychiatrycznym.

Skierował się w stronę bramy. Po lewej, za rudym klonem, zauważył Léonce'a de Carville'a. Spał w samotności, z głową zwieszoną na ramię, pozostawiony przez Malwinę na środku trawnika.

Różowy żwir chrząścił Marcowi pod stopami.

Próbował uporządkować przemyślenia. Musiał zająć się trzema niezwykle pilnymi sprawami, a wszystkie w ten czy inny sposób wiązały się z przestępstwem. Przede wszystkim morderstwo Grand-Duca, popełnione kilka godzin temu. Wszystko wskazywało na to, że zabiła go Malvina de Carville. Potem morderstwo jego dziadka. To było morderstwo, piętnaście lat temu Pierre został zagazowany w ciężarówce w Tréport. Marc uznał, że musi przypomnieć sobie ten jeden niepokojący szczegół związany z jego pokojem w Dieppe. No i Lylie. Bezpowrotna podróż, o której mówiła. Ucieczka? Zemsta? Zaplanowane samobójstwo?

Czy te trzy dramatyczne kwestie są ze sobą powiązane? Tak, bez cienia wątpliwości. Jeśli zostanie rozwiązana jedna zagadka, zostaną rozwiązane wszystkie.

Żwir znowu zachrząścił za plecami Marca.

– Dokąd idziesz, Vitral?

Malvina!

Marc się odwrócił.

– Spadam. Twoja babcia była uprzejma opowiedzieć mi wszystko, co chciałem wiedzieć...

– Kłamiesz! Niczego się nie dowiedziałeś. Babcia gada bzdury.

Marc westchnął.

– Tylko ja znam prawdę – mówiła dalej Malvina. – Byłam w Turcji. Wszyscy inni zginęli w samolocie na Mont Terrible. Oprócz mnie. Poleciałam wcześniejszym rejssem. Chodź za mną,

Vitral!

Marc spojrział na Malwinę z niedowierzaniem.

– Chodź za mną, mówię! Popatrz, nie mam już spluwy. Przed chwilą powiedziałaś, że Lyse-Rose żyje, że w samolocie spłonęła Emilie, tak? A więc za mną!

Marc ani drgnął.

– Chodź, Vitral, chodź ze mną. To cię zainteresuje, mówię ci!

W sumie, czemu nie.

Podeksytowana jak małe dziecko Malvina poszła alejką z powrotem, otworzyła dębowe drzwi, przeszła korytarzem i weszła po czereśniowych schodach. Marc podążał za nią zaintrygowany. Gdy doszli na pierwsze piętro, Malvina odwróciła się, przyłożyła palec do ust i powiedziała prawie szeptem:

– Po prawej jest mój pokój. Nie rób sobie nadziei, nie pokażę ci go. Po lewej jest pokój Lyse-Rose. Chodź za mną...

Marc poszedł naprzód. Po raz kolejny w obecności Malviny nie czuł żadnego z objawów zagrożenia, żadnej zapowiedzi ataku.

Malvina popchnęła drzwi.

Marc, zdumiony, znalazł się w pokoju małej dziewczynki. Było w nim wszystko. Głębokie różowe łóżeczko przykryte kocykami, zasłony w żyrafy, które głowami dotykały sufitu, pomarańczowy pluszak na dębowym stoliku do przewijania, szafa w kwiatki w pastelowych kolorach, na półce pozytywki, lampka nocna, kolejne pluszaki: niebieski słoń, tygrys, szaro-biały królik, na podłodze wielka mata zawalona kolejnymi zabawkami, grzechotkami, małym słoniem, szyfonowymi klaunami...

Marc czuł tylko jedną nagłą, niekontrolowaną potrzebę: wyjść z tego domu wariatów, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa, jak gdyby głos Malviny splątał je niczym nić niewidzialnego anioła.

– Babcia przygotowała ten pokój osiemnaście lat temu na przyjazd Lyse-Rose z Turcji. Od tamtej pory dbamy o niego na wypadek, gdyby Lyse-Rose wróciła. Rozumiesz. Mogła wrócić w każdej chwili! Malvina zwinnie weszła do środka, przestępując przez zabawki. Otworzyła szafę. Półki były pełne ubranek, sukieneczek we wszelkich rozmiarach, kapelusików, uroczych malutkich bucików. Maleńka różowa obszyta futerkiem czapeczka upadła na podłogę.

Malvina odwróciła się do Marca zaczepnie i nadal mówiła cicho, z zaangażowaniem, jak dziewczynka, która opowiada dorosłemu o swoim domku dla lalek.

– Teraz ja tu rządzę, ja tu sprzątam. Jestem pewna, że gdybym pozwoliła babci zająć się tym pokojem, wszystko by wyrzuciła. Wyobrażasz to sobie? Wszystko wyrzucić? Ty pewnie to rozumiesz. Wiem, że Lyse-Rose jest już duża, ale i tak gdy wróci, gdy zobaczy swój pokój, swoje zabawki, swoje ubranka, będzie to dla niej wiele znaczyło, prawda?

Marc cofnął się trochę, ale nie wyszedł z pokoju. Ogarnęła go fala sprzecznych uczuć.

– No, Vitral, chcesz popatrzeć? Wchodzisz? Zależy ci na Lyse-Rose czy nie?

Wbrew sobie Marc zrobił krok naprzód.

– Patrz. Są nawet prezenty!

Marc poczuł się gorzej, o ile to w ogóle było jeszcze możliwe. Znalazł się w strasznej bajce,

rozmawiał z seryjną morderczynią z działu z zabawkami w wielkim sklepie dla dzieci.

– Widzisz, Vitral, są tu wszystkie prezenty urodzinowe dla Lyse-Rose, odkąd skończyła rok. Również gwiazdkowe.

Malvina wskazała różnego rodzaju nieotwarte paczki rozstawione po pokoju, niektóre z nich ustawione jedna na drugiej.

– Mogę ci wszystko powiedzieć z pamięci. Największy prezent, ten na łóżku, to prezent na pierwsze święta Bożego Narodzenia. Poszłyśmy po niego z babcią przed samymi świętami, w przeddzień katastrofy, do Galeries Lafayette, miałam wtedy sześć lat, pamiętam mechaniczne zabawki na wystawach...

Malvina podeszła bliżej Marca i szepnęła mu do ucha:

– Wiesz, co to jest?

Marc pokręcił głową, rozdarty między wzruszeniem a śmiertelnym przerażeniem.

– To miś, ogromny miś, większy od niej, pomarańczowo-kasztanowy. Nazywa się Banjo. To ja wymyśliłam mu imię. Banjo. To jej odwieczny przyjaciel, widzisz, czeka na nią. Nie ruszaj się, przedstawię ci go...

Marc przetarł oczy dłonią. Ta mała wstrętna Malvina doprowadzi go do płaczu. Ostrożnie otworzyła wielkie pudło i wyjęła z niego ogromnego pluszowego misia o rozmarzonym spojrzeniu. Ogrom czułości. Malvina położyła Banjo na łóżku i obstawiała go dwiema różowymi poduszkami.

– Cześć, Banjo! – powiedziała radośnie. – Zdradzę ci sekret. Niedługo już nie będziesz sam, wielki dzień nadchodzi. Nie uwierzysz. Wróci Lyse-Rose!

Pokój Śpiącej Królowej, pomyślał Marc. Ułożone w stosy kocyki, ubranka oczekujące powrotu nieżyjącego dziecka. Muzeum nieobecności.

– W kolejnych pudełkach – mówiła dalej Malvina – nie pokażę ci wszystkich, są lalki, grube książki, bo wiem, że Lyse-Rose uwielbia czytać. Na dziesiąte urodziny miała dostać skrzypce, są w tamtym pudle. Nie wiem, czy to dobry pomysł, ale fortepian już mieliśmy. Później trudno już było coś wybrać. Tam są mniejsze paczki. Biżuteria na trzynaste urodziny. Jest też zegarek. Są płyty, ale płyty są już chyba nie na czasie, prawda? Britney Spears, Ricky Martin, Larusso, wszystko w tym stylu. Tamta duża paczka na szesnaste urodziny to miniwieża stereo. No a na osiemnaste urodziny, koperta... Nie domyślasz się?

Marc pokręcił głową, niezdolny wypowiedzieć słowa.

– Podróż! All-inclusive, wykupiona w biurze przy ulicy Rivoli. Myślisz, że to dobry pomysł? Myślisz, że Lyse-Rose będzie chciała jeszcze wsiąść do samolotu?

W umyśle Marca szalała burza. Udusić tę wariatkę tutaj? Udusić ją zabawkami, żeby się zamknęła, żeby przestała?

Malvina prawie uwiesiła się Marcowi na szyi.

– Powiem ci coś w sekrecie... Mój ulubiony prezent to ten pierwszy, miś Banjo. Piękny, prawda? Powiem ci, że na początku tak bardzo kochałam Banjo, że byłam trochę zazdrosna, chciałam go mieć dla siebie, ale babcia się nie zgodziła. Miała rację. Jestem pewna, że także Lyse-Rose bardzo się spodoba... A jak ty uważasz?

Marc patrzył na Malwinę, zastanawiając się, jaką przyjąć postawę. Dziecięce łóżeczko

z jasnoróżową pościelą miało kształt i kolor granitowej płyty nagrobnej! Grób dziecka. Ten pokój był jak krypta, prezenty zbierane przez te lata, rok po roku, ofiary dla męczennicy. Bóg się zlitował, przywrócił do życia martwe dziecko!

– Nic nie mówisz, Vitral. Jesteś pod wrażeniem! Musisz być wściekły, gdy zdasz sobie sprawę, ile Lyse-Rose straciła. Nie umiem sobie nawet wyobrazić, jakie gówna musiała dostawać na Gwiazdkę u ciebie!

Spoliczkować ją chociaż. Zrobić jej fizyczną krzywdę i uciec.

Powstrzymał się.

– Chodź tu, Vitral. Pokażę ci ostatnią rzecz...

Marc przygotował się na najgorsze. Malvina podeszła do szafy, otworzyła szufladę i wyjęła książkę obitą różową tkaniną, ozdobioną kwiatuśkami i pomponami.

– Album kupiony po urodzeniu – szepnęła Malvina. – Masz, możesz pooglądać, ale uważaj.

Marc, chcąc nie chcąc, wziął album do ręki, otworzył go i przewrócił strony. Ręce mu drżały.

Kolejne szaleństwo.

IMIE: *Lyse-Rose*

KOLEJNE IMIONA: *Véronique, Mathilde, Malvina*

TATUŚ: *Alexandre*

MAMUSIA: *Véronique*

URODZIŁAM SIĘ: *27 września 1980 w Stambule w Turcji*

Później kolejne szczegóły, jedne bardziej makabryczne od drugich...

MÓJ DOM: *zdjęcie Willi Różanej*

MÓJ POKÓJ: rysunek pokoju, w którym się znajdowali, rysunek zrobiony przez dziecko, bez wątpienia przez małą Malwinę

MOJA ULUBIONA ZABAWKA NAZYWA SIĘ: *Banjo*

MOJĄ NAJLEPSZĄ PRZYJACIÓŁKĄ JEST: *moja siostra, Malvina*

Marc przewracał strony oszołomiony. Odkrywał upiory urojonego życia, przerwanego istnienia.

MOJA DŁOŃ: *odrysowana rączka, czyja?*

MÓJ ULUBIONY KOLOR: *niebieski*

UWIELBIAM: *słuchać muzyki*

Palce Marca przebiegały po kolejnych stronach.

MOJE PIERWSZE URODZINY: zdjęcie Lylie wycięte z gazety „Paris Match” czy jakiejś innej i wklejone w zdjęcie rodziny de Carville przy stole, na którym stał tort, również wycięty z gazety.

MOJE PIERWSZE WAKACJE: to samo zdjęcie Lylie przyklejone na zdjęcie ukwieconej górskiej łąki. Malvina stała obok, była promienna. Miała osiem lat, a trawy sięgały jej aż do pasa.

Marc zatrzymał się, nie mógł oglądać dalej, ciarki przebiegały mu po karku i głowie.

Malvina musiała zauważyć. Wyrwała mu album z rąk.

– Dość, obejrzałeś? Chowam!

W salonie Mathilde de Carville patrzyła przez okno na oddalającego się pospiesznie Marca.

W zasadzie biegł.

Ta mała jęzda nie wytrzymała, musiała pokazać mu pokój, zabawki i całą resztę. Zostawiła dziadka na środku trawnika jak zwykłą zabawkę, którą zostawia się w ogrodzie jesienią, a później wiosną odnajduje się mokrą i zardzewiałą.

– Dobrze mu tak! – syknęła Mathilde sama do siebie.

Zauważyła Marca przy bramie posiadłości. Uśmiechnęła się. Spieszy się do babci, do Dieppe, spieszy się tak bardzo, że nie otworzy koperty, boi się nie posłuchać prośby. Nie będzie rozczarowany, gdy przeczyta wyniki testu DNA, biedny mały Marc.

Marc otworzył bramę, zniknął jej z oczu wśród liści drzew lasu Coupvray i sąsiednich posiadłości.

Mathilde chodziła w tę i z powrotem po cichym pokoju, rozmyślając. Nie powiedziała Marcowi Vitralowi wszystkiego. Nie powiedziała o telefonie od Grand-Duca, o jego ostatnim odkryciu w wieczór poprzedzający osiemnaste urodziny Lylie, o telefonie, który zmienił wszystko. Grand-Duc twierdził, że odkrył prawdę. Inną prawdę... Pochyliwszy się nad gazetą osiemnaście lat po katastrofie!

Palec Mathilde musnął biały klawisz fortepianu.

Czy Grand-Duc blefował?

Wkrótce będzie znała odpowiedź. W sekretariacie dyrekcji w siedzibie firmy de Carville'ów zamówiła fotokopię „L'Est républicain” z dwudziestego trzeciego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku. Pewnie dostanie ją wieczorem, jeśli ta sekretarka jest choć trochę rozgarnięta. Kazała dostarczyć sobie gazetę bezpośrednio przez gońca. Wyraziła się jasno, dziewczyna chyba zrozumiała. Musiała tylko poczekać kilka godzin. Wówczas dowie się, czy Grand-Duc skłamał, czy też wszystko naprawdę dobiegło końca.

Mathilde de Carville usiadła na taborecie przy fortepianie i ułożyła dłonie płasko przed sobą. Nie grała od lat. Fortepian stał niemy, nieprzydatny, kaleki jak wszystko inne w tym domu.

Tak, za kilka godzin koniec ze wszystkim.

Trzy ostre nuty rozdarły ciszę. *Do. Fa. Sol.*

Wszystko dobiegnie końca, ale nie dla Malviny.

Cokolwiek jest w tej gazecie, cokolwiek odkrył Grand-Duc, niezależnie od tego, że Marc przeczyta zeszyt i zawartość niebieskiej koperty, Lyse-Rose będzie żyła nadal w chorej wyobraźni swojej siostry, Malviny. Będzie żyła tak, jak w wyobraźni małej dziewczynki żyje lalka. Tylko że ta mała dziewczynka ma w wózku mauzera L110 i jest skłonna zabić na swojej drodze każdego, kto powie, że w wózku ma tylko nieżywą lalkę, trupa z zimnego plastiku.

2 października 1998, 13.29

Marc szybkim krokiem szedł ulicą Chauds-Soleils^[5]. Pomyślał, że nazwano ją tak, zanim urosły drzewa lasku Coupvray. Teraz tę ślepą burżuazyjną i zieloną ulicę należałoby nazwać raczej Ombres Froides^[6]. Marc z ulgą powitał plac Coupvray, szarą kościelną dzwonnice, trójkątny znak „Uwaga, szkoła”, brązowe drogowskazy: Zespół Szkół Francis-et-Odette-Teisseyre i Gimnazjum David-Douillet. A przede wszystkim nieśmiały promień słońca, który uparcie przebijał się przez bawełnianą warstwę na niebie.

Zwolnił, wyjął telefon i odsłuchiwał pocztę głosową. Nadal nic. Żadnej wiadomości od Lylie ani od Nicole.

Nie zatrzymując się, zadzwonił do Lylie. Zaklął, gdy usłyszał cholerne siedem sygnałów.

– Lylie. Mówi Marc. Musimy jak najszybciej porozmawiać. Oddzwoń. Wychodzę od Carville’ów. To ważne, Lylie. Nie podejmuj żadnej decyzji, dopóki ze mną nie porozmawiasz. Bardzo mi na tobie zależy. Marc.

Rozłączył się, mrużąc do siebie przez niemal zaciśnięte zęby:

– Żeby oddzwoniła z litości, żeby tylko oddzwoniła...

Marc szedł szybko, aż dotarł do śluzy Lesches. Wędkarze nie ruszyli się ani na krok. Woda w kanale nadal płynęła leniwie. Marc przeglądał numery zapisane w pamięci telefonu.

Nicole.

Po niecałych dwóch sygnałach zmęczony znajomy głos odpowiedział:

– Halo?

Marc odetchnął z ulgą.

– Nicole, mówi Marc, odsłuchiłaś wiadomość?

– Tak, tak... Właśnie wracam z cmentarza. Chciałeś, żebym odpowiedziała na twoje pytania, ale nie powiem ci nic nowego, pewnie widziałeś się z Emilie po mnie, w Paryżu. Ja...

– Nicole, jestem w Coupvray... Wychodzę od de Carville’ów.

Cisza. Orfeusz wychodzący z piekła. Bez Eurydyki.

Marc musiał mówić dalej. Spuścił głowę.

– Nicole... Mathilde de Carville dała mi kopertę przeznaczoną dla ciebie. Badanie policji kryminalnej zrobione w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym. Test DNA. Grand-Duc zdobył wtedy próbkę krwi Lylie.

Przybity głos Nicole przepełniony błaganiem rozbrzmiał w słuchawce.

– Marc, nie wierz im. Nie zanim..

– Ty ją otworzysz, Nicole – przerwał jej. – Mathilde de Carville mnie o to prosiła.

Rozmowę zakończyła kolejna długa cisza. Marc słyszał tylko ciężki oddech Nicole.

– Marc, masz tę kopertę? Przy sobie?

– Tak.

– Opisz mi ją...

Marc, nie wiedząc, do czego babcia zmierza, posłuchał.

– Cóż, to koperta normalnych rozmiarów. Jasnoniebieska. Lekko lawendowa. Wygląda jak zawiadomienia ze szpitala, z laboratorium...

– Otworzyłeś ją?

– Nie! Naprawdę, Nicole. Ja...

– Nie otwieraj jej, Marc! Tu Mathilde de Carville ma rację. Nie otwieraj jej. Musisz przyjechać do Dieppe. Twoja wizyta u de Carville'ów to czyste szaleństwo. Teraz musisz przyjechać do Pollet, jak tylko się da najszybciej.

Nicole zakaszłała po raz kolejny.

– Marc, sprawy nie są tak proste, jak by się wydawało. Nie wierz w nic, co mogli powiedzieć ci de Carville'owie. Nie wiedzą wszystkiego, co to, to nie. Przyjedź szybko. Mam tylko nadzieję, że nie będzie za późno.

Marc poczuł nagle, jakby zanurzył się w lodowatej wodzie kanału, jak gdyby przestał oddychać w mrocznej toni, nieodwołalnie ciągnięty na dno.

– Za późno na co, Nicole? Za późno na co?

– Nie trać więcej czasu, Marc. Czekam na ciebie.

– Nicole...

Rozłączyła się.

Za betonowym pylonem dworca, w oddaleniu od tłumu Marc czytał rozkład z kartki, którą nadal miał w portfelu.

Paryż – Rouen 16.11 – 17.29

Rouen – Dieppe 17.38 – 18.24

Do pociągu na Saint-Lazare miał godzinę. Będzie miał czas, żeby skończyć zeszyt Grand-Duca, zanim znajdzie się w Dieppe. Idąc w stronę metra, niesiony przez falę pasażerów, starał się przypomnieć sobie ostatnie słowa, które przeczytał na wyrwanych kartkach. Detektyw jak co roku udał się na Mont Terrible. Zaskoczyła go burza. Szukał schronienia... A później...

Metro wjechało na peron. Jakaś młoda muzyczka wsiadła przed Markiem, rzuciwszy mu promienne spojrzenie. Miała na plecach gitarę, której czarny gryf wystawał jej zza głowy jak żałobny czepiec normandzki. Marc jednak okazał dziewczynie tę lekceważącą obojętność wspólną mieszkańcom troglodytom z podziemnych korytarzy wielkich stolic. Znalazł sobie miejsce w końcu wagonu, oparł się o szybę i skupił na opowieści Grand-Duca, najpierw na ostatnich linijskich wyrwanych stron, później na ciągu dalszym.

Dziennik Crédule'a Grand-Duca

Ulewa przestała się liczyć. Serce waliło mi jak oszalałe. Szedłem oszołomiony w stronę pasterskiej chatki na wprost mnie. Była to zwykła pasterska chatka, w zasadzie opuszczona, ale jej praktycznie zrujnowany dach i tak dał mi schronienie. To jednak nie chatka przykuła mój wzrok, moją uwagę zwrócił kopczyk ułożony z kamieni tuż obok niej: kilkanaście kamieni, w sumie jakieś trzydzieści na pięćdziesiąt centymetrów. Obok został ustawiony drewniany nieduży krzyż. U jego stóp

w glinianej doniczce stał żółty zimowy jaśmin, na dodatek świeży.

Wyobraźcie sobie, jak bardzo byłem zaskoczony. Znalazłem się przed maleńkim grobem!

Starłem się myśleć racjonalnie. Pewnie jakiś pasterz pogrzebał tu swojego psa. Albo barana czy kozę lub też jakiegokolwiek inne zwierzę. Cóż by innego?

Deszcz padał nadal, schroniłem się w chatce, ale woda przeciekała przez dziurawy dach. Musiałem przykleić się do drewnianej ściany. Nie mogłem powstrzymać myśli, że grób tuż obok chaty smaganej deszczem ma wielkość małego zwierzęcia, ale też... ludzkiego noworodka.

Natychmiast zapomniałem o burzy i zacząłem uważnie przyglądać się chacie. Nie była umeblowana, ale długi pień mógł służyć za prowizoryczne łóżko. Z boku leżał szary dziurawy koc zwinięty w kulkę. Ciemne ślady popiołu w wygrzebanej w ziemi niecce wskazywały na to, że kilka dni, może tygodni wcześniej palono tu ogień. Na ziemi leżały odpadki, puszki po piwie, niedopałki; część śmieci leżała tu dłużej, część krócej, co świadczyło o tym, że chata bywała zamieszkiwana albo że przychodziły tu czasem nastolatki z okolicy, żeby urządzić sobie wieczorną imprezę. Z trudem dawało się wytrzymać smród zmieszanego z ziemią moczu.

Burza przeszła dopiero godzinę później. Zapadła już noc, ale przez lata pielgrzymek na tę górę stałem się przewidujący. Uzbroiłem się w latarkę. Wyszedłem z chaty i brnąc przez błoto, oświetlałem latarką grób. Z nieba spadały ostatnie krople deszczu. Szedłem naprzód ostrożnie, czy to ostatnie krople tamtej burzy, czy też krople zapowiadające kolejną ulewę? Snop światła rozświetlił mrok. Krzyż został zrobiony z dwóch zwykłych gałęzi związanych zużyтым sznurkiem. Miał rok, najwyżej dwa.

Skierowałem światło na doniczkę. Nie znam się za bardzo, ale są małe szanse, aby zimowy jaśmin był szczególnie wytrzymałą rośliną, szczególnie przy takiej temperaturze. Ktoś musiał przynieść doniczkę nie tak dawno temu, najwyżej kilka miesięcy.

Trudno mi było iść tamtego wieczoru w zupełnej ciemności. Z drzew spadały zimne krople. Temperatura obniżała się bardzo szybko. Żeby zejść z Mont Terrible, potrzebowałbym dwóch godzin, może nawet więcej, skoro jedynym źródłem światła była moja latarka. Zostałem na miejscu... Zaczynacie mnie już poznawać! Odsunąłem kilka kamieni to tu, to tam, żeby sprawdzić, co się pod nimi kryło. Nic oprócz ziemi. Może należało wrócić z łopata i zacząć kopać. Nie zamierzałem robić tego gołymi rękoma...

Na pewno nie macie wątpliwości, że nie dałem za wygraną. Podnosiłem kamień po kamieniu jedną ręką, a drugą trzymałem latarkę. Po dwóch minutach musiałem zmienić rękę. Czułem się jak cementarna hiena, jak żywy trup chcący wciągnąć martwego do swojej sekty w burzowy wieczór. Pies, koza, noworodek... Nieważne.

Nie znalazłem niczego oprócz kamieni i mokrej ziemi. Odkładałem kamienie na oślep.

Tamtej nocy, gdy dotarłem do swojego bmw, było już po północy, a musiałem poświecić jeszcze ponad godzinę, żeby jadąc dwadzieścia na godzinę, dotrzeć do Monique Genevez, która mieszkała na skraju Doubs. Lało ze zdwojoną siłą, zaczął padać mokry lepki śnieg. Byłem przemoczony, ziębnięty, oblepiony błotem. Ręce miałem we krwi. Później przez dziesięć dni męczyłem się z katarem, który złapałem tamtej nocy... A wszystko dla kilku kamieni. Grób psa! Psa, którego nawet nie udało mi się odkopać. Całe to śledztwo robiło ze mnie wariata. Żeby się uspokoić, przed

zaśnięciem wypiliśmy trzy kieliszki słodkiego wina pani Genevez.

Następnego dnia wróciłem zobaczyć się z inżynierem pracującym w parku Mont Terrible, Grégorym Morezem, facetem szerokim w barach jak drwal, przystojnym jak z hollywoodzkiego filmu. Od lat patrolował górę swoim samochodem terenowym, więc z założenia powinien był dobrze znać chatę i mały grób.

Morez wydał się moim pytaniem zaskoczony. Było mu przykro, że nie może dać mi satysfakcjonującej odpowiedzi. Owszem, kojarzył chatę, od czasu do czasu bywała w niej młodzież, którą starał się stamtąd przeganiać. Na grób nigdy nie zwrócił uwagi, ale bez wątpienia pogrzebano tam jakiegoś psa. W górach Jura powszechnie chowano psy przy ścieżkach pod kupką kamieni.

Zastanawiałem się, czy wrócić na Mont Terrible z łopatką i rozkopać ten grób. Tamtego dnia pogoda była jeszcze gorsza niż poprzedniego, temperatura spadła o kilka stopni, wciąż padał śnieg z deszczem. Dwie do trzech godzin marszu... Po co? Poprzedniej nocy poświęciłem już przecież kilka długich minut na kopanie w ziemi.

Jaki miałyby być związek między tą chatą, stosem kamieni a moim śledztwem?

Żaden, rzecz jasna.

W końcu wstąpiłem na kawę w Indevillers, najbliższej miejscinie, i przez pół godziny czekałem na poprawę pogody. Strata czasu. Pod koniec poranka na szczytach zaczął padać śnieg. Pojechałem prosto do Paryża.

Kolejny impas, pomyślałem. Kolejny trop, który spowodowałby, że Nazim zaniósłby się śmiechem, gdybym mu o tym powiedział.

Wyobrażacie to sobie? Rozkopywać grób psa?!

Wówczas tego nie wiedziałem, ale dwudziestego trzeciego grudnia osiemdziesiątego szóstego popełniłem błąd. Być może jedyny przez osiemnaście lat śledztwa, ale za to jaki! Mogłem szukać każdej wymówki. Śnieg, zimno, zmęczenie, pech, sarkazm Nazima, i co z tego. Ja, Crédule Grand-Duc, drobiazgowy, uparty, tamtego ranka odpuściłem, zabrakło mi odwagi, nie poszedłem za tropem. Jeden jedyny raz, zapewniam. Jeden jedyny raz, kiedy nie należało odpuścić...

Znowu jednak wybiegam naprzód. Wybaczcie. Jesteśmy więc w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym, nagroda za bransoletkę wzrosła do sześćdziesięciu tysięcy franków. I wciąż nikogo na horyzoncie... Uparcie kontynuowałem swoje śledztwo, próbowałem odsuwać pierwsze objawy zmęczenia, planując metodycznie kolejne działania... Odbylem długą podróż do Quebecu do Chicoutimi, żeby spotkać się z rodzicami matki Lyse-Rose, państwem Bernier. Na próżno...

Zbliżenie się do Vitralów miało być jednym z moich metodycznie zaplanowanych działań. Nie było to zresztą nic nieprzyjemnego. Lylie liczyła niecałe sześć lat, Marc osiem. Pojawiłem się u nich dwudziestego pierwszego czerwca osiemdziesiątego szóstego... Było potwornie gorąco. Organizowano wówczas jedno z pierwszych Świąt Muzyki. Lylie grała dwa utwory na fortepianie przy akompaniamencie orkiestry z Dieppe. Z okazji święta przy plaży naprzeciwko kąpieliska ustawiono podest, który pełnił funkcję sceny. Lylie, najmłodsza ze wszystkich muzyków, promieniała

w ładnej zielonej sukieneczce, z blond włosami upiętymi w koczek. Później poszliśmy coś przekąsić u Nicole. Tego wieczoru na plaży był tłum. Nicole Vitral wydała mi się bardziej radosna niż kiedykolwiek, pękała z dumy, że jej wnuczka występuje na estradzie. Wyglądała wtedy pięknie, czuła się niemal szczęśliwa przez czas trwania sonaty Chopina. Nie spuszczałem z niej oczu, ale nie zdawała sobie z tego sprawy, gdyż wpatrywała się w scenę, na której Lylie triumfowała. Poplamiony fartuch Nicole po raz kolejny nie mógł ukryć piersi pod cienkim golfem.

Nieco później usiedliśmy na trawie. Lylie pochłaniała naleśnik, siedząc mi na kolanach. Zapytała, jak mam na imię.

– Crédule.

– Crédule-la-Bascule^[7]!

Natychmiast tak mnie ochrzciła. Crédule-la-Bascule, czy to jeszcze pamięta? Z prywatnego detektywa, najemnego żołnierza stałem się huśtawką małej dziewczynki.

Marc z kolei chciał wracać do domu do Pollet na ulicę Pocholle. Natychmiast! Właśnie rozgrywano ćwierćfinał mistrzostw świata w piłce nożnej. Francja – Brazylia... Marc nie musiał długo prosić, ja też nie chciałem stracić meczu, a w głębi duszy perspektywa obejrzenia go z Markiem sprawiła mi przyjemność. Nicole zgodziła się, żebym zabrał chłopca do Pollet, podczas gdy ona miała zostać z Lylie na plaży.

Niesamowity wieczór...

Rzuciliśmy się sobie w ramiona, gdy Platini wyrównał tuż przed końcem pierwszej połowy, po tym jak Stopyra dyskretnie okiwał brazylijskiego obrońcę. Mały Marc mocno ścisnął mi udo, gdy Joël Bats obronił ręką karnego Socratesa kwadrans przed zakończeniem meczu o mistrzostwo świata. Razem darliśmy się, gdy ten cholerny sędzia nie odgwizdał faulu na Bellonem w czasie dogrywki... Gdy Luis Fernandez strzelił gola w ostatniej chwili, wyszliśmy razem na ulicę, gdzie porwał nas świętujący tłum sąsiadów; czegoś takiego nie widziałem nigdy.

Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty szósty.

Crédule-la-Bascule.

Francja w półfinale z Niemcami!

Przyznaję, nie miało to wiele wspólnego ze śledztwem...

Ale czy było jeszcze cokolwiek istotnego do odkrycia?

W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym już nie za bardzo w to wierzyłem...

2 października 1998, 12.41

Ze swojego punktu obserwacyjnego Ayla Ozan widziała całą posiadłość Różaną. Znajdowała się w lasku Coupvray. Przeszła ulicą Chauds-Soleils, po czym dyskretnie obrała ścieżkę prowadzącą pomiędzy drzewami. Stamtąd, schowana za pniem, widziała, kto wchodzi do de Carville'ów i od nich wychodzi.

Na razie na terenie posiadłości nie dostrzegła żadnego ruchu. Nie było nawet, jak zazwyczaj, starego de Carville'a pod jego drzewem, na środku trawnika, gdzie wyglądał jak rzeźba współczesna w publicznym parku. Brakowało tylko bluszczu pnącego mu się po nogach i porostów na kołach wózka.

Ayla przyjrzała się okolicy, ulicom, ścieżkom. Ani śladu niebieskiej xantii! Z kolei rover mini należący do Malviny de Carville zauważyła od razu, stał zaparkowany przed posiadłością. Był to ten sam samochód, który widziano na ulicy Butte-aux-Cailles kilka godzin wcześniej.

Nie było tu więc ani Crédule'a, ani Nazima. Zastanawiała się, jaką przyjąć postawę. Czekać mimo wszystko? Na wszelki wypadek... Zadzwoić do de Carville'ów? Wejść? Znaleźć tę Malwinę i takim czy innym sposobem zmusić ją do mówienia, zapytać ją, co robiła przed domem Grand-Duca? Zapytać ją przede wszystkim, czy widziała Nazima?

Ayla nadal czuła na nodze chłód wielkiego noża kuchennego. Och tak, z chęcią porozmawiałaby z Malwiną w cztery oczy. Warstwa suchych liści chrzęściła lekko pod jej podszewami. Przywołała się do porządku. Skontaktowanie się z de Carville'ami to ostatnia rzecz, jaką powinna zrobić!

Ciągle myślała, że dobrym rozwiązaniem byłoby pójść na policję. Powiedzieć im najzwyczajniej w świecie, że jej mąż, Nazim Ozan, nie odezwał się do niej od dwóch dni. Policjanci mogliby podać komunikat, że jest poszukiwany. Może jeszcze nie jest za późno. Może policjanci nie będą zadawali zbyt wielu pytań. Jeśli nawet będą je zadawali, bez wahania opowie wszystko, co wie, jeśli tylko to przyczyni się do odnalezienia Nazima.

Koniec końców pomoże mu. Nie tylko on był winny, wyjaśni to policji. Zrozumieją. Nazim też zrozumie. Teraz liczyło się tylko to, żeby go odnaleźć.

Ayla po raz kolejny spojrzała w stronę posiadłości Różanej. Chciała, żeby Malvina wyszła z domu. Zapędziłaby ją w ślepy zaułek, przyłożyłaby jej nóż do gardła, powiedziała, że jeśli nie zacznie mówić, potnie ją na kawałeczki jak mięso na kebab. Dziewczyna wygadałaby się. Była wariatką, ale nie samobójczynią.

Jednak Malviny wciąż nie było, tylko jej samochód...

Ayla zawahała się. Czekala już od godziny.

Trudno. Trzeba wracać, musi porozmawiać z policją.

Podniosła się z miejsca.

Nagle usłyszała ogłuszający wybuch.

Instynktownie zanurkowała w liście. Miała wrażenie, że upada na gruby dywan. Odetchnęła. Nie oberwała. Oceniała, że strzelano mniej niż pięćdziesiąt metrów od niej.

Celowano do niej czy spanikowała bez powodu? Myśliwi? W tym lesie, na tym eleganckim przedmieściu na pewno jest klub myśliwski, może nawet urządza się polowania konne.

Co robić?

Krzyczeć. Wrzeszczeć: Hej, tu jestem!

Ostrzec myśliwych?

A może zdemaskować się przed zabójcą...

Może uciekać, spróbować dobiec do alei oddalanej o kilkaset metrów. W pobliżu domów będzie bezpieczna.

Ayla nie zrobiła nic, czekała, nasłuchując najlżejszego odgłosu w lesie. W miarę jak podnosił się jej poziom adrenaliny, przypominała sobie, jak razem z ojcem godzinami uciekali z Turcji przed generałami schowani w samochodzie pod dobudowaną podłogą. Pamiętała z granicy stukot butów po deskach, gdy leżała kilka centymetrów pod nimi, a ojciec zakrywał jej usta ręką.

Wszystkie zmysły miała w stanie gotowości.

W tej chwili w lesie nie słyhać było żadnego innego odgłosu. Tylko wiatr w koronach drzew i drżące liście.

Odczekała długie minuty, które zdawały jej się godzinami.

Nic. Spokój. Cisza.

Powoli wstała, przyglądając się cieniom drzew, nasłuchując wiatru wśród liści.

Nie było nikogo.

Znowu została sama. Bez wątpienia usłyszała odgłos zabłąkanego pocisku. Echo musiało wzmocnić dźwięk, strzał mógł paść daleko, nawet na drugim końcu lasu. Zdecydowanie zareagowała zbyt nerwowo, koniecznie musi udać się na policję, i to jak najszybciej.

Powoli zrobiła krok, mimo wszystko nieufna. Oparła dłoń o najbliższe drzewo.

Pocisk wbił się w pień.

Dłoń Ayli zacisnęła się na korze. Nagle przeszył ją chłód.

Jednak to do niej strzelano...

Ayla usłyszała wystrzał i w tej chwili poczuła, że jej ramię zostaje rozerwane. Upadła. Obojczyk pękł po raz drugi, gdy uderzyła mocno o ziemię. Zawyla z bólu. Upadła na brzuch, nie była w stanie się odwrócić. Górna część ciała nie była jej posłuszna, zesztyniała, została sparalizowana. Ayla próbowała wstać, podpierając się na zdrowym ramieniu jak kilkumiesięczne dziecko.

Poruszyła nogami, stopy szukały oparcia, żeby uciec, oddalić się. Znalazły tylko warstwę pożółkłych liści, które wzlatywały, gdy je bezradnie rozkopywała. Jak gdyby chciała pływać w basenie pełnym piór.

Ból przytwierdził ją do ziemi. Musiała uciekać.

Usłyszała zbliżające się kroki. Odgłos miażdżonych liści stawał się coraz bardziej wyraźny.

Po chwili cisza.

Był tam. To koniec.

Ayla nie czuła już bólu. Czuła tylko, że warstwa opadłych liści dotyka jej twarzy, szyi, ramienia. Chciała umrzeć z tym uczuciem, z tą pieśczołą. To już nie liście głaskały jej ciało, to wąsy Nazima. Jego wielkie, czułe, delikatne, bezwstydne wąsy. Myśli Ayli odleciały do domu w Antiochii, tego,

który mieli kupić w Turcji, do ich domu, ich kraju, kraju, z którego tak dawno temu uciekła w ramionach ojca...

Głuchy trzask ładowanego rewolweru rozdarł ciszę. Ayla zrobiła ostatni wysiłek, żeby się odwrócić, żeby go zobaczyć.

Chciała poznać swojego zabójcę.

Oparła się na zdrowym ramieniu.

Nie było jej dane.

W kolejnej sekundzie pocisk przeszył jej kark.

2 października 1998, 14.40

Stacja Concorde. Przesiadka.

Marc odruchowo schował zeszyt do plecaka. Uśmiechnięta dziewczyna z gitarą na plecach także wysiadła. Szli obok siebie korytarzem, prawie się dotykali. Czuli się skrępowani, jak podczas jazdy windą z nieznanym.

Na zimnej podłodze siedziała jakaś skulona kobieta, wyglądała, jakby się modliła do boga piekieł. Nie miała dziecka ani zwierzęcia, żadnego instrumentu, podartego kartonu, żadnej karteczki. Twarz schowała między kolana, obok niej stał biały talerz. Pusty. Tłum odwracał się od żebraczki, omijał ją, przechodził obok. Bez zastanowienia, nie zwalniając kroku, Marc wyjął z kieszeni monetę i rzucił ją na talerz. Dziewczyna z gitarą spojrzała na niego zaskoczona. Jej wzrok mówił, że Marc w jednej chwili z obrażonego typka w metrze stał się chłopakiem znacznie bardziej interesującym, niż na to wyglądał, który jednak, niestety, jej nie zauważał...

Kilka metrów dalej korytarz się rozdwajał. Marc skręcił w prawo, w stronę linii numer dwanaście jadącej w kierunku la Chapelle, ciągle pogrążony w myślach. Dziewczyna z gitarą poszła w lewo, w stronę linii numer siedem, w kierunku La Courneuve. Zwolniła tylko trochę, żeby spojrzeć jeszcze na oddalającego się wysokiego melancholijnego blondyna.

Madeleine.

Pociąg dojeżdżał do jednego z najruchliwszych dworców. Dochodziła godzina szczytu. Tłum na peronach i w wagonach gęstniał gwałtownie. W tych warunkach nie dało się czytać.

Saint-Lazare.

Wagon opróżnił się z zawrotną prędkością. Marc z nieustannym zdumieniem przyglądał się, jak pasażerowie pędzą korytarzami. Ludzie biegli, potracając powolniejszych, rezygnowali z zapchanych ruchomych schodów i lecieli, przeskakując po kilka stopni, pustymi schodami, po czym przyspieszali jeszcze bardziej, gdy tylko długi i prosty korytarz na to pozwalał... Czy ci ludzie prowadzili ten wyścig z czasem z powodu jakiejś wyjątkowej sytuacji, czy też biegali tak codziennie od rana do wieczora, tak jak inni uprawiają jogging pod platanami...?

Nie tak dawno Marc czytał opowieść o jednym z największych skrzypków świata, Rosjaninie, nazwiska nie zapamiętał, który pewnego dnia przez kilka godzin grał w metrze. Nie miał żadnej kartki, po prostu usiadł anonimowo w korytarzu i wyciągnął skrzypce. Każdego wieczoru sale na jego koncertach na całym świecie były wypełnione, bilety kosztowały setki franków, ale tamtego dnia prawie nikt w metrze nie zatrzymał się, żeby go posłuchać. Wszyscy ci ludzie pod krawatem nawet nie zwolnili, biegli do swoich pociągów. Możliwe, że tego samego dnia wieczorem biegli też, żeby zdążyć na koncert wybitnego muzyka, którego występu nie można przegapić za żadne skarby świata.

Marc odsapnął chwilę po raz pierwszy od rana. Spokojnie skierował się do ogromnej hali odjazdów, w której czekały setki pasażerów. Stali nieruchomo, patrzyli w górę, jak tłum czekający, aż na scenie pojawi się światowej sławy gwiazda rocka. Z tym że ci ludzie nie patrzyli na reflektory, lecz na jasne ekrany informujące o peronie, czy raczej nieinformujące o nim dość wcześnie,

a pasażerowie z każdą minutą tłoczyli się coraz bardziej.

Peron, z którego miał odjechać pociąg do Rouen, jeszcze się nie wyświetlił. Marc przeszedł przez cały korytarz, prześlizgując się pomiędzy przerażonymi podróżnymi, i usiadł na tarasiku dworcowej kawiarni. U zabieganego kelnera zamówił sok pomarańczowy. Kelner od razu przyjął od niego pieniądze, jak gdyby chłopak miał uciec ze szklanką w dłoni... Marc wziął do ręki telefon. Odsapnął tylko na chwilę, zaklął, ale przekleństwo zaginęło w hałasie dworca.

Lylie dzwoniła!

Musiała dzwonić, gdy był pod ziemią. Można by pomyśleć, że Lylie śledziła go po całym Paryżu i tylko czekała, aż zejdzie do podziemi, żeby zostawiać mu wiadomości... Żeby z nim nie rozmawiać!

Marc naciskał przyciski. Podniósł słuchawkę do ucha, żeby odsłuchać wiadomość. Nie zrozumiał prawie nic, Lylie właściwie szeptała, zamiast mówić.

„Marc, tu Emilie. Mój Boże, po co pojechałeś do de Carville’ów? Zaufaj mi, Marc. Jutro wszystko się skończy. Wtedy ci wyjaśnię. Wszystko ci wyjaśnię. Jeśli kochasz mnie tak, jak twierdzisz, wybaczysz mi. Emilie”.

Marc siedział przez chwilę nieruchomo, wciąż trzymając telefon przy uchu.

Zaufać...

Czekać?!

Nigdy w życiu! Lylie coś przed nim ukrywa, wszystko rozegra się w nadchodzących godzinach, ta słynna podróż bez powrotu, której tylko on jeden mógł zapobiec. Po raz kolejny wystukał coś na klawiaturze i znowu odsłuchał wiadomość od Lylie. Zaintrygował go pewien szczegół.

„Marc, tu Emilie...”. Przycisnął słuchawkę do prawego ucha i palcem zatkał lewe. Musiał słyszeć wyraźnie, co na tym zatłoczonym dworcu okazało się szczególnie trudne.

„Wybaczysz mi. Emilie”.

Po raz trzeci odsłuchał wiadomość. Nie interesowały go już słowa Lylie, ale to, co słyszał w tle. Odgłos dobiegał z daleka, był głuchy, ale po trzecim odsłuchaniu wiadomości Marc prawie zyskał pewność. Na wszelki wypadek jeszcze raz odsłuchał nagranie: zza głosu Lylie wyraźnie dobiegały odgłosy syren karetek.

Marc schował telefon do kieszeni i wypił połowę soku, zmuszając się do myślenia. Widział tylko dwa możliwe wyjaśnienia. Albo Lylie znajdowała się niedaleko wypadku na ulicy, albo była przed... szpitalem lub kliniką! Tak czy inaczej zdobył pierwszą wskazówkę!

Dopił sok i próbował myśleć logicznie. Szukanie miejsca, gdzie zdarzył się wypadek, byłoby głupie; skrzyżowanie, róg ulicy szybko zostałyby posprzątane. Lylie przecież nie siedziałyby w jednym miejscu; tak jej nie znajdzie. Jeśli jednak przyjąć, że jest w szpitalu... Musiałby sprawdzić kilkadziesiąt adresów w Paryżu... Był to jednak jego jedyny trop...

Odstawił pustą szklankę na aluminiowy blat. Kelner rzucił się, żeby posprzątać, jak gdyby chciał zasygnalizować Marcowi, że czas przebywania w kawiarni jest limitowany. Marc nie zareagował. Dręczyło go kolejne pytanie – dlaczego szpital? Co robiła w nim Lylie? W głowie pojawił mu się obraz rannej Lylie. Wieziono ją na blok operacyjny, otaczało ją grono pielęgniarzy w fartuchach...

Wielka podróż. Próbowwała popełnić samobójstwo! Nie poczekała do jutra.

Co robić?

Serce Marca waliło tak, że o mało nie pękło.

Dzwonić po wszystkich klinikach, wszystkich szpitalach Paryża?

W sumie czemu nie?

Po raz trzeci tego dnia Marc zadzwonił do Jennifer, swojej koleżanki we France Telecom. Szybko przesłała mu niekończącą się serię osiemnastu esemesów z numerami telefonów, o które prosił: sto pięćdziesiąt osiem klinik i szpitali w Paryżu, nie licząc przedmieść...

Trudno!

Marc wydzwaniał przez ponad pół godziny. Za każdym razem rozmowa przebiegała tak samo:

– Dzień dobry pani, czy trafiła do państwa dziś młoda dziewczyna o nazwisku Emilie Vitral? Nie... nie wiem na jaki oddział... Może na izbę przyjęć?

Każdy telefon trwał od kilku sekund do kilku minut. Odpowiedź zawsze brzmiała tak samo:

– Nie, proszę pana, nie mamy nikogo o tym nazwisku. Jest pan pewien jej tożsamości?

Marc zatrzymał się na dwudziestym numerze z listy. Zadzwonienie pod sto pięćdziesiąt osiem numerów trwałoby w nieskończoność. Miał świadomość, że gdyby podążył za wskazówką małej wagi, czyli syrenami karetki, straciłby kilka godzin... Karetka mogły przecież równie dobrze przejeżdżać gdziekolwiek, tam gdzie akurat Lylie się znajdowała, gdy do niego dzwoniła...

Kelner zdążył podejść do niego już trzy razy, żeby zapytać, czy Marc życzy sobie coś jeszcze. Bez przekonania zamówił jeszcze jeden sok pomarańczowy tylko po to, żeby mógł siedzieć dalej. Nawet go nie tknął. Czy to właśnie czuł Grand-Duc przez wszystkie te lata? Czy podążył obsesyjnie za wskazówkami, które od początku uważał za prowadzące donikąd? Czy chwycił się płomienia zapalki w burzową noc?

Marc podniósł wzrok na tablicę odjazdów. Nadal żadnej informacji o pociągu do Rouen. Wszystko toczy się za szybko, zdecydowanie za szybko. Syreny karetki... Niebieska koperta w kieszeni; wystarczyłoby ją tylko otworzyć, wbrew poleceniom Mathilde de Carville i obietnicy danej Nicole... I zeszyt, zwierzenia Grand-Duca, ten jego okropny suspens... Detektyw zapędził go w ślepy zaułek. Marc jednym haustem wypił swój sok. Kelner rzucił się natychmiast, uzbrojony w ścierkę, żeby wytrzeć blat. Uśmiechnął się niemal z ulgą, lecz Marc wyjął zielony zeszyt, rzucając mu wyzwanie.

Dziennik Crédule'a Grand-Duca

W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym nagroda za bransoletkę osiągnęła wartość siedemdziesięciu pięciu tysięcy franków. Wyobrażacie to sobie? Wówczas była to fortuna, nawet jak za biżuterię od Tournaire'a. Moje śledztwo stawało się naprawdę męczące... Żadnego nowego tropu. Zadowolalem się rozpracowywaniem starych wątków, czytałem raz po raz te same notatki.

Dla utrzymania się w formie kilka razy pojechałem do Turcji. Hotel Askoc, Złoty Róg, sprzedawcy dywanów, zmrok nad cieśniną Bosfor; *Lylie's Mystery Tour* raz po raz. Pojechałem raz jeszcze do Quebecu, do Chicoutimi do Bernierów, mimo że tego dnia termometr wskazywał minus piętnaście stopni! Na nic.

Pojechałem też z powrotem do Dieppe. Dwa razy, o ile pamiętam, z czego raz z Nazimem. Mam stamtąd dobre wspomnienia. Wspominam o tym po części właśnie dlatego. Po części też dlatego, że

to ważne, abyście zrozumieli, wspominam dla Lylie. Chodzi o to, co ukształtowało ją psychicznie. O jej środowisko, determinizm, powstawanie nawyków i takie tam. Opowiadam z detalami, żebyście mogli ocenić sami. To ważne, jeśli chcecie wyrobić sobie własne zdanie.

Był marzec osiemdziesiątego siódmego. Pogoda była okropna. Zgodnie z tym, co powiedziała Nicole Vitral, od dwóch tygodni nie ustawał deszcz i wiatr wiejący ponad sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Nad morzem nie było ani jednego kota. Nicole każde zdanie kończyła ostrym kaszlem. Płuca bolały ją okropnie nawet po najmniejszym wysiłku.

Nazim był zadowolony. Bardzo lubił przyjeżdżać do Dieppe. On lubił deszcz. Lubiał też Marca, choć dzieciaki trochę się go bały. Nazim, tak jak ja, nie miał dzieci. Ale on miał przynajmniej żonę! Piękną Aylę o kształtach tak zaokrąglonych jak jej kebaby. Nazim oczywiście kibicował tureckiej drużynie piłki nożnej. Marc się z niego śmiał, bo kilka lat wcześniej podczas eliminacji do mistrzostw świata w osiemdziesiątym szóstym Turcja przegrała z Anglią osiem do zera! Wynik jak w lidze przedszkolaków, nabijał się Marc.

Nazim chciał pokazać Marcowi, że nie jest obraźliwy, i przyniósł mu koszulkę z nazwiskiem Dündara Siza, lewoskrzydłowego drużyny Galatasaray, galijskiej części Stambułu. Nazwisko Dündar Siz zapewne nic wam nie mówi. Spróbujcie przypomnieć je sobie po francusku... Macie? Didier Six... Francuski piłkarz musiał przyjąć tureckie obywatelstwo, żeby w kolejnym roku poprowadzić Galatasaray do tytułu mistrza. Didier Six... Jak można być fanem Didiera Sixa! Typka, który całe życie kiwał w ten sam sposób, robił te same zwody i podstawiał haki. Faceta, który w Sewilli w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim w półfinale Pucharu Świata w piłce nożnej w meczu z Niemcami strzelił karniaka dokładnie w ręce bramkarza. Grał wtedy w Stuttgarcie, sprzedawczyk... Rozstrzelano za mniejsze przewinienia.

I oto Nazim pięć lat później uznał za świetny pomysł przynieść Marcowi koszulkę z nazwiskiem Dündara Siza! Zdrajcy żyjącego na wygnaniu pod fałszywym nazwiskiem! Świetny przykład dla młodzieży. Marc, młody i naiwny, włożył koszulkę, nie zadając pytań. To jasne, przecież nie pamiętał osiemdziesiątego drugiego i nocy w Sewilli, traumy całego pokolenia...

Mała Emilie zupełnie się tym nie interesowała. Tamtego marcowego dnia w osiemdziesiątym siódmym stawiała czoło wiatrowi i deszczowi. Włożyła różowy odblaskowy płaszcz przeciwdeszczowy z kapturem zasłaniającym jej twarz, spod którego wystawały tylko blond włosy. Kalosze miała w tym samym kolorze i skakała w nich po kałużach na ulicy Pocholle. Szukała kotów! Nicole, wzruszona prawie do łez, wyjaśniła mi dlaczego.

Emilie miała siedem lat, od pół roku chodziła do pierwszej klasy i umiała już czytać. Pochłaniała *Bajki kota na płocie* autorstwa Marcela Aymé, których bohaterami były Delphine i Marinette, mówiące zwierzęta gospodarskie.

Bajki kota na płocie!, mówiła Nicole, biorąc mnie za świadka. W wieku siedmiu lat! W pierwszej klasie! Crédule! Czy pan sobie zdaje sprawę?

W ich małym rybackim domu nie było więcej niż dwadzieścia książek, a ta była jedyną książką dla dzieci. Pewnie zapytacie, jaki ma to związek z dzielnicowymi kotami. Już mówię; Emilie uwielbiała opowieść o kocie z gospodarstwa, który codziennie podczas toalety drapał się łapą za uchem, czym sprowadzał deszcz na kolejny dzień, lubił robić światu na złość. Całe tygodnie ulew

z powodu kota o złym charakterze... W końcu gospodarze postanowili się go pozbyć... Delphine i Marinette chciały go ocalić. Emilie wydedukowała, że skoro w Dieppe od dwóch tygodni leje, wieje, pada grad, fruwią kamyki, to wszystko wina miejscowych kotów, które pewnie też drapią się za uchem. Jedynym rozwiązaniem, jakie się jej nasunęło, było przekonać te koty, żeby myły się inaczej. Wszystkie mieszkające w Pollet. Wyobrażacie sobie dzielnicę rybacką! Emilie całymi godzinami próbowała się do nich zbliżyć, spokojnie wyjaśnić im, że to z ich powodu jej babcia Nicole nie może pracować. Że przecież one też lubią słońce, a przy takiej pogodzie nie mogą wychodzić na dwór i się wygrzewać.

Emilie próbowała zaciągnąć mnie i Nazima, żebyśmy w ten deszcz szukali z nią kotów. Żeby je nastraszyć! Szczególnie te dzikie w ogóle jej nie słuchały.

„No chodź, Crédule-la-Bascule!”

„No chodź ze mną, Brodaczu!”

Szarpała nas swoją małą rączką. Po płaszczu spływały jej krople deszczu. Nazim wybuchł głośnym śmiechem, ale zostawał w suchym domu przy kawie. Ja także. Tylko ośmioletni Marc ustępował i wychodził w ulewę. Za dużą koszulkę Didiera Sixa zakładał na kasztanowy płaszcz. Gdy przemakała, stawała się prawie przezroczysta.

Tak samo przezroczysta jak Dünder Siz odizolowany na lewym skrzydle w Parc des Princes.

Pewnie męczę was tymi nieciekawymi opowieściami. Rozumiem. Interesuje was śledztwo... Nic tylko to śledztwo. Już mówię, już mówię. Mimo wszystko nie poddałem się. Zobaczycie, nie będziecie rozczarowani. Dwudziestego drugiego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego, jak co roku, udałem się na pielgrzymkę na Mont Terrible. Wieczorem pojawiłem się na obrzeżach Doubs, żeby zostawić bagaże. Miałem już nawyki starego kawalera. Gospodyni, Monique Genevez, kobieta tęga i urocza, mówiąca z miejscowym akcentem, który przypominał mi niemal wymowę z Quebecu, rezerwowała dla mnie zawsze ten sam pokój, pokój numer dwanaście z widokiem na górę. Już miesiąc wcześniej szykowała ser dojrzewający, który serwowała mi z winem z Arbois. Moje śledztwo stawało się coraz mroczniejsze, a ja wpędzałem się w coraz większą neurozę... Coś mi się w zamian należało.

Tamtego dnia Monique, która czekała na mnie na końcu drogi, nie pozwoliła mi nawet zaparkować samochodu.

– Panie Grand-Duc, jest ktoś do pana!

Spojrzałem na nią zdumiony. Mówiła dalej:

– Czeka od dwóch godzin. W zeszłym miesiącu dzwonił kilka razy, chciał się z panem zobaczyć, powiedziała, że pan przyjedzie jak zwykle co roku dwudziestego drugiego grudnia po południu... Sądzę, że ma to związek z pańskim śledztwem.

Monique szczebiotała przede mną jak Miss Money Penny przed Jamesem Bondem. Zdziwiony i podekscytowany, szybko wszedłem do salonu. Dobrze wyglądający pięćdziesięcioletni mężczyzna w długim ciemnym zimowym płaszczu czekał na mnie, czytając prospekty regionu. Wstał.

– Augustin Pelletier. Od miesiący chciałem się z panem spotkać, panie Grand-Duc. Przez

przypadek trafiłem na pańskie ogłoszenia w „L’Est républicain”. Myślałem, że śledztwo w sprawie katastrofy na Mont Terrible zostało już dawno zakończone... Ale jak widzę, pan szuka nadal. Być może będzie mógł mi pan pomóc...

Spodziewałem się raczej czegoś odwrotnego. Pomocy z jego strony, ale cóż... Augustin Pelletier zrobił na mnie wrażenie człowieka zrównoważonego, w typie urzędnika, zdecydowanego, odpowiedzialnego. Nie wydał mi się naciągaczem.

Usiadłem obok niego. Przez okno można było podziwiać szczyt łańcucha górskiego, w tym Mont Terrible, którego w tym roku śnieg jeszcze nie przysypał.

– Zrobię, co w mojej mocy, panie Pelletier. Zaskoczył mnie pan...

– To dawna historia, panie Grand-Duc. Będę się streszczał. Szukam mojego brata, Georges’a. Zniknął lata temu. Ostatni ślad pochodzi z roku osiemdziesiątego. Mieszkał wówczas samotnie na Mont Terrible w małej chacie, niedaleko miejsca, gdzie doszło do katastrofy airbusa.

2 października 1998, 15.09

Marc podniósł wzrok. Świecące litery na wyświetlaczu mieszały się niczym elektroniczne Scrabble.

Paris – Caen, peron 23.

Duża część tłumu, stojąca dotąd nieruchomo, udała się w stronę peronu numer dwadzieścia trzy, ludzie przeciskali się jak kolorowe ziarenka piasku przez wąskie gardło klepsydry. Marc dowiedział się, że w pociągu można zmieścić ponad tysiąc osób. Tyle liczyła średnia populacja stolicy kantonu... Liczba osób w hali odjazdów nie powinna dziwić: dwa lub trzy spóźnione pociągi i na peronach już tłoczą się tysiące osób...

Tak jak w przypadku pociągu Paris – Rouen... nadal nie podano numeru peronu. Marc spojrzął na swój telefon. Musiał dalej dzwonić do klinik, podążać swoim jedynym tropem, żeby znaleźć Lylie, choć był to trop tak wąty. Jego dłoń zawisała pomiędzy telefonem a zielonym zeszytem, ale ciekawość okazała się silniejsza. Mógł pozwolić sobie na kilka minut lektury, przeczytać jeszcze kilka stron. Czyżby Grand-Duc naprawdę znalazł świadka katastrofy?

Dziennik Crédule'a Grand-Duca

Znad Szwajcarii nadciągały chmury. Zdarzało się to dość rzadko. Po latach doświadczeń zaczynałem orientować się w klimatologii regionu gór Jura.

– Georges to mój młodszy brat – wyjaśnił Augustin Pelletier. – Zawsze był ode mnie słabszy. Miał skomplikowaną osobowość. Bardzo się od siebie różniliśmy. Nie miał jeszcze czternastu lat, gdy zaczął uciekać z domu w Besançon. Włóczył się z okolicznymi bandami. Policjanci przyprowadzali go rodzicom. W końcu został umieszczony na dwa lata w poprawczaku, nie było rady.

Uderzałem palcami w oparcie fotela. Dokąd zmierzał Pelletier?

– Już dochodzę do katastrofy, panie Grand-Duc – odezwał się Augustin, który chyba zauważył moje zniecierpliwienie. – Niech się pan nie obawia. Georges definitywnie opuścił dom w wieku lat szesnastu. Nie muszę dużo tłumaczyć. Spał na ulicy. Alkohol. Narkotyki. Trochę też rozprowadzał. Nie robił nic tak naprawdę złego. Został bezdomnym. Znano go w Besançon, jego i kilku innych. Rodzice się poddali. Ja wówczas też. Miałem pracę, żonę, która nie chciała już o nim słuchać. Może pan sobie wyobrazić, jak to jest. Niełatwo zaprosić na Wigilię bezdomnego...

Moje palce nadal tańczyły po podłokietniku, ale Augustin już na nie nie patrzył albo tak mi się tylko zdawało.

– Radziłem sobie z tym, jak umiałem – mówił dalej. – Miałem z nim kontakt niebezpośredni, przez służby socjalne, przez policję. Georges nie chciał pomocy. Za każdym razem, gdy wyciągałem rękę, dostawałem policzek, no w każdym razie rozumie pan, co chcę powiedzieć...

Rozumiałem. I nic mnie to nie obchodziło. Okazywałem to Pelletierowi. Do rzeczy, Augustin.

– Już dochodzę do sedna, panie Grand-Duc. Zawsze mieliśmy jakieś wieści o Georges'u, z wyjątkiem dłuższych i krótszych okresów, kiedy znikał. Rok, najwyżej dwa. W maju osiemdziesiątego słuch zaginął o nim definitywnie. Georges miał wtedy czterdzieści dwa lata, ale

wyglądał na przynajmniej o piętnaście więcej. Od ośmiu lat nie miałem żadnych wieści.

Wyłączyłem się. Nad szczyty gór napływały białe chmury znad Szwajcarii. Mont Terrible bawiła się w chowanego.

– Panie Pelletier... Jaki to ma związek ze mną? Jaki to ma związek z dwudziestym trzecim grudnia, z katastrofą?

– Już mówię. Już mówię. Bardzo się niepokoiłem. Może pan sobie wyobrazić, żadnych wieści. Dowiadywałem się u innych bezdomnych. Nie było łatwo... Ale dobrze, oszczędzę panu szczegółów. W końcu powiedzieli mi, że Georges opuścił miasto. Miał już dość betonu. W Besançon pewnie wielu typków chciało się z nim rozprawić. Nieudane interesy, rozumie pan. Policja...

Rozumiałem.

– Powiedzieli mi, że według ostatnich wieści zamieszkał w chacie na łonie natury w górach na granicy szwajcarskiej. Na Mont Terrible. Mówiono o niej wówczas dużo z powodu katastrofy... Właśnie wtedy ostatni raz słyszałem o moim bracie. Prawie siedem lat temu. Szukałem Georges'a miesiącami. Bezskutecznie. Od tamtej pory zarzuciłem poszukiwania i nadzieję, że kiedykolwiek go jeszcze zobaczę. Jak pan się pewnie domyśla, moja żona się nie przejęła. Jednak gdy ja przeczytałem pańskie ogłoszenie siedem lat później, doznałem szoku! Powiedziałem sobie: czemu nie? Skoro ktoś nadal próbuje zrozumieć, co stało się na górze tamtej nocy, być może pośrednio trafił na ślad mojego brata...

Augustin skończył swoją tyradę. Zacisnąłem dłonie na oparciach fotela jak kapitan statku na sterach. Wpatrywałem się w daleki horyzont za szybą, w zaokrąglone szczyty, teraz okryte mgłą. A jeśli ten Georges spał tamtej nocy w chacie? A jeśli był kimś, kogo nigdy się nie spodziewałem, kogo nie szukałem przez te siedem lat?

Świadek!

Naoczny świadek katastrofy. A jeśli Georges pojawił się na scenie pierwszy? Jeśli znalazł przy ocalonej dziewczynce słynną bransoletkę? A jeśli to on wykopał ten grób?

Pytania nasunęły mi się spontanicznie:

– Czy Georges miał psa?

Augustin zrobił niewyraźną minę.

Ogarnij się, Augustin! – o mało co nie odezwałem się w ten sposób. Od siedmiu lat będę się nad tą sprawą!

– Hmm... tak. Kasztanowego kundla, o krótkich łapach. A dlaczego pan pyta?

Zacząłem notować na odwrocie prospektu leżącego przede mną.

– Co palił pański brat? Jakie papierosy?

– Gitanes, tak sądzę... Nie mam pewności.

– Jaki miał rozmiar buta?

– Czterdzieści trzy albo czterdzieści cztery.

– Jakie pijał piwo?

– Piwo? No... Nie mam pojęcia... Naprawdę...

Augustin sprawiał wrażenie, że nie wie, o co mi chodzi. Przerwał.

– Ależ panie Grand-Duc, po co te wszystkie pytania? Znalazł pan Georges'a? Nie żyje? Tak?

Znalazł pan jego ciało?

Spokój, Augustin!

Monique Genevez, niezastąpiona gospodyni, przyniosła nam herbatę i kruche ciasteczka, podłużne i grube. Augustin ich nie tknął. Ja, chrupiąc za dwóch, opowiedziałem mu wszystko o moim odkryciu z poprzedniego roku. Chata, śmieci, grób... Augustin Pelletier był niemal rozczarowany – nie znalazłem żadnego konkretnego śladu jego brata... Uspokoilem go. Maczałem herbatnika w gorącej herbacie. Nie mogłem mu obiecać, że znajdę jego brata Georges'a, a tym bardziej że odnajdę go żywego, ale obiecałem mu, że w najbliższych miesiącach poświęcę się poszukiwaniom ze zdwojonym zapalem. Nie kłamałem. Miałem zamiar go przydybać, mojego jedyne go naoczne go świadka! Augustin dobrze zrobił, że przyjechał aż z Besançon. Zyskał prywatnego detektywa na pełen etat, za którego płaciła Mathilde de Carville. I to całkiem inteligentnego. Zostawił mi swoją wizytówkę. Pracował jako doradca klienta w ubezpieczeniach. Raz jeszcze obiecałem mu, że zrobię, co w mojej mocy.

Tamtej nocy spałem zaledwie kilka godzin. Po części z podniecenia, w dużej mierze z powodu butelki wina z Arbois, którą opróżniłem, żeby uczcić nowinę, i poprawiłem kilkoma łykami białego. Moja gospodyni miała je znakomite.

Następnego dnia rano wyruszyłem już o świcie z pełnym wyposażeniem – łopatką, grabką, sito... Postanowiłem zabawić się w cementarną hienę, żeby sprawdzić, czy przy chacie został pochowany kasztanowy kundel Georges'a. Miałem ze sobą nieprzemakalną torbę i próbówki, ostatni krzyk mody policji kryminalnej, żeby schować do nich odpadki w celu zweryfikowania tożsamości osób, które ostatnio przebywały w chacie. Dźwigałem w plecaku prawie piętnaście kilo. Gdy przechodziłem przed schroniskiem Parku Naturalnego Haut-Jura, Grégory Morez, inżynier, pomachał do mnie ręką. Rozbawił go mój ekwipunek.

– Jeśli chcesz pokonać osiem tysięcy metrów, nie tędy droga...

Grégory... Poza kilkoma wycieczkami szkolnymi, które pojawiały się rzadko, Grégory widywał tylko stażystki, które namiętnie podrywał. Przynajmniej tak mi się wydawało. Ten typek wyglądał z roku na rok coraz lepiej, choć włosy przyprószyła mu siwizna, za to stażystki rok po roku były dokładnie w tym samym wieku. Zostawił śliczną blondynkę, która wpatrywała się w niego wielkimi oczami, i odezwał się do mnie:

– No dobra, Crédule, zlituję się, podwiozę cię samochodem. Ostatnie kilometry będziesz musiał przejść na piechotę, ale najcięższy odcinek będziesz miał za sobą. Julie, wracam za dwadzieścia minut. Nie ruszaj się stąd, jeśli chcesz się dowiedzieć, co tamtej nocy na Spitsbergenie spotkało mnie później...

Inżynier wysadził mnie, gdy droga bita się skończyła, puścił do mnie oczko i pojechał bajerować swoją blondyneczkę. Pytałem go w drodze, ale nigdy nie słyszał o tym Georges'u Pelletierze. Logiczne, wszystko działo się ponad siedem lat wcześniej...

Idąc, próbowałem poukładać sobie wspomnienia sprzed roku; zimny deszcz, światło latarki,

kamienie na grobie. Bez trudu odnalazłem chatę. Byłem cały mokry. Pogoda w niczym nie przypominała tej sprzed roku. Szczyt zalewało piękne zimowe słońce, które złociło wierzchołki sosen. Wyglądało to jak złota jesień na modłę szwajcarską.

Ogarniało mnie podniecenie jak podczas pierwszej wyprawy. Nie czułem się tak od bardzo dawna. Zacząłem od chaty. Odniosłem wrażenie, że wszystko znajduje się w takim samym położeniu. Było całkiem prawdopodobne, że od zeszłego roku nikt oprócz mnie nie zaglądał do tego schronienia na końcu świata. Starannie, w rękawiczkach, pobierałem różne próbki śmieci zalegających klepisko. Musiałem je trochę rozkopać, żeby wygrzebać różne przedmioty, które wtopiły się w rozmiękłą ziemię.

Niedopałki, pusзки, papierki.

Wszystko to mogło posłużyć do odnalezienia jakiegoś śladu Georges'a Pelletiera, nawet jeśli, na co wszystko wskazywało, opuścił to miejsce dawno temu.

Wyszedłem na zewnątrz. Czekąco mnie najtrudniejsze zadanie. Grób. Podeszedłem do stosu kamieni. Mały drewniany krzyż stał tam nadal. U jego stóp jaśmin w doniczce zwiędł. A więc przez ten rok nikt nie przyszedł go podlać. Dlaczego? Po co w takim razie ktoś dbał o grób wcześniej, a w tym roku już nie? Było bardzo ciepło, zdjąłem sweter i zostałem w koszuli, a i tak się pociełem. Chłodnawy poranny wietrzyk powiewał minimalnie wśród wierzchołków wysokich sosen. Jak w piosence.

Pochyliłem się nad kamieniami.

Zauważyłem niepokojący szczegół. Odniosłem dziwne i przemożne wrażenie, że kamienie leżały inaczej niż ostatnim razem! Ktoś je poprzekładał.

Usiłowałem myśleć logicznie. Skąd mogę mieć pewność? Patrzyłem na te kamienie rok temu, nocą, w deszczu, odkładałem je na chybił trafił przy świetle latarki...

To nic. To nie było tylko wrażenie. Ktoś tu wrócił! Kształt kamieni, wielkość, ich ułożenie wspominałem przez rok. Były to bardzo wyraźne wspomnienia, choć powstały nocą. Nie chwaląc się, mam duży talent, mam prawie niezawodną pamięć wzrokową.

Wierzcie mi na słowo, wszystko zostało poprzekładane!

Trudno. Bez ubrudzenia rąk nie miałem poznać odpowiedzi na to pytanie. Z szaloną ostrożnością zacząłem podnosić kamienie. Zajęło mi to dobre pół godziny. Słońce sprawiało, że cała ta scena nie wyglądała bardzo makabrycznie. Kilka razy przerywałem pracę, żeby się napić.

Gdy odrzuciłem na bok ostatni kamień, zacząłem delikatnie kopać łopatą. Po co to wszystko? Pomyślałem. Żeby odkopać zwłoki psa! Czego innego mogłem się spodziewać? Niemowlęcia pochowanego na szczycie Mont Terrible?

Kopałem przez prawie godzinę. Słońce przesunęło się na zachód, a nad sprofanowanym grobem rozlał się cudowny cień sosen. Wykopałem głęboki, ponadmetrowy dołek. Wykopałem też krzyż. Uparcie kopałem jeszcze przez pół godziny.

Aż w końcu... nic!

Nawet jednej kości psa, kozy czy królika.

Nic!

To kamienne mauzoleum, ten krzyż, ten zwiędły kwiatek znajdowały się tu na dziewiczej ziemi.

Osunąłem się wyczerpany i przygnębiony. Straciłem tyle energii i nie osiągnąłem żadnego rezultatu. Piłem, zastanawiając się. Koszulę miałem uwalaną błotem. Siedziałem w cieniu, spocony, i było mi zimno. Zrobiłem kilka kroków, żeby się rozgrzać, nie przestając myśleć, mówić do siebie, rozmawiać z sosnami... Nagle przewyciężyłem swoją głupotę!

Nie! Oczywiście, że nie kopałem na darmo. Najgorsze dla mojego śledztwa byłoby, gdybym znalazł pogrzebane zwierzę. Wówczas cała historia z grobem by się zakończyła. Gdybym wykopał kości kundla Georges'a, co bym zrobił później? Przywłókłbym je Augustinowi?

Pusty grób! Tego się nie spodziewałem, gdy się zastanowić. Pusty dół otwierał nowe możliwości. Otarłem czoło i wyjąłem wielką kanapkę, którą przygotowała dla mnie Monique. Tak naprawdę istniały tylko dwa możliwe wyjaśnienia...

Mógł to być grób symboliczny, jak krzyże, przy których układa się kwiaty na zakrętach, gdzie ktoś zginął w wypadku drogowym. Całkiem prawdopodobne. Rodzina którejś z ofiar katastrofy airbusa 5403 relacji Sztambuł – Paryż mogła uczynić taki gest. Ktoś chciał tu pielgrzymować. Z braku ciała zrobił taki pusty grób... Mogła to być którakolwiek z rodzin stu sześćdziesięciu ośmiu ofiar. A jeśli tak, to dlaczego grób powstał tutaj, dwa kilometry od miejsca dramatu? Po co kopać grób wielkości niemowlęcia? W airbusie leciały tylko dwie małe dziewczynki... Kto postawił krzyż, ułożył kamienie i przez lata podlewał jaśmin? Ktoś z rodziny Vitralów? De Carville'ów? Kto? Kiedy? Dlaczego?

Pozostawała jeszcze jedna hipoteza. Pod kamieniami mógł znajdować się szkielet. Ktoś przez lata przychodził uczcić pamięć tego unicestwionego istnienia, podlewać grób dyskretnie i w tajemnicy. Tego roku, gdy ten tajemniczy ktoś tu przyszedł, stwierdził, że grób został rozkopany. Sekret się wydał albo tak się dopiero mogło stać. Dlatego osoba ta miała tylko jedno wyjście: opróżnić grób! Zdjąć kamienie, wykopać kości i ułożyć kamienie z powrotem...

Kamienie leżały inaczej. Tego byłem pewien.

Ta druga hipoteza pozostawiała tyle samo otwartych pytań co pierwsza. Po co dokonywać takiego rytuału i zachowywać takie środki ostrożności? Dla zwłok psa? Jaki szalowiec mógłby tak działać? Georges Pelletier?

To się nie trzymało kupy!

Po raz kolejny otarłem czoło. Uspokoiłem się, byłem zadowolony. Nowe znaki zapytania, jakieś nowe tropy były tym, czego w tym śledztwie szukałem. Miałem dość czasu, żeby sprawdzić każdą hipotezę. Z plecaka wygrzebałem sitko, które ze sobą zabrałem. Sitko z drewna i nylonu, takie, jakimi nad rzekami posługują się poszukiwacze złota, przesiewając piasek. Miałem zamiar dokładnie przeczesać ten skrawek ziemi! Jeśli pozostał tam najmniejszy fragment kości, psa, noworodka czy diplodoka, postanowiłem go odnaleźć.

Nie przesadzając, spędziłem tam pięć godzin. Archeolog nie miałby tyle cierpliwości co ja.

Rekompensatę za mój upór otrzymałem po południu. Zasługiwałem na moje sto tysięcy franków rocznie. Gdy odrzuciłem kamienie i przesiałem przez sito ziemię, zabłysnęło na nim maleńkie złote oczko.

Oczko łańcuszka.

Ował wielkości zaledwie milimetr na dwa.

Złoty.

– Chcesz moje zdjęcie, dupku?

Marc podniósł wzrok, myślami znajdował się na szczycie Mont Terrible. Czuł się jak wyrwany ze snu. Harmider na dworcu kontrastował z ciszą panującą w sosnowym lesie, do którego zaprowadziła go lektura.

Marc jak większość oczekujących na pociąg odwrócił się w stronę, z której dobiegał wariacki krzyk. Banalny incydent: rozhisteryzowana dziewczyna obraziła faceta stojącego obok... Pasażerowie wzruszyli ramionami i przestali zwracać uwagę na zajście... Wszyscy oprócz Marca.

Marc rozpoznał ten damski głos... Sen zmienił się w koszmar. W odległości trzydziestu metrów przy kasie automatycznej Malvina de Carville darła się na jakiegoś faceta stojącego za nią; wydawał się od niej wyższy przynajmniej o trzy głowy. Bez wątpienia to nie był przypadek, uparta wariatka.

Śledziła go.

2 października 1998, 15.21

Motor zatrzymał się na ulicy Chauds-Soleils dokładnie przed Willą Różaną. Motocyklista zsiadł z wawo, zdjął kask, potrząsnął długimi kruczoczarnymi włosami i nacisnął przycisk interkomu.

– Tak?

– Paczka dla pani de Carville. Przesyłka specjalna. To coś pilnego. Przyjeżdżam bezpośrednio z siedziby firmy.

– Pani de Carville jest teraz zajęta. Proszę wrzucić przesyłkę do skrzynki...

– Mam ją jej oddać do rąk własnych.

– W takim razie nie teraz. Nie można jej przeszkadzać jeszcze przez kilka minut. Może pan zaczekać?

Motocyklista westchnął.

– Nie za bardzo. Z kim rozmawiam?

– Nazywam się Linda, jestem pielęgniarką...

– Dobrze – odezwał się goniec po krótkiej chwili wahania. – Zaufam pani. Przekaze pani kopertę pani de Carville?

– Myślę, że dam sobie radę...

Motocyklista się zaśmiał:

– Niech mi pani powie... Co to za burdel tu u was? Karetki, straż, gliny. Ledwo przejechałem na drugą stronę rzeki. Otoczyli seryjnego zabójcę czy co?

– Prawie! W lasku Coupvray znaleziono ciało kobiety, tuż przed naszym domem. Z tego, co zrozumiałam, została zastrzelona. Nie wiedzą jeszcze, czy to zabłąkany pocisk myśliwych, czy zabójstwo. Wyobraża pan sobie? Zabójstwo. W Coupvray!

– Przynajmniej coś się dzieje w tej dzielnicy...

Linda odebrała dużą kopertę ze sztywnego papieru. Wahala się, czy zawiadomić Mathilde de Carville, która pracowała w szklarni. Madame de Carville nienawidziła, gdy ktoś jej przeszkadzał w czasie zajmowania się kwiatami. Szklarnię traktowała jak kaplicę. Ogrodnictwo było jej komunią, świętą chwilą, której pielęgniarka nie miała ochoty profanować. Trudno. Koperta poczeka, aż pani wróci. Linda położyła ją obok telefonu na sekretarzyku przy wejściu.

Nie chciała zostawiać Léonce'a samego na zbyt długo. Przede wszystkim nie chciała się spóźnić, musiała go jeszcze umyć, ubrać w piżamę, podać posiłek, podłączyć kroplówkę... Jeśli się postara, będzie to miała z głowy już o osiemnastej. Léonce de Carville będzie czysty, nakarmiony i w łóżku. Linda będzie mogła wracać do siebie. Zając się swoim dzieckiem, nacieszyć się nim...

Podeszła do Léonce'a i popchnęła wózek na kółkach do łazienki. Tej chwili nienawidziła najbardziej. Musiała ułożyć starego mężczyznę na stole. To tak jakby układała materac. Gdy jej się udało, odetchnęła i nacisnęła przycisk. Ciało podjechało na wysokość jej talii. Cała łazienka była zautomatyzowana, wyposażona w najnowszy sprzęt, taki sam jak w każdym szpitalu, a nawet lepszy. Nie było się do czego przyczepić. Mogła pracować. Mathilde de Carville wykladała pieniądze.

Linda zaczęła rozbierać mężczyznę.

Gdy usiłowała porozpinać mu guziki, powkładać ręce w rękawy, miała niemal wrażenie, że ten starzec reaguje, jak gdyby się z nią bawił, jak gdyby jej pomagał. Trzy dni wcześniej Lindzie zdawało się nawet, że Léonce de Carville uśmiechnął się do niej. Celowo. Wiedziała dobrze, że to niemożliwe. Tak przynajmniej twierdzili lekarze. Léonce nie był w stanie rozpoznać twarzy, głosu, dźwięku, z dnia na dzień przypomnieć sobie reakcji. Tak więc musiała pomagać mu wcelować ręką w otwór rękawa...

Linda ściągała płócienne spodnie po zwiotczących nogach starca. Później brudne majtki. Kilka liści klonu, które przykleiły się do ubrań, spadło na matę łazienkową.

A jeśli się mylą? – zastanawiała się Linda.

Od prawie sześciu lat, odkąd zajmowała się Léonce'em, dwie godziny rano i trzy po południu, starała się wierzyć, że nie jest on tylko przewodem pokarmowym, który wozi się na wózku inwalidzkim.

Linda odkręciła ciepłą wodę, po czym namydliła rękawiczkę. Mycie zawsze zaczynała od genitaliów, później myła dolne partie ciała. Linda od siedmiu miesięcy była mamą. Miała małego Hugo. Umiała odróżnić prawdziwy uśmiech od grymasu, odróżnić spojrzenie rozumne od spojrzenia zagubionego.

Rękawiczka ślizgała się po lewej nodze. W głębi duszy Linda bardzo lubiła Léonce'a, mimo że w tym strasznym domu wszyscy go nienawidzili. Jego żona, jego własna wnuczka, ta mała cholera, Malvina. Powiedziano jej tyle złego na temat Léonce'a de Carville'a. Ten szef tyran wyrzucał z pracy za jednym razem setki robotników w Wenezueli, w Nigerii, w Turcji. Człowiek bez skrupułów. Twardy. I co z tego? Nieważne. Dla niej od sześciu lat Léonce był tylko kauczukowym manekinem. Bezbronny starcem. Biednym kruchym istnieniem, które miało tylko ją, tylko ona go chroniła, dbała o niego, obdarzała go odrobiną uwagi, czułości. Jak własne dziecko!

Rozumieli się. Starzec i pielęgniarka. Pięć godzin dziennie. Żaden lekarz na świecie nie zrozumiałby tej więzi. Tym bardziej Mathilde czy Malvina de Carville. Tak, Léonce de Carville potrafił się jeszcze komunikować. Na swój sposób...

Drzwi trzasnęły!

Dłoń Lindy obleczona w rękawiczkę gwałtownie zatrzymała się na miękkim brzuchu starca. Drzwi wejściowe. Linda sądziła, że je zamknęła. Odłożyła rękawiczkę i wyszła na korytarz.

Nikogo. To pewnie przeciąg. Przeciągi zdarzały się dość często, Willa Różana była ogromna, liczyła ponad dziesięć sypialń i dwadzieścia pokoi, gdzieś zawsze było otwarte okno lub drzwi. Linda wróciła do łazienki. Léonce czekał. Nagi. Potrzebował jej. Tak jak jej malutki Hugo. Nie należało zostawiać go samego.

Linda popełniła błąd. Zagubiona w rozmyślaniach o Hugonie i Léonsie, nie zauważyła pewnego szczegółu. Nie spojrzała na sekretarzyk przy drzwiach wejściowych.

Koperta z grubego papieru zniknęła.

Linda westchnęła ponownie. Skończyła toaletę Léonce'a de Carville'a, ubrała go w czystą piżamę tak, jak robiła to codziennie. Nie chciała zakładać mu pieluch, których używano nawet

w najdroższych klinikach. Trudno, musiała zmieniać piżamę i prześcieradła każdego dnia.

Pielęgniarka położyła Léonce'a w specjalnie przystosowanym łóżku w sypialni, tuż obok łazienki. Trzeba było poszerzyć drzwi, żeby wózek mógł przejechać. Łóżko też było najnowocześniejsze na rynku, sterowane w całości elektronicznie. Wszystko bez zarzutu. Od strony medycznej Léonce'owi było tu lepiej niż w umieralni dla starców, w jednym z tych domów, gdzie starych ludzi gromadzi się jak w zbiorowej mogile. Léonce mógł przynajmniej umierać w luksusie. Samotny, ale w luksusie. Mathilde de Carville od lat sypiała na piętrze.

Linda zdjęła poduszkę z pierzem z łóżka i położyła ją na najbliższym stojącym krześle. Wkładała mu tę wielką poduszkę pod plecy, żeby go posadzić i oprzeć podczas karmienia. Kobieta spojrzała na zegarek. Za niecałą godzinę poda obiad.

Upewniła się po raz ostatni, że krążenie starca jest właściwe. Oczy miał szeroko otwarte, nieruchome jak zwykle po kąpieli, mrugał z rzadka. Linda słyszała o mężczyźnie w stanie wegetatywnym, który pisał książkę, dyktując litery, słowa i zdania mrugnięciami powiek. Niewiarygodne! A jeśli z Léonce'em jest tak samo? A jeśli wbrew twierdzeniom lekarzy jego mózg nadal działa? Więzień w bawełnianej skorupie. A jeśli Léonce de Carville ma jej coś do powiedzenia? Do opowiedzenia? Może ona po prostu nie rozumie jego sposobu komunikacji. Cóż ten stary człowiek ma w głowie? Linda dowiedziała się, że był niezwykłym mężczyzną. Szefem. Jednym z największych. Zaczynał od zera, a zgromadził ogromne bogactwo, gdyż otworzył fabryki na całym świecie. Zarządzał imperium. Był faraonem na czele ogromnej piramidy. To jej przypadł obowiązek dbania o zmumifikowane wspomnienie, namaszczenie jego ciała. Pewnie z powodu jego władzy nienawidzono go tak bardzo. Z zazdrości. Słabi mścili się na nim teraz, gdy nie mógł już się bronić. Słabi, którzy zawdzięczali wszystko właśnie jemu. Na przykład tę posiadłość.

Linda postawiła na stoliku nocnym niewielki nadajnik, taki jak te, których używa się, żeby usłyszeć płacz dziecka śpiącego w innym pokoju. Odbiornik zabierała do kuchni, gdzie przygotowywała kolację. Była spokojna. Trochę też śmieszna. Co miałyby stać się temu kalece, gdy ona pracowała w kuchni?

Wychodząc, po raz ostatni spojrzała na starca, który nadal miał szeroko otwarte oczy.

Geniusz, który zaczynał od zera. Wrócił do punktu wyjścia.

Za plecami Lindy w ciszy przesunął się cień, który zniknął za schodami. Gdyby choć trochę odwróciła głowę, zobaczyłaby go. Tymczasem ona udała się prosto do kuchni.

Linda samodzielnie przygotowywała posiłki Léonce'a, jego papkę. Dbała o to, żeby produkty zawsze były świeże. Warzywa, szynka, ponad dziesięć składników, które kupowała na targu w Marne-la-Vallée, po czym obierała je, kroїła i miksowała. Léonce połowę wypluwał, resztę wydalął, ale Linda nie rezygnowała. Od miesiąca piekła dwie pieczenie na jednym ogniu. Przygotowywała więcej zupy i połowę zabierała dla Hugona! Gdy wracała do domu, zupka była idealna. To samo danie dla starego Léonce'a i malutkiego Hugona. Linda potrafiła się zorganizować. Nic nie powiedziała Mathilde de Carville, ale stara jęzda nie czepiałaby się przecież o dwa pory, trzy ziemniaki i plasterzek szynki.

Linda postawiła odbiornik przy mikserze i zaczęła obierać marchewki. Lubiła tę chwilę ciszy. Czuła się pewnie.

Cień przeszedł tymczasem przed drzwiami kuchni i popchnął drzwi sypialni Léonce'a. Ostrożnie wszedł do pokoju. Linda niczego nie usłyszała ani nie zauważyła.

Mężczyzna nieobecny wzrokiem wpatrywał się w nadchodzącą postać. Oczy miał szeroko otwarte, przerażone, jak gdyby zrozumiał jej zamiar. Cień się zawahał. Te świdrujące oczy wydawały się nierealne. Jakby mu groziły. Wahanie nie trwało jednak dłużej niż sekundę. Zbliżył się. Nie miał litości dla tego nieruchomo leżącego przed nim ciała. Czuł tylko nienawiść i pogardę.

Zdeterminowany cień podszedł jeszcze bliżej. Zauważył poduszkę leżącą przy łóżku. Uśmiechnął się. Idealne rozwiązanie. Szybkie. Ciche. Cień skierował się w stronę krzesła. Wzrok Léonce'a nie podążył za nim, nadal wpatrywał się w otwarte drzwi. Cień poczuł się pewniej. Strach to tylko iluzja. Starzec go nie rozpoznał, nie rozpoznawał już niczego. Pod stopami cienia cicho skrzypnęła podłoga.

Ostrze noża Lindy zawisło w powietrzu. Pielęgniarka wyraźnie usłyszała hałas w sypialni Léonce'a. Skrzypnięcie podłogi! Odruchowo, nie odłożywszy noża na kuchenny stół, wyszła na korytarz i skierowała się do sypialni. Przecież starzec nie wstał z łóżka!

Linda mocniej zacisnęła rączkę noża w dłoni. To popołudnie stawało się coraz dziwniejsze. Najpierw morderstwo w lesie. Pełno gliniarzy. Później goniec i koperta. Trzaskające drzwi. Skrzypiąca podłoga w sypialni inwalidy.

Linda wyciągnęła rękę przed siebie. Nóż torował jej drogę. Dłoń jej drżała. Zawsze bała się tego domu jak nawiedzonych dworów z filmów. *Psychoza* i tym podobnych. Starła się o tym nie myśleć, ale zawsze czuła się nieswojo. Ledwo stała na nogach. Drżała.

Trzymając nóż przed sobą, weszła do sypialni. Spojrzenie Léonce'a było utkwione w nią. Puste. Puste jak reszta pokoju. Nie było nikogo! Linda roześmiała się nerwowo, żeby rozładować napięcie. Ten dom i ta porąbana rodzina przyprawiali ją o szaleństwo. Chodziła z nożem w ręce z powodu skrzypiącej podłogi! Musi poszukać czegoś innego, jakiejś innej pracy, w końcu nad Marną nie brakuje bogatych rodzin. Szkoda tylko starego de Carville'a. Zapomni o tej dziwnej czułości, którą wobec niego odczuwała... Teraz miała Hugona.

Nóż upadł upuszczony wzdłuż nogi. Myślała o tym, że musi się skoncentrować, skończyć przygotowywać posiłek dla starca i niemowlęcia. A później zwieje. Ruszyła korytarzem pewniejszym krokiem.

Cień z ulgą przyjął pomruk miksera dochodzący z kuchni. Kilka minut wcześniej był nieostrożny. Niecierpliwy. Tym razem pielęgniarka już go nie usłyszy. Cień otworzył ostrożnie drzwi salonu, w którym się schował, tego, gdzie stał biały fortepian. Jego dłonie chwyciły poduszkę z pierzem leżącą na krześle. Jeszcze dwa kroki. Jedwabna tkanina przybrała kształt twarzy Léonce'a. Żadnego ruchu. Żadnej reakcji. To było takie proste. Może nawet zbyt proste. Ile trzeba czasu, żeby udusić człowieka w stanie wegetatywnym? Nie można polegać na jakimkolwiek znaku, na kapitulacji

wstrząsanego spazmami ciała, które nagle przestaje walczyć. Powinien odczekać minutę? Dwie? Trzy? Wieczność.

Cień nie liczył. Co robić? Czekał. Najdłużej, jak się dało.

Nagle stało się coś nie do pomyślenia. Coś niemożliwego zdaniem lekarzy. Ramię Léonce'a de Carville'a zeszywniało. Gwałtownie. Czy to ostatnia reakcja umierającego ciała? Desperacka obrona? Cień nie zwolnił nacisku. Lewym ramieniem Léonce'a targały spazmy. Zrzucił wszystko ze stolika nocnego. Szklanka i karafka z wodą stojące na haftowanej serwetce roztrzaskały się na podłodze.

Linda wrzasnęła!

Tym razem to nie były halucynacje, z sypialni dobiegł dźwięk tłuczonego szkła. Zwariowała? Po raz kolejny chwyciła nóż i popędziła do sypialni. Bez zastanowienia. Wpadła gwałtownie do środka.

U stóp leżało potłuczone szkło.

Woda.

Żadnego intruza.

Nikogo oprócz Léonce'a de Carville'a, leżącego z ciągle nienaturalnie otwartymi oczami. Oczami pełnymi przerażenia. Wykrzywiona, trupio blada twarz. Jak maska z filmu *Krzyk*.

Nie oddychał. Nie żył.

Linda umiała rozpoznać śmierć. Wyczuć ją. Pracowała ze starcami już prawie dziesięć lat.

Martwy.

Uduszony.

Poduszka wciąż leżała na łóżku, przy stopach.

W tamtej chwili Linda nie odczuła żadnego smutku z powodu tego człowieka pozbawionego życia leżącego przed nią. Żadnej litości dla tego kaleki, którego darzyła ciepłymi uczuciami. W tamtej chwili jedynym, co czuła, jedyną emocją przytłumiającą wszystkie inne, był strach.

Przerażenie, od którego sztywniał jej kark. Miała ochotę z krzykiem uciec z Willi Różanej.

Za wszelką cenę opuścić ten pałac wariatów.

2 października 1998, 15.22

W hali dworca Saint-Lazare Malvina de Carville uspokoiła się równie szybko, jak się zdenerwowała. Oddaliła się z narzekaniem na kolejkę do okienka. Olbrzym, z którym zadarła, odwrócił się, wzruszył ramionami i nikt już dłużej nie patrzył na tę malutką rozhisteryzowaną kobietkę.

Nikt oprócz Marca.

A więc Malvina de Carville go śledzi! Marc czuł, że wzbiera w nim nieodparty gniew. Ta wariatka postanowiła pojechać z nim pociągiem aż do Dieppe. Na razie miał przewagę, znajdował się w miejscu publicznym. Chronił go tłum. Mógł z tego korzystać...

Zerwał się z krzesła. Zeszyt Crédule'a Grand-Duca schował do plecaka. Szybko wcisnął plecak w ręce kelnera, bez czekania na odpowiedź.

– Proszę mi to przechować przez kilka minut... Wrócę. Proszę uważać, to cenne. Mam tam notatki z całego roku.

Zbity z tropu kelner przycisnął plecak do piersi. Marc już zdążył się oddalić. Malvina znajdowała się kilkadziesiąt metrów dalej. Wahała się, czy stać w ogromnej kolejce do kasy, skorzystać z kasy automatycznej, czy też wcale nie kupować biletu. Stała do niego tyłem. Okazja była wyśmienita.

Marc przycisnął się między przechodniami objuczonymi bagażami i rzucił się na nią. Czuł zwierzęcą potrzebę rozładowania napięcia. Położył dłoń na jej ramieniu. Dłoń zacisnęła się na wełnianym sweterku i niemal oderwała młodą kobietę od ziemi. Marc był od niej wyższy o trzydzieści centymetrów i ważył dwa razy tyle co ona. Odciągnął ją z dala od tłumu na kilka metrów, pod automat z napojami i kanapkami.

Malvina uśmiechnęła się, nie była wcale zaskoczona.

– Nie możesz beze mnie wytrzymać, Vitral?

Dłoń Marca zacisnęła się na sweterku jeszcze trochę mocniej.

– Co tu robisz?

– Zgadnij...

Dłoń Marca zbliżyła się do mikroskopijnej szyi Malviny. Skręciłby jej kark jedną ręką. Przycisnął się do niej jeszcze mocniej. Nikt nie zwracał na nich uwagi, pewnie brano ich za parę, która ściska się na pożegnanie.

– Śledziłaś mnie, co? Skąd wiedziałaś, że przyjadę na Saint-Lazare?

– Doprawdy trudno zgadnąć, doprawdy trudno... Dokąd mógł pobiec Vitral? Do spódnicy babuni, to jasne.

– OK, jesteś bardzo przebiegła. Ostrzegam, że jeśli cię zobaczę w tym samym pociągu, wyrzucę cię przez okno.

Marc zacisnął dłoń jeszcze mocniej. Napięty kołnierzyk zostawił na szyi Malviny czerwony ślad.

– Zrozumiałaś?

Malvina oddychała z coraz większym trudem. Mimo to na jej twarzy wciąż malował się uśmiezek połączony z grymasem. Marc zapytał ponownie, nie zwalniając uścisku:

– Zrozumiałaś?

Malvina zaczynała się dusić, a Marc zastanawiał się, jak daleko może się posunąć. Jak długo może ścisnąć to gardło. Malvina była idealnym workiem treningowym. W tym tłumie nie czuł żadnego z symptomów agorafobii, wręcz przeciwnie, czuł się wszechmocny, czuł ślełą nienawiść. Do czego go doprowadzi?

Nie miał już jednak czasu zadawać sobie tego pytania. Między nogami, w okolicach rozporka, poczuł lufę. Instynktownie rozluźnił uścisk.

– Stój przy mnie, Vitral – szepnęła mu do ucha Malvina. – Muszą nas brać za zakochanych, nie mogą zobaczyć mauzera, którego wycelowałam ci w jaja. Natychmiast zabieraj łapy z mojej szyi.

Wzrok Marca zagubił się w ogromie dworcowej hali. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Brat z młodszą siostrą. Przytulają się. W gruncie rzeczy była to prawie prawda. Malvina odezwała się piskliwym świszczącym tonem:

– Nie masz plecaka?

– Nie, jak widzisz. Chcesz, żebym się rozebrał do naga? Tu przy tych wszystkich ludziach?

Marc próbował zyskać na czasie. Niezręcznie. W duchu przeklął swoją głupotę. Wiedział przecież, że ta wariatka jest uzbrojona.

– Kazać ci się rozebrać? Czemu nie, Vitral. Jesteś nawet na swój sposób uroczy. Trochę wkurzający, ale słodki. A w dodatku musisz robić, co ci każę.

Marcowi na szyi zalśniły kropelki potu. Podczas gdy mauzer nadal tkwił mu w kroczu, Malvina zaczęła przesuwac lewą dłonią po jego nodze. Posuwała się do góry. Zadrżał. Lufa oddaliła się o kilka centymetrów, a palce Malwiny wsunęły się w rozporek jego dzinsów. Malvina przycisnęła się do niego jeszcze bardziej, dotykała go mocniej.

– Jeśli się ruszysz, strzelę.

Marc przypomniał sobie trupa Grand-Duca. Kulka prosto w serce. To nie był bluff. Ta wariatka mogła naprawdę zabić go na środku dworca, przy setkach świadków. Malvina drażniła się z nim dalej.

– Nie staje ci, Vitral? Nie podobam ci się?

Marc nie potrafił znaleźć wystarczająco sarkastycznej odpowiedzi. Palce dziewczyny oplatały go jak śliszkie kończyny gada. Malvina bawiła się jego przyrodzeniem. Robiła to niezręcznie, zbyt mocno, mimo że miała dłoń małej dziewczynki. Znowu odezwała się jadownicie:

– Nie staje ci? Nie dajesz rady? Może wolisz moją siostrę?

Marc oddychał głęboko, żeby się uspokoić. Miał ochotę postawić wszystko na jedną kartę, złapać tę dziwaczkę za ramiona i rzucić ją w powietrze. Może nie odważy się strzelić. Nie zrobił nic. Nic też nie powiedział.

– Straciłeś mowę, Vitral? Nie masz już nic do powiedzenia? Chyba nie powiesz, że przy niej też ci nie staje? Nie wahaj się, nie jestem zazdrosna. Wcale, widzisz? Wiem dobrze, że jest piękna, jest tak piękna, jak ja jestem brzydka. Razem łapiemy średnią. Piękna i bestia. Mała wredna pokraka!

Dłoń Malwiny zsunęła się i pieściła jądra Marca. A raczej je niezręcznie miętoszyła, jak gdyby pierwszy raz dotykała genitaliów mężczyzny.

– A jednak ci nie staje, co? Powiem ci, dlaczego nie jestem zazdrosna. Zgadniesz?

Malvina uczyła się szybko. Jej dziewczęce palce stały się delikatniejsze, ślizgały się po jego męskości, wsuwały się między nogi. Marc czuł się zbrukany, zgwałcony. Trudno, nie ma wyboru, musi ją odepchnąć. Rozwalić ją o ścianę. Malvina, która jakby czytała w jego myślach, przystawiła mu pistolet do jąder. Marc poczuł ból.

– Nie rozumiesz? Powiem ci, że owszem, jestem potworem, ale to nie wina Lyse-Rose. Ani trochę. To twoja wina. To wina Vitralów. To wy ukradliście mi siostrę... I co na to odpowiesz? Lekarze stwierdzili, że nie chcę dorosnąć. Kiedyś byłam równie ładna jak Lyse-Rose. Mogłam być tak samo ładna. Równie wysoka. Równie pociągająca. Ale nie chciałam dorosnąć! Vitralowie zabrali mi siostrę, dla której miałam stać się ładna. Czesalybyśmy się, malowałybyśmy, przebierały. Obie. Razem wybierałybyśmy ciuchy. Chłopaków też. Ale wszystko to mi ukradłeś, Vitral! Dla kogo miałabym być piękna, co? Dla kogo?

Marc oddychał z trudem. Malvina rozluźniła trochę uścisk na jego genitaliach. Szeptala mu do ucha:

– Pieprzyłeś się z moją siostrą, co? Powiedz.

Co powiedzieć? Czy Malvina naprawdę oczekiwała odpowiedzi? Marc drżał. Przechodnie potracali ich obojętnie. Nikt na tym dworcu nie uważał, że jest w nich coś dziwnego.

Dłonie dziewczyny wznowiły chorą zabawę.

– Ładniutki jesteś, Vitral. Pewnie nie możesz opędzić się od dziewczyn. Mnóstwa dziewczyn. Po co ci jeszcze moja siostra? Jesteś zboczeńcem, tak?

Lufa mauzera wbiła mu się w przyrodzenie jeszcze mocniej.

– Jak ci nie stanie, rozwalę cię, Vitral. Teraz Lyse-Rose wróci. Wróci do nas, do swojego domu. Koniec z tym obłędem. Ta mała dziwka Emilie zginęła w samolocie, nawet ty to przed chwilą powiedziałeś. Drugi raz nie odbierzesz mi siostrzyczki...

Trudno, nie zastanawiać się. Skoro nie mógł się ruszyć, mógł przynajmniej zareagować, zdobyć przewagę, sprowokować Malwinę. Zobaczy, co się stanie. Zmusił się, żeby mówić pewnym, ironicznym tonem:

– Szukasz siostry, tak?

Od dawna się nie odzywał. Zaskoczył Malwinę, która trochę rozluźniła uścisk dłoni.

– Uwierz mi, Malvino, nie brakuje ci młodszej siostry. Ani brata. Przy cieśninie Bosfor masz ich na pewno mnóstwo. Twój tata, Alexandre, zostawił po sobie w Turcji kilka pamiątek, zanim spłonął. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Twojemu tatusiowi stawał...

Lufa mauzera już go nie dotykała. Malvina straciła energię. Marc mówił dalej:

– Nie byłaś aż taka mała, na pewno sobie przypominasz te panienki, które twój tata pieprzył w Stambule. W swoim biurze. Wszędzie. Płaczącą matkę. Ona też się pieprzyła z facetami, którzy zastępowali jej twojego ojca, z niebieskookimi typkami...

Malvina malała w oczach. Marc ciągnął dalej:

– Możliwe, że Lyse-Rose nie jest nawet twoją siostrą!

Malvina wrzasnęła. Wszyscy zgromadzeni na dworcu Saint-Lazare odwrócili się. Mała dłoń gada ze wszystkich sił zacisnęła się nagle na genitaliach Marca.

Marc osunął się pod wpływem przeszywającego bólu. Mauzer zniknął w kieszeni Malviny, która

drobnymi kroczkami wmieszała się w tłum i zniknęła niczym igła w stogu siana.

Marc upadł na kolana. Milczał. Oddychał szybko. Potwornie cierpiał.

Przechodnie rzucili się w jego stronę, żeby mu pomóc.

Wreszcie.

2 października 1998, 16.13

Marc przechodził przez piąty wagon. Wciąż nie mógł znaleźć wolnego miejsca. Przeklinał te pociągi relacji Paryż – Rouen, szczególnie w piątkowe wieczory. Najwidoczniej sprzedawali dwa razy tyle biletów co miejsc siedzących.

Nadal bolało go krocze, choć ból powoli mijał. Przez kilkanaście minut siedział na podłodze w dworcowej hali. Zaniepokojeni przechodnie zaczepiali go:

– Wszystko w porządku? Przywaliała panu?

Byli trochę zaniepokojeni, ale też trochę rozbawieni. Jak zareagować na gościa zgiętego wpół, po tym jak dziewczyna, którą obściskował, przywaliała mu w jaja? Niełatwo się zdecydować, czy się zlitować, czy go wyśmiać.

Marc odebrał plecak od kelnera z baru i udał się na peron, z którego odjeżdżał pociąg do Rouen. W końcu wyświetlił się numer peronu, a Marc popędził najszybciej, jak mógł. Każdy krok sprawiał mu ból.

W siódmym wagonie odpuścił. Usiadł na schodach prowadzących na drugi poziom pociągu o nazwie Corail. Nie był jedyny. To samo zrobiła matka z trójką dzieci, urzędnik pochłonięty jakimś raportem i nastolatka. Pozycja nie należała do wygodnych, ale i tak wydawała się lepsza, niż gdyby stał. Bez wątplenia nie powinien siadać w przejściu, ale zważywszy na przepełnienie pociągu w piątkowy wieczór, Marc uważał, że żaden kontroler nie będzie miał śmiałości się przyczepić.

Plecak postawił sobie między nogami. Po raz kolejny wziął telefon do ręki. Żadnej wiadomości.

Wybrał numer Lylie.

Siedem sygnałów, jak zwykle.

– Lylie, mówi Marc! Proszę cię, odpowiedz! Gdzie jesteś? Odsłuchałem twoją ostatnią wiadomość. Słyszałem karetki w tle. Szaleję z niepokoju. Wydzwaniam do wszystkich szpitali i klinik w Paryżu. Zadzwoń. Proszę cię.

Marc zaklął. Przejrzał serię esemesów od Jennifer, w których wypisała mu telefony do szpitali i klinik. Jak dotąd zadzwonił do ponad dwudziestu. Do najważniejszych. Musiał dzwonić dalej. Dał sobie pół godziny, nim na nowo pogrążył się w lekturze zeszytu Grand-Duca.

Wszędzie to samo: „Dzień dobry pani. Czy trafiła do was dzisiaj młoda dziewczyna o nazwisku Emilie Vitral? Nie, nie wiem na jaki oddział... Może na izbę przyjęć...”.

Pociąg piekielnie hałasował. Marc z trudem mógł dosłyszeć, co odpowiadały mu sekretarki. W każdym razie ciągle to samo.

Żadnej Emilie Vitral w rejestrze.

Po dwudziestu paru minutach miał już obdzwonione kolejne dwadzieścia kilka szpitali. Nie był szczególnie grzeczny, ale za to wydajny. Zaczął już dzwonić do klinik prywatnych i specjalistycznych, a nawet gabinetów, choć wiedział, że tam na pewno nie znajdzie Lylie.

Wszystko to było beznadziejne. Gonił za czymś nieuchwytnym, w ten sposób nie uda mu się jej odnaleźć... Nie przed jutrem.

Musiał się zastanowić, znaleźć sposób, żeby dopasować wszystkie elementy układanki. Najpierw

chciał jednak skończyć lekturę zeszytu Grand-Duca. Miał dużo czasu do Dieppe. Zostało mu najwyżej trzydzieści stron.

Schował komórkę do kieszeni marynarki i wyjął kartki wyrwane z zeszytu, które trzymał w kieszeni spodni. Ostatnia strona była pusta. Marc wyjął z plecaka długopis i nerwowo wielkimi literami zapisał:

GDZIE JEST LYLIE?

Później pod spodem drobnym ciasnym pismem:

W szpitalu? Bezpowrotna podróż?

Podkreślił dwa ostatnie słowa i zapisał trzy pytania:

Samobójstwo?

Zabójstwo?

Zemsta?

Nie analizując dlaczego, Marc podkreślił słowo „zemsta”. Pisał dalej:

KTO ZABIŁ CREDULE'A GRAND-DUCA?

Małymi literami:

Malvina de Carville.

Na kilka długich sekund włożył długopis do ust, po czym dorzucił znak zapytania po nazwisku Malviny. Pociąg trząsał się, ale Marc był przyzwyczajony do pracy w pociągach i w metrze. Potrafił się zaczytać, a to najważniejsze.

Chwiejną ręką dopisał:

Dlaczego Grand-Duc trzy dni temu nie strzelił sobie w łeb?

Co odkrył tamtego dnia tuż przed północą?

Co nowego znalazł?

Czy dlatego go zamordowano?

WYPADEK MOJEGO DZIADKA.

BRAKUJĄCY SZCZEGÓŁ.

Długopis ślizgał się po papierze. Linijki pisma przypominały wzburzone morze.

Przeszukać mój pokój w Dieppe. Spokojnie. Przypomnieć sobie.

Marc przeczytał swoje notatki. Policzył znaki zapytania. Dwanaście niewiadomych! A to jeszcze

nie koniec. W kieszeni marynarki wyczuwał ciężar błękitnej koperty, którą powierzyła mu Mathilde de Carville. Długopis pisał dalej:

TEST DNA. ROZWIĄZANIE?

Otworzyć kopertę?

Dowiedzieć się czegoś, łamiąc tajemnicę?

Nie. To niczego nie przyspieszy. Marc wiedział, co zawiera koperta. Lylie nie jest jego siostrą. Lylie to młodsza siostra Malviny de Carville. Siostra tej wariatki. Wszystko na to wskazuje. Opowieść Grand-Duca... Pierścionek z jasnym szafirem, który dostała Lylie. Uczucia, które żywił do niej od zawsze...

POROZMAWIAĆ Z NICOLE

Marc dopisał kolejną niewiadomą dla równego rachunku. Piętnaście!

Pociąg miał przyjechać do Dieppe o osiemnastej dwadzieścia cztery.

Pozostało mu czekać jeszcze przez niecałe trzy godziny.

Pociąg zatrzymał się w Mantes-la-Jolie. Wsiadła jedna trzecia pasażerów. Miejsca siedzące się zwolniły. Marc wstał i usiadł w przedziale na dole przy oknie. W kroczu nadal czuł ból, ale gdy rozprostował nogi, ból zmalął. Malviny nie było obok, choć nie mógł mieć pewności, że ta stuknięta dziewczyna nie wsiadła do tego samego pociągu. Wmieszała się w tłum na dworcu Saint-Lazare... Marc odetchnął. Wyjął zeszyt Grand-Duca i na nowo pogрузzył się w lekturze.

Dziennik Crédule'a Grand-Duca

Maleńkie złote oczko, starannie zamknięte w plastikowej saszetce, wyruszyło do Rosny-sous-Bois, do najlepszego laboratorium kryminalistycznego we Francji razem z niedopałkami i puszkami zebranymi przeze mnie w chacie na Mont Terrible. Zostało mi kilka powiązań z policją. Miałem też środki, żeby zapłacić. Nie było w tym nic nielegalnego. To tylko drugie śledztwo, nieoficjalne, ale jednak śledztwo.

Wyniki uzyskałem tydzień później. Oczko znalezione w grobie przy chacie naprawdę było ze złota. Była to jedna jedyna pewna rzecz. Na podstawie tak maleńkiego elementu nie dało się stwierdzić, czy oczko było częścią dziecięcej bransoletki, łańcuszka, kolczyka czy wisiorka... A może psiego medalika adresowego! Niemożliwe było określić, czy oczko pochodziło z biżuterii od Tournaire'a, mającego siedzibę przy placu Vendôme, czy też od jakiegokolwiek innego złotnika z prowincji Franche-Comté.

Oczko złotej ozdoby... Kolejna komplikacja w sprawie. Dlaczego ten maleńki fragment bransoletki znalazł się w grobie, w tym maleńkim kamiennym mauzoleum? Element czego? Zakopany przez kogo?

Zagadka na całej linii!

Nagroda za bransoletkę w ogłoszeniu prasowym wzrosła do siedemdziesięciu pięciu tysięcy

franków. Suma zaczynała być absurdalna... szczególnie za bransoletkę, której do stanu idealnego brakowałoby jednego oczka. Tak czy inaczej była to suma czysto wirtualna. Już dawno straciłem nadzieję, że ktokolwiek się zgłosi.

A jednak... Wówczas tego nie wiedziałem, ale nitka, po której miałem dojść do kłębka, miała się wkrótce napiąć. A na końcu czekała ryba. Wielka ryba. „Wkrótce” to pojęcie względne. Rybka miała połknąć haczyk dwa lata później. Nie bądźcie jednak zbyt niecierpliwi, dojdę do tego. Niedługo. I tak nie macie co narzekać: niekończący się dla mnie rok dla was sprowadza się do kilku stron.

Kawałki petów i innych śmieci zebranych w chacie na Mont Terrible nie powiedziały nic więcej. Po siedmiu latach nie było się czemu dziwić. Od kiedy w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym był tam Georges Pelletier, przez chatę przewinęły się całe pokolenia dzikich lokatorów i niedzielnych zakochanych...

Wróciłem do punktu wyjścia, nie miałem wyboru, musiałem odnaleźć Georges’a Pelletiera. Poświęciłem całą noc, aby bezdomni z Besançon mnie zaakceptowali. Besançon by night, zabawne... Może się to wydawać prawie groteskowe, grupka pijaczków z prowincjonalnego miasta dobrze znana policji. Miejscowe moczymordy. Można powiedzieć, że nawet sympatyczni.

Nie dajcie się zwieść! Mogę wam powiedzieć, że bycie bezdomnym w Besançon budzi respekt. Wyobraźcie sobie, że zarówno latem, jak i zimą mieszkacie w kartonie w najzimniejszym mieście we Francji. Nie ma tam metra, a hale dworcowe na noc zamykają.

Spędziłem z nimi kilkanaście dni od stycznia do marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego i myślałem, że zdechnę z zimna. Wracałem rankiem przemarznięty na kość, a potem przez trzy godziny siedziałem w wannie z wrzątkiem. Teraz możecie mi wierzyć, że nawet po ośmiu latach nie kradłem pieniędzy pani de Carville.

Po co to wszystko? Oceńcie sami.

Byli towarzysze Georges’a Pelletiera z ulicy i od koki, kwiat nocnego życia Besançon, zdradzili mi, że Pelletier pojawił się po dwudziestym trzecim grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego. Zszedł z góry żywy, a samolot, który rozwalił mu się pod nosem, nie zrobił mu krzywdy. Nie miał na ręce bransoletki. Był jak zwykle milczący. Przebywał w Besançon pół roku, po czym znowu zaczął swoje wygłupy. Handel narkotykami. Kradzieże. Później zwiął przed glinami do Paryża. Albo przed bratem Augustinem. Jego koledzy z chodnika mówili, że Georges mniej obawiał się glin niż umoralniających gadek swojego braciszka.

Dodam jeszcze jeden ostatni szczegół. Georges Pelletier nie wrócił ze swoim psem. Dobra puenta... Jednak Augustin się mylił, pies nie był wcale malutki. To był owczarek belgijski. Zgodnie z wersją jego kumpli samiec w rozmiarze XXL. Niemożliwe, żeby zmieścił się w grobie przy chacie. Chyba że Georges pociąłby go na kawałki, ale po co miałby ciąć psa? Dlaczego nie miałby wykopać większej dziury? Kolejna cholerna zagadka związana z tym przeklętym grobem!

Pewnie nie macie wątpliwości, że nie zrezygnowałem. Nie pozostawało mi nic innego jak tylko odnaleźć ślad Georges’a w wielkim Paryżu, w dżungli dziwaków i bezdomnych. Również Nazim musiał się w to włączyć. Kolejne trzy miesiące poszukiwań w pełnym wymiarze godzin. Ogłoszenia

drobne. Wszelkiego rodzaju lobbing policji, komórki opieki społecznej, schronisk dla bezdomnych. Poszukiwania nocne na ulicach z latarką wycelowaną w zdjęcie Georges'a, na którym uśmiechał się przy choince u Augustina. Najbardziej aktualne zdjęcie, jakie udało się wygrzebać braciszкови...

Robota dla profesjonalisty. Drobiazgowa. Krok po kroku. Dokopywanie się do dna, zajęcie dla detektywa, które przecież lubiłem. Mathilde de Carville miała rację. Żeby znaleźć rozwiązanie, potrzeba było czasu i pieniędzy. Jednego i drugiego. Oszczędzę wam szczegółów. Z Nazimem udało nam się odtworzyć losy Georges'a. Trafiliśmy do niejakiego Pedro Ramosa. Spotkałem go w czerwcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego na bazarze du Trône przy karuzeli. Tak, dobrze przeczytaliście, przy karuzeli!

– Georges pracował dla mnie przez dwa sezony – wyjaśnił nam Pedro, kątem oka pilnując swojego interesu.

Rozhisteryzowane nastolatki płaciły pięć franków, żeby przewieźć tyłek przez dwie i pół minuty.

– Nie prosiłem go o CV – oznajmił Pedro z szerokim uśmiechem. – Rozumiałem, że chce się wyrwać. Nie był leniem. Do pracy przychodził czysty, a reszta mnie nie obchodziła.

– Kiedy widział go pan po raz ostatni? – zapytałem.

Pedro nawet się nie zastanawiał. Machnął tylko ręką do dziewczyny w różowej sukience, która pilnowała kasy. Jej twarz zmieniała kolor w neonowym oświetleniu.

– Jesienią osiemdziesiątego trzeciego. Dokładnie w połowie listopada. Po ostatnim festynie letnim rozstaliśmy się na peronie, z którego odjeżdżał pociąg do Rouen. Wszystko pochowaliśmy na zimę, i tyle. Do kolejnego sezonu. Pelletier wiedział, gdzie mnie znaleźć, ale za rok już się nie pojawił. Nie płakałem. Nie szukałem go. W przypadku osób pracujących sezonowo to częste. Dwa sezony to i tak dużo. Nie wrócił ani za rok, ani nigdy później.

Impas...

Popytałem Pedro Ramosa tak pro forma. Nie wyciągnąłem z niego nic innego. Ślad urywał się na Rouen. Jak by się zastanowić, niedaleko do Dieppe i Vitralów...

Jaki to miało związek ze sprawą? Pewnie żadnego.

W kolejnych miesiącach zmieniłem styl poszukiwań. Chodziłem na festyny. Szukałem w wesołych miasteczkach i tym podobnych bzdurach!

Nazimowi się to bardzo podobało, o wiele bardziej niż dworce... Czasem w weekendy chodził z Aylą. Mathilde de Carville płaciła za kolejki, karuzele i pociągi widma. Zanim znaleźliśmy coś nowego, minęło kilka lat. Kilka lat...

Od czasu do czasu, żeby zmienić sposób patrzenia, jeździłem do Dieppe.

2 października 1998, 16.19

– Mówię ci, że to ślub!

Rączki Judith trzymały się kurczowo ogrodzenia na podwórku przedszkola.

– No co ty, głupia! To nie ślub! Widzisz przecież, że wszyscy są ubrani na czarno. Ktoś umarł...

Pochód oddalał się powoli. Judith nie za bardzo wierzyła w to, co opowiadała jej koleżanka Sarah. Sarah zawsze coś wymyślała, żeby tylko zwrócić na siebie uwagę. Ulicą szli dobrze ubrani ludzie, szli równo jak do stołówki, wychodzili z kościoła, biły dzwony... To ślub, wiedziała, że to ślub. Widziała ich już mnóstwo. Przynajmniej dwa plus wszystkie, których nie pamiętała, bo była za mała.

– Nie wierzę ci, Sarah!

Sarah nerwowo szarpnęła ogrodzenie.

– Mówię ci przecież, że ktoś umarł! Wsadzą go do dziury w ziemi. Tak zrobili z moją babcią...

– Nie wierzę ci!

– No dobra, to gdzie w takim razie twoja panna młoda?

– Nie widziałyśmy jej, poszła przodem i tyle!

– Bzdury! Przede wszystkim dzisiaj mamy piątek! Nie bierze się ślubu w dzień, kiedy jest szkoła.

Ale jak ktoś umiera, to jest inaczej, można sobie wybrać dzień.

Judith musiała przyznać, że jej koleżanka ma rację. Poza tym dodała:

– No i na ślubie ludzie nie są tacy starzy. Widzisz, tamci są starzy.

– Nie, nie wszyscy!

– Właśnie, że tak...

– Nie! Popatrz tam. Proszę pani! Proszę pani!

Lylie została gwałtownie wyrwana ze swoich rozmyślań.

Z zaskoczeniem zauważyła dwie urocze pięciolatki, ubrane w wełniane płaszczyki w żywych kolorach i czapeczki wiązane pod szyją.

– Proszę pani, proszę pani, to ślub czy ktoś umarł?

Lylie mimowolnie się uśmiechnęła. Różnica między radosnymi okrzykami dobiegającymi z przedszkolnego podwórka a ciszą żałobnego pochodu była wstrząsająca. Lylie kucnęła, żeby znaleźć się na wysokości dziewczynek.

– To pogrzeb – odpowiedziała łagodnie.

– A widzisz! – Sarah triumfowała.

Judith się skrzywiła. Do ogrodzenia przyczepiły się jeszcze trzy inne dziewczynki. Lylie stojąca na chodniku stała się atrakcją dla całej klasy niczym kucyk za ogrodzeniem.

– Kto umarł? – pytała Sarah.

– Nie znam tej osoby – odparła Lylie. – Ja tylko tędy przechodziłam. Nie jestem z rodziny. Wyszłam z tego dużego białego budynku naprzeciwko. Muszę tam wrócić.

– Skoro jej nie znałaś, to dlaczego jesteś smutna? – dopytywała się Judith.

Lylie nie umiała ukryć zaskoczenia. Podeszła jeszcze bliżej. Na czerwonych policzkach dziewczynki skrzyły się malutkie piegi.

– A dlaczego uważasz, że jestem smutna?

– Masz czerwone oczy. Trzeba być bardzo, bardzo smutnym, żeby iść za kimś, kto umarł, kogo nie znasz, zamiast... no nie wiem... wrócić do sklepu, bawić się w parku albo oglądać film...

Piętnaście par oczu ledwo zauważalnych spod czapek i szalików przyglądało się Lylie uważnie.

– Zgadłaś – szepnęła Lylie Judith na ucho. – Ale nie mów nikomu. Jak się nazywasz?

– Judith. Judith Potier. Jestem w zerówce. A ty jak się nazywasz?

– Nie wiem...

Judith przygryzła wargi, jakby właśnie zadała niedyskretne pytanie. Przez chwilę się zastanawiała. Na pewno po raz pierwszy spotkała kogoś, kto nie miał imienia. Usiłowała uśmiechnąć się do nieznajomej tak jak wtedy, gdy próbowała pogodzić kłócące się koleżanki.

– To dlatego jesteś smutna?

2 października 1998, 16.39

Pociąg zatrzymał się w Vernon. Marc przyglądał się znikającym pasażerom. Żadnych powitań na peronie, wzruszających uścisków, okrzyków radości, tylko kilkadziesiąt osób wracających z pracy, spieszących się do domu. Gdy pociąg ruszył, peron już opustoszał, a samochody stojące na niewielkim parkingu po drugiej stronie torów tłoczyły się przy wyjeździe.

Słońce nie zniknęło jeszcze całkiem za wzgórzami nad Sekwaną. Marc zaciągnął zasłonkę, żeby słońce nie świeciło mu w oczy i mógł swobodnie czytać zapiski w zeszycie leżącym na szarej półeczce. Detektyw zbliżał się do zakończenia dziesięcioletniego śledztwa... Od tamtego czasu wspomnienia Marca nie były już tylko mglistymi obrazami, dalekim echem, ale tworzyły precyzyjną wersję wydarzeń. Wersję osobistą, którą miał skonfrontować z wersją Grand-Duca.

Dziennik Crédule'a Grand-Duca

We wrześniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku Emilie Vitral miała pójść do gimnazjum. Jak dotąd nie wspominałem o Emilie zbyt wiele. To jednak ważne, żebyście zrozumieli, jak Emilie dorastała, aż do czasu, gdy Nicole Vitral ustąpiła, a Mathilde de Carville zatriumfowała. Na swój sposób.

Emilie miała prawie jednaście lat...

Emilie zawsze mnie lubiła, tak mi się wydaje. Zresztą z wzajemnością. Pewnie chodziło o to, że byłem trochę mrukliwy, byłem samotnikiem. Dzieciaki lubią słuchać dorosłych, którzy mało mówią. Muszą zachowywać się podobnie do nich.

Dla Emilie byłem Crédule-la-Bascule.

Sądzę, że Marca też fascynowałem. Nie tylko ze względu na moją niewyczerpaną wiedzę o piłę nożnej. Pewnie robiło to na nim wrażenie, że byłem prywatnym detektywem. Byłem jak ktoś prosto z telewizji, jak MacGyver, Mike Hammer... Magnum, ale bez dobermanów, bmw zamiast ferrari... Trochę zmyślałem. Lubiłem to. Nicole bawiły moje historie. Kątem oka przyglądałem się dorastającej Emilie...

Po kryjomu miałem nadzieję, że dopatrzę się jakiegoś podobieństwa, że pewnego ranka upodobni się fizycznie do Vitralów lub de Carville'ów. Że zacnie uśmiechać się jak Marc albo będzie miała tiki starego de Carville'a. Na co czekałem? Na cokolwiek, co by mnie upewniło.

Nic. Emilie bliżej było do Vitralów. Miała ich oczy, ale nic więcej...

Jeśli chodzi o resztę, nic się nie zgadzało. Nicole Vitral robiła wszystko, żeby to ukryć, przynajmniej na początku, ale i tak rzucało się to w oczy. Na ulicy Pocholle Emilie sprawiała wrażenie, jakby wypadła ze statku kosmicznego, a nie z samolotu. Uwielbiała szkołę, była najlepsza w klasie, gdy tymczasem Marc ledwie się prześlizgiwał do następnej klasy. Uczył się z rozsądku, grzecznie, ale za bardzo tego nie lubił. Emilie kochała muzykę, sztukę, książki. Pochłaniała wszystko. U Vitralów były płyty, książki, obrazki, ale w skromnej ilości, raczej z konieczności niż z potrzeby. Tak jak inni mają w garażu rower albo bule. Na wszelki wypadek...

Emilie była inna i nie dało się tego ukryć. Była urocza, uważna i uwielbiana, ale dusiła się.

Rzucała się na bibliowóz, który w każdy wtorek wieczorem przyjeżdżał na dworzec w Dieppe. Zamęczała pytaniami zmieszana babcie. Zaczęło się od bajek o kotach, a później przyszła kolej na resztę. Roald Dahl. Igor Strawieński. Rudyard Kipling. Sergiusz Prokofiew. Tak wiele trudnych nazwisk, których Nicole nigdy wcześniej nie słyszała.

Osoba tak wyjątkowa czasem się zdarza w rodzinie. Tak sobie powtarzałem, żeby przekonać samego siebie. Kwiat pośród chwastów. Samouk z republikańskiej szkoły. Amerykański sen w wersji francuskiej. Młoda zdolna, która samodzielnie wspina się po kolejnych szczeblach bez oparcia, bez wskazówek i zdobywa dyplom szkoły wyższej. Osoba, która pracuje ze wszystkich sił, żeby wybić się ponad skromne pochodzenie. Pochodzi z tak daleka, z nizin społecznych i jest dumna ze swoich korzeni. To „więzienie pochodzeniowe” na zawsze zaznacza różnicę między nią a dziećmi osób wysoko postawionych, dobrze urodzonymi z najbogatszych paryskich dzielnic, klonami z najlepszych liceów. Ze swojego domu rodzinnego czerpią soki, dzięki którym rosną wyżej. Jak sztandar. Taki ktoś staje się chorążym dla swoich. Swoich, którzy są jeszcze bardziej dumni z niego. Ten, któremu się udało. Czy to dlatego biedacy mają tyle dzieci? Żeby zwielokrotnić szansę trafienia szczęśliwego numeru?

Dobrze, koniec z moim kiepskim wywodem na temat społecznego determinizmu. Chciałem wam tylko wyjaśnić, jak Emilie rozkwitała w dzielnicy Pollet. Dziewczynka, która miała zajść daleko... Chroniona przez swoich. Oczywiście też przez Nicole. Musicie jednak wyobrazić sobie, jakie wątpliwości podkopywały jej podziw.

Czy Nicole ma prawo być dumna z wnuczki? Czy to jej wnuczka? Emilie miała wówczas siedem lat, ale dziesięć lat później cień dramatu kładł się na nich nadal. Jeśli mała to Emilie Vitral, jej wnuczka, jej ciało i krew, wówczas owszem, cóż za szczęście, cóż za duma, cóż za cud takie dziecko ze wspaniałymi widokami na przyszłość. Ale jeśli mała to Lyse-Rose de Carville? Jeśli przez pomyłkę została oddzielona od swoich, jeśli zabłąkała się w obce środowisko... Została do niego przywiązana...

Mówiąc obiektywnie, gdy patrzyłem na Emilie, która rosła w dzielnicy rybaków z Dieppe, nie mogłem się powstrzymać, żeby nie myśleć, że jest podobna do E.T., który wylądował w USA, do Tarzana zapomnianego w dżungli, do Guliwera wśród Liliputów.

„To normalne, mawiała czasem do mnie Nicole. Tak jest w przypadku dzieci wychowywanych tylko przez babcie. Musi być różnica”.

Miała rację. Częściowo.

W wieku jedenastu lat, pod koniec szkoły podstawowej, Emilie zaczęła mieć wymagania. To znaczy nie, Emilie nie wymagała niczego. Powiedziała tylko, że chciałaby posunąć się naprzód. Przejść na drugą stronę falochronu. Odkryć inne miejsca. Również inne rozrywki. Przede wszystkim muzykę. Dalej uczyć się gry na fortepianie. Nie tylko dlatego że miała talent, czy też dlatego, że popychali ją do tego nauczyciele. Nie. Po prostu miała na to ochotę. Nawet więcej niż ochotę. Potrzebę.

Sprawa była prosta. Emilie nie mogła dalej robić postępów, jeśli nie dostałaby własnego

pianina. Musiała ćwiczyć codziennie po kilka godzin. Emilie na swój sposób potrafiła być przekonująca. Obmyśliła, jak je ustawić w salonie. Zmieściłoby się, gdyby przesunęli telewizor trochę w kąt, a kanapę w bok. Zmieściłoby się i ładnie by wyglądało, można by nawet na nim postawić wazon i kryształową popielniczkę z doliny Bresle.

Pozostawała kwestia ceny.

Trzydzieści tysięcy franków, po przecenie dwadzieścia.

Nicole Vitral usłyszała swoje własne słowa:

– Pianino! Moje małeństwo, mam problem, żeby cię ubrać. Musiałam pracować we wszystkie niedziele w maju i czerwcu, żebyśmy mogli pojechać na tydzień do Saint-Quay, a nadal nie wiem, jak zapłacę za twoją wyprawkę do gimnazjum. Masz lekcje muzyki. Od dziesięciu lat nie są za darmo. Moja malutka, pianino...

Emilie nie kłóciła się. Zrozumiała. W wieku jedenastu lat była bardzo dojrzała. Przynajmniej sprawiała takie wrażenie, że rozumiała. Schowała się w swoim pokoju. W pokoju, który był też pokojem Marca. Nicole usłyszała przez ścianę dźwięki fletu. Jedyne instrumentu, jaki miała Emilie. Był to plastikowy flet kupiony dla Marca do gimnazjum. Nicole rozpoznała popularną wówczas melodię, piosenkę Goldmana *Leidenstadt*.

Serce pękło jej na pół.

Kiedy Marc wrócił ze stadionu, zastał babcię zapłakaną, skuloną na kanapie. Marc miał wtedy trzynaście lat. Nie wiedział, jak zareagować. Słyszał tylko, że Emilie gra na flecie. Melodia była ładna, ale też smutna.

Nicole kazała Marcowi usiąść na kanapie, wzięła go w ramiona i mocno przytuliła.

– Nie możesz być zazdrosny o Emilie. Rozumiesz? Nigdy.

To jasne, pomyślał Marc. Jak mogłoby być inaczej?

– Musisz nadal być dla niej taki jak dotąd, Emilie zawsze będzie twoją młodszą siostrą...

Oczywiście. Dokąd zmierzała babcia?

– Nawet jeśli będę was traktowała inaczej. Jesteś już dużym chłopcem, Marc. Musisz zrozumieć. Traktować inaczej. W jakim sensie?

Nicole wstała powoli. Marc też. Na jej twarzy na nowo zagościł uśmiech. Sztuczny. Dała Marcowi znak, żeby chwycił kanapę z drugiej strony.

– Pomóż mi ją przesunąć, Marc. Nie jestem pewna, czy zmieści się tu pianino.

Zakup nowego pianina marki Hartmann-Milonga w największym specjalistycznym sklepie w Rouen uszczknął niewiele z konta bankowego Emilie.

Emilie miała rację, zmieściło się między kanapą a telewizorem. Jak dobrze pokombinowali.

Później wszystko potoczyło się swoim rytmem. Na dobry początek staże w Paryżu. Kilka dni, później dłuższe pobyty. Krótkie wyjazdy, koncerty, zagraniczne trasy. Londyn, Amsterdam, Praga... Kupno płyt. Książek. Dlaczego pozbawiać Emilie książek? Później ubrania. Dlaczego pozbawiać ją tego, co modne? To ludzki odruch. Emilie zasługiwała na wszystko, co najlepsze. Nicole czuła, że nie ma prawa lekceważyć jakiegokolwiek aspektu dotyczącego jej przyszłości, niczego zaniedbać. Na wszelki wypadek...

Rozumiecie już teraz strategię Mathilde de Carville. Od samego początku miała świadomość, co robi. Konto bankowe Emilie było jak jajo węża, który się wykluł, rósł pomału przez lata w domu Vitralów, aż w końcu był gotowy, żeby ich udusić.

Przepaść między Emilie a Markiem rosła. Przepaść materialna. Jeśli chodzi o resztę, wróć do tego później... Emilie mogła poprosić o cokolwiek, od najbliższego kaprysu po najkosztowniejszy prezent. Dla niej nic nie było zbyt drogie. Marc musiał zadowolić się zamiennikami. Ubrania po sąsiedzie. Rower po dziadku. Buty do rugby po starszych kolegach.

Na początku Emilie naciskała, chciała płacić także za Marca. Babcia jej jednak wytłumaczyła, że pieniądze należą tylko do niej. Nicole Vitral nie ustąpiła. Była to dla niej sprawa honoru, układ moralny z Mathilde de Carville.

Czerwona linia, której nie mogła przekroczyć.

Ani centyma de Carville'ów dla jej wnuka.

Może komuś się wydawać dziwne, że się tym z wami dzielę. Czy ktoś może jednak powiedzieć, jak zareagowałby na miejscu Nicole Vitral? Tak, powtórzę to, Mathilde de Carville wiedziała, co robi tamtego wieczoru w maju tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku, gdy przyszła i podarowała Nicole tego uspiętego węża.

Pierścionek z jasnym szafirem oddała w depozyt.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom z tej historii płynie pewien morał. W miarę moich możliwości udało mi się stwierdzić, że wąż poniósł porażkę. Marc nie był zazdrosny. Nigdy. Posłuchał swojej babci, ale też taki miał charakter. Cieszył się szczęściem Emilie. Jeszcze do tego wróć... Opowiem w szczegółach, obiecuję.

Innym cudem, może jeszcze ciekawszym, w całym tym zalewie słodczy, wspaniałych prezentów i kolorowego życia, było to, że sama Emilie nie zmieniła się w lepki słodki cukierek... Nie zmieniła się w panienkę przyglądającą się ze zdumieniem zwykłym ludziom zza firanek swojego powozu. Pozostała żywa, prostolinijna, nie gardziła zagraconym salonem, przyklejonymi do siebie domkami z ulicy Pocholle, szarym morzem ani zbyt twardymi kamieniami pod bosymi stopami.

Emilie rosła. Nadal miała błękitne oczy Vitralów i wyrafinowany gust de Carville'ów. Uprzejmość Vitralów i pieniądze de Carville'ów.

I jak się w tym połapać?

* * *

Marc podniósł głowę, wzruszony do łez.

Pociąg pędzący z pełną prędkością przejeżdżał przez stawy Poses. Barki z piaskiem płynęły w górę Sekwany. Marcowi wszystko stawało przed oczami. Flet. Kanapa. Pianino. Emilie grająca Chopina, Berlioza, Debussy'ego. Nie znał się na tym, ale uważał, że to wzruszające. Emilie ze związanymi włosami, wyprostowana, palce w ciągłym ruchu. Teraz pianino stało milczące. Zakurzone. Nadal w salonie w Dieppe. Marc pamiętał stroje Lylie. Jak mógłby zapomnieć? Jej sukienki, spódnice. Z biegiem lat coraz piękniejsze. Kupowane dla niej, tylko dla niej.

Jak mógłby być zazdrosny?

Nikt tego nie rozumiał. Ani Grand-Duc, ani Nicole, ani żaden inny dorosły. A już najmniej

Mathilde de Carville.

Pociąg zatrzymał się w Val-de-Reuil na dworcu w środku pól, z dala od nowo powstałego miasta. Marc się zawahał. Do Rouen zostało zaledwie piętnaście minut. Wyjął telefon komórkowy, mógł spróbować zadzwonić do kilku kolejnych klinik. Tak dla sportu.. Wybrał trzy numery. Bez sukcesu. Nikt o nazwisku Emilie Vitral nie został przyjęty. Trudno. Powoli tracił przekonanie. Chciał przede wszystkim skończyć czytać zeszyt Grand-Duca.

Detektyw opowiadał jego życie.

Coś na kształt pamiętnika spisanego przez kogoś obcego.

2 października 1998, 16.48

Nicole Vitral szła powoli w stronę targu rybnego na końcu portu w Dieppe. Dotarła do stoiska.

– Gilbertcie, co tam dzisiaj masz? Nie za drogo?

Sprzedawca odparł bez wahania:

– Sole. Prosto z połowu nocnego. Zapakować ci jedną?

– Dwie!

Oko Gilberta, patrząc z profilu, otworzyło się szerzej jak oczy martwych ryb.

– Dwie? Ktoś będzie u ciebie na obiedzie? Emilie? Marc? A może kochanek?

Idiota!

– Marc, kretynie! – uściśliła Nicole.

– OK, dam ci niezłą sztukę. Co u Marca?

Nicole odpowiedziała wymijająco. Kilka banałów. Była pogrążona w myślach. Zapłaciła.

– Dziękuję, Gilbertcie. W tym tygodniu podrzucę ci ulotki z merostwa w sprawie portu. Wszystko jest tam napisane.

Sprzedawca ryb westchnął.

– Znowu te ich głupoty. Ci z merostwa lepiej by zrobili, gdyby zajęli się handlarzami, a nie tymi z portu. Uwierz mi, my zdechniemy pierwsi, nawet przed rybakami...

Nicole już się oddaliła. Gilbert Letondeur był najlepszym rybakim w Dieppe, ale również głupkiem opowiadającym się po stronie armatorów oraz Izby Handlu i Przemysłu Dieppe. Jednym słowem, typek, który głosował na prawicę... Nicole przyznawała, że jej spojrzenie na sprawy było nieco ograniczone, ale tak właśnie widziała Dieppe. Dwa przeciwne obozy. Mimo że jej ciężarówka stała przy plaży, nigdy nie opowiedziała się za obozem handlarzy.

Zdrajczyni!

Podwójna zdrajczyni. Jadła też ryby z przeciwnego obozu.

Nicole udała się nad brzeg morza. Lubiła, gdy nie padało. Lubiła regularnie wiejący wiatr. Lubiła też gwar na nadbrzeżnych trawnikach. Właśnie kończono ustawiać w rzędzie kilkadziesiąt małych, białych, jednakowych namiotów i przystrajając je kolorowymi flagami państw z całego świata. Co dwa lata Dieppe przez dziesięć dni żyło międzynarodowym festiwalem latawców.

Po niebie fruwało już mnóstwo kolorowych rombów, unosiły się ogromne koła, a trójkąty kreśliły serpentyny. Bardzo wysoko na niebie widać było chińskiego smoka, maskę inkaską, ogromnego niebieskiego kota, obręcz, w której obracała się róża wiatrów. Pełno wszelkich kolorowych konstelacji.

Nicole Vitral poszła dalej z głową w chmurach, przepełniona nostalgią. Nie mogła nie myśleć o poprzednich edycjach festiwalu. Dieppe było pierwszym nadmorskim kurortem pod koniec lat siedemdziesiątych, w którym zainteresowano się festiwalem latawców. Później podobne imprezy zaczęto organizować na wszystkich plażach Europy, gdzie wieją wiatry północne.

Pierwsze dwa festiwale Nicole przeżyła z Pierre'em, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym i osiemdziesiątym drugim. Dwa razy po dziesięć dni pełnych wspomnień. Dni świątecznych, a także

lukratywnych. Ich obwoźna smażalnia przy plaży była w tamtych czasach prawdziwą instytucją. Podczas pierwszego festiwalu ich synowa Stéphanie na dniach miała rodzić. Mimo to przez cały weekend pomagała im, jak mogła. Pierre i Pascal, teść i mąż, zaniepokojeni, usiłowali przekonać ją, żeby siedziała na krześle, że to nie jest odpowiedni moment na poród! Emilie urodziła się kilka dni później, trzydziestego września, jakby zdecydowała się poczekać...

Potem wydarzyła się katastrofa airbusa... Po niej nastąpił proces. Pierre Vitral uczestniczył w kolejnym festiwalu w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim, zanim siódmego listopada zasnął w Tréport, żeby nigdy się już nie obudzić. Festiwale odmierzały życie Nicole niczym makabryczny symbol: życie i śmierć dzieliła granica cienka jak sznurek latawca targanego przez wiatr. Nicole nadal jednak na dziesięć festiwalowych dni jeździła ciężarówką nad morze, choć nie było przy niej Pierre'a, który by jej pomógł. Nie miała wyboru, festiwal raz na dwa lata przynosił jej największe dochody.

Marc i Emilie byli zbyt mali, żeby to pamiętać. Dla nich festiwal to tylko gigantyczny karnawał, na który czekali tygodniami. Marc chciał zaimponować młodszej siostrze i dobrze sobie radził ze sznurkami. Sąsiad podarował mu złoty-czerwony latawiec w kształcie wielkiego owada z długim ogonem ze wstążek i skrzydłami z kolorowej przezroczystej folii. Marc oczywiście nazwał swój latawiec Ważka; nadal jeszcze czasem niektórzy tak nazywali Emilie. Idioci, na przykład handlarze.

Emilie wtapiała się w tłum. Biegała od stoiska do stoiska, przemierzając wszystkie rejony świata. Peru, Chiny, Etiopia, Mongolia, Ekwador, Jemen, Quebec. Latawiec był jak nić łącząca wszystkie dzieci z całej planety, potrzebował tylko wiatru, niczego więcej.

Sztuka osvajania nieba dla śmiechu.

Coraz wyżej. Bez pasażerów, bez podróżnych.

Bez katastrofy.

Po roku osiemdziesiątym Nicole już nigdy nie spoglądała w niebo tak jak wcześniej. Mała Emilie pokonywała kilometry. Japonia, Mali, Kolumbia. Z roziskrzonymi oczami biegiem wracała do Citroëna. Na jej trawniku spotykały się wszystkie plemiona świata.

„Widziałaś, babciu? Widziałaś?”.

Nicole odeszła z plaży roztrzęsiona. W tym roku Emilie po raz pierwszy opuści festiwal latawców w Dieppe.

Weszła do piekarni. Obawiała się podobnego cyrku, jaki zafundował jej sprzedawca ryb. I słusznie.

– Bagietkę, Nicole?

– Bagietkę. I eklerkę.

– Naprawdę? Eklerkę? Marc wrócił?

Eklerka była ulubionym ciastkiem Marca. Przynajmniej gdy miał dziesięć lat. Nicole wiedziała, że jest śmieszna, gdy chce zaspokoić dziecięce zachcianki dorosłego faceta, ale sprawiało jej to przyjemność, zresztą był dobrym chłopakiem.

Nicole spojrzała na zegarek. Wnuczek przyjedzie za dwie godziny. Powoli przeszła przez port

w stronę mostu przeładunkowego oddzielającego dzielnicę Pollet od reszty Dieppe, wyspy w sercu miasta.

Chcąc nie chcąc, pomyślała o rozmowie telefonicznej, którą odbyła z Markiem. Niebieska koperta od Mathilde de Carville. Test DNA, który powierzyła jej wnukowi. Jednak zakazała mu otwierania tego prezentu dla jego babci.

Suka!

Nicole musiała się zatrzymać. Most przeładunkowy zaczął się podnosić, żeby pozwolić przepłynąć niedużej nigeryjskiej barce. Przyływały jeszcze czasem. Banany? Ananasy? Egzotyczne drewno?

Co ona sobie wyobraża ta de Carville? Że ma monopol na jasnowidzenie? Że tylko ona pomyślała o teście DNA? Że Crédule Grand-Duc pracował tylko dla niej, skoro mu płaciła? Że zdobył kroplę krwi Emilie tak po prostu, a jej babcia tego nie zauważyła?

Przed mostem kolejka samochodów się wydłużała. Nicole zakaszła od zapachu wody morskiej i gazu. Nie wszystko zrozumiała ta de Carville! Grand Duc nie był aż takim draniem. Grał na dwa fronty. Zamówił dwa wyniki testu DNA. Dwie niebieskie koperty. Po jednej dla każdej babci.

Nicole odwróciła głowę. Ogromny latawiec, chiński smok, wzlatywał nad budynkami stojącymi najbliżej morza. Uśmiechnęła się. W drugiej szufladzie swojej komody, zamykanej na klucz, schowała błękitną kopertę, którą dostała od Grand-Duca. Wynik porównania jej krwi z krwią Emilie będzie taki sam jak ten, który dostała Mathilde de Carville. Wynik, który w kopercie dostarczy jej posłusznie Marc.

Most został w końcu opuszczony. Kierowcy się niecierpliwi. Nicole odkaslnęła po raz kolejny.

Musi porozmawiać z Markiem. Oczywiście, że musi. Wieczorem. Może jeszcze uratować życie. Później będzie za późno. Powinna była zrobić to wcześniej. Łatwo powiedzieć.

Taki wynik.

Ulga?

Może...

O ile zaakceptuje się stratę wszystkiego.

2 października 1998, 17.11

Pociąg Corail przejechał wzdłuż wybrzeża Deux-Amants, nie zwalniając, przekroczył most kolejowy Manoir-sur-Seine i minął dworzec Pont-de-l'Arche. Marc nawet nie poczuł chłodu szyby na swoim czole. Zapalił tylko lampkę nad głową.

Dziennik Crédule'a Grand-Duca

Początki lat dziewięćdziesiątych były bezowocne; następujące po sobie pobyty w Turcji, w Kanadzie, na Złotym Rogu i w Chicoutimi, oszczędzę wam nostalgicznych kartek pocztowych. No i oczywiście były też moje coroczne pielgrzymki na Mont Terrible. Nazim całymi dniami siedział na czatach przy chacie. Na nic!

Zupełnie nic nowego. Tak się zaczęło moje załamanie. Przynajmniej tak bym to określił, gdybym miał wskazać jakąś datę między tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym a tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim. Koniec iluzji.

Impas nastąpił także w sprawie Georges'a Pelletiera. Bezdomny wyparował. Porwało go nie wiem jakie wesołe miasteczko, jakaś karuzela albo pociąg widmo. Nagroda za bransoletkę już nie wzrastała. Stała na siedemdziesięciu pięciu tysiącach franków.

Po co oferować więcej? Żyłem sobie niemal jak na królewskiej emeryturze.

Nie pracowałem nad sprawą już od prawie trzech tygodni, gdy nagle otrzymałem telefon od Zorana Radjica. Ogłoszenia o nagrodzie w wysokości siedemdziesięciu pięciu tysięcy franków za bransoletkę nadal jednak co tydzień pojawiały się w kilkunastu gazetach, a opłacane były automatycznymi przelewami.

– Crédule Grand-Duc?

– Tak...

– Zoran Radjic. Czytałem pańskie ogłoszenie dotyczące nagrody za złotą zagubioną bransoletkę. Myślę, że mam dla pana pewne informacje.

Wyobrażacie sobie moją reakcję? Po doświadczeniach z tureckim oszustem kilka lat wcześniej, w innym życiu, stałem się nieufny.

– Wie pan, gdzie jest teraz bransoletka?

– Tak... Tak sądzę...

Mimo wszystko poczułem podniecenie. Crédule-Naiwniak. Niereformowalny!

Dwie godziny później spotkaliśmy się w barze l'Espadon przy ulicy Gaya-Lussaca. Obaj zamówiliśmy po piwie. Zoran Radjic wyglądał, wypisz wymaluj, jak drobny cwaniaczek, miejscowy oszust z diablem za skórą. Wyglądał na przebiegłego lisa, wzrok miał rozbiegany, włosy zaczesane do tyłu, przylizane. Zastanawiające, jak w ogóle udawało mu się cokolwiek załatwić.

Czy to możliwe, żeby taki typek dostarczył dowód, jeden jedyny przydatny dowód? Bransoletkę znaną na Mont Terrible dwanaście lat wcześniej... Wszystko inne nie było nic warte – kolor oczu, upodobanie do gry na pianinie, grób obok chaty... Wystarczyłoby mi, żebym dostał w swoje ręce tę przeklętą ozdobę, a odniósłbym zwycięstwo na całej linii: cudownie ocalona wyrzucona

z samolotu dziewczynka nazywałaby się Lyse-Rose de Carville.

– Słucham – zacząłem, nie chcąc się z niczym zdradzić.

– Wczoraj przeczytałem pańskie ogłoszenie. Nieczęsto czytuję gazety. Coś zaskoczyło...

Zoran bawił się swoim sygnetem. Znajdowały się na nim inicjały ZR. Sygnet był srebrny. Kto jeszcze nosi takie rzeczy?

– I...?

Niech sam się wypowie.

– Zaczęło się dawno. Prawie dziesięć lat temu. O ile pamiętam, było to w osiemdziesiątym trzecim albo osiemdziesiątym czwartym. Bransoletkę pokazał mi jakiś nędzny typek. Nie będę ukrywał. W tamtym czasie pomagałem trochę ludziom tkwiącym w gównie.

Trafił mi się dobry samarytanin...

– Dobra, tego też nie będę przed panem ukrywał, rozprowadzałem trochę narkotyki. Cóż, rozprowadzałem... handlowałem, i tyle. Ten facet naprawdę był na głodzie. Znałem go trochę. Od dłuższego czasu kręcił się po dzielnicy. Nie miał już pieniędzy, nie miał nic. Chciał ode mnie działkę w zamian za biżuterię. Miał bransoletkę. Mówił, że złota. Niebanalne, co?

Samarytanin znowu zaczął się bawić sygnetem jak gdyby nigdy nic. Jakby nie zdawał sobie sprawy, że gra mi na nerwach. Albo może był przebiegły, może był zawodowcem i właśnie mnie w coś wrabiał? Może tak bardzo wyglądał na cwaniaczka, niezbyt inteligentnego, charakterystycznego na pierwszy rzut oka, że ludzie przestawali się go obawiać?

Nie wpaść w pułapkę, jeśli to była pułapka. Niech się jeszcze odsłoni.

– Pewnie interesuje pana nazwisko, co?

Sprowokować go.

– Nazwisko znam. Szukam dowodów. Szukam bransoletki. Siedemdziesiąt pięć tysięcy franków za bransoletkę. Co do reszty, możemy negocjować.

Sygnet zniknął w prawej dłoni samarytanina. Mocno zacisnął pięść.

– OK, wchodzę w to. Może wcale nie mówimy o tym samym facecie. Ile za nazwisko?

Banko. Sygnet nagle pojawił się w lewej dłoni Jugosłowianina. Jak ten oszołom to robił?

– Dziesięć tysięcy franków – odpowiedziałem. – Za nazwisko. Jeśli będzie właściwe...

– Nie wchodzę. Skąd mam wiedzieć, że mnie nie oszukasz? Powiem ci nazwisko, ty stwierdzisz, że nie o to chodzi, i znikniesz. Nie jestem idiotą.

Nie taki głupi ten Jugol.

– OK – odparłem. – Masz długopis?

– Tak...

– Napiszę nazwisko na podkładce do piwa. Ty zrobisz tak samo. Jeśli nazwisko będzie się zgadzało, masz dziesięć tysięcy franków. I rozmawiamy dalej...

Samarytanin ucieszył się jak dzieciak. Sygnet pojawił się w prawej dłoni.

– Wchodzę. Uwielbiam takie zagrywki.

Obaj pochyliliśmy się nad podkładkami do piwa, zasłaniając to, co pisaliśmy, lewą ręką. Gówniarze, którzy oszukują na maturze.

W tej rozgrywce stawką było jednak dziesięć tysięcy franków.

Podkładki podnieśliśmy jednocześnie.

Georges Pelletier.

Na obu.

Od szyi po sam dół kręgosłupa przebiegł mi dreszcz. Mówiliśmy o tym samym człowieku! To mój Georges Pelletier zaoferował bransoletkę temu cwaniaczkowi. Wszystko trzymało się kupy.

Uważaj, Crédule! – szepnął mi cichy wewnętrzny głosik. Nie daj się ponieść. Przez pięć lat poruszyłeś niebo i ziemię, rozkopałeś najgorsze błoto Paryża, żeby odnaleźć Georges’a Pelletiera. Po ulicy plotki rozchodzą się szybko. Najmniej zorientowany kapuś w stolicy zna nazwisko typa, którego szukasz. Połączenie tego nazwiska z ogłoszeniem o siedemdziesięciu pięciu tysiącach franków jest w zasięgu możliwości pierwszego lepszego dobrego samarytanina...

– OK – odezwałem się. – Masz dziesięć tysięcy. Wszystko jest legalne, zapewniam cię. Wypiszę ci czek... Dam ci nawet na pamiątkę moją wizytówkę. Dedykuję ją pamięci Georges’a...

Facet lekko się skrzywił. Czek? Bez wątplenia nie był przyzwyczajony do tego sposobu regulowania rachunków.

– Widziałeś bransoletkę?

– Taaa... Ile za tę informację?

– Dziesięć tysięcy, jeśli się opłaci – odparłem. – Znasz szczegóły?

– Zobaczymy. Co chcesz wiedzieć?

Ten typek bawiący się sygnetem (teraz w lewej ręce) miał chyba trochę zdolności magika, ale to ja trzymałem w ręce ostatnią kartę. Ja także przez lata nauczyłem się przebiegłości.

– Jeśli naprawdę widziałeś bransoletkę, tę właściwą, na pewno domyślasz się, co chcę wiedzieć!

Jugol spojrział na mnie z krzywym uśmiechem. Nie potrafiłem stwierdzić, czy blefował, czy mówił prawdę. Albo się ze mnie nabijał, zastawił na mnie pułapkę, albo był jedynym, najważniejszym świadkiem w moim dochodzeniu.

– Kolejne dziesięć tysięcy, mówisz? Za dowód? Mogę ci ufać?

– Jestem uczciwy. Jeśli szukałeś na mój temat informacji, na pewno cię o tym zapewniono...

Dłonie samarytanina stały się ruchliwe. Stracił zręczność. Sygnet upadł na stół. Facet zaczął się zachowywać nerwowo. Albo chciał tylko, żebym sądził, że się zdenerwował, spryciarz... Chwyciłem podkładkę pod piwo i długopis. Napisałem *Lise-Rose. 27 września 1980.*

Napisałem dokładnie to, co w ogłoszeniu.

Podąłem mu podkładkę.

– Potwierdzasz, że to właśnie było wygrawerowane na bransoletce?

Jugol zatarł ręce. Sygnet wrócił na początkowe miejsce, Radjic wsunął go na palec.

– Wybacz, co do daty urodzin, nie mam pojęcia. To było lata temu, a i tak nie pamiętam, czy zwróciłem na nią uwagę. Imię się zgadza...

Oszust! Pomyślałem. Kolejny, który chce zarobić.

– ...tylko że – Jugol ciągnął tym samym tonem – tylko że, jeśli dobrze pamiętam, ortografia była inna. Lyse napisane było przez „y”, a nie przez „i”.

Kolejna fala prądu przeszła mi kręgosłup. Radjic nie dał się wpuścić w pułapkę z ogłoszenia! Pisałem z błędem, żeby wykluczyć ewentualnych oszustów.

Uspokój się, do cholery, pomyślałem.

– OK, masz dobre informacje. Zarobiłeś kolejne dziesięć tysięcy. A co z bransoletką? Przyjąłeś ją, żeby pomóc Pelletierowi?

Naiwniak, wiem... To byłoby zbyt piękne.

– Gdybym wówczas wiedział, że jest warta siedemdziesiąt pięć paczek... Pomyśl tylko. Ale nie, kazałem Pelletierowi spadać z tym złomem, który podstawił mi pod nos. Nie ma kasy, nie ma towaru. Liczy się forsa, i tyle.

Przyglądał mi się z ironią.

– No może być ewentualnie czek...

Cholera!

– Pelletier zniknął ze swoją bransoletką?

– Taaa...

– Widziałeś go później?

– Już nigdy więcej. Moim zdaniem, zważywszy na to, w jakim był stanie, długo nie pociągnął...

Szlag!

Wypisałem czek. Bez wyrzutów. Mathilde de Carville nie będzie miała nic przeciwko temu, że wydałem dwadzieścia tysięcy. Wątpliwości jednak pozostały. Moja zasadzka, zmiana litery, dla ostrożnego oszusta nie była trudna do rozpracowania. Nazwiska Lyse-Rose de Carville i Emilie Vitral pojawiały się w artykułach w gazetach. Zoran dobry samarytanin, mógł zyskać dwadzieścia tysięcy dzięki odrobinie rozumu i pewności siebie.

Jego zwinne dłonie chwyciły czek, któremu przyjrzał się uważnie. W końcu, usatysfakcjonowany, wstał. Podał mi dłoń, tę z sygnetem.

– Dziękuję. Podam ci jeszcze ostatni szczegół. Prezent od firmy.

– Jaki szczegół?

– Teraz sobie przypominam. Nie przyjąłem bransolety od Pelletiera również dlatego, że była uszkodzona. Chodzi mi o łańcuszek. Brakowało jednego albo dwóch oczek.

Stoły i krzesła w barze zaczęły wirować wokół mnie. Mój Boże! Nikt. Nikt oprócz mnie i Nazima nie mógł tego wiedzieć.

2 października 1998, 17.29

Pociąg z Paryża do Rouen po raz pierwszy przybył punktualnie. Pojawił się na peronie dokładnie o siedemnastej trzydzieści. Skład relacji Rouen – Dieppe odjeżdżał za osiem minut. Przesiadka była zaplanowana bardzo precyzyjnie, ale gdy Corail się spóźniał, wszystkie inne pociągi regionalne czekały grzecznie na przyjazd starszego brata ze stolicy. Od czasu studiów w Paryżu Marc przesiadał się tak dziesiątki razy. Osiem minut to aż nadto. Gdy z żalem zamknął zeszyt Grand-Duca, skierował się szybko do sklepiku sprzedającego kanapki. Przed nim stała tylko jedna osoba. Marc kupił tartę z jabłkami i butelkę San Pellegrino. Nicole bez wątpienia szykowała potajemnie ucztę na wieczór, ale Marc i tak pochłoniął w kolejce RER kanapkę z szynką.

Pociąg ekspresowy do Dieppe stał prawie pusty. Kontrast po ścisku, jaki panował w składzie Paryż – Rouen, był uderzający. Marc usiadł przy oknie, jak to miał w zwyczaju. W wagonie znajdowało się tylko dwóch innych pasażerów. Nastolatek ze słuchawkami od walkmana w uszach i jakiś wysoki śpiący facet, który choć zajmował dwa miejsca, i tak ledwo się mieścił.

Marc rozłożył szary blat, postawił na nim plecak i wyjął z niego dziennik Grand-Duca. Zostało mu jeszcze jakieś dwadzieścia stron. I koniec. Pomyślał o wiadomościach, które zostawiał Lylie; miał tylko wieczór i noc, żeby wszystkiego się dowiedzieć.

Na peronie zawiadowca zagwizdał nerwowo.

Marc odruchowo odwrócił głowę w jego stronę. Porażony widokiem, znieruchomiał z czołem przy szybie.

To ona!

Krucha postać rzuciła zawiadowcy wściekłe spojrzenie, przez zęby wymamrotała kilka obelg i wskoczyła do prawie już jadącego pociągu.

Malvina de Carville.

Marc długie minuty przyglądał się drzwiom między dwoma wagonami. Strata czasu. Malvina musiała gdzieś się zaszyć, a Marc nie miał ochoty za nią biegać. Nie zamierzał dać się złapać dwa razy z rzędu. Miał do przeczytania jeszcze dwadzieścia stron.

Wariatką zajmie się później.

Dziennik Crédule'a Grand-Duca

Z Zoranem Radjicem rozstałem się w l'Espadon na wpół przekonany. Ten drobny cwaniaczek mówił prawdę! Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej wszystko składało się w logiczną całość. Georges Pelletier pomieszkiwał w chacie, był naocznym świadkiem katastrofy na Mont Terrible dwudziestego trzeciego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku. Pierwszy znalazł się na miejscu dramatu. Stał oko w oko z cudownie ocaloną dziewczynką. Zabrał złotą bransoletkę, zanim pojawiły się ekipy ratunkowe, żaloszny łupieżca na głodzie.

Nadążacie? Cudownie ocaloną dziewczynką wyrzuconą z samolotu była zatem Lyse-Rose de Carville. Odtąd miałem już prawie całkowitą pewność. I właśnie w tym „prawie” tkwił problem...

Wbrew pozorom Zoran Radjic mógł jednak całą tę historyjkę wymyślić. Mógł być profesjonalistą. Miał lata, żeby wszystko wygładzić... I znowu wróciłem do punktu wyjścia – istniały tylko przypuszczenia, oczywiście mocne przypuszczenia, ale nadal tylko przypuszczenia. Żadnej definitywnej pewności...

Przypuszczenia... Podejrzenia... Dowody... Skrawki zbieżności... Nazwijcie to, jak chcecie. Opowiedziałem wszystko, wiecie o sprawie teraz tyle co ja. Radźcie sobie!

Żeby być całkiem szczerym, muszę przyznać, że o jednej rzeczy nadal jeszcze nie powiedziałem. To raczej odczucie niż fakt. Odczucie tak trudno wytłumaczyć, znacznie trudniej, niż napisać rozprawę na temat Mont Terrible czy też zrekonstruować rozmowę z jakimś świadkiem. Powiem tylko, że doszedłem do punktu, gdy sądziłem, że wszystkie dowody już zebrałem: bransoletka, grób, ubrania na Grand Bazar, a tymczasem okazało się, że to tylko kupa śmieci. Podobnie z kolorem oczu czy darem muzycznym.

Prawda leżała gdzie indziej, prawda tkwiła w odczuciu. A raczej w relacji.

Marc i Emilie.

Sądzę, że to dobry moment, żeby zająć się ich dziwną więzią. Nic nie mogli poradzić, biedne dzieciaki. Życie zdecydowało za nich.

Mimo całej swojej dobrej woli Nicole była zbyt daleko. Przebywała z dala. Pracowała dniami, nocami, w weekendy. Codziennosc. Różnica wieku. Marc i Emilie nie mieli matki. Nie mieli ojca. Zabrakło dziadka. Logiczne, że się do siebie zbliżyli. Dwie blond główki. Dwie buzie aniołków, które można by pokazywać w reklamach. A jednak tak bardzo się różnili...

Trudno, napiszę to. Wiem, że Lylie i Marc to przeczytają. Spróbuję stanąć na wysokości zadania. I tak nie będzie mnie przy nich, żeby dowiedzieć się, jak to odbiorą.

Marc... Błękitne oczy, jakby zapatrzone w odległe horyzonty, w złoty wiek piratów z Dieppe. Oczy wabiące. A jednak Marc nie był marzycielem. Lubił swój dom, swoją dzielnicę, swoich kumpli, swoją babcie... a przede wszystkim Emilie.

Marc po prostu kochał to, co znał, miłością, która narastała z czasem. Kochał szczerze miłością zwyczajną. Marc był cichy. Nieśmiały. Prawie milczek.

Idol dziewczynek, o ile można tak nazwać licealistki z Dieppe. Idol obojętny. Marc, odkąd go poznałem, odkąd zacząłem mu się przyglądać jako skrupulatny badacz, nie miał innych marzeń, niż całkowicie oddać się Emilie, być zarazem jej bratem, ojcem i dziadkiem. Wszystkimi osobami, których nie miała. Chciał być jej parawanem. Piorunochronem. Parasolem.

Jej własnym rajem.

Mała Emilie dobrze mu się odwdzięczała. Pełna życia, zarażała wszystkich swoją energią. Była przepiękna, piękniejsza niż to, co ją otaczało, zamykane fabryki, mury, krawężniki. Piękna jak zachód słońca na plaży w Dieppe, jesień w lesie w Arques. Tęcza na falochronie.

Jak zabłąkany motyl. No cóż, jak ważka...

Emilie mnożyła przestrzeń mieszkalną domku Vitralów razy dwa, razy dziesięć, wypełniała ją muzyką, melodiami Chopina lub Satiego. Sprawiała, że unosili się ponad falochronami jak w bańce szczęścia, która pękała przepełniona śmiechem.

Gdy Emilie była smutna, pocieszała się muzyką.

Była jak zabłąkany owad.

Inna. Nie wyniosła. Sama. Choć nie zawsze. Potrafiła drzeć się razem z innymi na trybunach za każdym razem, gdy Marc zaliczył bazę na błotnistym stadionie Maurice'a Thoumyre'a. Zakładała buty do biegania i pokonywała kilkanaście kilometrów, sześć dolin, pięćset metrów różnicy poziomemu, od Dieppe przez Pourville, Varengeville do Puys.

Wielkie słońce miasteczka, które sprawiało, że i ja się rozplýwałem, gdy Emilie była jeszcze małą dziewczynką.

Crédule-la-Bascule.

Nie po to uszła z życiem w wieku trzech miesięcy, żeby tracić jakąkolwiek jego część. Poza tym była taka dumna z Marca. Swojego anioła stróża. Swojego blond anioła...

Marc i Emilie bardzo wcześnie zorientowali się, że nie są rodzeństwem. Przynajmniej nie tak do końca. Nie tak jak inni. Sekret pilnie strzeżony przez Nicole wydał się na przerwie w szkole podstawowej. Rodzice gadają, dzieci powtarzają. I zniekształcają.

Dzieci ze szkoły Paula-Langevina wymyśliły sobie zabawę: biegały wokół Emilie z szeroko rozłożonymi rękoma, z opuszczoną głową, naśladowując odgłos silnika. Kręciły się jak bączki i udawały, że samolot rozbija się kilka centymetrów od niej. Lądowanie na brzuchu na szkolnym boisku i udawanie, że się nie żyje, stało się ulubioną zabawą dzieciaków z podstawówki.

Marc niestrudzenie ganiał za dziećmi. Był wyższy o dodatkowe centymetry i pochylał się jak King Kong nad swoją kopułą, żeby odgonić idiotyczne samoloty znajdujące się w jego zasięgu. Wymierzał im karę, a potem wszystko zaczynało się od nowa.

Marc i Emilie nigdy tak naprawdę nie byli jak rodzeństwo. Dorastali przepełnieni wątpliwościami.

„Zakochani!”, nabijali się z nich na przerwach mniej okrutni.

Owszem, kochali się, to rzucało się w oczy, ale jaką miłością?

Myślę, że Marc zaczął się zastanawiać, gdy miał około dziesięciu lat. Od urodzenia, to znaczy od czasu katastrofy, spał z Emilie w jednym pokoju. On na dole, Emilie na górze na łóżku piętrowym. Nicole starała się, jak mogła: Marc miał dla siebie mały pokoik, który wcześniej dzielił z siostrą, a Emilie wcisnęła się do sypialni babci.

Nicole robiła, co w jej mocy. Prawie zawsze jej się udawało.

Zastanawiałem się, jaką miłością się kochali.

Przyznaję, próbowałem posunąć się dalej. Szpiegowałem ich jak najobrzydliwszy paparazzo. Włożyłem Nazimowi w ręce aparat z teleobiektywem. Na wszelki wypadek...

Wszystko na nic. Uczucia nie odbijają się na kliszy.

Jaka to miłość?

Tylko oni znają odpowiedź. Cóż...

Ja nie znam..

Nawet nauka mi nie pomogła.

Działo się to trochę później.

Lylie miała piętnaście lat...

Test DNA. Ten cholerny test.

Nie miałem zamiaru odpuścić. Nie wątpiłem, że Mathilde de Carville w końcu mnie o to poprosi, wyrzuci do kosza swoją bioetykę i zapragnie, żeby przemówiły geny, wbrew Bogu i wierze. Chciała wiedzieć. To ludzkie. To i tak cud, że wytrzymała tak długo.

Jeśli o mnie chodzi, nie byłem zbyt dumny z tego, co miałem zrobić. Przede wszystkim się bałem. Postawcie się na moim miejscu, piętnaście lat śledztwa przegrywało z trzema kroplami krwi w probówce.

Żałosne! Cholerna nauka!

*
* *

Słowa Grand-Duca tańczyły Marcowi przed oczami.

„Jaka to miłość?

Tylko oni znają odpowiedź. Cóż...”.

Przed oczami przesuwały mu się wzniesienia Pays de Caux. Migwały mu również linie wysokiego napięcia biegnące od centrali energetycznych w kierunku Dieppe.

„Jaka to miłość?”.

Co mógł zrozumieć ten stary detektyw poprzez swoje żalosne śledztwo i teleobiektyw? Kto mógł to zrozumieć?

„Zakochani...”.

Lylie, gdzie jesteś?

Marc nie miał ochoty dzwonić już do żadnej nowej kliniki. Kolejny telefon to strata czasu.

„Zakochani...”.

Kto oprócz nich o tym wiedział? Kto znał ich sekret?

Nikt. O tym Grand-Duc nie napisał w swoim zeszycie, nie wiedział o tym nikt inny.

Nie minęły od tamtej pory jeszcze nawet dwa miesiące.

Szesnasty sierpnia.

Lylie nie miała jeszcze osiemnastu lat.

Marc zamknął oczy.

Nie minęły od tamtej pory jeszcze nawet dwa miesiące.

16 sierpnia 1998, 18.00

Co za szaleństwo, pomyślał Marc. Biegać w środku sierpnia! Było późne popołudnie, ale termometr nadal pokazywał trzydzieści stopni. Wyjątkowy upał jak na lato na północy!

Lylie nie dawała za wygraną. Sznurowała buty, kucając na progu domu, jak gdyby wyrosły jej skrzydła. Marc westchnął. Chcąc nie chcąc, zdjął espadryle i poszedł po buty sportowe. Dobiegł go dźwięczny głos Lylie:

– W drogę, mięczaku!

Małą błękitną gumką związała swoje blond włosy w koński ogon. Marc uwielbiał, gdy miała włosy odgarnięte do tyłu. Dzięki temu jej twarz i czoło stawały się większe. Nabierała niemal królewskiego uroku. Lylie była już gotowa. Podskakiwała przed drzwiami, niecierpliwiąc się.

– Pospiesz się!

– No już...

Odkąd Lylie na maturze z wychowania fizycznego zdobyła osiemnaście na dwadzieścia punktów, polubiła bieganie. Biegała przez całą wiosnę, ćwiczyła mięśnie brzucha, a Marc został jej trenerem.

Marc złościł się, bo nie mógł znaleźć lewego buta.

– Jak nie chcesz biegać...

– Chcę... chcę.

Lylie złapała butelkę wody mineralnej i odchyliła głowę do tyłu, żeby się napić. Kropelka wody spłynęła jej po wardze, brodzie i szyi. Marc odwrócił wzrok. Był zakłopotany. Po raz kolejny.

– Za wiadrami. Tam jest twój but...

– Dzięki...

Marc niezręcznie zawiązał buty. Lylie włożyła fiołkowo-biały strój sportowy firmy Sergio Tacchini, coś w stylu kombinezonu mistrzyni olimpijskiej w triathlonie. Ten kawałeczek elastycznej tkaniny kosztował fortunę. Spodenki przylegały jak druga skóra. Koszulka spłaszczała jej piersi, ale za to całkowicie odsłaniała jej płaski brzuch i dół pleców. Skóra Lylie była muśnięta słońcem.

– Dobra! Ruszamy?

Marc wybiegł, choć nie miał ochoty.

Złe przeczucie? Ciężki upał tego szesnastego sierpnia? Brak wiatru? Zbyt wesoły nastrój Lylie?

Najciężej jest zawsze na początku. Ruszyli przez Pollet, przez most przeładunkowy, potem wzdłuż betonowej tamy, po czym zaczęli biec pod górę aż do zamku, w którym mieściło się muzeum.

Lylie biegła zawsze przodem. Marc dopasował się do jej tempa. Przebiegli przed polem golfowym i liceum Ango o futurystycznej architekturze tuż przy falochronie. Lylie na pożegnanie pomachała w stronę liceum.

Mieli przed sobą płaski kilometr aż do Pourville. Mogli stawiać dłuższe kroki. Nagle za zakrętem ukazała się wspaniała panorama. Dolina Pourville skąpana w słońcu. Lylie, zbiegając w dół, jeszcze przyspieszyła. Turyści na tamie, w kawiarniach i na plaży odwracali się za nią. Szczególnie mężczyźni, oczarowani ulotną aparycją tej szczupłej blondynki w obcisłym stroju. Zahipnotyzowani rytmem jej długich nagich nóg, regularnym jak ruch wahadła. Marc przyjął rolę ochroniarza. Miał

oczy dookoła głowy. Po chwili, nie przerywając biegu, położył dłoń na jej ramieniu.

Przyzwyczał się do tego, że mężczyźni obrzucali Lylie ciekawskimi spojrzeniami, ale mimo to czuł się zazdrosny. Pięćset metrów plaży w Pourville pokonali szybko, mieli przed sobą wzniesienie Varengeville, bardziej strome, najbardziej osłonięte od zachodnich wiatrów... Na tym zboczach kryły się najpiękniejsze wille, z najlepszym widokiem i klimatem... Prawie sto metrów ponad poziomem morza!

Lylie zaczynała odczuwać zmęczenie. Marc biegł bez problemu. Wpatrywał się w rysujące się w oddali strome zbocze de la Scie. Starał się nie patrzeć zbyt długo przed siebie. Na wysokości jego wzroku poruszały się pośladki Lylie, opływowe, sprężyste, jędrne.

Wprawiające w zakłopotanie. Czy Lylie zdawała sobie z tego sprawę? Jeszcze jeden zakręt i koniec zbocza. Marc przyspieszył i zrównał się z nią. Biegli obok siebie. Lylie odwróciła głowę w jego stronę. Uśmiechała się. Promieniała.

Była taka piękna.

Marc czuł narastające emocje. Nic nowego. Och, nie! Tym razem czuł intensywniej, silniej niż kiedykolwiek. Na czterech czy pięciu kilometrach droga biegła prawie płasko, aż do cmentarza morskiego w Varengeville, gdzie kończyła się ich trasa. Varengeville była najbardziej zalesioną okolicą na wybrzeżu Albâtre, dawała zbawienny cień. Przebiegli obok klasztoru Ango i parku kwiatowego Moutiers, wciąż obok siebie, mimo że samochody z trudem mogły ich wyprzedzić.

Dwieście metrów przed końcem Lylie udała, że puszcza się sprintem. Marc biegł pięć metrów za nią. Nie powinien był... Po nagich plecach Lylie spływał pot. Krople ześlizgiwały się aż na sam ich dół. Skóra i kropelki. Źródło rozkoszy, w którym Marc miał ochotę zanurzyć usta.

Musiał się uspokoić. Najważniejsze to się uspokoić.

Przyspieszył, wyprzedził Emilie ze śmiechem i zwolnił, żeby znaleźć się na jej wysokości. Lylie padła na trawę wyczerpana. Marc po raz kolejny odwrócił wzrok od wyciągniętego na słońcu ciała.

Zrobił parę kroków i popchnął furtkę cmentarza morskiego. Lylie poszła za nim. Nie byli sami, co to to nie. Po maleńkim cmentarzu krążyło około dwudziestu turystów, którzy szukali grobu Georges'a Braque'a, autora witrażu w miejscowym kościółku, i pozowali na tle wspaniałej panoramy. Dieppe. Criel. Tréport. Całe wybrzeże aż do martwego falochronu w Ault, w Pikardii.

Ile zakochanych par marzyło, żeby się tu pobrać? W tym uroczym kościółku z gresu pośród zieleni między niebem a morzem.

A czy Marc o tym marzył?

Przegonił głupie myśli.

– Wracamy?

Dowiedział się, że tutaj falochron podmywało bardziej niż gdziekolwiek indziej. Niszczał od dołu. Był kruchy. Pewnego dnia wszystko zostanie pochłonięte przez morze, kościół, groby, kamienny krzyż.

Wszystko wpadnie do wody, po czym po dwóch dniach wypłynie.

Lylie upiła łyk z kranu przy wejściu na cmentarz i wyszła.

Marc ruszył za nią.

Samochody wciąż napływały. Pobocze ograniczał zadbane rów, teraz nie mogli biec już obok siebie. Marc musiał zostać w tyle i przyglądać się tym plecóm zalanyím potem, kształtým pośladkóm, satynowemu karkowi pokrytemu blond meszkiem.

Nie wolno.

Dlaczego?

Dlaczego? – wrzeszczał głos w jego głowie.

Na nic nie patrzeć. Koncentrować się tylko na rytmie serca, na rytmie kroków. Stać się nieczułym mechanizmem.

Zbiegali do Pourville. Wille z czasów belle époque następowały jedna po drugiej, rywalizowały ze sobą fantazyjnymi barokowymi kształtami. Nagle Lylie skręciła w prawo, w stronę przesmyku Petit Ailly, małej plaży na końcu doliny, plaży, którą znali tylko nieliczni... Marc zrównał się z Lylie.

– Dokąd biegniemy?

Lylie miała roziskrzony wzrok.

– Taki kaprys! Kto mnie kocha, biegnie za mną!

Skręciła po raz kolejny, tym razem w prawo w las. Nie było tam dróżki, znaleźli się w wierzbowym zagajniku. Zaledwie dwieście metrów dalej las się skończył. Minęli po prawej mały staw. Chyba wkroczyli na teren fermy. Lylie biegła wielkimi susami dalej przez pole.

Kierowali się w stronę morza po dość stromym zboczu. Lylie nie zatrzymywała się. Z dołu przyglądały im się krowy na wpół zdziwione, na wpół przestraszone.

Nie było żadnego rolnika. Lylie biegła wzdłuż ogrodzenia pod napięciem. Ewidentnie знаła to miejsce. Marc próbował się skoncentrować. Przypomniał sobie mapę drogi GR 21, którą często przemierzał. Okrążyli przesmyk Petit Ailly od północy. Pamiętał, że musieli przebiec przez fermę Pin-Brûlé i Mordal. Marc wiedział już, dokąd zmierzają: do portu Mordal, który znał tylko z pocztówek. Była to jedna z małych zatoczek, niedostępna dla turystów, oddzielona od innych miejsc, z dostępem do morza. Prywatna plaża właściciela, który bez wątpienia nigdy się nie kąpał.

Na ostatnich dwudziestu metrach, zanim dotarli do morza, dolina się urywała. Teren stał się gliniasty. Musieli zejść po dziesięciometrowym urwisku, powrót wydawał się łatwiejszy. Z pola plaża była zupełnie niewidoczna.

Lylie położyła się na gliniastym podłożu. Jej długie nogi i druga skóra marki Sergio Tacchini poplamiały się od czerwonego błota. Oparła się na przedramionach. Dumna z siebie i swojego zwycięstwa.

Marc podążył za nią bez trudu. Zaczynał się odpływ, który odsłonił trzy metry piasku za pasem kamieni.

Lylie zdjęła z włosów niebieską gumkę. Opadły złotą kaskadą. Marc zadrżał.

– Mam pomysł! – odezwała się Lylie z uroczą miną, jakby chciała, żeby Marc jej wybaczył. – Wykąpiemy się?

Marc nie odpowiedział. Był przytłoczony, niespokojny. Wciąż miał to złe przeczucie.

– No chodź – namawiała Lylie. – Jestem cała zlana potem! Jest tak pięknie. To najpiękniejszy dzień lata!

Lylie miała rację. Przynajmniej z meteorologicznego punktu widzenia.

Spokojne morze. Upał. Piasek. Cisza.

Ich bliskość.

Jak się oprzeć?

Lylie nie czekała na odpowiedź. Buty wylądowały na kamieniach. Dziewczyna wskoczyła do wody. Jej strój triathlonistki był równie dobry do biegania jak do pływania. Marc miał szeroki T-shirt w kolorach stadionu w Tuluzie i długie płócienne spodnie. Jego T-shirt również wylądował na kamieniach. Spodnie musiał zmoczyć. Trudno.

Pływali prawie godzinę. Grzecznie.

Marc wracał do siebie. Ciało Lylie ginęło w szarej wodzie kanału La Manche. Pływali obok siebie żabką i kraulem, szczęśliwi.

Lylie jak zwykle miała rację. Poddała się cudnemu kaprysowi.

Co on sobie wyobrażał?

Pułapka?

Poniosły go perwersyjne fantazje...

Rozprysk wody zatopił jego myśli. Lylie wybuchnęła śmiechem i po raz kolejny ochlapała Marca. Zrobił to samo. Lylie zaprotestowała pro forma, pozwoliła mu się oddalić, a później jednym zwinnym ruchem lędźwi wskoczyła mu na plecy i zanurzyła mu głowę pod wodą. Marc ugiął się, choć Lylie była leciutka.

Zaczął łapczywie łąpać oddech, plując słoną wodą. Lylie oddaliła się na dwa metry, zanosząc się śmiechem.

– Nieee!

Marc złapał ją najpierw za stopę. Protestowała bez przekonania.

– Tak się nie bawię!

Przyciągnął ją do siebie. Często się tak wygłupiali, gdy byli dziećmi, w wodzie z pianą w mikroskopijnej wannie. Silna dłoń chłopaka chwyciła jej talię. Była lekka jak piórko. Napięty mokry lateks opinający pośladki Lylie przykleił się do torsu Marca.

– Oszukujesz...

Lylie nie przestawała się śmiać.

Marc podniósł rękę, złapał ją za ramię. Nacisnął delikatnie, żeby zanurzyła się pod wodę, ale tak, żeby nie zrobić jej krzywdy. Przytopił ją ciężarem swojego ciała. On wypływał, podczas gdy ona opadała w dół. Klatka piersiowa Lylie dotknęła jego brzucha i zsunęła się jeszcze niżej. Ramiona, później twarz... Oczy miała zamknięte, żeby nie dostała się do nich słona woda. Wszystkie części jej ciała ocierały się o jego tors.

Jeszcze metr pod wodę.

Twarz Lylie przykleiła się do mokrych spodni Marca. Jej usta prawie przez przypadek dotknęły jego genitaliów.

Zaczął sztywnieć.

Gwałtownie.

Jak mogłoby być inaczej?

W oddali na oliwkowe morze portu w Dieppe wypływał prom do Newhaven. Za nim widać było kilka białych trójkącików, mewy albo żagłówki, trudno było odróżnić z tej odległości.

Żadne z nich się nie odzywało. Popłynęli w stronę plaży. Piasek już prawie wysechł. Lylie położyła się na brzuchu.

– Wyszuszę się trochę, zanim wrócimy, dobrze?

Były to jedyne słowa, jakie wypowiedziała, zażenowana. Głos miała zmieniony, jakby przeszła mutację. Odezwała się głosem dorosłej osoby. Marc siedział skulony, rękoma obejmował kolana i wpatrywał się w horyzont.

Ile to trwało? Kilka minut? Kilka godzin?

Prom dawno już zniknął na horyzoncie, odpłynął do Anglii, a mewy czy też żagłówki wróciły do portu. Morze przypominało pustynię.

Lylie nagle wstała. Nic nie powiedziała. Marc widział tylko jej cień na piasku. Dziewczyna skrzyżowała ręce i jednym ruchem zdjęła przez głowę górę od stroju. Delikatnie położyła ją na piasku, jakby chciała, żeby wyschła. Gdy się schyliła, Marc nie musiał odwracać głowy, żeby zobaczyć odbijający się na piasku zarys jej piersi. Niedużych i jędrnych.

Jakby jeszcze było mało...

Lylie opuściła ręce. Cień poruszał się, jakby tańczyła. Tkanina zaczęła zsuwać się powoli, milimetr po milimetrze. Lylie zrzucała drugą skórę. Dziewczyna się przeistaczała. Spodenki upadły na piasek.

Jak martwa, zwiotczała, niepotrzebna skóra.

Marc wpatrywał się w ciemny nieruchomy cień z milionem jasnych drobinek. Cień był wciąż taki sam, taki jak kilka chwil wcześniej. Ta sama talia, te same nogi, uda. Sylwetka była identyczna, nieważne, czy miała drugą skórę, czy nie.

A jednak.

Lylie położyła się z powrotem. Na brzuchu.

Marc czekał całe godziny. Minuty.

Nikt nie przyszedł mu na ratunek, żaden żagiel na horyzoncie, żaden zabłąkany turysta ani wkurzony farmer.

Lylie poczuła, że ciepła dłoń Marca kładzie się na dolnej części jej pleców. Przyklejony piasek sprawiał, że była trochę szorstka. Zadrzała i odwróciła się.

Komu innemu mogła ofiarować swoje osiemnaście lat?

* * *

Marc otworzył oczy. Cały zlany był potem. Przez okno pociągu widział niekończącą się serię słupów wysokiego napięcia.

Cofnął się mimowolnie.

Czy jest potworem?

Czuł, że dwadzieścia gramów błękitnej koperty ciąży mu w kieszeni marynarki. Test DNA.

Czy są potworami?

Otworzyć. Dowiedzieć się. Mieć dowód...

Drzwi wagonu uchyliły się i weszła Malvina de Carville.

2 października 1998, 17.49

Gorąca woda lała się na nagie ciało Lylie. Zamknęła oczy, próbując odnaleźć choć trochę pozytywnego nastawienia. Spróbować się przynajmniej uspokoić. Na oślep myła się płynnym mydłem antyseptycznym. Histerycznie szorowała ciało – piersi, brzuch, łono. Biała mleczna piana spływała jej aż na stopy. Spłukiwała się długo. Robiła wszystko, aby być czystą, o ile to możliwe. Wyczyścić przynajmniej fasadę. Zachować pozory.

Wyszła spod prysznica owinięta białym ręcznikiem. Woda z włosów kapała na gąbczastą wykładzinę. Wierzchem dłoni wytarła zaparowane lustro. Jej własne niewyraźne odbicie przeraziło ją, miała wrażenie, jakby jej twarz zastąpiła twarz jakiejś nieznajomej. Chimera z lustra zniknęła w parze. Lylie szorowała zęby, zbyt mocno, aż zaczęły jej krwawić dziąsła.

Jakiś czas temu zwymiotowała na ulicy, na rogu avenue de Choisy. Wyrzuciła wszystko z siebie na chodnik. Wódka, szkocka, tequila... Podniósł ją jakiś młody policjant, gdy na czworakach leżała na chodniku. Podał jej chusteczkę. Wytarła usta wciąż zgięta w pół, gdy tymczasem jakaś matka wjechała wózkami w jej wymiociny. Policjant mógłby ją zgarnąć. Zrobiłby to, gdyby nie jej wzrok przestraszonej łani, oczy pełne łez.

„To pierwszy raz...”.

Udało się, mówiła prawdę.

Później zwymiotowała po raz kolejny. Pół godziny temu w sali przy łóżku. Nie miała już czym wymiotować. Umierała z bólu.

Wyszła z łazienki.

Dziewczyna leżąca na drugim łóżku czekała niecierpliwie na jej powrót.

– Przyszły posprzątać, gdy ty brałaś prysznic...

Dziewczyna mogła nie mieć nawet szesnastu lat, miała rude krótkie włosy i już pożółkłe zęby.

– W pewnym sensie masz szczęście. Ja nie rzygam. Czasem mam wrażenie, że gniję od środka. Dałabym dupy, żeby sobie rzygnąć.

Rozmowa była ostatnią rzeczą, na jaką Lylie miała ochotę. Panienska Żółte Zęby nie zwracała na to uwagi. Szukała jakiegoś ucha, i tyle.

– Jestem tu już drugi raz – ciągnęła. – Jestem recydywistką! Zrzędzą! Wczoraj trzy godziny umoralniającej gadki. Wkurzają mnie, debile.

Lylie oddaliła się, stała i wyglądała przez okno. Żółte Zęby w końcu się wkurzyły.

– Nie bądź taka ważna. Też tu jeszcze wrócisz.

Lylie patrzyła na jeżdżące po parkingu karetki. Kręciła się po ulicy prawie godzinę, zanim weszła do środka. Poszła za konduktem żalobnym jakiejś nieznajomej. Widziała wyraźnie dzwonnice kościoła Świętego Hipolita, ale podwórko szkoły podstawowej tuż obok zasłaniały haussmanowskie budynki. Hałas ulicy sprawiał, że krzyki dzieci przestawały być słyszalne. Chyba że wróciły do klas albo do domów. Lylie nie za bardzo wiedziała, która jest godzina. W duszy miała mętlik, ciało cierpiało męki. Co tu robi? Jak to wytrzymać?

– Za pierwszym razem zachowywałam się tak jak ty...

Zamknij się! Wrzasnęła bezgłośnie Lylie.

Telefon zostawiła w kieszeni ubrania, które wisiało na wieszaku w łazience. Był wyłączony.

Pragnęła tylko jednego: zadzwonić do Marca! Żeby przyjechał. Żeby ją przytulił i ochronił jak zawsze, jak na szkolnym boisku, żeby odpędził złych ludzi.

Żeby po prostu przy niej był.

Wystarczyłoby włączyć telefon. Marc by jeszcze zdążył. Niezależnie od tego, gdzie był.

Żółte Zęby nie dawały za wygraną.

– Nie musisz mieć wyrzutów. Olej, co myślą ci wszyscy debile. Będą chcieli wywołać w tobie poczucie winy. Wkurzasz ich!

– Dzięki – wymamrotała Lylie wbrew sobie.

Nie stać jej było na więcej. Wpatrywała się w wysoki cedr naprzeciwko, szukała jakiegoś ptaszka, jakiejś oznaki życia. Na próżno.

Nie, Marc nie przyjedzie. Nie zadzwoni. Ani on, ani nikt inny nie może jej odnaleźć. Anonimowość – tego tu trzeba. Nie, nie zadzwoni. Mimo przemożnej chęci, mimo rozdzierającego bólu brzucha, mimo narastającej znowu fali musi trzymać Marca na dystans.

Przynajmniej do jutra.

Odwróciła się w stronę Żółtych Zębów. Dziewczyna mogła zrobić dla niej przynajmniej jedno.

– Masz fajkę...?

Nie otrzymała odpowiedzi. Drzwi się otworzyły. Pielęgniarka o wyglądzie strażniczki więziennej weszła do sali.

– Emilie Vitral?

– Tak.

– Już czas. Zapraszam na spotkanie z psychiatrą.

2 października 1998, 17.57

Malvina de Carville przyglądała się Marcowi ze swoim niepowtarzalnym uśmiechem zboczonej dziewczynki z dobrej rodziny; seryjna morderczyni z dzieła hrabiny de Ségur. Usiadła na pierwszym miejscu w wagonie, naprzeciwko Marca.

Twarzą do niego.

Za oknami przesuwał się monotony krajobraz.

Marc nie wykonał żadnego gestu. Malvina na pewno gdzieś pod ręką miała mauzera. Najrozsądniej było czekać. Marc pragnął przede wszystkim skończyć lekturę zeszytu Grand-Duca. Zostało mu jeszcze tylko pięć stron.

Powstrzymał dreszcz. Przed oczami stanął mu obraz Lylie na plaży Morval, który wprowadził go w takie zakłopotanie. Później przez głowę przeleciała mu lista szpitali. Nie powinien się rozpraszać. Musi przeczytać te ostatnie strony, nie spuszczać Malviny z oczu... I wykorzystać pierwszą okazję, jaka się nadarzy, żeby rozbroić tę wariatkę.

Dziennik Crédule'a Grand-Duca

Już to widzę. Policzyliście, ile stron zostało do końca! Zaczynacie panikować. Chcecie poznać rozwiązanie. Przecież ostrzegałem, że nie należy się spodziewać szczęśliwego zakończenia, rozwiązania akcji, palca detektywa Poirot wskazującego winnego w ostatniej linijce... Wiem, nie interesuje was już moja amatorska psychologia. Macie jej już dość. Koniec ze sztuczkami starego Grand-Duca, z humorami i nieuchwytnymi wskazówkami; grzecznie wysłuchaliście mojej opowieści, ale teraz tak naprawdę interesuje was tylko jedno: test DNA! Nauka przez wielkie „N”. Cud genetyki. Możecie być pewni, że dojdę do tego testu. Nie panikujcie. Był to prezent urodzinowy Lylie: trzy kropelki krwi na piętnaste urodziny.

Wybaczcie, ale najpierw muszę uściślić jeszcze kilka szczegółów... Razem z Nazimem uparcie szukaliśmy śladów Georges'a Pelletiera, bezdomnego, który prawdopodobnie chodził sobie z bransoletką wartą siedemdziesiąt pięć tysięcy franków...

Georges'a odnalazł Nazim, prawie przez przypadek. Od kilku miesięcy próbowaliśmy zrobić spis wszystkich kłoszardów i innych wykolejeńców, których znaleziono na ulicy martwych w wyniku wypadku lub nie. Tamtego dnia w lipcu dziewięćdziesiątego trzeciego poranek był mglisty. Nazim pokazał zdjęcie pewnemu dzielnicowemu z Hawru w dzielnicy Neiges na dziwacznym przedmieściu, wciśniętym między składy portowe. Facet coś sobie przypomniał jak przez mgłę. Wyciągnęliśmy archiwalne dokumenty, w komisariacie Pelletier miał założoną teczkę.

Dwudziestego trzeciego stycznia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego w zbiorniku z paliwem znaleziono jakiegoś topielca. Od ponad tygodnia temperatura spadała poniżej zera. W lodowatej wodzie nie przeżyłby dłużej niż pięć minut, mimo że we krwi miał ponad dwa gramy alkoholu. Nie znaleziono przy nim żadnego dowodu tożsamości, ale policjanci zrobili mu zdjęcie. Bez wątplenia był to Georges Pelletier w dziurawej kurtce. W rękach ani w kieszeniach nie miał nic. Ani testamentu, ani smyczy... ani też bransoletki.

Najciemniejsza ze ślepych uliczek.

Osobiście zawiadomiłem jego brata, Augustina, który sprawiał wrażenie, jakby mu ulżyło. Jego osobiste śledztwo dobiegło końca. Mógł pójść naprzód. Ja nie.

Ten przeklęty Georges Pelletier odszedł w noc, zabierając ze sobą swój sekret. Co robił tamtego wieczoru na Mont Terrible? Co widział?

* *
* *

Malwinie zamykały się oczy.

Nierówności terenu kołysały ją do snu.

Dziewczynka nieprzyzwyczajona do dalekich podróży, pomyślał Marc.

Na zmianę czytał zeszyt Grand-Duca i obserwował Malwinę de Carville na końcu wagonu. Malvina walczyła ze snem już kilka długich minut. Przysypiała na chwilę, po czym gwałtownie się budziła, patrzyła uważnie, szukając wzrokiem Marca. Tym razem oczy miała zamknięte już ponad pół minuty.

Marc podjął decyzję. Bezszelestnie wstał i zaczął się skradać. Od dziewczyny dzieliło go mniej niż dwadzieścia metrów. Nie mogła unieść powiek, nie teraz...

Marc pokonał już dobre dziesięć metrów. Głowa Malwiny nadal pozostawała opuszczona, nieruchoma na niebiesko-żółtym oparciu fotela. Uśmiechała się jak aniołek, jak dziewczynka zmęczona zbyt długą zabawą. Marc szedł naprzód. Przypomniawszy sobie, jak bawił się w „króla ciszy”, będąc małym chłopcem: musiał uwolnić księżniczkę przywiązaną do krzesła i nie dać się złapać w szpony smoka z zawiązanymi oczami. Księżniczką była oczywiście Lylie.

Jeszcze tylko pięć metrów. Pociąg skręcił lekko w prawo. Głowa Malwiny przekręciła się o kilka centymetrów i na nowo znieruchomiła. Marc zamarł, przestał nawet oddychać.

Malvina otworzyła oczy. Spojrzała wprost na niego. Dwie ciemne kulki wystrzelone z procy.

Dziewczyna nie zdążyła wykonać najmniejszego ruchu, bo w kolejnej sekundzie upadło na nią osiemdziesiąt kilo Marca. Rzucił się bez zastanowienia, zdając się na instynkt. Prawą ręką zatkał Malwinie usta, lewą chwycił jej obie ręce. Malvina przewracała oczami i szaleńczo wymachiwała nogami. Dwaj pozostali pasażerowie, nastolatek ze słuchawkami w uszach i śpiący facet, nie zwrócili na nich uwagi.

Marc popchnął Malwinę w stronę okna, trzymając ją mocno. Obok niej stała stara babcina torba z zielonej krokodylej skóry. Marc miał w głowie prosty plan: przechwycić broń. Później będą mogli podyskutować...

Prawą ręką dalej kneblował Malwinę, oparł się o nią jeszcze mocniej, żeby uniemożliwić jej jakikolwiek ruch, a lewą ręką zaczął przeszukiwać torbę.

Wystarczyło kilka sekund. Wyjął z torby mauzera L110. Malvina zabiła go wzrokiem. Marc wycelował broń, po czym powoli zdjął rękę z ust młodej kobiety.

– Miałaś ochotę odwiedzić Dieppe?

Malvina się skrzywiła.

– Taaa. Mam świra na punkcie latawców. Zdaje się, że w ten weekend Dieppe będzie mekką wielbicieli latawców...

– Na wszystko masz odpowiedź, co?

– Zależy od pytania. Co zrobisz, jeśli zacznę krzyczeć?

– Zastrzele cię...

– Nie zrobiłbyś tego. Nie tknąłbyś swojej ukochanej przyrodniej siostry.

– Zobaczymy... Jestem Vitralem. Tym złym...

Malvina westchnęła. Ewidentnie nie miała ochoty ściągać na nich uwagi.

– Wiesz, że to ostatni dziś pociąg? Chcesz nocować w Dieppe?

– Zobaczymy... Nazywam się de Carville, wiesz. Mam kasę...

– Kasa nie kasa, ostrzegam, że jeśli staniesz na drodze mojej babci, Nicole, to poćwiartuje cię na kawałki i rzuci na pożarcie mewom...

– Twój kiepski humor nie zna granic?

Marc odsunął się na kilka centymetrów. Pewność siebie tej dziewczyny wkurzała go. Powinien był wydrzeć jej tę arogancję z ust. Musiał ją złamać, żeby zaczęła mówić! Charakterna dziewczynka, którą trzeba pokonać. Wolna dłoń Marca spoczęła na udzie Malviny. Dziewczyna cofnęła się odruchowo. Głową uderzyła w szybę.

– Chciałaś się u nas zatrzymać, co? Liczyłaś, że prześpisz się w moim pokoju, tak?

Dłoń sunęła coraz wyżej. Niecna zemsta. Marc o to nie dbał.

– Przykro mi, moja piękna, ale dziś jestem niedysponowany, wiesz, co chcę powiedzieć...

– Jeśli nie przestaniesz, zacznę krzyczeć...

Dłoń Marca spoczęła na fiołkowym sweterku Malviny, tuż pod jej biustem.

– Wiesz, że nie byłabyś taka brzydka, gdybyś się dobrze ubierała?

– Zabieraj łapy...

Malvina mówiła coraz bardziej ochryplym tonem, przypominającym drapanie po ścianie. Marc dręczył ją dalej.

– Byłabyś bardziej sexy. Byłabyś całkiem niezła. Ładne małe piersi...

Dłoń Marca spoczęła na jednej z dwóch wypukłości pod górną częścią sweterka. Czuł, jak Malwinie wali serce.

– Przecież stać cię na drogie ciuchy, prawda?

Serce biło jej coraz szybciej. Palce zacisnęły się na prawym ramieniu Marca, dziesięć niegroźnych kikucików, które nie mogły go podrapać. Paznokcie miała obgryzione do krwi.

Marc się nachylił. Szeptał Malwinie do ucha. Czuł, jak przez kilka długich sekund ciało dziewczyny sztywnieje, palce zaciskają się konwulsyjnie, jak przemienia się w martwy pień. Malvina puściła go gwałtownie, jak gdyby w jednej chwili ciało odmówiło jej posłuszeństwa.

Marc odsunął dłoń i syknął jej do ucha.

– Nigdy więcej mnie nie dotykaj, Malvino! Rozumiesz? Nigdy więcej.

Drzwi do wagonu otworzyły się gwałtownie. Wszedł kontroler. A raczej dość młoda kontrolerka. Przeszła przed nimi bez zatrzymania się. Rzuciła tylko przelotnie okiem na przyklejonych do siebie Marca i Malwinę. Uśmiechnęła się i zniknęła w następnym wagonie.

Marc zwolnił uścisk i wymierzył mauzera w zakładniczkę.

– Koniec zabawy. Co tu robisz?

– Spieprzaj...

Marc się uśmiechnął.

– Bawisz mnie, Malvino. Powiniennem być na ciebie wściekły, a tymczasem mam ochotę dać ci nauzkę, jak młodszej siostrze.

– Jestem od ciebie starsza, durniu!

– Wiem, dziwne, co? Wszyscy mówią, że jesteś niebezpieczną wariatką, ale ja w to nie wierzę.

– Kto to ci wszyscy? Grand-Duc?

– Tak, między innymi...

– Skoro wierzysz w to, co on opowiada...

Malvina odzyskiwała formę. Marc nie mógł dać się zwieść temu, że zaczęła wzbudzać jego zaufanie. Nadal celował do niej z mauzera.

– To oczywiste, że teraz już nie powie o tobie więcej nic złego. Kulka prosto w serce... Radykalne! Zabiłaś go, bo cię nienawidził?

Po raz kolejny w ciągu sekundy ciało Malviny zeszywniało. Otworzyła oczy szeroko, były brązowe, prawie przejmujące.

– Co ty gadasz, Vitral? Ja... ja nie zabiłam Grand-Duca...

Zaczęła mówić odważnie.

– Na pewno bardzo bym chciała. Ale gdy do niego przyjechałam, robota była już wykonana...

– Masz mnie za idiotę? Spadło na mnie jego ciało. Twój samochód stał przed domem.

Źrenice Malviny się rozszerzyły. Rozglądała się nerwowo ciemnymi oczami, które przypominały szamoczące się w słoiku muchy.

– Gdy przyjechałam, już nie żył. Przysięgam! Przyszłam do niego dwie godziny przed tobą. Najwyżej dwie. Był już zimny. Jak węgle w kominku, gdzie spoczywała jego głowa.

Marc przygryzł wargi.

Mówi prawdę, pomyślał.

Grand-Duc nie żył już od kilku godzin, gdy go znalazł. Malvina sprawiała wrażenie, że mówi szczerze, jej wersja wydawała się wiarygodna. Czy był głupcem, że zamierzał jej uwierzyć? Tej wariatce? Wbrew wszelkim pozorom? Kto w takim razie zabił Grand-Duca? Przed oczami mignęła mu postać Lylie.

– Dlaczego miałbym ci wierzyć?

– Mam to gdzieś, czy mi wierzysz, czy nie...

– OK. Co w takim razie robiłaś u Grand-Duca?

– Uwielbiam ważki. Chciałam obejrzeć jego kolekcję. Ty też, prawda?

Marc uśmiechnął się wbrew sobie. Mauzera trzymał jednak w pewnej odległości. Malvina wbiła mu szpilę.

– Vitral, może to ty go zabiłeś. Policja znajdzie twoje odciski, nie moje.

Szmata! Nie taka głupia! Marc zбитy z tropu wymamrotał.

– Ty... wiesz, co się stało? Według tego, co napisał w zeszycie, popełnił samobójstwo. Miał sobie strzelić w łeb nad starą gazetą...

– Nie...

Malvina zawahała się przez krótką chwilę, trzy słupy wysokiego napięcia mignęły za szybą. Jednak mówiła dalej.

– Chyba należy uznać, że ten dupek nie umiał dobrze wycelować.

Kłamała! Przynajmniej w tym kłamała! Czy Grand-Duc kontaktował się z de Carville'ami, zanim został zamordowany? Czy zdradził coś oprócz tego, o czym napisał w zeszycie?

– Grand-Duc coś odkrył! – Marc prawie krzyknął. – Na pewno powiedział o tym twojej babci. Co wam naopowiadał? Mów!

– Prędzej zdechnę!

Zabrzmiało to prawie jak wyznanie... Malvina skrzyżowała ramiona i odwróciła głowę w stronę szyby, jak gdyby chciała zasygnalizować, że nie zdradzi nic więcej. Okno było uchylone na dziesięć centymetrów, a wystające spod jej lakierowanej spinki rzadkie włosy rozwiewał wiatr. Marc zatrzymał wzrok na jej torebce.

– OK, skoro nie chcesz mi nic powiedzieć... Sam się obsłużę.

Wolna dłoń Marca wślizgnęła się do torby.

– Nie ruszaj tego, Vitral!

Malvina zgięła się wpół jak sprężyna. W furii ugryzła go w nadgarstek dłoni trzymającej broń, chciała przegryźć mu żyły. Wolna ręka Marca zgięła się, dłonią zatrzymał Malwinę na miejscu i mocno popchnął z powrotem na siedzenie.

– Świnia – syknęła Malvina, chwytając ramię Marca.

Małymi nóżkami kopała go w kolana. Przez chwilę wahał się, czy nie przyłożyć jej raz a dobrze, ale zrezygnował. Wyciągnął tylko rękę i trzymał Malwinę na dystans. Dziewczyna przyczepiła się do jego marynarki, próbowała go uszczypnąć, szarpnąć, oderwać, co się dało, ze wszystkich sił, jakie jej pozostały.

Okazała się jednak za słaba wobec Marca. Walka była nierówna. Jej palce puściły. Znowu wyładowała głęboko na siedzeniu z głową przy szybie.

Marc odetchnął. Malvina, której na twarz opadły długie rozczochrane włosy, starała się ukryć uśmiech pełen radości. W walce błękitna koperta wypadła Marcowi z kieszeni i wślizgnęła się pod siedzenia, a on tego nie zauważył. Musiała tylko odczekać, aż zostanie sama, i wtedy ją podniesie. To pewnie nic takiego, jakieś notatki, faktura za telefon... A może jeszcze coś innego...

Marc otworzył torebkę z krokodylej skóry.

Koperta poczeka, pomyślała Malvina, ten skurwysyn nie odważy się przeciw...

– Nie rób tego, Vitral!

Malvina wściekała się, ale nie mogła nic zrobić.

– Podgrzejemy trochę atmosferę? Co tam chowasz, mała kokietko?

Dłoń Marca na ślepo przeszukiwała zawartość torebki. Klucze, telefon, szminka, portfel, również z krokodylej skóry, srebrny długopis, mały notesik...

Obie dłonie Malviny zaczęły się trząść, jak gdyby straciła nad nimi kontrolę.

Marc cały płonął! To notesik sprawił, że Malvina dostała hysterii. Nie był to notes adresowy, ale zwykły, bardzo prosty, miał jakieś siedem na dziesięć centymetrów. Marc odgadł przyczynę przerażenia Malviny. To pamiętnik albo coś w tym stylu!

– Jeśli go otworzysz, Vitral... już nie żyjesz.

– No to wypłuj z siebie, co wiesz. Co wiesz na temat Grand-Duca?

– Nie żyjesz... przysięgam...

– Tym gorzej dla ciebie.

Marc jedną ręką złapał notesik. Kartki wyglądały podobnie. Lewe strony Malvina udekorowała rysunkami, zdjęciami, wyklejankami, a na prawych stronach napisała drobnym, dziecięcym pismem po trzy linijki. Trzy krótkie linijki, wykaligrafowane jak krótkie wierszyki.

Bez wątpienia on pierwszy otworzył ten notesik, a już na pewno pierwszy go czytał. Nadal starannie celował w Malwinę z pistoletu. Młoda kobieta sprawiała wrażenie, jakby wyczekiwała z jego strony najmniejszej oznaki dekoncentracji, żeby skoczyć mu do gardła. Otworzył notesik na chybił trafił. Na lewej stronie przyklejony był krucyfiks. Jednak głowa w koronie cierniowej została zastąpiona głową jakiegoś młodego mężczyzny o rozpalonym spojrzeniu. Pewnie jakaś gwiazda telewizji, której Marc nie znał. Po cichu przeczytał, co było napisane na stronie prawej:

*Ulepić twoje kształty z mojego rózańca,
Dotknąć twojego ciała na krzyżu,
Oddać ci się*

– Mała zbereźnica – skomentował Marc. – To o tym myślisz podczas mszy, gdy patrzysz na Jezusa...

Malvina wydarła się szczekliwie:

– Jesteś za głupi, żeby to zrozumieć! To haiku. Japońskie wiersze. To dla ciebie za mądre!

– A twoja babcia? Ona też jest za głupia? Mogę jej wysłać esemesa?

Malvina zmarszczyła brwi jak dziecko przyłapanie na psotach. Marc mówił dalej:

– No więc? Gadaj albo czytam dalej. Co wiesz na temat Grand-Duca?

– Zamorduję cię...

Marc wyrwał kartkę z notesu, zmiął ją w kulkę, po czym wyrzucił przez uchylone okno pociągu.

– Masz rację. Będę szczery. Ten był do kitu. Spróbujemy z następnym? Poczekaj, pobawimy się. Ja zadaję pytanie, ty odpowiadasz. Jeśli nie, czytam następny wiersz. Jeśli mi się nie spodoba, wyrzucam, jeśli mi się spodoba, wysyłam esemesa do twojej babci.

Marc kartkował notes, śmiejąc się głośno. Zbyt głośno. Próbował dodać sobie animuszu, choć źle się czuł, wchodząc z butami w czyjeś intymne sprawy. Malvina zwinęła się na siedzeniu w pozycji bezbronnego wróbelka. Każda wrywana przez Marca kartka była jak wyrwane piórko.

Kartki przelatywały. Marc zatrzymał się na zdjęciu samolotu, airbusa, który został starannie wycięty i wklejony do kominka.

*Stalowy ptak.
Anioł w piekle
Moje ciało*

– To ładne – skomentował Marc.

W gardle rosła mu gęła, która nie pozwalała mu swobodnie przełykać. Nie chciał niczego dać po

sobie poznać.

– Oprócz ostatniej linijki. „Moje ciało”. Mogłaś przynajmniej postawić znak zapytania, moja droga Malvino. No nic, za okno!

Dwie kartki zniknęły za oknem pociągu. Malvina drżała. Marc mówił dalej:

– A więc nadal nie masz mi nic do powiedzenia, Malvino? Co robiłaś u Grand-Duca?

– Spierdalaj!

– Jak chcesz...

Marc po raz kolejny przekartkował notes. Zatrzymał się na zdjęciu pokoju małej dziewczynki, które zostało najprawdopodobniej starannie wycięte z jakiegoś katalogu wnętrzarskiego. Po prawej stronie Malvina przykleiła zdjęcie Banjo, ogromnego pluszowego kasztanowo-żółtego misia. Na środku pokoju, na łóżku wkleiła jeszcze jedno zdjęcie: zdjęcie Lylie, rzecz jasna. Lylie siedziała w żakiecie i spódnicy, mogła mieć jakieś osiem, dziewięć lat. Fotografia skradziona przez Grand-Duca...

Marc zmusił się, żeby czytać obojętnym tonem. Piekło go w gardle:

Zapomniane zabawki

Brakowało mi ciebie

Porzucona?

– Przeklęty Vitral – syknęła Malvina. – A ja ci pokazałam pokój Lyse-Rose...

– Czekam...

Malvina pokazała mu środkowy palec.

Kartka została zmięta w kulkę i wylądowała za oknem.

Marc uważnie przejrzał strony zeszytu. Musiał dotknąć ją jeszcze bardziej, głębiej. Jego palce zatrzymały się kilka kartek przed końcem. Na prawej stronie widniało jego zdjęcie z Lylie. Łatwo było ustalić datę. Dziesiąty lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego, a więc niecałe trzy miesiące temu. Lylie właśnie otrzymała wyniki matury. Same piątki! Ściskali się na plaży w Dieppe.

Marc uśmiechnął się do siebie. A więc Crédule Grand-Duc albo Nazim zabawili się w paparazzich. Grali fair, w końcu przecież nadal obowiązywała ich umowa, płacili im de Carville'owie. Grand-Duc nie ukrywał tego w swoich zapiskach. Szkoda tylko, że Malvina Paluszki Wróżki zabawiała się wyklejankami. To jednak nie Lylie przytulała się do Marca na zdjęciu w notesiku. Do idealnego ciała Lylie przyklejona była głowa Malviny, chamski fotomontaż. Wielki łeb przyczepiony do ciała bogini.

Marc przeczytał słabym głosem:

Okryć wzrokiem twoich kochanków

Westchnąć, mieć twoich wielbicieli

Jedyna, rozkoszna gra

Malvina zamknęła oczy. Stała się małą myszką w pułapce, nie było dziury, w której mogłaby się schować. Marc walczył z ochotą, żeby oddać jej ten notes, wstać, zostawić ją i sobie pójść. Malvina

to tylko ofiara zamieszana w ogromny bezład po katastrofie na Mont Terrible. Biedna, zniszczona.

Jak on.

Dziecko, które pewnego dnia wstało i ujrzało w lustrze potwora. Dziecko zatopione w błocie zabronionych uczuć. Mimo to Marc usłyszał siebie, jak wypowiada słowa bardziej zabójcze niż naboże mauzera, którym nadal celował w Malwinę.

– Ten mam zachować? A może wysłać do twojej babci?

Malvina ze wzrokiem zagubionym w ogromnych polach kukurydzy wykręcała sobie palce, jak gdyby chciała je powyrywać. Marc wbił sztylet jeszcze głębiej. Gardło wyschło mu na wiór.

– Albo może pokażę go Lylie. Myślę, że bardzo ją to rozbawi!

Zaczął wrywać stronę. Malvina otworzyła szerzej oczy i dziwnie powoli zaczęła mówić:

– Crédule Grand-Duc zadzwonił do babci. Przedwczoraj. Jeszcze żył. Zdaje się, że znalazł wyjaśnienie całej sprawy. Jakoś tak za pięć dwunasta ostatniego dnia. Dokładnie w chwili, gdy zamierzał strzelić sobie w łeb, gdy siedział nad „L’Est républicain” z dwudziestego trzeciego grudnia osiemdziesiątego roku. Potrzebował jeszcze dnia lub dwóch, żeby zgromadzić dowody, ale twierdził, że jest pewien, że rozwiązał zagadkę. Potrzebował stu pięćdziesięciu tysięcy franków...

Marc delikatnie zamknął notes Malviny.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Podśluchiwałam przez drugi telefon. Potrafię stawać się niewidzialna. Mam do tego duży talent...

– Twoja babcia mu uwierzyła?

– Nie mam pojęcia. Mimo wątpliwości zdecydowała się dać mu pieniądze... Grand-Duc czerpał z jej zasobów przez osiemnaście lat. Dzień w tę czy w tamtą...

– A ty?

– Co ja?

– Uwierzyłaś Grand-Ducowi?

Twarz Malviny zastygła w niedowierzaniu.

– A tobie wydaje się to wiarygodne? Znaleźć rozwiązanie ot tak, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, tuż przed wybiciem dwunastej? Uważasz, że to możliwe?

Marc nie odpowiedział. Za oknem pola kukurydzy ustąpiły sadom jabłoniowym doliny Scie. Malvina odwróciła się do Marca i mówiła dalej cicho:

– Poszłam do Grand-Duca, żeby się z nim spotkać. Żeby mu powiedzieć, żeby przestał sobie z nas kpić. Że to koniec, że Lyse-Rose skończyła osiemnaście lat, że może już sama decydować. Czytałeś zapiski, ja też wiem wszystko. Bransoletka, pianino, pierścionek... Nie ma innej możliwości! Sam to niedawno powiedziałaś w Willi Różanej: przeżyła Lyse-Rose. Emilie zginęła w samolocie osiemnaście lat temu, możesz to powiedzieć swojej babci. Tak uważasz? Ona też tak myśli?

Tak, Marc tak uważał. Malvina miała rację na całej linii.

– Jeśli to nie ty, to kto zabił Grand-Duca? – zapytał Marc.

– Nie mam pojęcia. Nie moja sprawa.

– Twoja babcia? Żeby mu nie zapłacić?

Malvina odezwała się kpiąco:

– Sto pięćdziesiąt tysięcy? Wymyśl coś innego...

Marc przyjął to spokojnie i zapytał znowu:

– Czy Grand-Duc powiedział twojej babci, jak zamierzał zebrać ostatnie dowody?

– Tak. Powiedział, że jedzie w góry Jura. Do chaty w Doubs niedaleko Mont Terrible. To tam babcia miała wysłać pieniądze.

W góry? Jego słynne pielgrzymki? W październiku? Po co, do cholery?

– Co zamierzał tam robić? – zapytał Marc. – Szukać dowodów, które obiecał twojej babci?

– Robił nas w balona! I tyle.

Marc nic nie odpowiedział. Wstał, schował mauzera do kieszeni marynarki i podał notesik Malwinie.

– Bez urazy?

– Wal się!

2 października 1998, 18.10

Marc wrócił na swoje miejsce. Cicho przeszedł przed nastolatkiem, który wciąż miał w uszach słuchawki, i śpiącym typkiem, który położył nogi, już bez martensów, na siedzeniu naprzeciwko. Pociąg relacji Rouen – Dieppe przejeżdżał przez Longueville-sur-Scie, a za oknem ostatnie jabłonie znów znikwały w żółtym oceanie kukurydzy i rzepaku. Do Dieppe pozostał niecały kwadrans.

Marc usiadł i wypił łąpczywie pół butelki wody San Pellegrino. Upewnił się, że mauzer nadal spoczywa w jego kieszeni, po czym rzucił spojrzenie w głąb przedziału. Malvina się nie ruszyła. Marc drżącą ręką wyjął zeszyt Grand-Duca. Zdecydował, że skończy czytać za jednym podejściem. Zostało mu niecałe pięć stron. Wszystko działo się zbyt szybko. Jeśli nie chciał zwariować, musiał krok po kroku odtworzyć tę piekielną spiralę, tak spokojnie, jak się tylko da, mimo że nie wiedział, dokąd prowadziło to nagromadzenie tajemnic. Gdy zamknie zeszyt, przyjdzie czas zastanowić się nad tym, co powiedziała Malvina, nad tym ostatnim królikiem, którego Grand-Duc wyciągnął z kapelusza, zanim na zawsze został skazany na milczenie.

Dziennik Crédule'a Grand-Duca

Mathilde de Carville zwyczajnie poprosiła mnie o to w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym. Chciała, żebym za pomocą testu DNA porównał próbkę krwi małej Emilie Vitral z krwią de Carville'ów. Miałem znajomości w policji kryminalnej, Mathilde de Carville wiedziała też, że zaprzyjaźniłem się z Vitralami. Postawcie się na moim miejscu. Jak mógłbym odmówić? Niełatwo być przyjmowanym u Vitralów jako przyjaciel rodziny, a następnego dnia biec i o wszystkim opowiadać de Carville'om. Siedziałem na dwóch stołkach. Nie mówmy jednak o tym, przecież nie obchodzą was stany emocjonalne depresyjnego detektywa i macie rację!

Jeśli spojrzeć z czysto technicznego punktu widzenia, nie zamierzałem pojawić się z tortem i prosić Emilie Vitral ani jej babci o próbkę krwi. Mój plan był dość skomplikowany, owszem. Podarowałem Lylie kwiatek w uszkodzonym wazoniku, który miał jej pęknąć w palcach. Udało się lepiej, niż przypuszczałem. Wazonik się rozpadł, gdy tylko Lylie wzięła go do ręki. Zmieszany, pozbierałem zakrwawione kawałki szkła i wyrzuciłem do kosza, oprócz jednego, który wsunąłem do plastikowej torebeczki i schowałem do kieszeni.

Dziesięć igraszka. Nikt nie widział, nikt nie słyszał.

Wyniki z laboratorium otrzymałem kilka dni później. Gdybym powiedział, że miałem wyrzuty sumienia, ubawilibyście się. Wspominam o tym tylko dlatego, żeby wyjaśnić, po co w laboratorium zamówiłem duplikat. Jeden wynik. Dwie koperty. Jedna dla Mathilde de Carville, jedna dla Nicole Vitral. Błękitne koperty dostarczyłem im do rąk własnych.

Wobec obu babć postąpiłem tak samo.

Dzięki temu obie od trzech lat znają prawdę. Przemówiła nauka!

Mógłbym poprzestać na tym, że dałem koperty obu rodzinom i basta. Ciao, babunie! Radźcie sobie same.

Ale nie jestem aniołkiem. Nie, oczywiście, że nie. Nie oparłem się pokusie. Tak, przeczytałem

wyniki. Piętnaście lat śledztwa i żadnej pewności. Rzuciłem się na nie jak galernik, który po piętnastu latach dorwał się do kurwy...

Metafora jest na miejscu. Kurewski wynik.

Gdybym powiedział, że ten wynik mnie zaskoczył, użyłbym, jak to się mówi uczenie, eufemizmu. Upadłem na tyłek, którym siedziałem na dwóch stołkach. Jak gdyby ktoś tam na górze, Bóg albo dziewczica z Mont Terrible, nadal się ze mnie nabijał.

I chyba właśnie ten wynik sprawił, że ostatecznie wpadłem w depresję, która nieodwracalnie pociągnęła mnie na dno. Wynik absurdalny, z którego można się tylko śmiać. Należałoby spalić wszystkie lata poszukiwań na stosie, a potem rzucić się nań samemu, gdyż nie odgadłem, jaka czarownica stoi za tą sprawą.

Mimo wszystko od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego pozostałem lojalny, wierny jak stary policyjny pies. Z trudem kontynuowałem śledztwo. W zwolnionym tempie. Nazim odpuścił już jakiś czas wcześniej. Dorabiał niezłe na czarno i czasami pomagał Ayli w budce z kebabem przy bulwarze Raspail.

W grudniu dziewięćdziesiątego siódmego rozpocząłem ostatnią pielgrzymkę na Mont Terrible. Oto ostatni fragment układanki. Dość kłopotliwy... Oceńcie sami...

Ruszajmy zatem po raz ostatni na pielgrzymkę w góry Jura. Wówczas liczyłem, że całkowicie oddam się moim przyjemnościom: serowi i winu Monique Genevez. Przekopać ostatnie źdźbła trawy, chwycić ostatnie gałązki, zanim zanurkuję po raz ostatni. Moja pielgrzymka, moje własne Lourdes. Wszystko tak samo. Nadzieja na ten sam cud, który nigdy się nie wydarzył.

Ostatni pomysł przyszedł mi do głowy nocą, w chacie. Zrozumiecie dlaczego. Bez wątpienia trzeba mi było sześćdziesięciu dwóch centylitrów złotego wina, żeby wyobraźnia zaczęła działać. Mathilde de Carville miała rację, że dała mi na śledztwo osiemnaście lat. Zgadła, że działam raczej powoli. Rankiem wszedłem na Mont Terrible z łopatą i wielkim wiadrem. Kopałem obok chaty jak opętany, dokładnie w miejscu, gdzie znajdował się grób. Przez godzinę. Dziesięć kilo ziemi! Nic. Chwytałem wszystko, co podchodziło mi pod łopatę. Wszystko to przytargałem na plecach jak robotnik przymusowy. Gdy dotarłem do drogi, Grégory, przystojniak z Parku Naturalnego, zwiózł mnie i moje wiadro samochodem z napędem na cztery koła. Następnego dnia ubrudziłem bagażnik mojego bmw, wrzucając do niego dwa kilo ziemi, po czym odjechałem do Rosny-sous-Bois, żeby wszystko zanieść mojemu znajomemu z policji kryminalnej.

Chyba nie muszę mówić, że był wkurzony. Dwa kilo śmieci do obejrzenia pod mikroskopem! Co chciałem znaleźć? Ostatni kaprys szaleńca?

Jérôme, wspomniany kumpel, właśnie po raz trzeci został ojcem i w dodatku wziął na kredyt na dwadzieścia lat dom w Bondoufle, toteż długo się nie wahał, gdy wręczyłem mu kopertę z banknotami. Suma była dwa razy wyższa niż jego trzymiesięczne zarobki na państwowej posadzie kryminologa i choć miał doktorat, dostawał ledwie jedną czwartą pensji lekarza. Badanie mogło mu zająć wiele godzin, ale nic mnie to nie obchodziło.

Zadzwonił do mnie niecały tydzień później.

– Crédule?

– Tak?

– Zabawiłem się w ogrodnika, tak jak chciałeś. Podać ci pH, wilgotność i kwaśność tej cholernej ziemi? Co chcesz tam zasadzić? Ogródek warzywny na stare lata?

– Do rzeczy, Jérôme.

– OK, to tylko ziemia, Crédule... nic oprócz ziemi.

Zawahał się trochę przed słowem „nic”. Wciąż miałem nadzieję. Naiwniak do samego końca.

– Nic więcej?

– Owszem... Ale to naprawdę skala mikro. Nic, na czym można by się oprzeć...

– No wyrzuc to z siebie...

– Skoro ci zależy... W ziemi znalazłem też drobinki kości. Nic szczególnego. Proszek. Kilka gramów. To normalne w każdym lesie. Ziemia to kompost, nagromadzenie różnych martwych szczątków z powierzchni...

Naciskałem dalej. Jérôme Larcher był najlepszy w swoim fachu. Łeb nie od parady. Miał do dyspozycji najlepszy sprzęt we Francji.

– Kości czego?

– Kilka gramów, mówię ci, Crédule. Na tej podstawie z naukowego punktu widzenia nie można nic powiedzieć...

– OK, z naukowego punktu widzenia. A ty co byś powiedział?

Jérôme Larcher się zawahał.

– Chcesz wiedzieć, co mówi moja intuicja? OK, ale ostrzegam, że tego nie umieszczę w raporcie. Mam przeczucie, że są to raczej drobinki kości ludzkich niż zwierzęcych.

Cholera!

Ludzkie kości!

Musiałem go jeszcze przycisnąć. Czułem, że nie wydobyłem z niego wszystkiego. Wiedział o śledztwie, nad którym biedziłem się od lat.

– Możesz określić wiek?

– To niemożliwe... Nie mogę określić z dokładnością większą niż dziesięć lat, to ci nie pomoże...

– Chodzi mi o wiek tego człowieka, Jérôme. Nie o to, jak długo szczątki leżą w ziemi.

Jérôme zamilkł na dłuższą chwilę. Czułem, że to, co usłyszę, mi się nie spodoba.

– Crédule, to naprawdę bardzo subiektywne. Totalna improwizacja...

– Daruj sobie wstęp...

– OK, OK, według mnie to szczątki kogoś raczej młodego...

Po plecach spływały mi kropelki lodowatego potu.

– Jak młodego?

– Hmm...

– Dzieciaka?

– Za bardzo się podniecasz, Crédule.

Miałem wrażenie, że moja głowa tkwi w imadle, a każde kolejne słowo to jak kolejny obrót śruby.

– Co chcesz powiedzieć, Jérôme? Chodzi o niemowlę? Czy te cholerne drobinki kości ludzkich to szczątki niemowlęcia?

– Działam na oślep, już mówiłem. Wiarygodność zerowa, ale tak bym to ocenił... Chodziło o drobinki kości ludzkiego noworodka.

Cholera!

Co byście zrobili na moim miejscu? Dowiedzieć się czegoś takiego po osiemnastu latach poszukiwań! Co byście tak naprawdę zrobili? Poza strzeleniem sobie w łeb?

Ostatnie osiem miesięcy się nie liczy, tak jak ostatnie dziesięć dni, które spędziłem na spisywaniu tych wspomnień. To wszystko. Jest dwudziesty dziewiąty września tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego, godzina dwudziesta trzecia czterdzieści. Wszystko na swoim miejscu. Odłożę długopis do kubka stojącego naprzeciwko. Usiądę za biurkiem, otworzę „L'Est républicain” z dwudziestego trzeciego grudnia osiemdziesiątego roku, gazetę z tego przeklętego dnia, i spokojnie strzelę sobie w łeb. Moja krew zmiesza się z pozólkłym papierem gazety. Poniosłem klęskę...

Zostawiam tylko ten testament dla Lylie, dla tego, kto go zechce.

Zebrałem w tym zeszycie wszystkie wskazówki, wszelkie tropy, wszystkie hipotezy. Osiemnaście lat poszukiwań. Wszystko zostało spisane na tych prawie stu stronach. Jeśli przeczytaliście je z uwagą, wiecie teraz tyle samo co ja. Może będziecie bardziej przenikliwi? Może pójdziecie w stronę, w którą ja nie poszedłem? Może znajdziecie klucz, jeśli taki istnieje? Może...

Dlaczego nie?

Dla mnie to koniec.

Przesadą byłoby powiedzieć, że nie żałuję ani nie mam wyrzutów sumienia, jednak zrobiłem, co mogłem.

* * *

Ostatnie słowa. Kolejna strona była pusta.

Marc nadzwyczaj powoli zamknął zeszyt Grand-Duca. Jednym haustem opróżnił butelkę San Pellegrino. Pociąg miał wjechać na stację w Dieppe dokładnie za pięć minut. Jak pod wpływem zaklęcia facet w samych skarpetkach się obudził, a nastolatek chował walkmana.

Marc miał wrażenie, że jego mózg kręci się jak koło wywróconego roweru. Potrzebował czasu, żeby się zastanowić. Przede wszystkim musiał porozmawiać z babcią. Dostała wynik testu DNA, od trzech lat wiedziała, że Lylie nie jest jej wnuczką. To było ewidentne, przyznała się do tego, dała Lylie jasnoniebieski szafir.

Przeżyła Lyse-Rose, nie Emilie. To jedno było pewne. Co do reszty...

Kto wykopał grób na Mont Terrible? Czy pogrzebano w nim bransoletkę? Psa? A może noworodka? Jakiego noworodka? Otepiącej głowie Marca pytania nasuwały się jedno po drugim. Grand-Duc nie odpowiedział na żadne. Kto go zabił? Jaką prawdę chciał ukryć? Kto zabił jego dziadka?

Gdzie jest Lyl...

Ciszę w wagonie rozdarł wrzask.

Wrzask wariatki.

Malvina!

Marc rzucił się, zanim facet, który zawiązywał swoje martensy, zdążył zareagować. Malvina skuliła się na siedzeniu, jej chudym ciałem wstrząsały spazmy. Otwarta dłoń zwisała jej jak u samobójczyni, która podcięła sobie żyły.

Malvina wbiła wzrok w Marca, jakby desperacko szukała pomocy, jakby jej otwarta dłoń była dłonią alpinistki wyciągniętą w stronę towarzysza tuż przed runięciem w przepaść.

Marc spojrział w dół. Kilka centymetrów pod palcami Malviny na siedzeniu leżała rozdarta błękitna koperta i biała kartka.

Marc zrozumiał. Koperta musiała wypaść mu z kieszeni, gdy walczył z Malwiną. Nie wytrzymała, otworzyła ją, nie wiedziała o niczym, babcia nigdy jej nic nie powiedziała. Dlaczego więc tak wrzasnęła?

Marc nerwowo chwycił pismo sporządzone na maszynie w wydziale policji kryminalnej w Rosny-sous-Bois. Analiza rozciągała się na dziesięć linijek.

ANALIZA POKREWIEŃSTWA

pomiędzy Emilie VITRAL (próbka 1, numer 95-233)

a Mathilde de CARVILLE (próbka 2, numer 95-234)

pomiędzy Emilie VITRAL (próbka 1, numer 95-233)

a Léonce'em de CARVILLE (próbka 3, numer 95-235)

pomiędzy Emilie VITRAL (próbka 1, numer 95-233)

a Malwiną de CARVILLE (próbka 4, numer 95-236)

W kolejnej linijce wyrok:

Wynik negatywny.

Brak jakiegokolwiek pokrewieństwa.

Wiarygodność na poziomie 99,9687%.

Kartka wypadła Marcowi z rąk.

Lylie nie łączy z de Carville'ami żadne pokrewieństwo.

Lyse-Rose umarła. Przeżyła Emilie. Mieli z Markiem te same geny, tych samych rodziców, tę samą krew. Mimo wszystkich jego przeczuć, mimo tego, co podpowiadało mu serce, to pożądanie, które czuł wobec siostry, było chorym i przeklętym, kazirodczym popędem.

2 października 1998, 18.28

Marc szedł wolno wzdłuż portu w Dieppe. Dworzec znajdował się niecały kilometr od Pollet. Dokładnie nad Markiem na niebie unosił się okropny chiński smok. Wyglądało to tak, jak gdyby stworzenie rozdarło chmury, żeby wyzwąć go na pojedynek, żeby dorzucić jeszcze swoje do otaczającego go szaleństwa.

Marc przyspieszył. W głowie miał tylko jedno, chciał porozmawiać z babcią. Nie mógł nie myśleć o wyniku testu DNA. Lylie i on, te same geny! A jednak wszystkie jego przeświadczenia, najbardziej intymne uczucia sprzeciwiały się temu wynikowi. Jakie znaczenie ma ten świstek, ta naukowa pseudoekspertyza, w zderzeniu z tym, co odczuwał głęboko w środku?

Nie!

Lylie nie jest jego siostrą!

Naprzeciwko niego i skromnych jachtów z Dieppe stojących tyłem do morza kawiarenki były pełne. Festiwalowi latawców towarzyszył brak umiaru w jedzeniu muli z frytkami, nie było czego zazdrościć flamandzkim miasteczkom. Marc zwolnił, doszedłszy do mostu przeładunkowego łączącego wysepkę Pollet z resztą miasta. Malwinę zostawił w wagonie, skuloną na siedzeniu. Kartkę z laboratorium podniósł i schował do kieszeni. Malvina, leżąca w pozycji embrionalnej, nie protestowała.

Przed restauracjami hałaśliwe kolejki wydłużały się. Marc, obojętny na wszystko, starał się powstrzymać narastającą w nim głuchą wściekłość.

Nie!

Lylie nie jest jego siostrą!

Grand-Duc musiał się pomylić, to pewne. Pomylił próbki krwi, przekazał je do laboratorium źle opisane. Albo skłamał. A może to Mathilde de Carville chciała manipulować Vitralami i dała im sfałszowany wynik? A może nikt nie kłamał, może Lyse-Rose rzeczywiście nie łączyły z de Carville'ami więzy krwi? Mogła zostać adoptowana. Jej ojcem prawdopodobnie nie był Alexandre de Carville. Nikt nie znał okoliczności jej narodzin w Turcji. Sam Grand-Duc miał wątpliwości już podczas pierwszych miesięcy śledztwa. Niebieskooki pracownik przystani...

Marc przeszedł przez most, po prawej minął bar i ruszył ulicą Pocholle. Coraz rzadziej przyjeżdżał do Dieppe, zaledwie raz na miesiąc, szczególnie odkąd Lylie zaczęła studiować z nim w Paryżu. Stał przed swoim domem, fasada z cegieł i kamieni podobna do piętnastu innych na tej ulicy. Podwórko całkowicie zastawione pomarańczowo-czerwonym citroënem typu H. Wyglądało to tak, jak gdyby ogródek założono pod samochód. Marc zauważył z przodu i z tyłu plamki rdzy, wyrzucenie na drzwiach i ciemne smugi. Jak długo ciężarówka nie była używana, choćby tylko po to, żeby ją przestawić? Teraz nikt już nie chciał się bawić w tym ogródku dla lalek.

Marc zadzwonił do drzwi. Nicole otworzyła natychmiast. Otoczyło go ciepło jej obfitego ciała. Nicole długo ścisnęła Marca. Kiedyś czułby się skrępowany, ale nie dziś. Oboje mieli tego świadomość. Nicole w końcu go puściła.

– Wszystko w porządku, Marc?

– W porządku...

Marc nie starał się nawet udawać. Przyjrzał się uważnie małemu salonikowi. Za każdym razem, gdy wracał, pokój zdawał się kurczyć. A także ciemnieć. Pianino Hartmann-Milonga ciągle stało na swoim miejscu, między kanapą a telewizorem, lekko zakurzone. Na jego klapie leżał stos papierów: faktur, prospektów, gazet i ulotek. Nigdzie indziej nie było na to miejsca, więc czemu nie położyć tego na pianinie, które nie służyło już do gry?

Stół czekał już nakryty: dwa talerze, dwie lniane serwetki w kolorze écru i butelka fermowego cydru. Marc usiadł. Nicole chodziła między kuchnią a salonem, pokonując krótkie, pięciometrowe odległości. Przyniosła dwa filety z soli przygotowane zgodnie z miejscową tradycją, śmietaną oraz sos z mulami i krewetkami. Nicole była dobrą kucharką, ale umiała też prowadzić rozmowę, zadawać pytania i udzielać odpowiedzi. Rozmawiali o studiach Marca, przyszłości portu w Dieppe, ulotkach do rozdania, bolących płucach Nicole, dziurawej rynnie („Marc, gdybyś mógł rzucić okiem...”). Nicole mówiła z entuzjazmem, za dwoje, jak każda inna babcia, której rzadkie minuty rozmowy z bliskimi dzielą długie tygodnie ciszy. Marc odpowiadał monosylabami. Rozglądał się po pokoju, po czym jego wzrok zawsze spoczywał w tym samym miejscu tuż nad pianinem. W stosie papierów zauważył niebieską kopertę, taką samą jak ta, którą Mathilde de Carville dała mu w Willi Różanej i którą sprofanowała Malvina. Zatruty prezent Grand-Duca. Nicole wyjęła więc tę kopertę, którą chowała od trzech lat gdzieś w sekretnych szufladach swoich wspomnień...

Kto pierwszy odważy się o niej wspomnieć?

Nicole mówiła o jakimś sąsiedzie, który w stadium terminalnym przebywał w szpitalu. Marc pogрузzył się w myślach. A więc babcia od trzech lat znała prawdę. Miała dowód. Przeżyła Emilie, przez te wszystkie lata wychowywała własną wnuczkę. Nicole odniosła zwycięstwo na całej linii. Bez wątpienia podarowała Lylie pierścionek z jasnym szafirem z litości dla Mathilde de Carville, tak jak dawała żebrakom drobną monetę...

Upadek de Carville’ów do poziomu żebraków zdanych na łaskę jego babci wzbudzał w nim sprzeczne uczucia. Widok Malwiny skulonej w regionalnym pociągu ekspresowym na dworcu w Dieppe wciąż nie dawał mu spokoju.

Nicole podała ser. Jak zwykle dla siebie nie przygotowała deseru, ale przed Markiem dumnie postawiła talerzyk z jego ulubionym ciastkiem. Nieprzyzwoita eklerka z zielonym lukrem i czekoladą. Marc zaczął ich nie znosić mniej więcej w wieku dwunastu lat, ale nigdy nie miał śmiałości przyznać się do tego przed babcią. Najtańsze ciastko... Powoli przeżuwał porcję z kremem. Nicole dalej mówiła o ulotkach, o merostwie i porcie handlowym. Marc już nie słuchał. Jego wzrok zatrzymał się na zdjęciu rodziców, Pascala i Stéphanie. Zdjęcie wisiało w ramce nad kominkiem. Rodzice w strojach ślubnych stali przed kaplicą Notre-Dame-de-Bon-Secours, skapani w ryżowym deszczu. Marc pamiętał je od zawsze, od zawsze w tym samym miejscu, na tym samym gwoździu. Tragiczne szczęście.

Nicole przyniosła kawę podgrzaną w garnuszku, po czym nalała ją do dwóch filiżanek, dla siebie

bez cukru. To ona zrobiła pierwszy krok. Malutki kroczek.

– Masz jakieś wieści od Emilie?

– Nie... Nie bezpośrednio.

Marc się zawahał.

– Ja... sądzę, że ona jest w szpitalu. W jakiejś klinice czy w jakimś takim miejscu...

Nicole spuściła wzrok.

– Nie martw się, Marc. Nie przejmuj się. Jest już pełnoletnia. Wie, co robi...

Nicole wstała, żeby posprzątać filiżanki.

„Wie, co robi...”. Słowa Nicole odbiły się echem w wymęczonej głowie Marca. Czy to tylko babcine słowa otuchy, czy też Nicole coś ukrywa?

Marc wstał, żeby pomóc babci w wędrówkach między salonem a kuchnią. Podczas drugiego kursu zatrzymał się przed znanym mu zdjęciem w drewnianej ramce, stojącym na półce między drewnianą indyjską grą a barometrem. Zdjęcie przedstawiało Pierre'a i Nicole. Maszerowali obok siebie przed niższą prefekturą w Dieppe, pod wielkim transparentem głoszącym: STRAJK W PORCIE. Nietrudno było określić ich wiek, zdjęcie zrobiono w maju sześćdziesiątego ósmego. Nicole i Pierre nie mieli jeszcze trzydziestu lat. Nicolas, ich starszy syn, trzymał Nicole za rękę, a Pascal siedział na ramionach Pierre'a, miał jakieś pięć albo sześć lat i w zaciśniętej pięści ścisnął małą czerwoną flagę. Marc przyjrzał się dziadkowi, ojcu i wujkowi, uchwyconym na jednej fotografii. Wszyscy zniknęli, nie zostawiając mu po sobie najmniejszego wspomnienia. Marc zmusił się, żeby mówić normalnym tonem.

– Pójdę do mojego pokoju, Nicole. Muszę rzucić okiem na notatki. Wrócę za parę minut.

Odpowiedział mu brzęk naczyń odstawianych na suszarkę.

Marc wszedł do swojego pokoju. Wszystko w idealnym porządku. Nicole nadal niszczyła sobie zdrowie, sprzątając w pokoju, w którym Marc nocował rzadziej niż raz na miesiąc.

Marc miał wrażenie, że swój dziecięcy pokój odkrywa na nowo. To wina tego cholernego zeszytu Grand-Duca i całej przeszłości, którą wskrzesił. Plastikowy flet nadal leżał na biurku. Jego flet, ten, który pożyczała Lylie, żeby grać piosenki Goldmana, Cabrela i Balavoine'a. Przy ścianie nadal stało piętrowe łóżko. Górne było puste już od ośmiu lat, odkąd Lylie przeniosła się do pokoju babci. Marc pamiętał nieprzespane noce. Lylie uwielbiała wymyślać niekończące się historie. Marc, leżąc na dole, słuchał głosu Lylie tuż nad nim. Tylko czasem, gdy się bała, jej mała rączka zwisała w jego stronę. Siadał wtedy i trzymał ją za rękę, aż stawała się wilgotna, aż Lylie zasnęła. Czasem było inaczej. Lylie czytała do późna. Światło przeszkadzało Marcowi zasnąć, ale nic nie mówił. Nie prosi się słońca, żeby zgasło.

Lylie za nic nie zamieniłaby tej ciasnoty na ogromną sypialnię, jaka czekała na nią u de Carville'ów, na tonę prezentów, na misia Banjo i inne upominki. Marc był tego pewien. Ważki są przecież jak motyle, gdy są małe, potrzebują kokona. Przynajmniej zanim się przeobrażą...

Marc otrząsnął się, jak gdyby nostalgia opadła mu na ramiona jak łupież. Podeszedł do szafy i przesunął ubrania. Zostało ich niewiele. Wszystkie za małe rzeczy Nicole oddawała organizacji pomocowej, poza żółto-niebieskimi strojami do rugby... W szafie wisiał też samotnie czerwono-żółty

strój do piłki nożnej z napisem *Dündar Siz* na plecach. Rozmiar na dwanaście lat.

Marc się schylił. Chował notatki w kartonach stojących na podłodze. To, czego szukał, znajdowało się na samym dole, notatki z prawa europejskiego z zeszłego roku. Na tych zajęciach należało przede wszystkim wyuczyć się na pamięć dat: przystępowanie krajów członkowskich do Unii, traktaty, dyrektywy, wybory... Na tym polegały studia prawnicze, wkurzające ćwiczenie pamięci. Marc bez trudu odnalazł zeszyt, którego szukał, i odpowiednią stronę. Nie był najlepszym studentem, ale za to miał porządek. Podczas wykładów dotyczących Turcji uważał trochę bardziej. Czytał, co zanotował: Turcja przejęta przez wojskowych, zamach stanu, powrót demokracji...

Przez długie minuty sprawdzał szczegóły. Po ramionach spływały mu krople potu. W końcu zamknął zeszyt, dłonie miał wilgotne, na rękach dostał gęsiej skórki. Zrozumiał, co w opowieści Grand-Duca się nie zgadzało.

Wszystko się łączyło.

Marc usiadł na łóżku i próbował myśleć logicznie, najszybciej jak się dało.

Nie, dziadek nie zginął w wypadku. Został zamordowany! Marc miał na to dowód. Formalny. Ale szczegóły, jeden szczegóły się nie zgadzały, więc całe śledztwo na nic...

– Marc?

Głos Nicole dało się słyszeć przez cienką ścianę.

– Marc? Wszystko w porządku?

Pytanie zakończył napad kaszlu. Kaszlu ostrego, choć i tak złagodzonego przez kartonowe ściany. Marc przestał rozmyślać. Wstał, schował zeszyt do plecaka i poukładał resztę w stos. Długie minuty stał oparty o piętrowe łóżko. Uderzenia gorąca nie pozwalały mu oddychać normalnie.

Nicole dopytywała dalej drżącym głosem.

– Marc?

– Już idę, Nicole. Już idę.

Drzwi sypialni otwierały się bezpośrednio na salon. Naczynia zostały poukładane, na stole leżał koronkowy obrus. Nicole siedziała. Płakała. Przed nią na stole Marc zauważył niebieską kopertę.

Test DNA.

Duplikat, który trzy lata temu przyniósł Grand-Duc.

2 października 1998, 23.19

Marc przysunął krzesło i usiadł naprzeciwko Nicole. Powoli wyjął z kieszeni kopertę, którą dostał od Mathilde de Carville. Położył ją przed babcią.

Dwie niebieskie koperty. Dla obu babć.

– Wiedziała, że Mathilde de Carville ma wyniki – odezwała się Nicole łagodnie. – To jasne. Ale sądzę, że nie wiedziała, że Grand-Duc dał mi duplikat.

– Masz rację – potwierdził Marc. – Nie wiedziała.

Nicole otarła oczy białą chusteczką.

– Co ci dokładnie powiedziała?

Marc nie miał wyboru. Po to tu przyjechał, żeby wszystko wytłumaczyć. Mówił długo o swojej wizycie u de Carville'ów, streścił zapiski z zeszytu Grand-Duca, opowiedział o ostatnich stronach, o teście DNA, o niepokojach detektywa... Pomiął tylko jedno zdarzenie, zabójstwo Grand-Duca. Niewyjaśnione skrępowanie nie pozwoliło mu powiedzieć o tym babci. W tak brutalny sposób. Musiał się najpierw zastanowić, przemyśleć wszystko, co przeczytał. Zacząć od zera. Wszystko sprawdzić.

Nicole podniosła do ust chusteczkę i lekko odkaszlęła.

– Marc, Crédule Grand-Duc nie skłamał w swoim zeszycie. Ale też nie powiedział całej prawdy. Wygląda to trochę inaczej. Crédule lubi ubarwiać...

Czas terażniejszy wprowadził Marca w zakłopotanie.

– Byłem wtedy – odparł. – Na piętnastych urodzinach Lylie. Pamiętam, wszystko widziałem. Prezent, wazonik, który pękł, Lylie, która się zacięła, i Grand-Duca, który zbierał odłamki, mamrocząc przeprosiny...

– Oczywiście. Masz rację. Nie opisał tylko tego, co stało się później.

Marc pobladł.

– Później?

– Pamiętasz? Wyszedłeś z Emilie, żeby uczcić jej urodziny u Manon. Wróciliście po północy...

Marc położył dłoń na rozdartej niebieskiej kopercie. Przesuwał nią nerwowo po stole. Nicole odkaszlęła znowu, żeby odzyskać głos. Nic to jednak nie pomogło. Mówiła dalej.

– Zostałam z Crédulem sama. Podczas gdy ja zmywałam, on popijał na kanapie calvados. Płakałam nad zlewem.

– Płakałaś?

– Marc, nie jestem głupia. Crédule pracował dla de Carville'ów. Nie wątpiłam, że pewnego dnia Mathilde zażąda testu DNA. Jej prawo. Ja na jej miejscu zrobiłabym tak samo... Ale nie w taki sposób. Kiepski plan. Pułapka zapakowana jak prezent. Crédule był jedynym przyjacielem, którego zapraszaliśmy na urodziny Lylie...

Marc czuł się coraz bardziej zakłopotany. Nigdy wcześniej babcia nie zwierzała mu się w ten sposób.

– Kiedy się domyśliłaś?

– Gdy zobaczyłam krew Emilie... i Crédule’a zbierającego kawałki szkła. Crédule i jego plany szyte grubymi nićmi. Lepiej by zrobił, gdyby przyszedł ze strzykawką i opaską uciskową. Chciałam tylko, żeby grał uczciwie. Taką umowę zawarliśmy na początku: otworzyłam przed nim drzwi, ale miałam prawo do tych samych informacji.

– Przekazywał ci je, prawda? Dał ci duplikat wyników...

Oczy Nicole na nowo zaszczyły łzami.

– Nie do końca, Marc. Nie do końca. Zrobił to dopiero później. Płakałam nad zlewem, a później w jednej chwili podjęłam decyzję. Opłukałam nóż, zacisnęłam zęby i skaleczyłam się w mały palec. Wystarczająca ranka, aby pociekła z niej krew. Zawinęłam palec w ściereczkę i zaniósłam Crédule’owi kieliszek do wódki z kilkoma kroplami mojej krwi. Zrozumiał natychmiast. Nie był głupi.

– Jak zareagował?

Nicole uśmiechnęła się po raz pierwszy.

– Był trochę zły jak dziecko przyłapano na gorącym uczynku. Ale Crédule jest dobrym człowiekiem. Przepraszał, przyznał, że zachował się jak idiota. Prawie się wzruszyłam. Zapewnił mnie, że sprawdzi pokrewieństwo z de Carville’ami na podstawie próbki krwi Mathilde i z nami na podstawie próbki mojej krwi. A później...

Nicole odkaslnęła ponownie, jak gdyby kaszel blokował jej następne słowa. Marc zawahał się, czując się coraz bardziej niezręcznie.

– Nicole... Co chcesz mi powiedzieć?

Nicole mięła w dłoni białą chusteczkę.

– Naprawdę chcesz wiedzieć? W sumie to nie zbrodnia. I wątpię, żeby Crédule wspomniał o tym w swoim zeszycie.

Nie, tak naprawdę Marc nie chciał wiedzieć. Nicole łzy płynęły po policzkach, ale nie starała się już ich wycierać.

– Tamtego wieczoru kochaliśmy się. My się kochaliśmy, gdy wy się bawiliście. Jak starcy. To był pierwszy raz. Pierwszy raz, odkąd zmarł twój dziadek. Jedyny. Grand-Duc wodził za mną wzrokiem od lat. Był uprzejmy. Był praktycznie jedynym mężczyzną, który do nas przychodził. On...

– Nicole...

Marc wstał i położył ręce na ramionach babci z niezdarną czułością, po czym przyłożył palec do ust. Obraz ciała Grand-Duca nie dawał mu spokoju.

– Nie musisz opowiadać mi tego wszystkiego...

– Tak, ale musiałam to powiedzieć.

Nicole wytarła łzy, wstała i wcisnęła chusteczkę do kieszeni sukienki.

– Tak, Marc. Masz rację. Nie będę cię więcej zanudzać opowieściami staruszki.

Zrobiła kilka kroków, poprawiła obrus na stole, po czym uważnie przyjrzała się niebieskiej kopercie leżącej przed Markiem.

– Otworzyłeś kopertę?

– To... to długa historia. Powiedzmy, że to był wypadek, ale tak, otworzyłem ją. Przeczytałem.

– A więc rozumiesz, dlaczego płaczę. Nie z powodu Crédule’a. Nie tylko. Płaczę z powodu

Emilie.

Marc czuł się głupio, siedząc samotnie na kanapie. Wstał. Ogarnęło go potworne przeczucie. Drżały mu nogi. Nic już nie rozumiał.

„Płacę z powodu Emilie”. Echo słów Nicole rozbrzmiewało mu w głowie. Dlaczego babcia płakała z powodu Emilie? Przecież ten test DNA to jej oficjalny akt urodzin...

Podniósł powoli niebieską rozdartą kopertę, którą wręczyła mu Mathilde de Carville, i podał ją Nicole. Sam chwycił kopertę leżącą na stole, tę, którą Grand-Duc przekazał jego babci.

Otworzył ją.

Przeczytał.

Ciemny salonik zaczął się kręcić; pianino, zdjęcia, obrusy, kanapa, telewizor, wszystko wciągnięte w ten sam nierzeczywisty wir.

Kartka wypadła mu z rąk.

Wynik testu DNA nie miał sensu.

2 października 1998, 23.37

Malwinie przeszkadzało, że kamyki wbijają się jej w pośladki. Były twarde i zimne. Plażę skąpo oświetlał księżyc widoczny jedynie do połowy. Malvina nie znalazła żadnego innego miejsca, gdzie mogłaby spędzić noc. Kontrolerka przeszła jeszcze raz po pociągu, znacznie później, gdy stał na dworcu. Była wobec Malviny całkiem uprzejma i grzecznie ją poprosiła, żeby wyszła. Przestała być uprzejma dopiero, gdy ta nazwała ją brudną szmatą. Pojawiło się wtedy dwóch innych kontrolerów, którzy pomogli wyprowadzić Malwinę poza obręb dworca.

Dziewczyna wylądowała na ulicy. To pewnie przez ten cholerny festiwal latawców w całym mieście nie został ani jeden wolny pokój.

Malvina przez cały wieczór błąkała się po Dieppe. Nic nie jadła. Nie była głodna. Nie myślała o jedzeniu. Długo łąziła ulicami, aż w końcu skierowała się w stronę plaży. Odczekała, aż wszystko się uspokoi, wszystkie wygłupy, podrygiwania latawców, muzyka, flagi, przyśpiewki, grubasy, gofry, sprzedawcy, następcy Vitralów przy plaży w Dieppe.

Teraz, prawie o północy, wszystko dobiegło końca. Na niebie wisiało jeszcze tylko kilka fluorescencyjnych figur geometrycznych połączonych z ziemią za pomocą długich napiętych sznurków przyczepionych do haków wbitych w trawę. Malviny nic nie obchodziło, nie miała serca, żeby wzruszyć się jedwabnymi latawcami unoszącymi się nad jej głową. Gdyby tylko nasza ją ochota, mogłaby poprzecinać wszystkie te sznurki, żeby latawce powpadały do morza jak martwe słońca.

Poprzecinać sznurki. Wyłączyć telefon. Przekląć babcię, która zamówiła ten test DNA, która okłamywała ją przez lata. Odciąć pępownię.

Malvina rozłożyła się na plaży. Miała zamiar na niej spać. Na kamieniach. O zimne kamyki wbijające się jej w pośladki też już nie dbała.

– Powiedz, ślicznotko, nie powinnaś o tej porze być już z mamusią i tatusiem?

Malvina leżała w mroku, odwróciła tylko głowę w stronę, z której dochodził głos. Stało nad nią trzech facetów w odległości jakichś dziesięciu metrów. Każdy z nich trzymał w ręce butelkę z pomarańczowym płynem. Ściema. Na pewno nie była to ani woda, ani sok pomarańczowy.

– Moja piękna, możesz spotkać kogoś niedobrego, siedzisz taka sama...

Odezwał się najwyższy. W lewym łuku brwiowym lśniło mu srebrne kółeczko. Niższy, łysy, stojący trochę z tyłu, ledwo łąpał równowagę na kamieniach. Długie wypastowane buty kowbojskie nie ułatwiały mu zadania. Trzeci o gabarytach przypominających misia Banjo siedział sobie wygodnie.

Typek ze srebrnym kolczykiem podszedł bliżej. Na odległość trzech metrów. Reszta poszła za nim. Malvina podniosła głowę.

– O Boże, to jakaś staruszka – odezwał się facet w kowbojskich butach. – Z daleka wydawało się, że to mała dziewczynka...

– Chyba tak – odezwał się ten z kolczykiem.

Niedźwiedź i facet w kowbojskich butach wybuchli śmiechem. Malvina skuliła się i drżącą ręką

przeszukiwała torebkę. Zakłęła z wściekłości! Przypomniała sobie, że Vitral rąbnął jej mauzera jeszcze w pociągu.

Facet z kolczykiem zbliżył się o kolejny metr.

– Szukasz przygody, ślicznotko. Lubię takie dziewczyny jak ty. Widzisz, to twój szczęśliwy dzień.

Trzech facetów tylko dla ciebie...

– Spierdalaj, dupku.

Faceci odsunęli się o metr, oprócz tego w kowbojskich butach, który wywalił się na kamieniach.

Typek z kolczykiem zbliżył się znowu.

– Hej, chłopaki, trafiliśmy na niezłą jędzę...

Niedźwiedź też się odezwał. Dżentelmen.

– Nie zrobimy ci krzywdy. Chcemy się tylko trochę zabawić...

– Taa – zawtórował koleś z kolczykiem. – Bardzo mi się podobasz, moja śliczna. Styl z lat pięćdziesiątych, co? Zawsze marzyłem, żeby moja babcia mi obciągnęła.

Podszedł o kolejny metr i mówił dalej:

– Tylko że moja babcia nie ma już zębów...

Niedźwiedź i koleś w kowbojkach znowu się roześmiali. Niezła publiczka. Też podeszli i stanęli trochę z tyłu. Malvina chciała uciec, tylko wrzasnęła:

– Jeszcze krok i was rozwalę!

Trzej faceci przyglądali się z rozbawieniem cherlawemu ciałku Malviny, które wiło się na kamieniach.

– Mała będzie gryzła. No, nie zgrywaj takiej nieśmiałej, masz na to ochotę...

Facet z kolczykiem podszedł bliżej. A nie powinien.

Usłyszał tylko świst i może dojrzał cień w słabym świetle księżyca. Zaraz potem zamknął oko. Srebrne kółeczko zwisało na kawałku rozdartej skóry skąpane we krwi. W kolejnej sekundzie kolejny kamień roztrzaskał mu nos.

– Ty dziw...

Trzeci kamień otarł się o szeroko otwarte usta i trafił w prawą stronę żuchwy. Solidny kamień może zabić, jeśli się go dobrze wybierze, jeśli trafi się do celu oddalonego o trzy, cztery metry. Jeśli rzut jest mniej precyzyjny, kamień może okaleczyć na całe życie. Malvina nie miała może tej świadomości, ale trzej mężczyźni się domyślili. W pewnych okolicznościach nawet najbardziej tępi łapią wszystko w lot. Kwestia życia i śmierci.

Zwiali.

Leciał na nich ciągle deszcz kamieni. Koleś w kowbojkach znowu poślizgnął się na kamieniach i zaklął. Pocisk roztrzaskał mu obojczyk. Niedźwiedź nie był zręczniejszy. Kamienie waliły go w plecy i kark. Malvina rzucała już na oślep z siłą podwojoną przez wściekłość.

– Znajdziemy cię, dziwko! – rzucił facet z kolczykiem, gdy znalazł się poza zasięgiem gradu kamieni. – Jeszcze się zobaczymy!

– Dokładnie! – wrzasnęła Malvina. – Powiem glinom, że bez problemu rozpoznają typa, który chciał mnie zgwałcić! Jednookich nie ma wielu na ulicach...

Cienie oddaliły się, okulałe.

Godzinę później nad plażą zerwał się wiatr. Malwinie zrobiło się zimno. Wstała, rozprostowała obolałe ręce i nogi. Powoli poszła przez uśpione miasto aż na dworzec. Oczywiście był zamknięty. Malvina zasnęła więc na ławce na zewnątrz.

2 października 1998, 23.51

Salon Vitralów zatrzymał się. Na zawsze.

Drżąca dłoń Marca wyciągnęła się po kartkę, która upadła na podłogę. Była identyczna jak ta, którą przeczytał w pociągu – ten sam nagłówek policji w Rosny-sous-Bois. To samo maszynowe pismo. Taki sam układ tekstu.

ANALIZA POKREWIEŃSTWA

pomiędzy Emilie Vitral (próbka 1, numer 95-233)

a Nicole Vitral (próbka 2, numer 95-237)

Wynik negatywny.

Brak jakiegokolwiek pokrewieństwa.

Wiarygodność na poziomie 99,94513%.

Marc rzucił kartkę na stół, jakby nagle zapłonęła. Nicole zrobiła to samo i opadła na kanapę.

Oba testy były negatywne!

Marc wymamrotał prawie niesłyszalne pytanie.

– Co to... co to ma znaczyć?

Nicole wyjęła chusteczkę, wytarła łzę w kąciuku oka i uśmiechnęła się dziwnie.

– Crédule Grand-Duc to niezły komediant, nie sądzisz?

– Ty... wiedziałaś?

– Nie, Marc, zapewniam cię. Nikt nie wiedział. Oprócz Crédule'a oczywiście. Ten negatywny wynik poznałam trzy lata temu, od trzech lat byłam przekonana, że Lylie nie jest moją wnuczką, że Emilie zginęła w katastrofie, że wychowywałam Lyse-Rose de Carville... Tak właśnie myślałam. Nawet się z tym pogodziłam i dałam jej na osiemnaste urodziny ten pierścionek z szafirem. W końcu niemal się z tego cieszyłam.

Nicole zamilkła. Odruchowo pociągnęła wełniany szal, który miała na ramionach, żeby poprawić go na kamizelce zapiętej aż pod szyję. Spojrzała na Marca z nieskończoną czułością.

– Cieszyłam się. Ze względu na jej przyszłość. Szczególnie ze względu na was dwoje. Dzięki temu było o wiele prościej. Te wyniki... to takie ewidentne...

Marc nic nie odpowiedział. Wstał gwałtownie, znowu chwycił obie kartki, położył je jedna obok drugiej i zaczął porównywać. Nic nie pozwalało przypuszczać, że są to fałszywe dokumenty. Marc powstrzymał szaleńczą ochotę, żeby je podrzeć, zredukować do bezkształtnego stosu skrawków papieru. Prawie wrzasnął:

– Grand-Duc się pomylił, Nicole! Pomylił próbki, pomieszał, zamienił... Laboratorium też mogło popełnić błąd. Na pewno jest jakieś wyjaśnienie!

– Crédule dał nam pewnie wyjaśnienie, na jakie czekaliśmy – odezwała się łagodnie Nicole.

Marc podskoczył.

– Jak to?

– Tylko on wie, jakie próbki oddał do ekspertyzy... Zrobił, jak uważał, tak aby na światło dzienne wypłynęła prawda, którą chciał ujrzeć. Przez piętnaście lat śledztwa nie znalazł niczego, więc może samodzielnie napisał koniec tej historii...

Nicole zastanowiła się przez chwilę i mówiła dalej:

– Dwa negatywne wyniki to niegłupie. To się świetnie sprawdziło. W ten sposób przekonał Mathilde de Carville, że jej wnuczka zginęła. Definitywnie. Ta kobieta na zawsze dała nam spokój. Myślę, że Grand-Duc za bardzo jej nie lubił. Ja jakoś przełknęłam ból. Emilie nie jest moją wnuczką ani twoją siostrą. Trzy lata temu z powodu tego negatywnego wyniku przepłakałam wiele nocy, ale dzięki niemu pękł też ogromny balon, który rósł mi w żołądku, który mnie rozdzierał, który palił mi płuca za każdym razem, gdy patrzyliście na siebie z Emilie. W każdej minucie, w każdej sekundzie...

Marc usiadł na kanapie, przytulił się do Nicole, położył jej głowę na ramieniu. Ręką objął szeroką talię babci. Dotykał wełny szala. Nicole zwróciła twarz ku wnukowi.

– Rozumiesz, Marc. Oczywiście, że rozumiesz. To oznacza, że nie jesteście złączeni więzami krwi, że nie jesteście rodzeństwem. Jesteście wolni, mój drogi. Crédule kochał was na swój sposób, obserwował was, był zdolny uknuć taki plan...

Nicole przyjrzała się niebieskim kopertom leżącym na stole.

– Gdyby te wyniki nie znalazły się na jednym stole, jego plan mógłby zadziałać...

Marc wstał i nerwowo przeszedł przez pokój. Wbrew argumentom Nicole nie mógł uwierzyć w tę wersję, w to przedstawienie wyreżyserowane przez Grand-Duca. Z tego, co napisał w swoim zeszycie, wynikało, że detektyw był zdezorientowany tymi wynikami w równym stopniu jak oni. Nawet jeśli kłamał, tak jak w innych kwestiach...

– Wychodzę, Nicole, przejdę się.

Nicole nic nie odpowiedziała. Delikatnie ocierała oczy rąbkiem chusteczki. Marc chwycił klamkę drzwi wejściowych. Głos Nicole załamał się jeszcze bardziej, o ile w ogóle było to możliwe.

– Nie zapytałeś, gdzie jest Emilie.

Marc znieruchomiał.

– Wiesz?

– Dokładnie nie. Nie mam pojęcia, gdzie się znajduje. Ale owszem, zrozumiałam, o jakiej wielkiej podróży mówiła, przed jaką zbrodnią stoi. Mój Boże, jak można nazwać to zbrodnią?

Marc czuł, że serce zaraz mu wybuchnie. Po raz trzeci w ciągu dziesięciu minut jego życie zadrżało w posadach. Wszystkie objawy agorafobii zniknęły równie łatwo jak czkawka, która znika, gdy nagle się kogoś przestraszy.

Nicole się zawahała.

– Babcia domyśla się takich rzeczy.

Dłoń Marca zacisnęła się na klamce. Prawie wrzasnął.

– Czego się domyśla, Nicole?

Nicole z kolei odezwała się najłagodniej, jak potrafiła. Z powodu dyskrecji? Z powodu przyzwoitości?

– Emilie jest w ciąży, Marc. Jest w ciąży z tobą.

Dłoń Marca ześlizgnęła się z wilgotnej klamki. Nicole mówiła dalej tym łagodnym, słodkim głosem.

– Ma zamiar usunąć tę ciążę. Jest w szpitalu.

Marc oparł się o kontener na śmieci stojący na ulicy Pocholle. Księżyc słabo oświetlał małe siostrzane domki. Na końcu ślepej uliczki dwa koty z nastroszoną sierścią przyglądały się sobie w ciszy. Marc zastanawiał się, czy to te same koty, które chciała oswoić Lylie, gdy miała siedem lat. Może te same. Te same koty dziesięć lat starsze.

Poczuł się dziwnie spokojny, znacznie spokojniejszy niż kilka minut czy kilka godzin wcześniej. Priorytety zmieniły się gwałtownie, jak gdyby pozbył się zbędnych myśli. Wielkie porządki polegające na opróżnieniu umysłu. Zagadka dwóch testów DNA poczeka tak samo jak zabójstwo jego dziadka. Marc miał teraz tylko jedną obsesję. Lylie była sama w jakiejś klinice w Paryżu, w jakiejś sali, ciężarna. Nosiła dziecko.

Ich dziecko.

Marc podszedł do jedynej zapalanej latarni na ślepej ulicy. Kotom jakby zmienionym w posągi nie drgnął ani jeden włos. Marc zadzwonił do Lylie pięć razy. Bez skutku. Dzwonienie do kilkudziesięciu klinik w Paryżu niczemu już nie służyło, na pewno muszą chronić prywatność pacjentek, jeśli tego zażądają.

Lylie na pewno o to prosiła.

Po raz kolejny Marc nagrał się na pocztę głosową, gdy stał oparty o latarnię jak pijak gadający do siebie w świetle księżyca.

– Lylie. Nicole wszystko mi powiedziała. Nic nie zauważałem, niczego nie rozumiałem. Wybacz mi, byłem ślepy. Gdzie jesteś? Powinienem być przy tobie, obok ciebie. Nie będę prawił ci morałów, nie będę próbował cię przekonać, żebyś zatrzymała to dziecko. Nic podobnego. Nie będę kłamał, nie posunąłem się naprzód w śledztwie. Czarna dziura. Mgła. Jest nawet gorzej niż kiedykolwiek. Nie mogę polegać na swoich przeczuciach. Znasz je. Wiem, że one ci nie wystarczą. Poczeka na mnie, Lylie, błagam cię. Bardzo mi na tobie zależy, Marc.

Wiadomość głosowa uleciała w noc.

Koty zbliżyły się do siebie. Wydawały pomruki oznaczające walkę na śmierć i życie. Była to jednak gra, którą rozpoczynały każdego wieczoru od dziesięciu lat.

Marc usiadł na ziemi, na chodniku, którego każdą płytę znał na pamięć. Lylie upadła tu kiedyś, właśnie w miejscu, gdzie teraz siedział. Nic jej się nie stało. Spadła z dziecięcego rowerka, podrapała się tylko, trochę skaleczyła; krew już dawno zmyły normandzkie deszcze.

Marc zamknął oczy.

Dziecko. Ich dziecko.

Wzbierała w nim głucha złość. Nie na Lylie. Na obrót spraw. Nie cierpiał czuć się bezużyteczny.

Na końcu uliczki na pierwszym piętrze otworzyło się okno. Jakiś facet wystawił głowę i wrzasnął ze złości. Marc go nie znał, pewnie ktoś nowy. Przywołany przez swojego właściciela, jeden z kotów

uciekł. Drugi odczekał kilka sekund i podreptał w stronę Marca.

Marc wyciągnął rękę, a kot otarł się o nią. Jego szara, brudna sierść była jeszcze trochę najeżona. Staruszek pewnie często mruczał głaskany przez Lylie.

Marc rozumiał oczywiście motywy, jakie popychały Lylie do przerwania ciąży. Nachylił się nad telefonem i przejrzał poprzednie wiadomości. To nie kwestia wieku, środków finansowych, życia, które ma się przed sobą, ani kariery. Lylie nie chciała nosić dziecka z kazirodczego związku.

Marc zacisnął palce na szarej sierści kota. Z braku dowodów potwierdzających jej tożsamość Lylie nigdy nie zdecydowałaby się wydać na świat potwora. To jasne.

Wzniósł oczy do nieba. A jeśli znalazłby ten ostateczny dowód? Mógł jeszcze wszystko zatrzymać. Wystarczyłoby tylko znaleźć klucz. Kot wskoczył Marcowi na kolana. Marc spojrzał na niego.

– Co, grubasie? Po co jest tatuś, zanim urodzi się dziecko? Nieźle by było spojrzeć córce prosto w oczy, gdy dorośnie, gdy będzie potrafiła zrozumieć, na przykład w wieku piętnastu lat. Albo osiemnastu. Wziąć ją za rękę i powiedzieć coś w stylu: „Widzisz, moja śliczna, niewiele brakowało. Gdybym nie odkrył prawdy, gdyby nie udało mi się odnaleźć tego cholernego dowodu, nie byłoby cię na świecie. Nie nosiłem cię w brzuchu, ale uratowałem ci życie, moja panno. Tak, uratowałem ci życie. Tak bardzo kochałem twoją mamę, że chciałem mieć z nią dziecko. Dziecko miłości...”.

Kot uskoczył gwałtownie.

– Masz rację – powiedział Marc. – Gadam bzdury!

Lylie paliła na balkonie. Nie powinna. Miała to gdzieś. Jeden papieros, tylko jeden. No może trzy, tylko trzy. Dziewczyna o czerwonych włosach i żółtych zębach śpiąca obok nie była skąpa. Dała jej paczkę i powiedziała: „Częstuj się”.

Lylie odsłuchiwała wiadomość od Marca. Zaczęła odpisywać. Marc nie miał szans jej znaleźć. Tak było lepiej. Musi zakończyć to sama.

Zatrzymanie tego dziecka byłoby szaleństwem. Nie można żyć bez tożsamości, Lylie miała świadomość tego większą niż ktokolwiek inny. Jak mogłaby wymierzyć taką dożywotnią karę jakiemuś innemu niewinnemu istnieniu, innemu dziecku, własnemu dziecku? Jak znieść to, że sama spowodowałaby takie cierpienie?

W lewej dłoni ścisnęła tuareski krzyż, który dostała od Marca. Palce jej drżały. Trzymały papierosa, jednocześnie naciskając na klawisze telefonu. Dym ulatywał podświetlany na niebiesko przez ekran telefonu. Lylie podzieliła długą wiadomość na cztery części.

Marc. Niedługo wszystko się skończy. Nie martw się. To banalny zabieg. Zabiera tylko kilka minut.

Jutro przez cały dzień mam jeszcze spotkania z lekarzami. Mówią, że przed uśpieniem mnie muszą wykonać dodatkowe badania. Możliwe, że to podstęp psychologów, którzy chcą mi dać czas do namysłu. Kto wie.

Zabieg zrobią mi dopiero pojutrze. Nie martw się o mnie. Podjęłam słuszną decyzję. Jakoś to będzie.

Trzymaj się. Lylie.

Marc przeczytał odpowiedź, leżąc na łóżku w swoim pokoju. Natychmiast oddzwonił, ale bez skutku.

Przeglądał wiadomości raz po raz. Jego uwagę przykuła tylko jedna informacja. „Zabieg zrobię mi dopiero pojutrze”. Jedno precyzyjne słowo: „pojutrze”.

Miał dodatkowy dzień, aby dowiedzieć się prawdy! Myślał już tylko o tym. Zyskał jeden dzień. To było jak znak od losu. Jeszcze nie wszystko stracone.

Wpatrywał się w łóżko nad sobą. Mijały godziny, tak jak w dzieciństwie, gdy Lylie czytała do późna, gdy sąsiad zbyt hałasował lub gdy zmagał się z bezsennością. Czuwał. Jedna myśl kiełkowała mu w głowie jak chwast w zadbanym ogródku. Stało się jasne, że w tej sprawie wszystko się łączyło; zabójstwo jego dziadka, zabójstwo Grand-Duca, może też inne zabójstwa, o których nie wiedział... Tożsamość Lylie!

Grand-Duc znalazł rozwiązanie! Detektyw odgadł prawdę, zanim został zamordowany. Zamierzał pojechać w góry Jura na Mont Terrible. To zresztą logiczne. Wszystko zaczęło się tam, więc wszystko powinno się tam skończyć. Rozwiązanie czekało na Mont Terrible... Tam albo nigdzie indziej.

Czwarta nad ranem. Marc wstał gwałtownie i włożył sweter. Czy miał coś do stracenia? Nie miał żadnego innego tropu oprócz zeszytu Grand-Duca. Nie, to nie była dobra metoda! Nie jego metoda. Ostrożnie poszedł w mrok i skierował się do sypialni babci.

– Marc? – odezwała się zaspanym głosem Nicole.

– Nicole, czy ciężarówka jeszcze jest na chodzie?

– Citroën?

Nicole przetarła oczy ze zdumienia. Zerknęła na budzik stojący na stoliku nocnym, ale niczego nie skomentowała.

– No tak. Tak sędzę. Jeżdżę najwyżej kilka kilometrów na rok. Ostatnio, gdy go wprowadziłam...

– Kluczyki nadal są w drugiej szufladzie w salonie? Dokumenty też?

– Tak, ale...

Marc pocałował babcię w policzek.

– Dziękuję. Nie martw się...

Nicole chciała odpowiedzieć „Uważaj”, ale słowa zagłuszył kaszel. Podniosła do ust chusteczkę. Wiedziała, że tej nocy już nie zaśnie. Ani tej, ani kolejnych.

3 października 1998, 4.12

Ciężarówka odpaliła natychmiast. Marc już kilka razy prowadził ją na krótkich dystansach. Od dwóch lat to on nią jeździł po Dieppe i parkował w ogródku. Nicole wskazała mu punkty odniesienia, żeby się zmieścić podczas wycofywania i parkowania: skrzynka na listy, lewa okiennica sąsiada z naprzeciwka. Udawało się idealnie, jeśli tylko zastosował się do poleceń.

Citroën typu H należący do Vitralów został wyprodukowany we Francji jako jeden z ostatnich. Pierre Vitral kupił go w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym, a w osiemdziesiątym pierwszym firma przestała produkować ten legendarny model. Pierre wybrał wydłużony samochód, taki, jakimi w latach siedemdziesiątych jeździli rzeźnicy. Był pomarańczowy i miał czerwony spłaszczony przód, który nadawał ciężarówce wygląd wielkiego psa: dwa okrągłe światła jako oczy i lusterka na srebrnych prętach jako uszy. Pies z blachy falistej. Kochany psiak, jak mawiała Lylie. Wielki beczynny psiak śpiący na zewnątrz i zajmujący cały ogródek.

Pierre przystosował go z pomocą kuzyna mechanika z Neuville. Od czasu do czasu kuzyn robił też przegląd ciężarówki. Citroën sprawiał wrażenie, że jest młodszy, niż był w rzeczywistości. Dwieście osiemdziesiąt tysięcy kilometrów. „Bestia nie do zderzenia”, jak mawiał kuzyn. Marc musiał mu uwierzyć, choć karoseria była podrapana, gdzieniegdzie widniały plamki rdzy, tylna wycieraczka została przymocowana taśmą izolacyjną, a maska z przodu się nie domykała...

Marc spojrzął na zegarek. Po czwartej. Dieppe spało. Przejechał przez miasto widmo, strzeżone przez jedwabne maski targane na niebie porywistym wiatrem. Citroën jechał hałaśliwie, ale jechał. Marc nie chciał zbyt wcześnie odtrąbić zwycięstwa, miał do przebycia ponad sześćset kilometrów. Starannie przestudiował mapę. Wolał ominąć Paryż i przejechać przez miasta północne. Wszystko zanotował na kartce: Neufchâtel-en-Bray, Beauvais, Compiègne, Soissons, Reims, Châlons-en-Champagne, Saint-Dizier, Langres, Vesoul, Montbéliard, Mont Terrible. Obliczył, że będzie potrzebował około dziesięciu godzin. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Jechał wzdłuż portu. Musiał jeszcze przemknąć bulwarem Chanzy i miał znaleźć się poza Dieppe. Na ulicach nie było nikogo. Na końcu bulwaru minął dworzec. Odruchowo odwrócił głowę. Na ławce spała dziewczyna...

Citroën zatrzymał się gwałtownie. Przynajmniej hamulce działały bez zarzutu!

Klakson również.

Malvina de Carville obudziła się i podskoczyła. W kolejnej chwili jej dłoń zacisnęła się na kamieniu, który zabrała ze sobą z plaży. Może wariatka, ale za to ostrożna. Wstała. Za kierownicą pomarańczowo-czerwonego wehikułu rozpoznała Marca. Otworzył okno.

– Chyba nie obrzucisz samochodu kamieniami?

– Oddawaj spluwę!

– Mam ją w kieszeni, widzisz? Dobrze jej tam. Wsiadaj!

Malvina szerzej otworzyła oczy z niedowierzaniem.

– Będziesz się targować czy co?

– Wsiadaj, mówię. Jadę odbyć pielgrzymkę. Jesteś tak zmalretowana, że podróż powinna cię

zainteresować.

Malvina podeszła, ale nie rozluźniła dłoni zaciśniętej na kamieniu. Sceptycznie przyjrzała się rdzy i szparze między maską a silnikiem.

– Nie mów mi, że chcesz pojechać tą trumną na kółkach aż na Mont Terrible.

Marc nie chciał się zastanawiać, czy dojedzie, czy nie.

– Jestem pewien, że nigdy nie byłeś w górach Jura. A umierasz z ochoty.

Malvina puściła kamień.

– Nie myśl, że zgadłeś!

Marc otworzył drzwi od strony pasażera. Malvina z trudem podniosła nogę na wysoki stopień ze srebrnej blachy. Zaczęła narzekać.

– Tą twoją rozpadającą się ciężarówką nie dojedziemy nawet do Paryża.

– Muszę cię rozczarować. Nie jedziemy przez Paryż, jedziemy od północy wybrzeżem...

Marc podał Malwinie listę miast, przez które mieli przejechać.

– Szlag – odezwała się Malvina – same wsie... Lepiej, żebyśmy nie mieli żadnej awarii. Z nas dwojga to ty jesteś bardziej stuknięty!

Marc nie odpowiedział. W milczeniu jechali drogą departamentową numer jeden. Droga wiła się dołem doliny regionu Bray. Po dziesięciu minutach Marc jako pierwszy przerwał milczenie.

– Wybacz nam wczorajszy wieczór, nie zaprosiliśmy cię na kolację... Może następnym razem, co?

– Nie martw się. Potrafię dać sobie radę. Zakumplowałam się z miejscowymi chłopakami...

Znowu dziesięciominutowa cisza. Zbliżali się do Neufchâtel-en-Bray.

– Co tam będziemy robić? – zapytała nagle Malvina.

– Jedziemy na pielgrzymkę, już mówiłem...

Malvina spojrzała na Marca zaciekawiona.

– Tak cię wzięło nagle? Sądziłam, że sprawa już zamknięta. Ten przeklęty test DNA, który zamówiła moja babcia. Ważka jest twoją młodszą siostrą, napisali czarno na białym. Miotasz się, bo ją pieprzysz?

Marc wjechał do miasteczka i gwałtownie zahamował. Malwinę wcisnęło w siedzenie. Pas znajdujący się dla niej za wysoko wpił jej się w szyję.

– Jeśli będziesz tak hamował za każdym razem, gdy rzucę ci jakąś zaczepkę, nie dojedziemy na miejsce...

Zaczepka...

Miał znosić tę dziewczynę przez dziesięć godzin... Odpowiedział, jak umiał.

– Wybacz, zapomniałem przystosować pas dla małej dziewczynki...

– Cha, cha, cha – zadrwiła Malvina. – Jeśli masz poczucie humoru na takim poziomie, to chyba w drodze nie będziemy się nudzić.

Marc nie miał ochoty wchodzić w tę grę. Pozwolił, aby cisza zapadła po raz kolejny na długo, po czym zapytał:

– Wierzysz w ten cholerny test DNA?

– Prędzej zdechnę, niż uwierzę w to kurewstwo!

– A więc w tym się zgadzamy.

Malvina mówiła dalej, ciągnąc za swój pas.

– To bzdury! Od zawsze wiedziałam, że Grand-Duc jest po waszej stronie. Z powodu wyrzutów sumienia. Również z powodu cycków twojej babci...

Tym razem Marc nie przyhamował, ale zaczął się poważnie zastanawiać, czy nie wysadzić jej przy drodze. Zrobiłby tak, gdyby jej nie potrzebował. Musiał się uzbroić w cierpliwość. Malvina mu się przyda, już się zdradziła, nie zdając sobie z tego sprawy. Wspomniała o wyrzutach sumienia Grand-Duca. To dopiero początek...

Przez prawie godzinę siedzieli w milczeniu, aż do Beauvais. Jechali drogą krajową, pustą i monotonną. Malvina pochyliła się naprzód. Stary, sztywny i zakurzony pas wpił jej się w ucho.

– Założę się, że radio nie działa.

– Radio nie działa na pewno, ale magnetofon powinien być sprawny. Tam gdzieś są kasety, których słuchaliśmy w dzieciństwie...

Malvina wybuchła śmiechem.

– O w mordę! Kasety. Coś takiego jeszcze istnieje?

– Zajrzyj do schowka na rękawiczki. Znajdziesz dziesiątki kaset.

Malvina otworzyła schowek.

– Jak wygląda kasetka?

Odwróciła się do Marca ze złośliwą radością w oczach.

– Nie hamuj! Żartuję!

Przez kilka minut oglądała kasety, po czym włożyła jedną do magnetofonu, nie pokazując jej Marcowi. Samochód z blachy falistej wypełnił ostry gitarowy riff połączony z syreną policyjną. *La ballade de Serge K*, nocna przejażdżka samotnika.

Marc od pierwszego akordu rozpoznał album. *Poèmes Rock*.

Jutro, jutro. Jutro jak wczoraj – śpiewał nosowy głos Charléliego Couture’a.

– Byłem pewien, że właśnie to włączysz – odezwał się Marc.

– Nie wątpię. Nie chciałam cię zawieść...

Tym razem uśmiechnął się Marc. Wjeżdżali do Beauvais. Nawet o piątej rano jechało się źle. Co chwilę zatrzymywali się na światłach, które bez wątpienia ustawił jakiś sadystyczny policjant, aby kierowcy jadący z przepisową prędkością cały czas trafiali na czerwone.

– Masz rację – rzucił Marc między jednymi światłami a drugimi. – Potwierdzam. *Poèmes Rock* to najlepszy francuski rockowy album wszech czasów...

– Nie wiem. Znam tylko jedną piosenkę. Pewnie wiesz, którą... Nie masz CD, więc musimy przesłuchać najpierw całą stronę A...

– Czego zazwyczaj słuchasz?

– Niczego.

Głos Charléliego Couture’a zagłuszył milczenie. Wreszcie wyjeżdżali z Beauvais. Strona A się skończyła. Malvina przełożyła kasetę bez słowa i zrobiła głośniej. Za bardzo, blacha aż zawibrowała pod wpływem pierwszych akordów fortepianu.

*Jak samolot bez skrzydła...
Śpiewałem całą noc,
Tak, śpiewałem dla tej,
Która nie wierzyła mi całą noc...*

Marcowi po karku przebiegł dreszcz. Malvina zamknęła oczy, otworzyła usta i śpiewała, a raczej udawała, że śpiewa, gdyż z jej wykrzywionych warg nie wydobywał się żaden dźwięk.

*Nawet jeśli nie mogę odlecieć,
Dojdę aż do końca,
Och tak, chcę grać tu,
Nawet bez aty.*

Chcąc nie chcąc, Marc zwolnił trochę. Setki razy słuchał tej piosenki. W samotności. Gdy się chował i gdy wątpił. Nigdy z Lylie. Lylie jej nie znosiła. Zaczynała wrzeszczeć, jak tylko ją słyszała. Gdy miała osiem lat, u koleżanki Manon rozwaliła radio tranzystorowe. Rzuciła nim o terakotę w kuchni, bo właśnie ją zagrali.

*Posłuchaj głosu wiatru,
Który się wślizguje, wślizguje pod drzwiami,
Posłuchaj, zmienimy łóżko, zmienimy miłość,
Zmienimy życie, zmienimy dzień...*

Malvina sprawiała wrażenie wzruszonej do łez. Rozdzierające solo na gitarze też nie pomagało. Marc wpatrywał się wciąż w horyzont.

*Och, ważko,
Masz takie delikatne skrzydełka,
Ja, ja jestem roztrzaskany...*

Głos Charléliego Couture'a oddalał się powoli. Malvina pociągnęła nosem. Marc się nie odzywał. Jechali dalej trasą krajową, która przecinała smętne miasteczka. W próżnym oczekiwaniu na obwodnice mieszkańcy wywieszali informacje o liczbie zabitych i liczbie ciężarówek przejeżdżających tamtędy każdego dnia. Dwadzieścia minut później byli już blisko Compiègne. Ruch się nasilał.

Przy wyjeździe z Compiègne Marc odwrócił się nagle do Malviny.

– W najbliższej wsi możemy się zatrzymać przy jakiejś piekarni, żeby coś zjeść.

– Tak? Myślałam, że dasz mi poprowadzić, a ty udasz się na tył i wszystko przygotujesz.

Naleśniki, gofry... Jak dziadziuś z babcią...

Marc nic nie odpowiedział. Nie było już sensu, podjął decyzję. Nadszedł ten moment... W sumie to Malvina poruszyła tę kwestię. Przejeżdżali przez małą miejscinę o nazwie Catenoy, gdzie centrum,

kościół, szkoła i merostwo zostały przezornie oddalone od trasy przelotowej. Marc zaparkował na obszernym parkingu. W głębi wszystkie domy i sklepy były zamknięte, w tym restauracja, przed którą dumnie wisało menu dla przyjezdnych, gdzie posiłek kosztował czterdzieści dziewięć franków. Marc sprawdził, czy mauzer nadal bezpiecznie spoczywa w jego kieszeni, wyjął kluczyki ze stacyjki i wysiadł z samochodu. Wokół parkingu rosło kilka brzoź o liściach szerniałych od nieustającego napływu ciężarówek. Marc oddalił się trochę, wysikał za drzewem i wrócił do ciężarówki.

Malvina nawet się nie ruszyła. Marc podszedł do drzwi pasażera. Otworzył je. Z kieszeni spodni wyjął pięć wydartych z zeszytu kartek i podał je Malwinie.

– Masz, przeczytaj.

Malvina otworzyła oczy szerzej ze zdumienia. Marc wyjaśnił:

– To kartki z zeszytu Grand-Duca, jego słynnego zeszytu. To zapis jego śledztwa. Przeczytaj, to bardzo pouczający fragment. Później coś ci pokażę.

3 października 1998, 6.13

Mathilde de Carville zapaliła zapałkę i zbliżyła ją do palnika. Niebieskie płomienie tworzące krąg zaczęły lizać garnek z wodą. Odwróciła się i po raz ostatni spojrzała na „L'Est républicain” z dwudziestego trzeciego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku, po czym podarła pierwszą stronę. Zwinęła ją w rurkę i zbliżyła do płomieni. Rurka zmieniała się w nadpalony strzęp. Mathilde de Carville upuściła go do zlewu dopiero, gdy płomień osmalił jej paznokcie.

Ta strona z gazety nie była jej już potrzebna. Znalazła kopertę leżącą w holu wejściowym zostawioną tam poprzedniego popołudnia. Gazeta była złożona tak, jak Mathilde poprosiła sekretarkę. Myśląca dziewczyna. Mathilde przeczytała. Nie potrzebowała nawet minuty, żeby zrozumieć. Jak można było nie zrozumieć?

Grand-Duc nie blefował. Miał całkowitą rację. Prawda rzucała się w oczy, trzeba przyznać, ale tylko pod jednym warunkiem. Jednym jedynym. Jeśli otworzyło się gazetę osiemnaście lat później.

Co za ironia!

Od samego początku podążali fałszywym tropem.

Gorzej. Jej mąż postąpił jak najgorszy zbrodniarz. Zabił. Bez powodu. Ona nie była warta wiele więcej. Na wszystko przymknęła oczy. Dla Lyse-Rose. Zgodziła się dla dobra sprawy. Targnęli się na niewinnych ludzi. Ofiary takie same jak oni. Pewnego dnia prawda wyszłaby na jaw. Mathilde de Carville nie miała odwagi skonfrontować się z osądem ludzi. Ani z osądem Boga...

Mathilde de Carville zmoczyła palec w wodzie bez żadnego wahania. Woda była zaledwie ciepła. Linda przebywała na górze w pokoju dla gości. Spała. Po znalezieniu martwego Léonce'a zemdląła w holu. Nie zrobiła nawet dziesięciu kroków i upadła na podłogę. Mathilde podała jej środek na uspokojenie, później nasenny, ułożyła ją na łóżku, zawiadomiła jej męża, że Linda spędzi noc w Willi Różanej, co jej się czasem zdarzało, gdy Léonce czuł się źle. Nie zadawał pytań, Mathilde płaciła na tyle dobrze, że opiekunka mogła zostać po godzinach.

Mathilde otworzyła szafę i wyjęła szklany flakon zawinięty w gazetę. Linda niedługo się obudzi. Pierwsze, co robi, to oczywiście pobiegnie na policję. Mathilde nie miała zamiaru jej powstrzymywać. Co mogłaby zrobić? Nie zamierzała zamordować tej biednej dziewczyny. Gdy się zastanowiła, uznała, że poprzedniego popołudnia powinna była zaczekać jeszcze kilka godzin, powinna była zaczekać, aż Linda wróci do siebie. Zostałaby wówczas z Léonce'em sama jak każdego wieczoru. Wszystko byłoby o wiele prostsze... tylko że ponad jej siły! Czekać kilka godzin po tym, jak dostała tę gazetę, jak rozumiała. Przez lata tysiące razy myślała o tym, żeby samodzielnie wymierzyć sprawiedliwość. Wymierzyć sprawiedliwość... Wielkie słowa. Jedyne, czym mogła się pochwalić, to, że skróciła męki kaleki. Sprawiedliwość wymierzył Bóg.

Teraz przyszła kolej, żeby na wadze położyła ciężar swoich wyrzutów sumienia.

A potem policja i skandal...

Nieważne. Jej już tu nie będzie, żeby się z tym zmierzyć.

Palec Mathilde de Carville na nowo zmacił wodę na gazie. Tym razem prawie wrzącą!

Odetchnęła z ulgą. Wkrótce wszystko się skończy. Wyłączyła gaz, wlała gorącą wodę do glinianej miski, postawiła ją razem z flakonem i łyżeczką na małej srebrnej tacy, po czym wyszła z nią z kuchni.

Mathilde powoli weszła po czereśniowych schodach, otworzyła pierwsze drzwi po prawej, prowadzące do pokoju Lyse-Rose. Przyjrzała się ogromnemu pokojowi zawałonemu zabawkami i prezentami. Niezależnie od swojej wartości każdego roku, w każde urodziny, w każde Boże Narodzenie były jak symbol nadziei. Lyse-Rose nie została zapomniana. Każda świeczka symbolizowała płomyk nadziei, że dziecko żyje. Płomyk. Zgaszony definitywnie wczoraj po południu.

Léonce zabił na próżno.

Mathilde postawiła srebrną tacę przy stoliku nocnym. Żeby podejść do łóżka musiała przesunąć błękitny wózek wyłożony koronką i ostrożnie precyzyjnie przesuwać się nad miniaturowym serwisem z chińskiej porcelany. Delikatnie przeniosła wielkiego misia śpiącego na łóżku dziewczynki. Malvina nazwała go Banjo. Położyła się na łóżku, w którym od lat powinna spać Lyse-Rose, a gdzie nie będzie spała już nigdy. Odkorkowała flakon i wlała jego żółtawą zawartość do miski z wrzątkiem.

– Moje ulubione – szepnęła Mathilde. – Mój sekret. Moje jaskółcze ziele ze szklarni na wielkie okazje. Na wielką okazję. Ostatnią.

Mathilde zamieszała zawartość miseczki srebrną łyżeczką. Wyciąg z jaskółczego ziela połączył się z gorącą wodą i dał wywar. Mathilde wiedziała, że jest śmiertelnie trujący.

Dowiedziała się, że jaskółczym zieleciem nie da się otruć. Nawet jej męża. Podobno smak rośliny był nie do zniesienia. To dlatego wypadki zdarzały się bardzo rzadko. Czytała, że zmarł tylko jeden człowiek w Niemczech. To dlatego jaskółcze ziele nie jest wykorzystywane przez autorów kryminałów.

Mathilde delikatnie położyła łyżeczkę na srebrnej tacy. Sięgnęła za szyję i zdjęła swój krzyż.

Jaskółczego ziela nie polecano nawet samobójcom... Było zarezerwowane dla sił wyższych. Uśmiechnęła się. Nie należała do tych, którzy połykają opakowanie środków uspokajających albo wstrzykują sobie w żyły środek niepowodujący bólu... Przyjemne samobójstwo! Najgorszy oksymoron! Cóż za ohydny pełen hipokryzji sposób, żeby stanąć przed Sądem Ostatecznym!

Mathilde de Carville zanurzyła usta w miseczce z naparem. Skrzywiła się, ale wychyliła zawartość.

Śmierdziała.

Mathilde nie zamierzała się skarżyć.

W innych czasach, żeby odpokutować winę, kazałyby się biczować na śmierć albo wbić sobie w serce drewniany kołek, albo też kazałyby się spalić żywcem.

Mathilde ułożyła się na łóżku Lyse-Rose. Na łożu martwej.

W dłoni zacisnęła krzyż.

Nie potrwa to długo.

3 października 1998, 6.22

Marc przemierzał parking, podczas gdy Malvina, siedząc na siedzeniu pasażera, czytała pięć wyrwanych kartek. Przyniósł w plecaku kruche ciasteczka i karton soku pomarańczowego. Pożarł część ciasteczek i wypił połowę soku. Na parking zjechał TIR i stanął ponad pięćdziesiąt metrów od ich Citroëna. Wysiadł z niego facet z termosem w ręce. Pewnie z kawą. Marc zawahał się, czy nie poprosić go o kilka łyków.

Malvina z kartkami w dłoni wyskoczyła z ciężarówki.

– Przeczytałam, zadowolony? Tego chciałeś? Zdenerwować mnie wypadkiem twojego dziadka? Miał pecha, to na pewno... A poza tym do czego zmierzasz? Miałam wtedy osiem lat, ale jak pewnie się domyślasz, wiedziałam mniej więcej, o co chodzi. Jaki masz problem? Jeśli chciałeś mnie ostrzec, że twoja pomarańczowo-czerwona ciężarówka to trumna na kółkach, to niepotrzebnie! I tak nie miałam zamiaru tu spać dzisiejszej nocy...

Marc nie wdał się w pyskówkę. Być może zaczynał się przyzwyczajając do czarnego humoru Malviny. Jej jedyne sposobu komunikowania się, który dla niej był pewnie rodzajem terapii. Może taka terapia elektrowstrząsami pomoże też i jemu po tych latach milczenia, niedomówień i tematów tabu. Marc wślizgnął się do samochodu, pogrzebał w plecaku i wyjął segregator z notatkami z europejskiego prawa konstytucyjnego.

– Masz, czytaj...

– Co mam czytać? Wszystko?!

– Nie, nie wszystko. Tylko notatki z dwunastego lutego, te na temat Turcji.

Malvina westchnęła.

– Najpierw dawaj sok i żarcie.

Marc podał jej resztki swojego śniadania, a Malvina pochłonęła wszystko zachłannie. Jeśli była anorektyczką, nieźle to ukrywała.

– Dobra, co to za bzdury?

Chwyliła segregator, otworzyła go na wskazanej stronie i się skrzywiła.

– Przykro mi, ale nie potrafię odczytać twoich bazgrołów. Musisz być ostatnim osłem na wydziale, szczególnie przy Lylie... Jestem pewna, że ona jest najlepsza.

Marc przyjął cios. Humor. Humor o walorach terapeutycznych!

– A ty, jaki masz dyplom?

– Rekord świata w liczbie prywatnych nauczycieli. Trzydziestu siedmiu w ciągu piętnastu lat... Ostatni nie wytrzymał nawet dwóch dni...

– No to nie masz co się ze mnie nabijać...

Malvina się zaśmiała. Rzuciła na ziemię papier po ciasteczkach i pusty karton.

– Tak, ale ja jestem zbyt specyficzna dla nauczycieli. Nie mieszczę się w ich metodach nauczania, rozumiesz?

Podniosła wzrok.

– Cholera, nic z tego nie rozumiem...

– Czytaj tylko daty. Daty potrafisz przeczytać? Nie jesteś na to zbyt specyficzna?

– Wkurzasz mnie...

– Czytaj!

– Nie marudź...

Mimo wszystko Malvina zaczęła czytać.

– „Dwudziesty dziewiąty października tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego Turcja pod rządami Atatürka staje się republiką; siedemnasty września tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego premier Adnan Menderes zostaje zabity za pogwałcenie konstytucji”... Po co to?

– Czytaj dalej!

– Kurwa... „Dwunasty września tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego zamach stanu i powrót wojska do władzy; siódmy listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego narodowe referendum w sprawie przywrócenia demokracji”.

– OK – uciął Marc. – Teraz weź kartki z dziennika Grand-Duca. Pierwsze linijki.

– Jesteś naprawdę upierdliwy!

Malvina rzuciła kartki na ziemię.

– Dobra, spadamy? Jeśli chcesz dojechać w góry przed Wszystkimi Świętymi...

Marc schylił się spokojnie, pozbierał kartki i zaczął czytać.

– „Tamtej niedzieli, siódmego listopada osiemdziesiątego drugiego, spędzałem weekend w Antalyi nad Morzem Śródziemnym, na tureckiej riwierze, gdzie przez trzysta dni w roku świeci słońce. Gościłem u wysokiego rangą urzędnika tureckiego ministerstwa spraw wewnętrznych”. Omijam fragment. „Urzędnik w końcu ustąpił i zaprosił mnie w pewien weekend, kiedy przyjmował u siebie całą śmietankę tureckiej obrony narodowej. Tym razem Nazima ze mną nie było, Ayla nalegała, żeby wrócił do Francji, jak sobie przypominam, zachorowała... Zupełnie mi to nie odpowiadało. Cały weekend musiałem męczyć się bez tłumacza, żeby wyjaśnić, o co mi chodzi, podczas gdy wszyscy inni przyszli, żeby wygrzewać się w słońcu ze swoimi żonami... Jakoś zupełnie nie uważali, żeby moje pytania były ważne. Ja w sumie też nie. Coraz mniej byłem do tego przekonany”...

Malvina nerwowo kręciła brązowym pierścieniem wokół palca i odwróciła wzrok w stronę TIR-a zaparkowanego na końcu parkingu.

– No i co teraz? – rozdarła się tak głośno, żeby kierowca ją usłyszał. – Odpalamy twojego grata i robimy gofry, żeby urosły nam tyłki?

Kierowca z termosem usłyszał ją, spojrzał na nią jak na niespotykane zwierzę, wzruszył ramionami i odwrócił się równie przejęty, jak gdyby pod nogami zaczął mu szczekać mały psiak. Marc wpatrywał się w Malwinę. Po raz kolejny złość dziewczyny zabrzmiała fałszywie. Żalсна próba dywersji...

– Postawię ci kropkę nad „i”, Malvino. Coś tu się nie zgadza w datach... Crédule Grand-Duc w swoim zeszycie opowiada, że tamtej niedzieli siódmego listopada osiemdziesiątego drugiego gościł u wysokiego rangą urzędnika tureckiego ministerstwa spraw wewnętrznych, którego współpracownicy byli na przyjęciu nad morzem z żonami i dziećmi...

– Dziękuję, umiem czytać.

– ...tylko że – ciągnął Marc – dokładnie siódmego listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego odbywało się w Turcji referendum. Powrót do demokracji! Koniec rządów wojskowych. Historyczny dzień. Nie uważasz, że tego dnia wysocy tureccy urzędnicy mieli do roboty coś innego?

Malvina wzruszyła ramionami.

– Grand-Ducowi pomyliły się daty, i tyle. Piętnaście lat po fakcie, sam wiesz...

– No właśnie! – wrzasnął Marc.

Kierowca z termosem oparł się plecami o swojego TIR-a i przyglądał się scenie, jak gdyby Marc i Malvina byli bohaterami serialu.

– Chcesz aparat słuchowy? – Malvina wrzasnęła do kierowcy.

Facet nie odpowiedział. Zblazowany... Marc mówił dalej:

– Powiem ci prawdę, Malvino. Siódmego listopada osiemdziesiątego drugiego Grand-Duca nie było w Turcji! A przynajmniej nie było go w willi w Antalyi. Dlaczego zatem skłamał? Po co mu tak kiepskie alibi? Bo bez wątplenia przebywał gdzieś indziej. Gdzieś indziej, czyli gdzie? Gdzie mógł się schować w tamten weekend siódmego listopada osiemdziesiątego drugiego? W jakimś miejscu, gdzie nie powinien być? Po co dodawał, że Nazim został we Francji, a on w Turcji, jeśli nie po to, żeby zrzucić podejrzenia na swojego współnika?

– Gadasz bzdury – rzuciła Malvina. – Zdecydowanie jesteś jeszcze bardziej stuknięty niż ja.

Marc złapał Malwinę za sweterek. Nie broniła się. Nie miała już w kieszeni sploty. Nie miała nawet kamienia.

– A jeśli ten uprzejmy Grand-Duc, cierpliwy detektyw, skrupulatny i uczciwy Crédule-la-Bascule, przyjaciel Vitralów, zwariowany wielbiciel mojej babci, pozbawiony złudzeń narrator, wierny, czysty, biedny Grand-Duc... był tylko najemnym zbirerem? Śmieciem, któremu twój dziadek kazał usunąć moich dziadków, żeby odzyskać Lylie? Śmieciem, który powiedział „tak”...

Marc konwulsyjnie tarmosił fioletowy sweterek Malwiny. Dziewczyna wciąż milczała. Kierowca z termosem wsiadł z powrotem do swojego TIR-a. Hałas jego radia dobiegał aż do nich.

Marc mówił dalej, powstrzymując się, żeby się nie rozpłakać.

– O nie, tego szczegółu Grand-Duc nie sprecyzował... Jeśli nawet cała reszta jest prawdą, może nawet jego przywiązanie do naszej rodziny, do mojej babci... Klasyka – kat, który przywiązuje się do ofiary, której nie udało mu się zabić... Wyrzuty sumienia, które przekształcają się w fascynację. Ależ to patetyczne! A my przez lata zapraszaliśmy go do naszego domu... Zabójcę mojego dziadka. Babcia nawet...

Marc gwałtownie puścił Malwinę, zrobił parę kroków po parking, odruchowo podniósł z ziemi opakowanie po ciasteczkach i karton po soku. Poszedł w stronę najbliższego kosza na śmieci oddalonego o dziesięć metrów.

– Możesz mówić, co chcesz! – wrzasnął. – Wiem, że tak właśnie było. To Grand-Duc! W tej sytuacji staje się jasne, że w swoim dzienniku kłamał... Płatny zabójca. Twardziel, powiedział, czego chce...

Marc wrzucił śmieci do kosza.

– To mój dziadek – odezwała się Malvina.

Nigdy wcześniej Marc nie słyszał, żeby Malvina odezwała się tak łagodnie. Odwrócił się.

– To mój dziadek – powtórzyła. – On sam. Po pierwszym zawale. Nie wierzył w długie śledztwo babci. Był raczej porywczy. On też skontaktował się z Grand-Dukiem, niedługo po babci. Zapłacił mu bardzo dużo, mniej więcej tyle, ile kosztuje domek na Butte-aux-Cailles. Miało to wyglądać na wypadek... Zdaniem adwokatów, jeśli dziadkowie Vitralowie by umarli, Weber, sędzia w sprawach o dzieci, by się wściekł, ale my mielibyśmy wszelkie szanse odzyskać małą... Grand-Duc nie był wcale taki naiwny, dziadek zebrał informacje. W tamten weekend w listopadzie osiemdziesiątego drugiego wrócił z Turcji. Nikt się o tym nie dowiedział. Reszta nie była dla niego zbyt trudna.

– A ty skąd o tym wiesz?

– Miałam osiem lat. Nie wszystko wówczas rozumiałam, ale już wtedy wszystkich śledziłam. Złośliwa mała myszka, która wszędzie robiła dziury i potem się w nich chowała. Moja babcia zrozumiała zbyt późno, dopiero po śmierci Pierre'a Vitrala. Nie będę ci mówiła, jaki burdel powstał w jej biednym sumieniu. Zbrodnia! Jak to wyznać podczas modlitwy do Ojca i Syna, i Ducha Świętego? Dziadek miał drugi zawał niedługo później. Jego plan się nie powiódł. Babcia uznała to za przejaw boskiej sprawiedliwości i zamknęła się na zawsze!

– A ty, Malvino, co ty o tym sądzisz?

Malvina wahała się przez sekundę. Nerwowo wwiercała podszwę balerinki w aluminiowy stopień ciężarówki, po czym odparła:

– Że mój dziadek miał rację! A jak ci się wydawało? To mogło się udać, gdyby dziadkowie Vitralowie zniknęli. Lyse-Rose, moja mała siostrzyczka, którą mi ukradliście, wróciłaby do swojego pokoju. A ciebie oddaliby do sierocińca! Tak wtedy myślałam.

– A teraz? Co dzisiaj o tym sądzisz?

Tym razem Malvina się nie zawahała.

– To samo!

Ruszyli w dalszą drogę. Malvina zmieniła kasetę. Wybrała na chybił trafił, z powodu błękitnego pudełka *Brothers In Arms* Dire Straits. Głos Marka Knopflera mieszał się z szaleńczymi dźwiękami jego gitary. Pierwsza odezwała się Malvina.

– Ale Grand-Duc i tak był wstrętnym typkiem. Nigdy mnie nie polubił, nie wiem dlaczego. Może dlatego, że się domyślił, że ze wszystkim byłam na bieżąco.

Marc słuchał z roztargnieniem. Dręczyło go poczucie zdrady. Do jakiego stopnia Grand-Duc zafałszował prawdę w swoim zeszycie?

– Cztery dni temu chciał zaszantażować moją babcie – kontynuowała Malvina. – Swoją głupawą historyjką, jakoby wpadł na coś w ostatniej minucie. Sto pięćdziesiąt tysięcy franków. Trzy razy tyle, jeśli zdobędzie dowody... Nie wiem, kto go wykończył, ale zlikwidował wstrętnego karalucha!

Palce Marca podrygiwały na kierownicy w rytm saksofonu piosenki *Your latest trick*. Myślał o ostatnich słowach Malwiny.

„Nie wiem, kto go wykończył”...

Przypomniawszy sobie, jak odkrył ciało Grand-Duca. Kulka prosto w serce. Głowa w kominku zgodnie z makabrycznym rytuałem. Twarz trupa pokryta węglem i popiołem.

– Nie mówiąc już o teście DNA – ciągnęła Malvina. – Oboje wiemy, że to Lyse-Rose przeżyła.

A więc ten test dowodzi, że Grand-Duc jest zepsuty do szpiku kości.

W znękanym umyśle Marca zaczęła rodzić się potworna wątpliwość. Mała isierka przeniesiona przez wiatr, która rozprzestrzeniała się po jego mózgu jak pożar po sawannie.

– Na dodatek – kończyła Malvina – ten Grand-Duc to wielki nieudacznik. Dostał milion i nawet nie umiał wykończyć dwojga śpiących staruszków...

Dłonie Marca zacisnęły się na zszarganej skórze kierownicy. Z gitary Marka Knopflera wybrzmiał ostatni riff.

Poczucie humoru. Terapeutyczne.

3 października 1998, 11.33

Jechali już od pięciu godzin. Pomarańczowo-czerwony citroën typu H dawał radę, choć z trudem spisywał się na autostradzie, osiągając sto, sto dziesięć kilometrów na godzinę. Zapas kaset, najważniejsze dzieła lat osiemdziesiątych, już się skończył. *Sauver l'amour* Daniela Balavoine'a, *Famous Last Words* Supertrampa, *Morgane de toi* Renauda, *Positif* Jeana-Jacques'a Goldmana.

Zatrzymali się w Vitry-le-François, miasteczku, które pojawiło się znikąd w środku półkukurydzy w Szampanii, nawet bez znaku informacyjnego. Zjedli śniadanie w restauracji wciśniętej między trasę krajową a rzekę Marnę. Byli jedynymi klientami. Marc pogrążony w myślach zadowolony się omletem i sałatką. Malvina skorzystała z menu dnia i zamówiła talerz wędlin, stek z cebulą i crème brûlée.

– Pańska przyjaciółka ma niezły apetyt – odezwał się właściciel, puszczając do Marca oczko. – Ciekawe, gdzie ona to wszystko mieści!

Ruszyli w dalszą drogę.

Saint-Dizier. Chaumont.

Obrzeża basenu paryskiego następowały jedne po drugich. Równiny, na których rosły zboża, ograniczały kuesty i ostre zbocza niczym stopnie schodów, a po nich następowały zalesione depresje i równiny porośnięte przez zboża. Ciężarówka, zjeżdżając z kuest, rozpędzała się tak, jakby mogła się zatrzymać tylko podczas wjeżdżania na zbocze prowadzące w górę. Renaud po raz trzeci śpiewał *En cloque*. Od prawie dwóch godzin nie odezwali się ani słowem. Milczenie przerwała w końcu Malvina:

– Sądzisz, że Lyse-Rose będzie chciała mieć taką siostrę jak ja?

Marc przejeżdżał właśnie przez miasteczko o nazwie Fayl-Billot. Nic nie odpowiedział.

– Znasz ją – mówiła dalej Malvina. – Myślisz, że potrafi zrozumieć? Zaakceptować taką starszą siostrę jak ja? Złośliwą. Wulgarną. Złą.

Marc wciąż milczał. Mimo wszystko wolał już terapeutyczny humor Malviny.

– Mogę się zmienić – ciągnęła. – Powiesz jej, że mogę się zmienić?

– Jesteś naprawdę pewna, że Lylie to twoja młodsza siostra?

– Oczywiście. Oboje się co do tego zgadzamy, prawda?

Zamilkli po raz kolejny na dwie godziny. Marc zazdrościł Malwinie braku wątpliwości i jej determinacji. Zdawało się, że żyje w bańce, której nic nie może rozerwać. Gdy przejechali przez Vesoul, Marc otrzymał od Lylie esemesa. Telefon zawibrował mu w kieszeni. Nie zatrzymując się, wyjął go jedną ręką.

Marc. Jutro o dziesiątej rano mam zabieg. Wszystko w porządku. Nie martw się. Potem do ciebie zadzwonię. Będzie dobrze. Całuję. Emilie.

Jutro o dziesiątej rano... Za mniej niż dwadzieścia cztery godziny.

Goldman darł się *Porwij mnie!*. Marc instynktownie nacisnął na pedał gazu. Zbliżali się do lekkiego podjazdu. Citroën nie pojechał jednak szybciej. Im więcej mijali kilometrów, tym bardziej

ciężyla Marcowi szalona hipoteza, którą ukuł jego umysł. Stawała się ona coraz bardziej prawdopodobna, wręcz prawie oczywista.

Trzy godziny później jechali już gładko przez Montbéliard. Główne ulice aglomeracji zdawały się zbyt szerokie jak na skromny ruch: ogromne bulwary, szerokie aleje, obwodnice. Miasto sprawiało wrażenie, jak gdyby zostało zbudowane na miarę fabryki Peugeota w czasach jej świetności, gdy zatrudniała ponad czterdzieści tysięcy pracowników. Największa fabryka w Europie... Pozostała z niej obecnie mniej niż jedna trzecia.

Marc położył Malwinie atlas drogowy i kazał jej pilotować do Doubs, do granicy francusko-szwajcarskiej u stóp Mont Terrible, aż do miejsca o nazwie Clairbief, gdzie miała znaleźć chatę Monique Genevez, najpiękniejszy dom w całej okolicy według zapisków Grand-Duca.

– Co tam będziemy robić? – marudziła Malvina. – Chcesz odzyskać tę kasę, którą babcia wysłała Grand-Ducowi?

Marc wzruszył ramionami. Sprawdził dyskretnie, czy mauzer nadal znajduje się w jego kieszeni. Czy będzie musiał użyć broni? Czy ma powód? Czy ktoś tu od początku wszystkich zmanipulował?

Malvina już więcej nie naciskała i skupiła się na mapie. Poradziła sobie bardzo dobrze. Dziesięć kilometrów za Montbéliard przejechali przez most Pont-de-Roide, po czym cenna pomarańczowo-czerwona ciężarówka zaatakowała pierwsze wzniesienia Jury: najpierw wąską drogę w kanionie biegnącą wzdłuż Doubs aż do Saint-Hippolyte, później wąską dróżkę departamentową na ostrym wzniesieniu. Citroën jechał z trudem, rzeził i warczał, ale mimo wszystko udało mu się przejechać na drugą stronę góry. Widok na wielki meander rzeki Doubs, która przez trzydzieści kilometrów wiła się przez Szwajcarię, po czym grzecznie wracała do Francji, gdzie miała swoje źródło, zapierał dech w piersiach. Ciężarówka swobodnie zjechała w stronę rzeki w las piniowy złożony liśćmi sąsiednich drzew.

Chaty Monique Genevez nie dało się przegapić. Wzdłuż Doubs biegła tylko jedna droga aż do granicy szwajcarskiej przed nimi. Jasne drewno odbijało się w spokojnej wodzie rzeki. Marc wstrzymał oddech. Raz jeszcze, zaniepokojony, dotknął mauzera spoczywającego w jego kieszeni. Zaparkował samochód na parkingu przed chatą. Tabliczka poinformowała ich, że przyjechali we właściwe miejsce.

Parking z wyjątkiem pomarańczowo-czerwonej ciężarówki był pusty. Czas jakby się zatrzymał w tej przygranicznej miejscinie na końcu świata. Marc oddychał z trudem. A jeśli jego śledztwo zakończy się tu, na końcu drogi?

– No to idziemy? – zapytała Malvina.

– Minutę...

Marc wyjął mauzera L110 i upewnił się, że jest naładowany.

– Co ty wyrabiasz z moją spluwą? Chcesz załatwić starą Genevez?

Marc długo wpatrywał się w Malwinę, po czym powiedział:

– Pamiętasz, jak wyglądał trup Grand-Duca?

– Tak.

– Co pamiętasz?

– Jak to co?

– Pamiętasz trupa w mieszkaniu Grand-Duca, który miał na sobie jego ubrania, jego buty, jego zegarek...

Malvina pobladła. Marc mówił dalej:

– Trup z głową w kominku. Twarz spalona i pokryta popiołem, nie do rozpoznania.

Malvina wyłamywała sobie palce.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chodź za mną.

Wysiedli. Monique Genevez stała już w progu przy ogromnych donicach z geranium.

– Dzień dobry! – odezwał się Marc. – Czy dotarliśmy do chaty pani Genevez?

Początek rozmowy nie był szczególnie błyskotliwy, nazwa widniała na polakierowanej drewnianej tablicy.

– Jesteśmy... jesteśmy przyjaciółmi Crédule'a Grand-Duca.

Twarz Monique się rozpromieniła.

– Pan Grand-Duc! Oczywiście, znam go. Od ponad dziesięciu lat przyjeżdża tutaj w grudniu.

– W tym roku miał... przyjechać trochę wcześniej, o ile mi wiadomo.

Gospodyni się zasmuciła.

– Dokładnie, ale macie pecha. Dziś rano wyjechał.

Marc poczuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Malvina stojąca obok niego przestała oddychać.

Monique Genevez mówiła dalej tym samym tonem, nie zauważywszy zmieszania przyjezdnych.

– Wczoraj i przedwczoraj jak zwykle spał w pokoju numer dwanaście. Przedwczoraj spędził tu cały ranek, czekał na pocztę. Dostał grubą kopertę. Ale dziś rano wyjechał bardzo wcześnie, około szóstej.

Marcowi udało się wyartykułować kilka słów.

– Wie... wie pani, czy wróci?

– Zdziwiłabym się. Gdy do mnie przyjeżdża, zostaje na jedną lub dwie noce. Pielgrzymka, jak mówi. To dość ciekawy człowiek, ten wasz przyjaciel. Miły, grzeczny, nie ma się do czego przyczepić. Ma też piekielny apetyt. Ale ta jego historia z Mont Terrible, ta katastrofa, samolot... osiemnaście lat później... Jakby nie mógł zapomnieć o tych wszystkich nieszczęściach. Nie uważacie?

Marc przez długie sekundy milczał, aż w końcu wymamrotał:

– Powiedział coś? Wie pani, dokąd pojechał?

Monique zerwała kilka zwiędłych łodyżek geranium.

– Och, pan Grand-Duc nie należy do osób, które się zwierzają. Nawet gdy wypije litr wina. A ja nie wpytyuję. Nie, naprawdę nie wiem. Na pewno pojechał do Paryża. Tak robi zazwyczaj, prawda?

Marc naciskał jeszcze trochę dla zachowania pozorów, ale nie wyciągnął z gospodyni nic więcej. Wsiedli z powrotem do ciężarówki.

Malvina usiadła obok Marca i wypluła swoją złość:

– Mówiłam ci, że ten drań od samego początku chciał nas wyruchać!

Marc nic nie odpowiedział. Odczuwał potworną niemoc. Crédule Grand-Duc żywy, odjechał...

Ostatni trop jego poszukiwań wyslizgiwał mu się z rąk... Malvina mówiła dalej:

– Skoro domyśliłeś się, że Grand-Duc upozorował swoją śmierć i zlikwidował jakiegoś typka zamiast siebie, to po co tu przyjechaliśmy?

– Zamknij się...

Malvina zaklaskała w dłonie.

– Vitral, jesteś geniuszem. Dziesięć godzin jazdy, sześćset kilometrów i zostaliśmy tu jak dwie pierdoły. Nie mogliśmy zadzwonić?

– Zamknij się.

– Mogłeś mi przynajmniej wynająć pokój u Monique. Trochę klasy.

– Zamknij się, powiedziałem.

– A przynajmniej skombinować coś do jedzenia. Pieczeń i wino, tak, na to bym miała ochotę...

– Ale jesteś głupia, powinienem cię wykończyć od razu, wrzucić do Doubs i spuścić z nurtem do Szwajcarii...

Malvina spojrzała na Marca uważnie i ze zdziwieniem.

– Fakt, że Grand-Duc to śmieć, jest nieszczególnym odkryciem. Jaki masz problem? Dlaczego nagle zgrywasz takiego nerwowego? Coś cię przypiliło? Miałeś się jutro żenić z moją siostrzyczką? Miałeś już przygotowane całe przedstawienie?

– I tak nie zrozumiesz, więc nie wpytuj. Nie masz żadnego dyplomu.

Marc nerwowo przekręcił kluczyk w stacyjce.

– Dokąd jedziemy? – wypytywała dalej Malvina. – Wracamy? Nie zwiedzamy?

– Zamknij się! Obiecałem ci tę cholerną pielgrzymkę, więc przejedziemy drogą krzyżową aż do końca.

3 października 1998, 12.01

Crédule Grand-Duc przez lornetkę przyglądał się trasie pokonywanej przez listonosza. Samochodu pocztowego nie dało się nie zauważyć. Żółta farba na każdym zakręcie odcinała się na tle monochromatycznej zieleni lasów sosnowych. Furgonetka wjeżdżała pod górę powoli, niespiesznie. Zatrzymywała się przy każdej skrzynce na listy przy domach stojących przy wąskiej drodze, skierowanych na południe w stronę zbocza góry. Listonosz dotrze tam za dziesięć minut.

Xantia stała zaparkowana kilka kilometrów wyżej, jakieś trzydzieści zakrętów dalej, przed wjazdem do Saint-Hippolyte. Detektyw jeszcze przez kilka chwil przyglądał się listonoszowi.

Dziesięć minut...

Czy w końcu się uda? To już ósmy listonosz i wciąż bez skutku. W końcu los się odwróci. To nie kwestia losu, ale metod i wytrwałości, jak zawsze. Na tropie tej Mélanie Belvoir był już od trzech dni. Ta kobieta nie utrzymywała żadnego kontaktu z rodziną. Jej nazwisko nie widniało w żadnej książce telefonicznej. Nie znalazł żadnego administracyjnego śladu jej istnienia. Prawdopodobnie była mężatką, ale w rejestrze małżeństw nie figurowała żadna Mélanie Belvoir, choć Grand-Duc odwiedził czterdzieści pięć gmin w rejonie Montbéliard. Później pomyślał o listonoszach. Jeśli Mélanie Belvoir teraz nazywała się inaczej, to może jeszcze czasem dostawała korespondencję na stare nazwisko. Listy od przyjaciółki z dzieciństwa, katalogi wysyłkowe... Listonosz mógł wiedzieć, szczególnie listonosz z górskiej wioski powinien znać wszystkie adresy...

Tylko że siedmiu pierwszych nie kojarzyło nazwiska Mélanie Belvoir.

Trudno, musiał szukać dalej. Niejedno widział od początku tego śledztwa. Był zmotywowany... Nigdy jeszcze nie znajdował się tak blisko celu.

Na czym polega życie? Cztery dni temu miał strzelić sobie w łeb.

Grand-Duc ponownie przyłożył lornetkę do oczu. Furgonetka pocztowa przebyła jakieś dziesięć zakrętów.

Crédule Grand-Duc ścisnął w kieszeni spust rewolweru. Mateba model 6 unica. Półautomat. Ta broń miała wartość niemal kolekcjonerską, odkąd amerykańska firma upadła. Naboje musiał sprowadzać z Kanady za niebotyczną cenę czterdziestu dolarów kanadyjskich za opakowanie sześciu sztuk. Nieważne. Teraz dysponował jeszcze większymi środkami niż kiedykolwiek. Poprzedniego ranka odebrał w chacie Monique Genevez sto pięćdziesiąt tysięcy franków, które wysłała dodatkowo Mathilde de Carville.

Tylko zaliczka.

Czego chcesz więcej?

Może spokoju sumienia?

Pomyślał o swoim zeszycie, Lylie i Marc pewnie go już przeczytali. Szanse były nieduże, żeby poszli do niego i odkryli zwłoki. Ale nawet gdyby tak się stało, zabezpieczył się. W ich oczach pozostawał ofiarą, nie mordercą. Co do reszty... Czy okazał się dość zręczny? Czy podejrzewają prawdę? Czy domyślili się, kto siódmego listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego

dokonał zabójstwa za pomocą rurki z gazem?

W miarę upływu lat Grand-Duc przekonał sam siebie, że w rękach de Carville'ów był tylko narzędziem, że on nie chciał zamordować Vitralów. Gdyby odmówił Léonce'owi de Carville'owi, jakiś inny zbir zrobiłby to pewnie w jeszcze gorszy sposób i nie oszczędziłby Nicole Vitral. Detektyw odkupił to później. Przywiązał się do Vitralów, do Nicole, do jej wnuków. Poznał ich. Nawet pokochał. Tak, pokochał. Przede wszystkim Nicole. Od tamtej pory nigdy już ich nie zdradził. Próbował prowadzić śledztwo z najwyższą bezstronnością. Wszystko dla nich opisać w swoim zeszycie, najwierniej, jak się dało.

Oprócz nocy w Tréport oczywiście.

Nie był aniołem, nigdy tego nie udawał. Ale był zorganizowany, skrupulatny nawet w kwestii testu DNA, tego szatańskiego testu DNA, który doprowadzał go do szaleństwa, aż w końcu cztery dni temu stanął w obliczu samobójstwa.

Wszystko skończone. Nieudolny detektyw, samotnik zjedzony przez wyrzuty sumienia. Zawiązał worek i pozostało mu już tylko dobrać się do ostatniego świadka.

Mélanie Belvoir.

Żółta furgonetka wynurzyła się zza zakrętu. Stała tuż obok xantii. Wsiadł z niej listonosz. Był młody, na głowie miał dredy związane czerwoną bandaną. Nosił się na sportowo, listy mógłby rozwozić po górskich ścieżkach rowerem...

Crédule Grand-Duc stanął przed nim.

– Przepraszam. Chciałbym panu zadać pytanie. Mógłby mi pan wskazać, gdzie mieszka Mélanie Belvoir?

Listonosz spojrział na niego nieufnie.

– Przykro mi, nie podajemy tego typu informacji...

Klasyczna odpowiedź. Crédule nie dał po sobie poznać, że się ucieszył. Listonosz zareagował na nazwisko Mélanie Belvoir. Znał ją! Wreszcie odpowiednia osoba. Pozostawało tylko zmusić go do mówienia! Listonosz wrzucił trzy listy do skrzynki, przed którą stał, i skierował się z powrotem do furgonetki.

– Chwileczkę, mój chłopcze. Mówię poważnie. Policja!

Crédule Grand-Duc wyciągnął legitymację detektywa z flagą Republiki Francuskiej, która w dziewięciu na dziesięć przypadków załatwiała sprawę.

– No i? – odezwał się listonosz, nawet nie patrząc na legitymację. – Pracuję. Jestem na służbie. Proszę skierować oficjalne zapytanie do mojego przełożonego. On się zajmuje papierami...

Trafił na denerwującego typka. Nie może go przestraszyć, jeszcze nie. Zagrać mu na uczuciach.

Grand-Duc zrobił minę zmartwionego komisarza.

– To pilne. Kwestia życia i śmierci. Nie mogę powiedzieć więcej, ale każda minuta działa na naszą niekorzyść...

Listonosz przez dłuższą chwilę przyglądał się Grand-Ducowi.

– Nie mogę nic powiedzieć. Przykro mi, to poufne dane. Jeden telefon do centrali i będzie pan wiedział...

– Nie. Mélanie Belvoir nie figuruje w rejestrze. W każdym razie nie pod tym nazwiskiem...

– A więc to oznacza, że nie życzy sobie, żeby zawracać jej głowę...

Naprawdę trafił na osła.

– To pański obowiązek, młody człowieku, pomóc policji.

Listonosz pogwizdywał i pokręcił głową z dredami.

– Sorry, przyjacielu. Wydawanie uczciwych ludzi policji nie jest w moim stylu. To już nie ta epoka... Na razie, bye.

Odwrócił się.

– OK – odparł Grand-Duc. – Ile?

Listonosz westchnął.

– Co ile?

– Ile za adres? Pięć tysięcy franków? Dziesięć tysięcy?

– To są metody policji?

Wybuchł śmiechem.

– Nie wydaje mi się...

OK, koniec zabawy, pomyślał Grand-Duc.

W ten sposób nic z tego debila nie wyciągnie. Listonosz wsiadł już do furgonetki, gdy długa lufa mateby przylgnęła do jego skroni.

– To są metody policji, rozumiesz? – warknął Grand-Duc.

Facet zadrzał, jak gdyby cała jego impertynencja wobec władzy nagle wyparowała. Instynktownie położył ręce płasko na kierownicy.

– Spokojnie.

– No to co z Mélanie Belvoir?

– Nie znam.

Grand-Duc przycisnął pistolet mocniej. Palec zacisnął na spuście. Pot spływający listonoszowi po skroni zmoczył lufę.

– Powiedziałem ci. To kwestia życia i śmierci. Od tej chwili również dla ciebie. Zdradzę ci coś, nie jestem z policji. Jestem seryjnym mordercą. Postman Killer. Łapiesz? Mam fobię dotyczącą żółtego. Likwiduję wszystkich, którzy się ze mnie nabijają... No więc co z Mélanie Belvoir?

– Przysięgam panu, że...

– Dobra, w takim razie najpierw wpakuję ci kulę w kolano. Koniec z górskimi wspinaczkami. Z jeżdżeniem na nartach, na rowerze i z dziewczynami...

Grand Duc opuścił lufę, celując w nogę.

– OK! OK! – wrzasnął listonosz. – Proszę przestać. Przyjęła nazwisko męża czy też faceta, z którym mieszka. Luisans. Mélanie Luisans. Mieszka w sąsiedniej dolinie, przy trasie D34, gdy się wyjeżdża z Montbéliard przez Dannemarie, w pierwszym domu, stojącym osobno za wioską, ma błękitne okiennice, o ile sobie przypominam...

– Skąd to wiesz?

– Nadal dostaje pocztę na nazwisko Belvoir, trzy, cztery razy do roku.

– No widzisz, nie było tak trudno...

Grand-Duc nie krył zadowolenia. Odnalazł ostatniego świadka! Tylko jemu się to udało. Nawet jeśli ktokolwiek inny się domyślił, zrozumiał, gdy otworzył „L’Est républicain”, to jak miałyby dotrzeć do Mélanie Belvoir? Jak miałyby ją odnaleźć równie szybko? Nie, Grand-Duc był spokojny. Przewaga dawała mu poczucie spokoju.

– Czego pan chce od Mélanie Belvoir?

– Nie denerwuj się, mój chłopcze. Jesteś zbyt wrażliwy. Chcę z nią tylko porozmawiać o starych dobrych czasach.

3 października 1998, 15.23

Marc prowadził odruchowo. Ciężarówka nie szwankowała. Nie było na to czasu! Samochód robił, co mógł, żeby płynnie wjechać po serpentynach aż do Mont Terrible. Marc minął Indevilliers, po czym skierował się na ścieżkę wysypaną białym żwirem, przy której na kilkuset metrach leżało ułożone w stosy drewno. Nie miał jak zabłądzić, wystarczyło podążać za małymi strzałkami wyrzeźbionymi z drewna, stojącymi przy drodze: Pensjonat Parku Naturalnego regionu Haut-Jura.

Zaparkował przed pensjonatem, który otaczał wielki trawnik. Na fasadzie wisiała wielka mapa francusko-szwajcarskiej Jury, zaznaczono na niej szlaki piesze i rowerowe. Obok parkingu znajdował się nieduży plac zabaw, drewniane drabinki, zjeżdżalnie i liny bez wątpienia przeznaczone dla dzieci, które mają jeszcze siłę po górskich wycieczkach z rodzicami.

– Jest szesnasta – odezwał się Marc. – Dotrzemy na szczyt przed nocą.

Malvina spojrzała na niego z nieukrywaną ironią.

– Co chcesz tam znaleźć?

– Nic. Nie musisz ze mną iść, przecież wiesz.

– Naprawdę jesteś głupi. A po co miałabym przyjeżdżać aż tutaj?

Marc wszedł do pensjonatu. Kupił mapę regionu w skali jeden do dwudziestu pięciu tysięcy i przewodnik. Przy kasie siedziała wysoka brunetka, uczesana w długie warkocze w stylu indiańskim. Jakiś facet głaskał jej dłoń, jakby chciał pokazać, na jakie klawisze należy naciskać. Drugą ręką obmacywał pośladki squaw.

Grégory, pomyślał Marc. Inżynier o oczach psa husky. Facet z lasu, kolekcjoner stażystek, które dopiero co skończyły studia.

Marc wrócił do Malviny czekającej na zewnątrz, rozłożył mapę na stoliku przed pensjonatem i szybko odnalazł drogę, którą należało się udać, żeby dotrzeć na szczyt Mont Terrible. Złożył mapę z powrotem, po czym otworzył tylne drzwi ciężarówki. Wyjął plecak, do którego wcisnął kocyk, latarkę, butelkę wody, kiełbaskę i kilka paczek ciasteczek.

– Zaplanowałeś to? Tył twojej ciężarówki to prawdziwa jaskinia Ali Baby!

– Widzisz, u mojej babci nie ma za wiele miejsca, ani piwnicy, ani garażu, więc zapasy chowamy w samochodzie...

– Mogę się poczęstować?

– Tak, ale nie bierz za dużo, plecak nie może ważyć więcej niż ty.

– Spokojnie, to ty będziesz płakał za babcią, zanim dojdiesz na szczyt!

Marc zmusił się, żeby się roześmiać. Nie miał ochoty myśleć w sposób racjonalny, ustalać jakieś strategię. Czuł, że wycieczka, na którą się wybierał, nie ma żadnego sensu: wdrapać się na Mont Terrible, wrócić na miejsce tragedii, odszukać chatę Grand-Duca i grób... Grand-Duc mógł się znajdować wszędzie, ale na pewno nie tam. Marc wpadał w spiralę obsesji. Złota bransoletka, szczątki kości noworodka, ślady bezdomnego świadka katastrofy... Kamyczki rozsiane przez Grand-

Duca niczym przez sadystycznego Tomcia Palucha. Co spodziewał się znaleźć po dotarciu na szczyt? Cud, oświecenie...

Wyruszyli. Zgodnie z przewidywaniami wspinaczka trwała dobre dwie godziny. Marc szedł szybko. Malvina podążała za nim, ani trochę nie okazując zmęczenia. Podejście nie było zbyt trudne, pięćset metrów pod górę po dobrze wytyczonym leśnym szlaku. W miarę jak wchodzili coraz wyżej, ukazywała się panorama doliny Doubs, Szwajcarii i ufortyfikowanego miasteczka Saint-Ursanne. W połowie zatrzymali się, żeby się napić. Było gorąco. Marc się spocił, koszulę pod plecakiem miał przemoczoną. Z kolei Malvina miała na sobie sweter, a mimo to na jej skórze nie zalśniła ani jedna kropla potu. Na szczyt Mont Terrible docierało się przez gęsty piniowy las rosnący na łagodnym zboczu.

Marc jeszcze przyspieszył. Malvina deptała mu po piętach, podążała jego rytmem, dostosowała się nawet do jego rytmu oddychania. Wysilek fizyczny czynił z nich sprzymierzeńców, co Marc skonstatował z zaskoczeniem. To śmieszne, pomyślał w kolejnej chwili.

Sceneria dramatu ukazała się ich oczom bez uprzedzenia.

Nie mieli już przed sobą lasu.

Wyglądało to tak, jak gdyby na górę przybyła horda karczowników i z precyzją mierniczych wycięła połąć lasu, po czym ogrodziła ją sznurkiem. Czterdzieści metrów szerokości na kilometr długości. Posadzono tam młode sosny. Nie miały więcej niż metr, takie karzełki wysłane, aby zaludnić planetę olbrzymów. Radosne karły na kolorowym placu zabaw. Prostokątny teren był usiany żółtą i niebieską goryczką, obuwikami i pomarańczową arniką.

Malvina i Marc stali nieruchomo obok siebie.

Po katastrofie nie został żaden ślad. Żadnego pomnika, żadnej marmurowej tablicy, żadnej nawet zwykłej tabliczki z informacją. Tak lepiej, pomyślał Marc. Tysiące polnych kwiatów. Za dwadzieścia lat młode sosny będą prawie tak duże jak reszta drzew w tym lesie, ich gałęzie połączą się, jak palce, które się dotykają, po czym polne kwiaty w cieniu nie będą już kwitły, zaduszone, w żałobie oddadzą pole paprociom, mchom i co najwyżej kilku żonkilom.

Wszystko zostanie zapomniane.

Trwali w ciszy. Marc stał sztywno, nieruchomo, dokładnie pomiędzy lasem a prostokątną przecinką, jak gdyby nie chciał sprofanować tego miejsca. Malvina oddaliła się trochę i weszła w trawę. Najwyższe źdźbła sięgały jej ud. Marc poczuł, jak mimo woli szybciej bije mu serce. Zaczynał mieć problem z przełykaniem. Znał dobrze te pierwsze symptomy napadu agorafobii, które tutaj, być może z powodu wysokości, przychodziły wolniej. Cholerny strach przed strachem...

Nie odezwał się, nie ruszył, jedynie zaczął głębiej oddychać. Malvina musiała to usłyszeć albo też nie słyszała zupełnie nic i zdziwiła się, nie rozumiejąc dlaczego. Odwróciła się. Zmrużyła oczy oslepiona promieniami słońca i mogło się wydawać, że się do Marca uśmiecha. Pewien rodzaj smutnego uśmiechu, melancholijna kapitulacja, spokojna rozpacz. Marc odkaslnął. Nigdy by się do tego przed Malwiną nie przyznał, ale dzięki niej zaczęło mu się oddychać trochę lżej. Tak, nawet gdyby go torturowano, zaprzeczałby, ale sam przed sobą musiał przyznać, że obecność tej wariatki go uspokajała, szczególnie w tym sanktuarium, którego tajemnicę znali oboje.

Spędzili tam ponad godzinę. Lekka łuna słońca przysłoniętego chmurami prawie złała się z koronami drzew.

– Idziemy do chaty? – zapytał cicho Marc.

Malvina nie odpowiedziała. Ruszyła za nim.

Kilka razy musiał wyciągać mapę. Przez prawie godzinę błądzili po lesie, chodzili w kółko po podobnych do siebie przecinkach. Wyglądało na to, że Grand-Duc wszystko wymyślił. Malvina powstrzymała się od złośliwości, a nawet próbowała pomóc Marcowi w rozszyfrowaniu przewodnika. Zaczęła zapadać już noc, gdy w końcu udało im się odnaleźć sławetną chatę. Grand-Duc nie kłamał! Była dokładnie taka, jak ją opisał w swoim zeszycie: chatka pasterska, kamienie leżące jedne na drugich, dach w ruinie. Przez krótką chwilę Marc miał nadzieję, że Grand-Duc czeka w środku. Odruchowo wsunął dłoń do kieszeni i położył ją na pistolecie.

Na nic.

Chata była pusta.

Panował w niej większy porządek, niż opisywał to Grand-Duc, ale przecież wspominał też, że wszystkie odpady pozbierał do małych foliowych woreczków, gdy szukał Georges'a Pelletiera.

Czy ten człowiek w ogóle istniał?

Marc wyszedł z chaty i ją okrążył. Nie brakowało żadnego szczegółu opisywanego przez Grand-Duca. Rozkopana ziemia, kamienie rozrzucone na kilka metrów, dwa kawałki drewna, z których pewnie zrobiono krzyż, teraz leżały połamane nieopodal. I w tej kwestii Grand-Duc nie skłamał. Obok chaty znajdował się grób, który detektyw sprofanował dwukrotnie. Znalazł na sitku złote kółeczko i szczątki ludzkiego noworodka, ale co to teraz zmieniało?

Marc spojrzął na zegarek.

Dziewiętnasta trzydzieści sześć.

Nie dostał od Lylie żadnej nowej wiadomości. Usiadł na martwym pniu kilka metrów od chaty. Słońce zachodziło już za tym dachem świata. A przynajmniej dachem jego świata. Znajdował się daleko od wszystkiego, na dodatek w towarzystwie wariatki, która zresztą nie była aż taką wariatką, wcale nie tak niebezpieczną i złą.

Przegrał. Pozwalał, aby bolesne wspomnienia nim owładnęły, zalały go. Miał zamiar pogрузić się w tej mrocznej nostalgii, żeby nie myśleć, że w tej samej chwili Lylie śpi w sali w jakiejś klinice, a za kilka godzin ma poddać się aborcji, ponieważ owoc ich miłości musi zginąć. Jak zatruty owoc. A wszystko przez ostrożność. Nie chciał też myśleć, że jedyny człowiek, który mógłby mu pomóc, zabójca jego dziadka, chodzi sobie gdzieś na wolności, ale nie po Mont Terrible.

Malvina podeszła do Marca.

– Gotowe!

Na kawałku materiału ułożyła butelkę wody, paczki ciasteczek i kiełbasę.

– Niezła ucza, co?

Zjedli w ciszy. Teraz już tylko księżyc oświetlał chatę. Wyglądała jak nawiedzony dom pośród lasu pełnego ogrów. Oboje dobrze wiedzieli, że jest zbyt późno, żeby schodzić na dół, że noc muszą spędzić tu razem. Zgodzili się ze sobą bez słów. Po to tu przyszli.

Noc na szczycie Mont Terrible.

Dwie sieroty zagubione na cmentarzu bez grobów.

Gdy wszystko już posprząтали, Marc wyjął z plecaka zielony zeszyt Grand-Duca. Podał go Malwinie.

– Masz, szukasz go już od dłuższego czasu, prawda? Może okażesz się sprytniejsza ode mnie.

– Wspomnienia skurwysyna?

– Dokładnie...

– Dzięki. Mimo wszystko.

Malvina wzięła zeszyt, koc, latarkę i weszła do chaty. Marc z kolei oddalił się, szedł, oświetlając sobie drogę swoją latarką. Przez długie minuty błądził po lesie, zataczając obszerne kręgi. Gdy wrócił, światło latarki Malviny skromnie rozświetlało wnętrze chaty niczym płomień latarenkę.

Marc wszedł do środka. Malvina już spała. Zwinęła się pod kocem w kłębek. Zeszyt Grand-Duca leżał otwarty tuż obok jej głowy.

Marc uśmiechnął się wbrew sobie. Ta młoda kobieta, cztery lata starsza od niego, udręczona nagromadzoną nienawiścią, wzruszała go jak kolejna młodsza siostra, którą powinien się opiekować. Podszedł cicho, wziął zielony zeszyt i wyszedł z chaty. Wrócił z powrotem na pień, odruchowo przewrócił strony aż do ostatniej. Końcowe linijki.

Zebrałem w tym zeszycie wszystkie wskazówki, wszelkie tropy, wszystkie hipotezy. Osiemnaście lat poszukiwań. Wszystko zostało spisane na tych prawie stu stronach. Jeśli przeczytaliście je z uwagą, wiecie teraz tyle samo co ja. Może będziecie bardziej przenikliwi? Może pójdziecie w stronę, w którą ja nie poszedłem? Może znajdziecie klucz, jeśli taki istnieje? Może...

Dlaczego nie?

Dla mnie to koniec.

Przesadą byłoby powiedzieć, że nie żałuję ani nie mam wyrzutów sumienia, jednak zrobiłem, co mogłem.

„Zrobiłem, co mogłem”.

Marc nie miał żadnego nowego przeczucia. Spróbował zadzwonić do Lylie, ale w tym zakątku zagubionym wśród gór nie było zasięgu. Zaklął z powodu swojej głupoty. Przybycie tutaj, zagubienie się tu było najgłupszym pomysłem, jaki kiedykolwiek przyszedł mu do głowy. Musiał zadowolić się wiadomościami zapisanymi w pamięci telefonu. Po raz kolejny odczytał ostatnią, którą dostał w samochodzie po południu:

Marc. Jutro o dziesiątej rano mam zabieg. Wszystko w porządku. Nie martw się. Potem do ciebie zadzwonię. Będzie dobrze. Całuję. Emilie.

Jutro o dziesiątej.

Czuł się tak bardzo bezużyteczny.

Pohukiwanie sowy dodawało nocy przerażającej atmosfery. Sowy albo puchacza. Marc nie znał się na ptakach drapieżnych. Ten schował się gdzieś w gałęziach, nie dało się go wypatrzyć.

Marc włączył latarkę. Światło padło jednak tylko na igły.

– Gdzie się chowasz? – zapytał na głos.

Pytanie zagubiło się w górach.

– Nie dasz się złapać, co? Schowałaś się w mroku, sówko? Od jak dawna jesteś tu, na górze, i patrzysz, śledzisz? Czy byłaś tu, gdy w twoim królestwie roztrzaskał się wielki stalowy ptak? Widziałaś też, jak spał w tej chacie Georges Pelletier, jak wykopał grób? A bransoletkę widziałaś? A Grand-Duca, który lata później bawił się w poszukiwacza złota, też widziałaś? Powiedz...

Odpowiedziało mu niemal radosne pohukiwanie.

– Nabijasz się ze mnie, co? Myślisz, że nie mam już szans? Nie mylisz się, ale zauważ, wyobraź sobie... Wyobraź sobie. Wyobraź... Moja mała ma dwanaście lat. Jesteśmy tylko we dwoje na łonie natury, w namiocie. Jest noc. Opowiadam jej o gwiazdach. Mówię do niej tak: „Widzisz, moja śliczna, tamtego wieczoru, byłem na skraju. Siedziałem tam wysoko w górach, w kompletnej mgle. Musiałem znaleźć rozwiązanie przed nastaniem kolejnego dnia, przed dziesiątą rano. Twoja mama spała na drugim końcu świata. Mało brakowało, moja śliczna, a nigdy byś nie zobaczyła tych gwiazd, ja nigdy nie usłyszałbym twojego śmiechu, nigdy nie ścisnąłbym twoich małych paluszków. Wiesz, twój tata uratował cię w ostatniej chwili. Tamtego wieczoru wykazał się sprytem”...

Światło latarki na nowo przeczesало gałęzie. Ciemny cień wzbił się do lotu. Sowa albo jakiś inny nocny ptak.

– Masz rację, gadam bzdury...

Marc wrócił do chaty. Zmarzł. Otulił się kocem i wyciągnął obok Malviny. Leżał na plecach i patrzył w niebo przez dziurawy dach. Okienka na nieskończoność. Musiał się jeszcze zastanowić, sam siebie poddać torturom, zajrzeć do swojej podświadomości, do pamięci, wspomnień, aby coś przed nim odsłoniły, cokolwiek. Żeby dały mu klucz. Powinien wykorzystać każdą minutę pozostających mu godzin.

Tuż obok Malvina spała niespokojnym snem. Regularnie zmieniała pozycje, nie budząc się przy tym, i od czasu do czasu cicho popiskiwała. Stopniowo przysuwała się do Marca, jakby instynktownie szukała ciepła jego ciała. Czy spała kiedykolwiek z mężczyzną? Obok mężczyzny?

Północ musiała minąć już dawno. Poprzedniej nocy Marc nie zmrużył oka. Zapadł w sen, nie wiadomo kiedy.

Był wyczerpany.

Spał trzy godziny.

Aż podskoczył, gdy obudził go krzyk Malviny. Krzyk wariatki. Malvina stała, cała drżąc. Długie rozczochrane włosy nadawały jej wygląd przerażonej wiedźmy. Spod swetra, w którym spała, wystawały dwie chude nogi. Podskakiwała, jakby stała na rozżarzonych węglach.

– Wszystko... wszystko w porządku? – zapytał Marc głucho.

– Tak, tak. Nie martw się o mnie. Taki mam zwyczaj.

Malvina położyła się z powrotem. Marc przyglądał się jej zaniepokojony.

– Wszystko w porządku, mówię!

– Jesteś pewna?

– Tak, idź spać! Nie potrzebuję niańki. Nie wkurzaj mnie. Śpij, jak ci mówię!

– Nie wiem, czy będę jeszcze mógł zasnąć...

– To ssij kciuk w takim razie... Ty też musiałeś nauczyć się żyć ze swoimi koszmarami... Odwal się!

Malvina odwróciła się do Marca plecami. Jej koc dotykał jego koca. Dziwaczna bliskość. Marc znowu leżał z otwartymi oczami.

Była czwarta nad ranem. Teraz albo nigdy. Musiał spróbować, tutaj i natychmiast. Później będzie za późno.

Malvina spała.

Spróbować czego? Oczywiście Marca nadal wpatrywały się w noc. Gwiazdy pojawiały się i znikwały, bez wątplenia przysyłane przez niewidzialne chmury popychane przez wiatr z gór Jura. Jak pozornie spadające gwiazdy, gdy wypowiada się życzenia, które i tak się nie spełniają. Jak światło samolotu lecącego nocą, które miesza się z konstelacjami. Bliskie. Efemeryczne.

Spróbować czego?

Rozmyślania za każdym razem prowadziły Marca do ostatnich linijek zeszytu, do przerwane go samobójstwa.

Czy Grand-Duc blefował?

Czy naprawdę odkrył coś nowego tamtego wieczoru po spisaniu swoich wspomnień, po odłożeniu długopisu? Za pięć dwunasta? Jakiś nowy fakt, o którym nie napisał w dzienniku? Marc próbował sobie przypomnieć. Jakie dokładnie słowa wypowiedziała wczoraj w pociągu Malvina? Skoncentrował się. Sprzed oczu zniknęły mu dwie konstelacje, które umiał rozpoznać, Wielka Niedźwiedzica i Vega. Słowa Malviny zapisały się w mrokach jego pamięci.

„Crédule Grand-Duc zadzwonił do babci. Przedwczoraj. Jeszcze żył. Zdaje się, że znalazł wyjaśnienie całej sprawy. Jakoś tak, za pięć dwunasta ostatniego dnia. Dokładnie w chwili, gdy zamierzał strzelić sobie w łeb, gdy siedział nad «L’Est républicain» z dwudziestego trzeciego grudnia osiemdziesiątego roku. Potrzebował jeszcze dnia lub dwóch, żeby zgromadzić dowody, ale twierdził, że jest pewien, że rozwiązał zagadkę. Potrzebował stu pięćdziesięciu tysięcy franków...”.

Marc powtarzał to w kółko. Jeśli Grand-Duc nie blefował, znalazł rozwiązanie tuż przed wpakowaniem sobie kulki w łeb przy biurku na Butte-aux-Cailles, naprzeciwko kominka, w którym płonęły archiwa. Przedwczoraj rano Marc dokładnie przeszukał to biurko: nic w nim nie znalazł. Malvina też nic nie znalazła w mieszkaniu, nic oprócz trupa. O czym zapomniał? Marc próbował wyobrazić sobie scenę samobójstwa Crédule’a Grand-Duca. Lufa przy skroni, kartki zeszytu, które wchłonęłyby krew. Dlaczego przerwał? Co usłyszał? Co zobaczył?

Co przeczytał?

Pomysł nasunął mu się naturalnie, nie był głupszy od innych: „L’Est républicain” z dwudziestego trzeciego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku! Gazeta to ostatnia rzecz, na której zatrzymał się wzrok Grand-Duca.

A jeśli rozwiązanie znajdowało się w gazecie sprzed osiemnastu lat? W sumie czemu nie? Jeśli

to nie trop, to przynajmniej cel.

Marc wstał po cichu, żeby nie obudzić Malviny, która nadal popiskiwała w niespokojnym śnie. Do plecaka wrzucił byle jak swój koc, z kieszeni wyjął jedną ze stron wyrwanych z zeszytu Grand-Duca, odwrócił ją i napisał:

Poszedłem po bułki

Marc

Położył karteczkę na ziemi tuż przy głowie Malviny. W pobliżu zostawił przewodnik. Dla siebie zachował mapę. Po raz ostatni spojrzął na ciało dziewczynki leżące pod szarym, za dużym dla niej kocem. Malvina poradzi sobie sama.

Słońce jeszcze nie wzeszło, ale na horyzoncie pierwsze promienie oświetlały już szczyty. Gwiazdy gasły jedna po drugiej. Świat ostatniego dnia. Marc pomyślał o Lylie znajdującej się w białej sali.

Ruszył w drogę.

4 października 1998, 6.05

Szósta rano. Grand-Duc przeciągnął się w xantii. Zaparkował na bitej drodze, na której kępki trawy próbowały rosnąć pomiędzy koleinami aż do wyjazdu z Dannemarie, kilkadziesiąt metrów przed domem Mélanie Belvoir. A raczej Mélanie Luisans. Tak brzmiało nazwisko.

Miejsce obserwacyjne miał idealne. Mógł bez trudu rozróżnić samochody, które wyjeżdżały z Dannemarie, zanim jeszcze przejechały obok niego. Widzieć i być niewidzianym. Podstawowa zasada w jego zawodzie. Grand-Duc pomyślał, że już od lat nie spędził nocy na czatach. Przypomniał sobie swoją młodość, czasy, zanim podpisał umowę z de Carville'ami, czasy, gdy czatował całymi nocami przed kasynami na wybrzeżu nicejskim lub baskijskim. Xantia Nazima była niemal równie niewygodna jak samochody, którymi jeździł kiedyś.

Z obszernego schowka na rękawiczki wyjął termos z kawą. Nalał sobie do plastikowej filiżanki. Skrzywił się, kawa była gorąca.

Miał czas. Mélanie Belvoir powinna wrócić dopiero o dziewiątej rano. Pracowała jako pielęgniarka w szpitalu Belfort-Montbéliard i akurat miała nocną zmianę. Crédule Grand-Duc długo rozmawiał z nią przez telefon, żeby przypadkiem jej nie spłoszyć. Oczywiście wszystko nagrał. To podstawowy odruch, zważywszy na to, że tak wiele czasu poświęcił, żeby złapać ją w swoją sieć. Kolejną część wieczoru spędził w chacie Monique Genevez na przepisywaniu ich rozmowy na komputerze, po czym ją wydrukował.

Grand-Duc rzucił okiem na siedzenie pasażera. Leżał na nim wydruk w kopercie. Mélanie Belvoir-Luisans będzie musiała go tylko podpisać.

Grand-Duc upił jeszcze kawy, która miała paskudny smak plastiku.

Ile de Carville'owie są gotowi zapłacić za tę kopertę? Bez wątplenia fortunę. Przynajmniej tyle, ile wynagrodzenie zgromadzone przez osiemnaście lat...

Grand-Duc nie miał więc żadnych skrupułów, de Carville'owie mogą zapłacić, mają na to środki, środki nieograniczone. Na ile wycenić swoje sumienie...?

Przygryzł wargi, czuł gorącą kawę i ból. Jak ukłucie w serce. Tę fortunę mógłby podzielić na dwie części... Gdyby był przy nim Nazim. Może nie na dwie równe części, ale dałby mu dość, żeby kupił dla siebie i Ayli willę w Turcji. Ale on nie chciał iść za nim. Stchórzył. „Dość”, powiedział. Według niego de Carville'owie zapłacili już dosyć. Sprawa była skończona. Crédule dobrze wiedział, że nie powinien podnosić głosu. Nazim to człowiek uroczy, ale nerwowy.

„Pójdę na policję, Crédule, zagroził. Jeśli nie dasz mi spokoju, jestem do tego zdolny. Od dawna mnie to gryzie...”

– Od kiedy cię to gryzie? Co masz na myśli?”

Crédule Grand-Duc się przestraszył. Nazim nie gadał na darmo. Grand-Duc poprosił go o wyjaśnienia, o gwarancje, a później wszystko się pogmatwało. Nazim jako pierwszy chwycił za broń, ale Grand-Duc strzelił szybciej, i tyle. Zabić Nazima to ostatnia rzecz, jaką mógłby zaplanować, tak samo i resztę. Głowa Nazima uderzyła o kominek. Natłok myśli, które pojawiały się jedna po drugiej. Wcisnąć głowę Nazima jeszcze głębiej do kominka, żeby stała się nie do

rozpoznania; wyjąć ją, żeby zgolić mu wąsy, włożyć mu swoje ubrania, buty, zegarek, by zyskać na czasie na wypadek, gdyby Lylie albo Marc stali się ciekawscy. Nie chciał też zabić Ayli, ale znał ją, poszłaby prosto na policję. Nazim w niczym nie brał udziału, ale wiedział o zabójstwie dziadków Vitralów. Ten kretyn na pewno opowiedział wszystko swojej żonie w łóżku. Czy to jego wina, że Nazim nie chciał trzymać Ayli z dala od ich spraw? Zadzwoiła do niego poprzedniego dnia. Przerazona, zostawiła mu wiadomości. Był zmuszony wrócić do Paryża. Pięć godzin jazdy autostradą. Śledził ją dyskretnie od bulwaru Raspail, przez Butte-aux-Cailles, aż do lasu w Coupvray. Tam nadarzyła się nieoczekiwana okazja, żeby z nią skończyć. Później musiał wrócić w góry Jura, sto osiemdziesiąt na godzinę po autostradzie A39. Żeby spotkać tego listonosza. Zakończyć tę sprawę.

Grand-Duc z trudem przełknął zawartość swojej filiżanki. Skrzywił się ponownie.

Nazim Ozan. Ayła Ozan.

Jego jedyni przyjaciele przez te wszystkie lata. Zginęli z jego ręki.

Co za ironia losu!

Tak, de Carville'owie mogli zapłacić!

Niczego takiego nie chciał, o niczym nie decydował. Wszystko rozegrało się wbrew niemu.

Długie wabienie zwierzyny i w końcu niezłe pocieszenie.

Mélanie Belvoir.

Niespodziewany gość.

Crédule Grand-Duc spojrział na zielone świecące cyfry na zegarze xantii.

6.15, miał jeszcze czas. Przyjechał o wiele za wcześnie.

Przed wszystkimi.

4 października 1998, 6.29

Marc zaparkował w centrum Montbéliard, niecałe pięćdziesiąt metrów od siedziby „L’Est républicain”. Poświęcił prawie półtorej godziny, żeby zejść z Mont Terrible. Samochód czekał na niego grzecznie przed pensjonatem Parku Naturalnego. Później potrzebował trzech kwadransów, żeby dojechać do Montbéliard. Dokładny adres gazety wskazał mu kelner w pierwszej otwartej restauracji: plac Jules-Viette numer 12.

Siedziba była zamknięta! Logiczne. Czego się spodziewał o tej godzinie?

Podszedł bliżej. Podążał za swoim pragnieniem; chciał odkryć ostateczną prawdę, zanim Lyllie podda się zabiegowi. Zostały już niecałe cztery godziny.

Przed nim żelazna kurtyna nie pozwalała dostrzec najdrobniejszego szczegółu wewnątrz budynku. Marc odwrócił się i spoglądał na parking, gdzie zaparkował. Stały tam też trzy inne ciężarówki z logo „L’Est républicain”. Widocznie tak wczesnym rankiem rozwożenie prasy wciąż się nie zakończyło. Jeszcze nie wszystko stracone!

Marc szybkim krokiem ruszył bulwarem Cuvier, po czym skręcił w ślepią uliczkę Deloraine. Zaczynał się poranny ruch. W poprzek uliczki stała półciężarówka, a trzech pracowników ładowało do niej stosy gazet zapakowane w folię. W tle brzęczało radio, jakiś wesoły prezenter czytał horoskop.

– Dzień dobry – odezwał się Marc. – Czy biuro jest jeszcze zamknięte?

Przygryzł wargi. Trudno o głupsze pytanie. Pracownik przyjrzał mu się i odparł z papierosem w ustach:

– Masz szczęście, otwieram za pięć minut.

Marc poczuł krótki przeblysł nadziei, ale pracownik mówił dalej:

– Przebiorę się tylko i już cały jestem twój.

Dwaj pozostali sapnęli. Marc jakoś to zniósł.

– Wróć za trzy godziny. Widzisz, że jesteśmy zajęci...

Marc przystanął. Najniższy i najprzystojniejszy z mężczyzn i tak przewyższał go o półtorej głowy. Marc odezwał się nieśmiało.

– Proszę pana, nie mogę czekać. Proszę pana o przysługę. Naprawdę nie ma nikogo, kto mógłby mi otworzyć biuro? Potrzebuję tylko informacji...

– Zawsze może poprosić szefową – odezwał się ktoś inny z głębi magazynu.

Trzej mężczyźni na nowo wybuchli śmiechem. Marc się nie śmiał.

– No skoro tak ci zależy, chłopcze.

Pracownik nacisnął na przycisk interkomu.

– Pani Montaigu? Ktoś do pani przy wejściu do magazynu.

Kilka minut później pojawiła się wspomniana pani Montaigu. „Szefowa” była drobną, elegancką kobietą, w kostiumie, o talii osy, w spódnicy do kolan. Nogi miała opalone, nosiła czerwone pantofle, lecz wszystko psuła zbyt surowa twarz, na której malował się wieloletni wysiłek, żeby

wspiąć się po kolejnych szczeblach hierarchii firmy. Na czubku nosa miała małe okulary, w jednej dłoni trzymała plik papierów, w drugiej – długopis. Szefowa...

– Pan do kogo? – zapytała z powagą na twarzy.

Marc chciał coś zaimprovizować. Co powiedzieć? Jaki wymyślić pretekst, żeby szefowa Montaigu pozwoliła otworzyć archiwum o siódmej rano? Wyjąć pistolet i wycelować w nią... Bzdura...

– Słucham? – naciskała Montaigu, znad okularów rzucając okiem na zegarek.

Marc spanikował.

– Hmm... proszę mnie posłuchać... Ja... Ja muszę zajrzeć do starego numeru gazety. Bardzo starego. Dokładnie wiem którego. Z dwudziestego trzeciego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku...

Szefowa uśmiechnęła się nieznacznie.

– Patrząc na pana, mam wrażenie, że to pilne...

– Gorzej...

– Cóż... Niezależnie od tego, jak bardzo to pilne, myślę, że może poczekać do otwarcia, do dziewiątej.

Trzech pracowników, którzy nadal ładowali stosy gazet, przysłuchiwało się rozmowie. Montaigu zamierzała odejść na swoich wysokich i cienkich obcasach.

– Nie! – wrzasnął Marc.

Szefowa się odwróciła, przybierając jeszcze bardziej surową minę. Marc zaczął mówić bez zastanowienia.

– Proszę mnie posłuchać... Moja żona spodziewa się dziecka. Naszego dziecka. Za dwie godziny ma poddać się aborcji, bo nie jest pewna tożsamości swoich rodziców. Mam poważne powody, żeby sądzić, że dowód jej tożsamości znajduje się w tej gazecie...

Oczy szefowej Montaigu zrobiły się okrągłe jak spodki, była zdumiona. Trzej pracownicy zamarli. Montaigu zabiła ich wzrokiem, więc natychmiast wrócili do pracy. Następnie, zrezygnowana, spojrzała na Marca.

– Chce pan powstrzymać żonę przed aborcją, tak? Naprawdę pan sądzi, że...

– Kurwa! – wydarł się Marc. – Nie wciśnie mi pani jakiejś zaskarżonej feministycznej tyrady! Chcę tylko zajrzeć do tej gazety. Proszę panią tylko o małą przysługę, tylko o to...

Udało mu się przynajmniej wyprowadzić szefową z równowagi. Mówił dalej.

– Przypomina sobie pani katastrofę lotniczą na Mont Terrible?

Montaigu zaprzeczyła ruchem głowy. To logiczne, pomyślał Marc. Miała wtedy nie więcej niż dziesięć lat. Trudno, musiał mówić dalej...

– „L'Est républicain” był jedyną gazetą, która doniosła o wypadku. Ważka, cudownie ocalona dziewczynka! To o nią chodzi. Muszę zajrzeć do tego numeru!

Szefowa najwyraźniej nic z tego nie rozumiała. Była wytrącona z równowagi i wcale jej się to nie podobało. W szkole menedżerskiej nauczyła się, że nigdy nie należy podejmować decyzji, jeśli się nie zna wystarczająco dużo szczegółów, żeby wyrobić sobie precyzyjny sąd.

– Marcel – odezwała się – pan tu pracuje od czterdziestu lat. Przypomina pan sobie tę historię

z wypadkiem lotniczym na Mont Terrible?

Marcel tylko na to czekał. Dyskretnie wypluł na chodnik papierosa.

– Oczywiście, proszę pani. Największy dramat w całym regionie. Boże Narodzenie osiemdziesiątego roku. Prawie dwustu zabitych tam na górze, tak blisko...

– Gazeta miała z tym coś wspólnego?

– Oczywiście, proszę pani! Jako jedyna napisała o tym tego samego dnia. Przede wszystkim o cudownie ocalonej dziewczynce. Później wszystkie stacje telewizyjne podały tę wiadomość.

W gazecie przez długie miesiące drukowano kronikę... Oszczędzę pani szczegółów, ale...

– Pamięta pan, jak nazywała się ta dziewczynka? – przerwała szefowa.

– Jasne. Jak mógłbym zapomnieć? Emilie Vitral, dziewczynka z Normandii.

Montaigu odwróciła się do Marca.

– A pan kim jest?

– Marc Vitral...

– Jej mąż?

Marc zawahał się przez chwilę.

– Tak... To znaczy nie... To... To trochę skomplikowane...

Kobieta już się nie dopytywała.

– O której godzinie pańska żona ma mieć aborcję?

– O dziesiątej...

– Tutaj?

– Nie, w Paryżu.

– To jakieś wariactwo. Pan jest wariatem...

– To pilne. Chcę tylko zajrzeć do tej gazety. Obiecuję, że jeśli ocalimy dziecko, zostanie pani matką chrzestną!

Szefowa wybuchła szczerym śmiechem.

– Dobrze! Tylko nie to, nie cierpię dzieciaków.

Zawahała się po raz ostatni.

– Dobrze, proszę za mną.

Montaigu zaprowadziła go do podziemi, do obszernego pomieszczenia, które służyło za archiwum. Ściany nie były pomalowane, bez okien, białe światło dawały jedynie podłużne lampy fluorescencyjne. Gazety poukładano przejrzysto. Numery leżały na płasko w wielkich drewnianych szafach, ułożone według lat i trymestrów.

Marc otworzył szufladę opisaną *rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty, wrzesień-grudzień*. Szukał na samym dnie stosu i bez trudu znalazł numer z dwudziestego trzeciego grudnia. Położył go na stole na środku pokoju.

Prawie całą pierwszą stronę zajmowało kolorowe zdjęcie: stojący w płomieniach roztrzaskany wrak samolotu pośród drzew. Wizja jak z horroru. Śnieg, ogień i żelazo jakby się zjednoczyły, aby unicestwić wszelkie ludzkie życie. Nadzieja przebijała z drugiego mniejszego zdjęcia, przedstawiającego strażaka, który przed szpitalem Belfort-Montbéliard trzymał na rękach niemowlę.

Lylie. Pod zdjęciem widniało kilka linijek komentarza:

Katastrofa airbusa 5403 relacji Stambuł – Paryż na zboczach Mont Terrible, na granicy francusko-szwajcarskiej w nocy z dwudziestego drugiego na dwudziestego trzeciego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku. Stu sześćdziesięciu ośmiu ze stu sześćdziesięciu dziewięciu pasażerów i członków załogi zginęło na miejscu albo zmarło uwięzionych w płomieniach. Jedyнным cudownie ocalałym pasażerem jest trzymiesięczne dziecko wyrzucone z kabiny tuż przed tym, jak samolot stanął w płomieniach.

To wszystko.

Marc spędził długie minuty, przyglądając się zdjęciu, twarzy na drugim planie, wrakowi, płomieniom, każdemu drzewu, ciemnym śladom w śniegu. Czytał w kółko te kilka linijek.

Nic. Nic nowego.

Fałszywy trop. Ślepa uliczka. Znowu. Tym razem ostatecznie.

Marc złapał się za głowę, wyprostował trochę i przyjrzał się białym ścianom pomieszczenia.

Dopiero w tym momencie jego wzrok spoczął na reszcie informacji na pierwszej stronie gazety. Prawie nic. Zwycięstwo trzy do jednego drużyny z Sochaux nad Angers, manifestacja pracowników zakładu optycznego w pobliżu Morez w regionie Haut-Jura, wzmianka o odwiedzinach Świętego Mikołaja w okolicznych miejscowościach...

A na samym dole strony ledwie wzmianka. Dziewięć słów. Poszukiwanie zaginionej.

Mélanie Belvoir. Osiemnaście lat. Poszukiwana już od trzech tygodni.

Przy wzmiance znajdowało się małe kolorowe zdjęcie. Trzy centymetry na dwa.

Marc o mało nie zemdlał. To niemożliwe. To mógł być tylko fotomontaż. Sztuczka.

Twarz tej osiemnastoletniej dziewczyny, Mélanie Belvoir, była twarzą Lylie.

Dziewczyna nie była podobna. Nie. To była ona. To samo błękitne spojrzenie, te same kości policzkowe, ten sam uśmiech, ten sam dołeczek w brodzie. Jedyne fryzura lekko się różniła, Lylie miała trochę krótsze włosy.

Zdjęcie opublikowane w tej starej gazecie było idealną reprodukcją obecnego zdjęcia Lylie, zdjęcia z legitymacji studenckiej, zdjęcia z biletu na przejazdy komunikacją, zdjęcia, które Marc nosił jak skarb w swoim portfelu.

To jakieś szaleństwo!

Na tej samej stronie gazety z datą dwudziestego trzeciego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku znajdowało się zdjęcie przedstawiające Lylie w wieku trzech miesięcy na rękach strażaka przed szpitalem i Lylie w wieku osiemnastu lat, piękną, uśmiechniętą, taką, jaką widział ją dwa dni wcześniej, drugiego października tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego...

Zwariował?

Czy to wszystko sen, z którego miał się obudzić zlany potem przy boku Lylie?

Albo gorzej?

U boku Malwiny w chacie na Mont Terrible?

4 października 1998, 7.12

Promienie słońca wpadały przez dziury w dachu jak wiązki lasera w strzeżonym pomieszczeniu bankowym z filmu sensacyjnego. Jeden z nich padł na twarz Malviny. Najpierw rozsmakowała się w przyjemnym cieple na policzku, po czym przekręciła się pod kocem i otworzyła oczy.

Jej ręka odruchowo poszukała sąsiedniego koca, koca Marca.

Spoczęła na suchej ziemi.

Nikogo.

Koc zniknął. Zniknęło ciepłe ciało. Pusto.

Tylko kilka słów na kartce papieru.

Poszedłem po bułki

Marc

Dupek! W dodatku uważał, że to zabawne.

Obok leżał przewodnik. Przekaz był jasny. „Odpieprz się!”.

Malvina mruknęła zła sama na siebie i zerwała się na równe nogi. Idiotka! Mogła się spodziewać, nie ufać Vitralowi. Została sama na szczycie Mont Terrible z telefonem komórkowym bez zasięgu. Dała się złapać w pułapkę jak dziecko, pozostawało jej już tylko jedno rozwiązanie. Zejść na dół.

Zostawiła wszystko w nieładzie – koc, latarkę, resztki skromnego posiłku z poprzedniego dnia, i ruszyła w drogę. Ani razu nie spojrzała na rażące poranne słońce, które szwajcarskim górom nadawało wygląd Himalajów.

Dobłą godzinę później jej oczom ukazał się pensjonat. Kilkoro dzieci bawiło się na placu zabaw, podczas gdy rodzice, stojący kilka metrów za nimi, w nieskończoność wiązali sznurówki butów trekkingowych. Na parkingu ani śladu citroëna. To jasne! Ten cholerny Vitral naprawdę ją zostawił.

Odruchowo sprawdziła telefon. Wreszcie miała zasięg! Będzie mogła wydostać się z tej dziury. Jej uwagę przykuła mała żółta koperta na ekranie – wiadomość na poczcie głosowej. W nocy ktoś próbował się z nią skontaktować. To na pewno babcia. Kto inny? Malvina nacisnęła klawisze i osłupiała. Wiadomość od nieznanego numeru.

Marc Vitral? Crédule Grand-Duc?

Podniosła słuchawkę do ucha.

„Malvino, tu Rachel. Rachel de Carville, twoja cioteczna babka...”.

Rachel? Cioteczna babka, dziedziczka perfumerii Elytis w La Baule. Czego mogła chcieć? Nie rozmawiały już z dziesięć lat.

„Malvino, moja biedna dziewczynko. Musisz do mnie zadzwonić jak najszybciej. W Coupvray w Willi Różanej stało się coś strasznego. Mój Boże, moja droga. Twoja babcia i twój dziadek już się nie obudzili. Znalezione ich oboje, każde w swoim łóżku, już nie oddychali. Razem poszli do nieba, mój aniołku...”.

Malvina wyłączyła telefon. Ręka opadła jej, jakby nagle telefon zaczął ważyć tonę. Wpatrywała się w ciemny las, ogarnęła ją cisza gór, jakiej nie znała. Trwało to długo. Później jej dłoń ześlizgnęła się do torebki. Nie powinna się zastanawiać, modlić, płakać. Musi działać. Zrozumieć. Zemścić się. Skoncentrować się na jednej rzeczy, realnej, żywej, na nim.

Zacisnęła palce na spuście mauzera L110. Vitral uważał się za sprytniejszego, ale nie powinien zasypiać. Kiedy chciała, bardzo dobrze umiała udawać wariatkę i symulować koszmary. Odebrała tylko swoją broń. Zresztą ten dupek i tak nie umiałby się nią posłużyć.

Ona owszem.

4 października 1998, 7.19

– Halo, Jennifer?

Marc nie wyszedł z archiwum „L’Est républicain”. Jego znajoma z France Telecom przez cały weekend miała dyżur. Jego jedyna szansa, nie mógł jej stracić.

– Jennifer. To znowu Marc. Potrzebuję przysługi, ogromnej przysługi...

– Wszystko, co tylko chcesz. Wiesz o tym.

– Potrzebuję numeru telefonu i adresu. Mélanie Belvoir. B-E-L-V-O-I-R...

– Gdzie?

– Najpierw poszukaj w departamentach Jury i Doubs. Później w całym regionie Franche-Comté.

Później we Francji...

– Robi się...

Marc słyszał uderzenia palców w klawiaturę. Nie potrafił oderwać wzroku od zdjęcia w gazecie. Surrealistyczne podobieństwo. Kim mogła być ta Mélanie Belvoir? Musi istnieć jakieś racjonalne wyjaśnienie...

– Przykro mi, Marc – odezwała się Jennifer. – *Nada* na całej linii. Żadnej Mélanie Belvoir, ani w regionie Jury, ani w całej Francji.

– Może jest na liście numerów zastrzeżonych?

– Też sprawdziłam. *Nada*.

– Cholera! Masz we Francji jakichś innych ludzi o nazwisku Belvoir?

– Poczekaj...

Znowu odgłos uderzających jak karabin maszynowy palców.

– Tak, trzystu czterdziestu ośmiu...

– A w regionie Jury?

– Już ci mówię... O, liczba spada. Tylko dwadzieścia trzy osoby, ale żadnej Mélanie.

– Cholera! Może zmieniła nazwisko...

– Kim jest ta Mélanie?

– To zdecydowanie za długa opowieść, żebym ci tłumaczył. Zwariowana historia, ale mam tylko kilka minut, żeby znaleźć zakończenie. Jennifer, a możesz sprawdzić na liście umów rozwiązanych?

– Jak to się robi?

– Musisz poszukać w archiwum. Dostaniesz się tam, jak się zalogujesz na konto administratora. Możesz przeszukać rozwiązane umowy od czasu, kiedy weszły komputery, przynajmniej z piętnastu lat...

– Marc, logowanie się na konto administratora jest zabronione. Można za to wylecieć...

– Nie gadaj. Sam to robiłem dziesięć razy! Proszę cię, Jennifer, to pilne...

– Ostrzegam, że będzie cię to kosztowało spotkanie w restauracji. Gwiazdka w przewodniku Michelina i tak dalej.

– OK, OK, wszystko, czego chcesz, sprawdzaj.

Marc na nowo usłyszał stukanie w klawisze.

– Jennifer, jestem zaręczony... A może zamiast restauracji wolałabyś zostać matką chrzestną dziecka, do którego uratowania się przyczynisz...

Dziewczyna wypaliła:

– I co jeszcze? Spadaj ze swoim bachorem. Restauracja ma mieć przynajmniej dwie gwiazdki. Zasłużyłam na to. Mam ją. Rozwiązała umowę pięć lat temu dwudziestego trzeciego stycznia dziewięćdziesiątego trzeciego. Wówczas mieszkała w Belfort przy ulicy Comte-de-la-Suze pod numerem sześćdziesiąt pięć. Później zniknęła bez śladu.

– Jennifer, sprawdź polecenia przeniesienia numeru!

– Co?

– Przeniesienia numeru. Klienci rozwiązują umowę najczęściej wtedy, gdy się przeprowadzają albo gdy postanawiają zamieszkać z kimś innym. Proszą wówczas, żeby na kilka miesięcy przenieść ich stary numer. To też jest w archiwum, można się do tego dostać przez konto administratora...

– Jesteś stuknięty! Trzy gwiazdki. I szampan bez ograniczeń.

– OK, OK, z węgierskimi skrzyptkami i nawet chippendalesami, jeśli chcesz.

– Jasne, że chcę!

Marc nasłuchiwał. Sekundy dłużyły mu się w nieskończoność.

– Miałaś rację – odezwała się w końcu Jennifer. – Mélanie Belvoir poprosiła o przeniesienie numeru do Laurenta Luisansa. Domyślam się, że chcesz adres... Dannemarie, Doubs, ulica de Villars numer czterysta pięćdziesiąt sześć. Wiesz, że to, co robię, jest ściśle poufne. Czego chcesz od tej Mélanie? To twoja była? Czy to ma jakiś związek z listą szpitali, którą ci podałam przedwczoraj?

Marc z przejęciem zanotował adres na pierwszym kawałku papieru, jaki wpadł mu w ręce, na pierwszej stronie „L’Est républicain”.

– Jesteś wspaniała, Jen. Stawiam ci kolację. I czekoladki. Mogę cię poprosić o ostatnią przysługę? Jesteś w internecie?

Jennifer westchnęła.

– Tak.

– Wejdź na mapę i sprawdź najkrótszą trasę pod ten adres.

– Cholera. Naprawdę ci odbiło... Wiesz, gdzie możesz sobie wsadzić te swoje czekoladki?

Pomarańczowo-czerwona ciężarówka powoli toczyła się drogą departamentową numer trzydzieści cztery. Po wyjeździe z Montbéliard trasa prowadziła bezpośrednio w kierunku granicy szwajcarskiej oddalonej o dziesięć kilometrów. Stopa Marca wciskała pedał gazu w podłogę, ale mimo to samochód nie czuł się dodatkowo zmotywowany. Zabudowa miejska przerzedzała się, w miarę jak wjeżdżał coraz wyżej. Droga departamentowa wiła się przez chwilę u stóp potoku, po czym znowu zaczęła biec w górę. Wiosek było coraz mniej, a o obecności ludzkiej u stóp gór świadczyło kilka rozrzuconych chat.

Dannemarie ukazało się za jednym z zakrętów. Dom Mélanie Belvoir-Luisans, według wskazówek Jennifer, mieścił się tuż przy wyjeździe, jeszcze wyżej, przy wylocie drogi na Szwajcarię, prawie na samym szczycie. Citroën wjechał do opustoszałej wioski dokładnie o ósmej rano. Żadna z kawiarni ani piekarni nie była jeszcze otwarta.

Jeszcze jeden zakręt i już miał wyjechać z miejscowości.

Marc ostro zahamował. Wrzucił wsteczny bieg i po skomplikowanym manewrze zaparkował wzdłuż chodnika.

Nie zamierzał po raz kolejny wchodzić w paszczę lwa! Crédule Grand-Duc bez wątplenia także musiał poszukiwać tej Mélanie Belvoir. Przez te wszystkie lata odwiedzin w Dieppe detektyw z pewnością nauczył się rozpoznawać pomarańczowo-czerwoną ciężarówkę. Trudno było jej nie zauważyć! Gdyby podjechał citroënem pod dom tej Mélanie, to tak, jakby pojawił się tam z orkiestrą powitalną.

Było chłodno. Marc szedł sprężystym krokiem, trzymał się z boku, nie drogi. Xantię zauważył za trzecim zakrętem. Samochód stał na poboczu. Trochę wyżej zauważył odosobniony dom, bez wątplenia dom Mélanie Belvoir. Marc wspiał się jeszcze trochę, wszedł w mokrą od rosy trawę. Szedł naprzód. Nawet w lusterku wstecznym xantii nie dało się go zauważyć.

Crédule Grand-Duc czekał cierpliwie z białą filiżanką w dłoni, niczego się nie spodziewając. Marc skradał się dalej. Wiedział, że w razie potrzeby będzie mógł się posłużyć mauzerem Malviny, ale jego plan, o ile można mówić o planie, był zupełnie inny. Bardziej bezpośredni! Crédule dobiegał sześćdziesięciu pięciu lat, a Marc miał lat dwadzieścia i kondycję rugbysty. Zamierzał się rozmówić z nim po męsku.

Crédule Grand-Duc nie miał nawet czasu zareagować. Drzwi xantii otworzyły się gwałtownie. Cień pojawił się znikąd, złapał go za ramię, później za łokieć. Grand-Duc wylądował twarzą do ziemi. Wciąż jeszcze nie rozpoznał swojego napastnika, gdy solidny kopniak rozdarł mu bok. Zwinął się z bólu. Kolejny kopniak trafił w kość ogonową.

Detektyw wrzasnął.

– Kur...

Niedokończony krzyk zagubił się w niezmierzonej ciszy gór. Trzeci kopniak w dół pleców spowodował, że się odwrócił. Cień górował nad nim, stojąc nad jego zmaltretowanym ciałem.

Marc Vitral.

W jaki sposób zrozumiał? Jak go znalazł? Tak szybko?

– Marc? – wykrztusił Grand-Duc. – Jak mnie...

Detektyw wypluł krew w błoto i spróbował się podnieść. Stopa Marca spoczęła na jego klatce piersiowej.

– Nie ruszaj się... Nie ruszaj się albo rozgniotę cię jak karalucha...

– Marc, co...

– Zamknij się. Nie zaczynaj znowu swoich bzdur. Już od dwóch dni zastanawiam się nad twoimi przekłętymi opowieściami. Twoje życie, twoje śledztwo i humory dupka...

Marc przycisnął stopą klatkę piersiową Grand-Duca trochę mocniej. Detektyw się skrzywił, oddychał z trudem. Marc zaczął mówić powoli.

– Nie będziemy się bawić w kotka i myszkę. Przejdziemy od razu do rzeczy. Prosto do celu. Pamiętasz mecze piłki nożnej, które oglądałem, siedząc na twoich kolanach? Na kolanach zabójcy mojego dziadka? Mojej babci również, ale ci się nie udało.

– Marc, nie sądzisz, że...

Podeszwa Marca spadła na twarz Grand-Duca i równocześnie roztrzaskała mu brodę, wargi

i nos. Detektyw wił się z bólu i dusił.

Gdy Marc podniósł stopę, leżący wypluł krew pomieszaną z błotem.

– Nie mam już czasu słuchać twoich bredni.

Detektyw zakrztusił się ponownie. Ledwo mógł oddychać.

– Jak... jak się domyśliłeś? De Carville'owie ci powiedzieli? Mathilde? Malvina?

– Sam się domyśliłem, wyobraź sobie... Całkiem sam, jak dorosły.

– Ja... ja nie chciałem, musisz mi uwierzyć. Ja... tylko uległem. Żałowałem. Później byłem szczerzy... kochałem...

Tym razem kopniak spadł na obojczyk Grand-Duca. Detektyw znowu się obrócił i wylądował na plecach. Zakrwawioną dłonią dotknął ramienia.

– Przestań, Marc. Przestań, proszę cię.

– Zamknij się! Oszczędź mi kupletów na temat wyrzutów sumienia, opowieści o zakochanym kacie. Nie po to tu przyszedłem! Potrzebna mi tożsamość Lylie. Prawda!

Po raz pierwszy coś na kształt uśmiechu zarysowało się na zmasakrowanej twarzy Grand-Duca.

– A więc jednak nie rozumiałeś? W każdym razie nie wszystko. Czyli jednak potrzebujesz jeszcze usług detektywa.

Stopa Marca znowu podniosła się zagrażająco.

– Nie jestem pewien. Udowodnij mi, że jest inaczej.

– W jaki sposób tak szybko mnie znalazłeś?

– Jestem po prostu szybszy od ciebie, i tyle... Nie próbuj grać na zwłokę, nie mam czasu do stracenia. Co to za historia z tym testem DNA? I z tym zdjęciem Lylie w gazecie?

Crédule Grand-Duc próbował się jeszcze uśmiechać.

– Na pamięć twojego dziadka... Ktoś mnie wydał czy naprawdę sam odgadłeś?

– Sam! Już mówiłem. Ostrzegałem, nie próbuj grać na zwłokę.

Kolejny kopniak trafił Grand-Duca w żebra. Wrzasnął, przekręcając się na bok. Marc miał ochotę go rozdeptać. Poszedł naprzód. Detektyw zwijał się z bólu, ręka opadła mu wzdłuż ciała. Marc natychmiast zrozumiał, że Grand-Duc szukał broni.

Całe szczęście, Marc był szybszy. Włożył rękę do plecaka, żeby chwycić mauzera i wycelować w Grand-Duca...

Plecak był pusty!

Mauzer zniknął.

Obrazy przesunęły mu się przed oczami. Malvina, która stała nad nim w nocy, udając, że obudził ją zły sen! Za późno na żal...

Crédule Grand-Duc wycelował w Marca matebę.

– Okazałeś się bardzo szybki, Marc. Naprawdę jestem pod wrażeniem. Ale dałeś się ponieść uczuciom. Klasyka. A miałeś w ręku wszystkie karty. Stary człowiek u twoich stóp. Rozwiązanie, które czekało na ciebie na siedzeniu xantii. Ciąg dalszy, zakończenie mojego słynnego zeszytu. Koperta, która wyjaśnia wszystko, którą zamierzam świetnie spieniężyć. Wystarczyłoby tylko, żebyś się po nią schylił...

Crédule Grand-Duc zatoczył się, wstając. Rozcięta warga krwawiła mu obficie. Jego długa

marynarka w kolorze  cru była poplamiona b otem i krwi . Detektyw ledwo m ogł ustać na prawej nodze. Z ust Marca nie wydobyło si  żadne s owo. Miał ponieść pora k  tak blisko celu. W tak g upi spos b.

– Nie le mnie oszpeci es, mały  otrze. Solidnie mi dowali es. Przyznaj ,  e na to zas uży em. Na twoim miejscu postapi bym podobnie, a nawet gorzej.

Detektyw zrobi  par  krok w i dotkn ł swojego obola ego ramienia, wci ż trzymaj c Marca na muszce.

– Marc, nie pozostawiasz mi wyboru. Zdajesz sobie spraw ? Jako jedyny znasz prawd  na temat zab jstwa, teraz jeste  jedyn  żyj c  osob  opr cz tego, kto to zleci , ale stary de Carville nic ju  z siebie nie wypluje. Zabić ci bie to ostatnia rzecz, na jak  mi lbym ochot . Ale co innego m og bym zrobi ?

S owa wreszcie przys y. Marc odezwa  si  cicho, patrzc  w stron  xantii.

– A Nazim Ozan? Te  nie mog es postapić inaczej, tak?

Detektyw z trudem sta  na zranionej nodze.

– Widzisz, Marc,  ycie szykuje nam wiele niespodzianek. Trudno p ynać pod pr d. A wr cz wspinać si  w g r  wodospadu. Sze c dni temu zamierza em strzelić sobie w  eb, zdechn ć w swoim domu. Ca kiem sam. Game over. Mia em kilka minut. I choć wygra em, musia em wbrew sobie zabić dwie osoby, k ore si  dla mnie liczy y najbardziej, Nazima Ozana i Ayl . Z tob  b d  trzy.

Marc dr a . Pocz ł, jak cia o mu lodowacieje. Od detektywa i lufy mateby dzieli y go trzy metry. Na pr żno pr bowa by uciec, na pr żno pr bowa by rozbroić Grand-Duca. Wiedzia  dobrze,  e Grand-Duc zabije go, je li tylko wykona najmniejszy ruch. Ma a g rska droga pozostawa a rozpaczliwie opustosza a. Poza tym byli tak ukryci,  e nie da o si  ich zauwa yć.

– Marc, pozw l,  e ci wyt umacz . Za zabicie ich obojga i upozorowanie wypadku zaproponowano mi fortun . Zabija em ju  wcze niej w r żnych stronach  wiata za  a osne wynagrodzenie najemnego  o nierza. Oferta de Carville’a by a niepor wnywalna. Takiej propozycji si  nie odrzuca... Marc, czy  mog em w wczas przewidzieć,  e przywi z  si  do kobiety, k ora ocala a?

Niech si  zamknie! Grand-Duc nie by  nawet szale cem. Nawet w ten spos b nie m ogł si  wyt umaczyć.

Nast pne s owa wydoby y si  z ust Marca mimowolnie. Czy by mi  jeszcze nadziej ,  e wzruszy tego cz owieka?

– Lylie jest w ci ży. Ze mn . Za godzin  podda si  aborcji.

Rewolwer ani drgn ł.

– To musia o si  stać, Marc. Tak podpowiada a logika... Niepotrzebnie przyszed es w szyć. Pope ni es wielki b ad. Mog es szcze liwie  yć z Lylie. Tworzyli cie  adn  par , bardzo  adn  par . Lylie b dzie niepoczyszona. Ale nie dajesz mi wyboru... Nie b dziemy tego d użej ci gn ć, co?

Grand-Duc wycelowa  mateb  w serce Marca, zeszywnia ego, niezdolnego do jakiegokolwiek ruchu. Wszystko mia o si  skończyć. Niespodziewanie przed oczami stan ly mu weso e wspomnienia z ulicy Pocholle: mistrzostwa  wiata w osiemdziesi tym sz stym, karniak Fernandeza, koszulka Didiera Sixa, d wi ki pianina...

– Marc, to wszystko nie powinno było nigdy się zdarzyć, te troski, ten ból. To nie jest niczyja wina. Może tylko Mélanie Belvoir. Choć ona także uważała, że postąpiła jak najlepiej.

Muszę się ruszyć, pomyślał Marc, rzucić mu się do nóg...

Grand-Duc jak gdyby odgadł jego zamiar, cofnął się, ściskając rewolwer.

– Ludzie przywiązują się do życia, Marc, w tym tkwi problem. Oto cały problem, nawet gdy nie ma już nadziei. Cała ta wojna między de Carville'ami a Vitralami była na nic. Jak wszystkie wojny. Nieporozumienie. Sądzę, że teraz już znasz prawdę. Tamtej nocy na Mont Terrible umarły obie. Emilie i Lyse-Rose. Obydwie zginęły w wypadku. Uwierz w to, przykro mi, Marc.

Palec Grand-Duca nacisnął spust.

Wybuch odbijał się po górach w bladym poranku. Echo musiało być słyszane aż w Szwajcarii.

4 października 1998, 8.14

Crédule Grand-Duc upadł twarzą do ziemi. Z jego pleców niczym karmazynowe źródło wypłynęła struga krwi.

Malvina stała, ściskając mauzera w wyciągniętych przed siebie dłoniach. Ciszę przerwał jej ledwo słyszalny głosik:

– Nawet nie myśl, że strzeliłam, żeby uratować ci życie, Vitral! To tylko dlatego, że nie znoszę, jak ktoś mówi, że Lyse-Rose nie żyje...

Rzuciła mauzera pod nogi, na ziemię. Cała drżała. I tym razem nie blefowała... Strzeliła. Zabiła.

– Ty... Jak...?

Malvina odezwała się nerwowo.

– Nie... nie jestem głupsza od ciebie. Ja też rozmyślałam o dzienniku. Ten facet z parku, Grégory Morez, podwiózł mnie swoim samochodem aż do siedziby „L'Est républicain”. Odwaliłeś kawał roboty. Gazeta z dwudziestego trzeciego grudnia osiemdziesiątego roku nie została jeszcze odłożona na miejsce, a na pierwszej stronie zanotowałeś adres Mélanie Belvoir... Z adresem wskoczyłam do taksówki. Poprosiłam taksówkarza, żeby wysadził mnie na dole, tuż przy wyjeździe z Dannemarie.

Marc wahał się, jaką przyjąć postawę. Podziękować Malwinie? Wziąć ją w ramiona? Nie robić nic, zostawić ją w spokoju? Podszedł bliżej. Malvina zeszywniała.

– Nie dotykaj mnie!

Osunęła się na ziemię jak porzucona kukiełka.

– Babcia, dziadek... Odeszli wczoraj. Odeszli, odeszli...

Marc odwrócił się i otworzył drzwi xantii. Grand-Duc nie kłamał. Na siedzeniu leżała biała koperta. Rozdarł ją. Zawierała cztery strony wydruku. Marc podszedł do Malviny. Nie przestawała płakać, leżąc skulona w pozycji embrionalnej. Usiadł obok niej. Zaczął spokojnie czytać na głos.

– Powiem panu wszystko, panie Grand-Duc. Tak naprawdę nigdy nie zrobiłam nic złego, nie mam sobie nic do zarzucenia. Już czas, żebym zaczęła mówić, skoro mnie pan znalazł. Pewnego dnia musiało to nastąpić. Powiedzmy, że nadszedł ten dzień. Byłam trudną nastolatką, jak to się mówi. W wieku siedemnastu lat nie utrzymywałam już bliskich kontaktów z rodzicami. Od dawna nie chodziłam do szkoły. Włóczyłam się jak wielu innych nastolatków. Rodzicom udało się mnie zaciągnąć do biura pośrednictwa pracy. Błąkałam się po różnych stażach, aż w końcu dostałam tę pierwszą pracę na okres kilku tygodni w wydziale środowiska w Parku Naturalnym regionu Haut-Jura. Praca polegała głównie na zbieraniu śmieci w lesie. Klasyka. Dołączyłam do grupy kilku stażystek, a kierował nami Grégory Morez, inżynier parku. Był niewiarygodnie przystojny. Z młodymi dziewczynami, na których brak nie narzekał, obchodził się bardzo delikatnie. Miał swego rodzaju dar, dotykał, muskał, a mimo to nie wydawał się nachalny. Był ode mnie dziesięć lat starszy. Jak wiele innych dziewczyn zakochałam się w nim. Po raz pierwszy kochaliśmy się na łonie natury, nad strumieniem w lesie, który tak dobrze znał. Później robiliśmy to wiele razy w czasie stażu i jeszcze kilka tygodni później. Wszędzie w najbardziej niesamowitych miejscach. Wiedziałam, że miał też

inne przygody, ale sądziłam, że ze mną jest inaczej, że zakochał się naprawdę. Chciałam wierzyć w jego obietnice. Klasyka, prawda, panie Grand-Duc? Młoda i głupia, a on bajerant.

– I co dalej?

– Zaszłam w ciążę. Zorientowałam się późno, po sześciu tygodniach. Moja droga po równi pochyłej już się zaczęła. Nie miałam pracy. Rodziny coraz bardziej unikałam. Z przyjaciółmi widywałam się rzadziej. Ten Grégory Morez stał się moją obsesją, chciałam się zabić. On i jego ciało. Przyjemność, którą mi dawało.

– Czy to Grégory był ojcem dziecka?

– Tak, był moim jedynym kochankiem. Powiedziałam mu o ciąży pewnego wieczoru w nędznym pokoju hotelowym na przedmieściach Belfort po tym, jak kochaliśmy się po raz kolejny.

– Jak zareagował?

– Klasyka, panie Grand-Duc. Jak zwykle. Wyrzucił mnie za drzwi, powiedział, że jestem tylko małą dziwką, która chciała go złapać w sidła, że nie ma żadnych dowodów na to, że on jest ojcem, i że powinnam poddać się aborcji.

– Ale pani jej nie przeprowadziła?

– Nie... I tak naprawdę nie podjęłam też decyzji, że zatrzymam to dziecko. Nie reagowałam, pozwalałam, żeby tygodnie mijały. Siódmy, potem ósmy. Wszystko działo się bardzo szybko. Nadal miałam obsesję na punkcie Grégory'ego. Oszalałam. Uważałam, że uda mi się go nakłonić, by zmienił zdanie, odzyskać go. Byłam na dnie. Nie miałam już stałego miejsca zamieszkania, mieszkałam na squatach, do rodziców wracałam rzadziej niż raz w tygodniu. Gdy moja ciąża stała się zbyt widoczna, w ogóle przestałam się u nich pojawiać. Dzwoniłam tylko.

– Urodziła pani w szpitalu?

– Tak. W Montbéliard na oddziale patologicznym. Byłam ledwie pełnoletnia. Nie byłam w zbyt dobrym stanie. Dziecko ważyło niewiele, trochę ponad dwa kilo. Urodziło się dwudziestego siódmego sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego. Dziewczynka. Ze szpitala wyszłam tydzień później z papierami potrzebnymi do rejestracji dziecka. Wyrzuciłam je do kosza.

– To takie proste?

– Wie pan, panie Grand-Duc, przez tydzień w szpitalu spotkałam kilkadziesiąt pielęgniarek i prawie tylu lekarzy. W szpitalu w jakichś archiwach powinien być jeszcze ślad świadczący o narodzinach mojego dziecka. Musi istnieć dowód. Ale kto sprawdził, że to dziecko nadal jest ze mną, że ja je wychowuję? Żaden członek mojej rodziny nigdy o nim nie wiedział.

– Jak pani nazwała tę dziewczynkę?

– Nigdy nie miała imienia. Dziwne, prawda? W szpitalu powiedziałam, że jeszcze nie wybrałam, że czekam na ojca. Wyszłam z nią. Mój upadek był zawrotny, trwał kilka tygodni. Zerwałam wszelkie więzy z przyjaciółmi z dzieciństwa, z rodziną. Było lato. Spałam na ulicy z dzieckiem całymi dniami uwieszonym u piersi. Byłam wyczerpana. Spotykałam się z ludźmi, którzy mnie nie oceniali. Z pijakami i narkomanami. Nie byłam już w stanie podjąć żadnej decyzji. Wrócić do domu, płakać, paść w ramiona rodzicom. Oboje pracowali w Alsthom na taśmie produkcyjnej TGV w Belfort. Wrócić do Grégory'ego z dzieckiem i go przekonać. Moja córeczka miała już wtedy niewiarygodne błękitne oczy, trochę jak moje, ale przede wszystkim miała oczy swojego ojca, cudowne jasne oczy

wilkołaka. Mogłam umrzeć na chodniku...

– Jak pani podjęła decyzję o tym, żeby zniknąć?

– Nie miałam wyboru. Ktoś w końcu zauważyłby młodą dziewczynę z dzieckiem pętającą się po ulicach. Po kilku tygodniach służby zaczęły deptać mi po piętach. To nic, że byłam pełnoletnia, wiedziałam, jak to się skończy. Opieka społeczna zabrałaby mi dziecko, a mnie odstawiłaby do domu. Nie pytając nawet o zdanie. Muszę przyznać, panie Grand-Duc, że robiłam wówczas rzeczy nielegalne. Rozprowadzałam narkotyki. Kradłam. Kilka razy sprzedawałam swoje ciało. Sądzę, że pan rozumie, że musiałam opuścić Montbéliard.

– Czy to wtedy poznała pani Georges’a Pelletiera?

– Tak. Biedak. Wykolejeniec podobny do mnie, który musiał zniknąć z miasta. Policja, opieka społeczna, rodzina, wszyscy się go czepiali, tak jak i mnie. Lubił mnie, uważał, że jestem ładna, mimo wszystko. Sądzę, że już się widział w roli mojego alfonsa, idiota. Nigdy nie dałam mu się dotknąć. Ale cóż, połączyły nas jakby wspólne cele. Zwiąć razem. Góry Jura i Mont Terrible nasunęły mi się jako oczywistość. Bardzo blisko Montbéliard, a nikt by nas tam nie szukał. W tym pierwszym tygodniu grudnia było jeszcze dość ciepło, a my przyzwyczailiśmy się do spania na dworze. A co najważniejsze, mogłabym znowu zobaczyć Grégory’ego. On by mnie poznał, uznał dziecko. Miało jego oczy, nie zaprzeczyłby, że jest ojcem. Wiem, że to się wydaje szaleństwem, panie Grand-Duc, ale byłam szalona. Grégory Morez był moją ostatnią deską ratunku. Nadal w niego wierzyłam.

– Spotkała się z nim pani?

– Z Georges’em zamieszkaliśmy w chacie, którą znaleźliśmy niedaleko szczytu Mont Terrible. Nie było za ciepło, ale paliliśmy ogień, mieliśmy dach nad głową, wiodło nam się tam lepiej niż na ulicy. Już panu odpowiadam, panie Grand-Duc, już do tego dochodzę. Tak, widywałam Grégory’ego Moreza, prawie codziennie. Mont Terrible nie jest wysoka, a las niezbyt rozległy. Widywałam go, dziecko nosiłam na rękach. Nie poznał mnie, panie Grand-Duc! Nawet nie spojrział w moją stronę. W ciągu kilku miesięcy z młodej atrakcyjnej dziewczyny stałam się śmieciem. Utyłam. Moje piersi stały się obwisłymi płaskimi kawałkami skóry. Moje oczy straciły blask. Byłam nie do poznania.

– Nie rozmawiała pani z nim?

– Pan nie rozumie, panie Grand-Duc. Byłam upokorzona. Tak bardzo upokorzona. Nawet mnie nie poznał. Czy aż tak zbrzydłam? Czy od tamtej pory miał inne kobiety? Zrozumiałam, że już nigdy mnie nie dotknie. Że już nigdy nie będzie mnie chciał. Jak więc mogłam myśleć, że chciałby moje dziecko... Na zboczach Mont Terrible zgasła moja ostatnia nadzieja. Nie miałam już nic. Moje dziecko było kulą u nogi, rakiem, żyłyśmy złączone. Niech pan nie myśli, że nie kochałam mojego dziecka, panie Grand-Duc, że wszelki instynkt macierzyński we mnie umarł. Nie! Wręcz przeciwnie. Nie mogłam tylko już niczego mu dać. Nie miało ojca. Nawet mleka. Ani imienia. Zdaje pan sobie sprawę? Nagle zaczęło intensywnie sypać. Nadszedł ranek dwudziestego drugiego grudnia. Grzaliśmy się, jak się dało, przy ognisku w chacie przez cały dzień. Musiałam się wszystkim zajmować. Pelletier przez trzy czwarte czasu był pod wpływem kokainy, zamarzyłby na miejscu, gdyby nie ja. Musiałam go wyrzucać za drzwi, żeby poszedł nazbierać drewna.

– I nadeszła noc...

– Tak, śnieżycą rozszalała się z podwójną siłą. Pelletier spał zamroczony. Sądzę, że nawet nie usłyszał huk. Chata aż zadrżała w posadach, jak przy trzęsieniu ziemi, jak gdyby nadszedł koniec świata. Płonące drzewa widziałam z odległości kilometra. Płonęły w śniegu. Byłam oczarowana. Zawinęłam dziecko w koc i wyszłam. Nie czuło się zimna, wręcz przeciwnie, z powodu ogromnego pożaru upał aż szczypał w skórę...

– Nie bała się pani?

– Nie. W żadnym momencie. Była to dziwna scena, nierealna. Śnieg i ogień. No i ten samolot na środku góry, roztrzaskany. Stał płonął przede mną jak zwykły kauczuk. Wiedziałam, że jestem pierwszym świadkiem katastrofy, ale nie sądziłam, że służby ratunkowe pojawią się tak późno.

– To wówczas je pani zobaczyła?

– Chodzi panu o niemowlę, panie Grand-Duc? Tak, wtedy.

– Było...

– Tak, było już martwe. Spalone. Śmierć przez wstrząs. Nie żyło już od wielu minut. Żadne niemowlę nie przeżyłoby tam na górze, samo w piekle. Nie wiem, jakim cudem wszyscy uwierzyli w taką bajkę... Niemowlę już nie żyło, panie Grand-Duc. A ja od razu pomyślałam, że to niesprawiedliwe.

– Jak to?

– Okrutne, można tak powiedzieć. Po tym dziecku będzie płakała cała rodzina. To była mała dziewczynka, miała na sobie sukienkę. Żałoba i zniszczone życie. A ja nie mogłam zapewnić przyszłości swojej córce. Żyła i miała żyć bez nikogo, bez rodziny, miała tylko mnie, a ja tak niewiele znaczyłam. Rozumie pan, co chcę powiedzieć przez słowa „okrutne” i „niesprawiedliwe”?

– Rozumiem...

– Tak. To nie takie trudne. Niemowlę leżące w śniegu było mniej więcej w wieku mojej córki. Działałam bez zastanowienia. Jak to panu wytłumaczyć? Po raz pierwszy miałam poczucie, że jestem naprawdę przydatna. Że dokonuję brawurowego czynu. Myślałam, że ratuję życie. Że ratuję życie, ratuję rodzinę, ratuję również moją córeczkę. Coś podobnego muszą czuć lekarze i strażacy. Tamtej nocy to uczucie bardzo mnie zaskoczyło, sprawiło, że zapragnęłam zostać pielęgniarką albo kimś podobnym, gdy to wszystko się skończy. Ratować życie.

– Rozebrała pani ciało dziecka, które leżało martwe na śniegu?

– Żeby je ocalić, panie Grand-Duc, żeby je ocalić! Powiedziałam to już, nie zrozumiał pan? Ofiarowałam moje dziecko bez przyszłości kochającej rodzinie, bez wątpienia bogatej, która miała nigdy nie dowiedzieć się o moim poświęceniu, która miała płakać z radości w obliczu cudu i nigdy w niego nie wątpić. Było w tym coś prawie świętego...

– Ale tak się nie stało. Zupełnie nie tak...

– Skąd mogłam wiedzieć, panie Grand-Duc? Skąd miałam wiedzieć, że w samolocie były dwa niemowlęta? Zginęły obie, jak cała reszta pasażerów. Jak mogłam sobie wyobrazić konsekwencje? Sądziłam, że postępuję jak święta, panie Grand-Duc. Tak, jak święta. Później śledziłam całą tę aferę w gazetach. Dwie walczące rodziny. Proces. Co mogłam powiedzieć? Co mogłam zrobić? Mogłam tylko milczeć. Wszystko miało być o wiele prostsze. Prawie godzinę czekałam, aż ratownicy się pojawią, aż wezmą na ręce moje dziecko w nowych ubrankach. Gdy usłyszałam, że z oddali

nadchodzą pierwsi strażacy, gdy zauważyłam światła latarek, usłyszałam krzyki, położyłam dziecko na śniegu na tyle daleko od samolotu, żeby było mu ciepło, ale żeby nie spłonęło. Pocałowałam je po raz ostatni. Za kilka godzin moja córka miała zyskać nową rodzinę. Uciekłam w ciepłą noc z zawiniętym w kocyk nagim ciałem niemowlęcia zabitego w katastrofie.

– To pani pochowała to dziecko obok chaty?

– Co innego mogłam zrobić? Miałby pan jakiś inny pomysł? Pelletier jeszcze ciągle spał pod wpływem kokainy. Jak wariatka rozgrzebywałam śnieg gołymi rękoma. Byłam przemoczona. Dłonie miałam pokrwawione. Kopałam długo. Pelletier stanął za mną, gdy już prawie kończyłam. Zwłoki dziecka spoczywały już w grobie. Wymyślałam modlitwy, zanim je zakopałam, bo nie znałam żadnej. Pelletier się wściekł, myślał, że zakopałam własną córkę, że ją zabiłam...

– Zrozumiał, gdy zobaczył bransoletkę na ręce dziecka?

– Tak. W tym szaleństwie nie zwróciłam uwagi na bransoletkę. Bransoletka z wygrawerowanym napisem. *Lyse-Rose*. Pelletier zauważył ją od razu. I to, że była ze złota. Układ był prosty. Ja miałam oddać mu bransoletkę, a on obiecał, że zamilknie. Zerwał ją z ręki dziecka. Zniknął. Już nigdy go nie zobaczyłam. Ja tam jeszcze trochę zostałam. Zasypałam grób ziemią ze śniegiem. Znosiłam kamienie i drobne kamyki i układałam je jedno na drugim. Już prawie nie mogłam ruszać skostniałymi palcami. Całą wieczność zajęło mi zrobienie krzyża z dwóch kawałków drewna. Resztę nocy przespałam w chacie przy dogasającym ognisku. Chociaż nie, tamtej nocy chyba nie spałam. Tej ani w kolejnej.

– Czy wracała pani na grób w następnych latach?

– Tak... Tego się pan domyślił. Pomału życie zaczęło brać górę. Rodzice mnie szukali, publikowali w gazetach ogłoszenia. W końcu wróciłam do Belfort. Podjęłam naukę. Tak jak mówiłam, zostałam pielęgniarką. Laurenta poznałam sześć lat temu. Laurenta Luisansa. Jest ratownikiem medycznym w szpitalu. Moi rodzice byli starzy, ojciec umarł pięć lat temu, a matka w zeszłym roku. Nie wzięliśmy z Laurentem ślubu, ale zaczęłam używać jego nazwiska. Laurent nic nie wie o mojej przeszłości. Zresztą nikt nie wie. Laurent chciałby mieć dziecko. Dla mnie jeszcze nie jest za późno. Mam dopiero trzydzieści sześć lat. Nie wiem. To dla mnie trudne, rozumie pan.

– Rozumiem, Mélanie. Nie odpowiedziała mi pani na pytanie o grób.

– Wracam tam, panie Grand-Duc. Przychodziłam co roku. Dwudziestego siódmego sierpnia, w urodziny mojej córki. To tak, jakbym na Mont Terrible pochowała własne dziecko. Rozumie pan? Moje własne dziecko, nie obce. Nie tę *Lyse-Rose*. Przychodziłam, żeby dbać o ten grób, położyć kwiaty pod krzyż. Któregoś roku, wieki temu, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym, zdałam sobie sprawę, że ktoś poprzekładał kamienie. Kto? Wiedziałam, że sprawa Carville – Vitral jeszcze się nie zamknęła, że nigdy nie będzie zamknięta, bo to zwyczajnie niemożliwe.

– Chyba że ktoś dokonałby ekshumacji niemowlęcia pochowanego obok chaty... Na przykład jakiś nieustępliwy detektyw...

– Na przykład. Wystraszyłam się. Odkopując ciało, odkopano by moją przeszłość. Opróżniłam grób. Zlikwidowałam ostatni dowód.

– Wykopała pani jakiś inny grób, gdzieś indziej? Bardziej dyskretny?

– To już nie pańska sprawa, panie Grand-Duc. To tylko moja sprawa. Co pan teraz robi?

– Nie wiem. Czy możemy się spotkać?

– Sądzę, że chyba nie bardzo mam wybór. Jestem zdana na pańską łaskę, jak to się mawia. Im prędzej, tym lepiej. Laurent zaczyna pracę jutro o piątej rano. Ja mam nocny dyżur. Jak pan widzi, życie pracowników szpitala nie jest łatwe. Kończę o ósmej rano w Montbéliard. Potrzebuję trochę czasu na powrót. Jutro o dziewiątej rano u mnie? Odnalazł mnie pan po tylu latach, więc pewnie zna pan drogę... Mam nadzieję, że będzie pan dyskretny, panie Grand-Duc. Zmieniłam swoje życie. Udało mi się, choć niełatwo było zapomnieć. Tamtej nocy na Mont Terrible nie chciałam zrobić nic złego. Wręcz przeciwnie. Nie mogłam przewidzieć...

– Przewidzieć czego?

– ...

– Czego przewidzieć, Mélanie?

– Przewidzieć, że w wieku osiemnastu lat moja córka będzie do mnie tak podobna...

Było chwilę po dziewiątej. Lekka mgła przyklejona do zboczy Mont Terrible zaczynała się rozrzedzać i smugami unosić w kierunku szczytu. Marc pierwszy zauważył mały biały samochód kilka zakrętów niżej przed wjazdem do Dannemarie. Fiat Panda. Pojazd zbliżał się powoli, przejechał przed nimi i zatrzymał się kilka metrów wyżej, tuż przed domem z błękitnymi okiennicami. Marc zauważył oznaczenie pielęgniarskie na tylnej szybie samochodu. Kobieta, która prowadziła, przez długie minuty siedziała za kierownicą nieruchomo. Marc dostrzegł tylko jej blond włosy. W końcu wyłączyła silnik.

Drzwi się otworzyły i ukazała się dziwnie znajoma twarz ze zmęczonym uśmiechem.

20 maja 1999

Oddział porodowy Aubépinés w Dieppe

Tom spał w przezroczystym plastikowym łóżeczku z zaciśniętymi piąstkami. Ciało unosiło się powoli. Widać było tylko jego małą pyzată twarzyczkę i blond włosy, zadziwiająco długie jak na czterodniowego noworodka.

Marc trzymał Lylie za rękę. Była zmęczona. Oczy jej się same zamykały. Cieszyła się spokojem. Wreszcie została tylko z Markiem i Tomem. Napawała się ciszą jak świeżym powietrzem, dopóki kolejna pielęgniarka nie wpadnie jak tornado.

Nicole właśnie wyszła. Lylie grzecznie dała jej do zrozumienia, że potrzebuje odpoczynku. Prababcia najchętniej siedziałaby przy małym Tomie dzień i noc. Całe Dieppe było już na bieżąco. Nicole najpierw poszła do Pierre'a na cmentarz Janval, ale później odzyskała sprawność dwudziestolatki i chodziła, wszem wobec ogłaszając narodziny. Prawnuczek! Mało brakowało, a zaczęłaby rozdawać ulotki... Marc z niepokojem czekał na moment, kiedy całe Dieppe od mera po prezesa portu handlowego zacznie przybywać z kwiatami.

Głowa Lylie opadła na ramię Marca, który siedział na skraju łóżka. Nie miał śmiałości się ruszyć. Ostrożnie wziął kartkę przesłaną przez Mélanie Belvoir. Była przypięta do ogromnego bukietu róż. Trzy razy większego od tego, który kupił Marc.

Wszystkiego dobrego dla małego Toma. Lylie, nie wiedziałam, że jestem Twoją matką. Jeszcze raz Cię przepraszam. Może zaakceptujesz mnie jako babcię? Postaram się jak najlepiej nadrobić stracony czas, wszystko, co zepsułam swoim milczeniem. Jeśli zechcesz, nie jest jeszcze za późno, tak sądzę. Przynajmniej dla Toma. Kto nie marzył, żeby mieć trzydziestosześcioletnią babcię?

Dbaj o Marca.

Mélanie

Jak dotąd Lylie nie chciała spotkać się ze swoją matką. Mélanie nie naciskała. Lylie nie miała odwagi. Potrzebowała czasu. Pojawił się Tom, który połączył pokolenia. Lylie odpoczywała dopiero trzy minuty, gdy do sali wpadła pielęgniarka.

Nie dadzą nam spokoju, pomyślał Marc.

Powód był dobry! Pielęgniarka z trudem przyniosła ogromny prezent.

– Przywiózł go kurier – wyjaśniła. – Całe szczęście, że nie codziennie przychodzą takie wielkie. Kartka dla tatusia, prezent dla mamusi.

Pielęgniarka wyszła. Lylie otworzyła szeroko oczy, gdy zobaczyła, jak wielki jest ten prezent. Metr na dwa!

– No to otwórz – odezwał się Marc.

– Można by sądzić, że to prezent pułapka – skomentowała Lylie. – Jesteś pewien, że nie wybuchnie?

– Zależy, kto go przysłał...

Gdy Marc otwierał małą białą kopertę, Lylie pochyliła się nad paką i zaczęła rozrywać kolorowy

papier, w który było zapakowane pudło.

Marc natychmiast poznał wąskie, prawie nieczytelne pismo.

Malvina.

– Od kogo? – zapytała Lylie, która wciąż próbowała dostać się do zawartości pudła.

– Od przyjaciółki – odparł cicho Marc. – Bardzo drogiej przyjaciółki.

– Tak?

Lylie już prawie otworzyła paczkę. Rozdarła karton, z którego wyłonił się ogromny kasztanowo-pomarańczowy pluszowy miś. Lylie pisnęła z radości:

– Mój Boże! Jaki piękny!

Marc rozszyfrował dedykację na kartce od Malwiny.

Dla małego bachora.

Powinien mu się spodobać.

Marc nie mógł powstrzymać uśmiechu. Bardzo mocno uścisnął dłoń Lylie, po czym odwrócił się w stronę misia.

– Cześć, wielkoludzie. Nieźle się naczekałeś na tę chwilę, co? Na chwilę, kiedy poznasz naszą Lylie!

Młoda mama przyglądała się zaskoczona.

– Lylie, przedstawiam ci Banjo.

Przypisy

- [1] Crédule Grand-Duc (fr.) – Łatwowiezny Wielki Książę. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).
- [2] Liberté (fr.) – wolność.
- [3] Mont Terrible (fr.) – *Straszna góra*.
- [4] *Crédule* (fr.) – *łatwowiezny*.
- [5] Chauds-Soleils (fr.) – gorące słońca.
- [6] Ombres Froides (fr.) – zimne cienie.
- [7] *La bascule* (fr.) – *huśtawka*.